

Lesley Lokko

Jedna bogata, druga biedna

Z angielskiego przełożył Krzysztof Oblucki

Świat Książki

Tytuł oryginału RICH GIRL, POOR GIRL

Redaktor prowadzący Elżbieta Kobusińska

Redakcja merytoryczna Jerzy Lewiński

Redakcja techniczna Agnieszka Gąsior

Korekta Marianna Filipkowska Jolanta Spodar

Copyright © Lesley Lokko 2009 All rights reserved First published by Orion Books, London

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o. Warszawa 2011

Świat Książki Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o. ul. Rosoła 10,02-786 Warszawa

Skład i łamanie Joanna Duchnowska

Druk i oprawa GGP Media GmbH, Póssneck

ISBN 978-83-247-1786-6 Nr 7604

Patrickowi

To również jego książka i jest dla niego

Podziękowania

Jak zawsze serdeczne podziękowania dla Christine i Kate, które wzięły surowy materiał i nadały mu kształt, i dla Sophie Hutton-Squire, która mozolnie i z takim wdziękiem zredagowała chaotyczny tekst! Tym razem, na szczęście (!), został napisany mniej więcej w jednym miejscu, na Eastside Farm. Znowu muszę podziękować Alistairowi i Susie Cowanom za goszczenie mnie tam i za to, że są wspaniałymi kompanami; siostrze Debbie za nasze pogaduszki późną nocą, wskazówki dotyczące diety i dobrą opiekę nad moim domem w Anglii. Vic - dziękuję Ci za stałe pilnowanie moich spraw w Akrze, a Elkinowi za wspaniałomyślne użyczenie mi mieszkania. Za rozmowy w całym Zimbabwe w ogóle i tłumaczenie z języka szona na moje podziękowania zasłużyli Keith Shiri, Brian Chikwava i Elkin Pianim. Dziękuję też Peterowi God-winowi za Mukiwa: A White Boy in Africa (Grove Press 2004), Christi-nie Lamb za House of Stone (Harper 2007) i Alexandrze Fuller za Don't Let's Go to the Dogs Tonight (Random House 2002). Książki te były bardzo przydatne jako kroniki losów białych mieszkańców Zimbabwe. Bezcennych okazało się również kilka biografii, między innymi: Toma Bowera A Rebel Tycoon (Heinemann 1993) oraz Chrisa Hutchinsa i Dominika Midgleya Goldsmitha Money, Women and Power (Mainstream 1998). Jak zwykle ogromne podziękowania otrzymują: Jonathan, Ro, Rahesh, Henry Dee i Samir, wszyscy z Londynu; Marili, Lorenz, Susi, Jorg i Susanne z Bazylei oraz Fantastic Four: Tash, Poem, Liz i Nana Amu z Akry, jak również oczywiście zwykle podejrzani: Vic, Sean, EP, Delta Kilo i przede wszystkim Patrick, najwspanialszy facet i extraordinaire kumpel, bez którego pomocy nigdy nie udałoby mi się tego napisać.

Prolog

Londyn 2007

Deszcz lał strumieniami z ciemnego, pośepnego nieba, tworząc ściany wody, które zdawały się pochłaniać całe światło. Była jedenasta przed południem, ale grudniowy dzień robił wrażenie, jakby raczej zbliżał się do końca, niż rozpoczynał. Młoda kobieta siedząca z tyłu samochodu drżała. Ramiona owinęła paszminą i przytknęła nos do szyby. Przemknęli obok

British Library i niekończących się placów budowlanych przy Euston Road. Stare łuki nadal tam stały; zobaczyła je, gdy skręcili i jechali pod mostem. Ale brakowało już dawnej gazowni. Wszystko zburzono, żeby zrobić miejsce pod nowy dworzec kolejowy. Z St Pancras do Paryża w kilka godzin. Skrzywiła się odruchowo. Myśl o Paryżu wywołała w niej jak zawsze silne ukłucie bólu. Tam widziała ją ostatni raz - wszyscy widzieli ją tam po raz ostatni. Lepiej było jednak o tym nie myśleć. Szczególnie teraz.

Gdy kierowca podjeżdżał pod stosunkowo niewielki i dość zniszczony budynek na Camley Street, czuła gulę w żołądku. Tabliczki na nim głosiły: „Sąd Koronny. Śródmieście Północnego Londynu St Pancras”. „Wizyty wyłącznie po wcześniejszym ustaleniu terminu”. Wpatrywała się w drzwi. Nigdy wcześniej nie była w sądzie koronnym. Została wezwana jako „strona w sprawie” - jak powiedział jej prawnik przez telefon. Nie świadek albo podejrzana, to jasne, ale... chodziło o zwykłe rutynowe postępowanie, o coś, co musiało być zrobione. Nie miała się czego obawiać - nikt z nich nie musiał się niczego obawiać. Rozpaczliwie chciała w to wierzyć.

13

Londyn 2007

Deszcz lał strumieniami z ciemnego, pośpnego nieba, tworząc ściany wody, które zdawały się pochłaniać całe światło. Była jedenasta przed południem, ale grudniowy dzień robił wrażenie, jakby raczej zbliżał się do końca, niż rozpoczynał. Młoda kobieta siedząca z tyłu samochodu drżała. Ramiona owinęła paszminą i przytknęła nos do szyby. Przemknęli obok British Library i niekończących się placów budowlanych przy Euston Road. Stare łuki nadal tam stały; zobaczyła je, gdy skręcili i jechali pod mostem. Ale brakowało już dawnej gazowni. Wszystko zburzono, żeby zrobić miejsce pod nowy dworzec kolejowy. Z St Pancras do Paryża w kilka godzin. Skrzywiła się odruchowo. Myśl o Paryżu wywołała w niej jak zawsze silne ukłucie bólu. Tam widziała ją ostatni raz - wszyscy widzieli ją tam po raz ostatni. Lepiej było jednak o tym nie myśleć. Szczególnie teraz.

Gdy kierowca podjeżdżał pod stosunkowo niewielki i dość zniszczony budynek na Camley Street, czuła gulę w żołądku. Tabliczki na nim głosiły: „Sąd Koronny. Śródmieście Północnego Londynu St Pancras”. „Wizyty wyłącznie po wcześniejszym ustaleniu terminu”. Wpatrywała się w drzwi. Nigdy wcześniej nie była w sądzie koronnym. Została wezwana jako „strona w sprawie” - jak powiedział jej prawnik przez telefon. Nie świadek albo podejrzana, to jasne, ale... chodziło o zwykłe rutynowe postępowanie, o coś, co musiało być zrobione. Nie miała się czego obawiać - nikt z nich nie musiał się niczego obawiać. Rozpaczliwie chciała w to wierzyć.

- Mam na panią poczekać? - zapytał kierowca, obracając się do niej.

Pokiwała wolno głową.

- Tak, proszę. Nie wiem, jak długo to potrwa. Zaparkuje pan w pobliżu? Zadzwoń, kiedy się skończy.

- Doskonale, proszę pani.

Otworzyła drzwiczki i wysiadła, rozkładając parasolkę. Ponownie spojrzała na tabliczkę. Za jej plecami samochód powoli odjeżdżał. Zgarbiła ramiona, głęboko odetchnęła i weszła po schodach. Minęło dopiero niewiele ponad sześć miesięcy od strasznych wydarzeń z tamtej nocy. Nie mogła uwierzyć, że ten koszmar zacznie się od nowa.

1

Osiedle Milton Gardens, Hackney, Londyn 1993

Dlaczego nazwali to osiedle Gardens (Ogrody)? - zastanawiała się z poirytowaniem szesnastoletnia Caryn Middleton, jadąc rowerem przez plac przed Baberton House. Nie było tu żadnych kwiatów. Nie było żadnych trawników. Jedynie łąta gołej ziemi, którą służby miejskie zamiatały od czasu do czasu, usuwając połamane zabawki i przypadkowe igły, które

zostały z czasów, gdy dilerzy narkotyków od Gascoyne'a kręcili się po osiedlu. Ale teraz już ich tu nie było. Przypomniała sobie wieczór, kiedy jej matka zwołała mieszkańców Baberton i Cheney, po czym wspólnie urządzili pikietę, żeby ich przegnać. Pękała wtedy z dumy - z mamy pukającej do drzwi mieszkań, organizującej ludzi, wyjaśniającej, co jej zdaniem wszyscy powinni robić i mówić. Była taka przekonująca. Odpowiedzialna. Siedzieli na podwórzu do późna przez trzy wieczory - wszyscy mieszkańcy, nawet ci, którzy ze sobą nie rozmawiali - trzymając się ze ręce i tworząc wokół osiedla ciasny kordon ochronny. Władze miasta przysłały policję na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś problemy, ale nic się nie wydarzyło. Nie doszło do ani jednej bójki. Dilerzy odpuścili sobie po trzecim wieczorze, praktycznie rozumując, że mieli przez to „za dużo, kurwa, zachodu”. W następnym tygodniu usłyszała w szkole, że przenieśli się na inne osiedle, dalej, przy tej samej ulicy. Patrzyła, jak wszyscy podchodzili do mamy, obejmowali ją, śmiali się, dziękując, że zmusiła ich do zajęcia się tą sprawą. Myślała, że serce pęknie jej z dumy. Jej mama!

Oczywiście, to nie trwało długo. Przez kilka dni, przyprawiających

15

0 zawrót głowy, można było pomyśleć, że Alice jakoś się pozbierała. Krzątała się po mieszkaniu, śpiewała pełnym głosem, czyściła, pastowała, odkurzała - jeden wielki gejzer energii, mającej źródło w nerwach

1 podnieceniu. Na stole pojawiło się jedzenie, na kuchni pyrkaly pokrywki na garnkach, a kiedy Caryn wracała ze szkoły, jej młodszy braciszek Brian był wykapany i nakarmiony. Pomagała nawet Caryn w odrabianiu lekcji. Pełnia szczęścia. Czuła wtedy, że jak wszyscy ma normalne życie. Choć nigdy nie ośmieliła się powiedzieć tego głośno, a już na pewno nie Alice, rola jedynej odpowiedzialnej osoby w rodzinie była dla niej męcząca. Cudownie się czuła, wiedząc, iż nie musi przypilnować, żeby Brian zjadł albo żeby w lodówce nie zabrakło mleka, albo żeby rachunek za prąd został zapłacony. Przez kilka dni była zwyczajną nastolatką z normalnymi dla tego wieku problemami.

Potem, oczywiście, Alice nawaliła ponownie i wszystko się skończyło. Wkrótce znowu włożyła szlafrok i większość czasu spędzała w łóżku. Zdarzały się dni, kiedy wychodziła ze swojego pokoju tylko po jedzenie. Trudno było powiedzieć, co jej jest. Depresja - powtarzali wszyscy porozumiewawczo. W łazience stało mnóstwo niewielkich pomarańczowych buteleczek z białymi nakrętkami. Po tych pigułkach Alice miała czuć się lepiej. Ale nigdy tak nie działały. Kiedy Caryn patrzyła na matkę, nie miała wątpliwości, że problem nie wynikał z tego, że czasami ogarniał ją smutek. Chodziło o coś znacznie więcej. O jeden z tych poważnych, nierozwiązywalnych problemów, jakie mają dorośli. Alice była inna - samotna. Chociaż czasami rozmawiała z innymi kobietami z osiedla, przypominała rybę wyciągniętą z wody. Kiedyś, dawno temu, zanim wszyscy przenieśli się do Londynu, była nauczycielką. Wcześniej mieszkali w Colchester, ale Caryn nic nie pamiętała z tamtego okresu. Nie pamiętała nawet ojca. Uciekł z szesnastoletnią córką małżeństwa prowadzącego pub za rogiem. „Możesz sobie wyobrazić... z szesnastolatką! Miała tyle samo lat co ty, kochanie” - często powtarzała Alice, aż córka zaczęła ją błagać, by przestała. Już sama myśl o tym wprawiała ją w zażenowanie.

Najstarszy brat, Cameron, odszedł z domu przy pierwszej okazji, więc nie miała kogo spytać, jakie było ich życie wcześniej. Średni brat, Owen, w zasadzie mieszkał z nimi, ale rzadko bywał w domu. Obchodzili ją, ale jakby z dystansu. Miała wrażenie, że tak naprawdę ich nie

16

znała. Nie myślała o nich tak jak o Brianie, młodszym bracie. Kochała go bardziej niż kogokolwiek na świecie. Brian urodził się już po przeprowadzce do Londynu. Miał innego ojca - Mike'a. Mike był budowlańcem i czasami do nich zachodził. Caryn go lubiła. Wesoły, bardzo często się uśmiechał i dawał jej piątką za każdym razem, gdy przychodził zobaczyć

synka. Skórę miał brązową nawet zimą. Powiedział jej, że jego ojciec pochodził z Jamajki. Z tego powodu wszyscy mówili, że Brian wygląda na Włocha albo Hiszpana... albo Greka. Nie miał tak jasnej, angielskiej skóry jak reszta rodzeństwa. Caryn uwielbiała jego złocistą karnację, kręcone, brązowe włosy... Panowała zgodna opinia, że podobnie jak jego ojciec będzie pożeraczem damskich serc. Niestety, Mike niewiele mógł zrobić w sprawie Alice. Stwierdził, że potrzebowała odpowiedniej opieki. Powiedział, że odebrało jej rozum. „Kto odebrał?” -Caryn miała ochotę zapytać. Zdarzały się dni, gdy chciała, żeby jej też ktoś zrobił coś takiego. Ale, oczywiście, nie mogła sobie na to pozwolić. Bo kto opiekowałby się wtedy Brianem? Caryn stanęła na wysokości zadania, nauczyła się gotować i dbać o dom. Usłyszała kiedyś, jak Alice, gdy czuła się trochę lepiej, mówiła do ich sąsiadki, pani Fields: „Moja kochana Carynka. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła”. Te słowa powinny napęlić dziewczynę dumą, ale tak nie było. Poczula się jedynie skrępowana, jakby dawano jej coś, czego nie chciała.

Uchyliła pchnięciem drzwi na klatkę schodową i wciągnęła rower. Winda nie działała. Kopniakiem otworzyła drzwi na schody i zaczęła się wspinać na ósme piętro, wlokąc ze sobą rower. Westchnęła. Zdarzały się tygodnie, kiedy wszystko wydawało się iść nie tak, jak powinno.

2

Avonlea, Chinhoyi, Zimbabwe 1993

Wiatr przycichł do łagodnego szeptu, gdy Nik Hartę wyprowadziła po cichu konia ze stajni i szła z nim pełną ścieżką, kierując się ku drodze. Drzewa msasa, którymi obsadzono podjazd, przestały gorączkowo szeleścić, co było typowe dla nich w południe. Teraz, gdy wczesnym

17

wieczorem zrobiło się chłodniej, wszystko zamierało, cichło, czekając na zmierzch, kiedy temperatura spadnie i zapanuje atramentowa ciemność. Za ścieżką i sennie kołyszącymi się drzewami rozciągały się pofalowane pola białozłotawej kukurydzy, kończące się u stóp wzgórz. Gdy minęła koniec podjazdu i stała się niewidoczna z głównego domu, wskoczyła bez wysiłku na grzbiet Simby i uderzyła go piętami w boki. Poczula natychmiastową reakcję rumaka pod swoimi udami - rzucił się naprzód i ruszył cwałem. Z dala od domu i gęstej, wypełnionej złością atmosfery po kłótni z macochą Nik czuła, jak kłamra ściskająca jej pierś zaczyna się powoli rozluźniać.

Galopowała wąską ścieżką nadal w cieniu drzew msasa, zostawiając za sobą kłęby piaskowego pyłu. Przy skraju pola kukurydzy skręciła w lewo, zmierzając ku wzgórzom. Teraz jej trasa prowadziła przez wysoką obumarłą trawę pory suchej. Żdźbła szeleściły, gdy podążała krętą, dwukoleinową ścieżką którą chodzili wieśniacy. Ich głowy pokazywały się od czasu do czasu spośród grubych, żółkniętych łodyg, gdy szli od jednego gospodarstwa do drugiego w okolicznych wioskach.

Potem, równie nagle, jak znalazła się wśród traw, tak niespodziewanie się z nich wyłoniła i zaczęła się wspinać. Simba zwolnił i wybierał drogę wśród skał i niewielkich kamieni narzutowych znaczących początek wzgórz. Przez jakiś czas podchodzili pod górę w równym tempie, a jedynym słyszalnym dźwiękiem były odgłosy ich oddechów - jej cichych i płytkich, Simby zniecierpliwionych i głębokich. Na jego szyi, w miejscach, gdzie wodze ocierały się o wyrzuczenia mięśni, pojawiły się smużki spienionego potu. Z sześciu koni trzymanyh w stajni na końcu farmy za kwaterami służby Simba był jej ulubieńcem.

W połowie zbocza zatrzymała go i obejrzała się, żeby popatrzeć na dom, zakryty w połowie falującą żółtą trawą, porastającą teren przed pasmem białych skalistych wzgórz. Po lewej stronie od domu i farmy widać było rozrzucone lepianki i liche, chylące się do ziemi chaty robotników - maleńkie, pozbawione znaczenia kropki w krajobrazie, który został ujarzmiony, wykarczowany i oczyszczony, żeby zrobić miejsce pod ogromną liczącą dziesięć tysięcy akrów farmę, którą jej ojciec stworzył niemal jako hobby jakieś trzydzieści lat temu. Była to

największa posiadłość w okolicy - Avonlea, nazwana tak od zielonych pól za rzeką Avon, gdzie prawdopodobnie jej ojciec spędził większą część

18

ś'

dzieciństwa. Nik nie miała zielonego pojęcia, gdzie tak naprawdę się wychowywał. Jim Hartę nie należał do ludzi wylewnych. Ona - i większość znanych jej osób - właściwie nic o nim nie wiedziała. Poza tym, oczywiście, że był jednym z najbogatszych ludzi w Zimbabwie.

RhoMine, rozrastająca się sieć firm jej ojca, była największym prywatnym pracodawcą w kraju. Władczy, z determinacją dążący do celu i skrajnie bezwzględny mężczyzna o wybuchowym charakterze, który zapewnił mu złą sławę, stał się łatwym celem, człowiekiem w rodzaju tych, których ludzie kochają nienawidzić. Ale Jim Hartę tego nie zauważał, a tym bardziej się tym nie przejmował. Guzik go obchodziło, co inni o nim sądzą.

Mimo to, jak wszyscy by powiedzieli (oczywiście za jego plecami), za sukces trzeba zapłacić. Nawet Jim Hartę nie mógł uchronić się od tragedii. Jego dwa pierwsze małżeństwa zakończyły się dramatycznie. Jane, pierwsza żona, popełniła samobójstwo. Krążyły plotki, że to on ją do tego doprowadził. Szeptano o romansie, nieślubnym dziecku, złamanym sercu.

Niczego jednak nie udowodniono. Świat nigdy nie zobaczył żadnego bękarta. Shaun i Patrick, starsi przyrodni bracia Nik, byli jedynymi synami, którzy nosili jego nazwisko. W końcu plotki ucichły. Jane pochowano na terenie posiadłości w pięknym różanym ogrodzie, który pracownicy codziennie doglądali. Nik nie wiedziała, żeby ojciec choć raz poszedł na jej grób.

Niedługo po śmierci pierwszej żony ożenił się z Sarah Parker, najlepszą przyjaciółką Jane jeszcze z internatu w Anglii. W szkole były nierozłączne, a kiedy Jane wyjechała z Anglii, Sarah przyjeżdżała do Rodezji tak często, jak mogła. Była na pogrzebie Jane. Nik słyszała, jak ludzie mówili, że była niepoczyszona. Ale nigdy nie wróciła do Anglii. Sześć miesięcy po pogrzebie Jane wyszła za Jima. Trzy lata później ona również umarła - zginęła w wypadku podczas polowania. Zostawiła dwuletnią córeczkę i dwóch pasierbów, którymi się opiekowała. Jim nigdy nie wspominał jej imienia. Wszystkie ślady po niej starannie usunięto ze wszystkich jego domów.

Molly, jego trzecia i obecna żona, była właściwie nastolatką, gdy wychodziła za czterdziestosześcioletniego, dwukrotnie owdowiałego biznesmena. Zagubiona i zastraszona córka angielskich arystokratów, którą Shaun, Patrick i Nik od razu potraktowali z rezerwą, zdawała się jeszcze bardziej rozbijać i tak już podzieloną rodzinę. Niemal w chwili,

19

gdy się wprowadziła, wysłała Shauna, Patricka i Nik do szkół z internatem - najpierw do Harare, a potem do Anglii. Tak daleko, jak to było możliwe. Sama urodziła Jimowi córkę o imieniu Jessica, teraz czteroletnią, na której punkcie miała zupełnego bzika. Nik lubiła Jessicę - albo może lubiłaby ją, gdyby dano jej na to najmniejszą szansę. Molly nigdy nie zostawiała córki samej z pasierbicą. Twierdziła, że nie powierzyłaby Nik opieki nad ukochaną córką, bo jej nie ufała. Dziewczyna podsłuchiwała któregoś dnia, jak Molly mówiła jej ojcu, że boi się o Jessicę, bo przyrodnia siostra mogłaby jej zrobić krzywdę. Szczęka opadła Nik z niedowierzania. Skrzywdzić Jessicę? Po kiego diabła miałyby to robić? Zaczęła się przed kuchnią, coraz bardziej zła, licząc na to, że ojciec zacznie jej bronić - ale oczywiście nic takiego nie zrobił. Wymamrotał coś, czego Nik nie usłyszała, i wyszedł.

Ze względu na to wszystko obecność Molly nie czyniła z ich domu miejsca, gdzie panuje harmonia. Ale Jim nie należał do ojców, którym można się poskarżyć - praktycznie nigdy go nie było. A kiedy się pojawił, słyszeli jedynie, żeby trzymać gębę na kłódkę. Cała ich trójka się go bała. Zwłaszcza Nik. Przeczucie podpowiadało dziewczynie, że przypominała mu Sarah, jej matkę. Było coś w sposobie odruchowego zaciskania przez niego ust, gdy wchodziła do pokoju. Na jego twarzy pojawiał się wyraz irytacji, czasami niebezpiecznie

bliski pogardy, gdy ich spojrzenia się spotykały. Nie potrafił tego kontrolować ani ukryć, ale Nik od dawna nauczyła się tym nie przejmować.

Szturchnęła Simbę. Pokonali ostatni odcinek ścieżki i zatrzymali się przed sterzącym ze skarpy ogromnym głazem o opływowym kształcie. Dochodziło wpół do piątej po południu, cienie wydłużyły się i stały atramentowoczarne na ziemi. Okręciła wodze wokół pnia najbliższego drzewa i wdrapała się na głaz, bacznie się rozglądając, czy nie ma tam węży. One również lubiły ciepło. Upał panujący w ciągu dnia nagrzał białą, lekko nakrapianą powierzchnię kamienia. Położyła się na nim na plecach, dotykając go wewnętrznymi stronami dłoni i nagimi ramionami. Niebo pod koniec zimy miało odcień głębokiego, świetlistego błękitu. Zamknęła na chwilę oczy, czując na powiekach przyjemne ciepło słońca. Sięgnęła do kieszeni po papierosy. Za kilka dni spakuje się i wyjedzie do Londynu. Shaun i Patrick mieli więcej szczęścia. Byli od

20

niej starsi i cieszyli się większą swobodą. Już dawno skończyli naukę w Eton, gdzie Jim wysłał ich głównie z powodu kontaktów towarzyskich, które - jak prawdopodobnie mniemał - udałoby im się tam nawiązać. Obaj pracowali teraz w RhoMine. Uniwersytet nie wchodził w grę. Zdaniem Jima był kompletną stratą czasu. Bo jaki jest sens mieć synów, jeśli nie idą w ślady ojca? O córkach nic się nie mówiło. Nikt nie wiedział, jakie Jim miał wobec nich plany. Czekają ją kolejne dwa lata w ekskluzywnej szkole z internatem dla dziewcząt w Londynie, do której ją posłał... a co potem? Najwyraźniej nikt nie miał pojęcia albo też nikogo to nie obchodziło. O to się właśnie pokłóciła: Co będzie robić później? Gdyby nawet Molly w ogóle spróbowała się nad tym zastanowić, nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

- Co chcesz powiedzieć przez to „później”? - Patrzyła na Nik, tłukąc garnkami i patelniami w kuchni. Jak zawsze wściekała się na służbę.

- Kiedy zrobię maturę. Zastanawiałam się nad...

- Lepiej zaczęłabyś się zastanawiać nad obecnym zachowaniem, moja droga - powiedziała Molly z lekceważeniem w głosie. - Mam po dziurki w nosie listów od kierowniczk, która skarży się na twoją bezczelność w szkole. Dlaczego z tobą zawsze muszą być jakieś problemy?

- Nie ma żadnych problemów! - Nik spojrzała na nią równie lekceważąco. - Poza tym co cię to obchodzi?

- Nie obchodzi - powiedziała Molly stanowczym głosem. - Nic mnie to nie obchodzi. I w tym problem. Och, nie krępuj się, niech cię znowu wyrzucą, Nikolo. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czemu zawracam sobie tym głowę. - Obróciła się, żeby zrugać służącą, trzymającą w ręku rondel. - Nie, Mary... nie czerwony. Niebieski garnek. Jezu Chryste! Nie rozumiesz po angielsku?! Niebieski, nie czerwony. Daj mi to! - Odwróciła się plecami do Nik i wytrząsała się nad biedną Mary, ostatnio zatrudnioną kucharką z długiej listy służących, z której Molly zwalniała kogoś praktycznie co tydzień.

Nik wpatrywała się przez chwilę w tył jej głowy, a potem duże łzy złości zwilżyły jej oczy. Zawsze tak było.

- Idź do diabła! - powiedziała wściekła, obracając się na pięcie i odchodząc.

- Nikola! Jak śmiesz tak do mnie mówić! - Przejmująco piskli-

21

Ł

wy głos Molly niósł się za nią. - Wracaj tutaj, ty niewdzięczna pys-kaczko!

- Pierdol się! - wymamrotała pod nosem Nik, zatraskując za sobą drzwi.

- Nikola! Wracaj tu natychmiast. Poczekaj, zobaczymy... - Ale Nik już nie było.

Pobiegła do stajni - chciała uciec gdziekolwiek od na wpół histerycznego głosu Molly i grózb, które na pewno będzie rzucała. „Poczekaj, aż twój ojciec się o tym dowie! Dopilnuję, żeby

odesłał cię do Anglii bez grosza przy duszy! Przekonamy się, jak sobie poradzisz bez kieszonkowego!". I tak dalej, i tym podobne. Ale, do cholery, co takiego złego zrobiła? Chciała jedynie wiedzieć, czy ma jakieś szanse - nawet najmniejsze, najniklejsze - na to, że będzie mogła robić to, o czym zawsze marzyła. A chciała zostać pisarką. Iść na uniwersytet i nie zajmować się niczym poza czytaniem. I pisanie oczywiście. Jednak w tej chwili prawdopodobieństwo tego wydawało się bardzo małe. Czy tak będzie już zawsze? Leżała w słońcu, paliła, patrzyła, jak smużki niebieskiego dymu oddalają się od niej leniwie i rozpraszają szybko w ciepłym powietrzu późnego popołudnia. Zupełnie jak jej przyszłość. Przepadła, zanim mogła jej zasmakować.

3

Hortensia Road 34, Fulham, Londyn 1993

- Tory! - Głos jej matki unosił się nad schodami. - Jesteś tam?! Kolacja na stole!
Tory Spiller przez chwilę milczała. A potem zsunęła nogi z łóżka i wstała.
- Już idę - powiedziała do swojego odbicia w lustrze wiszącym na przeciwległej ścianie.
Otworzyła drzwi.
- Tory?
- Już idę... - tym razem głośniejszym głosem powtórzyła Tory, schodząc wolno po schodach.

Słyszała, jak ojciec porządkował papiery w swoim gabine-

22

*

cie. Zawsze zostawiał otwarte drzwi. Wyłonił się z nich w chwili, gdy znalazła się na dole.

- Cześć, kochanie - powiedział, wyjmując fajkę z ust. Tory nieufnie popatrzyła na niego. Nadal uczyła się jego mowy ciała. Zdarzały się dni - nawet teraz, ponad rok później - kiedy znikало całe światło z jego oczu i ręce mu się trzęsły. - Skończyłaś odrabiać lekcje? - zapytał, lekko się uśmiechając.

- Tak - odpowiedziała Tory niepewnie. Jego głos brzmiał równo, co było dobrym znakiem.

- Ładnie pachnie, prawda? - Ruszył za nią korytarzem do jadalni.

Pokiwała głową. W sumie ten tydzień okazał się całkiem udany - pomyślała, otwierając drzwi. To były dziewiętnaste urodziny Susie, sobota. Gdyby obchodziła te urodziny - upomniała się w duchu. Mama upiekłaby tort. Tory wpatrywała się z niepokojem w jej twarz, mając nadzieję, że się nie rozpłacze. Nie rozpłakała się.

- Tu jesteście! - zawołała jej matka i uśmiechnęła się trochę zbyt radośnie. - Bardzo bym chciała, żeby wam smakowało. To nowy przepis.

- Trochę wina, Gilly? - zapytał ojciec, wyjmując butelkę z niskiego kredensu.

- Kropelkę - odpowiedziała matka, wyjmując casserole z piekarnika.

Tory zmarszczyła czoło. To wszystko wyglądało trochę za pogodnie - teraz to nie był dobry znak. Jej gorzkie doświadczenia wskazywały, że kilka dni wesołych, miłych rozmów sygnalizowało zwykle jakiś rodzaj załamania u obojga. Natknęła się kiedyś na ojca, gdy trzymał twarz wtuloną w płaszcz Susie, nadal wiszący w szafie pod schodami, i wydawał z siebie zwierzęce odgłosy, podobne do tych, jakie słyszała w programie przyrodniczym. Tak bardzo się wystraszyła, że obróciła się na pięcie i wbiegła na górę po schodach, rozpaczliwie pragnąc, by mogła coś zrobić dla złagodzenia bólu. Ale nic z tego.

- To minie - powiedział jej szkolny psycholog podczas jednego z rzadkich spotkań. - Miej dla nich cierpliwość. I bądź grzeczna.

Była, ale czasami miała wrażenie, że ta prośba o cierpliwość, siłę i spokój dotyczyła też wszystkich innych. Bo najwyraźniej na nią nikt nie zwracał uwagi. Skrzywiła się.

Nienawidziła się nawet za takie myśli.

23

- A ty, Tory? - Ojciec obrócił się do niej z butelką czerwonego wina w rękę. - Wypijesz kieliszek, kochanie?

- Och John... nie - wyszeptwała odruchowo matka. - Ona ma dopiero...

- Mam już siedemnaście lat, mam, nie dwanaście - odezwała się Tory, żalując, że to powiedziała, w chwili gdy te słowa wymknęły jej się z ust. Susie miała siedemnaście lat, dokładnie tyle, kiedy to się stało.

Zapadło krótkie milczenie. Rodzice popatrzyli na siebie. A potem ojciec powoli nalał jej kieliszek. Tory nie mogła się przemóc i wypić.

f

Reszta posiłku minęła niemal w zupełnej ciszy. Niedawna wesołość zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Na to także psycholog kazał jej zwracać uwagę - na błyskawiczne zmiany nastrojów. Tego należy się spodziewać. Można było pomyśleć, że wszystkiego należało się spodziewać. W chwili gdy miała taką możliwość, Tory przeprosiła, wstała od stołu i poszła do swojego pokoju. Położyła się w poprzek łóżka i sięgnęła po telefon. Musiała wyjść z domu. Dziesięć minut później zbiegła szybko po schodach i wetknęła głowę w drzwi.

- Mogę wyskoczyć na chwilę? - zapytała. - Chcę się zobaczyć z Jenny.

- Och, co... - Matka wolno otrząsała się z zamyślenia. - Tak, ale nie wracaj zbyt późno.

Zadzwoń, jeśli...

- Gilly, ona idzie tylko za róg - ojciec łagodnie ofuknął matkę. Tory wierciła się w miejscu.

- Nie będę późno - powiedziała i zamknęła drzwi. Oparła się o nie i na chwilę opuściła powieki. Kiedy to się wreszcie skończy? Widok ich dwojga wpatrujących się w puste miejsce, gdzie zwykle siadała Susie, żujących jedzenie bez zdawania sobie sprawy z jego smaku, mimo że matka rzuciła się na gotowanie jako sposób zapomnienia - jak długo to jeszcze może potrwać?

Jenny czekała na nią na Fulham Broadway. Tory nasunęła kaptur skafandra, gdy przebiegała przez jezdnię. Trochę mżyło, a zapomniała wziąć ze sobą parasolkę.

24

- Cześć - powiedziała Jenny, gdy Tory podeszła bliżej. - Spóźniłaś się.

- Przepraszam. - Wzruszyła ramionami. - Obiad się przeciągnął.

- Smutna?

- Trochę.

- A ja mam coś, co może cię rozweseli - powiedziała Jenny, biorąc ją pod rękę. - Chodź.

Przekonasz się za minutę.

- Dokąd idziemy?

- Do The Lamb and Flag. - Przystanąła i przyjrzała się w deszczu twarzy koleżanki. -

Nie umalowałaś ust? Nie wyglądasz na osiemnaście lat.

- Zapomniałam, przepraszam.

- Masz. - Wyciągnęła szminkę z kieszeni kurtki. - Nałóż trochę tego.

Pięć minut później znalazły się bezpiecznie w pubie. Z dwoma szklankami piwa i torebką chipsów precyzyjnie się na tyły.

- W jaki sposób to ma mnie rozweselić? - zapytała Tory, rozglądając się po zadymionym pomieszczeniu.

- Popatrz tam - odpowiedziała Jenny, wskazując głową w kierunku grającej szafy. -

Widzisz?

Tory spojrzała. Serce jej zamarło. Julian Hill i Chris Parker. Chris bardzo podobał się Jenny, ale w jaki sposób to miało poprawić jej nastrój, Tory nie potrafiła zrozumieć.

- Mogłaś mnie uprzedzić - wyszeptwała, kiedy ruszyły w ich kierunku.

- Po co? Pewnie zmieniłabyś zdanie i nie chciałybyś nigdzie iść.

- Nieprawda.

- Prawda. - Jenny podeszła do Chrisa. - Och, cześć... - wydusiła z siebie, udając, że jest zaskoczona jego widokiem. Tory stłumiła ziewnięcie. Zawsze to samo. Obie strony bawią się w gierki, w których każdy bardzo się stara robić wrażenie, że to drugie w ogóle go nie interesuje. Uznała, że to bez sensu. Dawno temu zapytała o to Susie.

- Dlaczego nie powiesz po prostu, że go lubisz? - spytała, patrząc, jak Susie maluje oczy i usta przed randką ze swoim chłopakiem Robem. Tory lubiła Roba. Bardzo. Był przystojny i opanowany, ale również

25

mądry i wesoły. I zawsze był dla niej miły. Tworzyli z Susie idealną parą. Wszyscy tak uważali... nawet ich rodzice.

- Dlatego - odpowiedziała Susie stanowczym głosem.

- Dlatego, że co? - Była naprawdę zdziwiona. To wszystko wydawało się straszliwie skomplikowane.

- Dlatego i tyle. Któregoś dnia sama się przekonasz. A teraz spadaj, dobrze? Mam pięć minut na ubranie się.

- Słucham? - Zamrugła powiekami, widząc Juliana i wracając powoli do rzeczywistości. Czyżby coś do niej powiedział?

- Czego chciałabyś posłuchać? - powtórzył, uważnie się jej przyglądając.

Znała to spojrzenie. Takie spojrzenie. Wszyscy tak na nią patrzyli, gdy wydawała się trochę nieobecna albo zamyślona. Dobrze wiedziała, co wtedy myśleli. „Ciekawe, jak to jest, kiedy ma się siostrę, która została zamordowana”. Wszyscy tak samo. Nauczyciele, krewni, przyjaciółki... a nawet ludzie, których nie znała.

- Och, wszystko jedno - odpowiedziała uprzejmie. - Czegokolwiek. Co lubisz.

- Hm... co... co powiesz na Simple Minds? - zapytał trochę niepewnie.

To była druga rzecz. Wszyscy obchodzili się z nią jak z jajkiem. Wzruszyła ramionami.

- Jasne. Cokolwiek.

Don't You Forget About Me - nie zapominaj o mnie. Zalała ich niepokojąca muzyka. Zły wybór. Słuchali jej w milczeniu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Popatrzyła nad stolikiem na Jenny i Chrisa, trzymających się za ręce pod blatem i cicho rozmawiających ze sobą, jakby zapomnieli o całym świecie. Don't You Forget About Me. Ból gniotący ją tuż pod żebrami nasilił się na moment, napelniając oczy łzami. Susie. Czasami tęskniła za nią tak bardzo, że nawet oddychanie stawało się męką. Świadomie odwróciła głowę od Juliana. Nie zniosłaby widoku kolejnego spojrzenia.

26

4

8th Street 24, Arcadia, Harare, Zimbabwe 1993

Estelle Mackenzie odłożyła szczotkę do włosów i zapatrzyła się w swoje odbicie w lustrze. Wysuszyła suszarką włosy, opadające jej na ramiona i sięgające do połowy pleców. Były ładne i jedwabiste, bez choćby jednego widocznego rozdwojenia końcówki, mimo że niemal codziennie używała suszarki, i - dzięki Bogu - w ogóle się nie kręciły. Nawet wtedy, gdy padało. Zerknęła na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Niedługo miała się spotkać z Thandie. Przez drzwi sypialni słyszała monotonne klepanie pacierzy. Przewróciła oczami, poirytowana. Na jej matkę przyszła właśnie kolej goszczenia u siebie członków Modlitwnej Armii Królestwa Chrystusowego. To naprawdę zakrawało na dowcip. Jakim cudem grupa służących w średnim wieku mogła stworzyć jakąkolwiek armię? Ale spróbujcie tylko zapytać o to Głorię Mackenzie. Nie czekała już na nagrodę w tym życiu (w przeciwieństwie do Estelle, rzecz jasna) i zamiast tego postanowiła skupić wysiłki na przyszłym. W skrytości ducha córka uważała ją za wariatkę. Ona chciała nagrody tu i teraz - i to tak szybko i często, jak to możliwe, za co byłaby wdzięczna. Bo też jaki sens miało czekanie?

Odwróciła się od swojego odbicia i wzięła pudełeczko z błyszczącym do ust. Nałożyła go trochę opuszką wskazującego palca i szybko wrzuciła do torby wszystkie kosmetyki. Najprawdopodobniej czekała ją długa noc. Przyłożyła do siebie nową sukienkę. Przymierzanie jej w łazience wiązało się ze zbytnim ryzykiem. W każdej chwili mogła tam wejść mama albo inny „żołnierz”. W Arcadii nikt nigdy nie pukał. Sukienka była biała, uszyta z cienkiego dżerseju, który przylegał do jej bioder i ud, zanim opadał kloszem do wysokości tuż przed kolanami. Zapakowała ją do torby i ostrożnie otworzyła drzwi łazienki. Dochodzące zza drzwi salonu monotonne powtarzanie pacierzy nasilało się. Za chwilę jeden z „żołnierzy” wstanie z klęczek i zacznie okrażać pokój, wprawiając pozostałych w trans klaskania, płaczu, empatii. Usłyszała, że ktoś zaczął zawodzić.

- O Panie, pomóż mi wyprostować krętą drogę. Składam Ci dzięki, o Panie, za pomoc w przetrwaniu nocy. O Panie...

27

Estelle pokręciła głową. Czyżby nie wiedzieli, jak żałośnie to brzmiało? Otworzyła frontowe drzwi i wyszła, czując ulgę po uwolnieniu się od tego wszystkiego. Wieczór był chłodny. Otuliła się rozpinanym swetrem i pchnęła furtkę. Pochyliła się i szybko zrzuciła szkolne sandały, a potem wsunęła stopy w czarne satynowe czółenka, które kupiła w weekend. Sandały ukryła za kubłem na śmieci i wyprostowała się. Pantofle na wysokich obcasach były zupełnie nowe, więc krótki spacer do domu Thandie stał się pretekstem do ich rozchodzenia. W końcu nie ma nic gorszego od kuśtykania na parkiecie do tańca w nowych, za ciasnych butach.

- Siostrzyczko, kurde! Ile będziesz tam jeszcze siedziała? - Thandie prychnęła na nią przez zęby, stojąc przed łazienką i czekając niecierpliwie, aż Estelle skończy wkładać sukienkę. Zaciągnęła się skrzem, którego wcześniej zrobiła, i podała go jej przez drzwi.

- Daj mi jeszcze sekundę, dobrze? - Estelle starannie poprawiła sukienkę, żeby odsłonić dekolt w idealnej wielkości. Zaciągnęła się skrzem, mając nadzieję, że to ją uspokoi. Serce waliło jej jak młotem. To był dopiero jej czwarty lub piąty raz. Nadine, starsza siostra Thandie, pokazała im, jak się to robi. Za pierwszym razem Estelle bardzo się denerwowała, a to było takie proste. W barze nie znalazłoby się ani jednego mężczyzny, który nie pożerałby jej oczami. Za pierwszym razem omal się nie pobili o to, kto ma zapłacić za drinka Estelle... i coś więcej. Za pierwszym razem była też zbyt onieśmielona i wstydliva, żeby robić cokolwiek innego poza siedzeniem na stołku przy barze i piciem jednej pinakolady za drugą. Nadine śmiała się z niej. Ona tamtej nocy wróciła do domu, mając sto dolarów w torebce - amerykańskich dolarów, a nie prawie bezwartościowych dolarów Zimbabwe. W następny weekend Estelle była bardziej niż gotowa. Zarobiła dwa razy więcej i nie musiała nawet zaliczać wszystkich etapów. To stało się w kolejny weekend -wróciła wtedy do domu z prawie trzystoma dolarami w kieszeni. Potem to już była bułka z masłem.

- No chodź. Niedługo będzie tam pełno innych dziewczyn - zrzędziła Thandie.

- Dobrze, już dobrze. Idę.

- Ładnie wyglądasz. - Thandie pokiwała głową z aprobatą na widok

28

czerwonych ramiączek stanika przezierających z fałd sukienki. - Migiem kogoś poderwiesz, zobaczysz.

- Gotowa? - zapytała Estelle, omiatana zawistnymi spojrzeniami innych dziewczyn w damskiej toalecie. Wiedziała, dlaczego jej nienawidzą - nie mogły znieść widoku jej bladej, niemal białej skóry i długich prawie blond włosów. Wszyscy, w tym i ona sama, zastanawiali się, jakim cudem mogła ją urodzić kobieta o tak czarnej skórze i pospolitej urodzie, jak Gloria. Gloria była niska i przysadzista, gruba w pasie i z nieładnymi nogami, a Estelle wyrosła na wysoką dziewczynę o długich kończynach i idealnych proporcjach. Jej skóra miała kolor maślanki, reszty dopełniały duże niebieskozielone oczy okolone długimi rzęsami,

zgrabny, zadarty nos i zmysłowe, pełne usta. „Na pewno ma to po ojcu” - szeptano w zadziwieniu. Tego Estelle nie wiedziała. Nigdy nie widziała ojca. W małym domu o dwóch sypialniach, który dzieliła z Glorią, nie było jego zdjęcia. Dowiedziała się jedynie, że pochodził ze Szkocji i pracował w kopalniach gdzieś na wschodnich wyżynach. Gloria znalazła zatrudnienie w jego domu jako służąca. Z tego, co udało się Estelle z trudem ustalić, gdy dorastała, wrócił do Szkocji, jeszcze zanim się urodziła. W dzieciństwie Estelle sporo wycierpiała z powodu jasnej skóry i prostych włosów. Wtedy marzyła o tym, żeby wyglądać jak wszyscy. Mieć ciemniejszą skórę, kręcone włosy. Chciała być kolorowa, a nie prawie biała. Ale teraz już nie. Teraz jej złotawa skóra i jedwabiste proste włosy stanowiły powód zazdrości wszystkich, których spotykała. Daleka była od marzeń o upodobnieniu się do reszty. Zdawała sobie sprawę, że jej wyłącznym atutem i jedynym sposobem na wyrwanie się z piekła Afryki był wygląd.

Wyszła energicznie z łazienki i skręciła do baru. Podeszły obie do pary wolnych stołków, świadome, że skupiają na sobie powszechną uwagę.

- Dobry wieczór paniom... mogę coś zaproponować? Coś do picia, he? - Nie czekały nawet minuty, żeby usłyszeć te słowa.

Estelle wolno obróciła głowę. Wysoki, rumiany Afrykaner. Szybko go otaksowała.

Biznesmen, trochę po trzydziestce, żona i pewnie jedno lub dwoje dzieci w domu w Bloemfontein. Odrobinę sztuczny, trochę zdenerwowany, skory do popisywania się przed nią.

- Dziękuję - odpowiedziała z leniwym uśmiechem. - Dla mnie poproszę cosmopolitan, a ona napije się martini.

29

- Cosmopolitan? Bardzo wyrafinowany drink! - Uśmiechnął się do niej protekcjonalnie, zanim strzelił palcami w stronę barmana. Estelle nie zadała sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć. Pierdzielony Bur. Nie zauważyłby „wyrafinowania”, nawet gdyby pchało mu się w oczy. - Proszę bardzo, drogie panie... - Przyniósł im drinki i usiadł. - No, więc... czy wszystkie dziewczęta w Zimbabwie są takie śliczne, he?

- No pewnie - wycodziła powoli Estelle. - Ale ja jestem ładniejsza od większości ich. Dzwonek u drzwi przerwał Caryn gorączkowe poszukiwania czystej kartki papieru.

Następnego dnia rano powinna mieć gotową pracę z historii, a jeszcze nawet jej nie zaczęła. Wyprostowała się i zmarszczyła czoło. Owen, jak zawsze, gdzieś poszedł. Alice prawdopodobnie tkwiła w stuporze. Westchnęła i zbiegła po schodach.

- Kto tam?! - zawołała jeszcze w połowie drogi.

- S-swój. - To był pan Humphreys, sąsiad. Caryn otworzyła drzwi. - Och, cz-cześć, Caryn - jąkał się, mnąc czapkę w dłoniach. - Prze-prze-praszam, że proszę cię tak późno, ale w-właśnie zastanawiałem się, czy nie mogłabyś zająć się Timmym przez chwilę dziś w-wieczorem? Wiem, że to w o-ostatniej chwili i w... w ogóle... ale jest pożegnanie w związkach za-zawodowych i chciałbym... cóż, czy nie m-mogłabyś... zapłacę pod-podwójnie? Był najskromniejszym człowiekiem, jakiego Caryn знаła. Bardzo go żałowała. Prawie od roku, od czasu, gdy żona go zostawiła, dorabiała u niego jako opiekunka do dziecka. Najlepsza przyjaciółka Caryn, Lisa, słyszała, że uciekła z innym. Chyba wszyscy na tym osiedlu mieli rodzica, który „uciekł”. Caryn zastanawiała się czasem, dokąd dokładnie „uciekali”.

- Może twój ojciec, mój ojciec i pani Humphreys są razem w jednym miejscu. - Lisa myślała głośno przy jakiejś okazji, kiedy były znacznie młodsze. Caryn bardzo w to wątpiła, choć nigdy tego nie powiedziała. Jej ojciec był ze swoją szesnastolatką - chociaż teraz

5

30

'»

ta dziewczyna miała mniej więcej dwadzieścia pięć lat - i sądząc ze skąpych wiadomości, jakie o nim docierały, coś jej mówiło, że nie polubiłby pani Humphreys z włosami ufarbowanymi na czarno i wymalowaną twarzą. Ona wcale nie przypominała mamy Caryn, o ile, oczywiście, Alice mu się kiedyś podobała. Alice, podobnie jak Caryn, była blondynką, ale może zupełnie nie o to chodziło? Może ucieka się z kimś, kto wygląda zupełnie inaczej niż osoba, którą się wcześniej wybrało?

- Och, nie musi pan. - Caryn starała się posłać mu ośmielający uśmiech. Jego jąkanie się było okropne. - Nie musi mi pan podwójnie płacić. Po prostu odrobnię lekcje u pana zamiast u siebie. Wezmę ze sobą Briana.

- Och, dzie-dziękuję, Caryn. To bar-bardzo miło z two-twojej strony. Około sió-siódmej, jeśli mo-możesz?

- Oczywiście. A więc do widzenia. - Zamknęła drzwi.

- Kto to był? - zapytała Alice, otwierając drzwi od swojego pokoju. Córka spojrzała na nią nieufnie. Włosy jej sterczały, wzrok miała trochę nieprzytomny.

- Tylko pan Humphreys. Potrzebna mu opiekunka do dziecka na dzisiejszy wieczór. Wezmę ze sobą Briana.

Matka niespodziewanie szeroko ziewnęła i przeczesła włosy palcami.

- Poszłam rano do sklepu... pomożesz mi przygotować kolację? -zapytała, klepiąc się po kieszeniach szlafroka w poszukiwaniu papierosów.

Dziewczyna ponownie westchnęła. Wyjście do pana Humphreysa było prawdopodobnie jedynym sposobem na odrobienie tych cholernych lekcji. Poszła za Alice do kuchni i obejrzała stojącą na stole torbę z zakupami. Matka zaczęła ostrożnie wykladać z niej rzeczy. Dziewczynę ścisnęło w sercu. Alice zawsze kupowała najdziwniejsze produkty, z którymi Caryn nie wiedziała, co potem zrobić. Butelka octu i tuzin jajek. Albo papierosy i ćwierć litra śmietany do ubicia. Rzeczy, które do siebie nie pasowały, choćby nie wiem jak bardzo się starała.

- Co to? - zapytała, wskazując słoik z jakąś zielonkawą pastą.

- To sos curry, kochanie. Kupiłam go w sklepie na rogu. Pani Khan mówi, że jest pyszny - odpowiedziała Alice zaspanym głosem.

31

Jpr •

W

ta dziewczyna miała mniej więcej dwadzieścia pięć lat - i sądząc ze skąpych wiadomości, jakie o nim docierały, coś jej mówiło, że nie polubiłby pani Humphreys z włosami ufarbowanymi na czarno i wymalowaną twarzą. Ona wcale nie przypominała mamy Caryn, o ile, oczywiście, Alice mu się kiedyś podobała. Alice, podobnie jak Caryn, była blondynką, ale może zupełnie nie o to chodziło? Może ucieka się z kimś, kto wygląda zupełnie inaczej niż osoba, którą się wcześniej wybrało?

- Och, nie musi pan. - Caryn starała się posłać mu ośmielający uśmiech. Jego jąkanie się było okropne. - Nie musi mi pan podwójnie płacić. Po prostu odrobnię lekcje u pana zamiast u siebie. Wezmę ze sobą Briana.

- Och, dzie-dziękuję, Caryn. To bar-bardzo miło z two-twojej strony. Około sió-siódmej, jeśli mo-możesz?

- Oczywiście. A więc do widzenia. - Zamknęła drzwi.

- Kto to był? - zapytała Alice, otwierając drzwi od swojego pokoju. Córka spojrzała na nią nieufnie. Włosy jej sterczały, wzrok miała trochę nieprzytomny.

- Tylko pan Humphreys. Potrzebna mu opiekunka do dziecka na dzisiejszy wieczór. Wezmę ze sobą Briana.

Matka niespodziewanie szeroko ziewnęła i przeczesła włosy palcami.

- Poszłam rano do sklepu... pomożesz mi przygotować kolację? -zapytała, klepiąc się po kieszeniach szlafroka w poszukiwaniu papierosów.

Dziewczyna ponownie westchnęła. Wyjście do pana Humphreysa było prawdopodobnie jedynym sposobem na odrobienie tych cholernych lekcji. Poszła za Alice do kuchni i obejrzała stojącą na stole torbę z zakupami. Matka zaczęła ostrożnie wykladać z niej rzeczy. Dziewczyne ścisnęło w sercu. Alice zawsze kupowała najdziwniejsze produkty, z którymi Caryn nie wiedziała, co potem zrobić. Butelka octu i tuzin jajek. Albo papierosy i ćwierć litra śmietany do ubicia. Rzeczy, które do siebie nie pasowały, choćby nie wiem jak bardzo się starała.

- Co to? - zapytała, wskazując słoik z jakąś zielonkawą pastą.

- To sos curry, kochanie. Kupiłam go w sklepie na rogu. Pani Khan mówi, że jest pyszny - odpowiedziała Alice zaszpanym głosem.

31

- Przecież Brian nie lubi curry - odezwała się Caryn, zaniepokojona. Zbliżała się pora kolacji, musiała nakarmić i wykąpać brata, zanim pójdzie do sąsiada.

- Nie lubi? - Matka wyglądała na zaskoczoną.

- Nie, nie lubi. Poza tym nie mamy grama ryżu. Będzie pasowało do ziemniaków? Alice popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Właściwie, dlaczego nie - powiedziała w końcu. - Możemy je utłuc. - Popatrzyły na siebie z wahaniem. Przez ułamek sekundy Caryn pomyślała, że matka wybuchnie płaczem. Na szczęście zamiast tego zaczęła się śmiać, a córka szybko się do niej przyłączyła.

- Z czego się obie śmiejecie? - zapytał Owen, zatraskując za sobą frontowe drzwi. Przyglądał się im uważnie. - Co jest takie śmieszne?

- Curry i tłuczone kartofle, kochanie! - Alice dyszała i ocierała łzy z oczu. - Wyobrażasz sobie? Curry i tłuczone kartofle?

Owen rzucił Caryn szybkie spojrzenie. Wzruszył ramionami.

- Co się z nią, kurwa, dzieje? - powiedział do siostry bezgłośnie.

Odwróciła się od niego. To było zbyt skomplikowane, żeby mu wyjaśniać.

- Czy to nie pora kolacji? - Brian wszedł do kuchni. - Jestem głodny.

- Kolację zjemy u Timmy'ego - szybko powiedziała Caryn. - Będzie fasola na grzankach. I pozwolę ci oglądać telewizor.

- Telewizję - poprawiła ją Alice odruchowo. - Albo w ostateczności TV. - Obracała w rękach paczkę papierosów. Przestała się śmiać równie nagle, jak zaczęła. Jeśli szczęście im dopisze, pójdzie z powrotem do łóżka. I rzeczywiście, kilka chwil później wyszła z kuchni. Caryn usłyszała, jak cicho zamknęły się za nią drzwi sypialni. Zagryzła usta. Zdaje się, że czekał ją ciężki tydzień. Wzięła pidżamę Briana i jego ulubioną książeczkę do czytania przed snem, po czym wyszli z domu.

Mieszkanie Dave'a Humphreysa było mniejsze niż ich, brakowało tu drugiego poziomu. Jedynie dwie maleńkie sypialnie, niewielki salon z oknami na ogród-który-nie-był-ogrodem osiem piętér niżej i mikroskopijna kuchnia. Panował tu pedantyczny porządek, co nie zawsze

32

dawało gię powiedzieć o ich mieszkaniu. Nakarmiła obu chłopców, pozwoliła im przez pół godziny oglądać telewizję, a potem położyła do łóżka. Później będzie musiała po prostu zanieść śpiącego Briana do jego łóżeczka, kiedy pan Humphreys wróci. Zamknęła drzwi sypialni i powlokła się do salonu. Choć pokoje były czyste, wydawały się puste i sterylne, nic ich nie zdobiło, jakby nikt nie włożył serca w ich urządzenie. Na ścianach brakowało obrazów, nigdzie nie stały zdjęcia pani Humphreys albo choćby Timmy'ego. Pan Humphreys na pewno zadał sobie trud, by nie zostało tu nic, co przypominałoby mu żonę, z którą kiedyś dzielił życie. Alice zrobiła to samo. Ze zdjęć w dawnym mieszkaniu wycięła nożyczkami wszystkie ujęcia Pete'a Middletona -przynajmniej Owen tak twierdził. Zdjęcia wyglądały

dziwnie z wielkimi pustymi kołami w miejscach, gdzie powinien być jej ojciec. Po jakimś czasie Alice gdzieś je schowała. No cóż - myślała Caryn - gdziekolwiek teraz byli Pete Middleton i Barbie Humphreys, miała nadzieję, że są szczęśliwi. Nie, to nieprawda. Miała nadzieję, że są nieszczęśliwi jak wszyscy diabli, biorąc pod uwagę bałagan, jaki za sobą zostawili. Wyciągnęła z torby zeszyty i podręczniki. Chciała jak najszybciej odrobić lekcje, a potem usiąść na sofie i oglądać telewizję. Przyjemnie mieć salon tylko dla siebie - pomyślała, gryząc koniec długopisu. Fantastyczne uczucie, kiedy ma się pilota wyłącznie do własnej dyspozycji i nie trzeba się kłócić o to, który kanał ma być włączony.

Drzemała, na ekranie leciała powtórka programu The Tube bez dźwięku, kiedy obudził ją odgłos klucza w zamku. Usiadła, przetarła oczy i spojrzała na zegarek. Niedawno minęła jedenasta. Otworzyły się drzwi salonu i pan Humphreys wsadził głowę do środka. Mocno zalatywał piwem.

- W po-porządku, Caryn? - zapytał, uśmiechając się do niej. - Wszy-wszystko w po-porządku?

- Tak, panie Humphreys - odpowiedziała, szybko zakładając włosy za uszy. Wydał się jej smutniejszy i bardziej wyciszony niż zwykle. Rzadko podnosił głos i nigdy nie widziano go, żeby rozmawiał z którymkolwiek z samotnych ojców z osiedla. Caryn zauważyła, że było ich paru. Nigdy nie grał w piłkę nożną na łacie ziemi przed Baberton i poza

33

cotygodniowymi wyprawami w soboty do pubu, kiedy zwykle opiekowała się Timmym, praktycznie z nim nie rozmawiała. Początkowo upierał się, żeby mówiła do niego Dave, ale Alice się nie zgodziła. „Nie jest twoim wujkiem - powiedziała stanowczo. - A już na pewno nie jest twoim kolegą. Pan Humphreys to odpowiednia forma”.

- Timmy za-zasnął bez pro-problemów, prawda? - zapytał, wchodząc do pokoju. Zapach piwa był przytłaczający. Caryn zmarszczyła nos.

- Tak, panie Humphreys. A Brian razem z nim. Zaraz go zabiorę. Zdjął kurtkę i położył ją na podłokietniku sofy.

- To wspa-wspaniale - powiedział, siadając ciężko obok niej. Sięgnął do kieszeni po pieniądze i wyjął dziesięciofuntowy banknot. - Masz wy-wydać? - zapytał. - A może da-dam ci dziesięć funtów? Wolałabyś dzie-dziesiątka? - Mówił trochę bełkotliwie i oczy samę mu się zamykały.

Popatrzyła na niego nieco zbity z tropu. Za wieczór należało się pięć funtów. Przesunęła się na sofie.

- Myślałam... - zaczęła z wahaniem. - Zawsze... był piątek, prawda? - zapytała, zastanawiając się, czy uznałby za niegrzeczne, gdyby teraz wstała.

- No t-tak - powiedział, obracając się, żeby spojrzeć jej w oczy. Poczula, jak krople potu zbierają się jej pod pachami. - Zaw-zawsze jednak mogę ci da-dać coś ekstra - dodał. Dziwny, powolny uśmiech zaczął pojawiać się na jego twarzy. Wpatrywała się w niego. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał.

- Nie, piątek wystarczy, panie Humphreys - odezwała się i pochyliła, żeby zabrać swoje rzeczy. Był najwyraźniej bardzo pijany. Trzymał nowy, szeleszczący dziesięciofuntowy banknot w miękkich, pulchnych palcach. A potem położył rękę na jej gołym kolanie.

Caryn wpatrywała się w tę dłoń z banknotem sztywno sterczącym spomiędzy palców. W gardle kompletnie jej zaschło. Słyszała jego chrapliwy oddech, owionął ją kwaśny zapach alkoholu. Spocona ręka wędrowała wolno po gładkiej skórze jej kolana, a potem bardzo wolno uniosła brzeg spódnicy. Dziewczyna zamarła w bezruchu. Przesunął rękę po jej udzie, delikatnie je masując, aż dotarł do linii cienkich, białych fig. Czuła nacisk palców na tkaninę. Ręka trochę mu się trzęsła,

34

oddech miał przyspieszony. Odraza, która ją ogarnęła, rozprzestrzeniała się niczym plama. Żółć nagle wypełniła jej usta, jakby zaraz miała zwymiotować. Głęboko wciągnęła powietrze, serce tłukło się jej w piersi jak oszalałe. Złączyła kolana, chwytając w pułapkę jego dłoń.

- Chyba już pójdę, panie Humphreys - wyszeptwała, odsuwając się od niego.

Nie miał innego wyjścia, jak tylko cofnąć dłoń. Czowała, jak przesuwiał ją, ciągle roztrzęsioną, po jej udzie. Wstała ostrożnie, bardzo uważając, żeby nie poruszać się zbyt szybko. W pokoju panowała zupełna cisza. Spojrzał na nią oczami o ciężkich powiekach.

- Mama... mama na mnie czeka - powiedziała cicho, wygładzając spódniczkę obiema rękami. Wydawało się, że jej nie usłyszał. Odwróciła się i szybko wyszła z pokoju. Zdecydowanie zamknęła za sobą drzwi salonu, weszła do pokoju Timmy'ego, wyjęła z łóżka Briana. Chłopiec zaczął płakać, ale ona nie zwracała na to uwagi. Chciała jak najszybciej wyjść z tego mieszkania. Zamknęła za sobą drzwi kopnięciem i pobiegła korytarzem. Wpadła do własnego domu, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie. Brian zanosił się płaczem.

- Co się tu, do cholery, dzieje?! - Owen wyszedł z salonu, twarz miał wykrzywioną złością.

- Nic - wymamrotała, ciągnąc za sobą płaczącego braciszka. - Zajmij się nim, dobrze? - Postawiła chłopczyka przed sobą. Czowała, jak zaciska się jej krtań. Pobiegła po schodach do swojego pokoju i zamknęła się tam. Za nic na świecie nie chciała wybuchnąć płaczem przed Owenem.

- Do kurwy nędzy, Caryn! - Owen krzyczał w górę schodów. - Oglądam telewizję! To twój, kurwa, obowiązek!

Zignorowała go. Siedziała na brzegu łóżka, kolana się jej trzęsły. Nie wiedziała, co myśleć ani co zrobić. Nie potrafiła zapomnieć obrazu dziesięciofuntowego banknotu, który sterczał spomiędzy palców pana Humphreysa, leżących na jej skórze. Złapała chusteczkę higieniczną z toaletki, zwilżyła ją śliną i zaczęła wycierać udo. Tarła, aż skóra się zaróżowiła. Bolało, ale to było nic w porównaniu z bólem, jaki rozsadał jej głowę.

35

Tafla basenu, która marszczyła się jedynie w uśpieniu przez całą zimę, teraz rozpękła się nagle, gdy Justin, kolega Shauna z Eton, rozcinał ją miarowo ramionami, wyrzucając w górę srebrzyste wachlarze kropli na całej jego długości. Nik patrzyła z podziwem z balkonu swojej sypialni, jak pływał w tę i z powrotem, pokonując basen dwunastoma silnymi zamachami ramion. Shaun leżał na trawie i czytał, od czasu do czasu podnosząc wzrok, gdy Justin robił kolejny nawrót. Nie mogli jej widzieć. Została odesłana do swojego pokoju - jak jakieś cholerne dziecko! - za kłótnię z Molly. Nie pamiętała nawet, od czego się zaczęło, ale skończyło się gwałtownie. Nik nazwała Molly zazdrosną suką, a wtedy macocha eksplodowała.

- Zejdź mi z oczu! - wrzasnęła. - Wynoś się! Gdybym mogła odesłać cię gdzieś do końca twojego zasranego życia, zrobiłabym to! Możesz mi wierzyć! Zostaniesz w swoim pokoju, dopóki ojciec nie wróci!

Nik odwróciła się od niej i wolnym krokiem weszła na górę po schodach. Choć ruchy miała spokojne, serce waliło jej jak oszalałe.

Zapaliła papierosa i patrzyła, jak cudowny Justin pokonywał kolejną długość basenu. Zostały jeszcze tylko dwa dni wakacji, a ją zamknięto w pokoju. Czy życie może być bardziej niesprawiedliwe? Niespodziewanie ciemna głowa Patricka pojawiła się na dole, zasłaniając jej widok. Mrużył oczy, patrząc na nią.

- Tato chce cię widzieć! - krzyknął. - W gabinecie!

Serce Nik przyspieszyło.

- Teraz?

Skinał głową.

- Po co?

Wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Nie miał pojęcia. Poczula, jak żołądek skurczył się jej ze zdenerwowania. Molly najwyraźniej nie rzucała grózb na wiatr i naskarżyła na nią gdy tylko mąż wrócił do domu. Zgasiła papierosa i weszła do pokoju. Związała włosy z tyłu głowy i szybko zaczesła kosmyki opadające jej na twarz. Ojciec nienawidził niechlujstwa, zwłaszcza u kobiet. Zawsze zwracał jej uwagę na podarte dzinsy, włosy, żałobę za paznokciami, poobcierane kolana... wszystko

36

w córce nie przypominało damy i było pospolite. Po kiego diabła było wysyłać ją do Anglii, skoro nie potrafiła nawet nauczyć się kilku zasad dobrego wychowania? - pytał często na głos, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Otworzyła drzwi sypialni, nerwowo rozejrzała się wokół i zbiegła po schodach, modląc się, żeby nie miał złego humoru.

Jakakolwiek czekała ją kara, to tylko pogarszałoby sprawę. Zapukała w zamknięte drzwi jego gabinetu.

- Wejść! - szczechnął. Nie podniósł nawet wzroku.

Odchrząknęła.

- Tak, tato - zaczęła nerwowo, uznając, że dobrze będzie przeprosić, zanim cokolwiek innego zostanie powiedziane. - Przepraszam, że powiedziałam tak do Molly. Chodzi o to, że... Spojrzał na nią i zrobił grymas niezadowolenia. Serce jej zamarło. Był w fatalnym nastroju.

- O czym ty mówisz?! - przerwał jej z irytacją. Wyciągnął przed siebie list. - Posłuchaj, chcę, żebyś to wzięła ze sobą jutro wieczorem. To dla kogoś z Londynu. Przyjdzie na lotnisko, żeby go odebrać.

Nik zamrugła.

- Wyjeżdżam w niedzielę - odezwała się niepewnym głosem. - Nie jutro.

- Nie. Zmieniłem decyzję. Wyjeżdżasz jutro wieczorem. To musi się znaleźć w Londynie w niedzielę rano.

- Ale, tato...

Twarcz jej się wydłużyła. Tak bardzo cieszyła się na wyprawę do Ha-rare z Shaunem i Patrickiem, no i, oczywiście, z cudownym Justinem. Wszystko mieli już zaplanowane - imprezę u kogoś w Borrowdale, a potem obiecali zabrać ją do nocnego klubu w śródmieściu.

- Ale, tato...

Jim zmarszczył czoło.

- Co? - Widać było, że chciał jak najszybciej wrócić do ważniejszych spraw.

Zawahała się. Co mogła powiedzieć?

- Nic - wyszeptła.

- Włóż go do bagażu podręcznego - powiedział, odwracając się do niej tyłem i sięgając po słuchawkę telefonu. - Na litość boską, uważaj,

37

żebyś go nie zgubiła. - I to było wszystko. Została odprawiona z kwitkiem. Podobnie jak jej plany.

Nazajutrz wieczorem kierowca zawiózł ją w niemal całkowitym milczeniu z majątku Avonlea na lotnisko pod Harare. Nikt jej nie odprowadzał. Manning, pilot ojca, czekał na nią na prywatnym pasie startowym międzynarodowego lotniska w Harare. Przygnębiona, oddała mu bagaże. Kiedy formalności związane z odprawą zostały załatwione, poszła za nim na pas kołowania, z trudem powstrzymując łzy. Z kamienną twarzą zajęła miejsce w samolocie i z całych sił starała się wyglądać tak, jakby w ogóle nic ją to nie obchodziło. Zresztą Manning i tak niczego by nie zauważył, a nawet gdyby, to i tak by się tym nie przejął. Nie płacili mu za przejmowanie się.

Kiedy Manning wzniósł gładko samolot w niebo, spojrzła przez okno na mrugające światelka Harare - czekały ją długie, samotne cztery miesiące, zanim znowu je zobaczy.

7

Rodzice Tory przerwali rozmowę w chwili, gdy weszła. Było jasne, że mówili o niej. Matka zmusiła się do powitalnego uśmiechu na sztucznie obojętnej twarzy. Na stole leżała broszura, którą szybko wsunęła pod stertę listów.

- Cześć, wcześniej wróciłaś - powiedziała wesoło, starając się, żeby zabrzmiało to szczerze.

- Tak, nie miałam ochoty zostawać na wuefie - odpowiedziała Tory, wieszając torbę na oparciu krzesła i podchodząc do lodówki.

- Miałaś udany dzień? - zapytał ojciec.

Skinęła głową. Był czwartek. W czwartki zawsze zostawał w domu, żeby sprawdzać prace. Był profesorem specjalizującym się w historii średniowiecza. Pracował na Uniwersytecie Londyńskim. „Znaleziono martwą córkę profesora” - tak pisały o tym gazety. Tory również czuła się córką profesora. Tyle że żywą. - Dużo zadali ci do domu, pysiu? - zapytał jeszcze.

38

Wzruszyła ramionami.

- Niewiele. - Nie lubiła, gdy pomagano jej w odrabianiu lekcji. Uświadamiała sobie wtedy z całą ostrością że nie jest zbyt bystra -przynajmniej nie tak, jak tego oczekiwali rodzice. Angielski, francuski, geografia, historia... takie przedmioty dla niej wybrali, głównie dlatego, że Susie była w nich dobra. Poprawka: Susie była dobra we wszystkim. Nie tak jak Tory. Ona nie była dobra w niczym poza historią sztuki, a to się nie liczyło. Dawała sobie oczywiście radę - jak mogłoby być inaczej? Nie było choćby jednego nauczyciela, który „nie brałby tego pod uwagę”. Gdy inni dostawali z powrotem wypracowania pokreślone grubymi czerwonymi krechami i ze złośliwymi komentarzami nabazgrany-mi na marginesach, na jej pracach było zawsze „dobrze napisane”, „ładne przedstawienie tematu”, a nawet „ciekawe podejście”. Sranie w banię i wszyscy o tym wiedzieli - ale nikt nie ośmielił się powiedzieć tego głośno. Czasami zastanawiała się, co ich zdaniem zrobiłaby, gdyby usłyszała słowa prawdy. Zabiłaby się? Nie, jedna nieżywa córka profesora wystarczała, i tyle.

- Tory - zaczęła matka, spoglądając nerwowo na ojca. - Chcielibyśmy coś z tobą przedyskutować... właśnie o tym rozmawialiśmy, zanim przyszłaś.

- Masz dla nas minutkę? - dorzucił ojciec odrobinę zbyt serdecznie.

Chyba nie zanosilo się na jedną z tych rozmów?

- O co chodzi? - spytała zaniepokojona.

- Cóż, chodzi o szkołę - powiedziała matka, wyglądając na równie podenerwowaną. - Rozmawiamy o tym od jakiegoś czasu. Czy... nie chciałabyś od przyszłego roku zmienić szkoły? Zdawać maturę gdzie indziej?

- Zmieniać szkołę? Dlaczego? A co jest nie tak z Queen Anne?

- Och, wszystko z nią w porządku - pospiesznie wtrącił się ojciec. -To doskonała szkoła, prawdę powiedziawszy: wspaniała, ale...

- W takim razie dlaczego muszę ją zmieniać? - weszła mu w słowo.

- Nie musisz - powiedziała matka, odrobinę za ostro. - Pomyśleliśmy jedynie, że zmiana by ci się spodobała, to wszystko.

- Niby z jakiego powodu?

- Cóż... - Rodzice, wyglądający na skrępowanych, wymienili spojrzenia. - Chodzi o to... że... - Matka urwała i przelknęła głośno.

39

- Z powodu Susie?

Przez chwilę panowało milczenie. Oczy matki wypełniły się łzami. Kiwała głową bez słowa. Tory zobaczyła, jak ojciec sięgnął nad stołem i wziął ją za rękę.

- Pomyśleliśmy jedynie, że lepiej będziesz sobie radziła... jeśli zaczniesz gdzieś od początku - powiedział.

Tory czuła, jak na jej żołądku zaciska się bolesna pętla.

- Boicie się, że nie zdam egzaminów, prawda?

- Oczywiście, że nie! - zaprotestowała do razu matka. - Nie bądź głupiutka. Oczywiście, że sobie poradzisz. Ale... to pan Barrington wyszedł z takim pomysłem. Zastanawiał się, czy całe to zainteresowanie twoją osobą nie odbija się jakoś na tobie, i tyle.

- Nigdy nie zmuszaliśmy cię do robienia czegoś, czego nie chciałaś - wtrącił ojciec. - Wiesz dobrze. Zastanów się nad tym po prostu, kochanie, zgoda? Pomyśl o tym i już.

- A... a dokąd miałabym się przenieść? - zapytała Tory.

- Cóż, braliśmy pod uwagę St Augustine. To szkoła z sześcioma klasami w Chelsea - odezwała się matka z entuzjazmem. - Jest tuż za rogiem. Byliśmy już na spotkaniu z dyrektorką. Spójrz, mam dla ciebie broszurę. Nie ma pośpiechu. W ogóle nie musisz się spieszyć. Po prostu o tym pomyśl, jak radzi ci ojciec. Jeśli chcesz, możemy o tym porozmawiać przy innej okazji. - Wyjęła broszurę spod listów i przesunęła ją po stole. Wstała. - No dobrze - powiedziała. - Kto ma ochotę na herbatę?

Tory popatrzyła na błyszczący folder.

- Ja nie, dziękuję - powiedziała wolno, biorąc go do ręki. - Chyba lepiej będzie, jak sobie to obejrzę. Przecież już zdecydowaliście, prawda? - Zignorowała wyraz urażenia na twarzach obojga rodziców i wyszła z kuchni.

8

- Jesteś tak kurewsko piękna. - Dłoń wędrowała po jej ramionach, zatrzymała się na kilka sekund w miejscu, gdzie spotykają się kości obojczyka. Palce delikatnie dotykały znajdującego się tam wgłębienia. -

40

Ale dobrze o tym wiesz, prawda? - Estelle wzruszyła ramionami na tyle nonszalancko, na ile to było możliwe. - Ile masz lat? - zapytał niespodziewanie.

- Wystarczająco dużo. - Miała nadzieję, że nie wyczuł walenia jej serca.

- Jesteś pewna? Nie chcę żadnych kłopotów, jasne? Masz więcej niż osiemnaście lat, prawda? Musisz być...

- Oczywiście. Osiemnastkę mam już dawno za sobą. - Mężczyzna, którego imię zdążyła już zapomnieć, odprężył się. Położył jej rękę na biodrze i przyciągnął ją do siebie tak, że niemal usiadła mu na kolanach. Wyczuwała jego erekcję, napierającą nieprzyjemnie na jej udo. Barman z drugiej strony kontuaru puścił do niej oko, choć nie potrafiła powiedzieć, czy zrobił to z podziwu, pożądania, czy też dezaprobaty. I wcale jej to nie obchodziło. Pochyliła się ku niemu, świadoma, że jej piersi wysuwają się z głębokiego dekoltu w szpic. Popatrzyła na niego. Miał wilgotne, bładoniebieskie, szkliste oczy. - Nie masz tu gdzieś w pobliżu wynajętego w hotelu pokoju? - zapytała.

Zerwał się ze stołka najszybciej jak potrafił. Zaczął szukać portfela -ładnego i wypchanego, co Estelle zauważyła. - Wyciągnął kilka dolarów Zimbabwe i wcisnął go z powrotem do kieszeni.

- Chodź, mała kokietko. To po drugiej stronie ulicy.

Posłusznie zsunęła się ze stołka i ruszyła za nim. Rozejrzała się w poszukiwaniu Thandie, ale przyjaciółka bez wątpienia była zajęta czymś podobnym. Robiły to już od prawie czterech miesięcy. Grzeczne dziewczynki w ciągu dnia i grzeszne dziewczynki nocami. Matka Thandie tak samo jak Gloria była sprzątaczką, ale miała siedmioro dzieci na utrzymaniu. Pieniądze, które od czasu do czasu przynosiła Thandie, skutecznie powstrzymywały ją od zadawania niewygodnych pytań. Nie chciała wiedzieć, czym się córka zajmuje, a ta się jej nie

zwierzała. Głorię trudniej było oszukać, ale Estelle już dawno nauczyła się mówić matce to, co jej zdaniem chciała usłyszeć. To, że córka była w klasie maturalnej, oczywiście pomagało i napełniało dumą jej matkę podczas niewielu zebrań w szkole, na które zdołała przyjść. Często patrzyła z zadowoleniem na wysoką, śliczną dziewczynę, którą w jakiś sposób urodziła. Estelle była chlubą swojej matki - wszyscy tak uważali.

- Wiesz - powiedziała do Estelle któregoś popołudnia po jednym

41

z takich zebrań rodziców. - Ojciec Richards mówi, że mogłabyś z powodzeniem iść na uniwersytet. Miałabyś szansę na stypendium. Ot tak! -Pstryknęła palcami.

- Żeby studiować, potrzebne są pieniądze, mamó - odpowiedziała dziewczyna sucho.

- Oczywiście. Ale ja zdobędę te pieniądze. Wszyscy się o to modlimy. Czy kiedykolwiek czegoś ci brakowało, co? Powiedz mi...

- Tak, wiem, wiem, tyle że to jeszcze bardzo odległa przyszłość, mamó. Mnóstwo czasu, żeby się później nad tym zastanowić.

- Nie. Powinnyśmy zacząć myśleć o tym już teraz. Uniwersytet! -Uniwersytet. Akcent Glorii był znacznie twardszy od akcentu Estelle, która mówiła miękko i ładnie. Posługiwała się literackim językiem, a to dzięki lekcjom wymowy, na które matka zaoszczędziła pieniądze. Nie miała zamiaru pozwolić, żeby na drodze kariery jedynaczki stanęły prostacki akcent i twardy, parafialny język.

Ramię mężczyzny spoczywało ciężko na jej plecach. Był bardziej niż podпиты. Ale ona wolała, kiedy byli pijani. Seks trwał znacznie krócej, nie potrzebowali gry wstępnej ani innych tego typów idiotyzmów -a potem, oczywiście, szybciej zasypiali już po wszystkim. Ale nie przed zapłaceniem jej. Popeliła ten błąd za pierwszym razem i wracała do domu z pustymi rękami, zła jak osa. Thandie śmiała się z niej. Dlaczego nie wzięła sobie po prostu pieniędzy z jego portfela? Estelle pokiwała głową, niezadowolona z siebie. Nigdy więcej nie powtórzyła tego błędu.

Miał nadwagę. Zauważyła to, gdy ściągnął spodnie, niemal tracąc przy tym równowagę. Widziała wielki brzuch i tłustą, podstarzałą klatkę piersiową, jak u większości mężczyzn, z którymi spała. On - jak, do kurwy nędzy, miał na imię? Coen? Steyn? - był jej numerem jedenastym. Thandie była już przy numerze czternastym.

- Pospiesz się, masz trochę do nadrobienia - śmiała się, gdy wychodziły tego wieczoru. Ale Estelle się nie spieszyła. Numer ósmy, dziewiąty i dziesiąty zapłacili jej po prawie sto amerykańskich dolarów za towarzystwo, dzięki czemu zbliżyła się do wyznaczonego poziomu tysiąca dolarów dochodu. Tysiąc amerykańskich dolarów! Niemal trzy tysiące dolarów Zimbabwe. To była fortuna. Więcej, niż Gloria

42

dostawała za pół roku pracy. Był lipiec. Jeszcze trzy, cztery miesiące i będzie miała więcej, niż potrzeba na bilet w jedną stronę z Arcadii.

- Hej, ślicznotko... chodź tu. - Coen Steyn położył ciężką rękę na jej udzie. - Nie mogłabyś tego zdjąć, he? - wymamrotał kapryśnie, odrzucając narzutę z łóżka i próbując jednocześnie ściągnąć z niej sukienkę.

- Zaczekaj chwilkę - powiedziała. Wstała z wdziękiem, odpięła sprzączkę z boku, która spinała całość. Dżersejowy materiał zsunął się z niej z cichym szelestem. Wyszła z kręgu tworzonego przez sukienkę na podłodze, ubrana jedynie w obcisłe czarne, koronkowe majteczki oraz łańcuszek ze srebrnych i bursztynowych koralików wokół talii. Coen Steyn z trudem przelknął ślinę.

- To dwieście dolarów. Amerykańskich - powiedziała stanowczym tonem, przesuwając jednocześnie dłonie po bokach gładkiej talii i ujmując potem piersi od spodu. Pocierała się kciukami po sutkach. Coen Steyn złapał portfel obiema rękami i dał jej pieniądze. - Dzięki, kotku -odezwała się z lekkim uśmiechem. Wzięła torebkę leżącą na małym stoliku, wsunęła

do niej banknoty i zamknęła ją. Włożyła kciuki pod gumkę majtek i zdjęła je. Naga, podniosła pościel i wsunęła się pod nią. W kilka sekund później już na niej leżał. Nie przestawał mamrotać, że nie widział jeszcze kogoś tak pięknego, podczas gdy jego ręka wśliznęła się między jej nogi, by ją przygotować. Nie był tak pijany, na jakiego wyglądał - pomyślała, gdy przystąpił do bezustannego tłuczenia się o nią. Miała nadzieję, że skończy w kilka chwil. Przypomniała sobie, co powiedziała jej Thandie. Rozłożyła szerzej nogi, sięgnęła w dół, nama-cała palcami grubą wrażliwą podstawę jego penisa i mocno ją ścisnęła. Koleżanka miała rację. Koniec w parę sekund. Opadł, zupełnie wykończony. Odczekała kilka minut i wytoczyła się spod jego bezwładnego ciała. Dwieście pierdzielonych dolarów!

- Caryn Middleton? - Szkolna sekretarka wystawiła głowę przez drzwi, przerywając lekcję. - Pan Tooley chce ją widzieć u siebie w gabinecie. Czy może ją pani zwolnić?

43

Nauczycielka francuskiego skinęła niechętnie głową. Caryn wstała, ogarnięta złym przeczuciem, i poszła za sekretarką długim, posępnym korytarzem. I co teraz?

- Poczekaj tutaj - powiedziała jej przewodniczka, gdy doszły do sekretariatu, i zniknęła za jednymi z drzwi.

Pięć minut później została wezwana do środka. Pani Bradley, jej nauczycielka angielskiego, przysiadła jakby zakłopotana na skraju niewielkiej sofy. Przy oknie siedziały dwie kobiety, których nie знаła. Tooley stał obok okna i wszyscy troje trzymali w rękach kubki z kawą.

Widać było, że są odprężeni, niemal radośni. Caryn przełknęła nerwowo ślinę.

- Ach, jesteś, Caryn. - Tooley podszedł i wyciągnął do niej rękę, uważając jednocześnie, żeby nie wylać kawy z kubka trzymanego w drugiej. Nieufnie uścisnęła mu dłoń. W trakcie sześciu lat nauki w państwowej szkole średniej Johna Featherstone'a nikomu nie podawała ręki, a co dopiero samemu dyrektorowi. - Wchodź, wchodź, moja droga. Napijesz się herbaty?

- E... nie, dziękuję panu. - Teraz była naprawdę zdumiona.

- Pozwól, że ci przedstawię, Caryn. Doktor Walsh i pani Lowe z St Augustine w Chelsea. Z prawdziwą przyjemnością mogę ci zakomunikować, że poproszono nas o wytypowanie paru nazwisk i...

- Czy mogę, panie Tooley? - Doktor Walsh weszła mu z uśmiechem w słowo i zwróciła się do Caryn. - Jesteśmy tu w imieniu zarządu St Augustine. Od kilku tygodni korespondujemy z panem Tooleyem i kilkoma nauczycielami z waszej szkoły. Szukamy młodych, ambitnych uczennic, które mogłyby w nagrodę uczyć się w St Augustine. Twoje nazwisko pojawiło się kilkakrotnie. Moja koleżanka, pani Lowe, i ja chciałybyśmy z tobą porozmawiać. Czy coś cię niepokoi, moja droga?

- Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam...

- Stypendium, Caryn. - Tooley nie potrafił się powstrzymać. - Pełne stypendium. Zdawałabyś maturę w tamtej szkole. Jeśli zostanie ci przyznane.

- Mnie? - Wpatrywała się w nich z niedowierzaniem.

Pół godziny później szła z powrotem korytarzem, ściskając w ręku broszurę, którą dała jej doktor Walsh. W głowie nadal miała zamęt. Stypendium! W szkole, o której nigdy nie słyszała. College dla dziewcząt

44

St Augustine, prywatna, sześcioklasowa szkoła w Chelsea. Tylko raz, kilka lat temu, była w Chelsea, z Lisą. Miejsce pełne eleganckich białych domów i pięknych sklepów, z których wychodziły śliczne dziewczęta z torbami w rękach. Przeszły King's Road w tę i z powrotem kilka razy w sobotnie popołudnie, bo było to coś, co zdaniem Lisy trzeba było zrobić - Caryn nie miała pojęcia dlaczego. Podobało się jej tam, tyle że miała wrażenie kompletnego wyobcowania. Ponownie spojrzała na broszurę. „Bardzo dużą wagę przywiązujemy do intelektualnego, moralnego i społecznego rozwoju naszych dziewcząt”. Naszych dziewcząt.

Naprawdę usłyszała, że ma szansę zostać jedną z ich dziewcząt? Rzeczywiście uważali, że ma szansę na zdobycie stypendium? Nigdy w życiu niczego nie wygrała. No, niezupełnie. Wygrała konkurs ortograficzny, gdy miała osiem lat, i termos na strzelnicy w wesołym miasteczku.

Alice ostrożnie obracała broszurę w dłoniach, jakby się bała, że ją ugryzie. Siedziały obie przy stole w kuchni. Caryn skończyła opowiadać i czuła straszliwy ucisk w żołądku. Przez kilka minut panowała krępująca cisza.

- I... i co myślisz, mamó? - W końcu nie wytrzymała.

Alice milczała. Zapaliła papierosa, a córka zauważyła, że trzęsą się jej ręce. W oczach miała łzy.

- Myślę - zaczęła powoli, szybko mrugając powiekami - że byłabyś najszczęśliwszą osobą na tym kurewskim świecie, gdybyś się tam dostała. '

Caryn głośno przełknęła. Przeklinanie nie było w matki stylu. A przynajmniej nie używała tego słowa. „Cholera”, owszem, czasami „szlag”. Ale nie „kurewski”. Nigdy. Poczula, że oczy zaczynają ją piec. Podniosła się, nalała wody do czajnika, bo nie chciała rozplakać się przed matką. Alice wyciągnęła rękę, gdy obok niej przechodziła, i złapała ją w pasie.

Przyciągnęła ją do siebie i przycisnęła twarz do jej brzucha.

- Jesteś najlepsza, Caryn, wiedziałas o tym? - mamrotała, trzymając papierosa w pewnej odległości. - Jesteś absolutnie najlepsza. Przysięgam, że na ciebie nie zasłużyłam. Nie, nie zasłużyłam.

- Nie gadaj głupstw, mamó - wyszeptala dziewczyna, ocierając policzki. - Jeszcze się tam nie dostałam - powiedziała, próbując się roześmiać.

45

Matka przycisnęła ją mocniej.

- Ale dostaniesz się, kochanie. Wiem, że tak będzie. Jeśli się przyłożysz, potrafisz wszystko. Nie tak jak twoja stara matka. Ty należysz do zwycięzców, Caryn. Nigdy o tym nie zapominaj.

10

W połowie września stosik pieniędzy, które Estelle trzymała w najwyższej szufladzie toaletki w swoim pokoju, znacznie urósł. Ponad pięć tysięcy dolarów Zimbabwe. Około tysiąca siedmiuset dolarów amerykańskich. Więcej, niż potrzebowała na bilet lotniczy i parę miesięcy czynszu, gdy już będzie w Londynie. Podciągnęła pod siebie nogi i po raz kolejny przystąpiła do niezmiernie przyjemnego liczenia. Ucieczkę miała zaplanowaną w najdrobniejszych szczegółach. Wzię już dostała dzięki „przyjacielowi” z brytyjskiej ambasady, miała lokum na pierwsze kilka tygodni po przyjeździe, co z kolei załatwił jej następny „przyjaciel”, zdobyła adresy kilku mężczyzn, których niedawno poznała, a którzy obiecali pomóc jej stanąć na własnych nogach. Teraz wystarczyło jedynie kupić bilet.

Niemniej musiała to zrobić w tajemnicy. Powiedzenie o wszystkim Glorii nie wchodziło w grę. Od razu kompletnie by się załamała. Oczywiście, postanowiła zostawić list. Napisze w nim coś w tym rodzaju, że w Wielkiej Brytanii albo nawet w Ameryce lepiej się żyje, że potem zaopiekuje się Glorią i będzie jej co miesiąc przysyłać pieniądze, że jakoś urządzi je obie. Powinna też rozwinąć przed nią wizję, że córka stanie się wreszcie kimś z dala od Zimbabwe. Gdyby została w Arcadii, nigdy do niczego by nie doszła. Na zawsze zostałaby kolejną ładną jasno-skórą dziewczyną - nieważne, jak długo jej włosy byłyby jedwabiste i błyszczące albo jak wiele piątek dostawałaby w szkole. Chciała czegoś więcej, niż Arcadia mogłaby jej kiedykolwiek dać. Przed nią był cały świat - dlaczego więc miałyby go nie zobaczyć? Tak. List powinien to załatwić - z jakimś ekstradodatkiem, który złagodziłby cios.

Złożyła kartkę, którą zapisywała od tygodni, i uderzała się teraz długopisem po zębach. W Londynie wszystko będzie inaczej. Rozpocznie nareszcie

46

' -

wspaniałe, nowe, pełne blasku życie. Mogłaby zostać modelką albo aktorką - może nawet piosenkarką. Wszyscy mówili, że miała dobry głos. W Londynie będzie mogła zostać, kimkolwiek zechce. Zamknęła torebkę i wstała. Życie czekało na nią przywoływało ją, nęciło. Musiała jedynie się tam dostać - i je przeżywać.

11

Nik weszła do klasy z wysoko uniesioną głową, konsekwentnie unikając spojrzeń rzucanych w jej stronę. Pogardliwych lub współczujących - wszystko jedno, miała je w nosie. Wiedziała dokładnie, dlaczego się gapią. O jej ojcu znowu mówiono w wiadomościach. On i Molly przyjechali niespodziewanie tego ranka z Harare. Nie czytała gazet, ale słyszała, jak Ogilvy, prawnik ojca, ostrzegał go, żeby spodziewał się najgorszego. Nie miała pojęcia, co ojciec zrobił, ale sądząc po nerwowo wypowiedzianym komentarzu Ogilvy'ego, domyśliła się, że niezbyt dokładnie trzymał się przepisów - tym nie była zaskoczona - a media w jakiś sposób natrafiły na tę historię.

- Spodziewaj się najgorszego, Jim - powiedział Ogilvy śmiertelnie poważnie. - Ale jakoś sobie z tym poradzimy.

Teraz, sądząc po nagłym zapadnięciu ciszy w chwili, gdy weszła, zgadywała, że przepowiednie Ogilvy'ego się sprawdziły. Jak zawsze, cholera. Jej pierwszy dzień w St Augustine, a jemu udało się to przyćmić. Rozejrzała się ukradkiem dookoła. Zobaczyła dwie nowe dziewczyny, z których jedna siedziała dokładnie przed nią, a druga po jej prawej stronie. Poczula dziwną sympatię do dziewczyny z ławki przed nią. Była bardzo, bardzo zdenerwowana, siedziała na własnych dłoniach, żeby się nie trzęsły. Nik pamiętała, że robiła dokładnie to samo w pierwszym roku po przyjeździe. Dziewczyna była niska, miała blond włosy i buty wyglądające na bardzo niewygodne. Zupełnie nowe - zauważyła Nik - cena nadal była przyklejona do podeszew. Ciemnoczerwone, z wąskimi noskami... kompletnie inne od tych, jakie nosiły wszystkie dziewczyny, w tym Nik. Jej ubranie też wydawało się trochę dziwne. Gruby, zrobiony na drutach zapinany sweter, choć był ciepły wrześnie-

47

wy dzień, biała wykrochmalona bluzka i plisowana spódnica w szkocką kratę. Bardzo dziwne. Ktoś najwyraźniej zapomniał powiedzieć tej nowej, że pierwsze wrażenie prawie nie daje się potem zatrzeć, a ona wyglądała tragicznie.

Obróciła głowę na bok. Druga nowa dziewczyna siedziała po jej prawej stronie. Nik widziała jedynie jej profil. Była wysoka i smukła, z długimi, układającymi się w fale ciemnobrązowymi włosami. Miała piwne oczy i pełne usta. Bardzo ładna, ale w powściągliwy, jakby mimowolny sposób. Prawdopodobnie nie należały do tych dziewcząt, które zaprzyjaźnią się z kimś, kogo wszyscy nienawidzą. Jedna nerwowa, druga spokojna.

Wspaniale. Wyglądało na to, że ma przed Sobą kolejny samotny rok.

Niespodziewanie pojawiła się wychowawczyni i przez następne dwadzieścia minut nudziła, jak serdecznie je wita, jak to miło widzieć je znowu, jak wszystkie dobrze wyglądają, takie świeże i opalone, pewnie po egzotycznych wakacjach, i tak dalej, i tak dalej. Nik przestała jej słuchać. Zastanawiała się, co Shaun i Patrick robili dokładnie w tej chwili - pływali w basenie, a może pojechali na konną przejażdżkę? Niewykluczone, że wzięli jeden z pikapów i wybrali się do Harare.

- Jeśli to nie za wielki wysiłek, Nikolo Hartę, może odwróciłabyś uwagę od tego, co w tej chwili zajmuje ci myśli, i zrobiła mi tę uprzejmość, racząc wysłuchać, co mam do powiedzenia? - nagle rozległ się pełen wyrzutu głos pani Milligan. Nik zamrugnęła. W

ławkach wokół niej rozległy się chichoty. Ktoś szepnął coś dziewczynie siedzącej obok niej. Czowała, że twarz zaczyna jej płonąć. Suki. Wszystkie co do jednej, te nowe też. Caryn słuchała stłumionych chichotów z narastającym skrepowaniem. To wszystko było raczej denerwujące. Jej pierwszy dzień nie zaczął się dobrze. Poprzedniej nocy prawie nie spała. Bez przerwy patrzyła na nową kraciastą spódnicę i buty, które matka znalazła w sklepie z używanymi rzeczami niedaleko Roman Road. Były to ciemnoczerwone skórzane buty na niewielkim obcasie i o wąskich noskach. Caryn wydały się śliczne. Całą wieczność spędziła w łazience mimo dobijającego się tam Owena i wyszła, czując się bardziej chora niż kiedykolwiek. Naiwne, mające ją podnieść na duchu paplanie Alice na nic się nie

48

zdało. Powtarzała w kółko o szansie, jaką córka dostała, szansie, dzięki której wydostanie się z tego osiedla, a dzięki wykształceniu, które miała odebrać, będzie żyć na poziomie. Caryn, która siedziała w milczeniu za Brianem i koncentrowała uwagę na tym, by jego owsianka nie wylądowała na jej spódnicy, była wściekła. Tej szansy nie dano jej ot tak - chciała wykrzyczeć Alice - cholernie ciężko na nią pracowała. Harowała jak wół, przygotowując się do egzaminów na stypendium, a jeśli osiedle było takie cholernie koszmarnie, to może najpierw powiedziałyby, jakim cudem się tu znaleźli. Ale dobrze wiedziała, że nie ma sensu kłócić się z matką która wzięła o jedno valium za dużo. Sama chętnie łyknęłaby taką tabletkę, bo miała wrażenie, że zaraz zymiotuje.

Wyszła z mieszkania o siódmej rano, nowe buty od razu zaczęły ją ocierać. Były o pół numeru za duże, a kawałki chusteczki higienicznej, które Alice w nie wepchnęła, zaczynały się rozpadać. Czekala ją godzinna podróż do Chelsea trzema różnymi autobusami, a rozpaczliwie nie chciała się spóźnić. Gdy tego ranka dochodziła do Kingsland Road, z każdym krokiem serce biło jej coraz wolniej.

Mimo że St Augustine była oddalona jedynie o niecałe dziesięć kilometrów, wydawała się innym światem od Hackney. Zbudowana na niewielkiej działce, zaraz obok Whitfield Street, o kilka przecznic od rzeki, była ogromna, elegancka i - przynajmniej dla niej - niezwykle imponująca. Sale klasowe okazały się słoneczne i jasne. Przed budynkiem były trawniki i starannie przycięte krzewy, a nawet grządki ze ślicznymi kwiatami. Szkolna stołówka przypominała scenografię z filmu o kosmosie - miała błyszczące metalowe kontuury, lśniące białe powierzchnie i skrzypiącą podłogę przywodzącą na myśl lustro. Były tam też sale muzyczne, czytelnie, klasy pełne komputerów, specjalne przestronne, doskonale oświetlone pokoje nazywane pracowniami, gdzie uprawiano „sztukę”. Dziewczyny wyglądały niewiarygodnie wielkopańsko - nawet kujony z pierwszych ławek. Nosily długie proste spódnice ze ślicznego materiału, sweterki w pastelowych kolorach i śnieżnobiałe bluzki z przepięknymi koronkowymi kołnierzykami - Caryn w sztywnej zwykłej białej bluzce i spódnicy w szkocką kratę wyglądała na kompletne straszdyło. Żadna nie miała na sobie butów o wąskich noskach, co zauważyła od razu, wślizgując się najszybciej i jak najciszej na wolne miejsce. Urocze zamszowe, niby-nonszalanckie kozaczki - tak. Marko-

49

we balerinki na płaskim obcasie z paskiem - tak. Ciemnoczerwone pantofle w widoczny sposób za duże i na niskim obcasie - nie. Nigdy nie chodziła do szkoły, w której nie obowiązywałyby mundurki. Sama myśl o porannej męce, co włożyć, była przygnębiająca. Zresztą wybór i tak miała niewielki. W jej szafie nie wisiało zbyt wiele ubrań. A te, którymi dysponowała - z czego zdała sobie sprawę prawdziwie przygnębiona, wpatrując się we własne dłonie - były do niczego. Po prostu się nie nadawały. Usiadła na rękach, żeby powstrzymać ich drzenie. To nie był dobry początek.

Tory rozejrzała się obojętnie dookoła. Nie było tu aż tak bardzo inaczej niż w Queen Anne. Patrzyła na dziesięć czy jedenaście dziewczyn - najlepszych przyjaciółek, to pewne - głośnych, pewnych siebie, w większości zdecydowanie ładnych. Znała ten typ. Złote

dziewczyny, jak Susie. W dzieciństwie często zastanawiała się, czy ona i Susie naprawdę są siostrami - tak bardzo się różniły. Susie była drobną blondynką o uroczych niebieskich oczach i jasnej cerze, nabierającej na słońcu złotawego odcienia. Tory miała metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, oliwkową skórę i chłopięcy wygląd. Prawdę powiedziawszy, często rozmyślała nad tym, czy rzeczywiście należała do rodziny Spillerów. Może została podrzucona na progu zaraz po urodzeniu i wszyscy byli zbyt delikatni, żeby jej o tym powiedzieć. Susie była niemal lustrzanym odbiciem rodziców, stanowiła cudowną kombinację cech ich obojga. Tory nie przypominała żadnego z nich, do nikogo nie była podobna.

1 oto teraz została zupełnie nową dziewczyną w szkole, gdzie rzeczywiście była nikim. Spędzi tu jedynie rok - zbyt krótko, by z nikogo stać się kimś. Właściwie od razu mogła dać sobie spokój z takimi pomysłami.

Obróciła się i spojrzała na dziewczynę siedzącą kilka rzędów przed nią. Zdaniem Tory wyglądała na straszliwie speszoną. Widać to było po sposobie, w jaki usiłowała zapanować nad drżeniem rąk - po prostu na nich usiadła. Sama tak robiła przez dość długi czas po śmierci Susie. Spozregła też, że buty dziewczyny są zupełnie do niczego. Śmieszne pantofle - ze spiczastymi czubkami i zupełnie dorosłe, do szkoły nikt takich nie nosił. Poczula się nagle bardzo samotna. Ciekawe, co w tej chwili robiła Jenny? A Belinda i Caroline? Słumiała jednak tę myśl.

50

Wkrótce Jenny i Belinda zaprzyjaźnią się z kimś innym. Caroline znajdzie kolejną najlepszą przyjaciółkę, a o niej zapomni, to jasne. Tak już się działo na tym świecie.

Nowa dziewczyna odwróciła się niespodziewanie i spojrzała prosto na nią kompletnie ją tym zaskakując. Tory poczuła, że spiekła raka. Gapienie się na kogoś nie było grzeczne, ale choć wydało się jej to dziwne, tamta dziewczyna tak naprawdę nie gapiła się - odpłynęła gdzieś myślami, patrząc w jej kierunku, to wszystko. Zanim jednak Tory zdołała ochłonąć, dziewczyna odwróciła się od niej, a jej policzki też się zaczerwieniły. No trudno - ze smutkiem powiedziała Tory do siebie w duchu, zajmując się torbą i książkami - trzeba iść dalej, zgodnie z planem. Bez przyjaciółki. Powinna zacząć się do tego przyzwyczajać.

Wszystkie rozmawiały o tym samym - zauważyła Nik, gdy przechodziły z jednej sali do następnej. Angielski, francuski, historia. Blondynka o imieniu Caryn, o czym szybko się dowiedziała, również wybrała historię sztuki. Cztery przedmioty maturalne. A więc miała rozum. Usłyszała, jak ktoś mówił, że była stypendystką z East Endu czy coś w tym rodzaju. - Boże, nic dziwnego, że jej ubranie wygląda jak ze sklepu ze starzyzną - powiedział ktoś inny jadownicie, podśmiewając się. Nik pokręciła głową. Przez całe życie nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ojciec tak ochoczo wysłał ją do szkoły do Anglii. Ból, jaki dziewczyny zadawały tu sobie nawzajem, był znacznie gorszy od wszystkiego, co działo się w jej rodzinnym domu - a to o czymś świadczyło. Kogo obchodziło, czy ta dziewczyna miała stypendium albo że buty na nią nie pasowały? Poczula, jak ogarnia ją złość na wszystkie koleżanki. W tej samej chwili, kiedy pan Hayes rozdawał listę lektur na pierwszy semestr, podchwyciła spojrzenie Caryn. Dziewczyna posłała jej szybki, zawstydzony uśmiech. Nik wpatrywała się w nią chłodno. Silenie się na życzliwość nie miało sensu. Za parę dni Gemma albo Monica, albo jeszcze któraś inna pociągnie ją na stronę, wyjaśni, kim była w klasie, i Caryn dowie się, że Nik Hartę definitywnie nie jest warta, by z nią rozmawiać... i na tym się skończy. Corinne może nawet spodoba się wzięcie pod skrzydła tej najwyraźniej biednej dziewczyny - takie rzeczy sprawiały jej frajdę. Cztery Suki powoli dopuszczają ją do swojego kółka, będą jej pożyczają ciu-

51

chy, pokażą, co robić z włosami i jak się malować, czym zaskarbią sobie jej dozgonną wdzięczność. Przez to ta biedna dziewczyna spędzi rok na robieniu dla nich notatek, bieganiu

na posyłki, odrabianiu za nich lekcji, kiedy im się nie będzie chciało... Nik już to widziała. Pochyliła głowę, sprawiając, że grube ciemne włosy zasłoniły jej górną połowę twarzy, odcinając ją od ich świdrujących, wszystkowiedzących oczu. Patrzyła na listę lektur, którą rozdano, i westchnęła. Szekspir, Dickens, Chaucer, Byron... ci sami co zawsze cholerni dranie. Starzy. Nudni. I milion kilometrów od tego, co znała i co ją obchodziło.

- Czy podzielił się z nami powodem swojego roztargnienia, panno Hartę? - zapytał lodowatym tonem pan Hayes, nauczyciel angielskiego. Twarz Nik znowu poczerwieniała. W milczeniu pokręciła przecząco głową. - Co za szkoda! - wymamrotał sarkastycznie do reszty chichoczącej klasy. - Naprawdę nie mogę doczekać się chwili, kiedy poznam twoje myśli. Nik ugryzła się w język, żeby mu nie odpowiadać. W poprzednim roku pan Hayes dwukrotnie przekonał się o ciętości jej języka. Za kolejny raz groziło jej zawieszenie w obowiązkach ucznia. Wyjaśniła pani Lowe, że brzydko się wyrażał o Zimbabwie i jej rodzinie, którą nazwał elementem niepożądanym - a co on, do cholery, mógł o tym wiedzieć? Pani Lowe oczywiście nie okazała jej współczucia. Nik przez cały tydzień musiała zostawać po lekcjach do siódmej za ten niewielki wybuch, którym spowodowała też stałą pogardę Hayesa. Fatalnie, bo to uczucie było odwzajemnione. Nie cierpiała go. Ponownie napotkała wzrok Caryn i opuściła głowę. Nowa koleżanka znowu posłała jej miły, szybki uśmiech. Nik była tym tak zdumiona, że zapomniała o schowaniu się za opadającymi włosami, i jej wyraz totalnego zaskoczenia zobaczyli wszyscy. Ktoś zachichotał.

12

- No i? Jak ci poszło? - Alice rzuciła się na Caryn w chwili, gdy ta weszła do mieszkania.

- Dobrze - odpowiedziała córka krótko, odsuwając krzesło i padając

52

na nie. Nowe buty były do wyrzucenia. I to nie tylko dlatego, że ich fason okazał się zły.

- Zaledwie „dobrze”? Zaprzyjaźniłaś się z kimś? - pytała zaniepokojona Alice.

- To dopiero pierwszy dzień, mamó. - Caryn westchnęła. - One wszystkie się znają. Jest jeszcze tylko jedna nowa dziewczyna. - Patrzyła na Alice podenerwowana. Czyżby piła?

- Może zaprosisz kilka koleżanek na herbatę... na przykład w sobotę? To byłoby miłe, prawda? Upiekłabym ciasto. - Alice mówiła rozmarzonym głosem. - Czekoladowe. Mogłybyśmy też napić się wina. Tak, to jest pomysł. Ciasto i wino. Jak dla dorosłych, co o tym myślisz?

Caryn się zawahała.

- Może trochę później, mamó, kiedy poznam parę osób nieco lepiej. - Na pewno piła. Cholera. Była w jednym z tych swoich dziwnych stanów ożywienia. W takich okolicznościach unik nie byłby mądrym rozwiązaniem. - Za... Zapytam je jutro. Ale boję się, że mogą być już zajęte - powiedziała na tyle obojętnie, na ile potrafiła.

- Tylko nie tym tonem do mnie, smarkulo - Alice ostro weszła jej w słowo. - Niech ci się nie wydaje, że nie wiem, co kombinujesz.

- Niczego nie kombinuję, mamó. Jestem zmęczona. Jechałam dwie godziny autobusem i mam lekcje do odrobienia. Czy chłopcy zjedli kolację? - Rozejrzała się po kuchni.

- „Czy chłopcy zjedli kolację?” - Alice przedrzeźniała ją złośliwie. - Oczywiście, że zjedli pieprzoną kolację! To ja jestem ich matką nie ty! - Wpatrywała się w córkę, prowokując ją żeby coś odpowiedziała.

Caryn popatrzyła dookoła. W zlewie nie było żadnych naczyń, nie czuła zapachu jedzenia. To jasne, że nie jedli. Ponownie westchnęła.

- Idę... idę na chwilę na górę - powiedziała, podnosząc torbę. Przy odrobinie szczęścia Alice niedługo zniknie w swoim pokoju. Ona i Owen będą mogli później coś przegryźć. Kupią dwie paczki chipsów. Dobrze się składało, że Brian lubił chipsy. Obróciła się i wbiegła po schodach.

Gdy Tory wróciła ze szkoły, oboje rodzice na nią czekali. W mieszkaniu słodko pachniało ciastem. Matka stała z rękami całymi w mące. Uniosła je do góry, gdy córka weszła do kuchni.

53

- Rogaliki z dżemem... pomyślałam, że chętnie zjesz coś słodkiego po pierwszym dniu. Jak ci poszło?

Tory zawiesiła torbę na drzwiach.

- Dobrze.

- Jacy są nauczyciele? - zapytał ojciec wesoło.

- W porządku. - Wzruszyła ramionami. - Tak naprawdę nie różnią się od tych z Queen Anne.

- Inne nowe uczennice? - zapytała matka.

- Tylko jedna.

- Myślę, że niedługo się zaprzyjaźnicie - powiedziała tonem wskazującym na to, że myślała dokładnie przeciwnie.

- No jasne, że się zaprzyjaźni - dodał ojciec, podchodząc do kredensu i wyjmując butelkę wina. - Ani się obejrzy, jak będzie miała przyjaciółki. Raz-dwa.

Oboje rodzice zaczęli rozmawiać o własnych pierwszych dniach w szkole, rozpaczliwie usiłując jej pokazać, że podjęli dobrą decyzję. Westchnęła. To było głupie. Wszyscy troje wiedzieli, dlaczego została tam posłana.

- Tory? - Głos ojca wyrwał ją z zamyślenia kilka minut później. - Tory? - powtórzył, tym razem łagodniej.

Zamrugnęła i spojrzała na niego.

- Przepraszam... zamyśliłam się - powiedziała, patrząc na cień bólu, który przemknął mu po twarzy. Za każdym razem, gdy odpływała w podobny sposób, mogło to oznaczać tylko jedno. Że myślała o Susie. Wiedziała o tym i oni to wiedzieli. Nic na to nie można było poradzić. Tak się działo i już...

Nik pchnęła drzwi domu przy Eaton Square i weszła do środka. Panowała tam martwa cisza. Przypominała sobie, że słyszała, jak Molly mówiła coś do pani Jenkins, gospodyni, iż późnym popołudniem pojedą oboje do ich wiejskiej posiadłości Studgrove. Typowe. Nigdy nic jej nie mówili. Rzuciła klucze i torbę na szafkę w przedpokoju, po czym powlokła się do kuchni. Spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Zastanawiała się, gdzie mogła pójść pani Jenkins. Czasami Nik jadła z nią w wielkiej kuchni na parterze, kiedy indziej zanosila kolację do salonu po drugiej stronie holu i jedząc sama, oglądała telewizję. Lata świetlne

54

dzieliły ją od pełnej krzątaniny i wrzawy kuchni w Avonlea, gdzie zawsze mogła z kimś porozmawiać. Pracowało tam sześć kucharek, służący wchodzili i wychodzili, krążąc między kuchnią i jadalnią, i to właśnie z nimi bez przerwy uciniała sobie pogawędki wbrew ostentacyjnej dezaprobaty Molly.

Wróciła do przedpokoju, zastanawiając się, co robić. Otworzyła drzwi do salonu, zsunęła buty, wyciągnęła się na sofie i sięgnęła po pilota. W telewizji nic nie było poza wiadomościami - a ostatnią rzeczą, jaką chciałyby oglądać, była twarz ojca na ekranie.

Wstała, nagle zaniepokojona, poszła na górę do wielkiego, „oficjalnego” salonu. Jej stopy zatapiały się w miękkiej bladokremowej wykładzinie leżącej w całym domu. Pokój urządzone w kolorach bladokremowym i spranym zielonym, które lubiła Molly. Na pewno powiedziała dekoratorowi, że zależy jej na „angielskim” wystroju - mdłych kolorach, ciężkich aksamitnych zasłonach, złotych frędzlach, antykach... co zdaniem Nik wyglądało żałośnie. Odciągnęła jedną z ciężkich zasłon i popatrzyła w dół na plac. Zapadał zmierzch, ogrody były skąpane w miękkim, bladym świetle późnego lata. Jakaś para szła ulicą, trzymając się za ręce. Spozobregła, że dziewczyna się uśmiechała i przechodząc obok jej domu, zwróciła twarz ku

górze i roześmiała się z czegoś, co powiedział chłopak. Nik głośno przełknęła. Marzyła o kimś, z kim mogłaby porozmawiać o pierwszym dniu kolejnego roku w St Augustine, ale nikogo takiego nie miała. Przez chwilę wpatrywała się w telefon, z trudem panując nad ogarniającymi ją falami osamotnienia. Potem podniosła słuchawkę i wybrała numer Shauna w Harare. Ktoś musiał usłyszeć o jej pierwszym dniu po powrocie do szkoły, czy mu się to podobało, czy nie. Ale linie połączeń z Zimbabwe były albo zajęte, albo martwe. Raz po raz wybierała numer, tłumiąc łzy, które napływały jej do oczu za każdym razem, gdy słyszała nagranie z głosem telefonistki: „Połączenia z krajem, do którego usiłujesz się dodzwonić, są...”

- Pierdol się - powiedziała cicho, rzucając słuchawkę na aparat po piętnastej próbie. Łzy płynęły jej po policzkach. Wstała szybko i poszła na górę. Za żadne skarby nie chciała, żeby pani Jankins zastała ją uwieszoną do telefonu i płaczącą w ciemności. Nie zniosłaby myśli, że ktoś się nad nią lituje.

55

m.

13

- Skąd to pani przyleciała? - Taksówkarz omiół ją wzrokiem od góry do dołu.

- Z Harare - odpowiedziała Estelle krótko. Była zmęczona i zdenerwowana. Nie miała najmniejszej ochoty na pogaduszki z łysiejącym mężczyzną o dużej nadwadze.

- A gdzie to jest? - zapytał. Najwyraźniej rzeczywiście nie wiedział.

- W Afryce.

- Och. Cóż, nie wygląda pani na Afrykankę - zachichotał, zerkając na nią ponownie, jakby chciał się upewnić. Otworzył drzwiczki taksówki teatralnym gestem szofera. -

Wskakuj, śliczna. Dokąd chce pani jechać?

Estelle wyciągnęła z kieszeni kartkę papieru.

- Brighton Road. Stoke Newington.

- Stoke Newington? - Podrapał się po głowie. - O rety, śliczniutka! To cholernie daleko. Jest pani pewna, że chce jechać taksówką?

- Jak to daleko? - spytała zaniepokojona Estelle. Nie miała zielonego pojęcia, gdzie znajdowało się Stoke Newington, a tym bardziej nie miała pojęcia, jak się tam dostać.

Podrapał się po głowie.

- O tej porze, rano? Powiedziałbym, że to jakieś półtorej godziny.

- Ile... ile by to kosztowało?

Ponownie podrapał się po głowie.

- Nie wiem... zależy od ruchu na ulicach, śliczniutka. Trzydzieści, trzydzieści pięć funciaków... może trochę więcej. Ale coś koło tego. - Popatrzył na nią, pochylając twarz. -

Powiem pani coś, pojedę za równe trzydzieści. Co pani na to?

- W porządku. - Estelle wsiadła do taksówki. Wstawił za nią walizki i zatrzasnął drzwiczki. Miała adres i numer telefonu przyjaciela jednego z braci Thandie - Jonathana Marimby. Był dziennikarzem - przynajmniej tak twierdził. Zgodził się przechować ją przez kilka tygodni. Jak do tej pory, poza astronomiczną ceną za przejazd do Stoke Newington, wszystko szło zgodnie z jej planem. Kiedy taksówka odjeżdżała od krawężnika, oparła się wygodnie i usiłowała nie myśleć o Glorii. Do tej

56

pory znalazła już list. I, oczywiście, trzysta dolarów. To złagodzi siłę ciosu.

- Czyżby na wakacje? - Ustaliwszy, że zrobił jej przysługę, kierowca miał ochotę na rozmowę.

Ale Estelle nie.

- Nie - odpowiedziała szorstko. Wyjęła paczkę papierosów. Zapaliła jednego, wytrzymując spojrzenie taksówkarza w tylnym lusterku. Jej oczy mówiły: Powstrzymaj mnie, jeśli chcesz. Dalszą trasę pokonali w milczeniu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział taksówkarz mniej więcej półtorej godziny później. Nie żartował. To naprawdę było daleko. - Mogłaby pani powtórzyć numer?

- Dwadzieścia dwa - odpowiedziała, zerkając ponownie na kartkę.

- Osiemnaście, dwadzieścia... dobra, to tutaj. - Ton jego głosu był odrobinę mniej przyjacielski. Jeśli wcześniej miał nadzieję, że trochę się poznają w czasie podróży, to ona szybko ją rozwiła.

Starannie odliczyła pieniądze i podała mu przez okienko.

- Dziękuję - powiedziała szybko i otworzyła drzwiczki. Był koniec października, tak zimnego wiatru nigdy nigdzie nie spotkała. Wyciągnęła walizki, zatrzasnęła drzwiczki i patrzyła za odjeżdżającą taksówką. Numer dwadzieścia dwa był identyczny jak numery dwadzieścia i dwadzieścia cztery. Otworzyła niewielką drewnianą furtkę i poszła krótką alejką. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażała. Długa ulica pełna złączonych, takich samych domów ciągnęła się w obie strony. Niebieskie drzwi frontowe tu, żółte tam. Drzwi Jonathana Marimby były czarne. Z obłazącą farbą. Puszka po piwie turlała się z brzękiem po betonowym chodniku przed domem, a w oknach od frontu brakowało zasłon. Estelle przeszedł dreszcz, więc szczelniej otuliła się płaszczem. Nacisnęła dzwonek i czekała. Usłyszała kroki i drzwi się otworzyły. Stała w nich jakaś kobieta, która spojrzała na nią pytająco.

- Tak?

- Cześć. Jestem Estelle.

- Estelle? - Zmierzyła ją wzrokiem od góry do dołu. W jej oczach pojawiła się wrogość.

57

- Tak... czy mieszka tu Jonathan Marimba?

Kobieta popatrzyła na nią świdrująco. Odwróciła się.

- Jonathan! - krzyknęła. Estelle widziała za nią raczej ciemny, wąski korytarz z jednym ciągiem schodów, ginących w górze. Kobieta obróciła się ponownie do niej. - Kim jesteś? - zapytała podejrzliwie. - Przyjaciółką?

Estelle chłodno popatrzyła jej w oczy. Była przyzwyczajona do podejrzliwych spojrzeń, zwłaszcza kobiet.

- Nie. A kim ty jesteś? - Z satysfakcją zauważyła, że to ją zaskoczyło.

- Jego żoną.

- Kto tam? - Męski głos rozległ się z mroku za nią. - Shikedé?

- Estelle Mackenzie. Jestem przyjaciółką Davida. Davida Gono. Powiedział... że mogę się u ciebie zatrzymać na jakiś czas. Mówił, że z tobą rozmawiał.

- Ach, tak... tak, racja. - Podrapał się po głowie. Było widać, że o tym zapomniał. - OK, tak. Cóż, wchodź... to twój bagaż?

- Tak. Tylko na parę tygodni.

- Żaden problem, żaden problem. Zawsze znajdzie się trochę miejsca. Sylvia... zaprowadź ją na górę, dobrze? Może spać w pokoju Corinne.

- A gdzie będzie spała Corinne? - zapytała Sylvia agresywnie.

- Razem z Matthew. Będzie dobrze, Sylvio. To tylko na parę tygodni, prawda? - Zerknął szybko na Estelle.

- Tak, zawsze tak mówią - odezwała się Sylvia posepnie. Przeszła na język szona.

Estelle nic nie rozumiała, ale ton jej głosu nie wymagał tłumaczenia. Powiodła ją potem wąskimi schodami, nadal zrzędząc pod nosem, i wprowadziła do miniaturowej sypialni tuż przy podeście schodów.

- Posłuchaj, nie chcę nikogo wyrzucać z... - zaczęła Estelle sztywno, niezadowolona z obrotu spraw. To wszystko nijak się miało do serdecznego powitania, które David jej obiecywał.

Sylvia ją zignorowała.

- Rzeczy możesz położyć tutaj. - Wskazała na jedną z szuflad. - Ale nie korzystaj z szafy. Jest pełna. Ostatnia osoba, która tu spała, zostawiła cały swój dobytek. - Najwyraźniej często ktoś tu gościł.

58

- Nie ma problemu, nie będę - odpowiedziała Estelle krótko.

- Trzydzieści funtów za tydzień. A jeśli chcesz jeść posiłki, to dodatkowe piętnaście. Plus częściowe pokrycie rachunków.

Estelle zamrugała. David nie wspomniał słowem o płaceniu za pobyt u Jonathana.

- David nic nie mówił o... - zaczęła.

- No to ja teraz mówię. To nie jest darmowy hotel, rozumiesz?

Estelle zacisnęła usta. Jedna noc. I tyle. Nie miała zamiaru zostawać

dłużej niż na jedną noc w tym mikroskopijnym pokoju w zaprzyjaźnym, śmierdzącym domu z wrogo nastawioną żoną i mężem, który zdawał się nie wystawać spod jej pantofla.

Zatrzasnęła drzwi w chwili, gdy Sylvia wyszła. Usiadła na łóżku. Nie tak wyobrażała sobie przyjazd do Londynu. Gdzie się podziały piękne, stare kamienice? Buckingham Palace i Parlament? Wąskie, wybrukowane kocimi łbami uliczki i pełne zieleni aleje przy rzece, o których słyszała przez większość życia? To... rozejrzała się wokół, nie kryjąc obrzydzenia... niewiele różniło się od Arcadii. Prawdę mówiąc, było tu gorzej. Było zimno. Wzięła torebkę i wyjęła z niej niewielki żółty notes. Miała w nim zapisane wszystkie numery telefonów i nazwiska - jednym słowem: kontakty, jakie nawiązała przez ostatnie pół roku, które mogły okazać się przydatne, niezależnie od tego, jak luźna to była znajomość. Otworzyła go i zaczęła czytać listę. Ktoś musiał jej pomóc się stąd wydostać. Było jej wszystko jedno kto. '

14

Pierwsze kilka tygodni przeleciało Caryn jak z bicza strzelił. Bardzo dużo musiała się uczyć, i to szybko. W chwili gdy oddawała wypracowanie, dostawała je z powrotem i miała zadane następne. Żeby nadażyć, musiała robić wszystko w sprinterskim tempie. Koleżanki z klasy nie okazały się miłsze ani trzeciego, ani czwartego dnia, niż były pierwszego. Co prawda po tygodniu usłyszała „cześć” od wysokiej, rozmarzonej, nowej uczennicy, choć powiedziane niechętnie. Parę razy próbowała przywitać się z Nik, której najwyraźniej wszyscy nie lubili, ale ona patrzyła na nią niewidzącymi oczami i odwracała głowę. Nadęta krowa!

59

Któregoś ranka, mniej więcej po miesiącu od chwili, gdy rozpoczęła naukę w nowej szkole, biegła z lekcji historii sztuki na francuski, kiedy potknęła się przed drzwiami i upuściła segregator. Dźwigienka puściła, wysypało się z niego kilka kartek. Przykucnęła, żeby je pozbiierać, świadoma, że za nią idzie w dół po schodach grupa dziewcząt. Minęły ją, chichocząc, i otworzyły drzwi - przeciąg w jednej chwili pochwycił kartki i rozrzucił je po podłodze. To była Gemma Kinnaird i jej banda. Suki - pomyślała, klękając i próbując je pozbiierać. Zostawiły rozkołysane wahadłowe drzwi za sobą, podśmiewając się, i wolno poszły dalej. Caryn chodziła na kolanach, usiłując zebrać papiery, zanim nadejdzie ktoś inny.

- Masz - rozległ się czyjś głos.

Podniosła wzrok. To była Nik. Trzymała w ręku kilka kartek. Caryn nie widziała jej na schodach. Podniosła się.

- Dzięki - odezwała się trochę skrepowana, odbierając je. - Mu... musiałam się potknąć - wydukała.

Nik spojrzała w dół na buty Caryn.

- Wcale mnie to nie dziwi - odrzekła sucho. I nagle obie się roześmiały. - Przepraszam - powiedziała w końcu Nik, próbując powstrzymać śmiech. - Ale one są po prostu...

- ...wyjątkowo paskudne - dokończyła za nią Caryn, kręcąc smutno głową. - Wiem o tym, możesz mi wierzyć.

- No to dlaczego je nosisz?

- Bo nie mam innych.

- Och!

- W każdym razie dziękuję za pomoc — powiedziała Caryn po chwili. - Powinam lecieć. Mam francuski... ale przecież ty też.

- Och, chyba dzisiaj go sobie odpuszczę - stwierdziła Nik nonszalancko. - Nie jestem w nastroju.

Caryn wpatrywała się w nią. Nie jest w nastroju?

- Hm... OK. Jeszcze raz dzięki. - Nik skinęła głową i odwróciła się. Caryn się zawahała. - Jeśli chcesz... pożyczę ci notatki, skoro nie będziesz na lekcji...

Nik zatrzymała się i odwróciła do niej. Tym razem to ona wyglądała na zaskoczoną.

60

Któregoś ranka, mniej więcej po miesiącu od chwili, gdy rozpoczęła naukę w nowej szkole, biegła z lekcji historii sztuki na francuski, kiedy potknęła się przed drzwiami i upuściła segregator. Dźwigienka puściła, wysypało się z niego kilka kartek. Przykucnęła, żeby je pozbiierać, świadoma, że za nią idzie w dół po schodach grupa dziewcząt. Minęły ją, chichocząc, i otworzyły drzwi - przeciąg w jednej chwili pochwycił kartki i rozrzucił je po podłodze. To była Gemma Kinnaird i jej banda. Suki - pomyślała, klękając i próbując je pozbiierać. Zostawiły rozkołysane wahadłowe drzwi za sobą, podśmiewając się, i wolno poszły dalej. Caryn chodziła na kolanach, usiłując zebrać papiery, zanim nadejdzie ktoś inny.

- Masz - rozległ się czyjś głos.

Podniosła wzrok. To była Nik. Trzymała w ręku kilka kartek. Caryn nie widziała jej na schodach. Podniosła się.

- Dzięki - odezwała się trochę skrępowana, odbierając je. - Mu... musiałam się potknąć - wydukała.

Nik spojrzała w dół na buty Caryn.

- Wcale mnie to nie dziwi - odrzekła sucho. I nagle obie się roześmiały. - Przepraszam - powiedziała w końcu Nik, próbując powstrzymać śmiech. - Ale one są po prostu...

- ...wyjątkowo paskudne - dokończyła za nią Caryn, kręcąc smutno głową. - Wiem o tym, możesz mi wierzyć.

- No to dlaczego je nosisz?

- Bo nie mam innych.

- Och!

- W każdym razie dziękuję za pomoc - powiedziała Caryn po chwili. - Powinam lecieć. Mam francuski... ale przecież ty też.

- Och, chyba dzisiaj go sobie odpuszczę - stwierdziła Nik nonszalancko. - Nie jestem w nastroju.

Caryn wpatrywała się w nią. Nie jest w nastroju?

- Hm... OK. Jeszcze raz dzięki. - Nik skinęła głową i odwróciła się. Caryn się zawahała. - Jeśli chcesz... pożyczę ci notatki, skoro nie będziesz na lekcji...

Nik zatrzymała się i odwróciła do niej. Tym razem to ona wyglądała na zaskoczoną.

- W porządku, dzięki.

- Cześć!

- Cześć!

Przez cały francuski Caryn myślała o Nik. Spozrzegła coś w oczach dziewczyny, kiedy ta podawała jej kartki - iskierkę czegoś innego niż posępna niechęć, zwykle odbijająca się w jej rysach. Była niewiarygodnie ładna mimo prawie niezmiennie kamiennej twarzy. Wydatne kości policzkowe, ciemne, niemal czarne oczy. I była też opalona - jej skóra miała kolor, jaki Caryn zwykle kojarzył się z Włochami lub Hiszpanami, właściwie trochę jak skóra Briana. Nie wiedziała dobrze, skąd Nik pochodzi - z podsłuchanej rozmowy wynikało, że z jakiegoś miejsca w Afryce. Ale na pewno nie wyglądała na Murzynkę. Z niewielu informacji, jakie o niej zasłyszała, domyśliła się, że jej ojciec jest jednym z największych kanciarzy w Zimbabwie. Caryn nie miała pojęcia, gdzie to było. Zapamiętała, żeby to sprawdzić. Ale kiedy Nik się uśmiechała -co, oczywiście, nie zdarzało się często - cała jej twarz się zmieniała. Normalnie była strasznie drażliwa, ale po miesiącu pobytu w St Augustine Caryn rozumiała dlaczego. Featherstone miała reputację jednej ze złych szkół w biednej dzielnicy miasta, do których nikt nie posyłał dzieci, chyba że nie miał innego wyjścia - a w takiej sytuacji znajdowała się przeważająca część jej uczniów. Ale Featherstone to było nic w porównaniu do St Augustine. W Featherstone grano fair. Nikt nie nabijał się z nikogo z powodu śmiesznego akcentu albo nieodpowiednich butów, albo ojca pijaka. A nawet gdyby próbował, to problem szybko załatwiała normalna bójka. Dopóki człowiek zajmował się jedynie sobą, wszystko szło dobrze.

W St Augustine było inaczej. Istniał tu tajemny język, którym porozumiewały się trzy czy cztery szczepy - jak je nazwała - niedostępny dla nikogo innego. Oczywiście, nowi nie rozumieli szyfrów, a dostanie się do któregoś ze szczepów zależało od czynników, na które na ogół nie miało się wpływu. Wśród nich była nazwa szkoły, do której chodził ojciec, albo adres, pod którym się mieszkało, albo też sposób wymawiania słów. A nawet głębsze drobiazgi, jak to, czy nosiło się kryjące rajstopy albo czy miało się przekłute uszy. Caryn już pierwszego dnia zorientowała się, że nie mówi właściwym językiem, nie mieszka w od-

powiedniej części miasta i nie ma ojca, który byłby absolwentem Eton. Prawdę mówiąc, po tygodniu najczęściej pytano ją nie o to, w jakiej szkole się uczyła, zanim przeszła do St Augustine, ale kim jest jej ojciec.

- Nie wiem - odpowiadała, zdumiona szokiem na ich twarzach. -Nie mam ojca...
- Nie masz ojca?
- Nie.
- Umarł?
- Nie wiem.

I na tym się skończyło.

*

Mniej więcej po tygodniu od ich krótkiej rozmowy Caryn znalazła się przypadkiem obok Nik i Tory. Szły w trójkę korytarzem, zachowując krępujące milczenie. W końcu Caryn zebrała się na odwagę i zapytała, czy lekcja była dla nich równie trudna jak dla niej.

- No - powiedziała Nik. - Nie znoszę Moliera.
- Ja też - niespodziewanie odezwała się Tory.
- I ja podobnie - powiedziała Caryn, choć nie do końca była to prawda.

Popatrzyły na siebie wzajemnie z nieufnością.

- Gdzie chodziłaś do szkoły? - zapytała Nik, popychając wahadłowe drzwi. - To znaczy: zanim przysłaś tutaj.

Caryn cicho westchnęła z ulgi. Tym razem dla odmiany nie pytano jej o cholernego ojca.

- Chodziłam do Johna Featherstone'a - odpowiedziała, marszcząc nos. - To w Hackney. To... cóż, trochę inne miejsce od tego.

- A ty? - zapytała Nik, patrząc na Tory.

Ta wzruszyła ramionami.

- Do Queen Anne. W Pimlico. I mogę powiedzieć to samo, co ona.

- Od dawna tu jesteś? - Caryn zapytała Nik, ośmielona jej niespodziewaną zmianą zachowania.

- Od trzech lat. Nienawidzę tego miejsca.

- Dlaczego? - Było to pierwsze bezpośrednie pytanie, jakie Tory zadała którejkolwiek z nich.

Nik poczerwieniała.

62

- Bo one mnie nienawidzą - odpowiedziała w końcu.

- Dlaczego? - zaciekała się Caryn.

Nik wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Zapytaj je.

Tory i Caryn wymieniły szybkie spojrzenia.

- Co tam... gównu mnie obchodzi, co one myślą - powiedziała Caryn po chwili. - Nie znoszę ich. - Tym razem to zaskoczone Tory i Nik wymieniły spojrzenia. - Są takimi snobkami - mówiła dalej Caryn z kolorami na policzkach, zawstydzona własnym wybuchem. Ale to była prawda. Podśluchiwała, jak rozmawiały o niej poprzedniego dnia w łazience. Któraś - Caryn nie rozpoznała jej głosu - zrobiła uwagę, że szkoła przyjmuje za dużo NZNSK. Nadal była w kabinie, gdy usłyszała własne imię. I zamarła.

- Zwłaszcza ta nowa dziewczyna ze stypendium. Jak ona się nazywa?

- Caryn. Widziałyście, jak to się pisze? Boże, robotnicy używają ohydny języka.

- Wiem. Kiedy przechodzi obok mnie, .muszę właściwie zatykać nos. Nie wytrzymuję zapachu tanich perfum, a ty?

- Też nie. Och, zobacz, co wczoraj kupiłam...

Caryn zakryła uszy dłońmi. Twarz jej płonęła. Alice dała jej któregoś dnia niewielki flakonik perfum Avonu, „coś na pocieszenie” - powiedziała, zauważając, że córka ma podkrążone oczy ze zmęczenia po odrabianiu lekcji, zajmowaniu się Brianem i utrzymywaniu w domu jakiegoś takiego porządku. Alice od czasu do czasu dawała jej takie drobne prezenty, jak ten, co z kolei wywoływało u Caryn wyrzuty sumienia za wszystkie okropności, jakie myślała o matce. Nałożyła ich odrobinę na nadgarstki, zanim pobiegła do autobusu. Jak na jej gust były odrobinę zbyt kwiatowe, ale mimo wszystko... uznała to za ładny gest. Odczekała, aż dziewczyny wyszły z łazienki, i usiłowała je zmyć.

- Co oznacza NZNSK? - zapytała Nik i Tory, nagle ośmielona.

Tory zawahała się.

- To niezbyt miłe - odpowiedziała powoli.

- Mam to w nosie. Co to znaczy?

- E... to skrót od... Nie Z Naszej Sfery, Kochanie - powiedziała Tory, zerkając na Nik.

63

- Och, dzięki. - Policzki Caryn stały się jeszcze bardziej czerwone.

- Wiecie... - Nik mówiła wolno, patrząc na nie obie. - Macie absolutną rację. Kogo to obchodzi? - Wszystkie trzy popatrzyły na siebie. Nik zerknęła na zegarek. Dochodziła pora lunchu. - Idę do stołówki - dodała, zarzucając sobie torbę na ramię. Zaczęła iść, ale obróciła się. -No jak, idziecie czy nie?

Dwa tygodnie później Caryn siedziała niepewnie na sofie w kwiecisty wzór i rozglądała się, nie mogąc ukryć podziwu i przerażenia. Złożyła solenną przysięgę, że nigdy, przenigdy nie zaprosi Nik do siebie. Nigdy. Przenigdy. Zerknęła szybko na Tory, żeby sprawdzić, czy ona miała podobne wrażenia. Dom ich koleżanki przypominał scenerię z filmu. Gospodyni w uniformie zaprowadziła je do salonu na pierwszym piętrze, a potem poszła poszukać Nik.

Pokój, w którym się obie znalazły, był prawie dwa razy większy niż jej całe mieszkanie! Spojrzała w dół na wzorzysty dywan. Motyw był tak misterny, że niemal zakreśliło się jej w głowie od samego patrzenia. Na błyszczącym stole pod oknem stał bukiet lilii, których przyjemny, słodki zapach roznosił się delikatnie w powietrzu. Podchwyciła spojrzenie Tory, ale zanim któraś z nich miała szansę coś powiedzieć, usłyszały szybkie kroki Nik, która wpadła do pokoju i natychmiast zwolniła, usiłując za wszelką cenę zamaskować własną radość. Caryn uśmiechnęła się do siebie. Nik była taka zabawna. Rozpaczliwie chciała okazywać, że nie potrzebuje niczyjego towarzystwa, a z drugiej strony marzyła o nim. Mieszkanie samej w tym pięknym, ogromnym domu, mimo jego wytworności, nie było niczym przyjemnym. Zastanawiała się, gdzie są rodzice Nik. Ze strzępów informacji, jakie miała, wynikało, że ojciec większość czasu spędzał w powietrzu, a macocha truchtem podążała za nim po świecie, bez przerwy zmieniając wystrój kolejnych domów. W zależności od tego, komu się wierzyło, był albo najbłyskotliwszym człowiekiem interesów, jakiego świat widział, albo największym oszustem. Nik prawie o nim nie wspominała. Sprawiała wrażenie, jakby się go bała.

Niemniej, jak Caryn zaczynała się przekonywać, rozmowa z Nik nie zawsze była najłatwiejszym sposobem dotarcia do prawdy. Częściej niż rzadziej prawda kryła się w tym, czego nie powiedziała. Jak choćby tego, że nikt w rodzinie nie pamiętał o jej siedemnastych urodzinach.

64

Świętowała je w samotności. Tort jadła z gospodynią, jak im wyznała, udając, że jest zaskoczona ich widocznym współczuciem. W Nik było też coś tak niewiarygodnie kruchego, że Caryn miała czasem ochotę po prostu ją objąć i przytulić. Ale Nik nigdy by na to nie pozwoliła. Caryn nie spotkała jeszcze kogoś tak konsekwentnie samowystarczalnego z własnego wyboru. „Nikogo nie potrzebuję” - wydawało się mottem jej życia. Ale wystarczyło jedynie zeskrobać pozłotę - i to nawet niespecjalnie głęboko. Caryn pomyślała, że pod tym względem różniła się zupełnie od Tory.

Tory okrywał niewytłumaczalny smutek, zięjący z każdego pora jej skóry. Zdarzało się, że samo patrzenie na nią sprawiało ból. W tej chwili rozmawiała z Nik, lecz widać było, że poświęcała temu jedynie połowę uwagi. To była cała Tory - niezależnie od tego, gdzie się przebywało albo o czym gadało, wydawała się prowadzić inną rozmowę z kimś, kogo nie było widać ani słychać. Miała kiedyś starszą siostrę, Susie, która studiowała w Oksfordzie, a jej ojciec był profesorem na jednej z londyńskich uczelni. O żadnym z nich nie mówiła zbyt wiele.

Tak naprawdę może to właśnie było jednym z powodów, dlaczego się dogadywały - pomyślała Caryn. Z wielu niewypowiedzianych przyczyn wszystkie niechętnie mówiły o swoich rodzinnych sprawach. Caryn prędzej by umarła, zanim zabrałaby którąś z nich do blokowiska Milona, a Tory powtarzała, że jej matka jest zbyt zajęta, by ona mogła kogoś przyprowadzić do domu. Najwyraźniej w dającej się przewidzieć przyszłości miały się spotykać w Hotelu Hartę, jak Caryn szybko ochrzciła ten dom. Bo na pewno człowiek czuł się tam bardziej jak w hotelu niż w domu. Jakby na potwierdzenie tej opinii gospodyni wysunęła głowę zza drzwi i zapytała, czy zjedzą do kuchni na lunch.

Zostały u niej na resztę popołudnia, rozciągnięte na miękkim dywanie w niewielkim salonie Nik na gorze, słuchając muzyki i plotkując o szkole. O piątej, choć z ociąganiem, Caryn wstała, żeby wracać do domu. Była to jej pierwsza wolna sobota od miesiąca, ale przecież musiała zadbać, żeby Brian został wykąpany i nakarmiony przed położeniem do łóżka. Zeszły z Tory po schodach, Caryn nadal oszołomiona bogactwem i przepychem, które oglądała tego popołudnia. Zostawiły Nik samą w jej salonie z telewizorem do towarzystwa i niedokończonym odrabianiem lekcji, wiszącym nad nią niczym pajęcza sieć.

Ku zaskoczeniu wszystkich w połowie pierwszego semestru potwierdziło się ponad wszelką wątpliwość, że Nik Hartę, Tory Spiller i Caryn Middleton są najlepszymi przyjaciółkami. Nikt nie mógł w to uwierzyć. Niespodziewanie Nik miała z kim pogadać po drodze na zajęcia i po nich. Pod wpływem przyjaciółek Caryn powoli zmieniała sposób ubierania się. Nawet Tory przestała być tak dziwna, jak się początkowo wydawało. Już nie tak często wpatrywała się w okno i coraz bardziej się otwierała. Zaczynała mówić o swoich siedemnastu latach życia sprzed rozpoczęcia nauki w St Augustine. Nik zauważyła, niemal z zazdrością że Tory idealizowała Susie. Stała się ona synonimem doskonałej siostry - zawsze robiła Tory niewielkie prezenty, w potrzebie dzieliła się kieszonkowym, nową płytą lub dwiema czy supernowym ciuszkiem. Bliski związek Tory z Susie w niczym nie przypominał jej relacji z przyrodnią siostrą Jessicą ani straszliwych opowieści, które słyszała od przyjaciół w ojczyźnie. Susie jawiła się jako ideał. Podobnie jak ojciec Tory studiowała historię na Oksfordzie. Chciała zostać nauczycielką albo aktorką - powiedziała Tory beztrąsko. Caryn i Nik były pod równie wielkim wrażeniem. Nik nie miała pojęcia, czy ktokolwiek z jej rodziny w ogóle studiował. Ojciec nigdy nie mówił o swojej przeszłości. Nigdy jej nie opowiadał, gdzie się wychowywał, kim byli jego rodzice, do jakich szkół chodził. Dziadkowie ze strony ojca i matki już nie żyli. Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, czy to on jej o tym powiedział. Miała wrażenie, jakby od zawsze wszyscy o tym wiedzieli.

- Myślałyście o pójściu na uniwersytet? - zapytała Caryn obie przyjaciółki w pewien mroźny grudniowy ranek, gdy przechodziły przez trawnik, zmierzając do biblioteki.
- Och, chyba nie będę sobie tym zawracała głowy - odrzekła Nik nonszalancko.
- Oczywiście, że będziesz. - Caryn uśmiechnęła się. Parę miesięcy temu dałaby się tym zwieść, ale teraz nie nabrała się na jej beztrąskę. -Daj spokój, wiem, że chciałabyś.
- Naprawdę nie. Zresztą w ogóle się jeszcze nad tym nie zastana-

wiałam - powiedziała Nik, prawie szczerze. Bo po prostu nie ośmielała się o tym myśleć. - Może później się zdecyduję.

- Ja nie - odezwała się Tory niespodziewanie. Caryn i Nik popatrzyły na nią.
- Co nie?
- Nie pójdę.
- A twoi rodzice? Nie będą chcieli, żebyś studiowała? - zapytała Caryn, zaciekawiona. Ona i Alice nie rozmawiały o tym - Caryn bała się poruszyć ten temat, głównie z powodu kosztów, jakie by się z tym wiązały. Nie mówiąc już o zostawieniu Briana tylko z matką. Tory wzruszyła ramionami.

- Och, Susie tak świetnie sobie radziła... miała rozumu za nas obie. Ja chcę po prostu znaleźć się jak najdalej stąd.

- A gdzie? - Zarówno Nik, jak i Caryn uderzyła niespodziewana gorycz w jej głosie.

- Nie wiem. Gdziekolwiek. W jakimkolwiek miejscu będzie lepiej niż tutaj.

Caryn się zawahała. Spojrzała szybko na Nik. Znowu się zaczęło. Ta sama dawna nuta beznadziejnego smutku. Żadna z nich nie wiedziała, co powiedzieć. Minęły Cztery Wiedźmy, idące z przeciwnej strony. Tym razem dla odmiany żadna z dziewczyn się nie odezwała.

Caryn zauważyła, że to jedna z korzyści przynależenia do grupy. Samemu jest się żywym celem, łatwą ofiarą. Zaatakowanie ich trójki okazało się trudniejsze, a Gemma Kinnaird była, zdaje się, zwyczajnie podszyta tchórzem.

- Pierdolona krowa - wymamrotała pod nosem Nik, gdy dochodziły do budynku biblioteki. - Widziałyście, jak na nas spojrzała?

- Lepsze to niż słuchanie nieprzyjemnych rzeczy z jej ust - powiedziała Caryn sucho, ciągnąc skrzydło drzwi. - Zauważyłyście, jak ostatnio przycichła?

- Poczekaj, to się przekonasz - wtrąciła Nik. - Ona zbiera siły.
- A kogo to obchodzi? - odezwała się Tory niespodziewanie. - Co jeszcze gorszego mogłaby powiedzieć? Właściwie i tak już to powiedziała. Wyczerpała zasób słów. Dlatego się nie odzywa.

Nik i Caryn spojrzały na nią zaskoczone. Zawsze, gdy były przeko-
67

nane, że Tory zupełnie się wyłączyła, wyskakiwała z ostrym komentarzem i mówiła prawdę. Bo to była prawda - co jeszcze Gemma mogłaby powiedzieć, czego wcześniej nie słyszały? Ta myśl od razu poprawiła im nastrój.

16

»

Estelle szybko rozejrzała się po pokoju. Był czysty, dość duży i miał całkiem ładne okno wychodzące na ogród - czy raczej na miejsce, gdzie mógłby być ogród, gdyby ktoś zadał sobie trud wypielenia go. Obróciła się do dwóch dziewczyn, które stały w drzwiach i patrzyły na nią z podziwem.

- Dobrze. Jest w porządku. Wezmę go.

Ruda - Rebecca, czy jak tam miała na imię - odetchnęła z ulgą.

- Świetnie! Cieszę się, że ci się podoba. Miałyśmy tu prawdziwe dziwadła, możesz mi wierzyć...

- No, była taka jedna dziewczyna... - Druga, Amanda, natychmiast zaczęła głądzić o kimś, kto zjawił się tu w poprzedni poniedziałek.

- A łazienka? - Estelle weszła jej w słowo. Nie miała ochoty stać i rozmawiać z żadną z nich.

- Och, e... jest tutaj, w korytarzu.

Estelle poszła korytarzem. Otworzyła drzwi do maleńkiej łazienki. Podobnie jak w pozostałej części domu i tu panowała czystość, choć trudno było nazwać to miejsce luksusowym. Ale po tygodniu pobytu w domu Jonathana i Sylvii z półtuzinem innych emigrantów z Zimbabwe, którzy pojawiali się i znikali nie wiadomo kiedy, i dwóch następnych tygodniach w kompletnie zapyziałym pensjonacie, który znalazła w okolicach Victoria Station, miała dość. Pieniądze wyciekały jej w zastraszającym tempie, a wszyscy faceci, na których liczyła po przyjeździe, okazali się niewypałami. Po piątym żenującym telefonie do mężczyzny zapewniającego ją wcześniej, że może „dzwonić o każdej porze dnia i nocy”, wiedziała już jedno: żaden z nich nie miał zamiaru przyznawać się, iż w ogóle ją zna, zwłaszcza przy żonie. Rozłączyła się i wydarła kartkę z kontaktami z notesu. Stało się jasne, że podanie nu-

meru telefonu dziewczynie, którą się właśnie poznało w Harare, i kurtuazyjne zachęcanie jej, żeby „zadzwoiła, jak będzie w mieście”, to jedno, a szczerłość tego gestu to drugie. Nie była nawet pewna, czy rzeczywiście miał na imię Frank. Albo Jim, John, Dave... zresztą co za różnica? Żaden z nich nie palił się, żeby jej pomóc w jakikolwiek sposób, odcinali się zupełnie od złożonych obietnic - i na tym koniec.

- Kiedy będę mogła się wprowadzić? - zapytała obu dziewczyn, stojących jak oniemiałe i niespuszczających z niej wzroku.

- Och, w każdej chwili. To znaczy, jak tylko... no wiesz.

- E... depozyt...? - odezwała się Rebecca zbolalym głosem.

- Mogę zapłacić od razu? - Estelle nie rozumiała tego głupawego skrępowania, jakie budziła w Brytyjczykach rozmowa o pieniądzach.

- Teraz?

- Tak. Mam ze sobą potrzebną sumę. W gotówce.

- Och... cóż... tak... oczywiście.

- Proszę. Powiedziałyście, że to trzydzieści tygodniowo. I za miesiąc z góry?

- E... tak.
- OK. To cała należność. - Estelle odliczyła banknoty. - Muszę wrócić do hotelu po rzeczy. Czy coś jeszcze?
- E... nie... nie, myślę, że to już wszystko. - Amanda uśmiechnęła się do niej nieśmiało. Estelle zignorowała ją i wzięła torebkę. Była niegrzeczna, ale ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę, to zaprzyjaźnianie się z kimkolwiek. Potrzebowała dachu nad głową. Zobaczyła ich ogłoszenie w oknie agencji nieruchomości: „Dla kobiety, niepalącej, szukającej wspólnego mieszkania. Jedna trzecia kosztów”. Spełniała te warunki, mieszkanie jej odpowiadało. Koniec, kropka. Miała sprawy do załatwienia i nie przyjechała do Londynu w poszukiwaniu przyjaciółek, a zwłaszcza takich jak te dwie. Planowała, że będzie wobec nich nienagannie uprzejma, ale jedno musiała postawić absolutnie jasno - nie rozglądała się za nowymi kumpelkami. A gdyby nawet - pomyślała, zamykając za sobą frontowe drzwi i podnosząc kołnierz płaszcza - z całą pewnością nie wybrałaby żadnej z nich. Ojciec jednej był właścicielem tego mieszkania czy coś w tym rodzaju. Miały trzecią współlokatorkę, której nie odpowiadał ich sposób na życie, i przez prawie miesiąc szukały kogoś na jej miejsce.

meru telefonu dziewczynie, którą się właśnie poznało w barze w Harare, i kurtuazyjne zachęcanie jej, żeby „zadzwoiła, jak będzie w mieście”, to jedno, a szczerłość tego gestu to drugie. Nie była nawet pewna, czy rzeczywiście miał na imię Frank. Albo Jim, John, Dave... zresztą co za różnica? Żaden z nich nie palił się, żeby jej pomóc w jakikolwiek sposób, odcinali się zupełnie od złożonych obietnic - i na tym koniec.

- Kiedy będę mogła się wprowadzić? - zapytała obu dziewczyn, stojących jak oniemiała i niespuszczających z niej wzroku.
- Och, w każdej chwili. To znaczy, jak tylko... no wiesz.
- E... depozyt...? - odezwała się Rebecca zbolalym głosem.
- Mogę zapłacić od razu? - Estelle nie rozumiała tego głupawego skrępowania, jakie budziła w Brytyjczykach rozmowa o pieniądzu.
- Teraz?
- Tak. Mam ze sobą potrzebną sumę. W gotówce.
- Och... cóż... tak... oczywiście.
- Proszę. Powiedziałyście, że to trzydzieści tygodniowo. I za miesiąc z góry?
- E... tak.
- OK. To cała należność. - Estelle odliczyła banknoty. - Muszę wrócić do hotelu po rzeczy. Czy coś jeszcze?

E... nie... nie, myślę, że to już wszystko. - Amanda uśmiechnęła się do niej nieśmiało. Estelle zignorowała ją i wzięła torebkę. Była niegrzeczna, ale ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę, to zaprzyjaźnianie się z kimkolwiek. Potrzebowała dachu nad głową. Zobaczyła ich ogłoszenie w oknie agencji nieruchomości: „Dla kobiety, niepalącej, szukającej wspólnego mieszkania. Jedna trzecia kosztów”. Spełniała te warunki, mieszkanie jej odpowiadało. Koniec, kropka. Miała sprawy do załatwienia i nie przyjechała do Londynu w poszukiwaniu przyjaciółek, a zwłaszcza takich jak te dwie. Planowała, że będzie wobec nich nienagannie uprzejma, ale jedno musiała postawić absolutnie jasno - nie rozglądała się za nowymi kumpelkami. A gdyby nawet - pomyślała, zamykając za sobą frontowe drzwi i podnosząc kołnierz płaszcza - z całą pewnością nie wybrałaby żadnej z nich. Ojciec jednej był właścicielem tego mieszkania czy coś w tym rodzaju. Miały trzecią współlokatorkę, której nie odpowiadał ich sposób na życie, i przez prawie miesiąc szukały kogoś na jej miejsce.

6

- Nie uwierzyłybyś, jacy ludzie tu przychodzili - powiedziała Amanda, kiedy otwierały drzwi, żeby pokazać jej pokój.

Prawdę mówiąc, potrafiła to sobie wyobrazić. Przez miesiąc pobytu w Londynie spotkała prawie wszystkie typy ludzi. Niczym gigantyczny śmietnik, miasto zdawało się przyciągać życiowych rozbitków z całego świata. W pensjonacie, gdzie mieszkała, poznała więcej aktorek, modelek, piosenkarek, a nawet gwiazd, niż mogłaby zapamiętać. Można było pomyśleć, że wszyscy chcieli stać się kimś. Cóż, nikt bardziej tego nie pragnął od Estelle Mackenzie. I tylko to się liczyło.

17

- W przyszłym tygodniu w twojej szkole jest spotkanie rodziców z nauczycielami! - zawołała matka, gdy Tory wchodziła do kuchni. - Dziś rano dostaliśmy zaproszenie. Wygląda na to, że wasz rocznik ma przygotować gwiazdkowy bufet. To fajnie. Może nawet poznamy twoje nowe przyjaciółki.

Tory stanęła w drzwiach.

- Chyba nie pójdziecie, prawda? - zapytała, mocno zaniepokojona.

Matka zmarszczyła czoło.

- Oczywiście, że pójdziemy. Co za pytanie!

- Będzie okropnie nudno! - powiedziała Tory, rozpaczliwie usiłując wymyślić powód tej nudy. - Nikt z rodziców moich koleżanek się nie wybiera.

- Nie bądź śmieszna, Tory. Zawsze chodziliśmy. Do Queen Anne, nie pamiętasz?

Tory upuściła torbę.

- To będzie strata czasu - oznajmiła nieprzekonująco, świadoma, że właśnie się zarumieniła na policzkach. - Zresztą kto chciałby się spotykać z głupimi nauczycielami? - Odwróciła się i wyszła z kuchni.

- Tory! - krzyknęła za nią matka.

Dziewczyna wbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Serce waliło jej jak młotem. Nie mogła powiedzieć matce, dlaczego naprawdę nie chciała, żeby poszli do szkoły. Bo niby jak? Jak miałyby

0

—
wytlumaczyć swoją obawę, że ktoś powie coś o Susie, a wtedy cała sprawa wyjdzie na jaw? Musiała jakoś się upewnić, że nikt o niej nie wspomni - ale jak to zrobić? Wszystko zaczęło się dość niewinnie. Wymknęło się jej przypadkowo. Rozmawiały o matematyce lub o czymś podobnym i wtedy jej się wyrwało: „Moja siostra jest dobra w matmie”. Nie: „Moja siostra była dobra w matmie. Moja siostra, która została zamordowana”. Ani Caryn, ani Nik na to nie zareagowały, więc Tory odetchnęła z ulgą, bo okazało się, że nic nie wiedziały. Najwyraźniej nikt w St Augustine nie wiedział. Nauczyciele nie robili żadnych uwag, nikt jej nie pytał, jak sobie z tym poradziła, jak dawali sobie radę rodzice. Było tak - przez jedną krótką, przyprawiającą o zawrót głowy sekundę - jakby to nigdy się nie wydarzyło.

Odchyliła kołdrę i w ubraniu wśliznęła się do łóżka. Jak miała sobie poradzić z tą sytuacją? Musiała przypilnować, żeby Nik ani Caryn nie rozmawiały z jej rodzicami przez cały wieczór. Jak długo trwają takie imprezy? Godzinę lub dwie? Będzie trzymała się ich bez przerwy i nie dopuści, żeby się poznali. Było jej niedobrze. Euforia ostatniego miesiąca niespodziewanie zniknęła.

- To przyszło do mnie - powiedziała Alice, gdy Caryn przekroczyła próg mieszkania. - Dziś rano. Co two... twoim zdaniem powinnam zrobić?

i

Caryn wzięła od niej niewielki biały kartonik. Zaproszenie na bożonarodzeniowe spotkanie nauczycieli z rodzicami. Zagryzła wargi.

- Nie wiem - powiedziała wolno, zastanawiając się, jak, u licha, ma dać do zrozumienia matce, że jeśli pójdzie, to ona po prostu umrze. - A chcesz iść?

- Och, chyba nie mogę, kochanie - stwierdziła Alice, podenerwowana, gładząc się palcami po szyi. - No bo w co miałabym się ubrać? Musiałabym kupić nową sukienkę, czyja wiem?

- Wcale bym się nie przejęła, gdybyś nie poszła, mamó - powiedziała Caryn, czując jednocześnie ulgę i wyrzuty sumienia.

- Ale powinnam pójść, prawda? - zapytała ponownie Alice. - To chyba ważne?

- Cóż, jeśli dobrze pamiętam, nigdy wcześniej nie chodziłaś na takie spotkania.

wytłumaczyć swoją obawę, że ktoś powie coś o Susie, a wtedy cała sprawa wyjdzie na jaw? Musiała jakoś się upewnić, że nikt o niej nie wspomni - ale jak to zrobić? Wszystko zaczęło się dość niewinnie. Wymknęło się jej przypadkowo. Rozmawiały o matematyce lub o czymś podobnym i wtedy jej się wyrwało: „Moja siostra jest dobra w matmie”. Nie: „Moja siostra była dobra w matmie. Moja siostra, która została zamordowana”. Ani Caryn, ani Nik na to nie zareagowały, więc Tory odetchnęła z ulgą, bo okazało się, że nic nie wiedziały. Najwyraźniej nikt w St Augustine nie wiedział. Nauczyciele nie robili żadnych uwag, nikt jej nie pytał, jak sobie z tym poradziła, jak dawali sobie radę rodzice. Było tak - przez jedną krótką, przyprawiającą o zawrót głowy sekundę - jakby to nigdy się nie wydarzyło. Odchyliła kołdrę i w ubraniu wśliznęła się do łóżka. Jak miała sobie poradzić z tą sytuacją? Musiała przypilnować, żeby Nik ani Caryn nie rozmawiały z jej rodzicami przez cały wieczór. Jak długo trwają takie imprezy? Godzinę lub dwie? Będzie trzymała się ich bez przerwy i nie dopuści, żeby się poznali. Było jej niedobrze. Euforia ostatniego miesiąca niespodziewanie zniknęła.

- To przyszło do mnie - powiedziała Alice, gdy Caryn przekroczyła próg mieszkania. - Dziś rano. Co two... twoim zdaniem powinnam zrobić?,

Caryn wzięła od niej niewielki biały kartonik. Zaproszenie na bożonarodzeniowe spotkanie nauczycieli z rodzicami. Zagryzła wargi.

- Nie wiem - powiedziała wolno, zastanawiając się, jak, u licha, ma dać do zrozumienia matce, że jeśli pójdzie, to ona po prostu umrze. - A chcesz iść?

- Och, chyba nie mogę, kochanie - stwierdziła Alice, podenerwowana, gładząc się palcami po szyi. - No bo w co miałabym się ubrać? Musiałabym kupić nową sukienkę, czyja wiem?

- Wcale bym się nie przejęła, gdybyś nie poszła, mamó - powiedziała Caryn, czując jednocześnie ulgę i wyrzuty sumienia.

- Ale powinnam pójść, prawda? - zapytała ponownie Alice. - To chyba ważne?

- Cóż, jeśli dobrze pamiętam, nigdy wcześniej nie chodziłaś na takie spotkania.

f

- Nie, nie chodziłam.

- No to... może w przyszłym roku? - powiedziała Caryn niepewnie. Widziała wyraźnie, że tryby umysłu Alice zaczęły się obracać.

- Nie, uważam, że powinnam się jednak do tego zmusić, kochanie. To znaczy... mogłabym kupić nową sukienkę, prawda? Mamy dwadzieścia funtów, które odłożyłam na rower dla Briana, wiesz... bo on chce rower na Gwiazdkę. Zawsze mogę znowu je odłożyć, prawda? Ty też masz coś odłożone, prawda, kochanie?

- Nie... mamó, niezupełnie. Ja...

- A co z pieniędzmi za pracę w sobotę? Na pewno nie wydałaś jeszcze wszystkiego, co? - mówiła Alice podniesionym głosem.

Serce podeszło Caryn do gardła. Wiedziała, co za chwilę się stanie. Matka, która ciągle narzekała, że tak niewiele jeszcze w życiu ją czeka, zaczynała się podniecać perspektywą wyjścia z domu.

- Trochę mi zostało - odpowiedziała niepewnie. - Ale nie ma tego dużo.
- Bo też dużo nie będzie mi potrzebne - skwitowała Alice, zapalając papierosa. - Mam tę niebieską bluzkę... wiesz, tę z cekinami na piersiach... potrzebna mi jedynie spódnica. I wizyta u fizjera. Och, ależ będzie przyjemnie, Caryn, prawda? Prawda, kochanie?
- Co ma być takie przyjemne? - Rozgniewany Owen wszedł do kuchni.
- Zostałam zaproszona na spotkanie z nauczycielami Caryn - wyśpiewała Alice. Jej nastrój poprawiał się z każdą sekundą.

Caryn czuła, jak robi jej się niedobrze. Dokładnie знаła ten scenariusz. Matka przez następne dni zajęta będzie przygotowaniami i wyda pięćdziesiąt funtów na nowy strój, fizjera i butelkę czegoś, co będzie podtrzymywało ją na duchu. Potem, na dzień, a może tylko na godzinę przed ważną imprezą, jej ochota pryśnie jak bańka mydlana i Alice spadnie na ziemię. Rozchoruje się i nigdzie już nie pójdzie, a oni przez całe tygodnie będą ją wyciągali z dołu, w którym się pogrzyżyła. Działo się tak za każdym razem. Za każdym pierdolonym razem. Miała ochotę krzyknąć.

- Och, idziesz na spotkanie z nauczycielami panny Szpanerki, co? - drwił Owen. - Pewnie im powiesz, jaka to dobra dziewczynka z tej twojej ukochanej Caryn?

72

- Zamknij się, Owen! - rzuciła siostra ze złością.
- Dlaczego? Ty mnie zmusisz? - Roześmiał się nieprzyjemnie, otwierając lodówkę. Popatrzył na jej mizerną zawartość i z hukiem ją zatrzaskał. - Dlaczego w tym domu, do kurwy nędzy, nigdy nie ma nic do jedzenia? - ciskał się, wściekły, i chwycił kurtkę z oparcia krzesła.
- Bo, do kurwy nędzy, nigdy niczego nie kupiłeś! - wrzasnęła Caryn, zasłaniając sobie uszy dłońmi.

Tymczasem w kącie Alice rozmarzyła się o spódnicy, którą planowała kupić.

- Myślę, że w jakimś ładnym, ciemnym kolorze. Granatowa. Albo nie, może czarna. Dobrze mi w czarnym, wiesz, Caryn. Mogłabym też ufarbować włosy, pozbyć się siwizny. Och, nigdy nic nie wiadomo... Może nawet kogoś poznam... a czy to nie byłoby już coś?
- Nic nie mów, mamo, proszę - powiedziała Caryn, zaciskając pięści. W salonie Brian pogłodził telewizor, żeby zagłuszyć krzyki dochodzące z kuchni. Pokręciła głową, żeby oczyścić myśli. Wszystko zdawało się na nią walić. Owen rzucił jej ostatnie, szydercze spojrzenie i wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi tak mocno, że zabrzęczały noże i widelce na suszarce. Alice zamrugła. Caryn wzięła zaproszenie i wsunęła je do kieszeni. To by było na tyle, jeśli chodzi o przyjemne spotkanie rodziców z nauczycielami. Nie wszyscy rodzice byli tacy sami i w tym tkwił problem.

18

Nik przyjrzała się trzydziściorgu, może czterdziściorgu rodzicom i nauczycielom, którzy zebrali się w auli. Jej ojciec i Molly jeszcze się nie zjawili. Nie wiedziała, czy cię cieszyć, czy wściekać, że postanowili wziąć w tym udział. Z drugiej strony, oczywiście, nie przyjechali do Londynu specjalnie z tego powodu. Przylecieli tydzień wcześniej, większość czasu spędzili w Studgrove i dopiero tego ranka wrócili na Eaton Square. Nik z niechęcią pokazała im zaproszenie. Oczywiście to Molly chciała iść, nie Jim.

73

- Czy córka lorda Palmera nie jest z tobą w jednej klasie? - zapytała pasierbicę, zanim zwróciła się do Jima. - Myślę, kochanie... że to będzie wyjątkowo korzystne... - Nik odwróciła się i wyszła z pokoju zdegustowana.

Spostrzegła rodziców Tory rozmawiających z doktor Walsh i samą Tory krążącą z niepokojem wokół nich. Od kilku dni dziwnie się zachowywała, zupełnie niepotrzebnie strasznie się przejmując nadchodzącym spotkaniem w szkole. Szczerze mówiąc, Nik nie miała pojęcia, dlaczego tak się tym denerwowała. Jej zdaniem rodzice Tory wyglądali na

idealnie przeciętnych, idealnie miłych ludzi. Ojciec był wysoki i chudy, robił wrażenie lekko speszonego. Dokładnie tak, jak się tego spodziewała po profesorze historii. Matka była blondynką, niską i krągłutką, o figurze zupełnie innej niż Tory. Najwyraźniej to jej starsza siostra Susie odziedziczyła wygląd po rodzicach. Bo Tory na pewno nie. Nik przeniosła spojrzenie ze Spillerów na drzwi. Nadal nie widziała śladu po własnym ojcu.

Niespodziewanie dostrzegła Caryn i jej matkę w dalekim końcu sali. Podeszła do nich, czując ulgę, że jest tu ktoś, z kim będzie mogła zamienić dwa zdania.

Matka Caryn wyglądała na starszą, nieco bardziej wyblakłą wersję córki - szczupłą, z trochę ostro zakończoną brodą i wielkimi niebieskimi oczami, mocno tlenione włosy opadały jej na ramiona. Właściwie była trochę dziwnie ubrana w niebieską bluzkę z cekinami i za duże na nią spodnie, ściągnięte ciasno w talii - wyglądało to ładnie, ale jednak trochę dziwacznie, jakby nie zwracała uwagi na to, co ma na sobie. Nik zapatrzyła się na nią. Caryn robiła wrażenie zawstydzonej. Doprawdy, śmieszne - pomyślała Nik. Wszystkie w ten czy inny sposób niepokoiły się o swoje rodziny.

- Mamo, to jest Nik - wymamrotała Caryn, gdy ta do nich dołączyła. Nik wyciągnęła rękę.

Alice wpatrywała się w nią przez moment, a potem uniosła wzrok. Była o dobrą głowę od niej niższa.

- Nik. Och. Mój Boże... - powiedziała i nagły uśmiech pojawił się na jej twarzy. Robiła wrażenie, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nic więcej nie wyszło z jej ust.

Nik odczekała sekundę, a potem, zakłopotana, cofnęła dłoń. Caryn wyglądała tak, jakby chciała się zapaść pod ziemię.

74

- Czy córka lorda Palmera nie jest z tobą w jednej klasie? - zapytała pasierbicę, zanim zwróciła się do Jima. - Myślę, kochanie... że to będzie wyjątkowo korzystne... - Nik odwróciła się i wyszła z pokoju zde gustowana.

Spostrzegła rodziców Tory rozmawiających z doktor Walsh i samą Tory krążącą z niepokojem wokół nich. Od kilku dni dziwnie się zachowywała, zupełnie niepotrzebnie strasznie się przejmując nadchodzącym spotkaniem w szkole. Szczerze mówiąc, Nik nie miała pojęcia, dlaczego tak się tym denerwowała. Jej zdaniem rodzice Tory wyglądali na idealnie przeciętnych, idealnie miłych ludzi. Ojciec był wysoki i chudy, robił wrażenie lekko speszonego. Dokładnie tak, jak się tego spodziewała po profesorze historii. Matka była blondynką, niską i krągłutką, o figurze zupełnie innej niż Tory. Najwyraźniej to jej starsza siostra Susie odziedziczyła wygląd po rodzicach. Bo Tory na pewno nie. Nik przeniosła spojrzenie ze Spillerów na drzwi. Nadal nie widziała śladu po własnym ojcu.

Niespodziewanie dostrzegła Caryn i jej matkę w dalekim końcu sali. Podeszła do nich, czując ulgę, że jest tu ktoś, z kim będzie mogła zamienić dwa zdania.

Matka Caryn wyglądała na starszą, nieco bardziej wyblakłą wersję córki - szczupłą, z trochę ostro zakończoną brodą i wielkimi niebieskimi oczami, mocno tlenione włosy opadały jej na ramiona. Właściwie była trochę dziwnie ubrana w niebieską bluzkę z cekinami i za duże na nią spodnie, ściągnięte ciasno w talii - wyglądało to ładnie, ale jednak trochę dziwacznie, jakby nie zwracała uwagi na to, co ma na sobie. Nik zapatrzyła się na nią. Caryn robiła wrażenie zawstydzonej. Doprawdy, śmieszne - pomyślała Nik. Wszystkie w ten czy inny sposób niepokoiły się o swoje rodziny.

- Mamo, to jest Nik - wymamrotała Caryn, gdy ta do nich dołączyła. Nik wyciągnęła rękę.

Alice wpatrywała się w nią przez moment, a potem uniosła wzrok. Była o dobrą głowę od niej niższa.

- Nik. Och. Mój Boże... - powiedziała i nagły uśmiech pojawił się na jej twarzy. Robiła wrażenie, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nic więcej nie wyszło z jej ust. Nik odczekała sekundę, a potem, zakłopotana, cofnęła dłoń. Caryn wyglądała tak, jakby chciała się zapaść pod ziemię.

74

- Przynieść ci filiżanką herbaty, mamó? - zapytała pośpiesznie.
- Nie, nie zwracaj sobie głowy, ja przyniosę - wtrąciła Nik szybko. - Z mlekiem i cukrem?
- Wolę wódkę, jeśli macie tu coś takiego - Alice zachichotała.
- Mamó... - Widać było, że Caryn cierpi.
- Jestem pewna, że mamy - odpowiedziała Nik i uśmiechnęła się do Alice. - Będę musiała się rozejrzeć. - Posłała koleżance współczujące spojrzenie i ruszyła w kierunku bufetu. Wzięła dwie filiżanki z herbatą i miała właśnie zamiar się obrócić, kiedy z tyłu ktoś się do niej odezwał. Obejrzała się. To był ojciec Tory.
- Ty musisz być Nik! - powiedział, uśmiechając się. - Słyszałem twoją rozmowę z tamtymi dwoma. - Spojrzał do tyłu, w kierunku Caryn i jej matki.
- Och, cześć... to jest, proszę pana... - odpowiedziała Nik, trochę zakłopotana. Nigdy nie była pewna, co ludzie o niej myślą i co mogli o niej słyszeć.
- Musisz pójść ze mną i przywitać się z moją żoną Gilly. Bardzo chce cię poznać i tę drugą pannę - Caryn, prawda?
- No, tak. W tej chwili niosę im herbatę...
- Poczekaj. Pomogę ci. Wezmę tę, dobrze? - Wziął od niej filiżankę. Dał znać córce i żonie, by szły za nim, i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę Caryn i jej matki. Nik spostrzegła ogromne zaniepokojenie tej pierwszej, gdy się zbliżali.
- Witam, jestem John, ojciec Tory. Ty musisz być Caryn. Od wieków bardzo chcieliśmy cię poznać! Tory świetnie cię ukrywa. A pani musi być mamą Caryn. To moja żona Gillian...
- John Spiller dokonywał prezentacji, podczas gdy trzy dziewczyny stały nieruchomo obok. Dwie z nich, wiły się w agonii, choć Nik nie bardzo potrafiła zrozumieć dlaczego. Nastąpiło kłopotliwe milczenie, kiedy Alice usiłowała pojąć, co się dzieje.
- Cóż - powiedział John serdecznym tonem, gdy prezentacja dobiegła końca. - Mamy już to za sobą... ostatecznie wszyscy się ze sobą poznali. Rozmawialiśmy z Gilly któregoś dnia i byliśmy zgodni, że byłoby bardzo miło spotkać się razem na kolacji. Musimy to zorganizować. Ani się obejrzymy i będzie Boże Narodzenie - mówił, uśmiechając się do wszystkich.

75

- Boże Narodzenie - powiedziała Alice rozmarzonym tonem. - To już Boże Narodzenie?
- To bardzo miło z pana strony - Caryn pośpiesznie włączyła się do rozmowy. - Bardzo byśmy chcieli. Czy Susie wróci do tego czasu? Ją również miło byłoby poznać - mówiła jak nakręcona, usiłując zapęlić krępującą ciszę, jaka zapadła po słowach Alice. Ta z kolei nie dawała sobie rady z przyswojeniem widoku nowych twarzy, na które patrzyła. Tym razem milczenie było aż gęste.
- Su-Susie? - Gilly Spiller wydukała wreszcie. Rozglądała się gorączkowo wokół. Caryn wpatrywała się w nią, zmieszana nagłą zmianą atmosfery.
- No tak. Ona studiuje na Oksfordzie, prawda?
Dłoń, w której Gillian trzymała herbatę, zaczęła drżeć. Brząk porcelany był okropny. Nik spojrzała na Tory. Przyjaciółka wbiła wzrok w ziemię. John Spiller przeczesał ręką włosy. Rysy miał wykrzywione prawdziwą udreką. Nik wpatrywała się w niego. Nie opuszczało jej dziwne przeczucie, że stanie się coś złego. Jakby wiedziała, co za chwilę nastąpi.
- Czy... czy to jakiś żart? - zapytał w końcu łamiącym się głosem.

- N-nie - wyjąkała Caryn, zupełnie zbита z tropu. - Pomyślałam jedynie... - Rzuciła zdesperowane spojrzenie Tory. Pokłócili się czy co? Nastąpił kolejny moment nieprzyjemnej ciszy.

- Kim jest Susie? - zapytała Alice wesoło, przerywając milczenie.

- Susie była naszą drugą córką - odpowiedział John przez zaciśnięte zęby. Tory nie odrywała wzroku od podłogi. - Ona nie żyje. Została zamordowana dwa lata temu. Myślałem, że... jestem zdziwiony, że Tory wam tego nie powiedziała...

Gillian Spiller jęknęła cicho. Usłyszeli głośne wciągnięcie powietrza, a potem rozległ się paskudny brzęk porcelany rozbijającej się o podłogę. Nik upuściła filiżankę. Kilka sekund później Gilly osunęła się na ziemię. Nastąpiło ogólne poruszenie i zamęt, gdy wszyscy pospieszili w jej stronę. Tory pobiegła w kierunku łazienki. Caryn i Nik stały, jakby wrosły w posadzkę. Nagle w pomieszczeniu nastąpiło jeszcze większe zamieszanie. Nik spojrzała ponad głowami nauczycieli oraz rodziców

76

stłoczonych wokół niej i zobaczyła, że przyjechał jej ojciec. Stał w wejściu, wypełniając je sobą, jego opalona, przystojna twarz, jak zawsze ze zmarszczonym czołem, była skierowana w jej stronę. Widziała, jak pochylił się ku Molly. „Co tym razem, do cholery, zmalowała?”. Szmer wokół niego narastał. „Spójrz, czy to nie Jim Hartę? Dobry Boże, to on. Rany, to Jim Hartę”.

Odwróciła się do nich tyłem i poszła za Tory do toalety. Co się, u licha, stało? Siostra Tory nie żyła? Zamordowana? Poczowała dreszcz. Nagle wiele rzeczy dotyczących koleżanki nabrało sensu.

19

Sama w swoim pokoju, gdzie jedyne światło pochodziło z ekranu grającego cicho telewizora, Nik przycisnęła słuchawkę do ucha i słuchała, jak Molly przedstawia powody, dla których nie powinna wracać na Boże Narodzenie do Avonlea, jak planowali. Boże, ależ ona jej nienawidziła!

. - Twój ojciec ma ważne spotkanie w Verbier - mówiła Molly, łamiąc wszystkie zasady francuskiej wymowy, o jakich Nik kiedykolwiek słyszała.

Nik przewróciła oczami.

- Sama w domu też świetnie dam sobie radę - odpowiedziała. Rozżalenie ścisnęło ją za gardło.

- To nie wchodzi w grę. Absolutnie nie wchodzi w grę. - Molly rozkoszowała się posiadaną władzą.

- A co z Shaunem i Patrickiem?

- Będą w Harare. Posłuchaj, Nikolo, to nie podlega dyskusji. Man-ning przywiezie cię do Verbier dwudziestego trzeciego, spędzisz z nami Boże Narodzenie i Nowy Rok, a potem, czwartego, wrócimy do Londynu. Ponieważ będziemy przyjmowali kilku przyjaciół ojca, chciałabym, żebyś...

Nik rzuciła słuchawkę. Nie zniosłaby kolejnego słowa. Sekundę później telefon zaczął dzwonić ponownie. Wpatrywała się w niego, zbyt

77

wściekła, żeby myśleć. Przejmujący, uporczywy dzwonek rytmicznie przeszywał powietrze, aż w końcu umilkł. Zamknęła oczy. Nie miała zamiaru uronić choćby jednej następnej łzy - tak sobie obiecała. Ale łatwiej powiedzieć niż zrobić. Po czterech długich miesiącach w okropnej szkole chciała jedynie zabrać Simbę na wzgórze i położyć się na rozgrzanych skałach. Poczwała, jak łza zaczyna powoli spływać jej po policzku.

Caryn szła Essex Road. Wiał zimny wiatr. Postawiła kołnierzyk, ręce wcisnęła głęboko w kieszenie. Była z siebie zadowolona. Znalazła pracę na ferie w Top Shop na Upper Street. Nie

placili tam dużo, ale dostawała dwadzieścia pięć procent zniżki na ubrania, nawet na te ze styczniowej wyprzedaży. Już to było wystarczającą zachętą! Rozpaczliwie potrzebowała nowego palt na zimę, nie mówiąc o butach, kilku swetrach... i tak dalej. Tory i Nik były cudowne przez ostatnie kilka miesięcy, obie dały jej po kilka rzeczy, twierdząc, że są na nie za małe. Tak, to prawda, Nik miała metr sześćdziesiąt osiem, a Tory ponad metr siedemdziesiąt pięć - były co najmniej o głowę wyższe od Caryn, mierzącej metr sześćdziesiąt. Mimo to jednak dobrze by się poczuła, gdyby od czasu do czasu sama coś sobie kupiła.

Skrecając w Islington Green, myślała o nich. Poprzedniego dnia Nik w paskudnym humorze wyjechała do Szwajcarii. Caryn nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jest taka zła. Ani lato w Zimbabwie, ani Boże Narodzenie w Szwajcarii nie wydawały jej się czymś nieprzyjemnym. Boże, za wyjazd do któregośkolwiek z tych miejsc oddałyby przednie zęby. Oba miejsca bezapelacyjnie przebijały pracę w Top Shop - ze zniżką czy bez! Tory spędzała ferie z rodzicami w domu w Fulham. Niewiele mówiła o wizytach u terapeuty, na które musiała chodzić w każdy czwartkowy ranek - było tak, jakby właściwie nic się nie zdarzyło. Przestała opowiadać o siostrze, co - zdaniem Caryn - należało uznać za dobry znak.

To śmieszne, jak sprawy coraz bardziej się komplikowały - pomyślała w duchu, biegnąc ulicą, poprzedzana parą wydychanego powietrza. Zdobycie stypendium do St Augustine wydawało się jej kiedyś czymś najważniejszym w życiu. Wyobrażała sobie wtedy, że wszystko po pro-

stu znajdzie się na swoim miejscu. Ale dostanie się do tej szkoły było jedynie początkiem tego, co działo się teraz. Ona sama zmieniała się w sposób, którego nie umiałyby opisać. I to jak. W Featherstone nigdy nie spotkałaby kogoś takiego jak Nik. Świat Nik był wielki i pełen swobody, ona zaś wiedziała, że nigdy go nie zakosztuje. A mimo to... mając to wszystko, Nik nie wydawała się od niej szczęśliwsza. Prawdę mówiąc, przez większość tego czasu była od niej znacznie nieszczęśliwsza. Tory zaś... niby miała ciepłych, stojących za nią murem rodziców - rodzinę, o jakiej Caryn marzyła - ale wystarczyło popatrzeć! Zmuszano ją do cotygodniowych spotkań z obcym człowiekiem i rozmów z nim o czymś, co Caryn wydawało się na tyle okropne i mrozące krew w żyłach, że przechodził ją dreszcz. Biedna Tory. Teraz rozumiała, dlaczego ich przyjaźń wydawała się czymś niezwykle dla wszystkich w szkole. Jedna bogata, jedna rozbita, jedna biedna. Co za tercet! A jednak w jakiś sposób, którego inni ludzie nie potrafili dostrzec, uzupełniały się wzajemnie. Nik, choć miała mnóstwo pieniędzy i wolność, którą jej zapewniały, czuła się bardziej samotna, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Tory nadal krwawiła z rany, której nikt nie widział, a Caryn... cóż, ona była spoiwem trzymającym ich trójkę razem. To Caryn zawsze potrafiła dostrzec rzeczy ukryte pod pozorami, które dziwnym trafem uchodziły uwagi innych. W aroganckiej, drażliwej Nik i roztargnionej, nieobecnej myślami Tory widziała kogoś innego. To ją do nich przyciągało i być może działało w obie strony. Choć dopiero zaczynała to pojmować, Nik i Tory dawały jej coś, czego Alice w najmniejszym stopniu nie potrafiła córce zaszcześcić. Ambicję. Teraz już rozumiała, że bez ambicji skończyłaby jak Alice albo gorzej. Nie chodziło o zdolności - Alice była wszechstronnie uzdolniona. Ale to zmarnowała. Caryn nie do końca pojmowała przyczyny, dla których matka wszystko rzuciła - tak, jej małżeństwo było nieudane, lecz czy to powód do spędzania całych dni w łóżku? Nie wiedziała. Nigdy nie miała chłopaka, nigdy żaden tak naprawdę nie wpadł jej w oko. Za każdym razem, gdy o tym myślała, ogarniało ją dziwne, nieprzyjemne uczucie, takie samo, jakiego doznała, kiedy zobaczyła rękę pana Hum-phreysa na swoim udzie...

79

stu znajdzie się na swoim miejscu. Ale dostanie się do tej szkoły było jedynie początkiem tego, co działo się teraz. Ona sama zmieniała się w sposób, którego nie umiałyby opisać. I to

jak. W Featherstone nigdy nie spotkałaby kogoś takiego jak Nik. Świat Nik był wielki i pełen swobody, ona zaś wiedziała, że nigdy go nie zakosztuje. A mimo to... mając to wszystko, Nik nie wydawała się od niej szczęśliwsza. Prawdę mówiąc, przez większość tego czasu była od niej znacznie nieszczęśliwsza. Tory zaś... niby miała ciepłych, stojących za nią murem rodziców - rodzinę, o jakiej Caryn marzyła - ale wystarczyło popatrzeć! Zmuszano ją do cotygodniowych spotkań z obcym człowiekiem i rozmów z nim o czymś, co Caryn wydawało się na tyle okropne i mrozące krew w żyłach, że przechodził ją dreszcz. Biedna Tory. Teraz rozumiała, dlaczego ich przyjaźń wydawała się czymś niezwykłym dla wszystkich w szkole. Jedna bogata, jedna rozbita, jedna biedna. Co za tercet! A jednak w jakiś sposób, którego inni ludzie nie potrafili dostrzec, uzupełniały się wzajemnie. Nik, choć miała mnóstwo pieniędzy i wolność, którą jej zapewniały, czuła się bardziej samotna, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Tory nadal krwawiła z rany, której nikt nie widział, a Caryn... cóż, ona była spoiwem trzymającym ich trójkę razem. To Caryn zawsze potrafiła dostrzec rzeczy ukryte pod pozorami, które dziwnym trafem uchodziły uwagi innych. W aroganckiej, drażliwej Nik i roztargnionej, nieobecnej myślami Tory widziała kogoś innego. To ją do nich przyciągało i być może działało w obie strony. Choć dopiero zaczynała to pojmować, Nik i Tory dawały jej coś, czego Alice w najmniejszym stopniu nie potrafiła córce zaszcześcić. Ambicję. Teraz już rozumiała, że bez ambicji skończyłaby jak Alice albo gorzej. Nie chodziło o zdolności - Alice była wszechstronnie uzdolniona. Ale to zmarnowała. Caryn nie do końca pojmowała przyczyny, dla których matka wszystko rzuciła - tak, jej małżeństwo było nieudane, lecz czy to powód do spędzania całych dni w łóżku? Nie wiedziała. Nigdy nie miała chłopaka, nigdy żaden tak naprawdę nie wpadł jej w oko. Za każdym razem, gdy o tym myślała, ogarniało ją dziwne, nieprzyjemne uczucie, takie samo, jakiego doznała, kiedy zobaczyła rękę pana Hum-phreysa na swoim udzie...

79

20

Nik zarzuciła sobie narty na ramię i powlokła się na koniec kolejki. Nawet o dziewiątej rano przy wyciągu było tłoczno. Mroźne, rześkie powietrze szczypało ją w policzki i czoło, jedyne nieopatulone miejsca. Przed nią na bladoszarym niebie wczesnego ranka rysowały się majestatyczne sylwetki gór, ostre krawędzie skamieniałego grafitu biegnące poszarpaną linią nad doliną. Przytrzymała narty dłonią w rękawicy. Londyn wydawał się jej bardzo, bardzo odległy. Wokół słyszała rozmowy prowadzone po francusku, niemiecku, szwajcarskoniemiecku, angielsku, włosku. Każdy z kimś był, stali dookoła w grupkach po dwie, trzy osoby, rozmawiali i śmiali się, czekając na rozhuśtane krzeselka. Wszyscy - poza nią. Była w Verbier ponad tydzień i już od pierwszego dnia stało się jasne, że przez większość czasu będzie zdana na siebie. Od przyjazdu prawie nie widywała ojca, a Molly i Jessica ciągle chodziły na jakieś wizyty albo po zakupy. Willa, którą ojciec wynajął na miesiąc, bardziej przypominała pałac. Miała kilka akrów pokrytego śniegiem ogrodu, przylegającego do Country Clubu w Verbier, i kryła się za wyjątkowo wysokim murem. Okno jej pokoju wychodziło na niewielkie zamrożone jezioro na tyłach domu. Nocą brzozy trzeszczały cicho na mrozie. Co jakiś czas pohukiwała sowa, lecąca w ciemnościach i niknąca w mroku. Rankami podawano tam kawę z mlekiem w ogromnych kubkach i kupowane w miejscowej piekarni croissanty. Nik jadła większość posiłków ze szwajcarską gospodynią, Mariannę, która mówiła powoli śpiewnym francuskim i ciągle się uśmiechała. Pod tym względem nie było tu inaczej niż w domu. Większość czasu spędzała w samotności. Przesuwała się krok za krokiem w kolejce, cały czas trochę speszona, że jest sama, kiedy kątem oka spostrzegła kogoś stojącego w jednej z grup przed nią. Niewiele mogła zobaczyć, bo zasłaniała go wełniana czapka i szalik, ale dokładnie widziała parę ciemnobrązowych oczu i lekko opalone policzki. Szybko odwróciła wzrok. Jego grupa zajęła cztery pierwsze krzeselka, głośno się przy tym śmiejąc. Szybko usiadła na kolejnym krzeselku. Kiedy narty

oderwały się od ziemi, miała przedziwne uczucie, że zaraz spadnie, ale już byli w górze na trzeszczących, huśtających się krzeselkach nad rozciągającą się w dole dziewiczą bielą.

80

Na szczycie trasy zjazdowej zsunęła się z ręcznika z siedzenia, odjechała od wyciągu i stanęła. Popatrzyła na długi stok góry. Była dobrą narciarką. Do jazdy na nartach podchodziła tak samo, jak w dzieciństwie do pływania, przejęta wrażeniem szybkości i braku ciężaru, kiedy trzeba zaufać własnemu ciału, dobrze znającemu swoje mocne i słabe strony. Ustawiała właśnie narty i poprawiała gogle, kiedy pojawiła się za nią jakaś postać, hamując w mistrzowskim stylu i wysyłając w górę pióropusz białego śniegu, który obsypał ich oboje. Podniosła wzrok, niezadowolona. To był młody mężczyzna, który zerkał na nią w kolejce. Przesunął gogle na czoło. Miał wiele mówiący brak opalenizny na części czoła i nosie, spod wełnianej czapki wysunął mu się lok ciemnobrązowych włosów.

- Cześć - odezwał się wesoło. - Mogę z tobą zjechać? - Kijkiem wskazał stok. Wpatrywała się w niego. Był raczej przystojny, co zauważyła od razu. Brązowe, przyjacielskie oczy, aura swobody i pewności siebie, ładny uśmiech. Ona twarz miała ciasno opatuloną z powodu wiatru. Uniosła dłoń w rękawicy, żeby opuścić szalik.
- Jasne - powiedziała niepewnie. Był Anglikiem - skąd wiedział, że ona też?
- Któregoś dnia słyszałem, jak z kimś rozmawiałaś - powiedział, czytając z jej wyrazu twarzy. - Przy okazji, mam na imię Will.
- E... Nik - odpowiedziała sekundę później.
- Całkiem nieźle jeździsz na nartach - powiedział, zakładając gogle i patrząc w dół stoku. - Tysiąc razy lepiej ode mnie. Zarumieniła się pod szalikiem.
- Wysłałam trochę z wprawy - wymamrotała. Skąd to wiedział? Czyżby ją obserwował?
- No, obserwowałem cię - powiedział, po raz drugi odczytując myśli z jej twarzy. - Mijałaś mnie wczoraj kilkakrotnie na zjeździe - mówił z uśmiechem. A uśmiechał się szczerze i szeroko. Nik poczuła, że czerwieni się jeszcze bardziej. - To jak... pojedziemy? - Wbił mocno kijki w śnieg przed sobą. - Zwycięzca stawia gluhwein...
- Ale jest dopiero dziesiąta! - zawołała Nik, lecz jej słowa zagłuszył wiatr, gdy mknęli razem po zboczu.
- Wieczorem! - odrzyknął. I już go nie było.

81

Kwadrans później podjechała do niego na nartach, uśmiechnięta wbrew sobie.

- Powiedziałeś, że jestem lepsza od ciebie! - zawołała, zatrzymując się przy nim.
- Lepsza, powiedziałem, że lepsza, ale nie szybsza. - Ściągnął czapkę i przecesał dłonią gęste, kręcone włosy.
- Wychodzi na jedno.
- A skąd! Masz świetny styl, ale się powstrzymujesz. Jeśli pozwolisz sobie na więcej luzu, będziesz znacznie szybsza.
- Och, naprawdę? Kim jesteś? Instrukтором? - kpiła Nik, choć twarz jej płonęła. Miała nieodparte wrażenie, że jego uwaga dotyczyła nie tylko zachowania na stoku - doprawdy, żalosne. Przecież dopiero co ją poznał!
- Prawdę mówiąc, tak.
- Och. - Nik nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.
- Posłuchaj, może wjedziemy ponownie na górę? Pokażę ci, co miałem na myśli. Twój sposób jazdy - dodał, taksując ją wzrokiem od góry do dołu. Zawahała się, ale potem skinęła głową. Przyprawiająca o depresję perspektywa kolejnego samotnego popołudnia rozwiała się.

- Och, w porządku - odrzekła, zdejmując gogle. - Dlaczego nie?
 - Wspaniale - powiedział Will, uśmiechając się szeroko i ściągając gogle. - Sprawię, że jutro Tortin będzie twój. To najtrudniejszy zjazd.
- Uśmiechnęła się w duchu. Był równie subtelny, jak zabawny. Kilkoma słowami - „dziś wieczorem”, „jutro” - dawał do zrozumienia, że chce się jeszcze z nią spotkać. Ona też miała na to ochotę. Niezwykłe. Jak dla niej.
- Jesteś niesamowita - powiedział, gdy podjechał do niej już na dole po niezwykle, naładowanym adrenaliną zjeździe najbardziej stromym zboczem, jakiego kiedykolwiek próbowała. Serce biło jej tak mocno, iż nie miała wątpliwości, że to słyszał. - Zdziwiające. Wystarczyło ci powiedzieć i już cię nie było. Tak przy okazji, gdzie nauczyłaś się tak jeździć?
- 82
- Och, tu i tam. Kiedyś przyjeżdżaliśmy do Europy każdego lata. - Nik zarumieniła się. - Głównie do Szwajcarii.
 - Każdego lata? - Will wyglądał na zdezorientowanego. - Trochę dziwna pora na naukę jazdy na nartach.
 - Chodziło mi o zimę. A u nas to lato.
 - Jesteś Australijką? - zapytał, otwierając furtkę ogrodzenia przy zjeździe i puszczając ją przodem.
 - A... tak - odpowiedziała szybko. Nie miała zamiaru mówić mu, kim była naprawdę. - Ale od wieków chodzę do szkoły w Anglii.
 - Aha. Ja jestem z Croydon.
 - Gdzie to jest?
 - No właśnie. - Obrócił się i spojrzał na nią. - Posłuchaj, mało wiem o tobie i przysięgam, że nie chcę być nachalny czy coś w tym rodzaju... ale w tej chwili zjadłbym konia z kopytami. Po prostu umieram z głodu. Jesteś teraz zajęta?
- Nik pokręciła głową.
- Nie, właściwie nie. Nie muszę wracać przed kolacją.
 - To może zjemy lunch?
 - Dlaczego nie?
- W czasie lunchu w maleńkiej kafejce położonej blisko śródmieścia dowiedziała się, że miał dwadzieścia trzy lata, że przyjechał do Verbier z dwoma kumplami, którzy w sezonie już od trzech lat też pracowali jako instruktorzy, i że on zostawał tu na całą zimę. Pracowali na zmiany, dzięki czemu miał wystarczająco dużo wolnego, żeby nacieszyć się jazdą, i dość pieniędzy, by nie wyjeżdżać przed latem, kiedy udawał się na południe Francji, gdzie uczył bogate kobiety i ich dzieci jazdy na nartach wodnych. Nik go podziwiała.
- To lepsze niż siedzenie za biurkiem - powiedział, pijąc piwo. - W każdym razie tym zajmuje się większość moich przyjaciół w Croydon. A ty na jak długo tu przyjechałaś?
 - Będę jeszcze tydzień po Nowym Roku, przynajmniej tak myślę - odrzekła, sącząc piwo. - Ojciec wynajmuje willę tuż za Country Clubem.
 - Ho, ho, Country Club. Czyli jesteś z wyższych sfer, prawda?
 - Nie. Nie jestem. - Pochyliła głowę nad talerzem, żeby nie zoba-
- 83
- czył, jak poczerwieniały jej policzki. Zaczynała powoli się otwierać. Miała nadzieję, że nie zapyta jej o wiek. Osiemnaście lat brzmiałoby strasznie dziecinnie.
- A więc... studiujesz? - zapytał.
 - Studiuję? - Przeknęła spory kęs, w ogóle go nie gryząc, i niemal się zadławiła. - E... tak.
 - A co studiujesz?
 - Filologię angielską.
 - Aha. Tak myślałem. A gdzie? - Wydawał się szczerze zainteresowany, a nie wścibski.

- E... w Londynie - powiedziała, rozpaczliwie się łudząc, że nie będzie wypytywał o więcej szczegółów.

- Nawiasem mówiąc, Croydon jest w Londynie powiedział, uśmiechając się do niej. - To znaczy tak jakby. Tylko dwoje znanych ludzi pochodzi z Croydon. Jednym z nich jest Kate Moss.

- A kto jest tym drugim? - zapytała Nik, zadowolona ze zmiany tematu.

- Oczywiście, ja... Głupie, wiem.

Nik roześmiała się. Lubiła go. Jego błyskotliwość, poczucie humoru i urok podobały się jej. Nie było w nim żadnego pozerstwa lub aury pana świata, typowych dla prawie wszystkich młodych mężczyzn w Zimbabwe, których znała. Był subtelny i nazbyt skromny, w jego głosie słyszała wesołość. Uśmiechnęła się do niego.

- Nie rozpoznałam cię. To pewnie przez google. - Ich spojrzenia się spotkały.

Uśmiechnął się. Początkowe skrepowanie obojga minęło bezpowrotnie.

Kiedy Nik z ociąganiem zbierała się do wyjścia, dochodziła czwarta, a słońce zaczęło zachodzić.

- Powinam już iść - powiedziała. W głowie jej się kręciło po dużym wysiłku z przedpołudnia i trzech kieliszkach wina.

Zerwał się na równe nogi.

- Więc jak? Zobaczymy się wieczorem? - zapytał, mrużąc oczy w kącikach.

Serce zatrzepotało Nik w klatce piersiowej.

- Dzisiaj?

- No. Glühwein. Ty stawiasz. - Uśmiechnął się szeroko.

84

■
•

Serce nie przestawało jej bić żywiej.

- Hm. Gdzie?

- Może w barze Jo's? Blisko Place Centrale. Jest jedyny przy tym placu. Nie sposób nie trafić. Tuż przed kościołem.

- Znajdę go - odpowiedziała, biorąc kijki. - O której?

- O której masz ochotę? O dziewiątej?

Skinęła głową zadowolona.

- W takim razie do zobaczenia.

Popatrzyli na siebie. Nastąpiła chwila wahania, po którym Will pochylił głowę i szybko, delikatnie pocałował ją w policzek. Nik zaczęła mieć kłopoty z oddychaniem.

- Ja... więc... do... do zobaczenia - wydukała, odwracając się od niego trochę niezdarne.

Wyszła, w głowie się jej kręciło. Do Willi wróciła jak w gorączce. Co Caryn i Tory by na to powiedziały?

21

Był tam młody człowiek, który siedział wciśnięty w sofę obok Tory, ale nie odezwał się do niej słowem przez cały wieczór. Nie znała go, a nikt ich sobie nie przedstawił. Stłumiła irytujące ziewnięcie. Impreza okazała się Wyjątkowo nudna. Rozejrzała się w poszukiwaniu Jenny. To ona zaprosiła gości, bo obchodziła osiemnaste urodziny. Była u niej od pięciu wlokących się dni, za dwa dni miała wracać do domu. Nie mogła się już tego doczekać. Nie powrotu do domu, rzecz jasna, ale ucieczki od wszystkich starych przyjaciół ze szkoły, którzy traktowali ją tak jak zawsze - nieufnie. Można było pomyśleć, że nigdy nie przestali się o nią martwić. Tęskniła za Caryn i Nik. To pieprzony psycholog wpadł na pomysł wysłania jej z domu na kilka dni - co w sumie miało jedynie potwierdzić, jak mało ją rozumiał, o czym bardzo chciała powiedzieć rodzicom. Ale matka dziwnie się przy tym upierała.

- Nie ty jedna cierpisz, panienko - powiedziała do Tory na kilka dni przed spakowaniem rzeczy i wyjazdem córki na tydzień do Jenny.
Tory jedynie popatrzyła na nią w milczeniu, zraniona do głębi. Od czasu fatalnego spotkania rodziców z nauczycielami jej układy z matką

85

Serce nie przestawało jej bić żywiej.

- Hm. Gdzie?

- Może w barze Jo's? Blisko Place Centrale. Jest jedyny przy tym placu. Nie sposób nie trafić. Tuż przed kościołem.

- Znajdę go - odpowiedziała, biorąc kijki. - O której?

- O której masz ochotę? O dziewiątej?

Skinęła głową, zadowolona.

- W takim razie do zobaczenia.

Popatrzyli na siebie. Nastąpiła chwila wahania, po którym Will pochylił głowę i szybko, delikatnie pocałował ją w policzek. Nik zaczęła mieć kłopoty z oddychaniem.

- Ja... więc... do... do zobaczenia - wydukała, odwracając się od niego trochę niezdarnie. Wyszła, w głowie się jej kręciło. Do Willi wróciła jak w gorączce. Co Caryn i Tory by na to powiedziały?

21

Był tam młody człowiek, który siedział wciśnięty w sofę obok Tory, ale nie odezwał się do niej słowem przez cały wieczór. Nie znała go, a nikt ich sobie nie przedstawił. Stłumiła irytujące ziewnięcie. Impreza okazała się wyjątkowo nudna. Rozejrzała się w poszukiwaniu Jenny. To ona zaprosiła gości, bo obchodziła osiemnaste urodziny. Była u niej od pięciu wlokących się dni, za dwa dni miała wracać do domu. Nie mogła się już tego doczekać. Nie powrotu do domu, rzecz jasna, ale ucieczki od wszystkich starych przyjaciół ze szkoły, którzy traktowali ją tak jak zawsze - nieufnie. Można było pomyśleć, że nigdy nie przestali się o nią martwić. Tęskniła za Caryn i Nik. To pieprzony psycholog wpadł na pomysł wysłania jej z domu na kilka dni - co w sumie miało jedynie potwierdzić, jak mało ją rozumiał, o czym bardzo chciała powiedzieć rodzicom. Ale matka dziwnie się przy tym upierała.

- Nie ty jedna cierpisz, panienko - powiedziała do Tory na kilka dni przed spakowaniem rzeczy i wyjazdem córki na tydzień do Jenny.

Tory jedynie popatrzyła na nią w milczeniu, zraniona do głębi. Od czasu fatalnego spotkania rodziców z nauczycielami jej układy z matką,

85

zawsze niezbyt dobre, nawet w najlepszych czasach, popsuły się jeszcze bardziej. Pod maską wymuszonej wesołości matki kryła się prawda o ich związku, o której Tory nie odważyła się nawet myśleć.

Siedzący obok młody mężczyzna odezwał się niespodziewanie, przerywając jej nieprzyjemne myśli.

- Proszę? - Tory ledwie go słyszała przez jazgot muzyki.

- Zatańczysz? Chcesz zatańczyć? - powtórzył.

- Nie tańczę zbyt dobrze - odpowiedziała, kręcąc głową.

- To łatwe - odrzekł i pociągnął ją ze sobą.

Jest przynajmniej wysoki - pomyślała, gdy przeciskali się przez tłum par przylepionych do siebie na niewielkim dywanie. Ponieważ miała metr siedemdziesiąt pięć, trudno jej było znaleźć chłopaka wyższego od siebie. Zrobił dla niej trochę miejsca i zawahał się. Potem objął ją i przytulił do siebie. W pierwszej chwili trochę się tym zdenerwowała. Od dawna nie znajdowała się tak blisko innej osoby. Twarz miała przyciśniętą do jego szyi. Pachniał ładnym płynem po goleniu i dymem papierosowym. Lekko rozchyliła usta, a wtedy zupełnie niespodziewanie, bez żadnego szczególnego powodu, który umiałaby podać, wysunęła język i

koniuszkiem polizała jego skórę. Odsunął się od niej na sekundę, przestraszony, ale zaraz przytulił ją mocniej. Przesunął jedną rękę i dotykał nią karku Tory, dociskając do siebie jej twarz, drugą zsunął na jej pośladek.

Muzyka umilkła nagle, kiedy didżej szarpał się z następną płytą. W dziwnej, ogłuszającej ciszy chłopak ją pocałował. Jego język był ciepły i ciężki, a przy tym zaskakująco sprężysty. Bezceremonialnie wciskał się w jej usta, ale ku własnemu zdziwieniu całkiem się jej to spodobało. To znaczy całowała się już wcześniej, ale po śmierci Susie chłopcy omijali ją jak zarazę. Początkowo wszyscy jej unikali, nie bardzo wiedząc, co - jeśli w ogóle coś - mogą powiedzieć. W ciągu jednej nocy przeistoczyła się z normalnej, beztroskiej nastolatki w trędowatą. A rzecz jasna, w St Augustine nie było ani jednego chłopaka.

- Wyjdźmy stąd - szepnął jej do ucha.

Skinęła głową. Chciała przeżyć to jeszcze raz.

Powoli, leniwie poprowadziła go w górę schodów. Minęli piętro, gdzie był pokój Jenny, i dalej, kolejnymi schodami, do sypialni dla gości, którą zajmowała. Rodzice Jenny wyszli. Musiały obiecać, że impre-

86

za skończy się przed pierwszą. Musiały też przyrzec, że rano wszystko posprzątają. Drzwi pokoju otworzyła jednym pchnięciem. Na łóżku leżała jej torba i dzinsy, które rzuciła tam wcześniej. Sięgnęła dłonią do włącznika światła, ale chłopak chwycił ją za rękę.

- Zostaw - powiedział trochę nerwowo.

Uśmiechnęła się. Zabawne, sama w ogóle nie była zdenerwowana. Chciała jedynie znowu poczuć jego ciężkie, bezpieczne ramiona wokół siebie i smak jego skóry w ustach. Obróciła się do niego.

W pokoju było bardzo ciemno, niskie dudnienie dochodziło łagodnie spod podłogi. Usiadł obok niej na wąskim, pojedynczym łóżku i pocałował ją. Odchyliła do tyłu głowę, ale jego usta okazały się tak słodkie i natarczywe, że pozwoliła mu ponownie się pieścić. Dłonie chłopaka przesuwają się wolno i miarowo, przez cienki materiał bluzki czuła, jak biło mu serce. Dotykał guzików jej bluzki, porozpinał je, a potem zsunął ją z jej ramion. Tory miała wrażenie, że odpływa, jak zdarzało się jej czasami, gdy wspomnienia stawały się zbyt bolesne albo gdy ktoś za mocno nadepnął jej na odcisk. Obserwowała samą siebie ze zdziwieniem, gdy wsunęła mu dłonie pod sweter i pomogła uwolnić się z niego.

- Tory - wymamrotał, trzymając usta przy jej włosach.

Nie potrafiła przypomnieć sobie jego imienia, dlatego nic nie odpowiedziała. Rozległ się odgłos rozpinanego suwaka - najpierw jego, potem jej. Czowała, jak ściąga jej nowe dzinsy, czuła chłód na nagiej skórze. Bez przekonania się broniła, odsuwając kołdrę i wślizgując się pod nią. Skończył się rozbierać i znalazł się w łóżku obok niej. Wszystko dokonywało się za pomocą dotyku - prawie żadnych dźwięków, żadnego światła. Skórę miał ciepłą i trochę szorstką pod jej palcami. Zadrżał, gdy go dotknęła. Przesuwała rękę po jego drgającym brzuchu, czym sprowokowała go do cichego pomrukiwania, jakie skojarzyło się jej z chwilą, gdy w upalny dzień czuła niesłychaną ulgę, dotykając językiem lodów albo wbiegając do lodowato zimnego morza. Usłyszała, że z czymś się szarpał, a potem rozległ się odgłos rozdzierania czegoś i poczuła chłód na udzie. Jest ciężki - pomyślała, kiedy kładł się na nią, ale z jakiegoś powodu była pewna, że nigdy nie będzie wystarczająco ciężki. Wrażenie, gdy w nią wchodził, było kolejnym zaskoczeniem. Przez te krótkie kilka chwil, gdy wsuwał się w nią, wszystko inne przestało się liczyć.

87

Wszystko. Zdawał się wypełniać ją czymś innym niż smutek, który osiadł na niej niczym kurz od dnia, kiedy policja przyszła i Tory poczuła, jak inspektor przytula ją do piersi. Wtedy po raz ostatni ktoś ją obejmował. W jakiś sposób - w dniach, tygodniach i miesiącach, które nastąpiły potem - wiedziała, że gdyby ojciec chociaż ją uściskał, rozpadłaby się na kawałki.

Caryn puściła zasłonę, zagryzając nerwowo usta. Dochodziła jedenasta, a Owena nadal nie było w domu. Szwendął się gdzieś przez cały dzień. Martwiła się. Nowa fala dilerów zjawiała się ostatnio na osiedlu, a brat, o czym wiedziała, był jednym z nich. Dwudziestodwulatek na bezrobociu, bez cienia kwalifikacji - nie skończył nawet gimnazjum -co innego mógł robić? Ich relacje się pogorszyły, kiedy dostała stypendium, Alice zaś nie przestawała powtarzać z dumą, że przynajmniej jedna osoba w rodzinie robi coś godnego uwagi. Za każdym razem, gdy to mówiła, Caryn widziała, jak Owen się napina i z urazą wymalowaną na twarzy wpatruje się w nią. „To nie moja wina” - chciała powiedzieć, ale nie mogła.

Ponownie odciągnęła zasłonę. Kilku młodych mężczyzn kręciło się przy wejściu do Baberton. Udało się jej rozpoznać Owena w podkoszulce z kapturem i w absurdalnie za dużych spodniach. Podkoszulka miała napis „Los Angeles”. Owen dostał obsesji na punkcie wyjazdu do tego miasta. Westchnęła. Jedynym sposobem dostania się do LA było znalezienie pracy, odłożenie pieniędzy i kupienie biletu na samolot. I tyle. Usiłowała mu to powiedzieć któregoś dnia, ale po prostu ją wyśmiał. Nazwał ją pierdzieloną kretynką, bo wierzyła w bzdety o ciężkiej pracy i zdawaniu egzaminów. „Zbyt, kurwa, ociężała umysłowo, żeby dojrzeć prawdę”.

- Co takiego jest tą prawdą, jeśli wolno wiedzieć? - zapytała go jadowicie. Roześmiał się głośno.

- A kto ma ci pozwalać albo nie? - Odwrócił się do Digby'ego, naj-
88

lepszego kumpla, którego Caryn nie znosiła, trzymającego się trochę z tyłu i udającego, że nie słyszy. - Możesz w to uwierzyć? Nadęta pierdolona pinda.

Musiała odejść. Była tak zła, że łzy napłynęły jej do oczu. Co takiego mu zrobiła, że tak do niej mówił? I to przy tym idiocie Digbym? Mimo to... w chwilach, gdy się tego najmniej spodziewała, zwracał się do niej i mówił coś miłego i wzruszającego, a jej serce topniało. Martwiła się o niego, tak samo jak martwiła się o Briana i mamę. W rzeczywistości w czasie pomiędzy pracą w Top Shopie i szamotaniną, żeby wyrobić się z lekcjami, tylko tym się zajmowała - martwieniem się. O wszystkich. Martwiła się za całą Anglię - powiedziała jej to w złości któregoś dnia Nik.

Usłyszała posepny zgrzyt windy zjeżdżającej na parter. Wstrzymała oddech. Tak, doszedł ją odgłos otwieranych drzwi. Kilka sekund później klucz obrócił się w zamku. Owen wrócił do domu. Cały i zdrowy. Znowu mogła odetchnąć.

- Psyt! Caryn? Nie śpisz? - To był Owen, skrobiący cicho w jej drzwi.

Usiadła w jednej chwili, serce waliło jej jak oszalałe. Zerknęła na budzik na szafce nocnej obok łóżka. Była prawie pierwsza w nocy.

- Co jest? O co ci chodzi?

- Mogę wejść?

- Zaczekaj. - Ściągnęła szlafrok z krzesła i narzuciła na siebie. Podeszła bosą do drzwi i otworzyła je.

- Co się stało?

Zachichotał cicho.

- Chcę ci coś pokazać - powiedział, ciągnąc ją za ramię.

- Przestań - wyszczała. - Jesteś pijany. Idź do łóżka, dobrze? Muszę wstać wcześniej rano. Niektórzy z nas pracują, wiesz?

- Och, daj spokój... przestań być taką smutaską. Chciałbym ci coś pokazać. Nie zabiorę ci więcej niż minutę. Słowo. Ubierz się.

- Oszalałeś, Owen? Jest pierwsza nad ranem. Jutro rano muszę iść do roboty. O czym ty, do licha, mówisz?

- Och Jezu, Caryn. Zawsze słucham, jak nawijasz o tej swojej zaszrannej szkole... nie ty jedna masz plany, wiesz? - Popatrzył na nią z nadaśa-ną miną. - Pomyślałem, że może to by cię zainteresowało, i tyle...

89

- Już dobrze, dobrze. - W jednej chwili Caryn ogarnęło poczucie winy. - Co to takiego?
- zapytała, tym razem łagodniej.

- Ubierz się, to ci pokażę.

Zamknęła drzwi, kręcąc głową. Co on, do diabła, kombinował? Pospiesznie wciągnęła dzinsy i podkoszulkę, na nogi włożyła trzymane pod łóżkiem tenisówki. Ponownie otworzyła drzwi i zbiegła po schodach. Owen stał na klatce schodowej i palił.

- Zgaś to - wysyczała. - Cały dom będzie tym śmierdział.

- Car... powinnaś brać jakieś pierdolone proszki na uspokojenie - powiedział, puszczając kółka z dymu. Zaczął ostatnio mówić z amerykańskim akcentem. Paskudnym.

- Sza! Wszystkich obudzisz!

- Chodźmy stąd. No dalej, Digby czeka na dole.

Otworzył frontowe drzwi. Poczowała ukłucie strachu. »

- Digby? A co on tu robi? O co w tym wszystkim chodzi, Owen?

- Chodź za mną, dobra? I bądź cicho.

Weszła za nim do windy. Serce jej waliło. Była rozdarta. Miała ochotę wrócić biegiem do swojego pokoju, ale nie chciała też lekceważyć brata. Nie miała pojęcia, co mu chodziło po głowie, ale dwie rzeczy były jasne: po pierwsze, sporo wypił, a po drugie, został w to wciągnięty Digby, a to bez wątplenia oznaczało kłopoty.

Zjechali na parter.

- W porządku, Caryn? - wymamrotał Digby, kiedy wysiedli z windy.

Uprzejmie skinęła mu głową.

- Co ona tu robi? - Usłyszała, jak wysyczał do idącego na przodzie Owena.

- Przymknij się! - odpowiedział ten, piorunując go spojrzeniem. - Chcę jej pokazać, dobrze?

Szli szybko w kierunku Cheney House, ale zamiast skierować się do frontowych drzwi przeszli na tyły budynku. Serce Caryn znowu przyspieszyło. Z boku stała tam stara stróżówka. Zabito ją deskami i zostawiono samej sobie, od kiedy Caryn sięgała pamięcią.

- Co ty wyrabiasz? - wyszeptała ostro, kiedy Owen podciągnął się na murze i zniknął. Sekundę później usłyszała, jak otwierają się ze zgrzytem boczne drzwi.

- Chodź! - odezwał się Digby. - Szybko!

90

Było za późno, żeby zrobić cokolwiek innego. Wśliznęła się z bijącym sercem do zawilgoconego, cuchnącego stęchlizną budynku, przeklinając ich obu pod nosem. Owen zapalił zapałkę. Zobaczyła coś w jej żółtym świetle. Rośliny. Setki roślin. Zapalił następną i tym razem trzymał ją przed sobą. Caryn opadła szczerka. Dragi. Grządka przy grządce konopi indyjskich w gładkich, czarnych plastikowych doniczkach. Nad i pod nimi umieszczono cienkie gumowe węże, podłączone do kilku wielkich plastikowych zbiorników ustawionych pod ścianą.

- Zraszacze - oznajmił Owen z dumą. - I światło. Mamy wszystko, człowieku.

- No - odezwał się Digby wesoło. - Patrzysz teraz na towar wart pięć patyków!

Obaj przybili piątki, unosząc wysoko dłonie i chichocząc przy tym. Caryn poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Owen i Digby patrzyli na nią wyczekująco. Zapałka nagle zgasła, pograżając ich w ciemności.

- No więc... co myślisz? - zapytał Owen z podnieceniem. - Nigdy byś się nie domyśliła, co nie? Kiedy roślinki będą gotowe, będziemy tu mieli dziesięć tysięcy funtów, Caryn.

Wyobrażasz to sobie? Dziesięć pierdolonych tysięcy. Będziemy dziani!

Poczuła, jak serce zaciska się jej w piersiach. Od wielu lat nie słyszała takiego optymizmu w głosie Owena. Nie miała pojęcia, z jakiego powodu pokazał jej swoje najnowsze przedsięwzięcie, ale nagle jedno stało się - boleśnie - jasne. Jeśli liczyła na utrzymanie więzi z bratem - teraz czy kiedykolwiek - to nie była odpowiednia pora, by mówić mu, co naprawdę myśli. Przełknęła ślinę.

- To jest... strasznie dużo narkotyków, Owen. Nie daj się z tym złapać, dobrze? Obiecay mi, że będziesz ostrożny - wyszeptała.

Roześmiał się. Głupawym, wysoko brzmiącym śmiechem. Był nie tylko pijany, ale i naćpany. Poklepał ją lekko po ramieniu.

- No jasne, że będę ostrożny. Ja i Digs to dwóch pierdolonych cwaniaków, a jak!

- No dobra, lepiej stąd spadajmy, zanim ktoś nas zobaczy - powiedziała Caryn nerwowo.

- Odpręż się, dobrze? Okna są zabite dechami, nikt nie może niczego zobaczyć.

91

Było za późno, żeby zrobić cokolwiek innego. Wśliznęła się z bijącym sercem do zawilgoconego, cuchnącego stęchlizną budynku, przeklinając ich obu pod nosem. Owen zapalił zapalkę. Zobaczyła coś w jej żółtym świetle. Rośliny. Setki roślin. Zapalił następną i tym razem trzymał ją przed sobą. Caryn opadła szczęką. Dragi. Grządka przy grządce konopi indyjskich w gładkich, czarnych plastikowych doniczkach. Nad i pod nimi umieszczono cienkie gumowe węże, podłączone do kilku wielkich plastikowych zbiorników ustawionych pod ścianą.

- Zrzaszacie - oznajmił Owen z dumą. - I światło. Mamy wszystko, człowieku.

- No - odezwał się Digby wesolo. - Patrzysz teraz na towar wart pięć patyków!

Obaj przybili piątki, unosząc wysoko dłonie i chichocząc przy tym. Caryn poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Owen i Digby patrzyli na nią wyczekująco. Zapalka nagle zgasła, pograżając ich w ciemności.

- No więc... co myślisz? - zapytał Owen z podnieceniem. - Nigdy byś się nie domyśliła, co nie? Kiedy roślinki będą gotowe, będziemy tu mieli dziesięć tysięcy funtów, Caryn.

Wyobrażasz to sobie? Dziesięć pierdolonych tysięcy. Będziemy dziani!

Poczuła, jak serce zaciska się jej w piersiach. Od wielu lat nie słyszała takiego' optymizmu w głosie Owena. Nie miała pojęcia, z jakiego powodu pokazał jej swoje najnowsze przedsięwzięcie, ale nagle jedno stało się - boleśnie - jasne. Jeśli liczyła na utrzymanie więzi z bratem - teraz czy kiedykolwiek - to nie była odpowiednia pora, by mówić mu, co naprawdę myśli. Przełknęła ślinę.

- To jest... strasznie dużo narkotyków, Owen. Nie daj się z tym złapać, dobrze? Obiecay mi, że będziesz ostrożny - wyszeptała.

Roześmiał się. Głupawym, wysoko brzmiącym śmiechem. Był nie tylko pijany, ale i naćpany. Poklepał ją lekko po ramieniu.

- No jasne, że będę ostrożny. Ja i Digs to dwóch pierdolonych cwaniaków, a jak!

- No dobra, lepiej stąd spadajmy, zanim ktoś nas zobaczy - powiedziała Caryn nerwowo.

- Odpręż się, dobrze? Okna są zabite dechami, nikt nie może niczego zobaczyć.

91

- Mimo wszystko... lepiej... lepiej już sobie pójdę. Rano muszę iść do pracy.

- Tak, no cóż, kiedy sprzedamy te działki, nie będziesz już musiała tam chodzić.

Obróciła się i spojrzała na brata.

- Dlaczego?

- Bo będziemy bogaci, jełopko. Kurewsko bogaci! Dam ci, kurwa, forszę na uniwersytet, Car. Nie będziesz się musiała przejmować jakimś zasranym stypendium! Będą je sobie mogli w dupę wsadzić! - Obaj z Digbym zachichotali.

Nic nie powiedziała. Miała grudę w gardle. Objęła się w talii ramionami i wyszła za nimi w ciemność. Mimo ogromnego wzruszenia, jakie wywołało w niej nagłe okazanie uczuć przez Owena, których przyczynę, co prawda, trudno nazwać chwalebną, Caryn ogarnęły bardzo złe przeczucia. Coś złego musi się wydarzyć. Zwykle tak było w przypadku Owena.

23

Nik nie do końca mogła uwierzyć, gdzie jest. Trzymając piwo, czuła, jak żołądek zaciska się jej z podniecenia, bo ramię Willa obejmowało ją w talii. Wymamrotała coś niewyraźnie do Molly o spotkaniu z paroma dziewczynami w mieście i odetchnęła z ulgą, widząc, że macochę obchodziło to tyle, co zeszłoroczny śnieg. Ojciec, rzecz jasna, gdzieś wyszedł.

- Świetnie - odpowiedziała Molly, nie podnosząc nawet wzroku znad magazynu.
- Wróć późno... pewnie około północy - oznajmiła Nik i wstrzymała oddech.
- Świetnie.

I na tym się skończyło. Przeszła niewielki odcinek od willi do centrum miasta, ze zdenerwowania burczało jej w brzuchu. Ubierała się prawie godzinę - co nie było w jej stylu - ale naprawdę, naprawdę, naprawdę polubiła Willa. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni

92

raz ktoś patrzył na nią z tak ogromnym zainteresowaniem - oczywiście, poza Caryn i Tory, ale to w zasadzie się nie liczyło. Przymierzyła z pół tuzina kombinacji ciuchów, zanim ostatecznie zdecydowała się na dżinsy i granatowy kaszmirowy pulower. Wysokie buty na gumowych podszewkach, zapobiegających ślizganiu się po śniegu, sprawiały, że jej i tak długie nogi wydawały się jeszcze dłuższe. Na co dzień nie należała do dziewczyn spędzających godziny przed lustrem, ale tym razem obejrzała się dokładnie pod każdym możliwym kątem - i wszystko wyglądało dobrze. Will najwyraźniej był tego samego zdania - twarz mu pojaśniała, gdy weszła do baru. Serce Nik biło tak szybko, że mówienie mogło sprawić jej trudność.

- Olejmy bar - powiedział, uśmiechając się i pochylając, by pocałować ją w policzek. - Znam pewien hotel tuż za rogiem, gdzie podają glühwein... - Przerwał, widząc zmieszanie na jej twarzy. - Żartowałem. A tak przy okazji, ślicznie wyglądasz.

Pochyliła głowę, by włosy opadły jej na twarz. Całym ciałem rozkoszowała się tą chwilą.

- Więc... nie chcę, żebyś miała mnie za narwańca lub kogoś w tym rodzaju, ale zobaczysz się ze mną jutro? - Will wyszeptał jej do ucha, gdy odprowadzał ją wolnym krokiem wzdłuż Chemin de la Morintse. - Tyle że rano uczyć. Możemy znowu spotkać się na lunch?

Skinęła głową. Pośliznęła się lekko na oblodzonym chodniku, on mocniej objął ją w talii. Głęboko odetchnęła, podekscytowana. Ten wieczór miał w sobie coś nierealnego.

- Tak - powiedziała trochę niewyraźnie. Wypiła dwie butelki piwa, a potem tequilę, dlatego w głowie miała przyjemny szmerek.

- Spotkajmy się w Café Spitz, w połowie Mont Fort. - Przystanął i obrócił się do niej. Znajdowali się bardzo blisko Country Clubu. Nik oparła się o mur, żeby zachować równowagę, w żyłach czuła gorącą lawę. Pocałował ją. Miała wrażenie, że ta gorąca lawa wypełnia ją całą. Towarzyszyła temu skrywana, paląca wilgotność, która nappełniła jej oczy łzami. Will stał z jedną ręką opartą o mur, drugą trzymał lekko przyciśniętą do brzucha Nik, a jego kciuk ukradkiem przesunął się za paskiem jej dżinsów. Przyłgnęła do niego biodrami. Will ujął jej twarz w obie dłonie, pocałunek stał się mocniejszy, głębszy. Palce miał silne

93

i twarde. Czuła, jak zaczyna w nim narastać napięcie. Wsunęła dłonie pod kurtkę Willa i przesunęła je w górę jego pleców. Uszy wypełniał jej zmieniający się odgłos jego oddechu.

Musnął delikatnie dłonią jej pierś, a nie wyczuwając oporu, śmiało zagłębił dłoń pod sweter. Nik zadrżała w równym stopniu od dotyku jego palców na własnej skórze, jak i zimna. Nagle rozległ się klakson samochodu. Trzy auta wyjechały zza ostrego zakrętu. Światła pojazdów oblały Nik i Willa blaskiem, a potem zostawiły pograżonych w mroku, skręcając w bramę klubu. Will uniósł na sekundę głowę, gdy ich mijaly, zmrużył oczy z powodu reflektorów i niezadowolenia z tego najazdu. Czerwone tylne światła jarzyły się w ciemności. Ostatni samochód zahamował z piskiem opon. Oboje spojrzeli w jego kierunku. Serce Nik prawie przestało bić. Wóz ruszył gwałtownie do tyłu i zatrzymał się tuż przy nich. Tylne drzwiczki otworzyły się, a ona usłyszała głos ojca:

- Wsiadaj!

Nie miała nawet czasu, żeby cokolwiek powiedzieć oszołomionemu Willowi. Wydostała się z jego objęć i wsiadła do środka. Ojciec był wyraźnie zły. Do Willi jechali w grobowym milczeniu. Siedziała obok niego, serce biło jej jak oszalałe ze strachu.

Następnego dnia ani dzień później Nik nie pojawiła się na stoku. Will czekał na nią codziennie. Nadeszło Boże Narodzenie, zbocza niemal zupełnie się wyludniły. Will świętował razem z parą instruktorów, Markiem z Francji i Timem ze Szwajcarii, w barze Jo's, choć trudno było to nazwać fetą. Dla wszystkich stało się jasne, że tęsknił za wysoką, ciemnowłosą pięknoscią o wspaniałych nogach, którą przyprowadził jakiś czas temu do baru.

- Chciałbym wiedzieć, co poszło nie tak - zwierzał się nostalgicznie Timowi, pijąc trzecie czy czwarte piwo tego wieczoru.

Tim kiwał głową, ale uwagę miał skupioną na dwóch blondynkach, które właśnie weszły. Szturchnął kolegę. Żadnej reakcji. Spojrzał na niego, zaskoczony. Ludzie, naprawdę go wzięło.

- Dlaczego się nie rozejrzysz? - zapytał, nie odrywając wzroku od dwóch dziewczyn. - Przecież wiesz, gdzie mieszka, prawda?

94

- Gdybyś zobaczył merca, którym podjechał - odpowiedział Will ponuro - dwa razy byś się zastanowił. Szkoda, że go nie widziałeś. A z przodu siedziało dwóch największych facetów, jakich w życiu spotkałem. Pewnie to jego ochroniarze.

- Cholera. A możesz mi przypomnieć, kim ona jest?

- Nie wiem. To Australijka. Nie mam pojęcia, kim jest jej ojciec. - Will wzruszył ramionami. - Wyglądała na bogaczkę. Może już wyjechali - dodał, a jego głos stał się jeszcze bardziej ponury.

- Posłuchaj, nie możesz tak tu siedzieć do końca sezonu, stary - powiedział Tim, zamawiając następną kolejkę. - Rozejrzyj się jutro. Kup bukiet kwiatów czy coś takiego... wyrwij się z tego dołka. Daj kwiatki jej matce. Oczaruj ich, aż im się zrobi mokro w majtkach. Jesteś w tym dobry. Albo przynajmniej byłeś... - Uśmiechnął się.

Will posepnie kiwał głową

- Tak, może.

Właśnie dlatego szedł o dziesiątej rano w drugi dzień świąt długim podjazdem do Country Clubu z kosztownym bukietem dalii w ręku, pocąc się z nerwów mimo zimna. Od recepcjonistki posiadłości dowiedział się, że rodzina z Anglii zatrzymała się w chateau za polem golfowym, ale ostrzegła go, że jeśli nie był zaproszony, próba dostania się tam może być daremna. Popatrzył na nią zbity z tropu.

- Jestem... jestem przyjacielem Nik - powiedział. - Ona... ona jest ich córką. Jestem pewny, że wszystko będzie w porządku.

Wzruszyła ramionami. Nie zrobił tym na niej wrażenia.

- Tylko niech pan potem nie mówi, że pana nie ostrzegałam - oznajmiła, odwracając się do telefonów.

Wyszedł, jeszcze mocniej przyciskając do siebie kwiaty. Nie było to daleko od głównego budynku klubu. W zimowym krajobrazie śnieg skrzypiał mu pod nogami, okolica robiła wrażenie scenografii do niemego filmu. Eleganckie domy z okiennicami i bladymi fasadami patrzyły na niego obojętnie, gdy się zbliżał. Na jednym z trzech kolistych podjazdów stały trzy czarne samochody, które widział już wcześniej. Doskonale wypolerowane, bez choćby drobiny kurzu czy płatka śniegu na opływowych karoseriach. Podeszedł do frontowych drzwi i nacisnął

95

dzwonek. Usłyszał, jak dźwięk rozniósł się echem po drugiej stronie drzwi. Kilka minut później rozległ się odgłos kroków zmierzających w jego stronę. Przełknął ślinę ze zdenerwowania.

Drzwi się otworzyły. Młoda dziewczyna, bez wątpienia pokojówka, spojrzała na niego beznamiętnie.

- Oui?

Odchrząknął i zaczął wyjaśniać, że przyszedł zobaczyć się z mademoiselle Nik... i miał nadzieję, że to właściwy adres.

- Kto przyszedł? - Usłyszał słowa wypowiedziane po angielsku. W drzwiach pojawiła się jakaś kobieta.

- W czym mogę pomóc? - zapytała lodowato, taksując go wzrokiem.

Pokojówka oddaliła się w jednej chwili.

Nie wyglądała wystarczająco staro, by mogła być matką Nik. Will próbował odgadnąć, kim była.

- E... tak. Właśnie się zastanawiałem, czy... czy Nik tu mieszka?

- Tak, to prawda, ale nie ma jej - odrzekła kobieta szybko, trochę zbyt szybko.

- Ach. Czy wie pani, kiedy wróci? - zapytał, wyczuwając, że chciała się go jak najszybciej pozbyć.

- Nie, nie... przepraszam. Powiem jej, że pan zaszedł - odpowiedziała, szykując się do zamknięcia drzwi. Nawet nie spytała go o imię. Upór zaczynał brać w nim górę.

- Proszę posłuchać, chciałem tylko...

- Kto tam jest, do cholery?! - Usłyszał męski głos dochodzący z głębi domu.

Kobieta usiłowała zatrzaskać drzwi.

- Powiem jej, że pan tu był - wysyczała - ale teraz proszę już iść!

- Molly? - Will dostrzegł opaloną, pełną złości twarz, zanim drzwi zamknęły się przed nim z hukiem. Stał przed nimi sekundę, mrugając z zaskoczenia, trochę zdezorientowany, ale wtedy drzwi otworzyły się ponownie.

- Spadaj stąd! - Męski głos z wściekłością rzucił mu te słowa prosto w twarz.

Will cofnął się o krok.

- No dalej, spieprzaj! Jeśli jeszcze raz cię zobaczę w pobliżu tego

96

miejsca, wezwę policję, rozumiano?! A jeżeli zbliżysz się do niej na mniej niż dziesięć metrów, dopilnuję, byś pożałował, że w ogóle się urodziłeś. Wyraziłem się jasno?! - Will skinął głową, zbyt przestraszony, by się odezwać. - A teraz spadaj! I to już! No, dalej! Obrócił się i odszedł. Wyglądał na takiego, który nie zawaha się przed spełnieniem groźby, a Will widział jego ochroniarzy siedzących z przodu samochodu. Rzucił kwiaty w krzaki i praktycznie przebiegł całą drogę powrotną. Najprawdopodobniej nigdy już nie zobaczy się z Nik.

Trzy dni później, kiedy Jim wyjechał ze swoim gościem do Zurychu, Nik wyszła przez okno i opuściła się na dół po ścianie. Z sercem w gardle pobiegła w kierunku zjazdów. Natrafiła na Willa u podnóża osłej łączki, cierpliwie instruującego grupę rozchichotanych nastolatków.

Kiedy ją spostrzegł, uniósł rękę w na pół serdecznym pozdrowieniu i powoli obrócił się do niej tyłem. Nik stała, łzy płynęły jej po policzkach. On już się nie odwrócił. Po jakimś czasie powlokła się niepokieszona do willi, łzy zamarzały jej na policzkach. Dla niej wakacyjna przygoda naprawdę się skończyła.

24

Caryn odjęło mowę, gdy słuchała Nik pierwszego dnia po powrocie do szkoły. Sama nigdy w życiu nie była na wakacjach, nie mówiąc nawet o wyjeździe na narty.

- I co się stało? - zapytała szeptem.

Siedziały we trzy w bibliotece.

- Nic się nie stało.

- Nawet się z nim nie pożegnałaś?

Nik pokręciła posępnie głową.

- Nie mogłam. W ogóle się nie odwrócił.

- To prawie jak na filmie albo co - powiedziała Caryn. Była pod dużym wrażeniem, mimo nieszczęśliwego wyrazu twarzy koleżanki. - Biedulka - dodała szybko. Nik wyglądała, jakby miała złamane serce.

97

- Naprawdę go polubiłam - powiedziała żalonym tonem.

Caryn milczała. Nigdy nie miała chłopaka. Trzy razy całowała się z Jimmym Paulem z jej klasy w Featherstone, zanim przerzucił się na Felicity Wright, raz obściskowała się w tańcu z Timem Knightem, ale wołała o tym zapomnieć, a potem pan Humphreys położył rękę na jej udzie. Nie bardzo miała się czym chwalić.

- Chodziłaś z jakimś chłopakiem? - zapytała ją niespodziewanie Nik.

Caryn poczerwieniała odrobinę.

- Nie - odpowiedziała od razu na tyle obojętnie, na ile potrafiła. Nik miała w sobie na tyle przyzwoitości, że wyglądała na zmieszaną. Caryn pomyślała, że to jedna z cech, które u niej najbardziej lubi. Mimo zewnętrznej szorstkości Nik naprawdę liczyła się z uczuciami innych.

- Ja miałam jednego - odezwała się Tory. Pozostałe dwie natychmiast na nią spojrzały.

- Co?

- No, chłopaka. Znaczą: tak jakby. - Wzruszyła ramionami.

- Kto to był? - zapytała szeptem Caryn.

- Naprawdę? - powiedziała Nik z niedowierzaniem. - Kiedy to było?

Ktoś obok nich wysyczał „ciii”. Natychmiast zniżyły głosy.

- Na imię miał Jonathan. Przespałam się z nim na imprezie. Dowiedziałam się tego dopiero następnego dnia. To znaczy poznałam jego imię - szeptała Tory.

Caryn posłała Nik szybkie spojrzenie. Nie wiedziała, która część tych rewelacji jest bardziej zaskakująca - fakt, że Tory z kimś spała, czy to, że zrobiła to z chłopakiem, którego imienia nawet nie знаła. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Po... powiedz coś więcej, możesz? - odezwała się Nik. - Ja się tu rozwodzę nad kilkoma pocałunkami, a ty... ty to zrobiłaś? Jak było?

- Hm, było... przyjemnie - odpowiedziała Tory po chwili. - Tak, to było przyjemne.

Niewiele się z tego dowiedziały.

- Spotkasz się z nim jeszcze? - zapytała Nik.

Tory odwróciła wzrok. Przez chwilę milczała.

- Nie wiem - odpowiedziała, wzruszając ramionami. - Może. - Odsunęła się na krześle. - Wychodzę na fajkę. Zobaczymy się później?

98

Patrzyły za nią obie. Długie brązowe włosy kołysały się, gdy szła. Nik obróciła się do koleżanki.

- Myślisz, że ona dobrze się czuje? - zapytała niepewnie.

Caryn zagryzła usta.

- Nie wiem. - Zapomniała o wspaniałych i tragicznych wakacjach Nik, gdy wzięła książki i razem z nią poszła na lekcję angielskiego. Zastanawiała się, jak pomóc Tory. Ale jak można pomóc komuś, kiedy przede wszystkim się nie wie, o co chodzi? Czy nie tego właśnie miał się dowiedzieć psycholog?

25

Caryn nie wsuwała już rąk pod uda w chwilach zdenerwowania, ale tego ranka nie potrafiła się przed tym powstrzymać. Doktor Walsh uśmiechała się do niej dokładnie tak jak zawsze wtedy, gdy miała coś do powiedzenia.

- Dzień... dziękuję pani - wydukała w końcu, nadal zbyt oszołomiona, żeby zebrać myśli. Po raz drugi w życiu zaoferowano jej coś wyjątkowego. Cambridge. Stypendium studenckie w Cambridge, gdzie miałyby studiować filologię angielską. Co na to powie matka? Czują, jak w oczach zbierają się jej piękące łzy.

- Czy mogę już iść? - zapytała, bo nie chciała rozplakać się przy dyrektorce.

Doktor Walsh skinęła głową.

- Oczywiście. Jeszcze o tym porozmawiamy, bo musimy coś postanowić w sprawie dodatkowych przygotowań do egzaminów i tak dalej, ale... dobrze się spisałaś, Caryn. To dla ciebie rzeczywiście wyjątkowa okazja.

Caryn opuściła głowę, żeby włosy zakryły jej twarz, wzięła torbę i książki, po czym wybiegła z gabinetu dyrektorki. Cambridge. Ta nazwa dzwoniła jej w uszach. Cambridge. Miała spróbować się tam dostać. Reszta popołudnia minęła jej jak w malignie. Wyjątkowa okazja. Słowa doktor Walsh bez przerwy kłębiły się jej w głowie. Nie mogła się

99

doczekać, żeby powiedzieć o tym Alice. Kiedy tego wieczoru siedziała w autobusie w drodze powrotnej do domu, z zaciśniętym żołądkiem przypominała sobie wszystko, co słyszała o tej uczelni.

- Cambridge? - powtórzyła Alice, a jej głos zdradzał, że była jeszcze bardziej oszołomiona od Caryn. - Żartujesz, prawda?

- Nie, nie żartuję. Pani Walsh wezwała mnie dziś rano. Wszystko zależy od stopni, jakie będę miała na maturze. Jeśli dostanę dwie szóstki i piątkę, zakwalifikują mnie z automatu, ale jeśli mi się nie uda, będę musiała zdawać dodatkowy egzamin w listopadzie i...

- W listopadzie? Drugi termin? - zapytała Alice zaniepokojona.

- Tak, ale zapłaci za to szkoła - wyjaśniła szybko Caryn. - Nie będziesz musiała...

- Och Caryn, kochanie - odezwała się Alice. Twarz jej pojaśniała. Córką miała wrażenie, że serce jej pęknie. W tej chwili uznała, że warto było zaciskać zęby - pracować w soboty, znosić snobistyczne dziewczyny i ich bolesne uwagi, a nawet cierpieć z powodu niemożności zaproszenia przyjaciółek do domu - wszystko to wydawało się niską ceną za widok twarzy matki w tym momencie. - Jestem z ciebie taka dumna! Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę uwierzyć! - Alice roześmiała się głośno. - Poczekajmy, aż ta przekłeta Margaret Fields się o tym dowie! - Przytknęła dłonie do twarzy. - Myślisz, że... - Zawahała się, uśmiech zniknął nagle z jej ust. - Myślisz, że jemu powinnam o tym powiedzieć?

- Komu?

- Twojemu dziadkowi. Och Boże, chyba go zatkało. Dałabym wszystko, żeby zobaczyć wtedy jego gębę!

Caryn popatrzyła na nią zaskoczona.

- Jeszcze się nie dostałam, mam - powiedziała niepewnie. - Może poczekaj z tym? Sama rozumiesz, mogą mnie nie przyjąć.

- Dostaniesz się, kochanie. Ja to po prostu wiem - Alice spokojnie skwitowała jej słowa.
- Możesz osiągnąć wszystko, co sobie zaplanujesz, Caryn. Zawsze taka byłaś. Zawsze. Od samego początku.

Wiadomość rozniosła się po szkole lotem błyskawicy. Caryn Middle-ton, NZNSK, została kandydatką na studia w Cambridge. Uwaga, jaką

100

teraz na nią zwracano, była nie do zniesienia i jednocześnie ją oszałamiała. Nauczyciele, z których kilkorga nigdy wcześniej nie widziała, zatrzymywali ją na korytarzu i gratulowali. Za każdym razem mamrotała słowa podziękowania, szczerze zdumiona tą skalą reakcji. A przecież nie zdała jeszcze nawet matury! Mogła ją oblać!

- Brednie - powiedziała Tory wyniośle, jakby sama zasiadała w komisji egzaminacyjnej.
- Nie oblejesz. Nie możesz.

- Nigdy w życiu niczego nie zawałaś - lojalnie podszeptnęła Nik.

Caryn aż się skurczyła w środku. Nienawidziła chwil, gdy była w centrum zainteresowania.

- Nie mówcie tak! - odezwała się. - Proszę!

- A dlaczego? Przecież to prawda, nie? - powiedziała zaskoczona Nik. Wpatrywała się w twarz zażenowanej Caryn. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, zazdrościła jej odrobinę. Marzyła, żeby obcy ludzie podchodzili do niej na korytarzu i mówili „dobra robota”, chwając ją za coś, czego dokonała sama, bez pomocy lub wtrącania się ojca. Jaka to musi być satysfakcja, gdy słyszy się własne nazwisko rankiem w auli - bez żadnego związku z tym, co RhoMine mogła zrobić lub nie zrobiła. Pomyślała psepnie, że jej nigdy coś takiego się nie przydarzy. Była przeciętną uczennicą, lecz zdaniem wszystkich miała wyjątkowe pochodzenie. Niewiarygodne bogactwo, luksusowe domy na całym świecie i sławny ojciec, który bezczelnie przekraczał czasem granice prawa, co nikomu nie przeszkadzało. Nie potrafiła wyjaśnić, że wcale tak nie było. Życie z Jimem Hartę'em przypominało chodzenie po krawędzi dymiącego wulkanu, gotowego wybuchnąć z powodu najbliższego pretekstu, tak pełnego wściekłej energii, że pozostali ludzie w porównaniu z nim robili wrażenie bardzo łagodnych. Jednak najgorsze w jej ojcu nie było gargantuiczne ego ani ostentacyjny brak szacunku dla zasad, zgodnie z którymi żyli i umierali inni - nie, najgorsze w byciu córką Jima Hartę było to, że najwyraźniej wszyscy zwracali na to uwagę poza nim. Zachowywał się tak, jakby zupełnie nie obchodziło go, kim lub czym jest, tak długo, jak trzymała się z dala od radaru jego irytacji. Jak Nik się przekonała, lekceważenie było karą najgorszą ze wszystkich. I cokolwiek słyszała o Caryn Middleton, wiedziała, że o niej nie da się tego powiedzieć. Nic dziwnego, że zazdrościła przyjaciółce. Caryn miała coś, o czym ona marzyła, ale była pewna, że nigdy tego nie zyska. Szacunek.

101

Tory słuchała ich obu jednym uchem. Cieszyła się z sukcesu Caryn, zwłaszcza zaś z tego, że tak bardzo to uszczęśliwiało przyjaciółkę, ale, szczerze mówiąc, sama Tory nie bardzo rozumiała, co było atrakcyjnego w fakcie, że zaplanowano komuś resztę życia, jeszcze zanim się naprawdę zaczęło. Wróciła myślami do krępującej rozmowy - podobnej do tej, jaką odbyła większość ich - z własnymi rodzicami sprzed kilku dni.

- A teraz porozmawiajmy o twoich formularzach do rady koordynującej przyjęcia na studia uniwersyteckie - powiedział ojciec wesoło. - Musimy zacząć je wypełniać.

- Moich formularzach do rady? - spytała Tory, zaniepokojona.

- Tak, niedługo upływa termin składania wniosków. Co chciałabyś studiować? Myślimy, że filologia angielska albo historia byłyby odpowiednie, biorąc...

- Jeszcze nie jestem pewna - odpowiedziała, pochylając głowę nad talerzem. - Nie zastanawiałam się nad tym.
- To na co czekasz? - zapytał ojciec, w jego głosie można było wyczuć irytację. Tory odłożyła ostrożnie nóż i widelec.
- Na nic. Na nic nie czekam. W tej chwili nie chcę po prostu o tym myśleć, to wszystko.
- Nie tym tonem, Tory, bardzo proszę - wtrąciła matka, podnosząc się z krzesła, żeby przynieść deser. Zaraz wróciła i zamasyżuje postawiła budyń na stole. - Martwimy się tym, to wszystko.
- A o co tu się martwić? Nie rozumiem. To moja decyzja. Chcę po prostu mieć na to trochę czasu. Po cholere ten pośpiech?

Gdy teraz o tym myślała, użycie przekleństwa wydało się jej złym pomysłem. Już po kilku sekundach rozmowa zmieniła się w awanturę, która - jak wszystkie kłótnie - kończyła się łzami matki, zaciętym, kamiennym wyrazem twarzy ojca i ucieczką Tory do swojego pokoju, gdzie siedziała na parapecie i paliła, czekając, aż złość i ból w jej piersi powoli przejdą. Słuchając teraz Caryn mówiącej o Cambridge, nabierała jeszcze wyraźniejszego przeświadczenia o własnym braku ambicji. Tak naprawdę

102

niewiele ją obchodziło, co będzie robiła, pod warunkiem że zostawi za sobą Hortensia Road, St Augustine, wścibskie oczy rodziców, nauczycieli, starych przyjaciół, opłacanego terapeuty i Jonathana, chłopaka, z którym się przespała. Początkowo nie dawał jej spokoju. Przez prawie trzy miesiące bez przerwy do niej wydzwaniał. Za każdym razem błagała matkę, by powiedziała, że nie ma jej w domu. Nie chciała go więcej widzieć. Nie chodziło o to, że traktowała go okropnie albo była na niego zła, ani nic z rzeczy, o które Nik ją oskarżała - nie, zupełnie nie. Nie bardzo wiedziała, jak to wyjaśnić. Cokolwiek zaszło między nimi tamtej nocy, wraz z jej upływem się skończyło. Dla niej to wystarczało. Nie chciała niczego więcej. Nie miała ochoty na trzymanie się z nim za rękę i prowadzenie po ulicach ani na słuchanie jego opowieści o rodzinie i przyjaciołach, zmuszanie się do śmiechu w odpowiednich momentach albo spuszczenie nosa na kwintę, kiedy jemu było smutno. Nie marzyła o wyczekiwaniu godzinami przy telefonie w nadziei, że zadzwoni, albo zastanawianiu się, gdzie się podziewał, gdy go obok niej nie było. Nie, nic takiego nie chciała. Napatrzyła się na to przy Susie i Robie. Choć byli doskonali pod każdym względem, zawsze mieli się o co kłócić... niekończący się, monotony cykl harmonii, awantur, godzenia się, buziaków na przeprosiny... to było nudne. Wymagało zbyt wiele trudu, a jej zostało niewiele sił, zbyt cennych, by je marnować. Nikt zdawał się nie rozumieć, jak dużo wysiłku kosztuje przebrnięcie przez dzień, odrobienie lekcji, unikanie czujnych oczu rodziców, niemyślenie o przeszłości. Kiedy już jakoś się z tym uporała, jej pokłady energii były niemal na wyczerpaniu. Dlatego tak bardzo polubiła Caryn i Nik. Pozwalały jej po prostu być. Nie usiłowały wciskać jej bez przerwy w jakieś ramy - lub czyjeś ramiona - które ich zdaniem byłyby dla niej najlepsze. Zadawały się nią taką, jaka była. Wszyscy inni chcieli, żeby była Susie - albo bardzo do niej podobna. Podejrzewała o to nawet Jonathana. Jenny powiedziała jej, że od wieków miał na Susie ogromną ochotę. Jasne, że ta wiadomość nie sprawiła jej przyjemności. Ale z tego też powodu tym mniej chętnie chciała się z nim widywać. Nie - chciała się uwolnić od nich wszystkich. Wszystkich! Oczywiście poza Caryn i Nik. To właśnie było zagwozdką. Jak miałyby uciec, nie tracąc także ich?

103

26

Estelle przekonała się, że panika jest doznaniem, z którym można nauczyć się żyć. Przyzwyczała się już do jej ataków, żywiołowej obecności. Zdała sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak bardzo nudziło ją albo irytowało Harare, Londyn okazał się

kompletnie innym światem. Wychowanie w Arcadii w ogóle jej na to nie przygotowało. W Arcadii -wierście lub nie - czuła się rozpieszczana. Wszyscy ją znali. W niewielkiej, zamkniętej społeczności, w której dorastała, była bezpieczna. Być może biedna, ale bezpieczna. W Londynie było inaczej. Jej poziom bezpieczeństwa zależał od pliku banknotów w torebce, a te już prawie wydała. Kiedy po raz pierwszy zjawiała się na Ladbroke Grove i obejrzała mały pokój z wąskim, niedużym łóżkiem i prawie niczym poza tym, przepełniła ją złość, nie panika. Nie tak to sobie zaplanowała.

Spojrzała na portmonetkę. Otwieranie jej nie miało sensu - dokładnie wiedziała, ile w niej zostało. Była splukana. I to kompletnie. Usiadła na brzegu łóżka i zapaliła papierosa. No dalej - upominała surowo samą siebie. Powinna się jakoś pozbierać, bo inaczej musiałaby spieniężyć powrotny bilet - a tego nie zrobiłaby pod żadnym, kurwa, pozorem. Gdy wyjeżdżała z Arcadii, była tak zdeterminowana tam nie wracać, że chciała kupić bilet w jedną stronę, ale nie pozwalały na to warunki otrzymania wizy. Wyrzuciła na wpół wypalonego papierosa przez okno i spojrzała na siebie w lustrze. Od przyjazdu do Londynu straciła na wadze, stała się wyższa, smuklejsza, starsza. Kości policzkowe zaostrzyły się, nadając jej twarzy dojrzałość. Ostatnie ślady dziecięcego tłuszczu przepadły - teraz była już naprawdę dorosła. Dorosła i zdesperowana. Skrzywiła się. Nie tak to sobie zaplanowała.

Rebecca i Amanda kłóciły się, kiedy pół godziny później weszła do kuchni. Nie mogła już dłużej wytrzymać samotności. Była gotowa zadowolić się choćby wymianą kilku słów przy parzeniu herbaty.

- Na pewno nie jest - powiedziała Rebecca, patrząc zaskoczona na wchodzącą Estelle. - Bzdury. Nie ma takiej siły...

- Właśnie, że jest, mówię ci - upierała się półgębkiem Amanda. -Bo skąd miałyby na te wszystkie rzeczy? Widziałaś, w co się ubiera?

104

I ten samochód, który parkował zeszłej nocy przed domem? Wiem, że jest. Po prostu to wiem. Estelle nie mogła się powstrzymać.

- O kim rozmawiacie? - spytała, zaintrygowana.

Rebecca przewróciła oczami.

- O dziewczynie, która właśnie wprowadziła się na górę, wiesz, do mieszkania na ostatnim piętrze. Nie wiem, jak się nazywa. Mandy uważa, że ona jest...

- prostytutką. - Amanda weszła jej w słowo, ściągając usta z dezaprobatą. - Oczywiście, że jest.

- prostytutką? - wymamrotała Estelle. Mieszała łyżeczką w kubku. - Skąd wiesz?

- Nie wie. - Rebecca zachichotała. - Zmyśliła to!

- Właśnie, że nie! Mówię wam. Wpadłam na nią zeszłego wieczoru - miała na sobie futro z nerek i...

- Och Mandy, noszenie futra z nerek nie robi automatycznie z kobiety prostytutki. - Rebecca roześmiała się. - Masz zbyt bujną wyobraźnię i na tym polega twój problem.

Estelle przestała słuchać. Nie miała zielonego pojęcia, czy podejrzenia Amandy dotyczące nowej sąsiadki są uzasadnione, ale tak naprawdę guzik ją to obchodziło. W portfelu zostało jej mniej niż sto funtów. Ostrożnie wysypała trochę cukru do kubka i wyszła z kuchni. Choć w ogóle nie miała ochoty na powrót do takiego życia, chyba nie pozostawało jej nic innego. Nadszedł czas, żeby robiła to, co umiała robić. I to by było na tyle, jeśli chodzi o przyjazd do Londynu, by zyskać sławę i majątek.

27

Tory trzymała kopertę w palcach i wolno ją obracała. Raz, drugi, trzeci... wpatrywała się w swoje dłonie. Wystarczyło, żeby wsunęła palec w niesklejone miejsce i otworzyła ją - ale nie mogła. Słyszała spokojne, miarowe bicie własnego serca i odgłosy zabawy dzieci po drugiej stronie ulicy. Za kilka minut, kiedy zbierze się na odwagę i otworzy ją,

będzie wiedziała. Wszyscy będą wiedzieli. Victoria Spiller oblała maturę. Albo cholernie niewiele do tego brakowało. W końcu dla nikogo nie będzie już zaskoczeniem coś, o czym ona zawsze wiedziała - nie była Susie. I nigdy nie będzie. Głęboko odetchnęła, rozdarła kopertę i wyjęła cienką białą kartkę.

Matka spojrzała na nią z obawą w chwili, gdy weszła do pokoju. Ojciec stał przy serwantce, starając się nie iść za przykładem żony. Zajmował się czymś - zauważyła, że odkręcał i zakręcał butelkę whisky - dopóki nie odchrząknęła i nie odezwała się.

- Jeden dostateczny i dwa dopuszczające - powiedziała szybko, nie patrząc na żadne nich.

Zapadła krepująca cisza. Matka chwyciła się dłonią za gardło.

- Dostateczny i dwa dopuszczające? - powtórzyła. Rozczarowanie w jej głosie było ewidentne.

- Tak. - Głos Tory zabrzmiał na tyle obojętnie, na ile potrafiła się do tego zmusić.

- Cóż, nie jest tak dobrze, jak byśmy chcieli - zaczął ojciec, daremnie siląc się na optymistyczny ton. - Ale zdałaś, prawda? A to najważniejsze.

- Tato, ledwo, ledwo mi się udało - powiedziała, wstydząc się z powodu nieszczerzej serdeczności ojca. Poczula, że łzy napływają jej do oczu. Odwróciła wzrok, mrugając zawzięcie powiekami. Kątem oka spostrzegła, że ojciec położył dłoń na spoczywającej bezwładnie na błyszczącym blacie stołu ręce matki. Delikatnie ją poklepał. To był typowy gest. Obróciła się i wyszła z pokoju. Żadne z nich nie zapytało, dokąd szła. To też było typowe. Wróciła po schodach do swojego pokoju, przebrała się w dzinsy, narzuciła na siebie kurtkę i po cichu wyszła z domu.

Wyłoniła się w pełnym słońcu z dusznego upału panującego na stacji metra przy King's Cross. Był gorący letni dzień. Zdjęła kurtkę i opasała się nią w talii. Tuż przy stacji zobaczyła bajecznie kolorowy stragan z kwiatami. Kupiła mały bukiet czerwonych i fioletowych piwonii. Patrzyła, jak kwiaciarka zręcznie przewiązała go fioletową wstążką. Zwi-

106

sała ona luźno z jej dłoni, gdy szła St Pancras Way, minęła gazownię, aż znalazła się przy parku ciągnącym się wzdłuż kanału. Pchnięciem otworzyła furtkę i ruszyła ścieżką, którą kiedyś chodzili holujący barki burłacy. Obok niej przepłynęła rodzina kaczek. Woda miała ciemną powierzchnię, była gładka i lśniąca. Doszła do drewnianej ławki i usiadła. Na ścieżce prawie nikogo nie było. Gdzieś dalej szczekał pies. Zbliżał się do niej ktoś na rowerze. Jego obraz rozmył się, gdy ją mijał, a potem zniknął. Siedziała zupełnie nieruchomo przez jakiś czas, nic nie robiła, o niczym nie myślała. Powietrze wypełniało mozolne brzęczenie os, przerywane okazjonalnie wyższym bzykiem pszczoły. Kwiaty leżały obok niej, zaczynały więdnąć w upale. Po kilku minutach wstała i podeszła do ściany budynku stojącego przy parku. Uklękła, odgarnęła ziemię i oparła bukiet o mur. To właśnie tutaj zdaniem policji wszystko się stało. Dokładnie w tym miejscu. Przyszpilił ją do ściany - tego szczegółu nie powinni zdradzać. Tory nawet nie pamiętała, kto o tym powiedział - policjant? Trzech przyszło do nich tamtego wieczoru: dwóch mężczyzn i jedna młoda policjantka, z cierpieniem wypisanym na twarzy. Tory zobaczyła ją z góry schodów, zanim ojciec wrzasnął, żeby wracała do łóżka. To, rzecz jasna, było niemożliwe. Gdy znaleźli się w salonie, wiedziała, że stało się coś strasznego - nie miała jedynie pojęcia, jak straszne się to okaże.

Obróciła się, przykucnęła i rozejrzała dookoła. W jej kierunku szła starsza kobieta z małym kudłatym psem. Na twarzy miała przyjazny uśmiech. Toiy widziała ją już wcześniej - prawdę mówiąc, kilkakrotnie. Dawniej, zaraz potem, kiedy to się stało, codziennie przynosiła tu kwiaty, dotykała ziemi i myślała o końcowych chwilach siostry. Tu także ostatni raz widziała Roba, chłopaka Susie. Któregoś wieczoru szła ścieżką - może w trzecim albo czwartym

tygodniu po pogrzebie - i zobaczyła go, jak stał z rękami w kieszeniach i wpatrywał się w wodę. Przystanęła obok niego i odwróciła wzrok, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Nie spotkała go ani z nim nie rozmawiała od pogrzebu, kiedy tkwił milcząco obok swojej matki. Miał wystudiowany wyraz twarzy, przypominający malunek, który mógł zaraz popękać. Tory rozpoznała ten wygląd - ona również nosiła taką maskę. Po kilku minutach obrócił się i odszedł w przeciwną stronę, i tyle. Nigdy więcej go nie widziała.

107

Co teraz robił? - zastanawiała się. Słyszała od matki, która natknęła się gdzieś w mieście na jego matkę, że wyjechał z Wielkiej Brytanii... Do Wietnamu? Tajlandii? Coś w tym rodzaju. Cóż, jego życie toczyło się dalej, podobnie jak jej.

- Tęsknię za tobą, Suze - wyszeptwała, dotykając łąty ziemi, gdzie położyła kwiatki. - Bardzo bym chciała, żebyś nadal tu była.

Kobieta z psem stała nad brzegiem kanału i patrzyła na nią. Tory wstała, otrzepała kolana i odwróciła się od niej. Policzki miała mokre. Współczujący wzrok obcej osoby był ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Odbiegła, nie oglądając się za siebie. Może nadszedł czas, żeby i ona wyjechała?

28

Powinna wziąć niewielką białą kartkę i zanieść ją matce, która siedziała przy stole w kuchni i paliła papierosa za papierosem, czekając, aż Caryn podzieli się z nią wiadomościami.

Popatrzyła na nią nerwowo w chwili, gdy koperta wpadła do mieszkania przez szczelinę na listy. Caryn wzięła ją bez słowa i pobiegła na górę do swojego pokoju. Ponownie spojrzała na papier. Powinna zejść na dół i przerwać mękę niepokoju Alice, ale tego nie robiła. Siedziała na brzegu łóżka, wyglądała kartkę, przesuwała palcami po załamaniach na jej powierzchni i wpatrywała się w cztery oceny wydrukowane małymi literkami, będące kulminacją jej całej pracy przez ostatnie dwa lata - cztery słowa, które miały zmienić jej życie. „Angielski: celująco; francuski: celująco; historia: celująco; historia sztuki: celująco”.

Nie było konieczności powrotu do St Augustine na dodatkowy semestr. Żadnego wkuwania do egzaminów na Oksford lub Cambridge w listopadzie. Prawdę mówiąc, nie musiała już zdawać żadnych egzaminów. Dostała się. Dokonała tego. Jej życie miało się zmienić. Ukryła twarz w dłoniach, zrzuciła budzik z szafki, oszołomiona emocjami. Za trzy miesiące będzie „awansowana” do Cambridge. Nie miała, co prawda, zielonego pojęcia, co to właściwie oznaczało. Tylko raz pojechała na rozmowę kwalifikacyjną do Magdalene College. Udały się tam pocią-

108

giem z doktor Fox. Właściwie trudno jej było uwierzyć, że ma przed sobą przyszłość, o której wszyscy mówili z takim respektem. Musiała jednak włożyć w to wystarczająco dużo pracy.

Pokój w pięknym budynku z czerwonej cegły też należałby wtedy do niej. Razem z kilkorgiem zdenerwowanych chłopaków i dziewczyn, których spotkała tamtego dnia, miałyby mijać nieskazitelnie przycięte trawniki w drodze na wykłady... Rozkład zajęć, który widziała, też byłby dla niej. Rzad książek na półce nad łóżkiem też należałby do niej. Przerwała, prawie niezdolna do wyobrażenia sobie tego wszystkiego. Ona, Caryn Middleton, to osiągnęła.

Przerosła oczekiwania wszystkich, nawet własne. Powoli wytarła policzki.

Słyszała, jak na dole w kuchni Alice chodzi nerwowo w tę i z powrotem. Podniosła się. Nagle w jej ruchach pojawiła się niesłychana lekkość, jakby ktoś zdjął z niej jakiś ciężar i ją uwolnił. W miarę schodzenia w dół to wrażenie się nasilało. Spostrzegła w twarzy Alice gorączkowe napięcie - zdała? Czy ona...? Skinęła głową bo nie dowierzała własnemu głosowi. Ta chwila zatrzymała się i trwała. Wpatrywały się w siebie, nie towarzyszył temu żaden dźwięk poza powolnym, miarowym tykaniem zegara nad kredensem i oddechem Alice, której pierś unosiła się i opadała. Matka zgasila papierosa w zlewku, a kiedy się obróciła, Caryn zobaczyła łzy w jej oczach.

Sama w swoim pokoju, sama w całym domu, sama z niewielką kartką białego papieru, Nik raz po raz na nią spoglądała. Zdała. Prawdopodobnie nie tak dobrze jak Caryn albo Tory, ale udało się jej. To najważniejsze. To drugie - coś, o czym nikomu nigdy nie powiedziała, nawet najlepszym przyjaciółkom - stało się możliwe, pewne. W ostatniej chwili, za wiedzą jednego czy dwóch nauczycieli z St Augustine, złożyła papiery do University College London na wydział filologii angielskiej. Z jedną oceną celującą i dwiema bardzo dobrymi miała zapewnione miejsce. I nie było nikogo, z kim mogłaby się podzielić tą wiadomością. Oparła się o wezłowie łóżka, w głowie miała mętlik. Nie była nawet pewna, jak do tego doszło, dlaczego podjęła taką decyzję. Na dwa dni przed końcem terminu składania podań weszła po schodach do biblioteki, skręciła na górze w lewo i zapukała do drzwi gabinetu wychowawczynie. June Whitby wysłuchała jej uważnie, przesunęła po stole

109

kwestionariusze i nie odzywała się słowem, gdy Nik je wypełniała. Miesiąc później siedziała po drugiej stronie biurka komisji kwalifikacyjnej w słonecznym pokoju przy Torrington Place i odpowiadała na pytania tak szczerze, jak umiała. Po pewnym czasie dostała list. „Szanowna Pani, z przyjemnością informujemy, że może Pani zostać przyjęta na wydział filologii angielskiej UCL pod warunkiem...” Schowała to pismo na dnie jednej z szuflad i nikomu nic nie powiedziała. Nikomu. Ostatni element układanki znalazł się gładko na właściwym miejscu i dostała się. Ale co teraz?

W domu panowała cisza. Snop słonecznego światła wyostrzył się na dywanie obok łóżka. Środek lata w Londynie. Środek zimy w Harare. Za kilka dni miała lecieć do Zimbabwe, choć nikt nic nie powiedział, co miałyby tam robić. W rzeczywistości, poza kilkoma przypadkowymi rozmowami, kiedy coś tam mamrotała, mijając ojca i Molly, gdy byli w Londynie, niewiele mówiło się w ich domu o czymkolwiek. A trudno było zgadywać. Jim Hartę należał do mężczyzn, którzy kwitną, gdy sprawują pełną kontrolę - nad wszystkim. Nad interesami, posiadłościami, synami, żoną... wszystkimi, poza Nik. Szczycił się drobiazgowym zwracaniem uwagi na każdy szczegół: „Nikt nie robi nic dla ciebie tak dobrze jak ty sam”. Tak najwyraźniej brzmiała mantra, zgodnie z którą żył, a mimo to nie był w stanie dać jej niczego poza pobieżnym zainteresowaniem - była karmiona, ubierana, miała dach nad głową, posyłano ją do szkoły... i tyle. Cała jego opieka rodzicielska. Dopóki nie pakowała się w kłopoty i nie zwracała mu głowy, wszystko było w porządku. Ale Nik chciała więcej. Widziała, jak to jest, kiedy pada na kogoś uważne spojrzenie Jima Harte'a. Widziała, jak ciężko Shaun i Patrick pracowali, żeby go zadowolić, dać mu powód do dumy. Zauważyła subtelny różnicę w wysokości głosów, gdy wchodził do pokoju. Jim Hartę miał wokół siebie przestrzeń, którą wszyscy znajdujący się na jego orbicie chcieli wypełnić. Nikt nie potrafił się temu oprzeć - nawet mała Jessica, zaledwie sześciolatka, ulegała jego czarom. Dowodem na przywiązywanie przez niego wagi do najmniejszego szczegółu było to, że dostrzegał ich oddanie, karmił się nim i czasami robił nieznaczny gest niespodziewanej czułości, który sprawiał, że wszyscy wokół wychodzili z siebie, złaknieni takich łask. I nikt ich bardziej nie potrzebował od Nik.

110

Usłyszała, że drzwi na dole otworzyły się i zamknęły, a kilka sekund później zaczęło cicho grać radio w kuchni. Przyszła pani Jenkins ugotować kolację. Nik westchnęła. Za kilka minut miała zamiar umyć twarz, uczesać włosy i zejść na dół, ściskając w ręku białą kartkę. Usiądzie potem na stołku, przesunie papier po stole i będzie patrzyła na twarz pani Jenkins. I jak zawsze to pani Jenkins powie jej kilka słów uznania, uśmiechnie się, może nawet otworzy butelkę wina... Gdy nie było nikogo innego, zawsze zwracała się do pani Jenkins. Ale to nie było to samo. Anne Jenkins miała własne dzieci, którymi musiała się opiekować, martwić się

o nie i je besztać. W takich chwilach jak ta pragnienie pochwały ze strony Jima niemal ją obezwładniało. Niebezpieczna ambicja. Ale Nik zbyt mocno stapała po ziemi. Tego się w życiu trzymała. Uważała, że mimo wszystko nie było wiele sensu we wdychaniu do czegoś, co najprawdopodobniej nigdy nie nastąpi. Jednak czy nie byłoby cudownie - choćby raz - znaleźć się w centrum jego uwagi z powodu innego niż niezadowolenie? Czy nie byłoby jak w bajce, gdyby jego stalowobłękitne oczy popatrzyły na nią z dumą? Stłumiła powieką palącą łzę, która niespodziewanie pojawiła się w kąci oka, i ze złością wytarła policzek. Jezu, przecież płacz nie miał sensu. Źródło jej frustracji znajdowało się prawie dziesięć tysięcy kilometrów stąd i mogła być stuprocentowo pewna, że on na pewno nie myślał o niej.

Caryn popatrzyła na Tory, a potem znowu na Nik.

- Ale dlaczego nam nie powiedziałaś? - zapytała, świadoma tego, że zabrzmiało to żałośnie nawet w jej własnych uszach.

Nik wzruszyła ramionami. Twarz miała zarumienioną, co nie było dla niej typowe.

- Nie wiem. To... to jakoś tak się samo zrobiło - odpowiedziała bez przekonania.

- Samo się zrobiło? - powtórzyła Caryn. - To ja gadam jak najęta o Cambridge od miesiący, a ty nie pisnęłaś nawet słowa?

- Posłuchaj, nie byłam pewna, czy się dostanę. W każdym razie to już za nami. Obie będziemy studiować, a ty... - Nik obróciła się do Tory, bardziej niż chętna, by odwrócić od siebie uwagę - ...kiedy znowu wyjeżdżasz?

111

- Za parę tygodni - odpowiedziała Tory nonszalancko. Zapaliła papierosa. - Niezbyt im się to spodobało, ale...

- Pisarz? - Nik zrobiła minę. Była pod wrażeniem. - Jakie książki pisze?

- Nie jestem pewna - rzekła Tory, wydmuchując kłęb dymu. - Jest jakimś tam profesorem. Filozofii. Ojciec zna jego żonę.

- To brzmi tak... dorośle - wtrąciła Caryn. W jej głosie słychać było nutę zazdrości. - Własne mieszkanie w Paryżu!

Tory wzruszyła ramionami.

- Nie znam ich. Mogą się okazać kompletnymi palantami. - Uśmiechnęła się niespodziewanie. - Kto wie? - Zgasiła papierosa i ujęła twarz w dłonie. - Ważne, że to daleko stąd, to wszystko. Chyba nie wytrzymałabym kolejnego miesiąca z rodzicami. Myślę, że oni nigdy nie pogodzą się z tym, że nie idę na studia. Dla nich to koniec świata.

- Ale przecież możesz jeszcze studiować, to znaczy później, chciałam powiedzieć - odezwała się Caryn z niepokojem. - Jak wrócisz.

Tory zdecydowanie pokręciła głową.

- Mówisz dokładnie tak jak Foxy. Nie będę studiowała. W tym sęk. Nie mam ochoty uczyć się czegoś przez trzy lata tylko dlatego, że rodzice tego chcą. A mnie guzik obchodzi, czego oni chcą.

- A co z twoją przyszłością? - zapytała Caryn cicho. - Jaką będziesz miała przyszłość, jeśli...

- Własną - odpowiedziała Tory, również cicho. Odwróciła wzrok. - O to właśnie chodzi, nie rozumiesz?

Powietrze drżało lekko od upału. Włosy Caryn tworzyły ciężki zwój na jej karku. Uniosła je i poczuła wilgotny, chłodny powiew na skórze. Tory miała rację. Tak jak dla niej studia w Cambridge były wszystkim, a dostanie się na UCL całym światem dla Nik, pójdzie własną ścieżką stało się dla Tory właściwym wyborem. Upiła długi łyk zimnego drinka.

- Obiecujemy sobie coś - powiedziała niespodziewanie, patrząc na nie obie. Oczy jej błyszczały. - Jaki dzień dziś mamy?

- Czternasty sierpnia - odpowiedziała Nik, spoglądając na zegarek.

- Każdego roku... - zaczęła Caryn, sięgając nad stołem i biorąc je obie za ręce -
...czternastego sierpnia każdego roku - niezależnie od
112

tego, gdzie będziemy - spotykajmy się. Nie zniosłabym myśli, że każda z nas pójdzie własną drogą gdybym miała nigdy więcej was nie zobaczyć.

- Pewnie, że będziemy się widywały - odezwała się Nik, nagle bardzo mocno mrugając.
- Na zawsze zostaniemy przyjaciółkami. Na zawsze.
- Obiecujecie? - Caryn wpatrywała się w nie obie.
- Obiecuję.
- Obiecuję.

29

W chwili gdy rozległo się walenie do drzwi, Caryn wiedziała, kto za nimi stał i - co gorsza - dlaczego.

- Otwierać! Policja! - krzyki rozdarły poranną ciszę.

Wyskoczyła z łóżka, złapała szlafrok zawieszony na drzwiach i zbiegła po schodach. Brian już się obudził, usłyszała jego płacz. Poprzedniego wieczoru Alice wzięła dwie tabletki na sen - nic by jej teraz nie do-budziło. Caryn potknęła się przy drzwiach, gdy szukała ręką włącznika światła. Uchyliła drzwi. Stało za nimi czterech policjantów w mundurach i mężczyzna w ciemnoszarym płaszczu. Jeden z nich wyciągnął odznakę. Serce podeszło Caryn do gardła. Widziała wystarczająco wiele kryminałów, by wiedzieć, co będzie dalej. Ludzie w oknach naprzeciwko rozsuwali zasłony, żeby sprawdzić, co się, do cholery, dzieje.

- Wydział Specjalny. Czy mieszka tu Owen Middleton? - zapytał mężczyzna w płaszczu.

Skinęła głową i otworzyła drzwi na całą szerokość. Odsunęła się na bok, gdy czwórka w mundurach weszła do środka. Słyszała coraz głośniejszy płacz Briana. Owen na pewno już nie spał. To prawdziwe szczęście, że mieszkali na ósmym piętrze - pomyślała, gdy jeden z policjantów mówił coś do walkie-talkie - w przeciwnym razie Owen spróbowałby pewnie wyskoczyć przez okno.

- Jest w domu? - zapytał policjant.

Ponuro skinęła głową.

- Czy... czy mogę zająć się młodszym bratem? - spytała. - Zabiorę go do mojego pokoju. Nie chcę, żeby widział...

117

- W porządku, maleńka - odpowiedział ten sam policjant, nawet uprzejmie. Łzy napłynęły Caryn do oczu. Wbiegła po schodach i załomotała do drzwi Owena. Otworzył je, niezdolny do spojrzenia jej w oczy. Był już ubrany. Chwyciła Briana za rękę, gdy chłopczyk zanosił się płaczem ze strachu, i zabrała go do swojego pokoju.

- Zostań tu - wyszeptwała, opatulając go kołdrą. - Za minutkę wrócę.

- Gdzie idzie Owen?! - darł się malec. - Czy to policja?!

Serce Caryn się ścisnęło.

- Owen ma im pomóc coś znaleźć - szepnęła tonem, który miał dodać mu otuchy. - Wróci, zanim się zorientujesz. Zostań tu, dobrze?

Brian skinął głową nadal płacząc pod kołdrą. Caryn kilka razy głęboko odetchnęła i starała się uspokoić. Potem zamknęła za sobą drzwi i zeszła po schodach.

Wszystko rozegrało się w kilka minut. I w niczym nie przypominało filmu z telewizji. W rzeczywistości było bardzo prozaiczne. Owen stał z lekko rozstawionymi nogami, ręce trzymał za plecami i czekał na skucie kajdankami. Caryn przystanąła u podnóża schodów i czuła, jak w krtani narasta jej ogromna gęsia skórka. Gdzie się Owen tego nauczył? Jak stać z nogami lekko rozstawionymi i czekać cierpliwie na skucie z pochyloną głową? Jego postawa dobitnie

wyrażała porażkę. Cała piątka zniknęła niemal bez słowa. Caryn słyszała zamykanie drzwi na całej długości korytarza. Po prostu kolejne aresztowania. Będzie o czym plotkować rankiem, ale tak naprawdę nie było powodu do niepokoju. Osunęła się na schody. Matka nadal spała. Serce powoli znowu podchodziło jej do gardła. Za sześć tygodni miała zacząć studia w Cambridge. Skoro Owena nie będzie w domu, nie mogła wyjechać. Po prostu i tyle. Doktor Fox wpatrywała się w Caryn. Nadal nie mogła w to uwierzyć. Dziewczyna przyszła do niej tego ranka i zakomunikowała, że nie może skorzystać z przyznanego jej miejsca w Cambridge. Z powodu problemów rodzinnych. Jakich problemów rodzinnych? Słuchała, nie panując nad opadaniem szczęki, gdy Caryn jej to wyjaśniała. I oto miała przed sobą wszystko w całej ohydzie. Starszy brat w więzieniu, matka nie-dająca sobie rady i opieka społeczna strasząca, że umieści najmłodszego brata w domu dziecka. Tak, to rzeczywiście wyglądało na problemy ro-

118

-
-
dzinne, jak z książki doktor Fox, ale najsmutniejsze w tym było to, że nikt, do jasnej cholery, nie mógł nic na to poradzić. Westchnęła, sama bliska łez. Niezależnie od tego, jak bardzo się starali, żeby pomóc dziewczynom stypendystkom, fakt pozostawał faktem - rzadko się to udawało. Strasznie smutne, ale prawdziwe. Caryn Middleton była jedną z ich największych nadziei, należała do uczennic, które można z uzasadnioną dumą dawać za przykład na radach pedagogicznych. Była uczennicą, której postępy zapewniały każdemu dobre samopoczucie, a w szczególności członkom władz szkoły. Uwielbiali bowiem, jak zresztą każdy, historie o biednej dziewczynie, która osiąga życiowy sukces. Każdego roku wydawali spore sumy, usiłując przekonać wszystkich wokół, że nie dbają wyłącznie o elitę, że mają głębokie poczucie obowiązku wobec dziewcząt, dla których los nie był przychylny i tak dalej. W szaradzie tworzenia egalitarnego wizerunku Caryn Middleton była nieczęsto trafiającym się, cennym atutem. Uniwersytety, takie jak Oksford i Cambridge, miały wyjątkowy dług wdzięczności wobec szkół podobnych do St Augustine, zwłaszcza teraz, kiedy wywierano na ich władze naciski, by przyjmowały więcej studentów ze szkół państwowych. Dobry Boże. Jaka cholerna szkoda. Ponownie spojrzała na Caryn. Dziewczyna bardzo dzielnie nadrabiała miną. Na pewno nie była z tych, którym zależało na współczuciu, ale niech to szlag trafi - ona jej współczuła. Fox ogromnie jej współczuła.

- To fatalnie - powiedziała w końcu, krzywiąc się, bo była świadoma, że to ogłędne stwierdzenie. - Naprawdę fatalnie.

Caryn skinęła głową.

- Bardzo przepraszam za to, że wszystkich tak zawiodłam - zaczęła po prostu.

Doktor Fox uniosła rękę, przerywając jej.

- Nie martw się o wszystkich, Caryn. Dla mnie ty jesteś najważniejsza. Myślisz, że... mogłabyś spróbować ponownie w przyszłym roku? Zrobiłabyś roczną przerwę? W dzisiejszych czasach wiele dziewcząt tak robi. Roczna przerwa... mogłaby... - Przerwała.

Wyobrazenie sobie kogoś pokroju Caryn, robiącego roczną przerwę w nauce, żeby przewędrować Patagonię, było równie niemożliwe jak to, że sama zaczęłaby grać w krokieta. Caryn wyratowała ją z kłopotliwego położenia.

119

- To mógłby być pomysł - powiedziała, rozpaczliwie starając się, żeby jej głos brzmiał rzeczowo. - Będę... będę panią informowała, jak sprawy stoją. - Wstała.

Doktor Fox zorientowała się, że dziewczyna jest na tyle dobrze wychowana, by wiedzieć, iż krótkie spotkania powinny być szybko kończone. I miała rację. Zostało niewiele do powiedzenia. Tak, to nie do pomyślenia, żeby jej młodszy brat został sam pod opieką

niezrównoważonej psychicznie matki, a jeszcze bardziej niefortunne byłoby, gdyby chłopca oddano do domu dziecka. Beznadziejność tej sytuacji przytłaczała. Fox patrzyła za Caryn wychodzącą szybko z jej gabinetu.

- E... doktor Fox - odezwała się dziewczyna niespodziewanie, gdy doszła do drzwi. - Tak się właśnie zastanawiałam... muszę szybko znaleźć pracę. Czy pani albo pani Lowe mogłybyście napisać mi referencje? >

- Oczywiście, sama je napiszę, Caryn - odpowiedziała doktor Fox, czując ulgę na samą myśl, że będzie przydatna. - Nie ma o czym mówić. Naprawdę chętnie się tym zajmę. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

I to było wszystko. Drzwi się za nią zamknęły. Kolejna stypendystka przepadła z niespełnionymi marzeniami. Cztery oceny celujące i ogrom pracy poszły na marne. Co za smutne, cholerne marnotrawstwo!

Caryn szła szybko korytarzem, ignorując pytające spojrzenia pań z administracji. Płakała, czuła, jak ciepłe łzy płyną jej po policzkach. Otworzyła frontowe drzwi i ruszyła przez trawnik. Wszystko wskazywało na to, że była to jej ostatnia wizyta w St Augustine.

Dokładnie to obliczyła. Jedenaście dni temu przyszła do nich policja; dziewięć dni temu Alice została przyjęta do szpitala Homertone po „przypadkowym” przedawkowaniu i trzy dni temu wróciła do domu; tydzień temu dwie kobiety z opieki społecznej przyszły, żeby ocenić sytuację, a dwa dni temu wróciły i powiedziały, że Brian powinien znaleźć się w domu dziecka. Przy śniadaniu przyglądała się uważnie braciszкови, maczając ostrożnie ziemniaczane chipsy w sosie pomidorowym - jego śniadaniu! - a on uśmiechał się do niej z pełną buzią. I w tym momencie decyzja zapadła. Jak mogła nawet pomyśleć o odejściu? Przez prawie całe życie Briana to ona go karmiła, ubierała, kąpała, czytała mu przed snem. Nie był już niemowlęciem, ale to nie oznaczało, że mniej jej potrzebo-

120

wał. Była tak podekscytowana studiami w Cambridge, że nawet przez chwilę nie zastanawiała się, co to będzie oznaczało dla niego albo dla niej. Na jaki los by go skazywała? Za kilka lat włóczyłby się wieczorami po ulicach tak samo jak Owen, zadawał z nieudacznikami podobnymi do Digby'ego i prosił się o kłopoty. Po kolejnych trzech, czterech latach zmierzałby prosto do Pentonville, czyli dokładnie tam, gdzie niebawem miał wylądować Owen. Trzy lata za posiadanie z zamiarem sprzedaży - mieszkając na tym osiedlu, Caryn wiedziała, jaka czeka go kara. Wyjdzie po dwóch za dobre sprawowanie, choć trudno było uznać to za prawdopodobne. Traciła jednego brata, co było wystarczająco złe, ale nie mogła sobie pozwolić na stratę obu. Zdała sobie sprawę, że nie myśli już w ogóle o Cameronie, nie miała pojęcia, co się z nim dzieło. Otarła policzki, zgarbiła ramiona i poszła szybko do metra. Oglądanie się za siebie, rozmyślanie o tym, co mogłoby być, nie miało sensu - powiedziała do siebie stanowczo w duchu. To tylko pogorszyłoby wszystko.

Na szczęście, gdy wróciła do mieszkania, panowała w nim cisza. Brian bawił się na dworze, a Alice nadal leżała bez świadomości. Caryn szybko wbiegła po schodach i rzuciła się na łóżko. Tam, tylko tam, otulona znajomym zapachem poduszek, otoczona książkami, do których nie będzie już zaglądała, mogła poddać się bólowi.

Tamtego wieczoru, z oczami nadal zapuchniętymi od szlochu, którego nie potrafiła powstrzymać, przygotowała kolację dla Briana. Nawet jeśli coś zauważył, nic nie powiedział.

- Mogę dostać więcej? - zapytał, trzymając przed sobą wylizany do czysta talerz. Musiała się uśmiechnąć.

- Wiesz, że nie powinieneś tego robić - powiedziała, biorąc od niego talerz. - Nie jesteś zmywarką do naczyń.

- Właśnie, że jestem zmywarką do talerzy - oznajmił, zadowolony z własnego żartu. Nałożyła mu makaron i sos na talerz i postawiła przed nim. - Jestem głodny.

- Co jadłeś na obiad? - zapytała, bojąc się z góry jego odpowiedzi. Alice prawdopodobnie zapomniała o obiedzie dla dziecka.

- Nic - odpowiedział rzeczowo. - Mama spała.

121

Zagryzła usta i odwróciła wzrok. Kiedy Owen był w domu, pilnował przynajmniej, żeby Brian jadał mniej więcej regularnie, gdy ona szła do szkoły. Teraz go zabrakło, a matka prawie nie wychodziła ze swojego pokoju, więc nie było nikogo, kto zadbałby o jakiś posiłek dla małego, nikogo, kto by go zapytał, czy chciałby wyjść na dwór i się pobawić. Wyjrzała przez okno w kuchni na zdewastowaną fasadę Cheney House po przeciwnej stronie. Tak, chciała opuścić osiedle Miliona, ale nie w taki sposób. Nie mogła odwrócić się plecami do ludzi, których kochała najbardziej na świecie. Studia na uniwersytecie nie były jedynym sposobem na wyrwanie się w świat - ciężka praca, odpowiednia postawa, znalezienie się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie... to również były dobre sposoby na odniesienie sukcesu. W prawdziwym świecie - nie w tym bajkowym Nik, Tory i innych dziewcząt z St Augustine, które były do nich podobne - człowiek jest ko waleta własnego losu. Pomaganie innym, co nagle sobie uświadomiła, dawało czasem większą satysfakcję niż dbanie tylko o siebie. Chciała czegoś innego dla Briana, czegoś więcej, niż dostał Owen.

- Jestem pełny! - zawołał Brian, wrywając ją z zamyślenia.

- To dobrze. Możesz teraz oglądać telewizję, ale nie dłużej niż przez dziesięć minut - powiedziała odruchowo, nalewając do zlewu płynu do zmywania. - Dziesięć minut, słyszysz?

- OK. - Brian westchnął z przesadą gdy zsuwał się z krzesła.

Caryn popatrzyła na niego i nie umiała powstrzymać uśmiechu. Choć bardzo cierpiała, to chyba jednak podjęła słuszną decyzję.

30

Ściskając w dłoni adres, z walizką objijającą się jej o nogi, Tory wysiadła na Odeonie zgodnie ze wskazówkami ojca. Przeszła na drugą stronę ulicy i ruszyła rue Saint Sulpice, skręciła w lewo w rue Bonaparte i tam... zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć tabliczkę z nazwą... tak, doszła do rue de Mezieres. Przełknęła ślinę. Pod numerem siedemnastym stała imponująca, wyblakła kamienica z misternymi balustradami balkonów z kutego żelaza i wysokimi, eleganckimi okiennicami.

122

Wyglądała na niedostępne, bardzo, bardzo drogie miejsce. Tory była w Paryżu dopiero od godziny i stało się dla niej zupełnie jasne, jaki rodzaj towarzystwa ją tu czekał. Z trudem przypomniała sobie, co ojciec powiedział jej o Inès de Courcy i jej mężu, Thierryem.

Wiedziała, że poznali się na jakiejś konferencji piętnaście lat temu, a może jeszcze dawniej, i wtedy narodziła się nieprawdopodobna przyjaźń między szykowną paryską uczoną i ojcem Tory, trochę roztargnionym profesorem z Anglii. Przez wszystkie minione lata utrzymywali kontakt. Thierry był drugim mężem Inès. Jak przez mgłę Tory przypominała sobie, że rodzice pojechali na ich ślub do Paryża. Na pogrzeb Susie Inès przysłała gigantyczny wieniec z białych lilii - miała żywo w pamięci ich widok, gdy leżały na fortepianie owinięte w sztywny, lśniący celofan. Matka położyła je potem na trumnie. Tory zatrzymała ten tok myślenia. Teraz znalazła się tutaj, u Inès w Paryżu. Przez następne kilka miesięcy tu będzie jej dom. A tylko to się liczyło.

Nadal nie mogła uwierzyć, że to zrobiła. Znalazła pracę, dach nad głową i sposób na wydobycie się z dławiącej atmosfery rozczarowania, która zdominowała dom przy Hortensia Road. Mówiąc prawdę, pomysł wyszedł jednak od jej ojca. Któregoś dnia przy śniadaniu oznajmiła, że myśli o wyprowadzeniu się z domu, a zaniepokojeni tym rodzice natychmiast przystąpili do działania. Już po tygodniu wszystko zostało ustalone. Nowa książka Thierry'ego de Courcy miała wyjść niedługo po angielsku, dlatego potrzebował kogoś, kto sprawdziłby przetłumaczony tekst i wklepał go do komputera - Tory potrafiła pisać na

komputerze (mniej więcej), tworzyć i zapisywać pliki - a najwyraźniej to właśnie miały być jej główne obowiązki. A więc dlaczego nie? Dziewczyna skwapliwie przyjęła tę propozycję. Nacisnęła dzwonek. Ramiona bolały ją od dzwigniania walizki. Podróż zajęła jej praktycznie cały dzień. Ojciec zawiózł ją tego popołudnia na Heathrow, cały czas coś jej doradzał i opowiadał, co powinna zobaczyć w Paryżu. Słuchała go jednym uchem. Poza wyjazdem z Londynu niewiele ją w tej chwili interesowało. Ponownie nacisnęła dzwonek. Urocze, bladezielone okiennice patrzyły na nią z góry niewidzącymi oczami. Odgłosy ruchu na boulevard Saint Germain, o kilka przecznic dalej, docierały tu wytłumione, podobnie jak światło późnego popołudnia, filtrowane przez starannie przycięte drzewa. Gdzieś nad jej głową zaśpie-

123

wał ptak. Usłyszała zachrypnięty warkot motocykla przyspieszającego na ulicy w oddali. Tu panował wyjątkowy spokój.

- Oui? - Z małego głośniczka zamontowanego na ścianie rozległ się władczy głos. Tory podskoczyła.

- Ma... madame de Courcy? - zapytała z najlepszym francuskim akcentem, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Entrez, s'il vous plaît.

Brzęczyk zaterkotał. Otworzyła ciężkie drewniane drzwi i weszła na niewielki, doskonale urządzonej dziedziniec z wielkimi terakotowymi donicami pełnymi kwiatów i starannie przyciętymi młodymi drzewkami. Spojrzała do góry. Kamienica wznosiła się wokół niej z czterech stron, przyprawiając o zawrót głowy - czy aby na pewno był to jeden dom? Z boku znajdowały się kolejne drzwi, prowadzące do środka. Kiedy się do nich zbliżyła, kliknięcie dało jej znać, że zostały otworzone. Na górę prowadziły gustowne schody. Powlokła za sobą walizkę na ostatnie piętro i stanęła przed uchylonymi drzwiami, niepewna, czy ma wejść do środka. Przez szparę widziała lśniący parkiet i kawałek wzorzystego perskiego dywanu. I wtedy drzwi otworzyły się na oścież. Przystojny mężczyzna o czarnych włosach przyprószonych siwizną na skroniach patrzył na nią z góry. Był bardzo wysoki. W końcu niewiele osób mogło oglądać czubek jej głowy.

- Edith? Veuillez prendre la valise de M'selle Spiller, s'il vous plaît -zwrócił się do stojącej za nim pokojówki w fartuszkach. - Victoria, jak się domyślam? Powinnaś była do nas zadzwonić - powiedział poprawnym angielskim z bardzo silnym akcentem. - Wysłałibyśmy po ciebie samochód. - Ton jego głosu był bezceremonialny, mówił cicho. Tory trochę się przestraszyła. Brzmiało to niemal jak reprimenda.

- Cóż, ja... nie chciałam nadużywać uprzejmości - odpowiedziała szybko, oddając walizkę. - Zresztą to niedaleko. Metro działa doskonale...

- Tak, dobrze... entrez - przerwał jej, szerzej otwierając drzwi. - Jestem Thierry de Courcy - powiedział odrobinę pompatycznie. - Inès nie ma w tej chwili w domu. Edith zaprowadzi cię do twojego apartamentu. Obiad jemy dokładnie o ósmej. Obowiązują stroje wieczorowe.

Tory wpatrywała się w niego. Otworzyła już usta, żeby odpowie-

124

dzieć, ale żadne słowo nie przychodziło jej do głowy. Thierry de Courcy skinął jej uprzejmie głową i zniknął.

Weszła za Edith po dwóch ciągach schodów do „apartamentu”. Gdy otworzyła drzwi, od razu się zorientowała, że pan de Courcy się nie przejęczył. To naprawdę był apartament. Niewielki, doskonale urządzonej, z małą kuchenką, łazienką, salonem i sypialnią. Przełknęła ślinę. Ojciec uprzedził ją, że de Courcy są bogaci, ale nie spodziewała się, że aż tak. Edith postawiła jej walizkę i ulotniła się. Tory, nadal oszołomiona, przeszła do sypialni i usiadła na łóżku. To miał być jej dom na kilka następnych miesięcy, może nawet na dłużej. Niewielki

dreszczyk podniecenia mieszał się w niej z uczuciem ulgi. Wstała, otworzyła drzwi prowadzące na mały balkon. Znad ulic unosił się ostry zapach asfaltu, prażącego się w słońcu późnego sierpnia. Za tydzień, jak zapewnił ją ojciec, Ines i jej mąż wyjeżdżali do domu, który mieli w Biarritz, zostawiając Tory samą, żeby mogła zająć się pracą i przyzwyczać do miasta w czasie ich nieobecności. Zapaliła papierosa, opierając się o kutą z żelaza balustradę, i patrzyła na chmury płynące po bezkresnym błękitnie nieba. Co jakiś czas rozlegał się klakson samochodu, przejechał motocykl. Był to pierwszy wieczór pierwszego dnia reszty jej życia. Udał się.

*

Za kwadrans ósma, pamiętając o „edykcie” Thierry’ego de Courcy, Tory po raz ostatni przejrzała się w lustrze i westchnęła. Przez pół godziny przeglądała swoją raczej sportową garderobę i zastanawiała się, co włożyć. Nie przyszło jej po prostu do głowy, że będą chcieli, by z nimi jadała albo przebierała się do obiadu. Popatrzyła na stertę ubrań leżącą na łóżku. Sześć par dżinsów, tuzin podkoszulek, kilka bawełnianych sukienek, które trudno byłoby uznać za „wieczorowe” - nie miała nic, co choćby w przybliżeniu kwalifikowało się jako odpowiednie. Zdecydowała się na bardzo prostą sukienkę w bladożółte i białe kwiaty, na ramiona narzuciła biały rozpinany sweterek, na nogi wsunęła nowe, białe tenisówki, w których zdaniem Nik bardzo przypominała Francuzkę. To musi wystarczyć - pomyślała, gasząc światło. Przyjechała tu do pracy. A dopóki będzie ją wykonywała, kogo obchodziło, co miała na sobie w czasie obiadu?

125

dzień, ale żadne słowo nie przychodziło jej do głowy. Thierry de Courcy skinął jej uprzejmie głową i zniknął.

Weszła za Edith po dwóch ciągach schodów do „apartamentu”. Gdy otworzyła drzwi, od razu się zorientowała, że pan de Courcy się nie przejęczył. To naprawdę był apartament. Niewielki, doskonale urządzone, z małą kuchenką łazienką salonem i sypialnią. Przełknęła ślinę. Ojciec uprzedził ją że de Courcy są bogaci, ale nie spodziewała się, że aż tak. Edith postawiła jej walizkę i ulotniła się. Tory, nadal oszołomiona, przeszła do sypialni i usiadła na łóżku. To miał być jej dom na kilka następnych miesięcy, może nawet na dłużej. Niewielki dreszczyk podniecenia mieszał się w niej z uczuciem ulgi. Wstała, otworzyła drzwi prowadzące na mały balkon. Znad ulic unosił się ostry zapach asfaltu, prażącego się w słońcu późnego sierpnia. Za tydzień, jak zapewnił ją ojciec, Ines i jej mąż wyjeżdżali do domu, który mieli w Biarritz, zostawiając Tory samą, żeby mogła zająć się pracą i przyzwyczać do miasta w czasie ich nieobecności. Zapaliła papierosa, opierając się o kutą z żelaza balustradę, i patrzyła na chmury płynące po bezkresnym błękitnie nieba. Co jakiś czas rozlegał się klakson samochodu, przejechał motocykl. Był to pierwszy wieczór pierwszego dnia reszty jej życia. Udał się.

i

Za kwadrans ósma, pamiętając o „edykcie” Thierry’ego de Courcy, Tory po raz ostatni przejrzała się w lustrze i westchnęła. Przez pół godziny przeglądała swoją raczej sportową garderobę i zastanawiała się, co włożyć. Nie przyszło jej po prostu do głowy, że będą chcieli, by z nimi jadała albo przebierała się do obiadu. Popatrzyła na stertę ubrań leżącą na łóżku. Sześć par dżinsów, tuzin podkoszulek, kilka bawełnianych sukienek, które trudno byłoby uznać za „wieczorowe” - nie miała nic, co choćby w przybliżeniu kwalifikowało się jako odpowiednie. Zdecydowała się na bardzo prostą sukienkę w bladożółte i białe kwiaty, na ramiona narzuciła biały rozpinany sweterek, na nogi wsunęła nowe, białe tenisówki, w których zdaniem Nik bardzo przypominała Francuzkę. To musi wystarczyć - pomyślała, gasząc światło. Przyjechała tu do pracy. A dopóki będzie ją wykonywała, kogo obchodziło, co miała na sobie w czasie obiadu?

125

Zbiegła po schodach i zapukała do drzwi, które natychmiast otworzyła Edith, niepróbująca nawet ukryć zaskoczenia niestosownym strojem Tory. Przyglądała się jej bez słowa od góry do dołu, a potem obróciła się i wprowadziła ją do jadalni. Gdy znalazły się w pokoju 0 wysokim suficie, idealnie dobranych meblach i równie idealnie wyglądających gościach, serce Tory zamarło. Osiem lub dziesięć osób stało tam wokół lśniącego, przepięknie nakrytego stołu. Kobiety były niesłychanie wytworne, jak tylko Francuzki to potrafią - bardzo szczupłe, z nieskazitelными fryzurami, z których nie odstawał choćby jeden włos, supermodnie i elegancko ostrzyżone, o zadbanej skórze. Mężczyźni mieli na sobie drogie lniane marynarki lub koszule w pastelowych kolorach - na kilometr wyczuwało się od nich pieniądze, gust

1 wyrafinowanie. Tory w bawelniej sukieneczynie i zbyt białych tenisówkach stanowiła ich całkowite przeciwieństwo. Wszyscy się w nią wpatrywali, w tym Thierry de Courcy. W tej chwili Tory chciała, żeby ziemia rozstała się pod nią. Zacerwieniła się. - Ach, voila\ Nareszcie jesteś! - Smukła, filigranowa kobieta w prostej czarnej bluzce i zielonej połyskliwej spódnicy ruszyła jej na ratunek. Podeszła do niej z otwartymi ramionami. Tory poczuła zapach drogich perfum i dymu papierosowego, gdy całowała ją w oba policzki i leciutko dotknęła obu ramion. - Witaj, Vittorio, map 'tite. Witaj w Paryżu. Thierry powiedział mi, że przyszedł od metra pieszo. Głuptasek... następnym razem musisz nas uprzedzić o swoim przyjeździe, to wyślemy po ciebie samochód. Och, les Anglais! - powiedziała, kiwając głową z pobłażaniem i obracając się do gości. Z uśmiechów jasno wynikało, że przed chwilą o niej rozmawiali. Tory wymamrotała coś niewyraźnie w odpowiedzi. Ojciec mówił jej, że Ines de Courcy była dobrze po czterdziestce, ale wyglądała co najmniej dziesięć lat młodziej. Szczupła, o idealnych proporcjach ciała i nienagannie ubrana - prosto, z wyszukaną biżuterią: w dużym srebrnym naszyjniku z jaszczkami, doskonale pasującym do soczystej zielonej spódnicy. Miała gołe, opalone nogi... dłonie z nieskazitelnym manikiurem, z luźno opasującym nadgarstek lewej ręki ciężkim metalowym zegarkiem i wielkim połyskliwym brylantem na palcu. Była zrobiona na bóstwo - brwi, makijaż oczu, ust, skóry... ideał. Tory z trudem oderwała od niej wzrok. W oczach dziewczyny w żaden sposób nie przystawała do wyobrażeń o wyglądzie pro-

126

fesora historii. Jej ojciec i jego koledzy nosili nudne, pozbawione koloru swetry i sztruksowe spodnie, które regularnie wypychały się w nieodpowiednich miejscach.

Inès uśmiechnęła się do niej promiennie, najwyraźniej świadoma jej podziwu, a potem obróciła się do reszty gości, którzy przypatrywali się Tory z zaciekawieniem.

- Pozwólcie, że przedstawię najmłodszą córkę bardzo bliskiego mi kolegi, Johna Spillera - powiedziała z ogromnym wdziękiem - którego wielu z was na pewno zna z wybitnych prac poświęconych dworowi wersalskiemu. Miło nam ją u siebie gościć. Zostanie tu na kilka miesięcy, będzie pomagała Thierry'emu przy tłumaczeniu jego nowej książki - pierwszej po angielsku... tak, tak... - Z wdzięcznością przyjęła skinienia głów i cicho szeptała gratulacje. - Tak, jesteśmy bardzo dumni - dodała i spojrzała znacząco na męża. Ktoś w tle zaklaskał bardzo powoli.

Było to tak sztuczne i absurdalne, że niewiele brakowało, by Tory wybuchnęła śmiechem.

- Usiądziesz obok mnie, chéri - powiedziała Inès, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Nie bój się, ja cię obronię! - Roześmiała się.

Tory poczuła się zupełnie zbita z tropu. Przed czym niby miała ją bronić? Usiadła szybko, głównie dlatego, że nie bardzo wiedziała, co innego mogłaby zrobić. Rozległo się ogólne szuranie krzesłami, gdy wszyscy poszli jej śladem. Edith i inne pokojówki w fartuszkach pospieszyły, by zebrać szklanki i kieliszki po aperitifach. Z kredensu wyjęto nowe butelki.

Wino było nalewane do pękatych kieliszków, wznoszono toasty - za nową książkę Thierry'ego, za ostatni cykl wykładów Inès w Stanach Zjednoczonych - ktoś wspominał też o powitaniu młodej Angielki. Tory ledwie spróbowała wina. Myślała wyłącznie o traumie, jaką będzie dla niej co wieczór siadanie do obiadu z gospodarzami. Boże, tylko nie to! Niespodziewanie Inès pochyliła się i ponownie położyła delikatnie dłoń na jej ramieniu.

- Nie, nie będziesz musiała tego robić co wieczór, obiecuję-powiedziała z pobłażliwym uśmiechem.

Tory spiekła straszego raka. Czyżby, do cholery, czytała jej w myślach? Kobieta siedząca naprzeciwko Inès spojrzała na Tory.

- Czy ona mówi po francusku? - zapytała obcesowo.

127

#

- Oui... enfin, un peu. Pomaga Thierry'emu przy nowej książce.

- Naprawdę? - Kobieta uniosła wysoko łukowate brwi.

- Wszystko zostało ustalone - szybko dodała Ines, chcąc złagodzić efekt jej wyraźnie widocznego zdziwienia. - To bardzo korzystna wymiana. Tory pozna trochę Paryż - i francuski oczywiście - a nam sprawi przyjemność obecność w domu kogoś tak młodego! Jak sama widzisz, to pięknie wymyślone. Ach, chérie... - wyszeptła, gdy mąż stanął za jej krzesłem. - Poprosisz Edith, żeby wniosła pierwsze danie?

Thierry skinął głową i obrócił się, podchwytyjąc na ułamek sekundy spojrzenie Tory.

Dziewczyna zmarszczyła czoło. Spozrzęła coś w jego twarzy - jakiś wyraz... złości? Ale trwało to tak krótko, że nie zdążyła go zinterpretować, zanim zniknął. Patrzyła za nim. Ines ponownie zwróciła na siebie jej uwagę.

- Mam nadzieję, że nie jesteś wegetarianką - powiedziała rozbawionym, niskim głosem, który zabrzmiał niemal tak, jakby mówiła o chorobie. Tory pokręciła przecząco głową. Ines uśmiechnęła się z wyrazem udawanej ulgi. - Dzięki Bogu i za to - dodała filuternie. - Z dzisiejszą młodzieżą nigdy nic nie wiadomo. - Ton jej głosu był jednocześnie agresywny i protekcjonalny.

Tory nie zareagowała. Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć. W domu de Courcych przebywała zaledwie od kilku chwil, ale zdążyła już wyczuć prądy podskórnego życia, których nie umiała zidentyfikować. Uniosła do góry kieliszek i pociągnęła długi łyk wina. Dzięki Bogu przez większość pobytu będzie jadła obiady sama. Ta myśl natychmiast ją uspokoiła.

31

Estelle wmaszerowała do lobby Hiltona na piętnastocentymetrowych obcasach. Dobrze wyglądała - lepiej niż dobrze. Prawdę mówiąc, jej wygląd zwał z nóg. Wiedziała o tym. Podobnie jak wszyscy pełno-krwiści mężczyźni mający więcej niż czternaście lat. Nawet boye hotelowi przystawali, żeby popatrzeć, gdy ich mijała. Obcasy, krótka granatowa spódniczka i biała, wykrochmalona bluzka, rozpięta na tyle, by

128

przezierała z niej co jakiś czas czarna koronka stanika. Włosy, lśniące i jedwabiste, opadały jej sprężysto na ramiona pysznymi falami, skóra lśniła od makijażu, paznokcie miała nieskazitelnie pomalowane, nowa torebka Caitlin w jaskrawoczerwonym kolorze wisiała na pasku na ramieniu. Ona i Caitlin spędziły dobre trzy godziny nad jej wyglądem, zanim wyszła z mieszkania, żeby się pokazać.

- Idź prosto do baru - poradziła Caitlin. - W sekundę kogoś pode-rwiesz. Przekonasz się. To takie kurewsko proste.

Przyglądając się jej przez kłęby dymu, Caitlin powiedziała jeszcze, że gdyby poszły obie, nic by z tego nie było. Zgodziły się, że będą pracować w oddzielne noce. Londyn to nie Harare -

tu obowiązywało prawo zakazujące robienia tego, czym Estelle trudniła się przez ostatnie dwa lata. Caitlin podała jej skręta, „żeby łatwiej wczuła się w nastrój”. Powiedziała to, chichocząc i patrząc na nią z aprobatą. Miała rację. Ostry, kwaśno smakujący dym rozplątywał się wolno w jej żyłach, rozgrzewając ją i chłodząc jednocześnie. Kiedy nadeszła pora wyjścia, Caitlin, siedząca na sofie z podkulonymi nogami, spojrziała na nią i gwizdnęła.

- Połóż go trupem, wypierdol tak, żeby oczy wyszły mu na wierzch, a potem bierz tyle kasy, ile się da - powiedziała z uśmiechem i wolno, głęboko zaciągnęła się skrętem. - I obudź mnie, jak wrócisz.

Estelle zachichotała. Lubiła Caitlin. Napuszona Rebecca i Panna Wzór Wszelkich Cnót Amanda należały już do przeszłości. Zobaczyła w Caitlin coś już w chwili, gdy jej wzrok na niej spoczął, coś przypominającego jej w pewnym stopniu ją samą. Specyficzny chłód, hardość pobłyskująca wokół oczu, aurę determinacji, prawie niezauważalne wysunięcie brody do przodu. Caitlin była twarda, podobnie jak ona, Estelle. Po mniej niż dwóch tygodniach od chwili, gdy wkroczyła do jej mieszkania w któryś z niedzielnych wieczorów, zabrała swoje rzeczy z dołu i wprowadziła się do niej.

- Będziemy dzieliły się wszystkim po połowie - powiedziała Caitlin leniwie. - I dragami też. - Uśmiechnęła się. - Od czasu do czasu mam ogromną ochotę na dymek. A ty?

Estelle skinęła głową. Była pod zbyt dużym wrażeniem, żeby coś odpowiedzieć. Zimna jak lód, ostra jak paznokcie i luzacka jak cholera. Caitlin wydawała się za dobra, żeby istnieć naprawdę.

129

Amanda i Rebecca pod jednym względem miały rację - Caitlin Harries okazała się dziwką, ale bez wątplenia z dużą klasą. Przyjechała do Londynu z Leeds w cielecym wieku siedemnastu lat z nadzieją na karierę modelki albo aktorki, co, rzecz jasna, się jej nie udało. Zadała się z nieodpowiednimi ludźmi. Od okazjonalnego palenia trawki przeszła do regularnego wciągania kresiek w klubach, w których przesiadywała z nowymi przyjaciółmi, i kilka miesięcy później skończyła jako bezdomna i bez grosza. Jedną z dziewczyn, z którą się zaprzyjaźniła, przedstawiła ją dwóm facetom - a to, jak oznajmiła bezceremonialnie, załatwiło sprawę. Po trzech latach w interesie odłożyła dość, żeby móc zapłacić komorne za pół roku z góry, robić sobie czasami wakacje i co tydzień chodzić do fizjera i manikiurzystki.

Niezupełnie pokrywało się to z jej wyobrażeniami, które miała, wyjeżdżając z domu i przenosząc się do Londynu, ale pieprzyć to... biło na głowę funta za godzinę u MacDonalda, zresztą nie miała zbyt dużego wyboru. Nie porażała urodą, ale jak cierpliwie tłumaczyła Estelle, nie o to chodziło. Prezencja, ogólne zadbanie, makijaż, drogie ciuchy... ważne było opakowanie, a nie ukryte pod nim detale.

Estelle siedziała w nogach łóżka z brodą opartą na dłoniach i słuchała uważnie. Caitlin taksowała ją wzrokiem z wyraźną zazdrością.

- Jesteś taką kurewską szczęściarą - powiedziała z przekonaniem. - Mogłabyś, do kurwy nędzy, zostać modelką albo kimś takim. Szczerze.

Estelle posłała jej cierpki uśmiech. Zostanie modelką było w tej chwili równie prawdopodobne jak powrót do Arcadii - a to ostatnie nie wchodziło w grę. Spotkanie Caitlin okazało się jej najlepszym posunięciem od czasu przyjazdu do Londynu. I od niej tylko zależało, co może z tego zyskać - i iść dalej. Dalej i w górę. Na pewno nie zamierzała na zawsze zostać prostytutką. To był środek doraźny, chwilowa przerwa. Coś, czym się zajmowała, przygotowując się do lepszych i większych rzeczy.

W dalekim końcu baru siedziała jakaś kobieta. Gdy Estelle ją mijiała, podniosła wzrok.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, sadowiąc się na stołku w jej pobliżu, że widziała ją tam już po raz trzeci czy czwarty. Była tuż przed pięćdziesiątką albo właśnie ją przekroczyła - trudno powiedzieć. Pięknie ubrana - w długą lnianą sukienkę z głębokim dekol-

130

Amanda i Rebecca pod jednym względem miały rację - Caitlin Harries okazała się dziwką, ale bez wątplenia z dużą klasą. Przyjechała do Londynu z Leeds w cielecym wieku siedemnastu lat z nadzieją na karierę modelki albo aktorki, co, rzecz jasna, się jej nie udało. Zadała się z nieodpowiednimi ludźmi. Od okazjonalnego palenia trawki przeszła do regularnego wciągania kresiek w klubach, w których przesiadywała z nowymi przyjaciółmi, i kilka miesięcy później skończyła jako bezdomna i bez grosza. Jedną z dziewczyn, z którą się zaprzyjaźniła, przedstawiła ją dwóm facetom - a to, jak oznajmiła bezceremonialnie, załatwiło sprawę. Po trzech latach w interesie odłożyła dość, żeby móc zapłacić komorne za pół roku z góry, robić sobie czasami wakacje i co tydzień chodzić do fryzjera i manikiurzystki. Niezupełnie pokrywało się to z jej wyobrażeniami, które miała, wyjeżdżając z domu i przenosząc się do Londynu, ale pieprzyć to... biło na głowę funta za godzinę u MacDonalda, zresztą nie miała zbyt dużego wyboru. Nie porażała urodą, ale jak cierpliwie tłumaczyła Estelle, nie o to chodziło. Prezencja, ogólne zadbanie, makijaż, drogie ciuchy... ważne było opakowanie, a nie ukryte pod nim detale.

Estelle siedziała w nogach łóżka z brodą opartą na dłoniach i słuchała uważnie. Caitlin taksowała ją wzrokiem z wyraźną zazdrością.

- Jesteś taką kurewską szczęściarą - powiedziała z przekonaniem. - Mogłabyś, do kurwy nędzy, zostać modelką albo kimś takim. Szczerze.

Estelle posłała jej cierpki uśmiech. Zostanie modelką było w tej chwili równie prawdopodobne jak powrót do Arcadii - a to ostatnie nie wchodziło w grę. Spotkanie Caitlin okazało się jej najlepszym posunięciem od czasu przyjazdu do Londynu. I od niej tylko zależało, co może z tego zyskać - i iść dalej. Dalej i w górę. Na pewno nie zamierzała na zawsze zostać prostytutką. To był środek doraźny, chwilowa przerwa. Coś, czym się zajmowała, przygotowując się do lepszych i większych rzeczy.

W dalekim końcu baru siedziała jakaś kobieta. Gdy Estelle ją mijiała, podniosła wzrok. Dziewczyna zdała sobie sprawę, sadowiąc się na stolku w jej pobliżu, że widziała ją tam już po raz trzeci czy czwarty. Była tuż przed pięćdziesiątką albo właśnie ją przekroczyła - trudno powiedzieć. Pięknie ubrana - w długą lnianą sukienkę z głębokim dekol-

130

Amanda i Rebecca pod jednym względem miały rację - Caitlin Harries okazała się dziwką, ale bez wątplenia z dużą klasą. Przyjechała do Londynu z Leeds w cielecym wieku siedemnastu lat z nadzieją na karierę modelki albo aktorki, co, rzecz jasna, się jej nie udało. Zadała się z nieodpowiednimi ludźmi. Od okazjonalnego palenia trawki przeszła do regularnego wciągania kresiek w klubach, w których przesiadywała z nowymi przyjaciółmi, i kilka miesięcy później skończyła jako bezdomna i bez grosza. Jedną z dziewczyn, z którą się zaprzyjaźniła, przedstawiła ją dwóm facetom - a to, jak oznajmiła bezceremonialnie, załatwiło sprawę. Po trzech latach w interesie odłożyła dość, żeby móc zapłacić komorne za pół roku z góry, robić sobie czasami wakacje i co tydzień chodzić do fryzjera i manikiurzystki. Niezupełnie pokrywało się to z jej wyobrażeniami, które miała, wyjeżdżając z domu i przenosząc się do Londynu, ale pieprzyć to... biło na głowę funta za godzinę u MacDonalda, zresztą nie miała zbyt dużego wyboru. Nie porażała urodą, ale jak cierpliwie tłumaczyła Estelle, nie o to chodziło. Prezencja, ogólne zadbanie, makijaż, drogie ciuchy... ważne było opakowanie, a nie ukryte pod nim detale.

Estelle siedziała w nogach łóżka z brodą opartą na dłoniach i słuchała uważnie. Caitlin taksowała ją wzrokiem z wyraźną zazdrością.

- Jesteś taką kurewską szczęściarą - powiedziała z przekonaniem. - Mogłabyś, do kurwy nędzy, zostać modelką albo kimś takim. Szczerze.

Estelle posłała jej cierpki uśmiech. Zostanie modelką było w tej chwili równie prawdopodobne jak powrót do Arcadii - a to ostatnie nie wchodziło w grę. Spotkanie Caitlin okazało się jej najlepszym posunięciem od czasu przyjazdu do Londynu. I od niej tylko

zależało, co może z tego zyskać - i iść dalej. Dalej i w górę. Na pewno nie zamierzała na zawsze zostać prostytutką. To był środek doraźny, chwilowa przerwa. Coś, czym się zajmowała, przygotowując się do lepszych i większych rzeczy.

W dalekim końcu baru siedziała jakaś kobieta. Gdy Estelle ją mijiała, podniosła wzrok. Dziewczyna zdała sobie sprawę, sadowiąc się na stołku w jej pobliżu, że widziała ją tam już po raz trzeci czy czwarty. Była tuż przed pięćdziesiątką albo właśnie ją przekroczyła - trudno powiedzieć. Pięknie ubrana - w długą lnianą sukienkę z głębokim dekol-

130
tem, szpilki bez pięt, z krokodylej skóry, z pasującą do nich torebką Jadła podwieczerek, przeglądając stos gazet i magazynów. Robiła wrażenie zamożnej, niezależnej i zadbanej. Dokładnie tak, jak Estelle chciałaby wyglądać któregoś dnia. Jakby w ogóle jej nie obchodziło, ile napisano na rachunku. Jakby mogła mieszkać w Hiltonie, gdyby tylko miała na to ochotę.

- Słucham panią? - Jeden z niskich, nabzdyczonych kelnerów zjawił się przed nią. Estelle zastanawiała się, czy pracował już tutaj, gdy kilka tygodni wcześniej przyszła po raz pierwszy. Otaczała go aura snobizmu niemożliwa do pomylenia z czymś innym. - Czy chciałaby pani coś zamówić?

Powoli omiotła go spojrzeniem. Arogancki mały fiutek.

- Poproszę o... herbatę. A właściwie o podwieczerek. - Spuściła wzrok na kremowozłotą kartę i zamruwała: siedem i pół funta za dzbanuszek herbaty i babeczkę z masłem? Szlag by trafił, ale było za późno.

- Oczywiście, proszę pani. - Uśmiechnął się drwiąco, czytając jej w myślach. Obrócił się zręcznie na pięcie.

Estelle dotknęła plecami skórzanego oparcia stołka, otworzyła torebkę i wyjęła papierosy. Wzięła zapalniczkę, ale po kilku nieudanych próbach jej zapalenia przekonała się, że była pusta. Miała właśnie podnieść rękę, żeby przywołać tego małego fiutka, kiedy kobieta, której wcześniej się przyglądała, pochyliliła się do przodu.

- Potrzebny pani ogień? - zapytała. Głos miała niski i trochę zachrypnięty, pięknie modulowała samogłoski.

- Och, dziękuję. - Teraz to Estelle nachyliła się w jej stronę. Ręka kobiety dotykała jej przez chwilę, gdy przystawiła papierosa do płomienia. Śliczne paznokcie - zauważyła Estelle - i ciężkie, błyszczące brylanty. - Dziękuję - powtórzyła, wracając do poprzedniej pozycji przy barze.

- Nie ma za co. - Kobieta otwarcie taksowała ją wzrokiem.

Estelle poczuła, jak rumienia się jej policzki. W spojrzeniu tej kobiety było coś niepokojącego. Czyżby... z nią flirtowała?

- Pani herbata. - Kelner pojawił się ponownie.

- Proszę ją postawić i tyle - rzuciła krótko. Miała już dość jego wyniosłości.

131

- Babeczki są przepyszne - powiedziała kobieta, miło się do niej uśmiechając. -

Nazywam się Devereaux - powiedziała, wyciągając rękę. - Mieszka pani w tym hotelu?

- E... nie. Po prostu... przechodziłam obok - odpowiedziała, podając jej dłoń. - Mam na imię Estelle.

- Urocze imię. Pasuje do ciebie. - Nastąpiła chwila ciszy, a potem pani Devereaux znowu pochyliliła się w jej stronę. Jej uśmiech nadal był przyjazny. Odezwała się głosem trochę niższym niż poprzednio. - Jesteś w grze? - zapytała, patrząc jej prosto w oczy.

Estelle zamruwała. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Rozejrzała się nerwowo wokół.

- Nie... nie jestem p-pewna, czy zrozumiałam - wydukała, niemal rozlewając herbatę.

- Myślę, że dobrze wiesz, o czym mówię. - Pani Devereaux cały czas nie zmieniała przyjaznego tonu. - Widziałam cię tu poprzedniego wieczoru i jeszcze wcześniej. Nie martw się. Nie doniosę na ciebie.

Twarz Estelle mocno poczerwieniała.

- Ja...

- Przyjdź do mojego pokoju - powiedziała lakonicznie pani Deve-reaux, nie zwracając uwagi na jej ewidentne zakłopotanie. - Oczywiście, jak skończysz pić herbatą. Apartament tysiąc trzysta. - Uśmiechnęła się ponownie do Estelle i wstała. - Obiecuję, że nie pożałujesz. Jesteś zbyt piękna, żeby to robić w ten sposób.

Estelle mogła jedynie patrzeć z otwartymi ustami, jak pani Deve-reaux szła ze stukotem dziesięciocentymetrowych obcasów po marmurowej posadzce. Trzęsącą się ręką podniosła do ust filiżankę. Nie miała najmniejszej ochoty na babeczkę. Żołądek zacisnął się jej ze strachu i wstydu. Czy rzeczywiście było to aż tak widoczne?

- Tylko dla tych, którzy wiedzą, czego szukać - powiedziała pani Devereaux dwadzieścia minut później, kiedy Estelle siedziała już w salonie najbardziej wytwornego, najdroższego i bez cienia wątpliwości wspaniałego apartamentu, w jakim kiedykolwiek się znalazła. - Jak długo w tym jesteś?

Estelle odchrząknęła.

- Około miesiąca - odpowiedziała, mając nadzieję, że głos się jej nie

132

łamie. Po raz pierwszy w życiu czuła, że nie ma gruntu pod nogami. - Mam przyjaciółkę... ona robi to od wieków. Najczęściej pracuje w Dorchester.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia jeden - skłamała Estelle. Pani Devereaux się uśmiechnęła. - Prawie - dodała. Zorientowała się już, że niewiele rzeczy uchodziło uwagi jej rozmówcy.

- Muszę powiedzieć, Estelle, że jesteś wyjątkowo piękna. - Nie przestawała przy tym taksować jej wzrokiem przez kłęb dymu papierosowego. - Stanowczo za piękna, żeby włóczyć się po ulicach. Posłuchaj, wiem, że to trochę niespodziewane i pewnie się zastanawiasz, kim, do cholery, jestem. - Uśmiechnęła się. Stanowczym ruchem zgasła papierosa. Jej głos stał się nagle poważny. - Prowadzę bardzo dobrze prosperujący interes. Mam dwanaście dziewczyn na liście i kolejnych dwadzieścia pięć rozpaczliwie czekających, by się na nią dostać. I mogę ci powiedzieć, że zarabiamy ogromne pieniądze. Sądząc po twoim ubraniu i miejscu, które wybrałaś do pracy, domyślam się, że też jesteś zainteresowana robieniem pieniędzy, nawet jeśli źle się do tego zabrałaś. Mam rację? - Estelle energicznie pokiwała głową. - To dobrze. Jesteś ambitna. A to mi się podoba. - Wstała. - Jest kilka poziomów w interesie, którym się zajmujemy, Estelle. Ty jesteś najwyraźniej znacznie wyżej od zwykłego podrywania na ulicy, ale nie zrozum mnie źle, nigdy nie uda ci się zarobić takich pieniędzy, do jakich, moim zdaniem, chciałabyś dojść. Rzadko przyjmuję kogoś nowego. Większość dziewcząt, które dla mnie pracują, jest ze mną od początku. Podoba mi się jednak twój wygląd - jestem niemal pewna, że nie urodziłaś się w bogatej rodzinie, ale masz klasę, co lubię, i jesteś prześliczna. A to też mi się podoba. I nie bój się - dodała z uśmiechem. - Interesują mnie pieniądze, nie dziewczyny. Odpręż się.

Estelle sięgnęła drżącą ręką po papierosa.

- Tak naprawdę o czym dokładnie mówimy? - zapytała, zapalając go.

- Zajmuję się zaspokajaniem potrzeb mężczyzn określonego pokroju - powiedziała pani Devereaux, podchodząc do okna. Spojrzała na ruch uliczny w dole na Park Lane, a potem obróciła się do Estelle. - Jestem bardzo dyskretna i wyjątkowo ekskluzywna, a moi klienci o tym wiedzą. Dostarczam usług najwyższej jakości przy pomocy najlepszych

133

dziewczyn. Jeśli postanowię cię przyjąć - nie zapominaj na razie o tym „jeśli” - dostaniesz własne mieszkanie, samochód z szoferem do dyspozycji, będę płaciła twoje rachunki... i tak dalej. Krótko mówiąc, Estelle, będziesz miała wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłaś... Dziewczyna wpatrywała się w nią, papieros sterczał przylepiony do jej ust.

- Gdzie jest haczyk? - zapytała.

- Nigdzie. Biorę połowę tego, co zarobisz. I zajmuję się wszystkim: gotówką, wydatkami, podróżami, zleceniami. Będiesz na telefon przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Najpotężniejsi mężczyźni tego świata będą ci jedli z ręki. Gdziekolwiek polecisz, zawsze będzie to pierwsza klasa, będziesz traktowana po królewsku... jak powiedziałam, dostaniesz wszystko, o czym marzyłaś.

- I będę musiała robić jedynie...?

- To, czego będzie chciał klient. Nie martw się, wszyscy są idealnie normalni, pomijając kilka inklinacji. Nic obrzydliwego, zapewniam cię. Większość ich ma żony. I są obrzydliwie bogaci.

Estelle wydmuchała kłęb dymu.

- Kiedy mogę zacząć?

Pani Devereaux roześmiała się. Podeszła do komody i otworzyła szufladę.

- Zadzwoń pod ten numer - powiedziała, idąc do niej i trzymając w wyciągniętym ręku niewielką wizytówkę o złożonych brzegach. - Umów się na spotkanie z doktorem Bowensem. Kiedy będę miała wyniki, skontaktuję się z tobą. Masz jakiś numer telefonu?

Estelle wzięła wizytówkę. Harley Street.

- Jak za to zapłacę? - zapytała, myśląc, że musi być w tym jakaś pułapka. Wszystko to brzmiało zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe.

- Nie płacisz. Staw się na wizytę na czas i czekaj na telefon ode mnie. To wszystko.

Proste.

Estelle popatrzyła na nią. Wszystko, co dotyczyło tej kobiety, aż krzychało wielkimi pieniędzmi - od końców jej nieskazitelnie lśniących butów po delikatne brylantowe kolczyki na sztyfcie, pobłyskujące w jej uszach. Miała grube, kasztanowe włosy równiutko przycięte na wysoko-

134

ści brody i żadnej biżuterii poza kolczykami i pierścieniem. Oraz zegarek Cartiera. Tak, rzeczywiście robiła wrażenie kobiety prowadzącej solidny interes. Estelle spojrzała ponownie na wizytówkę. Co miała do stracenia? Podniosła się.

- Dziękuję - powiedziała, niepewna, czy powinna uścisnąć jej rękę.

- Zadzwoń pod ten numer, Estelle, nie zapomnij. - Pani Devereaux odwróciła się i wyjrzała przez okno. - Pomyśl, że dzisiaj uśmiechnęło się do ciebie szczęście. Och, jeszcze jedno. - Obróciła głowę i popatrzyła na nią. - Caitlin jest na pewno bardzo miła, ale zatrzymaj to dla siebie, dobrze? - Estelle mogła jedynie patrzeć na nią wybałuszonymi oczami, skąd...? - Obserwuję cię od jakiegoś czasu, kochanie - mówiła spokojnie dalej pani Devereaux. - Niewiele rzeczy uchodzi mojej uwadze. Wkrótce się o tym przekonasz.

32

Caryn głęboko odetchnęła, tłumiąc w sobie narastającą falę rozczarowania, i pchnęła drzwi. W zagraconym niewielkim biurze panował chaos. Dzwoniły telefony, faks wypluwał papier, kserokopiarka hałasowała. Sześć dziewczyn mówiło naraz - do siebie, do telefonu, przez pokój.

- Och, proszę siadać! - krzyknął ktoś do niej. Spojrzała na rząd krzeseł za sobą wszystkie były zajęte. Siadać? Gdzie? Dołączyła do kolejki dziewczyn stojących przy ścianie, czekając pokornie na dalsze instrukcje. Powoli przesuwała się w kierunku biurka, przy którym władczą wyglądająca młoda kobieta w czarnej garsonce stawiała je w ogniu pytań. Niektóre od razu

odprawiała, inne prosiła, żeby stanęły z boku, a kilka jeszcze innych zaprowadzono do rzędu komputerów znajdujących się na końcu pomieszczenia. Najwyraźniej czekał je jakiś sprawdzian. Caryn zagryzła nerwowo wargę. Przez ostatnie trzy tygodnie uczyła się pisanie na komputerze, ale daleko jej było do szybkości i wydajności zawodowej maszynistki. Przyznała się do tego poprzedniego dnia przez telefon, niemniej i tak poproszono ją, żeby przyszła.

Wreszcie nadeszła jej kolej.

135

- Jak się nazywasz? - zapytała dziewczyna, żując jednocześnie gumę, przerzucając wizytówki na kołowrotku z nimi i palcami o nieprawdopodobnie długich, czerwonych paznokciach wybierając numer na aparacie telefonicznym.

- Caryn. Caryn Middleton. Dzwoniłam wczoraj. Rozmawiałam z kimś o imieniu Vanessa. Chyba. Powiedziała, że powinnam...

- Van! - Dziewczyna przerwała jej, obróciła się i wrzasnęła za siebie.

- Co?! - rozległo się głośno z małego pokoju za schodami.

- Ktoś do ciebie. Carol? Karen?

- Przyślij ją.

Pół godziny później, mając kompletny mętlik w głowie, szła do swojej pierwszej pracy.

Vanessa odesłała ją do hali maszyn w firmie ubezpieczeniowej Standard Life przy Fenchurch Street, tuż za rogiem od agencji pośrednictwa pracy tymczasowej.

- Podoba mi się sposób, w jaki mówisz - powiedziała do Caryn i puściła oko. - Trochę jak ktoś z jakiejś elity. Twoje umiejętności klepania w klawiaturę nie mają znaczenia. Taka bystra dziewczyna jak ty nauczy się tego błyskawicznie. Cztery celujące... mała mądralińska, co?

Caryn spuściła wzrok.

Zmierzała po stopniach do ponurego szarego budynku, włączając się niezauważenie do strumienia ludzi wchodzących i wychodzących ogromnymi obrotowymi drzwiami. Wyrzuciły ją one do przepastnego holu, gdzie setki stóp dudniły jednocześnie na ciemnej marmurowej posadzce, gdy mężczyźni i kobiety w czarnych lub szarych garniturach i garsonkach przemykali obok niej, marszcząc czoła, jakby to był plemienny znak. Nikt nic nie mówił, nikt się nie zatrzymywał, nie przytrzymał otwartych drzwi, nie uśmiechał się ani nie podchwytywał wzroku innych. W rękę trzymała kartkę, którą Vanessa jej wcisnęła. Skierowała się do windy. Przez pełnych sześć miesięcy marzyła o pokoju w budynku zbudowanym z kremowożółtych cegieł, z sękatymi, drewnianymi drzwiami i rosnącymi przed nim, płożącymi się różami, o dyskusjach po świt, o ciepłym piwie i gorących dniach spędzanych na rzece. Truskawki, seminaria i cisza. Przestań! - upomniała się surowo w duchu. To było dawno. A teraz jest teraz. Zgarbiła ramiona i prze-

136

pchnęła się przez tłum do windy. Spojrzała na kartkę trzymaną w rękę. „Trzecie piętro. Pani Banks, Dział Kadr”. Zdecydowanym ruchem nacisnęła guzik z cyfrą 3.

33

Tory budziła się każdego ranka o brzasku, wsłuchiwała w gruchanie gołębi drepzczących po niewielkim balkonie i dochodzące z oddali sporadyczne klaksony samochodów. Ściany jej pokoju były pochyle i łączyły się na górze pod dachem mansardy - przez pierwszych kilka dni po przyjeździe uderzała o nie głową, aż nauczyła się wślizgiwać do łóżka i zsuwać z niego. Leżała zwykle przez kilka minut, rozkoszując się spokojem i ciesząc, że nie ma na dole nikogo, kto popędzałby ją, aby zeszła na śniadanie, porozmawiała... była zupełnie i definitywnie sama. Czasami robiła sobie kawę i piła ją z miseczki na francuską modłę, siedząc przy niewielkim stoliku obok okna. Sięgała wtedy po papierosa, odchylała się do tyłu i patrzyła na leniwie unoszącą się w powietrzu smugę wydychanego dymu. Potem wstawała,

brała prysznic i szykowała się do pracy. Za piętnaście dziewiąta była już gotowa. Ostami papieros, ostami łyk kawy, a później zamykała za sobą drzwi i schodziła na dół. Thierry de Courcy pracował w przestronnym, pełnym światła gabinecie na tyłach ogromnego mieszkania. Tory natychmiast zauważyła, że paryskie mieszkania są zupełnie inne niż w Anglii. W Paryżu wszystko było większe, droższe, cudownie rozleglejsze. Eleganckie hole i korytarze o wysokich sufitach w domu de Courcych robiły wrażenie pokoi samych w sobie. Pomyślała o bardzo przecież ładnym, idealnie przeciętnym domu z trzema sypialniami przy Hortensia Road - teraz przez porównanie wydawał się jej mały i zagracony, żeby nie powiedzieć: pretensjonalny i nawet tandemy. W domu de Courcych wszystko zostało starannie dobrane, począwszy od stylowo postarzałych parkietowych podłóg po bardzo gustowną mieszaninę starych i nowych mebli. Gdy wchodziła do gabinetu, Thierry zazwyczaj już pracował. Jego wytworne biurko o blacie krytym skórą stało przodem do okna, wychodzącego na

137

wewnętrzny dziedziniec. Lubił trzymać otwarte drzwi balkonowe, dzięki czemu sporadyczne podmuchy wiatru wypełniały powietrze ostrym zapachem rosnących poniżej cytrusowych drzewek. Biurko Tory stało po przeciwnej stronie, odwrócone tyłem do niego, tak by mogli pracować niemal w absolutnej ciszy, nie przeszkadzając sobie i nie rozpraszać się nawzajem. Zdarzało się, że zadzwonił telefon, a wtedy Thierry pograżał się w rozmowie po francusku, słowa jednak wypowiadał tak szybko, że Tory miała trudności z nadażeniem za nim, choć od prawie dziesięciu lat uczyła się tego języka w szkole.

Praca okazała się niezbyt trudna. Do jej obowiązków należało czytanie przetłumaczonych fragmentów i sprawdzanie, czy nie ma w nich błędów, zanim wklepała rękopis do komputera. Thierry nadal pisał ręcznie. Patrzyła, jak jego długopis przesuwa się płynnie po grubych, kremowobiałych kartkach, które najbardziej lubił. Niewiele rozumiała z jego tekstów. Kiedy zaczynała tę pracę, nic nie wiedziała o filozofii, a teraz, po mniej więcej tygodniu, wydawało się jej, że wie jeszcze mniej. Zresztą wcale się tym nie przejmowała. Podążanie cudzą ścieżką strona po stronie, linijka po linijce, stos kartek po stosie, okazało się kojącym, wyciszającym zajęciem. Nie należała do zbyt szybko piszących maszynistek, ale Thierry zdawał się tego nie zauważać. Nie miał pojęcia, na kiedy powinien mieć gotowy skład książki. Z przypadkowych uwag Inès wywnioskowała, że to zajęcie w zasadzie wymyślono bardziej ze względu na nią niż dlatego, że pan de Courcy musiał wprowadzić manuskrypt do komputera, ale niewiele ją to obeszło. To był ich problem, nie jej. Ona zaś chciała jedynie spokojnego kąta, gdzie byłaby sama i mogła opuścić głowę, o niczym nie myśląc. Ten układ zdawał się pasować wszystkim doskonale.

Początkowo Thierry nie znosił - w ogóle - obecności Tory w swoim gabinecie, choć z wielkim trudem przychodziło mu to ukrywać. Ten kretyński pomysł był oczywiście autorstwa Inès. Jego wątpliwości, a miał ich sporo, bardzo szybko zostały rozproszone. Inès się wściekła. Jak mógł być takim egoistą? Czy miał pojęcie, przez co ta biedna dziewczyna przeszła? Przez co przeszła cała jej rodzina?

- A gdyby przytrafiło się to twojej córce? - pytała natarczywie, a oczy błyszczały jej ze złości.
- Albo twojej siostrze?

138

Zniecierpliwiony, kręcił głową, nie mogąc znieść podobnej sceny, bo nie miał ani córki, ani siostry.

- Nie o to chodzi - powiedział kwaśno. - Ledwo znasz tego człowieka. Przykro mi z powodu tego, co zdarzyło się jego dziecku i reszcie tej rodziny, ale... przez całe lato? W moim gabinecie?

- Jakie znaczenie ma kilka miesięcy w porównaniu z całym życiem tej biednej dziewczyny?! - krzyczała Ines.

- Żadnego, ale po prostu nie rozumiem, dlaczego to my mamy z tym problem - odpowiedział, zaczynając powoli tracić panowanie nad sobą. - Ja mam problem - szybko poprawił sam siebie. - Ża tydzień wyjeżdżasz. Nie jedziesz do Stanów zaraz po powrocie z Biarritz?

- Och, na rany boskie, Thierry. Spróbuj dla odmiany pomyśleć też o innych - powiedziała Ines głosem świadczącym, że była doprowadzona do rozpacz. Wzięła torebką i kluczyki samochodowe. - Jeśli aż tak bardzo ci przeszkadza, przenieś ją do innego pokoju. Albo na górę. To proste. -1, oczywiście, po tych słowach zniknęła.

On zaś siedział teraz naprzeciwko Tory i za każdym razem, gdy się obrócił, widział jej długi, gruby koński ogon. Mimo bardzo przemyślanego ustawienia jej biurka obecność dziewczyny naprawdę mu przeszkadzała, choć nie bardzo wiedział dlaczego. Nie miało to nic wspólnego z nią per se... jej obecność okazała się mniej dokuczliwa, niż przewidywał. Była bardzo cicha. Czujna, ale nie w sposób nieprzyjemny. Dyskretna. Pracę traktowała z widoczną obojętnością i odrobiną znudzenia. Po jakimś czasie, ku jego wielkiemu zaskoczeniu, przekonał się, że właściwie jej towarzystwo sprawia mu przyjemność. Był tak przyzwyczajony do przesadnego reagowania pochlebców na wszystko, co powiedział, że to... ta... angielska rezerwa przedziwnie do niego trafiała. Weźmy choćby na przykład ten ranek. Wklepywała w milczeniu tekst, a jedynym odgłosem, który temu towarzyszył, było miarowe klikanie klawiszy i przekładanie kartek co mniej więcej pół godziny. W pewnym momencie przestała. Thierry uzmysłowił sobie narastającą ciszę, przemawiającą głośniejsz od słów. Obrócił się w fotelu i spojrzał na nią pytająco. Zarumieniła się, co zauważył z pewnym zadowoleniem.

- Coś się stało? - zapytał poważnym tonem, wpatrując się w nią sponad okularów bez oprawek.

- Tak... tak sobie pomyślałam - powiedziała, obracając się powoli,

139

żeby znaleźć się przodem do niego. Wzięła jedną z kartek i wstała. Podeszła do niego i podała mu ją. Doleciał go nikły zapach perfum na jej dłoniach, co trochę zbiło go z tropu. - To słowo, tutaj... tłumaczka napisała „dalekością”. Moim zdaniem lepiej byłoby powiedzieć „oddaleniem”. „Oddaleniem i bliskością”.

Zmarszczył czoło i wziął od niej kartkę, wpatrując się w słowa.

- „U podstaw poczynań chrześcijan leży najważniejsze pytanie

0 obecność bądź nieobecność Boga, będące kolistą podróżą między dalekością i bliskością, między tajemnicą a klarownością”. - Po kilku sekundach zastanowienia oddał jej papier. - Tak, masz rację - potwierdził surowo. - „Oddalenie” to lepsze słowo. Ładniej brzmi. - Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. - Dziękuję. - A potem obrócił się do własnych papierów. Mimo wszystko zrobiła na nim wrażenie. Co prawda Ines wspominała, że dziewczyna nie jest zbyt bystra - co za bzdura! Słyszał, jak przeszła przez pokój do własnego biurka.

Podniósł się niespodziewanie, poirytowany kierunkiem własnych myśli. To właśnie dlatego nie chciał, żeby w gabinecie ktokolwiek z nim przebywał. Nieświadomie wśliznęła się na peryferie jego umysłu i kiedy już się tam zagnieździła, nie dawała się przegonić. I nie mógł o to winić tej biednej dziewczyny. Jakże to było typowe dla Ines! Tak wszystkim-pozą sobą - zorganizować życie, żeby wprowadzić do niego maksimum zamętu, a potem samej, oczywiście, zniknąć.

- Wychodzę na chwilę - wymamrotał.

Skinęła głową, ale nie podniosła wzroku. Wyszedł, lekko poirytowany, choć nie umiałaby powiedzieć, z jakiego powodu.

Dwa tygodnie później, na początku września, Tory stała przy oknie

1 patrzyła na srebrnego Citroena niknącego za rogiem. Westchnęła głęboko z zadowolenia. Sama. Była zupełnie, definitywnie sama. Na dole w mieszkaniu de Courcyh pozamykano okiennice, zasunięto zasłony, zakryto pokrowcami kanapy tapicerowane

surowym jedwabiem -wszystko, co było na wysoki połysk, osłonięto. Nigdy nie widziała jeszcze tak dziwacznych przygotowań do dwutygodniowych wakacji - służba biegła w koło i czyściła wszystko, co znalazło się w zasięgu wzroku, podczas gdy Ines stała pośrodku pokoju i kierowała całą operacją z precyzją dyrygenta. Ona i Thierry mieli jechać do swojej willi w Biarritz na

140

dwa tygodnie, potem ona leciała do Bostonu, gdzie miała wykład i przyjęła zaproszenie na spędzenie urlopu z dziekanem i jego rodziną w ich domu w Hampton. Jak bardzo się to różniło od świata ojca Tory - z wakacji w Fulham zapamiętała jedynie stukot ojcowskiej maszyny do pisania i surowe polecenie, że „nie wolno mu przeszkadzać pod żadnym pozorem”. Susie i ona widywały go wtedy rzadziej niż w czasie roku szkolnego - albo przynajmniej tak się jej wydawało. Potem, oczywiście, wakacje stały się wyjątkowo przykre, bo cały czas byli przy niej, bo nie odciągała ich rutyna pracy w szkole i jej nauka - nawet powietrze wydawało się drżeć od smutku w takim samym stopniu jak od upału.

Oparła się o żelazną balustradę, rozłożyła ramiona nad głową i zwróciła twarz ku słońcu, pławiąc się w ciepłe. Był wrzesień, ale w Paryżu nadal panowała spiekota. Ines powiedziała jej wcześniej, że wolą wyjeżdżać we wrześniu, kiedy wszyscy wracają do Paryża z sierpniowych urlopów, a miasto - jak oświadczyła teatralnie - stawało się nie do zniesienia. Strasznie zatłoczone! Patrząc na ulicę w dole, przekonała się, że to prawda. Poprzedniego wieczoru poszła na spacer wzdłuż brzegu Sekwany i ledwie mogła się przemieszczać pomiędzy rowerzystami, przechodniami, deskorolkowcami, wrotkarzami i gapiącymi się turystami, nie mówiąc o samochodach.

Tak, wyjazd do Paryża okazał się dobrym pomysłem, niezależnie od tego, jak nudna czasami wydawała się jej wykonywana praca. Od chwili przyjazdu miała wrażenie, że zaciskająca się na jej szyi pętla rozczarowania rodziców zdawała się trochę luźniejsza, a rozjaśnienie myśli i mniejszy ciężar na sercu zaskoczyły ją. Nie oznaczało to, że przestała tęsknić za Susie albo o niej myśleć. Wszystko wskazywało na to, że to nigdy nie nastąpi. Niemniej coś się zmieniło przez ostatnie kilka tygodni, czego nie umiała jeszcze sprecyzować. Myślenie o Susie nie wywoływało już niezmiennego bólu, zaciskającego wnętrzości. Zamiast bezustannie próbować wyobrazić sobie ostatnie chwile siostry lub, mówiąc ściślej, jak umarła, zaczynała przypominać sobie inne rzeczy. Brzmienie jej śmiechu, sposobu, w jaki się uśmiechała, dowcipy, które lubiła. Przypomniła sobie wygląd jej włosów, gdy wychodziła spod prysznic, przyklepionych do twarzy i zwisających na plecach; moment, kiedy skaleczyła się w kolano na huśtawce z tyłu pierwszego domu, w którym mieszkali, zanim przeprowadzili się do Londynu. Albo gdy po

141

raz pierwszy malowała sobie paznokcie, na co Tory patrzyła z podziwem i strachem. Przyłapała się nawet raz czy dwa na uśmiechu, bo nieoczekiwanie coś pojawiała się z zakamarków pamięci. Wolno, bo wolno, ale czarna chmura, która na nią opadła w dniu śmierci Susie, zaczęła się powoli rozwiewać. Zdarzyło się jej nawet pomyśleć ciepło o ojcu. Tak, przyjazd do Paryża był dobrym posunięciem.

34

Caryn słuchała monotonnego głosu Michaela Baxtera, silącego się bezskutecznie na wymowę kogoś z wyższych sfer. Przynudzał w jej słuchawce tak, że miała ochotę wyskoczyć oknem. Nie przepracowała w tym miejscu jeszcze nawet pełnego miesiąca - najdłuższego w jej życiu. Przez mniej więcej osiem godzin, które codziennie spędzała przy biurku, czas praktycznie stał w miejscu, wskazówki zegara wiszącego na ścianie przesuwają się w ślimaczym tempie w kierunku godziny piątej. Tego ranka sprawdzała godzinę co najmniej sto razy. A nie było jeszcze południa. Westchnęła. Vanessa nie myliła się co do jednego -pomyślała, gdy jej dłonie przemieszczały się szybko nad klawiaturą. Pisanie na komputerze nie było wcale takie

trudne. Tak jak powiedziała Vanessa, błyskawicznie się go nauczyła. Prawdę mówiąc, ta praca była śmiesznie łatwa. Przychodziła, siadała, zakładała słuchawki, włączała komputer, słuchała i pisała. Proste. Niemniej stawało się o wiele bardziej skomplikowane przez żalostny akcent Michaela Baxtera, który przebijał się za każdym razem, gdy otwierał usta, ale to wkrótce okazało się dla niej źródłem prywatnej uciechy. „Plastik” stawał się „plar-sti-kiem”, „matematyka” - „mar-tematyką”, a „decyzja” z jakichś niewytłumaczalnych powodów brzmiała jak „der-cyzja”. Miała ogromną ochotę pośmiać się z kimś z tego, ale na szóstym piętrze wśród tymczasowo zatrudnionych pracowników i etatowych sekretarek nie było nikogo, przy kim poczułaby się na tyle swobodnie, żeby do niego podejść, nie mówiąc już o wspólnym chichocie. Domyślała się, że jako mająca najkrótszy staż w długim szeregu ludzi zatrudnianych na zlecenie, którzy pracowali dla Michaela Baxtera przez ostatnich kilka lat, znajdo-

142

raz pierwszy malowała sobie paznokcie, na co Tory patrzyła z podziwem i strachem. Przyłapała się nawet raz czy dwa na uśmiechu, bo nieoczekiwanie coś pojawiała się z zakamarków pamięci. Wolno, bo wolno, ale czarna chmura, która na nią opadła w dniu śmierci Susie, zaczęła się powoli rozwiewać. Zdarzyło się jej nawet pomyśleć ciepło o ojcu. Tak, przyjazd do Paryża był dobrym posunięciem.

34

Caryn słuchała monotonnego głosu Michaela Baxtera, silącego się bezskutecznie na wymowę kogoś z wyższych sfer. Przynudzał w jej słuchawce tak, że miała ochotę wyskoczyć oknem. Nie przepracowała w tym miejscu jeszcze nawet pełnego miesiąca - najdłuższego w jej życiu. Przez mniej więcej osiem godzin, które codziennie spędzała przy biurku, czas praktycznie stał w miejscu, wskazówki zegara wiszącego na ścianie przesuwały się w ślimaczym tempie w kierunku godziny piątej. Tego ranka sprawdzała godzinę co najmniej sto razy. A nie było jeszcze południa. Westchnęła. Vanessa nie myliła się co do jednego - pomyślała, gdy jej dłonie przemieszczały się szybko nad klawiaturą. Pisanie na komputerze nie było wcale takie trudne. Tak jak powiedziała Vanessa, błyskawicznie się go nauczyła. Prawdę mówiąc, ta praca była śmiesznie łatwa. Przychodziła, siadała, zakładała słuchawki, włączała komputer, słuchała i pisała. Proste. Niemniej stawało się o wiele bardziej skomplikowane przez żalostny akcent Michaela Baxtera, który przebijał się za każdym razem, gdy otwierał usta, ale to wkrótce okazało się dla niej źródłem prywatnej uciechy. „Plastik” stawał się „plar-sti-kiem”, „matematyka” - „mar-tematyką”, a „decyzja” z jakichś niewytłumaczalnych powodów brzmiała jak „der-cyzja”. Miała ogromną ochotę pośmiać się z kimś z tego, ale na szóstym piętrze wśród tymczasowo zatrudnionych pracowników i etatowych sekretarek nie było nikogo, przy kim poczułaby się na tyle swobodnie, żeby do niego podejść, nie mówiąc już o wspólnym chichocie. Domyślała się, że jako mająca najkrótszy staż w długim szeregu ludzi zatrudnianych na zlecenie, którzy pracowali dla Michaela Baxtera przez ostatnich kilka lat, znajdo-

142

i

wała się najniżej na drabinie personelu korporacji i nie była warta niczyjej uwagi lub zachodu. Pisała przez następne pięć minut, a potem, zniecierpliwiona, ściągnęła słuchawki z uszu. Na tę chwilę miała już dość jego głosu. Odsunęła się z fotelem, a potem poszła szybko do łazienki. Nawet wizyta w kibel-ku stała się dla niej miłym urozmaiceniem.

Wyszła z kabiny kilka minut później i obejrzała się krytycznie w lustrze. Prawie nie mogła się rozpoznać. Wyglądała okropnie... korporacyjnie. Prostą czarną żakiet, czarna spódnica, biała bluzka i czarne czółenka na niskim obcasie. Wszystko kupione za pierwszą tygodniową pensję. Tak właśnie ubierały się maszynistki w Standard Life - były tańszą, skromniejszą wersją garsoniek noszonych przez wszystkie inne kobiety w firmie - nawet zarządczynię

funduszy inwestycyjnych, których było dosłownie kilka. Praca polegająca na zarządzaniu emerytalnymi funduszami inwestycyjnymi zdawała się nie przyciągać kobiet -normą byli tu korpulentni, czerwoni na twarzach i źle ostrzyżeni mężczyźni. Z kolei oni wszyscy mieli najwyraźniej te same denerwujące nawyki, jak mówienie do niej ze wzrokiem utkwionym w jej piersiach i podszczypywanie jej przy każdej okazji w pupę. Była przekonana, że Michael nie myślał o niej inaczej jak o parze nóg w ciągłym ruchu pomiędzy biurkiem i automatem do kawy.

Drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do środka. Rozpoznała tę kobietę -to jedna ze starszych sekretarek, pracujących na tym samym piętrze. Caryn uśmiechnęła się do niej niepewnie. Kobieta zignorowała ją i weszła do pustej kabiny. Caryn westchnęła. To była kolejna rzecz, jakiej dowiedziała się o City. Zasady. Nikt najwyraźniej od nich nie odstępował, choć ona sama nie potrafiła się domyślić, jak i kiedy człowiek się ich uczył. Dlatego właśnie sekretarki z zasady nie rozmawiały z maszynistkami. Sekretarki stały bowiem o jeden szczebel wyżej od maszynistek i te ostatnie mogły się do nich zwracać, ale władza była po stronie sekretarek. Maszynistki, a już na pewno te zajmujące najniższe pozycje, ogólnie nazywano po prostu dziewczynami. Sekretarki czasami określano jako „panie”, rzadziej „dziewczyny”, a nawet „chwilowy”, bo najczęściej były to blondynki z wyższej klasy średniej, z odpowiednim akcentem, które po prostu przeczekiwały tu czas, zanim znajdą mężczyznę pracującego w City (jakiegoś tatuśka). Potem odbywało się

143

huczne wesele, następował miesiąc miodowy spędzany w egzotycznym miejscu i „Tatler” drukował od czasu do czasu zdjęcie „Hermione i Bify’ego” albo „Squidy i Indii” czy innych ludzi o równie dziwacznych imionach... a wtedy kolejna „dziewczyna” lub „pani” zajmowała zwolnione miejsce na szóstym piętrze i ustawiała się w szeregu innych. To wszystko było zdumiewające. Aż do chwili, gdy zaczęła pracować w City, Caryn wydawało się, że w St Augustine osiągnięto apogeum wyczulenia na przynależność do jakiejś klasy. „Każdemu według jego rangi” mogło być mottem tych niecałych dwóch kilometrów kwadratowych. Problem polegał jednak na tym, że trudno było się zorientować, kto do jakiej rangi należał, a kto nie.

Jak zwykle Caryn nie do końca pasowała do ram. Kiedyś, mniej więcej po tygodniu pracy, jakaś kierowniczka przyszła zobaczyć się z Mi-chaelem i wzięła do ręki książkę, którą Caryn trzymała na biurku -Dzieci północy Salmana Rushdiego. Popatrzyła na dziewczynę i uniosła brwi. Nie odezwała się słowem, ale jej spojrzenie mówiło: „Co ty tu robisz?”. Musiało coś być w Caryn, co sprawiało, że kiedy siedziała w czasie lunchu z niewielkim białym plastikowym pojemnikiem na jedzenie, w którym miała lichą kanapkę i jabłko, a nie drogą bagietkę, fi-kuśne chipsy i napój w puszcze, jakie pozostałe pracownice kupowały w delikatesach w Leadenhall Marketinne, dziewczyny nie wrywały się z podchodzeniem do niej. Może sprawiał to jej „inteligentki” akcent, sposób, w jaki się nosiła, może... Trochę dziwna, trochę jakby nie na miejscu. Najlepiej więc było zostawić ją w spokoju. Widziała na ich twarzach dezorientację, ale nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Kobieta, która weszła po niej do kabiny, wyłoniła się bez uśmiechu. Ona również uniosła brwi na widok Caryn, ale z innego powodu. „Co ty tu jeszcze robisz? - zdawała się pytać. - Czyżbyś nie miała żadnego innego zajęcia?”. Caryn pospiesznie wytarła ręce i wyszła.

35

Nik weszła po schodach uniwersytetu. Panująca w portyku chłodna wilgoć sprawiała jej przyjemność. Pchnęła ciężkie drewniane drzwi

144

prowadzące do biblioteki. Jej torba sporo ważyła. Właśnie wyszła z wykładu prowadzonego przez sławnego nauczyciela akademickiego Franka Kermoda'a, a jego słowa nadal dźwięczały

jej w uszach. „Filologia angielska nie jest pójściem na łatwiznę. To wybór trudnej drogi, zastrzeżonej wyłącznie dla tych, którzy się do tego nadają. Pamiętajcie, jedną z ogromnych korzyści, jakie daje studiowanie angielskiego, jest to, że będzie się was zmuszało do czytania mnóstwa lektur z innych dziedzin. Może i nie zgłębicie Hegla, ale będziecie musieli czegoś się o nim dowiedzieć. Albo o Hobbesie, Arystotelesie czy Rolandzie Barthesie.

Przypuszczam, że wszyscy mamy jakąś wiedzę ogólną. Ale pewien zakres cywilizacji zależy od inteligentnego jej nabywania”.

To, żeby profesor Kermode zauważył Nik Hartę pomiędzy innymi studentami pierwszego roku, siedzącymi przed nim po dwoje i troje, było bardzo mało prawdopodobne, ale ona czuła się tak, jakby to ją właśnie wyłuskał w tłumie i mówił wyłącznie do niej. Po lekceważących uwagach Jima o studiowaniu filologii angielskiej, kiedy „nie ma się głowy do myślenia lub robienia czegokolwiek innego”, słowa profesora Kermode'a okazały się nieoczekiwanym i kojącym balsamem dla jej zranionej dumy. „Angielski? - wyraz twarzy Jima mówił bardziej obrazowo i precyzyjnie, co o tym myślał. - A po jaką cholere? Żadna z moich córek nie będzie siedziała na dupie przez trzy lata, ucząc się, jak robić coś, co, do jasnej cholery, powinna już wiedzieć. Jezu Chryste! Chyba już dość wydałem na twoje pieprzone wykształcenie?”.

Wbiegła po krótkich schodach do biblioteki, policzki paliły ją żywym ogniem. Cóż, w jednej sprawie miał rację. „Żadna z moich córek”. Decyzję, że będzie inaczej, podjęła, zanim jeszcze rozpoczęła studia. Przybrała panieńskie nazwisko matki. To było takie proste. Nikola Hartę stała się Nikolą Parker. Wyjaśniła w dziekanacie, kiedy robiono jej zdjęcie, że Hartę to jej drugie imię, że ktoś musiał się wcześniej pomylić. Urzędnik wzruszył ramionami, zrobił jej fotografię i beznamietnie wpisał „Parker”, Nik Parker. A teraz, po wysłuchaniu profesora Kermode'a i niecałym tygodniu studiowania na uniwersytecie, wiedziała nareszcie dokładnie, co zrobi z resztą życia. Chciała zostać dziennikarką, ale najdziwniejsze było to, że nie umiałaby tego uzasadnić. Wiedziała i już. Spojrzała na broszurę dla studentów pierwszego roku i serce zaczęło jej

145

bić żywiej. „Narracja”. „Studia kulturoznawcze”. „Wprowadzenie do teorii krytyki”.

Niemniej dreszcz przyjemności łączył się u niej zawsze z dotkliwym rozczarowaniem, gdy myślała o Caryn. Ona również powinna się cieszyć ze studiowania - ale nie mogła.

Oczywiście, to było niemożliwe. Caryn udawała, że to zupełnie nieważne, w ogóle bez znaczenia. Zawsze przecież może później rozpocząć naukę na uniwersytecie, po... po czym?

Nik na końcu języka miała słowa, które chciałaby wykrzyknąć, ale za każdym razem się powstrzymywała. Caryn się myliła. To było ważne. Próbowwała wyobrazić sobie, co sama zrobiłaby na jej miejscu, ale nigdy wcześniej nie wymagano od niej niczego, co choćby w przybliżeniu zmuszałoby ją do podjęcia decyzji lub poświęcenia się, jak zrobiła to Caryn. Nik naprawdę nie musiała martwić się o nikogo poza sobą.

Tamtego wieczoru przed powrotem do domu, pełna pokory jak nigdy, poszła odwiedzić Caryn po raz pierwszy w jej mieszkaniu. Przyjaciółka była dzielna. Była najodważniejszą osobą jaką знаła. Nik, która umiała naprawić samochód, strzelać do antylop, dosiadać każdego konia, która przejechała pół świata bez mrugnięcia okiem, nagle zrozumiała, że istnieje też inny rodzaj odwagi, taki, jakim nigdy nie musiała się wykazywać. Głębszej, potężniejszej i cenniejszej. Caryn ją miała. Może i Tory też, po tym, co przydarzyło się jej siostrze. Inny rodzaj życia. Niespodziewanie okazało się, że to Nik nie jest do niego przygotowana. Ona, która miała wszystko, co można dostać za pieniądze. Zbytним uproszczeniem byłoby stwierdzenie, że myślenie o Caryn popchnęło ją do wyboru dziennikarstwa, ale fakt pozostawał faktem - po tym, co spotkało przyjaciółkę, mimo nadrabiania miną nie dopuszczała do siebie nawet myśli, że mogłaby wrócić do Zimbabwe i po prostu czekać nad basenem w domu na przedmieściu, aż ktoś ją poderwie i będzie się

chciał z nią zaobrączkować - jak to ujął Shaun. To znacznie lepiej pasowałoby do planów Jima, jakie miał wobec niej. Shaun i Patrick naturalnie nie zawracali sobie głowy studiami, mieli znacznie ważniejsze rzeczy do roboty - mówiąc wprost: żyli. Ale Nik była niezwykle stanowcza. W końcu jednak pogodzenie się z jej decyzją i zgoda na płacenie czesnego wydały się ojcu mniej uciążliwe od trzymania córki w domu i choć bardzo niechętnie - szydząc z tego na swój sposób - po-

146

zwolił jej studiować. Zniosła jakoś lato w Zimbabwe, gdzie garstka przyjaciółek nabijała się z niej. Wszystkie były dziewczynami z wyższych sfer, trzymającymi się kurczowo pozostałości młodzieżowego stylu życia, które dla nich już się skończyło. Desperacko marzyły o wyjściu za mąż i „wyrwaniu się stąd do wszystkich diabłów” - jak mówiły. Potem, we wrześniu, poleciała z powrotem do Anglii z Manningiem. Tyle że tym razem wracała do czegoś - do własnego życia. A przynajmniej do jego początku. Teraz, po tygodniu mieszkania w pokoju, który okazał się niewiele większy od pomieszczenia, jakie miała na buty przy Eaton Square, na dobre się w nim rozgościła. Jej własne życie. Nie mogła do końca uwierzyć, że będzie się toczyło właśnie tutaj.

36

Po prawie miesiącu pobytu w Paryżu Tory zaczynała powoli czuć się tam jak u siebie. Znała już trasy autobusów, wiedziała, gdzie kupować maślane croissantsy, najostrzejsze i najłagodniejsze sery, jak dostać się do największych muzeów i galerii. Poza tym poznała Saskię, młodą Niemkę pracującą jako opiekunka do dziecka. Mieszkała ona na końcu ulicy. Tory ją odwiedzała, gdy miała ochotę na kawę albo na spacer nad rzeką. Jej najbardziej ulubionym miejscem był targ kwiatowy przy place Louis Lepine na ile de la Cite. Mogła się tam wałęsać przez całe godziny pomiędzy straganami, na których sprzedawano wszystko - począwszy od maleńkich, delikatnych gipsówek, na gigantycznych, woskowych strelacjach królewskich, które dostarczono z Dalekiego Wschodu, kończąc. Miasto powoli rzucało na nią swój urok, a ona zaczynała się tu czuć jak w domu.

Thierry wrócił w połowie września, bez żony. Kiedy następnego dnia weszła rankiem do gabinetu, siedział już przy biurku. Wyglądał na opalonego i wypoczętego. Zmarszczka, którą zawsze miał między brwiami, zniknęła, a w typowym dla niego surowym wyrazie twarzy dawało się zauważyć, nikły bo nikły, cień uśmiechu, zwłaszcza gdy na nią patrzył. Tory pospiesznie odwróciła wzrok, czując rumieniec na policzkach. Był za stary, żeby mogła uznać go za atrakcyjnego mężczyznę - czy aby na

147

pewno? Przeżyła coś w rodzaju szoku, kiedy przyłapała się na tym, że patrzy na kosmyk włosów, który opadł mu na czoło, i uważa za ładny kolor jego oczu na tle opalonej twarzy.

- Odpoczęłaś trochę? - zapytał, odwracając się częściowo do niej.

- Tak, dziękuję - odpowiedziała, nie odrywając wzroku od własnych paznokci. - A... czy pan miał udane wakacje?

- Oui.

I to było wszystko. Thierry przysunął do siebie kartkę papieru. Praca nad przekładem rękopisu dobiegła niemal końca, tłumaczka zaś zostawiła dla niego spory stos kartek do przejrzania. Przez kilka minut pracowali w ciszy. A potem on niespodziewanie podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Tory bardzo się zaczerwieniła i szybko pochyliła głowę. Wpatrywała się w zdanie, które właśnie wpisała. „Gra między wie-losłowiem a milczeniem jest charakterystyczna dla religii-judeochrze-ścijańskiej. Czasami słowo boże jest klarowne - to cud objawienia. Innym razem dominują zagadki i mrok”. OK, może nie była intelektualną orlicą, ale coś w tych słowach do niej przemawiało. Objawienie i mrok. Klarowność i zagadka. Cóż, Thierry de Courcy był z pewnością zagadką. Westchnęła. Co się działo?

- Coś nie w porządku? - zapytał.

Pokręciła głową, nie ośmielając się podnieść wzroku.

- Nie, nic. Tylko... więc, to jest ciekawe... to, co pan napisał -dodała nieprzekonująco. Nic nie odpowiedział, ale czuła na sobie jego spojrzenie. Musiała zebrać wszystkie siły, żeby nie przerywać pisania. W końcu usłyszała, że odsunął fotel i wstał. Kontynuowała wklepywanie tekstu, ale nagle całe jej ciało się spięło. Przeszedł przez pokój do jej biurka i ku przerażeniu Tory obszedł je i stanął obok niej. Czytał słowa na monitorze.

- Interesujesz się religią? - zapytał niespodziewanie.

- Ja? Och, nie... - odpowiedziała Tory trochę za głośno, zakłopotana. Nawet nie zrozumiała jego pytania. Czy była religijna? - To znaczy... nie, niezupełnie - szybko poprawiła samą siebie.

- Ach. - Stał przy niej przez kilka sekund, a potem odszedł.

Jej twarz płonęła. Czuła się jak idiotka. Przez resztę przedpołudnia nie odezwała się słowem. Tuż przed lunchem Thierry wstał, włożył marynarkę i wyszedł, nic nie mówiąc. Patrzyła, jak zamykał za sobą drzwi,

148

i zupełnie wytracona z równowagi, dotknęła dłonią twarzy. Zauważała w nim rzeczy, które ją niepokoiły. Kolor włosów, opaloną skórę na karku, kształt jego rąk. Jezu! Mógłby być jej ojcem. Kiedy to się stało?

37

Euforia po spotkaniu pani Devereaux nie trwała długo. Już następnego dnia, zgodnie z tym, co jej powiedziano, Estelle umówiła się na wizytę u doktora Bowensa w klinice przy Harley Street. Pielęgniarka zręcznie wyciągnęła cienką igłę z jej ramienia i zakorkowała fiolkę z krwią którą pobrała - i to było wszystko. Pani Devereaux miała dostać wyniki za kilka dni. Estelle wróciła do domu w stanie przyjemnego oczekiwania. Minął tydzień i nikt nie zadzwonił, potem następny i nadal nie usłyszała choćby słowa. Po trzecim tygodniu zaczęła się zastanawiać, czy cała ta przygoda się jej nie przyśniła. Nie pracowała od ich rozmowy, a jej oszczędności ponownie zmalały do groźnego poziomu. Nadszedł czas, żeby zapomnieć o mrzonkach - niezależne od tego, jak bardzo wydawały się ekscytujące - i wracać do roboty. Caitlin okazała się mądrzejsza.

- O co chodzi? - zaczęła się dopytywać pod koniec drugiego tygodnia. - Od wieków nie wyszłaś z domu. Jesteś chora czy co?

- Nie. - Estelle wzruszyła ramionami na tyle nonszalancko, na ile mogła się zdobyć. - Nie mam ochoty, to wszystko.

- No to lepiej będzie, jeśli szybko jej nabierzesz - powiedziała Caitlin, energicznie zapinając suwak w torebce. - Nadal mi wiesz za zeszły tydzień, pamiętasz? A w przyszłym tygodniu trzeba zapłacić czynsz.

- Wiem, wiem... Zacznę znowu od jutra, dobrze?

- Guzik mnie obchodzi, od kiedy zaczniesz, słodziutka. Wystarczy, że dasz swoją dolę, to wszystko. Ostatnia dziewczyna...

- Oddam ci te pieniądze, w porządku?

- Nie denerwuj się. Boże, wstałaś dzisiaj lewą nogą? - Caitlin przewróciła oczami. - Do zobaczenia. - Zniknęła w chmurze perfum i papierosowego dymu.

Estelle jęknęła i oparła się o poduszki. Spadła na ziemię z głośnym

149

hukiem. Co sobie wyobrażała? Kto jak kto, ale ona powinna wiedzieć lepiej od innych, że nic nigdy nie układa się tak, jak powinno. Nic nie było tak dobre, jak się wydawało -

przekonywała się o tym przez niemal całe życie. Począwszy od ojca, który nigdy się nie zjawił, po przyszłość, jaką Gloria zawsze obiecywała... nic nigdy łatwo jej nie przychodziło.

Nic się nie układało, a marzenia po prostu się nie spełniały. Wiedziała o tym. Chwyciła

poduszkę i mocno ją ugryzła. Jak mogła być taka głupia? Straciła prawie miesięczny zarobek, siedząc po całych dniach w domu i czekając na telefon, który co prawda dzwonił, ale nigdy nie była to pani Devereaux - bo pani Devereaux nigdy nie zadzwoni. Nareszcie to zrozumiała. Dlaczego tak się przy tym upierała? Na tym pierdolonym świecie istniała tylko jedna osoba, na którą mogła liczyć i...

Telefon zadzwonił ponownie, wrywając ją z zamyślenia. Wpatrywała się w aparat. To na pewno któryś z klientów Caitlin. Dlaczego, do ciężkiej cholery, nie kupiła sobie jak wszyscy automatycznej sekretarki? Uniosła słuchawkę po piątym dzwonku.

- Halo? - warknęła nieprzyjaźnie.

- Takim tonem nie odbiera się telefonu, Estelle - zganił ją miły kobiecy głos. - Na pewno stać cię na coś lepszego, prawda?

Zalała ją zimna fala szoku.

- Pani Devereaux?

- Jak się miewasz, kochanie?

- Do... doskonale. Ja...

- Przyjdiesz do mnie na spotkanie jutro rano? - Pani Devereaux kontynuowała energicznym tonem. - O dziewiątej. Nie spóźnij się. Nie znoszę spóźnień. - Nie wytłumaczyła nawet słowem, dlaczego nie odzywała się przez prawie miesiąc.

- W... w Hiltonie? - wydukała Estelle.

- A gdzie indziej? - Pani Devereaux zachichotała i rozłączyła się.

Estelle powoli odłożyła słuchawkę, zbyt oszołomiona, żeby powiedzieć coś więcej. Serce waliło jej jak młotem. Oparła się ponownie o poduszki, w głowie miała zamęt, nagle w myślach otwierały się przed nią wielkie możliwości.

- Był ruch w interesie - powiedziała jedynie pani Devereaux następnego ranka, kiedy Estelle, tym razem punktualna, odważyła się zapytać,

150

dla czego tak długo nie dzwoniła. - Nie miałam czasu. A teraz chciałabym, żebyś kogoś poznała - mówiła dalej z ożywieniem, wyjmując papierosa ze srebrnej papierošnicy i zapalając go. - Kogoś bardzo wyjątkowego. Myślę, że będziesz mu się podobała. Spotkasz się z nim w jego klubie. To, jak mi się wydaje, gdzieś w City. Ale najpierw musimy cię jakoś ubrać. - Wstała i przyjrzała się Estelle krytycznym okiem. Ramiona trzymała skrzyżowane na piersiach. - Potrzebne ci też będzie dobre strzyżenie. Po drodze zabiorę cię do Nicky'ego. Kilka pasemek nie zaszkodzi, a najpierw dowiemy się, co on o tym myśli, dobrze?

Paznokcie? - mówiła, nie dopuszczając jej do słowa. Estelle posłusznie wyciągnęła przed siebie ręce. - Nieźle. Jednocześnie zrobimy ci szybki manikiur. - Zgasiła papierosa i popatrzyła na dziewczynę. - A więc? Na co czekasz? Nie mam dla ciebie całego dnia. Muszę jeszcze dopilnować dwóch innych dziewczyn, rozumiesz? No to chodźmy.

Estelle zerwała się na równe nogi i ruszyła za panią Devereaux do drzwi. Teraz naprawdę miała mętlik w głowie. Dokąd się, do cholery, wybierały?

Wyszła z niewielkiej kabiny i powoli się obróciła. Nawet ekspedientkom zaparło dech z wrażenia. Sukienka bez pleców uszyta z kombinacji tysięcy delikatnych srebrnych drobin i czarnego jedwabiu opinała jej skórę, ciasno obejmowała piersi, zniżała do wąskiej linii bioder, by rozlać się w migotliwych fałdach u jej stóp. Estelle stała boso. Zaparło jej dech w piersiach. Nigdy w życiu nie znalazła się nawet w pobliżu czegoś równie wspaniałego. Pani Devereaux wpatrywała się w nią w zamyśleniu z drugiego końca pokoju. Była to trzecia kreacja mierzona przez Estelle. Dwie poprzednie zostały źle przyjęte prawie niewidocznym skinieniem jej dłoni.

- Tak, ta będzie dobra - powiedziała w końcu cicho i niewyraźnie do stojącej obok niej kierowniczkę sklepu. Dwie ekspedientki natychmiast przystąpiły do działania. Kiedy rozpięły

suwak z tyłu sukni, Estelle mogła wreszcie zaczerpnąć powietrza. Szybko wciągnęła dzinsy i włożyła przez głowę bluzkę, a w tym czasie sukienka została ułożona między płachtami cieniutkiej bibuły w ogromnym białym pudle z nadrukowanymi złotymi literami. Estelle nie śmiała zapytać o cenę. Pani Devereaux przeglądała teraz stos dodatków, które ekspedientka przed

151

nią położyła - wybrała parę białych majteczek. Estelle nigdy jeszcze nie widziała tak skąpej bielizny. Pięć minut później, trzymając w ręku drugą torbę z parą markowych czółenek na wysokich obcasach, wyszła za panią Devereaux ze sklepu. Szofer już czekał, żeby odebrać od niej paczki. Dziewczyna, nadal oniemiała, wsiadła za swoją protektorką do opływowego czarnego jaguara. W niecałe dwadzieścia cztery godziny jej życie zostało wywrócone do góry nogami.

Jeśli nawet miała jakieś obiekcje dotyczące wiarygodności pani Devereaux, trzy godziny spędzone w jej towarzystwie w małym, ale bez wątpienia ekskluzywnym butik przy Bond Street rozwiały je do końca. Nie tylko znano panią Devereaux, ale najwyraźniej ją szanowano. Estelle nie dałaby się nabrać na służalczość - ostatecznie pochodziła z Afy-ki... wiedziała wszystko o reweransach i wazeliniarstwie. kie, drobne uprzejmości i bardzo subtelne pochlebstwa, które słyszała tego popołudnia, wskazywały jedynie na fakt, że pani Devereaux, kimkolwiek była i w jakikolwiek sposób zarabiała pieniądze, na pewno zarabiała ich mnóstwo. To wręcz biło po oczach. Była prawdziwą McCoy - i jeśli Estelle chciałyby coś z nich uszczknąć (a to było pewne jak dwa razy dwa), również i ona powinna nauczyć się płaszczyć i robić dokładnie to, czego ta kobieta od niej oczekiwała. Nie brzmiało to szczególnie źle - myślała, gdy samochód powoli odjeżdżał od krawężnika i cicho ruszył ulicą. Jezu, robiła znacznie gorsze rzeczy... bez pięknej srebrno-czarnej sukni, kosztującej z pewnością małą fortunę, i pasujących do niej pantofli jako formy pocieszenia. Czy będzie mogła zatrzymać tę sukienkę? - zastanawiała się. A co takiego pani Devereaux mówiła o jej własnym mieszkaniu i samochodzie z kierowcą? Przycisnęła pudło do piersi, zbyt podekscytowana, żeby mówić - albo myśleć. Po raz pierwszy w całym jej „zawodowym” życiu nie mogła się doczekać wieczoru.

38

- Dlaczego zdecydowałaś się przyjechać właśnie do Paryża?

Tory podniosła wzrok, zaskoczona. Thierry patrzył na nią. Zdjął okulary, trzymał w ustach jeden ich zausznik i przyglądał się jej twarzy z wymalowanym na niej zdumieniem.

152

- Właściwie to nie ja - odpowiedziała, mając nadzieję, że nie jest aż tak czerwona na twarzy, jak się jej zdawało. - Tak naprawdę to był pomysł ojca. On i Ines uznali, że to dobre rozwiązanie... w związku z tym, co się stało.

- Nie bardzo rozumiem.

Popatrzyła na niego niepewnie.

- Wie pan, że... moja siostra nie żyje? - zapytała, czując, jak zaciska się jej gardło.

- Tak, wiem. Ale to nie jedyny fakt z twojego życia godny poznania - powiedział łagodnie. Nasunął okulary. - Prawda?

To oświadczenie i pytanie, które po nim nastąpiło, były tak nieoczekiwane, że zupełnie zbiły ją z tropu. Wpatrywała się w niego, niezdolna wypowiedzieć słowa. W końcu pokręciła głową.

- N... nie, myślę, że nie - wymamrotała. - Nigdy... nigdy tak o tym nie myślałam.

- A może powinnaś. - To nie było pytanie.

Nie odrywała od niego wzroku. Ku swojemu przerażeniu poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Odwróciła głowę w stronę komputera, zdecydowana nie rozplakać się w jego obecności. Nieświadomie poruszył w niej bardzo czułą, bolesną strunę. Jeśli nie była siostrą

dziewczyny, którą zamordowano, to w takim razie kim? A jeżeli była jedynie siostrą Susie, dlaczego tak się na nią czasami złościła? Obraz na monitorze zaczął się rozmazywać. Chciała ukradkiem zetrzeć łzy z policzka, gdy poczuła na ramieniu jego rękę. Zesztywniała. Obrócił ją wolno przodem do siebie. *

- ęava- powiedział łagodnie. - Ciii.

- Ja... - z trudem wykrztusiła słowo.

- Wiem. Proszę. - Wyciągnął chusteczkę z kieszeni koszuli i podał jej. - Jest w porządku. Możesz płakać, ale nie z jej powodu, OK? Dla niej to już się skończyło, sprawa jest zamknięta. Ty... ty z kolei musisz jakoś sobie radzić przez resztę życia.

- A... ale jak? - zapytała przez łzy, czując, że serce pęka jej na dwoje. - Nie umiem zapomnieć... ja... po prostu nie umiem...

Przykucnął, aż jego twarz znalazła się na wysokości jej twarzy. Odsunął delikatnie na bok jej rękę, położył dłonie na jej kolanach i spojrział na nią.

153

Tory uderzyła absurdalność jego pozycji - Thierry de Courcy niemal klęczący przed nią? Uniósł rękę i poprawił kosmyk włosów, który opadł jej na policzek... jego palce błądziły po jej skórze... a później, oczywiście, zbliżył do niej usta. Początkowo niewinnie, jakby chciał pocałować ją w czoło albo w policzek, ale ona obróciła jednocześnie głowę i przyjęła go niejako dziecko, lecz jako kobieta. Nastąpiła sekunda wahania, potem Thierry wstał, pociągając ją za sobą. Poczowała, że zmienił się jego uścisk - nie był już delikatny ani kojący, teraz kryły się za nim głód i napięcie, na które błyskawicznie zareagowała, odpowiadając tym samym. Jak to się stało? - pytała samą siebie raz po raz, gdy zaczął rozpinąć jej bluzkę, a ona przekonała się, że robi to samo z jego koszulą Kopnięciem zamknął drzwi, pamiętając o przekręceniu klucza w zamku, by pokazać jej w najbardziej bezpośredni sposób, że tamto nie było jedyną rzeczą wartą poznania, która jej dotyczyła. Z całą pewnością nie.

39

Londyn, lipiec 1997

Siedziała kilkanaście centymetrów od dużego lustra i z trudem mogła oderwać wzrok od własnego odbicia. Za nią, marszcząc czoło w skupieniu, fryzjerka podcinała i strzygła, przestawała, przesuwając jej głowę we wszystkie strony, mierzwiła włosy i znowu przycinała. I znowu. Sterta ciemnobrązowych włosów na podłodze robiła się coraz większa, coraz bardziej skudłacona, a te na jej głowie stawały się coraz krótsze i krótsze. W chwili gdy ustał ruch nożyczek, zmieniła się nie do poznania -nawet dla samej siebie.

- Wygląda świetnie, prawda? - zapytała fryzjerka wesoło, uśmiechając się do niej w lustrze.

Nik przełknęła ślinę. Od kiedy sięgała pamięcią, nosiła długie, proste, ciemnobrązowe włosy. Miała sto nawyków związanych z nimi, począwszy od zaginania końcówek, gdy była zdenerwowana, po nawijanie pasma na mały palec, kiedy czytała. Ponownie zaczęła wpatrywać się w odbicie obcej osoby w lustrze.

- Wyglądam... inaczej - powiedziała w końcu.

- No jasne, że inaczej. O to właśnie chodzi! Trochę potrwa, zanim się przyzwyczaisz, ale naprawdę ładnie wyglądasz, to twój styl.

Nik dotknęła ręką nowej fryzury.

- Nigdy przedtem nie miałam krótkich włosów.

- A powinnaś. Masz stworzone do tego kości policzkowe, kochanie. Sama chciałabym takie mieć. - Fryzjerka uśmiechnęła się do niej, zdejmując narzutkę. -I proszę bardzo. To ty w nowej wersji.

*

157

Piętnaście minut później Nik wyszła na ulicę i co jakiś czas świadomie dotykała nagiej skóry na karku. Przeszła na drugą stronę, ciesząc się nieznany wcześniej uczuciem lekkości, i raz po raz patrzyła z zaskoczeniem na swoje odbicie w witrynach sklepów. Za kilka godzin miała się spotkać z Caryn i Tory - co one na to powiedzą? Poczła niewielki skurcz w żołądku. Przedtem jednak musiała stawić czoło ojcu i Molly. W domu nadal panowała napięta atmosfera po ostatniej awanturze, która wybuchła dość nieoczekiwanie. Zaczęło się od zaproszenia na uroczystość wręczania dyplomów. Oczywiście. Koperta wpadła do środka przez szczelinę na listy w drzwiach, zaadresowana dla Nikoli Parker. Molly znalazła ją idąc do kuchni, i pokazała Jimowi. A potem rozpętało się piekło. Nik była zupełnie nieprzygotowana na burzę, która wybuchła. Jim wrzeszczał na nią, Molly zacisnęła usta, a Jessica, która przyjechała na weekend z prywatnej szkoły, przyglądała się im zza poręczy schodów - o co tyle krzyku? Przybrała nazwiskę panińskiej matki... no i co z tego? Nik po raz pierwszy w życiu odpysknęła ojcu. Pomyślała, że ją uderzy. W końcu Molly wtrąciła się i próbowała zapanować nad sytuacją. Kazała Nik iść do pokoju telewizyjnego, a później obróciła się do męża, żeby go uspokoić. „Zepsuty, niewdzięczny bachor!” - słyszała, jak na nią złorzeczył, gdy szedł do gabinetu i tak mocno trzasnął drzwiami, że spadł zegar wiszący na ścianie w korytarzu.

Przez resztę dnia w domu panowała cisza. Jim prawie się nie pokazywał. Nik spędziła większość dnia w swoim pokoju. Rozżalenie i złość gniotły jej pierś i nie chciały odpuścić. Jak śmiał tak się na nią wydzierać? „Zepsuta”? Jeśli kiedykolwiek była z czegoś dumna, to z tego, że w czasie studiów wzięła od niego tylko tyle pieniędzy, żeby przeżyć, i ani centa więcej. Przez trzy lata odmawiała sobie wszystkiego, mieszkała w norze w akademiku, jak wszyscy studenci pracowała dorywczo w barach, choć gdyby tylko zechciała, mogłaby pławić się w komforcie domu przy Eaton Square. Ale nie chciała. Uczyla się i żyła, chociaż było jej bardzo, bardzo ciężko, ale rozpaczliwie pragnęła udowodnić - nawet jeśli tylko sobie - że potrafi coś więcej niż tylko być córką Jima Hartę'a, że umie radzić sobie sama. Przez trzy lata nauczyła się trzymać język za zębami na okazjonalnych zjazdach rodzinnych w Londynie, Studgrove albo w Harare i nie dzieliła się z nikim szczegółami ze swojego życia. Nikt zresztą nie pytał, jak jej idzie nauka; nikt nie pytał, czy to sprawia

158

jej radość albo jakie ma plany po skończeniu studiów. Shaun i Patrick byli tak zajęci skandalami, które zdawały się zalewać RhoMine co tydzień niczym fale, że zostawało im bardzo niewiele energii i czasu na martwienie się o młodszą siostrę. Zresztą ona wielokrotnie dawała jasno do zrozumienia, że w żaden sposób nie wiąże przyszłości z rodzinną firmą. Bo prawda była taka, że nikogo to nie obchodziło. A najmniej Jima Hartę'a. Cóż, jakoś dawała sobie z tym radę. Wcale nie narzekała, więc jak śmiał powiedzieć, że jest „zepsuta”? Kiedy wyszła z rogu przy Eaton Square, zobaczyła ogromne srebrne bmw Jima zaparkowane przed domem, ale kierowcy nie było w pobliżu. Obok stał inny samochód - czarny, opływowy. Bez wątplenia należał do gości. Przekręciła klucz w zamku i ostrożnie pchnęła drzwi. Wyglądało na to, że nikogo nie ma w domu. Zajrzała do jadalni. Na błyszczącym mahoniowym stole stał bukiet kwiatów. Na blacie widać było kilka kropli wody, co wskazywało, że niedawno ktoś tu był. Usłyszała jakiś hałas i spojrzała do góry. Podniesione, stłumione głosy dochodziły z gabinetu ojca na pierwszym piętrze. Wyszła z jadalni, wspięła się po schodach i miała właśnie iść na drugie piętro do własnego pokoju, gdy doszedł ją czyjś głos.

- Nie możesz tak po prostu go tam zostawić - mówił mężczyzna, najwyraźniej rozżłoszczony. - Musisz go jakoś wyciągnąć.

- Jak?! Co, twoim zdaniem, mam zrobić?! - W głosie ojca słychać było irytację. - Wysłać armię?! Czyją?! Twoją?!

- On to zrobił dla ciebie, Hartę. Jesteś za niego odpowiedzialny. Ty go tam posłałeś, to teraz go wydostań. Nie chcę mieć na rękach krwi Simona Cartera.

Nik poczuła na plecach zimny dreszcz.

- Nie jest dzieckiem. Wiedział, w co się pakuje. - Rozpoznała ton głosu ojca.

Ostateczny.

- Jezu Chryste, Jim! Nie masz sumienia, do kurwy nędzy? Ile lat ma ten facet? Trzydzieści? Harold ma rację. Nie możesz go tak po prostu tam zostawić. - Ktoś inny, najwyraźniej oburzony, włączył się do rozmowy.

- Panowie - powiedział Jim z ożywieniem, ignorując ich zastrzeżenia. - Mamy umowę czy nie?

159

Zapadła kilkuminutowa cisza. Nik poczuła, jak włosy stają jej dęba na głowie.

- Ale... - czyjś głos przerwał ciszę.

- Wystarczy! - krzyknął niespodziewanie ojciec. - Niczego nie rozumiecie, prawda? To my mamy wszystkie ak czterdziestkisiódemki, głupcy. Pytanie brzmi: kto strzeli pierwszy? Nie mam zamiaru tego zostawić, nie po takim czasie. Carter wie, co ma robić. Robił to już wcześniej. I wie, jak o siebie zadbać. Na tym sprawa się kończy. A teraz pytam, kurwa, po raz piętnasty: mamy umowę czy nie?

Nik nie miała pojęcia, kogo i czego dotyczyła ta rozmowa, ale na pewno nie była przeznaczona dla jej uszu. Żałowała, że usłyszała z niej cokolwiek. Po cichu ruszyła dalej schodami, zastanawiając się, o kim, do licha, mówili. Kimkolwiek był, ich słowa brzmiały złowieszczo.

Caryn spojrzała na zegar po raz setny tego popołudnia. Zostało jej jeszcze półtorej godziny. Minuty wlokły się niemiłosiernie, wolniej niż kiedykolwiek. Dałaby wszystko, byle tylko wstać, wziąć torebkę i wyjść. Był 14 sierpnia, jeden z najgorętszych dni tego roku. Ona, Tory i Nik miały się spotkać w Blushes przy King's Road, w ich ulubionym miejscu. Już od paru miesięcy nie widziała się z Nik - co z jej ostatnimi egzaminami i jak się udał powrót do domu w Zimbabwe, na który zdecydowała się w ostatniej chwili? Caryn miała potem tyle zajęć, że nie dała rady zobaczyć się z przyjaciółką. Tory nie było od prawie trzech lat, aż trudno sobie to wyobrazić. Pisała oczywiście z Paryża, ale dwa razy nie stawiała się na ich spotkania. Coś najwyraźniej nie układało się dobrze, co do tego Caryn i Nik były zgodne, ale żadna z nich nie wiedziała, jak poruszyć ten temat, zwłaszcza w liście.

Ponownie spojrzała na zegar. Zobaczy je obie za kilka godzin. W żołądku czuła miły skurcz, typowy dla chwil, kiedy czeka się na coś przyjemnego. Tak wiele się wydarzyło w życiu ich obu - w przeciwieństwie do niej, bo w jej życiu praktycznie nic się nie zmieniło. Nie była to jednak do końca prawda. Pracowała w firmie ubezpieczeń na życie Metropolitan od prawie roku, nadal zatrudniona jako maszynistka i nadal na umowę-zlecenie, ale zaczęła przyzwyczajać się do tej pracy, może nawet ją polubiła. Tu przynajmniej inne maszynistki były bardziej przyjacielskie niż u poprzedniego pracodawcy. Brian dobrze się uczył - na

160

przekór wszelkim przewidywaniom rósł na wesołego, inteligentnego i dociekliwego chłopca, o którym wszyscy mówili, że bardzo przypomina starszą siostrą. A to - jak sobie powtarzała - było najważniejsze. I choć trudno w to uwierzyć, Owen miał wyjść z więzienia za niespełna rok. Nie wiadomo, kiedy sprawy w domu Middletonów powinny wrócić do normalności.

Albo - jak zwykle - prawie do normalności. Tylko Alice się nie zmieniła. I nigdy nie zmieni.

- Myślamy w jakimś wyjątkowym miejscu? - Angie, jedna z sekretarek z jej piątra, zajrzała do boksu Caryn. W jej głosie zabrzmiał zaczepny ton. - Patrzysz na ten przeklęty zegar co minuta. Masz randkę czy co?

Caryn zarumieniła się.

- Nie, nic z tych rzeczy. Mam spotkanie z... dwiema przyjaciółkami, to wszystko. Jedna właśnie skończyła studia, a druga wraca z Paryża. Była tam całe wieki. Nie mogą się doczekać, żeby je zobaczyć.

- Przyjaciółki ze szkoły? - Czasami sekretarki drażniły się z nią z powodu jej elitarnego akcentu i faktu, że chodziła do prywatnej szkoły; Caryn często zastanawiała się, skąd to wiedziały - ale w Metropolitan była w tym dobroduszość, nie złośliwość.

- Tak. - Caryn uśmiechnęła się nieśmiało.

- Posłuchaj, może wystarczy na dzisiaj - zaproponowała Angie, omiatając wzrokiem stertę listów na tacce Caryn z papierami do załatwienia. - Skończę je za ciebie. A ty, jeśli chcesz, zrobisz to samo dla mnie w przyszłym tygodniu. Mam w piątek wieczorem dobrze się zapowiadającą randkę.

Caryn zawahała się. Oferta była kusząca. I tak nie mogła się na niczym skupić.

- Jesteś pewna? - zapytała z powątpiewaniem.

- Jasne, że tak. No dalej, idź już. Baw się dobrze. Niedobrze mi się robi, kiedy widzę, jak wpatrujesz się w ten zegar! Idź. Raz-dwa się z tym uwinę.

- Dzięki, Angie - powiedziała z wdzięcznością, zapisując plik, nad którym pracowała. - To bardzo miło z twojej strony.

- Nie ma za co. Ważne, żebyś została za mnie w piątek. Chyba że sama masz namiętą randkę... - Wykrzywiła usta w uśmiechu.

Caryn ponownie spiekła raka. Pozostałe dziewczyny bez końca do-

161

pytywały się o jej życie miłosne - albo jego spektakularny brak, jak to ujmowała Chrissie. Żadna z nich nie mogła uwierzyć, że nie miała chłopaka. Mówiąc precyzyjnie: nigdy jeszcze go nie miała. „Taka ślicznotka jak ty!”. A Caryn nie wiedziała, jak na to reagować. Miała wrażenie, jakby wspomnienie tego, co wydarzyło się feralnego wieczoru w mieszkaniu Dave'a Humphreysa, nie chciało jej opuścić. Towarzyszące temu mdłości sprawiały, że sama myśl o chłopaku stawała się prawie nie do zniesienia.

- Nie, nic z tych rzeczy - powtórzyła, zawstydzona.

- Tak też myślałam. - Angie roześmiała się. - Któregoś dnia, Caryn, zabierzemy cię gdzieś paczką ze sobą, trochę się upijesz i...

- Och, zostaw to biedactwo w spokoju. - Chrissie pojawiła się nie wiadomo skąd. - Popatrz tylko na nią! Jest czerwona jak burak!

Caryn szybko wyłączyła komputer, świadoma, że obie się w nią wpatrują. Pochyliła się i chwyciła torebkę.

- Dzięki - powiedziała, biorąc zakiet z oparcia fotela. - Obiecuję, że zostanę za ciebie w piątek.

- Baw się dobrze. - Angie machnęła ręką. - Wiesz dobrze, że tylko tak się z tobą droczymy.

- Tak, wiem. To cześć! - Caryn pobiegła, zanim mogły powiedzieć cokolwiek więcej. Tory zaplotła włosy w luźny warkocz, zwinęła go na czubku głowy i przypięła klamerką. Obróciła się bokiem i popatrzyła na odbicie w lustrze. Wyglądała zbyt poważnie? Za bardzo francusko? Granatowe džinsy, jasnoniebieska bluzka z podwiniętymi długimi rękawami i czarne sandały na płaskim obcasie. I srebrny naszyjnik, który dał jej Thierry. Przesunęła po nim delikatnie palcami. Zmarszczyła czoło, patrząc na własny wizerunek. Jezu Chryste, przecież miała się spotkać jedynie z Nik i Caryn - po diabła całe to zamieszanie wokół tego, co na siebie włoży? Jednak wspomnienie o ubieraniu się z niezwykłą starannością i dbaniem o szczegóły było zbyt świeże, żeby mogła przejść nad tym do porządku dziennego. Przez następne kilka minut studiowała w milczeniu swój wygląd w lusterku, podobnie jak robił to Thierry, który, oczywiście, ją tym zaraził. Był wyjątkowo drobiazgowy, jeśli chodzi o gust. Ładna bielizna z rodzaju bardzo wyrafinowanej, jakiej wcześniej nigdy

nie nosiła. Lubił, na przykład, gdy zaskakiwała go jedwabnymi majteczkami z koronką pod parą dżinsów - elegancki, zmysłowy kontrast pomiędzy noszonym na co dzień dżinsem i miękkim, zbyt kownym jedwabiem. Albo koronkowym stanikiem z maleńkimi kwiatkami i wstążeczkami, ukrytym pod zwykłą bawełnianą bluzką - uwielbiał takie niespodzianki, sam jej to powiedział. Z czasem więc zaczęła mu je robić. To również będzie musiało się zmienić. Ale jeszcze nie teraz. Nie teraz.

Spojrzała na zegarek. Niedługo powinna wyjść. Ucisk w żołądku się nasilił. Równie mocno, jak tęskniła za Nik i Caryn, bała się spotkania z nimi. Zwłaszcza z Nik, bo ją niełatwo zbyć byle czym. Na pewno będzie chciała wszystkiego się dowiedzieć. Jak miała jej wytłumaczyć, że nie jest jeszcze gotowa, by się tym podzielić, wyjaśnić? Że już samo myślenie o tym wywoływało w niej ból, bardzo podobny do tego, który czuła w związku z Susie? Czasami miała wrażenie, że to, co przeżywa, jest następnym ogniwem w serii wydarzeń, jakie się działy od śmierci siostry. Szczególny rodzaj strachu podszywał wszystko w jej codziennym życiu. Powstrzymywała się od myślenia o przyszłości. Nadejdzie czas, kiedy samo wspomnienie jego imienia - nawet w duchu, w wyobraźni - wywoła ostre, słodkie i dotkliwe ukłucie. Ale jeszcze nie teraz. Tymczasem lepiej było odciąć się od tego, wyprzeć, przestać myśleć, marzyć, czuć. Thierry wrócił do Ines. Tam było jego miejsce. I jeśli nawet kiedykolwiek należał do niej - to już się skończyło.

Chwyciła szybko klucze i zamknęła za sobą drzwi sypialni. Silniejsza od wspomnień o Paryżu była potrzeba znalezienia własnego mieszkania. Po trzech latach samodzielności życie pod jednym dachem z rodzicami wydawało się nie do wytrzymania. Zbiegła po schodach i wyszła z domu, zanim matka miała szansę zapytać, dokąd się wybierała.

- Nik! - Caryn, w sposób zupełnie dla niej nietypowy, krzyknęła tak głośno, że kelnerka niemal upuściła tacę.

- Twoje włosy! - Szczeka opadła Tory, zanim zdała sobie sprawę, że ma w ustach na wpół pogryzione orzeszki ziemne. Pospiesznie je zamknęła. - Twoje włosy! - powtórzyła odruchowo cicho, gdy Nik podchodziła do nich tanecznym krokiem, szeroko uśmiechnięta.

- Podobają się wam? - Zrobiła piruet.

163

nie nosiła. Lubił, na przykład, gdy zaskakiwała go jedwabnymi majteczkami z koronką pod parą dżinsów - elegancki, zmysłowy kontrast pomiędzy noszonym na co dzień dżinsem i miękkim, zbyt kownym jedwabiem. Albo koronkowym stanikiem z maleńkimi kwiatkami i wstążeczkami, ukrytym pod zwykłą bawełnianą bluzką - uwielbiał takie niespodzianki, sam jej to powiedział. Z czasem więc zaczęła mu je robić. To również będzie musiało się zmienić. Ale jeszcze nie teraz. Nie teraz.

Spojrzała na zegarek. Niedługo powinna wyjść. Ucisk w żołądku się nasilił. Równie mocno, jak tęskniła za Nik i Caryn, bała się spotkania z nimi. Zwłaszcza z Nik, bo ją niełatwo zbyć byle czym. Na pewno będzie chciała wszystkiego się dowiedzieć. Jak miała jej wytłumaczyć, że nie jest jeszcze gotowa, by się tym podzielić, wyjaśnić? Że już samo myślenie o tym wywoływało w niej ból, bardzo podobny do tego, który czuła w związku z Susie? Czasami miała wrażenie, że to, co przeżywa, jest następnym ogniwem w serii wydarzeń, jakie się działy od śmierci siostry. Szczególny rodzaj strachu podszywał wszystko w jej codziennym życiu. Powstrzymywała się od myślenia o przyszłości. Nadejdzie czas, kiedy samo wspomnienie jego imienia - nawet w duchu, w wyobraźni - wywoła ostre, słodkie i dotkliwe ukłucie. Ale jeszcze nie teraz. Tymczasem lepiej było odciąć się od tego, wyprzeć, przestać myśleć, marzyć, czuć. Thierry wrócił do Ines. Tam było jego miejsce. I jeśli nawet kiedykolwiek należał do niej - to już się skończyło.

Chwyciła szybko klucze i zamknęła za sobą drzwi sypialni. Silniejsza od wspomnień o Paryżu była potrzeba znalezienia własnego mieszkania. Po trzech latach samodzielności życie

pod jednym dachem z rodzicami wydawało się nie do wytrzymania. Zbiegła po schodach i wyszła z domu, zanim matka miała szansę zapytać, dokąd się wybierała.

- Nik! - Caryn, w sposób zupełnie dla niej nietypowy, krzyknęła tak głośno, że kelnerka niemal upuściła tacę.

- Twoje włosy! - Szczęka opadła Tory, zanim zdała sobie sprawę, że ma w ustach na wpół pogryzione orzeszki ziemne. Pospiesznie je zamknęła. - Twoje włosy! - powtórzyła odruchowo cicho, gdy Nik podchodziła do nich tanecznym krokiem, szeroko uśmiechnięta.

- Podobają się wam? - Zrobiła piruet.

nie nosiła. Lubił, na przykład, gdy zaskakiwała go jedwabnymi majteczkami z koronką pod parą dżinsów - elegancki, zmysłowy kontrast pomiędzy noszonym na co dzień dżinsem i miękkim, zbyt kownym jedwabiem. Albo koronkowym stanikiem z maleńkimi kwiatkami i wstążeczkami, ukrytym pod zwykłą bawełnianą bluzką - uwielbiał takie niespodzianki, sam jej to powiedział. Z czasem więc zaczęła mu je robić. To również będzie musiało się zmienić. Ale jeszcze nie teraz. Nie teraz.

Spojrzała na zegarek. Niedługo powinna wyjść. Ucisk w żołądku się nasilił. Równie mocno, jak tęskniła za Nik i Caryn, bała się spotkania z nimi. Zwłaszcza z Nik, bo ją niełatwo zbyć byle czym. Na pewno będzie chciała wszystkiego się dowiedzieć. Jak miała jej wytłumaczyć, że nie jest jeszcze gotowa, by się tym podzielić, wyjaśnić? Że już samo myślenie o tym wywoływało w niej ból, bardzo podobny do tego, który czuła w związku z Susie? Czasami miała wrażenie, że to, co przeżywa, jest następnym ogniwem w serii wydarzeń, jakie się działy od śmierci siostry. Szczególny rodzaj strachu podszywał wszystko w jej codziennym życiu. Powstrzymywała się od myślenia o przyszłości. Nadejdzie czas, kiedy samo wspomnienie jego imienia - nawet w duchu, w wyobraźni - wywoła ostre, słodkie i dotkliwe ukłucie. Ale jeszcze nie teraz. Tymczasem lepiej było odciąć się od tego, wyprzeć, przestać myśleć, marzyć, czuć. Thierry wrócił do Ines. Tam było jego miejsce. I jeśli nawet kiedykolwiek należał do niej - to już się skończyło.

Chwyciła szybko klucze i zamknęła za sobą drzwi sypialni. Silniejsza od wspomnień o Paryżu była potrzeba znalezienia własnego mieszkania. .Po trzech latach samodzielności życie pod jednym dachem z rodzicami wydawało się nie do wytrzymania. Zbiegła po schodach i wyszła z domu, zanim matka miała szansę zapytać, dokąd się wybierała.

- Nik! - Caryn, w sposób zupełnie dla niej nietypowy, krzyknęła tak głośno, że kelnerka niemal upuściła tacę.

- Twoje włosy! -> Szczęka opadła Tory, zanim zdała sobie sprawę, że ma w ustach na wpół pogryzione orzeszki ziemne. Pospiesznie je zamknęła. - Twoje włosy! - powtórzyła odruchowo cicho, gdy Nik podchodziła do nich tanecznym krokiem, szeroko uśmiechnięta.

- Podobają się wam? - Zrobiła piruet.

163

- Są boskie! Takie... na luzie! - zawołała Caryn, wstając, by ją uściskać. - Świetnie wyglądasz!

- Kiedy je obciąłeś? - zapytała Tory, przelękając ostatnie orzeszki.

- Jakież dwie godziny temu. Och Boże, wspaniale znowu was widzieć! - Nik chwyciła obie przyjaciółki jednocześnie i przytuliła się do nich. - Jak ja za wami kurewsko tęskniłam!

- Nie przeklinaj! - zapiszczała Caryn spod jej ramienia.

Choć w barze nie było tłoku, znalazły się centrum zainteresowania.

- Dlaczego? Przecież to prawda. - Nik ponownie je przytuliła. - Jak się macie? Boże, jak mi was brakowało! - Popatrzyła hadawczo na Tory. - Ale się wyrobiłeś, ja pierdołę. Chcę się dowiedzieć o wszystkim, OK? Poznać każdy szczegół.

Tory poczerwieniała na twarzy. Teraz już wszyscy w barze, łącznie z kelnerkami, nie odrywali od nich wzroku.

- Ciii - powiedziała, kładąc palec na ustach. - Ludzie się gapią.

- Co z tego? - Nik usiadła obok niej, ściągając kurtkę. - Mam nadzieję, że podoba się im to, co widzą. A co pijemy? - Obróciła się do kelnerki, która w magiczny sposób stanęła przy jej łokciu. W Nik Hartę było coś takiego, co od razu mówiło, że to ona ma władzę. - Zanim zaczniecie... ja stawiam. Szampan?

Tory i Caryn popatrzyły na siebie i uśmiechnęły się. Właściwie dlaczego nie? Nie widywały się przecież codziennie. A ten dzień był wyjątkowy. Sierpień. Czternasty. Swego rodzaju rocznica.

Pięć minut później butelka mrożonego kruga stała przy nich w wiaderku z lodem, a one uniosły kieliszki.

- Na zdrowie - wymamrotała Nik, upijając łyk. Mocno zadrżała.

Caryn wpatrywała się w nią. Oprócz włosów coś jeszcze zmieniło się w przyjaciółce. Wydawała się... jakoś bardziej wyzwolona. Pogodniejsza. Nagle oczami wyobraźni zobaczyła obraz Nik z chwili, gdy spotkała ją po raz pierwszy. Kiedy siedziała w rzędzie za nią pierwszego dnia w St Augustine, jej twarz przypominała maskę z trudem ukrywającą złość, zaciętą w niechęci do wszystkich otaczających ją osób. Głowę trzymała wysoko uniesioną, ale pod skórą trawił ją ból niczym gorączka. Caryn w jakiś sposób to wyczuła. Może dlatego Nik odezwała się do niej tamtego dnia, gdy upuściła notatki, i zaczęły w końcu rozma-

164

wiać. Gdyby tak się nie stało.... co wtedy? Czy mimo wszystko zaprzyjaźniłyby się? Choć mogło wydawać się to dziwne, Caryn nie potrafiła sobie przypomnieć, jak wyglądało jej życie przed poznaniem Nik i Tory. Miała wrażenie, że zna je od zawsze, jakby były przy niej od samego początku.

O ile Nik stała się pogodniejsza, to Tory wręcz przeciwnie. Była w niej krucha twardość, która kojarzyła się Caryn z lustrem mającym za chwilę popękać. Znała jedynie niejasne szczegóły - Tory miała jakiś romans z Thierryem de Courcy, mężczyzną dla którego przed trzema laty zaczęła pracować. Z pocztówek, rzadkich listów i telefonów domyśliła się, że jego żona to odkryła i on do niej wrócił - jakby zresztą nigdy nie miał zamiaru postąpić inaczej. Biorąc wszystko pod uwagę, myślała wcześniej, że najwyraźniej Tory zupełnie dobrze to zniosła. Patrząc teraz na nią zdała sobie sprawę, że wcale tak nie było. Serce się jej ścisnęło, gdy spostrzegła, że Nik wpatruje się w Tory z oczekiwaniem. Chciała poznać szczegóły, odpowiedzi, historię... Ale Caryn była pewna, że to ostatnia rzecz, na jaką Tory miałyby ochotę. Potrafiła czytać w jej twarzy, nawet jeśli Nik się to nie udawało.

- I co? - Nik popatrzyła na obie przyjaciółki, oczy jej błyszczały. -Która zacznie?

- Co? - zapytała Tory łagodnie.

- Wszystko. Całe pieprzone wieki nie widziałam żadnej z was. I jeżeli się wam wydaje, że nabazgranie pocztówki załatwia sprawę - spojrzła znacząco na Tory - to się grubo mylicie. Chcę usłyszeć o wszystkim. O każdym szczególe.

Tory lekko się uśmiechnęła.

- Nie mam nic do opowiadania - powiedziała czujnie. Trzymała palcami nóżkę kieliszka z szampanem. - To się skończyło.

Nik nie spuszczała z niej wzroku.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. To skończone. Wrócił do żony.

- Jezu, Tory, nie możesz tak po prostu...

- Nik... - Caryn położyła dłoń na jej ramieniu, chcąc ją powściągnąć. Spojrzała na nią błękitnymi, czystymi oczami. W jej wzroku było ostrzeżenie. - A co u ciebie? Masz już wyniki?

165

Nik zawahała się. Atmosfera zmieniła się nagle i po raz kolejny uświadomiła sobie, że istnieje otchłań doświadczeń dzielących ją od najlepszych przyjaciółek - żadne wydarzenie nie mogło przygotować jej do podążania śladem Tory w chwilach, gdy okrywał ją ochronny welon milczenia, i nic nie można było na to poradzić. Odwróciła wzrok. Głupia kłótnia o jej nazwisko i fakt, że ojciec nazwał ją zepsutym bachorem... jak to się miało to poświęcenia, na które Caryn musiała się zgodzić, albo do tego, przez co przeszła Tory, gdy kochany przez nią mężczyzna wrócił do żony? Pokiwała głową, niezdolna objąć tego rozumem. Jak to się działo, że każda z nich miała zupełnie inne przeżycia? I jak zawsze to ona czuła się najmniej na to przygotowana - ona, która mogła mieć wszystko, co można kupić za pieniądze.

40

Tory obudziła się nazajutrz wczesnym rankiem z lekkim kacem po nocy niespokojnych snów. Potrzebowała kilku sekund, żeby się zorientować, gdzie jest. Nie była już w sypialni z bladezielonymi okiennicami i widokiem na dachy. Wróciła do Londynu. Była w domu. Przetoczyła się na bok łóżka i wstała. Niemal się przewróciła o stos broszur leżących na podłodze od jej przyjazdu prawie przed tygodniem. Schyliła się, podniosła jedną z nich i przyjrzała się okładce. Szkoła bukietarstwa Cecilii Fry. Otworzyła ją na pierwszej stronie. „Witaj we wspianym świecie Cecilii Fry. Znamy się dobrze na pięknych kwiatach, dobrym jedzeniu i eleganckim stylu życia”. Skrzywiła się i odłożyła folder. Rodzice dostaliby szału. Zajęcia z bukietarstwa odbywały się w szkole Cecilii Fry w Chiswick przez trzy miesiące, dwa razy w tygodniu. Niemal słyszała głos matki: „Kwiaty?”.

Alternatywa, którą oczywiście wybrali dla córki rodzice, budziła w niej żywą niechęć. Już na samą myśl o uniwersytecie robiło się jej niedobrze - w prospektach i opisach kierunków, które rodzice kładli zupełnie nieprzypadkowo na stole każdego ranka przy śniadaniu, nie było dla niej nic nawet odrobinę interesującego.

- Filologia klasyczna? - zapytał ojciec z nadzieją w głosie któregoś

166

ranka. - A co powiesz na średniowieczną historię Europy? Języki nowożytne? Antropologia? Jakakolwiek „logia”?

Nie, nic z tych rzeczy. Tory wzruszyła ramionami. Nie była jeszcze pewna... ale obiecała, że się zastanowi. Udało się jej wymknąć od stołu bez dodatkowych pytań, zdążyła jednak zauważyć panikę w ich oczach. Co z nią począć?

A wszystko zaczęło się przez Inès. Zauważyła bukiety świeżych irysów i groszku, które Tory przyniosła do domu z pobliskiego targu. Początkowo nie skomentowała tego w żaden sposób, niemniej któregoś dnia, może ze zwykłej uprzejmości, poprosiła dziewczynę, żeby kupiła, „co się jej spodoba”, i spróbowała ułożyć wielki bukiet, który zawsze stawiano na stole w jadalni. Na początku kilka razy nie ośmieliła się zrobić niczego nowego. Inès nie cierpiała czegoś, co nazywała kompozycją i dlatego wielkie bukiety czerwonych róż albo fuksji zdobiące mieszkanie były ostentacyjnie proste, zawsze składały się z jednego gatunku kwiatów. Ale przy trzecim lub czwartym podejściu Tory kupiła naręcza bladuróżowego groszku i delikatnych cytrynowożółtych goździków, po czym z pewnym wahaniem je połączyła, dodając kwitnące na fioletowo gałązki rozmarynu. Efekt okazał się zadowalający. Nawet Inès musiała przyznać, że ożywiło to do pewnego stopnia korytarz, w którym wcześniej panowała imponująca surowość monotonii. Potem Tory połknęła bakcyła. Z niecierpliwością czekała na cotygodniowe wizyty na targu kwiatowym. Uwielbiała jego widok, zapach i odgłosy: pokrzykiwania handlarzy, powietrze ciężkie od woni kwiatów, świeżo parzonej kawy i czasami dymu papierosowego; ogromne wiadra kwitnących pąków, sprowadzonych niemal z

każdego zakątka świata. Przystawała, żeby pogadać ze sprzedawcami, uczyła się nazw kwiatów, których nigdy wcześniej nie widziała, poznała tajemnice woskowanych i niewoskowanych cebulek, dowiedziała się, jak odróżniać poszczególne odmiany róż z trzystu rodzajów, które kwiaty będą długo stały, a które szybko zwiędną... mogłaby spędzić cały dzień na chodzeniu wokół straganów.

Spojrzała w dół na broszurę i westchnęła. Wyprawy na targ raz w tygodniu, żeby wybrać kwiaty do jednego bukietu, a zarabianie na życie ich układaniem to dwie różne rzeczy. Jak miała przekonać rodziców, że właśnie to najbardziej chciałyby robić? Słyszała matkę krzątającą się na

167

dole. Ich rozmowy były spokojne, ale pełne napięcia. Tory postanowiła niewiele opowiadać o Paryżu, ale, rzecz jasna, i tak się dowiedzieli. Wszyscy wiedzieli. Kiedy Ines ich nakryła i kazała się jej wyprowadzić, dla każdego było jasne, co się stało, choć nikt nie powiedział tego głośno. A teraz tu nie istniał jakiś bezbolesny sposób, żeby to poruszyć. Dlatego nic nie mówiła, oni nic nie mówili i krucha równowaga charakteryzująca ich relacje przed jej wyjazdem została zachowana.

Westchnęła i podniosła broszurę. Mimo wszystko może powinna zacząć - pomyślała, schodząc po stopniach. Miała przeczucie, że trochę to potrwa.

- Bukieciarstwo? - Matka zakryła dłonią gardło. Tory patrzyła na sufit. Równie dobrze mogła powiedzieć, że chciałyby robić na drutach. Albo makramy. Nawet gotowanie byłoby rozsądniejszym wyborem. - To znaczy... chcesz układać bukiety? I z tego żyć?

- To wcale nie tak, jak myślisz, mamo. To normalny kurs. To... dostaje się dyplom...

- Z układania kwiatów? - Matka zaczęła się śmiać, ale nie był to wesoły śmiech.

- Tak. Nie. To coś więcej. Bardziej jak... ogrodnictwo. Uczą tam o roślinach i uprawie gleby, i o ekologii, i tym podobnych rzeczy. Zupełnie tak, jak przy robieniu dyplomu - powiedziała Tory, zmyślając w trakcie mówienia.

- Dyplomu? Niby jak... w trzy miesiące? Och, daj spokój, Tory. Co by na to powiedział ojciec?

- A co to ma z nim wspólnego? To mój wybór. I ja jestem osobą, która chce się tym zajmować - odpowiedziała, coraz bardziej zdenerwowana.

- Nie wtedy, gdy prosisz nas, żebyśmy za to zapłacili - rzuciła cierpko matka.

Popatrzyły na siebie. Tory wiedziała, a matka też bez wątpienia była tego świadoma, że kłótnia zaprowadzi je obie na niebezpieczny, nieznaną grunt. Pieprzyć to - pomyślała. Co miała do stracenia?

- Dlaczego nigdy nie pozwalacie mi robić tego, co ja chciałabym robić? - zapytała, czując się nagle i cudownie uwolniona z krępujących ją więzów, gdy padły słowa, które pragnęła wypowiedzieć od miesięcy,

168

może nawet lat. - Nigdy nie słuchacie tego, co mam wam do powiedzenia. Zawsze jest tak, że tylko to, co wy myślicie, jest właściwe, dobre i rozsądne. Po dziurki w nosie mam słuchania tego, co jest dla mnie odpowiednie.

Matka wpatrywała się w nią, oszołomiona.

- Czego my chcemy? My? Twój ojciec i ja? Wszystko, czego chcemy, Tory, to żebyś przestała zachowywać się jak jedyna osoba na świecie, która ma jakieś uczucia - wycedziła ze złością. - I zaczęła się przykładać, jak my wszyscy...

- Przykładać?! Do czego?! - Tory już krzyczała.

- Do życia! Do pójścia w życiu dalej, tak jak my musieliśmy. Myślisz, że nie chciałabym uciec, tak jak ty? Myślisz, że nie miałabym ochoty wyjechać do Paryża po... po...

- Przeknęła ślinę, niezdolna do wypowiedzenia tych słów. Uniosła rękę i ze złością otarła łzy.
- Ale ucieczka nie wystarczyła... nie, nie dla ciebie - ty nigdy nie masz dość. Musiałaś pojechać i na dodatek przynieść nam wstyd. Jak, twoim zdaniem, się poczulimy?

Tory mogła jedynie wlepić w nią wzrok z niedowierzaniem.

- O czym t-ty mówisz? - wydukała, nagle ogarnięta strachem.

- Dobrze wiesz, o czym mówię - odpowiedziała matka, odwracając się od niej. Podeszła do zlewu, ramiona miała zgarbione. - Na rany boskie, przecież on jest w wieku twojego ojca. Jak mogłaś? Kiedy myślę o tym, że mieszkałaś z nim przez cały ten czas... to obrzydliwe, Tory. Uganiać się za żonatym mężczyzną. Ja... brzydzę się tobą.

Oczy Tory się zwięzły. Zalała ją gorąca fala wstydu. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, w pełni świadoma, że spali wszystkie mosty.

- Ty się mną brzydzisz?! Nie, jest dokładnie odwrotnie, mamó. Ja przynajmniej żyję! Ja przynajmniej mogę coś czuć! Ja jestem przynajmniej w stanie mieć jakieś emocje, spać z kimś, z kimkolwiek. A kogo obchodzi, że jest żonaty? Kogo to obchodzi? On przynajmniej może to robić! A to więcej, niż ty potrafisz, prawda? Od jak dawna nie...

- Milcz! - Matka obróciła się do niej, twarz miała pobladłą ze złości. - Jak śmiesz tak do mnie mówić?! Jak śmiesz?!

- Ale to prawda, nie możesz zaprzeczyć? - Tory rozplakała się. Nie potrafiła zatrzymać potoku słów. - Nie możesz tego znieść, mam rację? Nie możesz znieść, że nadal żyję, a ona nie. Nie możesz znieść, że to nie

169

mnie napadnięto. Tego właśnie żałowałaś przez wszystkie pierdzielone dni, od kiedy to się stało!

Nagle powietrze się poruszyło. Otworzyły się frontowe drzwi.

- Gilly?! - rozległ się głos ojca.

Obie kobiety wpatrywały się w siebie wzajemnie, pobladłe ze strachu. Serce Tory biło tak głośno, że była pewna, iż matka je słyszy.

- Gilly?! - zawołał ojciec ponownie, kierując się do kuchni.

Tory przeknęła ślinę. Nie zostało już nic więcej do powiedzenia. Odwróciła się i przecisnęła obok niego, ignorując pytające spojrzenie, i złapała torbę. Musiała wyjść. Uciec od rzeczy, które sprawiały, że gotowało się w niej, od kiedy sięgała pamięcią. Emocji tych nigdy nie udało się jej stłumić. Ale to była prawda. Każdy zarzut postawiony matce był prawdziwy i Gillian Spiller - czy jakaś inna osoba - nic nie mogłaby powiedzieć w jej obronie. Najgorsze było to, że matka nawet nie próbowała się bronić, z czego Tory zdała sobie sprawę, gdy zatrzasnęły się za nią drzwi.

41

Estelle wzięła miękki jak jedwab pędzelek i zaczęła leniwie pudrować twarz. Roberta Flack zawodziła łagodnie w tle. Killing me softly... -zabijasz mnie subtelnie, co było trafną metaforą tego, co miała zrobić Hansowi Berndtowi, bankierowi ze Szwajcarii, który został w ostatnim roku jednym z jej stałych klientów. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała bardzo atrakcyjnie. Ciemne, błyszczące oczy, odrobina zielonego cienia do powiek, podkreślająca turkusowe plamki w tęczęwkach, usta starannie obrysowane ołówkiem, a potem pomalowane szminką. Krztyna różu na policzkach uwydatniająca wysokie kości policzkowe... Ostrożnie usunęła chusteczką nadmiar szminki, założyła brylantowe kolczyki na szytce, które dostała do Hansa na trzeciej randce, i wstała, lekko kołysząc biodrami. Wypaliła tego popołudnia jednego czy dwa skurty, potem w trakcie kąpieli wypila kieliszek białego wina, a na szafce nocnej leżała jak zwykle niewielka biała pigułka. Spojrzała na nią, ciesząc się już na przyjemność, która ją czekała. Uważ-

170

nie obejrzała się w lustrze. Sukienka z płomieniście pomarańczowego gniecionego jedwabiu, obcisła aż do kolan, pasowała na nią jak rękawiczka. Gładkie czółenka z cielecej skóry w kolorze karmelu sięgały ślicznych kostek u nóg i miały cienkie wysokie obcasy - wyglądała jak marzenie. Czowała się jak marzenie, a przecież jeszcze nie połknęła tabletki. Za to wszystko powinna podziękować Jody. Jody, o świeżej brzoskwińowej cerze, ze Środkowego Zachodu, która mieszkała z nią po sąsiedzku. Jody, która sprawiała wrażenie niewiniątka i która po prawie pięciu latach była najlepiej zarabiającą dziewczyną pani Devereaux. Jody, jej najnowsza, najlepsza przyjaciółka.

Po raz ostami zrobiła obrót dookoła siebie, podeszła do nocnej szafki i wzięła tabletkę. Przyglądała się jej przez chwilę, wsunęła ją pod język, żeby się tam rozpuściła, i czekała w radosnym podnieceniu na kop. Pierwsze wrażenie było jak szok wywołany zimną wodą na skórze... potem czuła, jak wypełnia ją ciepło, odprężyła się, ogarnięta lubością. Po kilku minutach świat wokół niej się zmienił. Miała fantastyczne samopoczucie, wyglądała fantastycznie, miała przed sobą fantastyczny wieczór. To właśnie najbardziej lubiła w tych pigułkach - w odróżnieniu od koki, której próbowała kilka lat wcześniej, kiedy mieszkała z Caitlin, nie było w nich nieprzyjemnych efektów ubocznych ekstazy. Stawała się szczęśliwa, ogarniała ją niewymuszona, porywająca rozkosz. Wszystko łagodniało, topniało, nabierało zmysłowego wyrazu. Każdej chwili, każdemu gestowi, każdemu spojrzeniu towarzyszył nadmiar emocji. Jody nazywała je narkotykiem miłości. Po kilku pierwszych próbach Estelle zrozumiała dlaczego. Inną dobrą stroną ekstazy - jak powiedziała Jody z przekonaniem - było to, że nie powodowała zewnętrznych objawów. Pani Devereaux nie mogła się domyślić, że coś brały. Och, nie była ślepa... wiedziała, że szanse na to, by jej dziewczęta nie paliły skrętów albo okazjonalnie nie wciągały kreski koki, były praktycznie żadne - sama to przyznała. Ale za ostateczną granicę uznawała heroinę i jeśli uzależnienie któreś z nich wymykało się spod kontroli i nie pozwalało normalnie funkcjonować, dziewczyna wypadała z interesu. Tak po prostu. Estelle pracowała u pani Deve-reaux od prawie trzech lat - w tym czasie widziała tylko dwie dziewczyny, które odeszły. Była to bardzo wiele mówiąca lekcja. Tymczasem Estelle nie widziała nic złego w małej białej tabletkce, dzięki której świat

171

stawał się piękniejszy, łagodniejszy. W ich fachu to była dobra rzecz, prawda? Przeszła do salonu. Była za kwadrans ósma. Dokładnie za pięć minut zabierze ją Rolf, kierowca. Hans zarezerwował ją na trzy dni. W tym czasie miała z nim mieszkać w apartamencie w Lancaster i być dosłownie na każde jego kiwnięcie. Tego wieczoru szła z nim do opery, a potem na obiad w interesach z jakimiś japońskimi bankierami. Ogólnie rzecz biorąc, Hans był w porządku. Spokojny, małomówny mężczyzna o konwencjonalnych gustach i apetytach, traktował ją całkiem dobrze. Po siedmiu czy ośmiu miesiącach spotkań kupił jej parę drogich prezentów, zawsze komplementował jej wygląd. O sobie jednak nic nie mówił. Wiedziała jedynie - i jeśli chodziło o panią Devereaux, nie musiała wiedzieć nic więcej - że był niezwykle bogaty, żonaty i oczywiście mimo to płacił fortunę za towarzystwo wyjątkowo pięknych kobiet, kiedy miał na to ochotę. A Estelle była, co bez przerwy powtarzał, wyjątkowo atrakcyjna.

Na zewnątrz rozległ się dyskretny dźwięk klaksonu. Rolf na nią czekał. Wzięła torbę z rzeczami na zmianę, pogasiła światła i zamknęła za sobą drzwi. Zostawianie włączonego światła było kolejną rzeczą, której pani Devereaux nie cierpiała - marnotrawstwem. Mieszkania zajmowane przez sześć z dwudziestu dziewczyn z listy płac pani Devereaux niezupełnie przypominały pałace. W rzeczywistości były najzwyczajniej w świecie ciasne. Identyczne lokale z jedną sypialnią, gdzie trudno się było obrócić. Ale liczył się adres, co pani Devereaux ciągle im przypominała: Jermyn Street 24. Adres w Maifair. Zdarzały się dni, nawet teraz, kiedy Estelle stawała przy wychodzącym na plac oknie miniaturowej kuchni i

szczypała się w rękę. Nadal nie do końca mogła w to uwierzyć. Udało się jej. Zarabiała, mieszkała w najlepszej dzielnicy Londynu, o całe lata świetlne od maleńkiego, klaustrofobicznego świata, który zostawiła za sobą w Arcadii, i szoku, jakiego doznała po przyjeździe do Anglii. Stoke Newington? W tej chwili jej noga nie postałaby nawet w pobliżu Stoke Newington. Co tydzień piła wino i jadła obiady w najlepszych restauracjach z mężczyznami, którzy wydawali fortuny za jej towarzystwo. Fakt, zarabiała leżeniem na plecach i rozkładaniem nóg... ale czy nie była to niewielka cena? Chryste, to samo robiła w Ha-

172

rare za jedną tysięczną tego, co dostawała teraz. Nie miała się czego wstydzić. Wystarczyło pomyśleć o pieniądzach, które co miesiąc posyłała Glorii. Pięćset funtów, obowiązkowo. Od kiedy zaczęła pracować dla pani Devereaux, nie pominęła żadnego miesiąca. Ani jednego. Nie zwracała sobie głowy czytaniem listów od matki. I tak były w połowie przesłodzone i prawie się od siebie nie różniły. Nie miała pewności, w którą wersję Gloria wierzyła: pracę modelki, aktorki... w każdym razie coś w tym rodzaju. Coś, czym mogła się pochwalić przed przyjaciółmi z chrystusowej armii. Mimo ekstazy płynącej jej wartko w żyłach Estelle skrzywiła się. Nienawidziła myślenia o tym, kogo i co zostawiła za sobą. Wspomnienie o Glorii i Thandine kończyło się tak silnym bólem w boku, że czasami zatykało jej dech. Znacznie lepiej było koncentrować się na przyszłości. Przynajmniej na tym wieczorze, na Hansie. I przedstawieniu w operze.

Granatowy mercedes czekał na nią po drugiej stronie ulicy.

- Cześć, Rolf - powiedziała, sadwiąc się z wdziękiem na tylnym siedzeniu. Drzwi zdawały się zamykać samoczynnie. Luksus. Czysty luksus.

- Dobry wieczór, Estelle. - Rolf skinął jej głową co zobaczyła w tylnym lusterku. - Lancaster, prawda?

- Tak.

- Będziemy tam za dziesięć minut.

Oparła się, otworzyła torebkę i wyjęła maleńką buteleczkę perfum. Po kropki na nadgarstki, podstawę karku i za uszami. Nie za dużo - ale dość, by Hans czuł jej zapach na swojej skórze w czasie spotkań następnego ranka. Miało to utwierdzić go w przekonaniu, że dobrze wydał pieniądze.

i

- Estelle... - Hans wstał, gdy weszła do lobby. Było z nim dwóch innych mężczyzn, Japończyk i Europejczyk albo Amerykanin. Pocałował ją w oba policzki. - Ślicznie wyglądasz, kochanie. Pozwól, że przedstawię ci pana Moritako. A to pan Roche. Pan Moritako uklonił się głęboko. Estelle zawahała się. Jak powinna się zachować wobec Japończyka? Czy również musiała się uklonić? Skłoniła lekko głowę. Chyba dobrze zrobiła. Pan Moritako uśmiechnął

173

się, wracając do wyprostowanej postawy. Pan Roche także się uśmiechnął, gdy obróciła się do niego z wyciągniętą ręką. Jeśli domyślił się, kim była, nie dał tego poznać po sobie.

- Enchante, mademoiselle - powiedział uprzejmie, podnosząc jej dłoń do ust.

Stłumiła chęć zachichotania. Po raz kolejny skłoniła głowę. Hans ujął ją za łokieć.

- Pan Moritako pójdzie z nami do opery, moja droga. Napijesz się czegoś? Może kieliszek wina? Kierowca powinien podjechać za jakieś pół godziny. - Zachowywał się wobec niej szarmancko i troskliwie w trochę staroświecki sposób, co w sumie się jej podobało.

Kelner zjawił się niepostrzeżenie.

- Poproszę martini. Wytrawne - powiedziała Estelle z ożywieniem i usiadła obok Hansa, świadoma pochlebnych spojrzeń pozostałych mężczyzn, gdy krzyżowała nogi. Za to, co z

czasem zrozumiała - bardziej niż za seks, niezależnie od tego, jak dobry - płacili faceci tacy jak Hans: lubili pokazywać innym to, co sobie kupowali. Hans wyglądał przeciętnie: ot, mężczyzna w średnim wieku. Biorąc wszystko pod uwagę, nie należał do tych, którzy mogliby przyciągnąć uwagę Estelle. Ale był bogaty, okropnie bogaty. A to wszystko zmieniło. Powiedział jej kiedyś, na trzecim lub czwartym spotkaniu, że płacenie kobiecie za seks jest w wielu przypadkach o wiele przyjemniejsze niż samo uprawianie seksu. Dodał, że nie oczekuje po niej, by to zrozumiała - ale ona wiedziała, o czym mówił. Seks bowiem częściej niż rzadziej łączył się z władzą, a władza interesowała Estelle. Pieniądze, co bardzo szybko pojęła, były jedną drogą do władzy, a seks i uroda drugą. Ona miała te ostatnie, Hans - albo inni mężczyźni, z którymi stale sypiała - mieli to pierwsze. Wkrótce i ona będzie bogata, a wtedy zyska władzę, jakiej chciała.

Sączyła martini i jednym uchem słuchała rozmowy Berndta z jego gośćmi. Nieruchomości. Tokio. Genewa. Manhattan. Berndt wyciągnął rękę i położył na kolanie Estelle, chcąc przyciągnąć jej uwagę. Uśmiechnęła się. Obróciła lekko głowę i spojrzała na pana Roche. On również patrzył na jej kolano. Z zazdrością. Poczwała, jak budzi się w niej powoli pożądanie. W takich chwilach - silniej niż jakąkolwiek atrakcyjność seksualną - odczuwała potęgę własnej urody.

174

42

Podstawy. Tory podkreśliła to słowo kilka razy. „Dobra kompozycja kwiatowa powinna natychmiast przyciągać uwagę, a mimo to robić wrażenie niewymuszonej i naturalnej”. Długopis zawisł nad papierem na sekundę lub dwie. Potem szybko dla dodatkowego efektu podkreśliła słowa „niewymuszonej” i „naturalnej”. Popatrzyła ukradkiem na pozostałe uczestniczki kursu. Było ich osiem - Tory oraz siedem kobiet w średnim wieku w tweedowych spódnicach, kardiganach i praktycznych butach. Spojrzała na sweter w pasy, stare dzinsy i martensy, zastanawiając się, co - jeśli w ogóle - one mogły o niej myśleć. Poza wymianą krótkiego „cześć” pierwszego dnia właściwie zostawiły ją samą sobie. Było tak, jakby wróciła do St Augustine. Zawsze jako wyrzutek. Co prawda wcale się tym nie przejmowała. Nadal nie mogła uwierzyć, że jest w szkole bukietarstwa Cecilii Fry w Manor Park w Chiswick, i to już drugi tydzień. Spodziewała się monstrualnej awantury z ojcem, zwłaszcza po kłótni z matką, ale do niczego takiego nie doszło. Kilka dni po sprzeczce wróciła któregoś wieczoru do domu i na stole w jadalni znalazła czek na pełną sumę czesnego. Ojciec podniósł wzrok znad gazety, wymamrotał coś, że chciałby jedynie jej szczęścia, matka zaś nie odezwała się słowem. Wzięła czek, wsunęła go do kieszeni i poszła do swojego pokoju z twarzą mokrą od łez. Tydzień później zapisała się na kurs. Okazało się jednak, że program nie jest taki łatwy, jak można byłoby się spodziewać. Na pewno nie chodziło o wkładanie róży do wazonu albo wybór, jakie liście gdzie umieścić. To był kurs weekendowy. Zaczynał się dokładnie o dziewiątej rano w sobotę i trwał do osiemnastej, z krótką przerwą na herbatę o szesnastej. Niedzielne zajęcia rozpoczynały się o dziesiątej i kończyły o siedemnastej z półgodzinnym lunchem, ale bez herbaty. Nauka była bardzo intensywna, a program tak upakowany informacjami, że pod koniec pierwszego weekendu Tory myślała, iż głowa jej pęknie. Miały zajęcia z historii i wykłady z ogrodnictwa, lekcje o kolorach i fakturze, seminarium o kimś nazywanym Linneuszem i jego niesłychanie skomplikowanym systemie klasyfikacji roślin, mówiono im o klimacie i kolorze, miejscowych i zagranicznych gatunkach roślinności, roślinach tropikalnych, roślinach sezonowych...

175

formie liniowej, formie waloru i barwy, symetrii, stylach równoległych, stylach dekonstrukcyjnych... równowadze, skali, proporcjach... i tak dalej, i tak dalej. Lista rzeczy,

których musiała się nauczyć, zanim choćby zobaczyła kwiat, była przytłaczająca. Ale uwielbiała to już od pierwszego dnia.

Po trzecim tygodniu znalazła pracę na pół etatu w kwiaciarni przy Fulham Road, niedaleko domu. Przy bardzo skromnym wynagrodzeniu, jakie dostawała, wyprowadzenie się od rodziców nie wchodziło w grę, przynajmniej na razie. Ale dzięki temu przez większość dnia przebywała poza domem, a kurs zajmował jej całe weekendy. Pod koniec pierwszego miesiąca niemal zapomniała o rozpaczliwej chęci wyniesienia się z domu, tak bardzo pochłaniało ją to, co robiła. Potem przekonała się, że inne uczestniczki kursu nie są nawet w połowie tak nieprzyjemne, jak się jej zdawało. Claire, jedna ze starszych pań, była wesołąkiem. Słuchały krótkiego wykładu o „czterech najważniejszych zasadach eksperymentalnej kompozycji - ruchu, dominacji, rytmie i powtórzeniach”. Wykładowczyni poprosiła, żeby zaprezentowały kompozycje kwiatowe wcielające w życie każdą z nich. Tory poradziła sobie całkiem dobrze przy pierwszej próbie „ruchu” - ułożyła ładny, płózący się bukiet z różowych storczyków i powyginanych, czerwonych pnączy winorośli, który włożyła do prostego szklanego wazonu. Prawdę mówiąc, zakrzywione płatki storczyków same w sobie dobrze oddawały ideę ruchu, przelewając się przez brzeg wazonu i płóząc w dół ku blatowi stołu. Jane, ich nauczycielka, była zadowolona. Claire, zainspirowana sukcesem Tory, usiłowała zrobić coś podobnego z „dominacją” - z tą różnicą, że jej wysiłki zwieńczyła mieszanina zielonych orchidei, ustawionych do góry liści palmowych i kęp różowego mchu, wyglądająca trochę... cóż, szczerze powiedziawszy, dziwnie.

- Wygląda jak... - zaczęła Belinda, inna z kobiet, starająca się znaleźć odpowiednie słowa.

- Raczej duży, sterczący koński penis - wymamrotała Claire pod nosem. - Przypomina mi mojego byłego. - Stała obok Tory, która, zaskoczona, niemal upuściła własny wazon. Claire spojrzała na nią i zrobiła oko. Dziewczyna zakryła usta ręką i zachichotała.

17

43

Caryn rozejrzała się wokół zaniepokojona. Dając Nik numer telefonu do pracy, popełniła poważny błąd. Przyjaciółka najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że ona tu pracuje. Rozmawiała z nią od prawie dziesięciu minut i nic nie wskazywało, że szybko skończą.

- Nik? - wyszeptła do słuchawki. - Nik, muszę już kończyć. Jestem w pracy.

- Myślisz, że powinnam go poprosić? - zapytała przyjaciółka z nutą niepewności w głosie.

- Tak. Nie. Posłuchaj, muszę iść. Zadzwoń do ciebie wieczorem, dobrze? - Odłożyła słuchawkę, zanim Nik zdążyła powiedzieć coś jeszcze, i omiotła pokój wzrokiem, żeby sprawdzić, czy ktoś to zauważył. Westchnęła chyba po raz pięćdziesiąty tego ranka. Nie miała pojęcia, jak długo jeszcze zostanie w Metropolitan. Pracowała w firmie już od ponad roku - mimo wszystkich rad, jakich ostatnio udzieliła, coś jej doskwierało. Jeśli była tak cholernie dobra w rozwiązywaniu życiowych problemów innych ludzi, powinna naprawdę uporządkować też własne życie. Począwszy od pracy. Tak, nadszedł czas na zmianę. Musiała znaleźć coś bardziej interesującego od domyślania się, co ktoś powiedział z fałszywym akcentem wykształconego człowieka, i robienia niezliczonych herbat, bo naprawdę oszaleje.

- Wiem, że masz tego serdecznie dość - powiedziała do niej wesoło Vanessa w następnym piątek. - Prawdę mówiąc, jestem zdziwiona, że wytrzymałaś tam tak długo. Ja nie dałabym rady. W każdym razie czego byś szukała?

- Nie wiem - odpowiedziała Caryn powoli. - Czegoś bardziej... kreatywnego? - Wstrzymała oddech.

- Kreatywnego? O rany... to jest City, słonko, a nie okryty kwiatami West End. Mogę cię posłać do Soho, chociaż... telewizja i wytwórnia filmowa jest na Wardour Street. Mam zadzwonić do filii w Soho i sprawdzić, co mają? - Caryn pokiwała energicznie głową. Soho

brzmiało o wiele bardziej interesująco. Czemu wcześniej nie poprosiła o to Vanessa? - Pamiętaj, że robię to tylko dla ciebie - powiedziała Vanessa poważnie, sięgając po słuchawkę. - Naprawdę będę żałowała, kiedy odejdziesz. Dobrze dla mnie zarabiałaś, wiesz.

177

- Dzięki - powiedziała Caryn i naprawdę czuła wdzięczność wobec niej. Dziesięć minut później było po wszystkim. W poniedziałek rano miała zgłosić się do Jackie w oddziale agencji tuż obok Soho Square. Uściskała ciepło Vanesę, wzięła czek i wyszła. W brzuchu czuła niewielkie podniecenie, coś, czego nie miała od... cóż, od lat. W rzeczywistości od czasów St Augustine. Zdała sobie sprawę, że popadła w rutynę. Ponowne spotkanie z Nik i Tory tamtego wieczoru trochę ją wstrząsnęło - Nik miała swój cenny dyplom, a Tory trzy lata doświadczeń, o jakich ona mogła jedynie pomarzyć. Niemniej jedyną osobą, która potrafiła coś na to poradzić, była ona sama. Uświadomiła to sobie, przeciskając się do metra. Tak, naszedł czas na zmiany.

Nik głęboko odetchnęła, zapukała do drzwi gabinetu Jima i otworzyła je pchnięciem. Ojciec siedział za biurkiem, przedzierał się przez góry papierzynek, w zasięgu ręki miał zapalone cygaro. Ostry, gryzący zapach wypełniał pokój. Podniósł na nią wzrok. Poczwała, że kolana zaczęły się jej trząść. W wyrazie twarzy ojca było coś takiego, co zbijało z tropu nawet najbardziej pewnych siebie ludzi.

- O co chodzi? - spytał krótko.

- Ja... mogę przyjść innym razem, jeśli jesteś zajęty - powiedziała z wahaniem w głosie.

- O co chodzi? - powtórzył, już poirytowany.

Nik serce zamarło.

- Chciałam tylko... pomyślałam... - wydukała, słowa nagle więzły jej w gardle.

- Och, na rany Boga, wykrztuś to wreszcie -co?!

- O tym, co robić po... no właśnie, teraz, kiedy skończyłam...

- Co skończyłaś?

- College. To znaczy chciałabym znaleźć pracę i...

- Pracę? A po jakie licho? - Zarówno jego ton, jak i wygląd wyrażały lekceważenie.

Wspomnienie niedawnej awantury nadal odbijało się w jego oczach.

Czuła, że powoli wzbiera w niej złość. Czy celowo chciał ją rozdrażnić?

17

- Chcę sama zarabiać na życie - powiedziała, starając się, żeby jej głos nie brzmiał żałośnie albo jeszcze gorzej. - Zrobiłam dyplom, więc czas podjąć pracę. Pomyślałam więc...

- Że pomogę ci ją znaleźć? Po tym, jak odwróciłaś się od własnej rodziny?

- Nie odwróciłam się od ciebie! - Nik się zdenerwowała. - Nie chciałam jedynie, żeby wszyscy wiedzieli, kim jestem, i tyle.

- Dlaczego? Czego się wstydziałaś? Nie jesteśmy już dla ciebie wystarczająco dobrzy? Teraz, gdy masz już dyplom słynnego college'u, postanowiłaś...

- Niczego nie postanawiałam! - wybuchnęła Nik, niezdolna się powstrzymać. - Nie chciałam po prostu, by ludzie uważali, że wykorzystuję twoje nazwisko, i tylko o to mi chodziło. Chciałam wiedzieć, że dokonałam tego samodzielnie. Nadal nie rozumiem, co jest w tym takiego strasznego!

- Ale dlaczego akurat tamto nazwisko?! Dlaczego jej nazwisko?! -Jeszcze nie słyszała, żeby znalazł się tak blisko wypowiedzenia nazwiska jej matki. Piekące łzy zbierały się Nik w oczach. - Jezu Chryste, nie mogłaś wybrać innego?!

Gdy wpatrywali się w siebie, w gabinecie zapadła krępująca cisza. Cygaro żarzyło się w jego palcach, ale nie poruszył ręką, żeby się zaciągnąć. Snop słonecznego światła rozlał się niespodziewanie na biurku, rozjaśniając całe pomieszczenie. Nik czekała na to, co ojciec zrobi -na jakiś znak, gest, słowo - coś, co zetrze w proch źródło napięcia, które najwyraźniej towarzyszyło wszystkim ich rozmowom... lecz nic się nie wydarzyło. Opuścił wzrok,

przenosząc uwagę na sprawozdania i dokumenty rozłożone przed nim. W mgnieniu oka została odprawiona. Przez dłuższą chwilę stała niepewnie przy drzwiach, pragnąc, by znowu na nią spojrzeć. Ale nic takiego się nie stało. Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Jim zaklął pod nosem, gdy drzwi się zamknęły. Nie chciał być taki cięty, tyle że nie potrafił się powstrzymać. Starał się - Jezu Chryste, próbował - ale nadaremnie. Wszystko w niej przypominało mu Sarah. Głęboko odetchnął, chcąc się uspokoić. To nie była wina Nik, tej bied-

17

- Chcę sama zarabiać na życie - powiedziała, starając się, żeby jej głos nie brzmiał żałośnie albo jeszcze gorzej. - Zrobiłam dyplom, więc czas podjąć pracę. Pomyślałam więc...

- Że pomogę ci ją znaleźć? Po tym, jak odwróciłaś się od własnej rodziny?

- Nie odwróciłam się od ciebie! - Nik się zdenerwowała. - Nie chciałam jedynie, żeby wszyscy wiedzieli, kim jestem, i tyle.

- Dlaczego? Czego się wstydzisz? Nie jesteśmy już dla ciebie wystarczająco dobrzy? Teraz, gdy masz już dyplom słynnego college'u, postanowiłaś...

- Niczego nie postanawiałam! - wybuchnęła Nik, niezdolna się powstrzymać. - Nie chciałam po prostu, by ludzie uważali, że wykorzystuję twoje nazwisko, i tylko o to mi chodziło. Chciałam wiedzieć, że dokonałam tego samodzielnie. Nadal nie rozumiem, co jest w tym takiego strasznego!

- Ale dlaczego akurat tamto nazwisko?! Dlaczego jej nazwisko?! - Jeszcze nie słyszała, żeby znalazł się tak blisko wypowiedzenia nazwiska jej matki. Piekące łzy zbierały się Nik w oczach. - Jezu Chryste, nie mogłaś wybrać innego?!

Gdy wpatrywali się w siebie, w gabinecie zapadła krępująca cisza. Cygaro żarzyło się w jego palcach, ale nie poruszył ręką, żeby się zaciągnąć. Snop słonecznego światła rozlał się niespodziewanie na biurku, rozjaśniając całe pomieszczenie. Nik czekała na to, co ojciec zrobi - na jakiś znak, gest, słowo - coś, co zetrze w proch źródło napięcia, które najwyraźniej towarzyszyło wszystkim ich rozmowom... lecz nic się nie wydarzyło. Opuścił wzrok, przenosząc uwagę na sprawozdania i dokumenty rozłożone przed nim. W mgnieniu oka została odprawiona. Przez dłuższą chwilę stała niepewnie przy drzwiach, pragnąc, by znowu na nią spojrzeć. Ale nic takiego się nie stało. Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Jim zaklął pod nosem, gdy drzwi się zamknęły. Nie chciał być taki cięty, tyle że nie potrafił się powstrzymać. Starał się - Jezu Chryste, próbował - ale nadaremnie. Wszystko w niej przypominało mu Sarah. Głęboko odetchnął, chcąc się uspokoić. To nie była wina Nik, tej bied-

17

nej dziewczyny. Widział, jak ją to bolało, jak ranił ją swoją złością, której przyczyn nie znała. Mimo to nie umiał się pohamować. Za każdym razem, gdy na nią patrzył, widział twarz Sarah w ostatnich, straszliwych chwilach. Potrzebował kilku minut, żeby zupełnie się opanować. Najgorsze było to, że robiło się coraz gorzej, a nie lepiej. Kto powiedział, że czas goi rany? Kimkolwiek on był, bezsprzecznie nie wziął pod uwagę wszystkich możliwych okoliczności. Zwłaszcza dotyczących Jima Hartę'a.

44

Londyn, listopad 1998

Sama w małej kwaciarni w Chelsea, gdzie pracowała, Tory opróżniła wiaderka i wytaszczyła foliowe torby z uschłymi liśćmi i lodygami z frontu wystawy. Wzięła szczotkę.

Zniecierpliwionym gestem odsunęła włosy z twarzy. Mimo panującego na zewnątrz chłodu pocila się. Była na nogach od ósmej rano i czuła się wykończona. Dochodziła szósta wieczorem, niedługo zamknie sklep i pójdzie do domu. Katie, nastolatka, która przychodziła po szkole dwa razy w tygodniu, wyszła wcześniej, bo miała grypę. To był gorący tydzień:

dwa śluby, kilka oficjalnych przyjęć bożonarodzeniowych i złożone w ostatniej chwili zamówienie ze szpitala dziecięcego przy Great Ormond Street - „coś wesołego do izby przyjęć!” - a w dodatku Jim i Catherine, właściciele, pojechali na wakacje do Hiszpanii. Tory pracowała sama przez prawie cały tydzień, ale radziła sobie doskonale i - szczerze mówiąc - cieszyła się z ciszy i spokoju. I szansa na samodzielne udekorowanie wystawy. Choć bardzo podziwiała kompozycyjne zdolności Catherine, rozkoszowała się szansą na zrobienie czegoś po swojemu. Oba śluby okazały się sukcesem, wiedziała o tym. Matka panny młodej przysłała butelkę szampana i czek na bardzo okazałą sumę, wyrażając w ten sposób swoją wdzięczność. W głębi serca Tory bardzo się z tego ucieszyła, bo dość niespodziewanie skończyły się im peonie i groszek, które matka panny młodej wybrała na bukiet. Tory zastąpiła je więc prostsza, bardziej elegancką paletą zimowych kolorów - białym bżem, białymi różami i kremowymi, dekoracyjnymi liść-

183

mi kapusty o ciemnych, żywo zielonych brzegach. Dorzuciła trochę ru-belli w kolorze brązu, żeby dopełnić biel i kremowe odcienie, a do łądyg przymocowała kilka kawałków wysuszonej kory cynamonu... nadal czuła korzenny zapach w pomieszczeniu na dole. Na szczęście dla niej zmiany w zamówieniu dokonane w ostatnim momencie spotkały się z jak najlepszym przyjęciem.

Wytarła ładę, upewniła się, czy kwiaty, które zostały, mają dość wody, i szła właśnie pogasić światła, kiedy usłyszała, że ktoś puka w okno wystawowe. Spojrzała na zegarek i zmarszczyła czoło. Piętnaście po szóstej. Kwaciarnia była już zamknięta. Odłożyła ścierkę i przeszła przez sklep. Na zewnątrz stał młody mężczyzna o twarzy zarumienionej od zimna i z wyrazem paniki w oczach, który sprawił, że niemal się uśmiechnęła.

- Już zamknięte - powiedziała przez szybę, wyraźnie układając usta. Pokazała na zegarek.

On zaś uniósł błagalnie ramiona. Był młody, przystojny i... zdesperowany. Pokręciła głową, udając niezadowolenie, i otworzyła.

- Wiem, wiem... - powiedział przepraszająco. - Zamykacie o szóstej, wiem. Biegłem jednak całą drogę...

- Już zamknięte - Tory łagodnie weszła mu w słowo. - Czego pan potrzebuje?

- Potrzebuję czegoś dla dziewczyny. Chodzimy ze sobą trzy miesiące. -

Niespodziewanie uśmiechnął się. - To niezbyt długo, zdaję sobie sprawę, ale zabieram ją na wystawny obiad do restauracji, a kumpel powiedział, że powinienem dać jej jakieś kwiaty... bukiet róż, cokolwiek pani ma.

- Mam to. - Pokazała na krwistoczerwone róże milano, które właśnie zaczynały rozchyłać płatki w wiadrze przy drzwiach. - Albo cool-watery, cudownie pachną. Mogę szybko zrobić panu bukiet.

- Tak, te ładnie wyglądają. Zresztą którekolwiek. Niech pani zdecyduje.

- Albo... - powiedziała nagle, zerkając w bok. - Co pan powie na te? - Obróciła się i wzięła wielki bukiet purpurowych fiołków. Roześmiała się niemal zawstydzona. -

Przeczytałam coś dzisiaj w magazynie florystycznym. Czy wie pan, że Napoleon był nazywany Kapralem Fiołkiem? Każdego roku posyłał Józefinie ich bukiet. Kiedy szedł na

184
zesłanie, zabrał kilka kwiatów z jej grobu we Francji i umarł, mając je w medalionie na szyi. - Uśmiechnęła się do niego. - Niezupełnie tak wyobrażał pan sobie Napoleona, prawda?

- Hm, nie, chyba nie. - Młody człowiek popatrzył na nią trochę zbity z tropu.

- Są bardzo romantyczne. - Tory uśmiechnęła się ponownie.

- Tak, zrobią swoje. Opowiem jej tę historię. Dzięki. Uratowała mi pani wieczór!

Kilka minut później szedł ulicą pogwizdując, z ogromnym bukietem pachnących fiołków w ręku. Tory stała w oknie i patrzyła za nim, powoli wracając myślami na ziemię. Cztery

bukiety fiołków kosztowały o wiele mniej niż tuzin czerwonych róż, ale wyraz satysfakcji na jego twarzy był dla niej wystarczającą nagrodą. To właśnie było cudowne w kwiatach. Nie znała nikogo, kto nie wzruszyłby się ich pięknem. Bukiet kwiatów nieodmiennie wywoływał uśmiech na twarzach klientów -wszystkich klientów - a przecież bardzo niewielu cokolwiek o nich wiedziało. Weźmy choćby tę historię, którą przed chwilą opowiedziała: wyobraźmy sobie, że do każdego bukietu, który sprzeda, będzie dołączała jakąś opowieść, krótką historyczną anegdotę, coś, co sprawi, że kwiaty przestaną być pospolite. Kwiaty z anegdotą. Kwiaty z historią. Serce zaczęło jej bić żywiej. Kwiatowe historie. Kwiatowe historie. Szybko chwyciła torbę, zgasiła światło, włączyła alarm i pobiegła Sloane Street do metra.

45

Caryn spojrzała w górę budynku, a potem po raz kolejny spuściła wzrok na kartkę, którą trzymała w ręku. Zawahała się. Charlotte Road 13 trochę na wschód od Liverpool Street przypominała opuszczony plac budowy, na pewno niekojarzący się w żaden sposób z producentami awangardowych filmów, jak obiecywała jej Jackie. Czyżby się pomyliła? Cofnęła się na chodniku i ponownie obejrzała budynek, mrużąc oczy. Najwyraźniej był to jakiś magazyn - a może taką rolę pełnił kiedyś, bardzo dawno temu. Przy drzwiach dostrzegła zardzewiałą dzwo-

1

nek. Nacisnęła go ostrożnie. Kilka sekund później ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu usłyszała ciche kliknięcie otwierające zamek. Pchnęła rozpadające się drewniane drzwi i weszła do środka. W niewielkim holu było ciemno i wilgotno. Po prawej stronie spostrzegła kolejne drzwi -zamknięte - przed sobą zaś schody. Chwyciła się poręczy i zaczęła po nich wchodzić, zastanawiając się, dokąd, do cholery, prowadzą. Po szkle i politurze biur, w których pracowała przez kilka ostatnich lat, to wydawało się strasznie dziwne. Jakie licho ją podkusiło, żeby ulec namowom Jackie i zgodzić się ubiegać o stałą posadę? Lubiła pracować na zlecenie. Podobało się jej, że może odejść z tygodniowym wypowiedzeniem, gdy się znudziła albo miała dość. Po rutynie, w jaką wpadła w Metropolitan, pilnowała się, żeby drugi raz nie popełnić tego samego błędu - a najlepszym sposobem na to była od czasu do czasu zmiana kierunku, próbowanie nowych rzeczy, nabywanie nowych umiejętności. Jackie, podobnie jak Vanessa, uważała ją za jedną z najlepszych pracownic. Przez trzy lata współpracy nie zdarzyło się, żeby nie miała zleceń albo miejsca pracy. Ani razu. To jej odpowiadało. Dlaczego więc dała się namówić? Nawet sama Jackie przyznała, że normalnie nie proponowałyby stałego etatu jednej z najlepszych pracownic na umowie-zleceniu, ale opis tej posady wylądował na jej biurku przez pomyłkę i wtedy od razu pomyślała o Caryn.

- Powinien trafić do Kelly, ona zajmuje się etatami - powiedziała Jackie, przesuwając kartkę po biurku jakby od niechcienia w stronę Caryn. - Ale to jest posada jakby stworzona dla ciebie. Przyjrzyj się temu. Czytanie nie boli.

Caryn z wahaniem wzięła do ręki kartkę. „Osobista asystentka dyrektora. Produkcja awangardowych filmów. Nowoczesne biura na East Endzie”.

- Coś, co mogłabyś robić z zamkniętymi oczami - dodała Jackie, uśmiechając się do niej prawie z żalem. - Albo we śnie. No dalej, nie możesz wiecznie pracować na zlecenie, sama to wiesz. To zresztą niedaleko miejsca, gdzie mieszkasz, prawda?

I tak oto znalazła się tutaj, wchodziła po schodach budynku, który pachniał zapuszczeniem i - zmarszczyła nos - innymi paskudnymi rzeczami. No cóż, rzeczywiście było to blisko jej domu, a poza tym okolice

186

€'

Shoreditch mogły zaproponować niewiele miejsc pracy. Obeszła ostami zakręt schodów i nagle poczuła w nozdrzach zapach świeżej farby. Przed sobą zobaczyła nowo pomalowane na szaro drzwi z niewielką tabliczką „Crystal Vision Films”. A więc mimo wszystko firma naprawdę istniała. Otworzyła drzwi i weszła jakby do innego świata.

Biura zaplanowane na otwartej przestrzeni ciągnęły się przez całą długość ogromnego, wypełnionego światłem pomieszczenia. Widziała stąd dachy srebrzystych i zbudowanych z szarzielonego szkła i stali budynków City. Siedząca za wąskim biurkiem recepcjonistka o błyszczących włosach spojrzała na nią pytająco. Caryn przełknęła ślinę. Dziewczyna, ubrana w bładozielony kardigan, obcisłą dżinsową spódniczkę z lakierowanym paskiem ze skóry krokodyla, bardziej przypominała modelkę czekającą na wyjście na wybieg niż recepcjonistkę. Czerwona szminka, czerwone paznokcie. Innymi słowy, pełny szyk. W skromnej czarnej garsonce, białej bluzce i w butach na niskich, wygodnych obcasach, Caryn miała ochotę uciec.

- Cześć - odezwało się to cudne stworzenie, otwierając piękne czerwone usta. - W czym mogę pomóc?

- Hm... cześć. Ja... ja w sprawie posady asystentki. Mam umówione spotkanie z panem Keane'em. O dziesiątej? - wydukała Caryn. Czy Jackie oszalała? Nie było siły, żeby tu pasowała.

- Och, racja. Osobista asystentka Rowlanda? Fantastycznie. Usiądź, kochana. Jeszcze nie przyszedł. Ale pewnie zaraz będzie. - Przerwała i uśmiechnęła się. Doskonale zęby. - Herbaty?

- Nie, dziękuję. Czy mogłabym... jest tu gdzieś łazienka?

- No pewnie. O tam, drzwi po prawej stronie. - Wskazała miejsce mniej więcej w połowie korytarza.

Caryn pobiegła. Zauważyła może sześć osób za lśniącymi białymi monitorami komputerów. Elementów dekoracyjnych było tu niewiele - w oczy rzucały się ceglane ściany i rzędy śnieżnobiałych biurek. Nie -definitywnie, absolutnie, nieodwołalnie było to miejsce nie dla niej. Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do lustra. Z niepokojem przyjrzała się własnej twarzy - bladej, zmęczonej, wymizerowanej. Jakby przeciwieństwo słonecznej, pewnej siebie kobiety zza biurka. Wzruszyła ramionami w geście niewielkiego rozczarowania. Nie miała szans, żeby dostać tu pracę. Była tu tak samo nie na miejscu jak w St Augustine. Odległe,

187

Shoreditch mogły zaproponować niewiele miejsc pracy. Obeszła ostami zakręt schodów i nagle poczuła w nozdrzach zapach świeżej farby. Przed sobą zobaczyła nowo pomalowane na szaro drzwi z niewielką tabliczką „Crystal Vision Films”. A więc mimo wszystko firma naprawdę istniała. Otworzyła drzwi i weszła jakby do innego świata.

Biura zaplanowane na otwartej przestrzeni ciągnęły się przez całą długość ogromnego, wypełnionego światłem pomieszczenia. Widziała stąd dachy srebrzystych i zbudowanych z szarzielonego szkła i stali budynków City. Siedząca za wąskim biurkiem recepcjonistka o błyszczących włosach spojrzała na nią pytająco. Caryn przełknęła ślinę. Dziewczyna, ubrana w bładozielony kardigan, obcisłą dżinsową spódniczkę z lakierowanym paskiem ze skóry krokodyla, bardziej przypominała modelkę czekającą na wyjście na wybieg niż recepcjonistkę. Czerwona szminka, czerwone paznokcie. Innymi słowy, pełny szyk. W skromnej czarnej garsonce, białej bluzce i w butach na niskich, wygodnych obcasach, Caryn miała ochotę uciec.

- Cześć - odezwało się to cudne stworzenie, otwierając piękne czerwone usta. - W czym mogę pomóc?

- Hm... cześć. Ja... ja w sprawie posady asystentki. Mam umówione spotkanie z panem Keane'em. O dziesiątej? - wydukała Caryn. Czy Jackie oszalała? Nie było siły, żeby tu pasowała.

- Och, racja. Osobista asystentka Rowlanda? Fantastycznie. Usiądź, kochana. Jeszcze nie przyszedł. Ale pewnie zaraz będzie. - Przerwała i uśmiechnęła się. Doskonałe zęby. - Herbaty?

- Nie, dziękuję. Czy mogłabym... jest tu gdzieś łazienka?

- No pewnie. O tam, drzwi po prawej stronie. - Wskazała miejsce mniej więcej w połowie korytarza.

Caryn pobiegła. Zauważyła może sześć osób za lśniącymi białymi monitorami komputerów. Elementów dekoracyjnych było tu niewiele - w oczy rzucały się ceglane ściany i rzędy śnieżnobiałych biur. Nie -definitywnie, absolutnie, nieodwołalnie było to miejsce nie dla niej. Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do lustra. Z niepokojem przyjrzała się własnej twarzy - bladej, zmęczonej, wymizerowanej. Jakby przeciwieństwo słonecznej, pewnej siebie kobiety z biurka. Wzruszyła ramionami w geście niewielkiego rozczarowania. Nie miała szans, żeby dostać tu pracę. Była tu tak samo nie na miejscu jak w St Augustine. Odległe,

niemiłe wspomnienia sprawiły, że zdenerwowała się jeszcze bardziej. Obmyła lekko twarz wodą, upewniła się, że koński ogon jest dobrze związany, i zrobiła do siebie minę w lustrze. Powinna trzymać się zleceń - w tym była najlepsza.

Otworzyła drzwi, skręciła w lewo i przewróciła się o rower, który w tym czasie ktoś postawił oparty o ścianę. Recepcjonistka pisnęła i podbiegła do niej.

- O rany... przepraszam! To rower Rowlanda. Mówiłam mu, żeby go tu nie stawiał! Nic ci się nie stało?

- Nie, nic. Nic mi nie jest, dziękuję - odpowiedziała szybko Caryn, usiłując wstać. Twarz jej płonęła. Wszyscy patrzyli z zaciekawieniem w jej stronę. - Naprawdę... nic mi nie jest. - Próbowwała przekonać dziewczynę, która pochyliła się, żeby obejrzeć jej nogi.

- Tylko popatrz, porwałaś sobie rajstopy. Widzisz? - Wskazała kolana Caryn. - Dam ci trochę forsy, żebyś je sobie odkupiła. Rowland, ty idioto! Zobacz, co zrobiłeś! Przecież ta biedna dziewczyna dopiero co przyszła!

Caryn otworzyła usta, żeby zaprotestować. Spostrzegła dwoje niebieskich błyszczących oczu, opaloną twarz i szopę kręconych, ciemnobrązowych włosów - i szybko je zamknęła.

Rowland. No jasne.

- O, cholera... przepraszam - powiedział, spoglądając na jej kolana. - To wyłącznie moja wina. Mea culpa. Ale nic sobie nie zrobiłaś, prawda? Nie skaleczyłaś się ani nie posiniaczyłaś?

- Och, nie, nie. Nic mi nie jest. Naprawdę. Nie musisz mi dawać na nowe...

- Oczywiście, że musimy - odezwał się Rowland stanowczo. - Charlie, bądź aniołem i załatw dziewczynie nową parę, dobrze? A przy okazji, jak masz na imię? - zwrócił się do niej ponownie.

- Caryn, proszę pana.

- Proszę pana? - Uniósł brew, patrząc na nią. Oczy nadal mu błyszczały. Czula ścisnienie w żołądku. Było w nim coś takiego, co zmuszało ją do odpowiedzi uśmiechem na jego uśmiech. - Rowland w zupełności wystarczy. A więc chodź za mną, Caryn. Jesteś piątą osobą, z którą spotykam się od wczoraj, ale chyba teraz ta praca ci się po prostu należy! - Uśmiechnął się do niej.

W brzuchu ponownie ją ścisnęło. Poszła za nim korytarzem.

- Dobrze - powiedział, otwierając drzwi do swojego gabinetu. - Siadaj. Zobaczą, czy uda mi się w tym bałaganie odszukać twoje dane. - Wskazał ręką na biurko zasłane papierami. W całym pokoju - w sposób niewyszukany, ale najmodniejszy - panował cudowny chaos. Na nagiej ceglanej ścianie za nim wisiał w ramie wielki czerwony plakat ze słowami: „Zachowaj spokój i rób swoje!” pod rysunkiem korony. Przystojny, modny, będący na bieżąco ze wszystkim i zabawny mężczyzna. Nigdy jeszcze nie poznała nikogo takiego. Szperał na biurku, aż znalazł jej życiorys. Wyciągnął go ze stosu innych, czytał przez kilka sekund, a potem spojrzał na nią.

- St Augustine? - wymamrotał prawie jak do siebie. - W Chelsea?

- Ee... Tak.

- Cztery celujące na maturze? - Ponownie uniósł brew.

- Ee... Tak.

- I żadnych studiów?

- Ee... nie.

- Jakim cudem?

- Wo... wołałabym o tym nie mówić - wyjąkała Caryn. Policzki znowu jej płonęły.

Rowland przyjrzał się jej uważnie.

- W porządku. No dobrze, kiedy mogłabyś zacząć?

Zamrugła.

- Zacząć?

- Tak. Kiedy możesz zacząć pracę?

- Och. Czy... czy to znaczy, że mnie pan zatrudni?

- Cóż, w sumie, tak - odpowiedział sucho.

Oblała się rumieńcem. Była wyjątkowo spięta. Ten mężczyzna wywierał na niej zupełnie niezwykle wrażenie.

- W poniedziałek? - powiedziała, myśląc szybko na zapas. Będzie miała dwa dni na znalezienie bardziej odpowiednich ubrań. Za żadne skarby świata nie weszłaby ponownie do tego biura w prostej bluzce i garsonce, które miała na sobie. I jak zawsze ratunek znajdzie u Nik.

- Poniedziałek brzmi dobrze. O dziewiętej zero zero. Charlie powie ci, na czym mniej więcej będzie polegała twoja praca. - Pokazał jej podanie, które złożyła. - Masz świetne referencje. I cztery celujące na maturze. Mogłabyś wykonywać tę głupią robotę z zamkniętymi oczami.

189

4 m

- Dobrze - powiedział, otwierając drzwi do swojego gabinetu. - Siadaj. Zobaczą, czy uda mi się w tym bałaganie odszukać twoje dane. - Wskazał ręką na biurko zasłane papierami. W całym pokoju - w sposób niewyszukany, ale najmodniejszy - panował cudowny chaos. Na nagiej ceglanej ścianie za nim wisiał w ramie wielki czerwony plakat ze słowami: „Zachowaj spokój i rób swoje!” pod rysunkiem korony. Przystojny, modny, będący na bieżąco ze wszystkim i zabawny mężczyzna. Nigdy jeszcze nie poznała nikogo takiego. Szperał na biurku, aż znalazł jej życiorys. Wyciągnął go ze stosu innych, czytał przez kilka sekund, a potem spojrzał na nią.

- St Augustine? - wymamrotał prawie jak do siebie. - W Chelsea?

- Ee... Tak.

- Cztery celujące na maturze? - Ponownie uniósł brew.

- Ee... Tak.

- I żadnych studiów?

- Ee... nie.

- Jakim cudem?
- Wo... wołałabym o tym nie mówić - wyjąkała Caryn. Policzki znowu jej płonęły.
Rowland przyjrzał się jej uważnie.

- W porządku. No dobrze, kiedy mogłabyś zacząć?
Zamrugła.

- Zacząć?
- Tak. Kiedy możesz zacząć pracę?
- Och. Czy... czy to znaczy, że mnie pan zatrudni?
- Cóż, w sumie, tak - odpowiedział sucho.

Oblała się rumieńcem. Była wyjątkowo spięta. Ten mężczyzna wywierał na niej zupełnie niezwykle wrażenie.

- W poniedziałek? - powiedziała, myśląc szybko na zapas. Będzie miała dwa dni na znalezienie bardziej odpowiednich ubrań. Za żadne skarby świata nie weszłaby ponownie do tego biura w prostej bluzce i garsonce, które miała na sobie. I jak zawsze ratunek znajdzie u Nik.

- Poniedziałek brzmi dobrze. O dziewiątej zero zero. Charlie powie ci, na czym mniej więcej będzie polegała twoja praca. - Pokazał jej podanie, które złożyła. - Masz świetne referencje. I cztery celujące na maturze. Mogłabyś wykonywać tę głupią robotę z zamkniętymi oczami.

189

A więc... - Wstał, dając jej do zrozumienia, że rozmowa kwalifikacyjna, jeśli można było ją tak nazwać, dobiegła końca.

Caryn szybko zrobiła to samo.

- Dziękuję-wymamrotała.
- Świetnie. Do zobaczenia w poniedziałek. I nie zapomnij o rajstopach. - Spojrzał w dół na nogi dziewczyny.

Żołądek ponownie się jej skurczył. Podeszła szybko do drzwi, mając nadzieję, że zmieszanie, w jakie wprawił ją Rowland, nie było widoczne na jej twarzy. Podziękowała Charlie, wzięła od niej rajstopy i dosłownie zbiegła ze schodów. Szła Charlotte Road zupełnie wytrącona z równowagi przez to spotkanie i niepewna, czy się cieszyć, czy nie, że dostała tę pracę. Niemniej gdzieś w głębi duszy doznawała nikłego, ale trudnego do pomylenia z czymkolwiek innym uczucia przyjemności za każdym razem, gdy przypominała sobie twarz Rowlanda Keane'a.

W sobotę siedziała w bieliźnie na łóżku Nik i patrzyła z niepokojem na przyjaciółkę zdejmującą z wieszaków spodnie jedno po drugim i rzucającą je na rosnący na kołdrze stos ubrań. Po drugiej stronie pokoju Tory leżała na jednym z foteli niemal w stanie śpiączki, zapatrzona w przestrzeń.

- Masz, przymierz te - powiedziała w końcu Nik, podając jej granatowe wełniane spodnie.

Caryn popatrzyła na nie z powątpiewaniem.

- Ale co mam do nich włożyć?

Nik wzięła bluzkę w biało-niebieskie paski.

- To. I to. - Rzuciła jej szarą kamizelkę. Caryn zagryzła usta. - Zaufaj mi - powiedziała Nik stanowczym tonem.

Na to nic nie mogła poradzić. Na twarzy Nik malowała się determinacja, którą Caryn знаła aż za dobrze. Zeszła z łóżka i zaczęła się ubierać.

- Bluzka jest za duża - powiedziała, wyciągając przed siebie ramiona. To prawda, mankiety sięgały jej końców palców. - A to... - Obróciła się. Kamizelka zwisała jej aż na pośladki. - Wyglądam jak bezdomna żebraczka.

- Nie, nie wyglądasz. Dobrze ci w tym - upierała się Nik. - Będziemy po prostu musiały trochę te rzeczy skrócić, i to wszystko.

190

- A co ty o tym sądzisz? - Caryn zwróciła się do Tory.

- He? - Tory powoli obróciła ku nim głowę.

- Tory. Zupełnie nie zwracasz na nas uwagi. Co dzisiaj w ciebie wstąpiło? To przecież jest najważniejszy dzień w życiu biednej Caryn, a ty...

- Nie, nie, jest świetnie - Caryn weszła jej pospiesznie w słowo. Ostatnia rzecz, jakiej chciała, to kłótnia o jej ubranie, a właściwie jego brak. - A co zrobię ze spodniami? - Popatrzyła w dół na stopy zakryte fałdami materiału.

- Podwiniesz je i to wszystko. Moim zdaniem to nie zabierze dużo czasu. Hm, czy któraś z was umie szyć?

- Ja umiem. Tak jakby - odpowiedziała Caryn, zastanawiając się, jak dużo czasu jej to zajmie. - Choć niezbyt dobrze.

- Lepiej będzie, jeśli ty to zrobisz, a nie ja - powiedziała Nik sucho. Zmarszczyła się, patrząc na Tory. - Co się, do diabła, z tobą dzieje? Przez cały rano prawie nie odezwałaś się słowem.

- Nic. Po prostu myślę - odrzekła przyjaciółka, ziewając.

- O czym?

- O różnych rzeczach.

- No pewnie, ale jakich?

- O tym i owym - powiedziała Tory wymijająco. Zsunęła nogi z fotela i podniosła się.

- To jest ładne - stwierdziła, wskazując na długą spódnicę w kwiaty, najwyraźniej zmuszając się do wczucia w atmosferę ranka spędzanego na zmienianiu - albo tworzeniu od nowa, w zależności od tego, jak się to postrzegało - garderoby Caryn. Przyjaciółka zadzwoniła jeszcze tego samego dnia, kiedy dostała pracę, i zanosila się płaczem, mówiąc, że ma zupełnie, zdecydowanie nieodpowiednie ubrania - bo tak rzeczywiście było. Nik, oczywiście, apodyktyczna jak zawsze, natychmiast zgłosiła je obie na ochotnika do pomocy. Dlatego też znalazły się w sypialni Nik w zimny, deszczowy niedzielny rano, przeglądając w większości zbyt duże i niepasujące jej ubrania. Teraz, gdy Caryn znalazła - w końcu - pracę, którą Nik nazwała „z perspektywami”, musiała się odpowiednio ubierać. Caryn nie do końca podzielała stanowisko przyjaciółki. Jej zdaniem ten etat nie prowadził do niczego poza robieniem herbaty dla wspaniałego Rowlanda, ale Nik twardo stała przy swoim.

191

- W każdym razie - powiedziała wesoło, wyciągając ładną jedwabną bluzkę ze stosu ubrań na łóżku - będziesz miała większe szanse na osiągnięcie czegoś w odrobinę modniejszych ciuchach. A to fakt, kochanie. Możesz mnie cytować.

- Tak, ale nie jestem pewna, czy chcę cokolwiek osiągać - wymamrotała Caryn. Nie dość, że denerwowała się, czy da radę dopasować się do nowego, modnego otoczenia, to przerażała ją myśl, że przyjdzie tam w poniedziałek rano w otrzymanych od Nik łaskach, przerabianych (kiepsko), żeby jako tako na niej wyglądały.

- Och Boże drogi, Caryn! Chcesz mieć lepszą pracę czy nie? Tyrasz na pieprzone umowy-zlecenia od lat; dokąd cię to zaprowadzi?! - krzyknęła Nik, zaczynając okazywać irytację. - Daj spokój. Jesteś najbardziej łebska z nas trzech! Dostaję szału, gdy widzę, jak się poddajesz.

- Nie poddaję się - zaprotestowała Caryn. Jej twarz nagle się wykrzywiła. - Po prostu...

- Co po prostu?

- Po prostu... mój nowy szef, Rowland... zacznie się śmiać, kiedy zobaczy mnie w...

- Caryn Middleton! Jesteś cała czerwona! Kim jest ten Rowland? - Nic nie mogło ująć uwagi Nikoli.

Caryn czuła, że poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Nikim. To znaczy moim szefem. Poznałam go w piątek i...

- Spodobał ci się? Tak szybko? Jeszcze nawet nie zaczęłaś u niego pracować! - Nik się roześmiała.

- Wcale mi się nie podoba - zaprzeczyła Caryn, żalując, że w ogóle poruszyła sprawę nowej pracy. - On po prostu...

- Co?

- Jest... w zasadzie przystojny i... - Ku swojemu pełnemu przerażeniu poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Czy na pewno nie chciała wybuchnąć płaczem? Szybko odwróciła głowę od Nik. - Muszę do łazienki - wymamrotała, wychodząc na drewnianych nogach z pokoju w za długich spodniach i za dużej bluzce, zanim któraś z przyjaciółek zdążyła powiedzieć kolejne słowo.

Zdumiona Nik patrzyła za jej znikającymi plecami. Obróciła się do Tory.

192

- Co ja takiego, do cholery, powiedziałam?

Tory wzruszyła ramionami.

- To chyba oczywiste, nie uważasz?

- Niby co?

- Zakochała się. W nowym szefie. Jakkolwiek ma na imię.

- Ale ona dopiero go poznała!

- Tak, no cóż... coup de foudre i tyle - powiedziała Tory łagodnie. - Poza tym to dla niej najwyższa pora, do cholery. Czy słyszałaś kiedykolwiek, żeby ktoś się Caryn choć trochę podobał?

Nik pokręciła powoli głową.

- Nie, chyba nie. Ale właśnie dlatego to takie dziwne. Ona taka nie jest. W ogóle.

- Ludzie się zmieniają, Nik. My wszystkie się zmieniłyśmy. Nie drażnij się z nią. To nie w porządku.

Przyjaciółka wpatrywała się w nią.

- O czym ty, do diabła, mówisz?!

- Nie drażnij się z nią, to wszystko. Posłuchaj, dla Caryn to wcale nie jest takie proste.

Pamiętaj, że cały czas jej życie nie jest łatwe. Mieszka z tą koszmarną matką musiała zrezygnować ze studiów... ona inaczej to widzi, i tyle chciałam przez to powiedzieć.

Nik rozchyliła usta, żeby zaprotestować, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi od łazienki. Jedno spojrzenie na błyszczący nos Caryn i zbyt lśniące oczy wystarczyło, żeby szybko je zamknęła. Jak zawsze w jej spojrzeniu była duma i jakby wyzwanie, które kładły kres wszelkim dalszym pytaniom. Reszta ranka upłynęła im głównie na krępującym milczeniu.

Kiedy obie wyszły - Caryn z co najmniej czterema nowymi strojami w torbie pod pachą - Nik zrobiła sobie herbatę i zaniósła ją do salonu. Rozejrzała się wokół przepelniona poczuciem winy. Prawie po roku od ukończenia studiów Jim któregoś popołudnia rzucił jej jakby mimochodem klucze do mieszkania. Nie było w tym nic z obecnego dramatyzmu - w typowy dla siebie, obcesowy sposób powiedział coś o konieczności kupienia drugiej nieruchomości w Londynie, żeby odliczyć to od podatku... a gdyby nie chciała, Jessica zawsze może przejąć to mieszkanie, kiedy skończy osiemnaście lat. Ona przynajmniej nie miała ciągot

193

do pójścia na uniwersytet. „I co, chcesz to mieszkanie czy nie?”. Nik, zupełnie wykończona po dwóch latach dzielenia paskudnego lokum z dwoma innymi dziewczynami z roku, uległa. Wzięła je, śliczne mieszkanie na drugim piętrze z dwiema sypialniami przy Primrose Hill, ale od tamtej pory tego żałowała. Jim przy każdej okazji przypominał jej

0 własnej hojności, mimo że wymierzyła mu bolesny policzek zmianą nazwiska. Poza tym zostawała sprawa znalezienia przyzwoitej pracy. Łatwo było jej pouczać Caryn, ale co sama zrobiła, mając swój cenny dyplom? Przez pierwsze dwa lata miała źle płatne, mało znaczące posady w redakcjach - trudno było jednak nazwać to wkroczeniem w świat dziennikarstwa, bo zajmowała się głównie parzeniem herbaty i zmianą tonera w kserokopiarce, choć nigdy się do tego nikomu nie przyznała. Potem znalazła pracę w niewielkiej lokalnej gazecie, która mniej więcej pół roku później przestała się ukazywać. Teraz zaś, po sześciu miesiącach, stała się najslabiej opłacanym członkiem redakcji „Gossip!”*, brukowca o celebrytach, którzy wypadli z łask lub mieli wkrótce z nich wypaść. Oczywiście, Jim miał swoje zdanie na ten temat: „Trzy lata pieprzonych studiów i tylko na tyle cię stać?” - ale duma nie pozwalała jej odejść. Duma i niemożność znalezienia czegokolwiek innego, rzecz jasna. Zbyt słabość, żeby się oprzeć pokusie darmowego mieszkania, była już wystarczająco zła... ale przystanie na jego nonszalanckie propozycje, że może jej załatwić „odpowiednią” pracę, jeśli tylko będzie chciała, szło za daleko. Nie pomagało i to, że Jim niespodziewanie zaczął się nienaturalnie interesować mediami. Z powodów, których Nik nie umiała odgadnąć, nabrał ochoty na posiadanie własnej - jakiegokolwiek - gazety. Przypadkiem usłyszała, jak mówił, że skoro Murdoch

1 Maxwell mogli, dlaczego on nie miałby spróbować? Ugryzła się w język i powstrzymała od komentarzy.

W przypadku Caryn było inaczej. Jak zawsze, gdy myślała o przyjaciółce, ogarniało ją współczucie zmieszane z podziwem. Od kiedy skończyły St Augustine, ani razu nie słyszała, by ta się na coś skarżyła. Sprawy domowe układały się nie najlepiej, balansując między zupełną katastrofą - starszy brat został aresztowany, matka przedawkowała, istniała groźba rozdzielenia rodziny - a chwilami niemal trudnej do znie-

* Gossip oznacza po angielsku plotkę (przyp. tłum.).

194

sieniem przyjemności. W poprzednim roku młodszy brat, podobnie jak Caryn, dostał stypendium do Westminster. Nik pamiętała popołudnie, kiedy spotkała ich dwoje po wycieczce, jaką zrobili sobie po jego nowej szkole. Był pogodnym, ładnym chłopaczkiem, bez śladu ciągłych niepokojów Caryn i jej determinacji. Tory, z nietypową dla siebie przenikliwością, powiedziała, że zawdzięczał to domowi, jaki Caryn zdołała mu zapewnić wbrew przeciwnościom. Nik doskonale pamiętała też własną zazdrość, gdy zobaczyła, jak w restauracji na Sydney Street, dokąd zaprosiła ich, by to uczcić, wymieniali między sobą spojrzenia pełne miłości i dumy - młodszy brat i starsza siostra. Na nią nikt jeszcze nigdy tak nie patrzył.

Wstała, czując się dziwnie wytrącona z równowagi. Kuriozalne wrażenie niedostosowania, które ogarniało ją czasami w obecności Caryn, ponownie się pojawiło. Trudno jej było nie czuć się niedostosowaną. Ona, która miała tak wiele, osiągnęła tak mało. Z drugiej strony Caryn... Och, przestań - upomniała się surowo w myślach. Nie ma nic gorszego od rozczulającej się nad sobą panny bogaczki. Jeśli niewiele osiągnęła, to sama była w całości za to odpowiedzialna. Przeszła do biurka i włączyła komputer. Zoe, onieśmielająca i nieprzystępna szefowa, choć z ociąganiem, dała jej zadanie o godzinie szóstej trzydzieści pięć w piątek wieczorem, tuż przed zamknięciem. Bidina O'Connor - której imię w języku celtyckim oznacza po prostu „mała Brygida”, o czym w zaufaniu i zupełnie bez kontekstu powiedziała jej Irlandka zajmująca się PR - rankiem tamtego dnia wstąpiła do klasztoru. „I co z tego?” - natychmiast i nieprawidłowo zareagowała Nik, zanim przypomniała sobie, że miało jej zależeć. Dostała małeńki artykuł o niej w dziale reportażu.

- Zawsze mogę cię przenieść do recenzowania programów telewizyjnych - powiedziała Zoe z miażdżącą pogardą, gdy na twarzy Nik nie pojawił się wyraz wdzięczności, jakiego ta

oczekiwała od młodszego personelu. - A może chcesz, żebym powiedziała ci coś innego? Na przykład: do widzenia i życzę szczęścia w następnej pracy?

Nik poczerwieniała ze złości i wstydu, ale zdołała ugryźć się w język. Nienawidziła Zoe Williams-Dent bardziej niż kogokolwiek w życiu, w tym każdej dziewczyny ze wszystkich szkół, do których chodziła, a to - o czym Caryn i Tory dobrze wiedziały - naprawdę coś znaczyło.

195

Niemniej była zdeterminowana wytrzymać i wspinać się po dziennikarskiej drabinie, żeby wreszcie metodą małych kroczków dopchać się do „poważnego materiału” - jak to nazywała. Niestety, podobnie myślała każda z pozostałych dziennikarek w „Gossip!”. Drabina była już zatłoczona. Nikola Parker miała takie same szanse na dostanie się na listę płac „The Economist” lub „Guardiana” jak Tory. A o ile wiedziała, Tory nie wzięła nawet żadnej z tych gazet do ręki.

„Bidina O'Connor, której imię w celtyckim to po prostu mała Brygida - choć w Bidinie nie ma nic »małego« po tym, jak przytyła ponad dwanaście kilogramów, o czym przy okazji informuję - wstąpiła dziś rano do klasztoru w otoczeniu aureoli z lamp błyskowych”. Nik popatrzyła na zdanie, które właśnie napisała, i jęknęła. Czy kiedykolwiek uda się jej wyrwać z grzęzawiska plotek o celebrytach za pomocą takich zdań?

46

Tory weszła za ojcem do restauracji. Luigi's była małą rodzinną trattorią tuż za rogiem Hortensia Road. Zdziwiła się, gdy zaproponował jej, żeby tam poszli. To była ulubiona knajpka rodziny Spillerów... przedtem.

- To jedyne miejsce, o którym wiem, że nie zajrzy do niego twoja matka - powiedział, uśmiechając się smutno, gdy siadali.

Giuseppe, starszy już kelner, mimo zdziwienia był zachwycony ich widokiem po tak długim czasie. Nie wspomniął o Susie, ale coś w jego zachowaniu, gdy przyniósł kartę do stolika, powiedziało Tory, że nie zapomniał o niej. Słuchała, jak ojciec zamawiał - przez sekundę miała wrażenie, że cios, po którym nadal dochodzili do siebie, nigdy nie został im zadany.

- A więc jaki to pomysł przyszedł ci do głowy? - zapytał ojciec łagodnie, nalewając obojgu wina. Odchylił się do tyłu w krześle i popatrzył na nią. Jeden palec miał przyłożony do policzka, gdy czekał na jej odpowiedź.

Tory głęboko zaczerpnęła powietrza. Tyle razy powtarzała w myśl-

196

lach swoją przemowę, że słyszała teraz własny głos jakby dochodzący z oddali, słowa rozlegały się jedno po drugim, niemal wpadając na siebie. Pokazała mu niewielki skoroszyt, który zawierał wszystko, co zaprzętało jej myśli od kilku ostatnich miesięcy. Potrzebowała prawie dziesięciu minut, a kiedy skończyła, czuła, że oddycha szybko i z trudem, jakby przebiegła ze dwa kilometry. Przez kilka chwil panowało milczenie. Z twarzy ojca nie potrafiła niczego wyczytać.

- Czy... czy to brzmi jak szaleństwo? - zapytała, bojąc się z góry jego odpowiedzi.

- Szaleństwo? Nie, to nie szaleństwo. Tylko... - Zawiesił głos, trzymając w ręku kieliszek. - Cóż, nie tego oczekiwaliśmy, Tory. A co z uniwersytetem? Obiecałaś, że poważnie się nad tym zastanowisz po powrocie z Paryża, i...

- Tato, ja nie chcę studiować - odpowiedziała. Zaczynała narastać w niej frustracja. - Dlaczego ty i mama zwyczajnie się z tym nie pogodzicie? Wiesz, nie wszyscy muszą kończyć studia.

- Wiem. Chodzi o to, że teraz, gdy nie ma już Susie...

- Czy choć raz możemy wyłączyć z tego Susie? - odezwała się Tory z goryczą. - Tylko ten jeden raz? To dotyczy mnie, tato. Nie Susie.

Popatrzył na nią, zaskoczony.

- Daj spokój, Tory, nie ma powodu do nerwów - dodał szybko. - Ja jedynie o tym powiedziałem.

- Ale co powiedziałeś, tato? Że to, co ja chcę zrobić z własnym życiem, nie ma znaczenia - pod warunkiem, że ty i mama będziecie z tego zadowoleni?

- Nie, oczywiście, że nie! Chodzi jedynie o to, że ten twój pomysł... to strasznie wielki krok. To ogromne przedsięwzięcie. Dopiero co przestałaś być nastolatką...

- Mam dwadzieścia cztery lata, tato. Nie jestem już przeklętą nastolatką!

- Tak, ale prowadzenie sklepu? - Zabrzmiało to tak, jakby chciała otworzyć burdel.

- To interes, tato. Moja własna firma. Cały czas pracuję dla innych i znam tę branżę na wylot! Wiem, że mi się uda, po prostu to wiem.

- Ale skąd, na Boga, weźmiesz pieniądze na kupienie sklepu?

- O pieniądze się nie martwię - odpowiedziała, starając się na-

197

dać głosowi więcej optymizmu, niż czuła go w rzeczywistości. - Znajdę pieniądze. Chcę tylko... - Przerwała, świadoma, że rozboleło ją gardło.

- Czego właściwie chcesz? - zapytał ojciec, tym razem o wiele spokojniej.

- Ja po prostu... - Tory nagle uciekła spojrzeniem, oczy zaszyły jej łzami. - Potrzebuję jedynie twójego wsparcia, tato. To wszystko. Żeby to zrobić, nie chcę twoich pieniędzy. Chcę tylko...

- Tory - ojciec wszedł jej w słowo. - Przestań. Rozumiem, w porządku? - Głos miał dobrotliwy. Sięgnął ponad stołem i położył rękę na jej dłoni. Przestraszyła się, bo ręka mu drżała. - Wiem, o czym mówisz. Po prostu... po prostu daj mi trochę czasu na reakcję i tyle. Wiem też, że ci ciężko. Patrzę na ciebie i widzę, jak bardzo cię zanieczyściliśmy po... po śmierci Susie. Jestem pewny, iż mogłaś pomyśleć, że zupełnie o tobie zapomnieliśmy, ale to nieprawda. Zapewniam cię, to nieprawda. Czy pozwolisz mi teraz przyjrzeć się temu spokojnie? Nie przy obiedzie?

Skinęła głową, roztrzęsiona wewnątrz. Jej stosunki z matką nie wróciły jeszcze do normy od awantury, którą miała z nią po powrocie z Paryża. Nie mogła znieść myśli, że tak samo mogłaby pokłócić się z ojcem. Otarła policzki wierzchem dłoni i sięgnęła po kieliszek z winem. To byłaby najgorsza rzecz ja świecie - pomyślała smutno, wypijając wino do ostatniej kropli. Niezależnie od tego, jak bardzo starała się udawać, że nie zależy jej na ich aprobachie - w głębi duszy bardzo jej zależało. Oczywiście, że zależało. Chciała usłyszeć, jak mówią, że są z niej dumni. Ten jeden raz. Właśnie to zamiast ciągłego rozczarowania, że nie jest bardziej podobna do Susie, że nie są z niej dumni, bo nie próbuje być taka jak ona.

- Daj mi trochę czasu. Muszę przygotować na to matkę - powiedział ojciec, nadal trzymając rękę na jej dłoni. Tylko że teraz już mu nie drżała. Zaśmiał się krótko i niepewnie. - Wiesz, jaka ona jest.

Pokiwała ponuro głową.

- Tak, wiem.

- No, może niezupełnie - dodał łagodnie. - Zdaję sobie sprawę, że czasem to tak wygląda, ale jesteś dla niej wszystkim. Dla nas obojga. - Tory przełknęła ślinę. Nie mogła dobyć głosu. - A teraz - powiedział

198

szybko, odchrząkując i zmieniając temat - co weźmiesz na przystawkę? Może prosciutto?

- Susie za nią przepadała - powiedziała pod nosem. Uścisnęła jej dłoń.

- Tak, rzeczywiście, prawda? I zawsze zostawiała melona.

Tory uśmiechnęła się przez łzy. Po raz pierwszy od śmierci Susie udało się im wskrzesić wspólne, pozbawione obsesji obrazy przeszłości, które nadal były w jakiś sposób żywe.

47

Caryn weszła do biura nowej pracy w poniedziałek rano ubrana w spodnie Nik, własną prostą białą bluzkę, lakierowany czarny pasek i - za radą znawcy Briana - parę szpilek z imitacji krokodylej skóry na ośmiocentymetrowych obcasach. Braciszek zaciągnął ją w ostatniej chwili na niedzielny bazar przy Petticoat Lane. Wybrał te pantofle, a kiedy je przymierzyła, przyjrzał się jej od góry do dołu i powiedział, że wygląda „dobrze”. Cokolwiek miał na myśli, Charlie najwyraźniej się z nim zgadzała.

- Cześć - powiedziała, uśmiechając się szeroko. - Och, uwielbiam twoje pantofle!

Caryn odpowiedziała milczącym „dziękuję”. Oddała jej uśmiech.

- Te? Och, dzięki - odpowiedziała nonszalancko. - Masz ładne kolczyki. - Po chwili zastanowienia, czy jej odpowiedź nie była rozczarowująca, szybko dodała: - Naprawdę do ciebie pasują.

- Ach, te starocie? - Charlie dotknęła dłonią ucha. - Dzięki. Ty masz za to ładny pasek. Za nimi ktoś cicho, ale znacząco zakasłał. Caryn obróciła się. Z tyłu stał Rowland Keane. Żadna z dziewczyn nie słyszała, jak wchodził po schodach.

- Dobrze, drogie panie, czy już skończyłyście? Chodź teraz ze mną Caryn.

Zaczerwieniona ze wstydu, praktycznie za nim biegła, gdy szedł energicznie przez biuro. Była godzina dziewiąta, ale przy biurkach sie-

199

działo jedynie kilka osób. Wszyscy patrzyli, gdy Caryn mijała ich, robiąc trzy kroki na jego dwa.

Rowland doszedł do swojego gabinetu i zatrzymał się, żeby puścić ją przodem.

- O co w tym chodzi? - powiedział cicho, idąc za nią i zamykając drzwi. - Dlaczego kobiety zawsze urządzają takie bezsensowne sceny wzajemnego podziwu przy każdym spotkaniu? - Wpatrywał się w nią uważnie niebieskimi oczami, jakby oczekiwał odpowiedzi. Zawahała się.

- To ochrona - odezwała się po dłuższej chwili. - Rozumiesz, chodzi o skomplementowanie innej osoby, zanim zrobi ci jakiś afront. Mężczyźni postępują tak samo...

- Urwała w pół słowa, niepewna, czy nie posunęła się za daleko. W końcu był to jej pierwszy dzień. Chryste, jej pierwsza godzina!

Popatrzył na nią z sardonicznie uniesioną brwią.

- Oni też? - wymamrotał, zdejmując marynarkę. - Jakie to niezwykle. - Ton jego głosu wskazywał na coś wręcz przeciwnego. Poczula, że policzki rumienia się jej jeszcze bardziej. - Zostawmy to. Lepiej będzie się z tym pogodzić. - Zerknął na jej rękę. - Nie masz ze sobą czegoś do pisania? Pomyślałem, że dobrze będzie zapoznać cię z zakresem obowiązków.

- Och, tak... oczywiście - wyjąkała. Nie zdążyła jeszcze zdjąć płaszcza. - Hm, gdzie będę siedziała? - spytała, rozglądając się po jego gabinecie. Boże, błagam, tylko nie tutaj - prosiła w myślach.

- Charlie ci nie pokazała? - zapytał, szczerze zdziwiony.

Pokręciła głową.

- Nie, była zajęta sprawami towarzyskimi - palnęła, nie umiając się powstrzymać. To nerwy. Spojrzał na nią w osłupieniu. - A... towarzystwem wzajemnej adoracji - dodała nieprzekonująco.

Przez sekundę wyglądał tak, jakby chciał jej urwać głowę, ale potem uśmiechnął się - wolno, zdecydowanie i sexy, co zupełnie zmieniło mu twarz. Czula, jak kolana zaczynają jej drżeć.

- Ach, poczucie humoru - powiedział, jakby do siebie. - Pracując tu, będziesz go potrzebowała. Usiądziesz tam, przy biurku za drzwiami. Ja przez większość czasu pracuję tutaj, poza wyjątkami, gdy wyjeżdżam albo jestem na planie. To... - podał jej kilka zadrukowanych kartek -

200

...przygotowała twoją poprzedniczką. Jest całkiem przejrzyste... wyliczonych jest tu większość rzeczy, o których zrobienie będziesz proszona.

- Dlaczego odeszła? - zapytała Caryn. - Pytam z czystej... ciekawości.

Popatrzył na nią, kąciaki ust zaczęły mu się unosić w uśmiechu.

- Nie miała poczucia humoru - odpowiedział w końcu i usiadł za biurkiem. - A teraz, jeśli nie masz więcej pytań...

- Nie, nie.

- Świetnie.

Caryn spojrzała na kartki. „Codzienne obowiązki. 1. Robić Rowlan-dowi kawę. Z mlekiem, bez cukru. 2. Otwierać pocztę”.

- Chy... chyba lepiej będzie, jak wezmę się do pracy - powiedziała, wycofując się z pokoju. - Zaraz przyniosę ci kawę.

- Grzeczna dziewczynka. Zebranie pracowników będzie o jedenastej. Przedstawię cię reszcie zespołu.

Wyszła z jego gabinetu, policzki nadal jej płonęły. „Grzeczna dziewczynka”? Mimo jego seksapilu, szerokiego, ujmującego uśmiechu i su-permodnego biura, wiedziała już, że ta praca z pewnością nie będzie specjalnie rozwojowa. Robienie kawy, otwieranie poczty, odbieranie telefonów, Caryn - dziewczyna na posyłki. Nieźle, jak na kogoś, kto miał studiować w Oksfordzie albo Cambridge. Wystarczało, żeby człowiekowi chciało się wyć.

48

i

Cały Manhattan jaśniał wszechobecnymi, mrugającymi światłami. Ulice zapelniali ludzie robiący późnym wieczorem zakupy, którzy biegali po sklepach w ostatnie gorączkowe dni przed Bożym Narodzeniem. Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach i z potarganymi jasnymi włosami, bez czapki i rękawiczek, wyszedł z metra przy Canal, ruszył szybko ulicą i praktycznie przebiegł ostatnie kilkaset metrów do rogu Hudson i Charlton. O uda obijał mu się worek marynarski. Skręcił w Charlton, bacznie przypatrując się fasadom, wyglądającym na zabudowania przemysłowe, chuchał w dłonie, żeby je rozgrzać, aż zna-

201

laż numer, którego szukał. Nacisnął niecierpliwie dzwonek i popatrzył w górę pociemniałego budynku, na ósme piętro. Kilka sekund później usłyszał skrzypnięcie otwieranego okna.

Mężczyzna wystawił przez nie głowę i spojrzał w dół na ulicę.

- Simon?! - Jego głos zniekształcał wiatr.

- Tak. Otwieraj, brachu. Można tu zamarznąć!

- Uważaj! Zrzucę ci klucze! Winda jest zepsuta!

- Cholera. - Blondyn zrobił kwaśną minę. Chwilę później rozległ się cichy brzęk, gdy klucze wylądowały na chodniku, natychmiast pokrywając się śniegiem. Pochylił się i podniósł je. Po kilku minutach, tylko trochę zadyszany po wspinaczce, otworzył pchnięciem drzwi i znalazł się w przestronnym pomieszczeniu. Nie było tam nic poza wielką lodówką w rogu, starą, zniszczoną skórzaną kanapą i telewizorem w drugim kącie. Kilka szafek na kartoteki stało pośrodku poddasza niczym strażnicy. Mężczyzna skrzywił się w uśmiechu. '

- Simon... nareszcie. - Osobnik, który rzucił mu klucze, odwrócił się od okna.

- Mat. - Simon podszedł do niego. Chwycili się mocno za przedramiona. - Dawno cię nie widziałem, brachu.

- I ja ciebie.

- Jak ci leci?

Uśmiechnęli się do siebie, wyluzowani fizycznym kontaktem.

- Nie narzekam. A tobie? Wszystko w porządku?
- Tak. W porządku. Właśnie wróciłem.
- Z...?
- Z Genewy. - Simon podszedł do jednego z okien, popatrzył przez moment na ulicę w dole i obrócił się. - Więc to tu? To jest dom? Trochę tu... pustawo, brachu.

Mat wzruszył ramionami.

- Mnie się podoba. Dla mnie jest idealnie.
- Tak myślę.

Mat popatrzył na niego trochę zdziwiony, ale nic nie powiedział. Otworzył ze skrzyknięciem drzwi lodówki.

- Piwo?
- Dzięki. - Simon przeszedł do kanapy, usiadł i ziewnął. Opuścił głowę, czując, jak ogarnia go fala zmęczenia. Nie spał od prawie dwu-

202

dziestu czterech godzin. Następnego ranka udawał się do Johannesburga i miał przelatywać nad kontynentem, skąd właśnie przybył.

- Wyglądasz na wykończonego - powiedział Mat łagodnie, podając mu piwo.

Zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie faktu.

Simon otworzył oczy. W typowy dla Mata, dobrze mu znany, subtelny sposób to pytanie zawisło w ciszy między nimi w oczekiwaniu, aż Simon na nie odpowie, jeśli oczywiście zechce.

- Bo jestem. Długi miesiąc. Sporo podróżowałem.

Mat milczał przez chwilę. Nie próbował ukrywać, że wpatruje się badawczo w Simona. To była jego kolejna cecha: żadnych podstępów.

- Musisz zwolnić, brachu - powiedział w końcu.

Simon się skrzywił. Ponownie zamknął oczy.

- Och, daj spokój. I kto to mówi? Kiedy ostami raz sam wróciłeś do domu przed pierwszą nad ranem? Albo miałeś wolny weekend?

- Na przykład dziś. - Mat napił się piwa z butelki. - I jak, interes się kręci? - zapytał w charakterystyczny dla niego, spokojny, wyważony sposób.

- Tak. Kilka nowych kopalni zaczęło działać w zeszłym miesiącu. Wszystko idzie do przodu. Najwyższy, kurwa, czas. Wojna rzuciła to miejsce na kolana.

- Jest niebezpiecznie?

- Tak, w niektórych okolicach. Aleja przez większość czasu jestem na północy kraju, z dala od Maputo. Niektóre miejscowości to straszne dziury i nawet tam nie wiedzą że toczy się wojna. Ale przecież w Afryce ciągle jest niebezpiecznie. Jeśli nie, to nie Afryka, prawda?

- Daruj sobie te pierdoły. - Mat uśmiechnął się, wstając. - Nie jestem jednym z twoich donatorów. - Otworzył jedną z szafek z kartotekami, stojącą pośrodku pokoju. - A mówiąc o ofiarodawcach - odezwał się. - Widziałeś to? - Rzucił Simonowi gazetę. - Z niedzieli.

Zatrzymałem ją dla ciebie. Spotkałeś go kiedyś? - Usiadł obok niego.

Simon rozłożył gazetę. Jim Hartę patrzył beznamiętnie ze zdjęcia. Przeszedł go dreszcz niechęci.

- Nie, nigdy - powiedział, oddając dziennik.

- Zabawne... wydawało mi się, że jakoś wpadniecie na siebie. To dobry artykuł. Muszę pamiętać, żeby pokazać go tacie. - Złożył gazetę na pół.

203

m

- A jak on się miewa? - zapytał Simon z niepewnością w głosie. Miał świadomość, że ręce mu się zatrzęsły.

- Pytali o ciebie - odpowiedział Mat, wstając z kanapy. - Mama jest na ciebie wściekła. Nie dzwoniłeś od tygodni.

- Och, byłem w ciągłym ruchu - powiedział Simon ze znużeniem. - Sam wiesz, jak to jest.

- A ty wiesz, jacy oni są - odrzekł Mat spokojnie. Zapadła na chwilę cisza. - Wszystko w porządku, brachu? - zapytał cicho.

Simon znowu zamknął oczy.

- Taaa. Wszystko gra. Jestem zmęczony i tyle.

- Co na to mówi twoja dziewczyna? Na to ciągle podróżowanie?

- Nie wiem. Nie mam żadnej dziewczyny. A twoja?

- Nie wiem. Też nie mam żadnej dziewczyny.

- A więc bez zmian. - Otworzył oczy. Mat się uśmiechał.

- Ano. - Popatrzyli na siebie i zaczęli się śmiać. Simon czuł, jak powoli opuszcza go napięcie. Mat zawsze tak na niego działał, Bez wysilania się, w jakiś sposób przywracał mu dobre samopoczucie. Sprowadzał z powrotem do domu. Odprężył się jeszcze bardziej i wygodniej rozsiadł na kanapie. — Przyniosę ci koc - powiedział Mat, wstając. - Lecisz z nóg. O której masz samolot?

- O jedenastej - wymamrotał Simon. Nie potrafił już się oprzeć ogarniającemu go zmęczeniu.

- Równie dobrze możesz jechać stąd. No dalej, idź do łazienki! - zawołał Mat, przechodząc przez pokój. - Znajdę ci czyste bokserki. Nadal śpisz w bokserkach, prawda? Simon był zbyt zmęczony, żeby odpowiedzieć.

Pięć minut później stał przed lustrem w łazience Mata i mył zęby jego szczoteczką.

Uśmiechnął się słabo do własnego odbicia. Nie po raz pierwszy dzielił z nim szczoteczkę do zębów. I pewnie nie po raz ostatni.

Mat wszedł sekundę później, trzymając w rękach parę bokserek w szkocką kratę. Przez chwilę lustro pokazywało odbicia ich obu. Ten sam wzrost, ta sama waga, taka sama budowa. Idealnie dopasowani, idealnie dostrojeni. Bliźniaki, bliźniaki, praktycznie wychowali się razem. Mieszkali w tym samym domu, spali w jednym łóżku, jedli to

204

samo jedzenie i bili się razem tak, jak potrafi to tylko niewielu. Mogliby być braćmi, gdyby niejedna rzecz - Simon był biały, Mat zaś czarny. Nie łączyły ich bowiem więzy krwi. Ich losy były niezwykle. Ci, którzy znali obu, domyślali się jednego, a potem dziwili, że wcale tak nie było. Simon Carter. Mat Ndava. Dwie połówki afrykańskiej historii. Obaj pochodzili z Zimbabwe, ale z całkowicie różnych światów. W ich przypadku było jednak inaczej, niż spodziewałaby się tego większość ludzi.

Rodzice Simona byli rolnikami - biednymi, pechowymi, nieustępliwymi... losu się nie wybiera, prawda? Wyjechali do Rodezji w latach pięćdziesiątych z Lancashire, zwabieni obietnicą ziemi i łatwego zrobienia fortuny. Carterowie kupili trzydzieści hektarów pod miastem Chire-dzi nad brzegiem rzeki Rundę, w pobliżu granicy z Mozambikiem. Przez piętnaście lat usiłowali hodować bydło, uprawiać tytoń, bawełnę, herbatę, pszenicę, kukurydzę... cokolwiek. Oczywiście, nie powiodło im się. Ziemia zupełnie nie nadawała się pod wybierane przez nich uprawy i kiedy Simon miał osiem lat, od dawna już siodłał jednego z ostatnich koni i jeździł przez pyliste wzgórza do sąsiednich gospodarstw, żeby prosić o jedzenie. Biali farmerzy, mieszkający w okolicznych zagrodach, żalowali Carterów, a zwłaszcza małego Simona. Kto chciałby dorastać w takich warunkach? Jak cholerny nędzarz - szeptali między sobą. Nędzarz, tak, niemający prawie nic do jedzenia i nikogo, kto by się nim opiekował - gadały żony. Nędzarze mieli przynajmniej siebie nawzajem, Simon Carter nie miał nic i nikogo. Jego matkę powinno się zastrzelić.

Tymczasem nie była to do końca prawda. On w rzeczywistości miał kogoś, choć nie był to ktoś, kogo biali sąsiedzi by zaaprobowali czy zrozumieli. Matariego Ndavę. Mata - jak go wszyscy nazywali. Ojciec Mata, Gordon Ndava, prowadził największy sklep spożywczy w Chiredzi. Mimo trudności gospodarczych, jakie nękały wówczas kraj, był jednym z najbogatszych ludzi w okręgu. Bardzo często wyjeżdżał z domu w interesach i podczas takiej właśnie jego nieobecności Mata-ri, jego jedyny syn, przyszedł do domu z przyjacielem. Białym przyjacielem. Mat powiedział rodzicom, że poznali się nad rzeką kilka tygodni wcześniej. Simon uczył go pływać. Patience Ndava zauważyła, że

205
biały dzieciak, którego jej syn przyprowadził do domu, był bardziej wygłodzony i brudniejszy od jakiegokolwiek dziecka w mieście. Zjadł z apetytem miskę mamałygi i liści dzikiego szpinaku, którą postawiła przed nim, a potem przyszedł po drugą i trzecią dokładkę. Był mukiwa, białym chłopcem, ale zupełnie niezwykłym. Mówił w języku szona równie dobrze jak po angielsku, czuł się nad wyraz swobodnie w ich domu, przez który przepływał niekończący się strumień przyjaciół i krewnych. Mukiwa - tak, ale taki, dla którego nie istniały różnice między nim i nimi. Patience nie wiedziała, co o nim myśleć, tymczasem Mat zupełnie uległ jego urokowi. Niezależnie od powodu widać było gołym okiem, że Simon Carter potrzebuje opieki - Patience szokował fakt, że rodzice tak go zaniedbują. Zdarzały się tygodnie i miesiące, kiedy jadł tylko to, co ona mu dała. Przyzwyczaiła się do widoku tego chłopca, przemykającego po zatłoczonych ulicach miasta po szkole, w mundurku pocerowanym w miejscach, które ona pozszywała, nieświadomego, że dzieci, z którymi chodził do szkoły, nie miały nawet pojęcia, gdzie jest Mkwesine, getto czarnych w Chiredzi. W tamtych dniach praktycznie mieszkał w Mkwesine. Bez Patience i Mata chłopak by głodował.

W ciągu kilku następnych lat, wbrew wszelkim przeciwnościom, stali się z Matem nierozłączni. Kiedy nasilała się wojna o niepodległość, z dnia na dzień coraz bardziej krwawa, Mat i Simon zamknęli się po prostu w swoim świecie, gdzie „ta” kwestia - która rozdzierała kraj - nie miała znaczenia, nawet nie istniała. Stali się braćmi, bez względu na to, że jeden był biały, a drugi czarny. Kiedy nadeszła niepodległość i Rodezja w końcu zniknęła z powierzchni ziemi, Carterowie, nie mogąc się zwrócić przeciwko czarnym, rzucili się na siebie nawzajem. Czternastoletni Simon był w Mkwesine, gdy telegrafem nadeszła ta wiadomość. Kolejna tragedia wśród białych - tylko tym razem rolnik zabił najpierw żonę i psy, a potem strzelił do siebie. Gdyby Simon tam był, umarłby razem z nimi. Zdarzało się tak już wcześniej.

Nikt nie wiedział, co zrobić z czternastolatkiem, który - choć to niewiarygodne - mieszkał z Ndavami przez ostatnie pięć lat. Nie miał żadnych żyjących krewnych. Żaden z pozostałych białych farmerów go nie chciał - mieli złe doświadczenia z jego rodzicami i tak dalej, niemniej

206

* ■

wszyscy byli zaniepokojeni. Pani Blake z farmy Creswell po drugiej stronie doliny zaproponowała bez przekonania, że go przygarnie, ale odrzucił jej propozycję. Czuł się dobrze tam, gdzie przebywał. Co więcej można zatem było zrobić? Gordon Ndava płacił za niego chesne w maleńkiej szkole tylko dla białych w Chiredzi i posłał do niej również Mata, bo teraz było to już możliwe. W następnym roku wysłał obu do szkoły z internatem w Harare. Kiedy mieli po szesnaście lat, podjął trudną decyzję o umieszczeniu ich obu w szkole z internatem w Anglii. Mimo że ZANU, Front Patriotyczny, nagradzał tych, którzy pomagali mu w walce, Gordon, doskonały strateg, stał się nieufny. Przeszłość Zimbabwe to jedno długie pasmo krwawych sporów o władzę, a on nie miał powodów, by wierzyć, że w przyszłości się to zmieni. Już wtedy robił plany na różne ewentualności. Gordon był z

plemienia Szona, jego żona pochodziła z plemienia Ndebele. Żadne z nich nie chciało mieszkać w miejscu, gdzie mogli być zmuszeni do zwrócenia się przeciwko sobie. W rok po wyjeździe chłopców do Lancing College reszta rodziny przeprowadziła się do Londynu. Jako zaradny człowiek interesu z kontaktami w całym regionie, Gordon szybko zaczął pomnażać majątek. Kiedy Mat i Simon podjęli studia, rodzina Ndava zamieszkała już w dużym i wygodnym domu w Hampstead. Ernestine i Adele, dwie młodsze dziewczynki, uczyły się w Bedales. Mat, bystrzejszy z ich dwójki, poszedł do Cambridge studiować historię, Simon zrobił dyplom z geologii w Imperial College. „To moi dwaj synowie” - lubił mówić Gordon swoim gościom, gdy natykali się na Mata i Simona, którzy byli akurat w domu na święta albo -zwykle w przypadku Simona - gdy podrzucali rzeczy do prania. Wielkie oczy gości sprawiały mu przyjemność, podobnie jak wyraz zaskoczenia na twarzach, czasem nawet podejrzliwości... „Nie, naprawdę?”. Czy ci dwaj młodzieńcy byli gejami? Nie, nie... Gordona bawiła ich dezorientacja. Wyjaśniał, o co chodzi. Natychmiast następowały przeprosiny, podziw zmieszany z zadziwieniem - czasem również i zawiść. „Co za wspaniała historia!”.

Gordon był rzetelnym człowiekiem.

- Jak wiesz - powiedział Simonowi na samym początku, po śmierci jego rodziców - nie mamy w języku szona określeń na przyrodniego

207

brata albo wychowanka ani niczego takiego. Od teraz jesteś moim synem. To wszystko. Odbyło się to, jak mówią, po afrykańsku.

Zaśniecie zabrało Matowi trochę czasu. Ciche chrapanie po drugiej stronie pokoju uświadomiło mu, że Simon nie miał takich problemów - spał, zanim głową dotknął poduszki. Ale nie Mat. Leżał ponad godzinę i nie potrafił się domyślić, co było nie tak. Coś go niepokoiło. Simon wydawał się podenerwowany, a nie zmęczony. Wyraz jego twarzy, kiedy myślał, że nikt na niego nie patrzy, nie wskazywał na wyczerpanie. W zielono-brązowych oczach widać było czujność, jakiej Mat nie zauważył u niego od bardzo dawna. Coś było nie tak. Znał Simona lepiej niż ktokolwiek, czasem nawet lepiej, niż on znał samego siebie. Martwił się, że coś jest źle, a on nie wiedział, w czym i jak mógłby pomóc. Leżał z otwartymi oczami, bardzo tym przejęty, i wsłuchiwał się we własny oddech, chrapanie Simona i odgłosy Manhattanu osiem piętér niżej.

Nazajutrz rano nie mieli czasu na rozmowę. Obaj obudzili się późno, szybko wzięli prysznic i razem wyszli z mieszkania.

- Zadzwoń za kilka dni! - krzyknął Simon, biegnąc do metra, z marynarskim workiem kołyszącym mu się na plecach. Odwrócił się w ostatniej chwili, uśmiechnął do Mata krótko, jakoś żałośnie, i zniknął, wchłonięty przez tłum zmierzający do zejścia na stację. Mat pokręcił głową. Tak, coś zdecydowanie nie grało. Wciągnął dolną wargę do ust i zamyślił się. Simon na pewno powie mu, o co chodziło, kiedy będzie na to gotowy. Na razie pozostawało mu jedynie czekanie. Wstąpił do kawiarni na rogu i jak zwykle kupił podwójne espresso. Bardzo tego potrzebował.

- Cześć, Mat. - Recepcjonistka uśmiechnęła się do niego, kiedy szedł przez lobby następnego ranka.

- Och, cześć, Mat - powiedziała osobista asystentka Gladstone'a.

- Witaj, Mat, jak leci? - To Monica, radca prawny.

- Siema, brachu! - To z kolei Derrick, stażysta po Harvardzie, który z nieznanym Matowi powodów uparł się, żeby przy każdym spotkaniu z nim mówić slangiem.

208

- Och, dzień dobry, panie Ndava - powiedziała entuzjastycznie blondynka, której imienia nie potrafił zapamiętać, obsługująca kserokopiarkę. - Jak się pan miewa?

Uśmiechał się do wszystkich w odpowiedzi. Zanim doszedł do swojego pokoju, skinął głową, uśmiechnął się i pozdrowił co najmniej dwadzieścia osób - poza Derrickiem przybił jeszcze piątkę kilku facetom. Zamknął za sobą drzwi i westchnął. Simon powiedział mu kiedyś, gdy narzekał na liczbę ludzi, dla których musiał być zawsze miły rankiem po przyjściu do pracy, niezależnie od tego, jak bardzo był zmęczony lub poirytowany: „Niełatwo być ulubieńcem wszystkich”. Skrzywił się. Cóż, tylko w jeden sposób mógł na to reagować.

Podszedł do biurka, nieodmiennie co rano oszołomiony widokiem za oknem. Był na pięćdziesiątym czwartym piętrze wieżowca przy West Barclay 1600, kilka przecznic od World Trade Center, i patrzył na ratusz miejski, który z tej wysokości wydawał się maleńki, skarlały przy tytanach przemysłu i finansów pnących się wokół niego w górę. Stał przed panoramicznym oknem i wpatrywał się, zafascynowany, w rozwiewające się pasma porannej mgły nad Manhattanem. Chmury znajdowały się pod nim, unosiły się mniej więcej na wysokości trzydziestego piętra. Dziwnie się czuł, zamknięty w pułapce pomiędzy dywanem wątlej, przerzedzającej się mgły poniżej i błękitną kopułą nieba powyżej. Manhattan. Jakże on to lubił!

Odwrócił się od okna i spojrzał na biurko. Także i je pokrywał dywan, ale papierów. Notatki, listy, sprawozdania, wydruki, wiadomości na kartkach samoprzylepnych, oddarte kawałki papieru, fragmenty kopert, wydarte z gazet artykuły, które chciał przeczytać, brudnopisy jego bieżących tematów, ostatnie korekty. Ludzie, którzy tu wpadali, wychodzili oszołomieni chaosem, zastanawiając się, jak, do licha, można tego - co prawda wyjątkowo przystojnego i charyzmatycznego - człowieka nazywać nową twarzą afrykańskiego reportażu.

Usiadł i włączył komputer. Nikt się w tym nie zorientował, ale w jego szaleństwie była oczywiście metoda i porządek w chaosie. W wieku trzydziestu jeden lat Mat Ndava zbliżał się miarowo do końca swojej gry. Opuścił Cambridge z dyplomem z historii obronionym na celująco. Pracował krótko jako konsultant do spraw zarządzania w wielkim banku, a potem wbrew oczekiwaniom wszystkich zmienił zupełnie branżę

209

i zajął się dziennikarstwem. Zawsze chciał pisać - wakacyjne bezpłatne praktyki w „African Economist”, nowo wydawanym magazynie poświęconym finansom z redakcją tuż obok Northumberland Avenue w Londynie, teraz procentowały. Jego współpraca z redaktorem naczelnym, cholerycznym Marokańczykiem o imieniu Philippe, układała się wtedy bardzo dobrze. Udoskonalił warsztat, poznał tajniki fachu, a potem przeniósł się do „Financial Times”, gdzie zyskał rozgłos dzięki ostremu, przenikliwemu dziennikarstwu i zdolności docierania do podskórnych faktów. Przypadkowe spotkanie z Robertem Barronem, kanadyjskim potentatem w mass mediach, zapewniło mu na rok pracę w Toronto. Ściągnął go stamtąd „World Economic Digest”, jego obecny pracodawca. Po dziesięciu latach od skończenia Cambridge robił to, do czego -jego zdaniem - się urodził. Jak wielu ludzi może powiedzieć o sobie coś takiego - zastanawiał się niedawno w głębi ducha. Kochał swoją pracę, kochał Nowy Jork. Doskonale pamiętał swój pierwszy dzień w WED*, jak pieszczotliwie nazywano ten magazyn. Chuck Lauer, jego nowy szef, powiedział mu wtedy coś, czego nigdy nie zapomniał: „Witaj na Manhattanie. Będiesz musiał znaleźć trzy rzeczy: mieszkanie, siłownię i kilka dobrych restauracji blisko domu. Piekarnik na Manhattanie to dodatkowa szafka”. Zrozumiał dokładnie, co Chuck miał na myśli. Przyjechał tu do pracy. Przeczytał szybko artykuł, nad którym pracował, sprawdzając jego rytm i ton.

„Rynek akcji dla bogatych i znudzonych. Czy w przypadku tych ostatnich akcje wysokiego ryzyka równają się wysokim zyskom? Oto krótki sprawdzian, na ile jesteście na bieżąco ze światowym rynkiem. Zgadujcie. W jakim rejonie przez ostatnie cztery lata giełdy najlepiej

działały? W Azji z jej tygrysami i Chinami powoli wychodzącymi z komunizmu? W Ameryce Południowej nagle znowu zrobiło się sexy? Niezupełnie. Poprawna odpowiedź brzmi: w Afryce. Jeśli chcielibyście mieć 109 procent zysku na dolarze amerykańskim przez pierwsze osiem miesięcy roku, powinniście zainwestować w Malawi. Jeśli macie dość odwagi, tam właśnie są giełdy, gdzie można sporo zarobić - a nawet jeś-

* Wed oznacza po angielsku: pobrać się, ściśle połączyć (przyp. tłum.). 210

li stracie ostatnią koszulę, będziecie mieli już na zawsze kapitalny temat do rozmowy na przyjęciach".

Postukał w zamyśleniu długopisem o zęby. Nieźle. Ale potrzebował czegoś innego, czegoś mocniejszego w wydźwięku. Zaczął gorączkowo uderzać w klawisze klawiatury.

49

Leonie Frith, pięćdziesięcioparoletnia, niesłuchanie sprawna kierowniczką redakcji w WED, podniosła wzrok, gdy przed jej biurkiem przechodziła grupa młodych dziennikarzy, zmierzających bez wątpienia na jedno z niechlubnych piątkowych pijaństw w barze Sky na dziewięćdziesiątym piątym piętrze. Zauważyła, że nie było z nimi Mata.

Poczekala, aż młodzi w końcu wyszli, hałaśliwie przedtem ubierając się w płaszcze i kurtki, po czym poszła do pokoju Mata. Siedział tyłem do niej, wpatrywał się w coś, co właśnie napisał, i nie usłyszał jej kroków.

- Nie idziesz z nimi? - zapytała, unosząc brwi na widok niezwykle bałaganu na jego biurku.

- Poszedłbym, ale pod warunkiem, że ty poszłabyś ze mną - odpowiedział, nie odwracając się.

- Och, jestem za stara na takie balety - powiedziała poważnie, usta jej zadrżały.

- Na czym niby ten balet miałby polegać, Frith? - zapytał, obracając się ku niej.

- Na pójsiu z tobą. Zresztą do rzeczy, czy będziesz potrzebował czegoś jeszcze dziś wieczorem? Bo mam zamiar zamykać.

- Nie, dzięki, Frith. Przyjemnego weekendu.

- Wzajemnie.

Wróciła do swojego biurka, zdjęła z wieszaka w rogu płaszcz i szalik, włożyła rękawiczki.

Popatrzyła na nie przez moment. Były z cielęcej skóry, burgundowe, w kolorze, jaki zawsze się jej podobał. Wzruszyła się, kiedy je od niego dostała, choć on nigdy się o tym nie dowiedział. Spojrzała wtedy na pięknie opakowane pudełko.

211

- O rany! Gdybym była dwadzieścia lat młodsza - powiedziała, kiwając przy tym do niego głową.

Nie został jej dłużny.

- Kurczę. Wtedy oboje wpadlibyśmy w tarapaty.

Zupełnie zbił ją tym z tropu. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wymamrotała coś w rodzaju „dziękuję, to miłe z twojej strony” lub inny podobny nonsens, a kiedy była pewna, że nikt na nią nie patrzy, poszła do łazienki i trochę sobie popłakała. Miała pięćdziesiąt jeden lat.

Samotna i bezdzietna. Życie nie ułożyło się jej tak, jak tego oczekiwała - a zresztą komu udało się ta sztuka? W wieku dwudziestu paru lat przyjechała do Stanów za kochankiem - jedynie po to, by się przekonać, że był żonaty i nie miał zamiaru odchodzić od żony, niemniej chciał, aby została. No więc została. Zaczęła pracować, zamieszkała w niewielkim lokum na Manhattanie, a on jeździł na weekendy do domu w New Jersey. Ten układ trwał przez piętnaście lat. A potem on zupełnie nieoczekiwanie umarł na atak serca. Do tego czasu już tak długo mieszkała w Nowym Jorku, że powrót do rodzinnego Battersea, gdzie się wychowała, wydawał się jej zbyt dużą zmianą, i dlatego postanowiła nie wyjeżdżać. Znalazła pracę w WED i powoli pięła się po szczeblach kariery, aż stała się jedną z najważniejszych osób w

administracji firmy. Przed pięciu laty powierzono jej zarządzanie redakcją i wtedy poznała Mata.

Początkowo miała wobec niego wątpliwości. Miał dwadzieścia sześć lat, dyplom Cambridge, znał trzy języki, miał doskonałe referencje z „Financial Times” i najpiękniejsze ciało, jakie widziała u mężczyzny -młodego czy starego. W chwili gdy przekroczył próg, rozpoznała, do jakiego typu należał. Pan Szycha. Człowiek sukcesu. Młodszy od niej o dwadzieścia jeden lat. Mógłby być jej synem. Początki ich znajomości nie należały do najłatwiejszych. Była wobec niego lodowata i nawet zbyt przeczulona na jego punkcie. On z kolei zachowywał się nieufnie. Trochę konsternował ją fakt, że był czarny, ale prawdę mówiąc, po kilku minutach od poznania go nie zwracało się na to uwagi. W każdym razie nie więcej niż na czyjeś zielone oczy. Albo włosy blond. A on nie miał ani jednego, ani drugiego. Miał natomiast, gdy już się z kimś oswoił, nienaganne maniere, powolny, szczerzy uśmiech, który nie pojawiał się często, i spokój oraz cierpliwość w przeczekiwaniu każdej burzy, niezależnie od jej nasilenia, co bardzo się Frith podobało. Oboje byli tak

212

jakby Anglikami. W każdym razie on rozumiał ją lepiej od wielu Amerykanów, którzy tego nie potrafili albo nie chcieli. Nie miało to nic wspólnego z językiem, choć z tego powodu dochodziło czasem do zamieszania. Nie, chodziło o inne sprawy, te pozasłowne... dziwny śmiech z jakiegoś powodu, gest... intonację jego głosu i zdarzający się czasami pełen rezerwy, bardzo dyskretny sposób patrzenia na rzeczy. Nigdy by nie przypuszczała, że wszystko tak, a nie inaczej się między nimi ułoży.

Kiedy pracowali razem od pół roku, miała wrażenie, że tak było od zawsze. Po roku współpracy - choć prędzej by umarła, niż się do tego przyznała - Leonie Frith, wtedy czterdziestoosmioletnia, atrakcyjna, choć z wyglądu surowa i o nienaganych manierach, była odrobinę zakochana w panu Ndavie. Ale to było cztery lata temu. Pokręciła głową ze złością. W miłosnym zaślepieniu stawała się głupia i sentymentalna. Uśmiechnęła się do siebie. Ale, niech to szlag trafi, on był straszliwie miły.

50

- Gdzie, do kurwy nędzy - zapytał Rowland, wyrzucając z siebie słowa przez naciśnięte zęby - jest realizator dźwięku?

Nikt nie odezwał się słowem. Było w pół do dziesiątej w piątek wieczorem i sześcioro ludzi, w tym Caryn, stojących w koło przebywało tam od dziewiątej rano. Wszyscy byli zmęczeni i zdenerwowani. Żadne z nich nie było jednak tak zmęczone i zdenerwowane jak Rowland.

- Posłuchaj - niespodziewanie odezwała się asystentka producenta. - Może po prostu zadzwonimy w poniedziałek rano do Anity Godwin i wyjaśnimy jej, że demo się opóźni. W poniedziałek jakoś to uporządkujemy...

- Nie zadzwonimy do Anity Godwin w poniedziałek rano i nie będziemy jej wyjaśniać, że demo się opóźni, bo nie będzie żadnego opóźnienia - powiedział Rowland powoli i sarkastycznie. - Ale jeśli chcesz iść do domu, kochana, to nie ociągaj się, droga wolna. Ale nie zwracaj sobie głowy powrotem. - Twarz producenta stała się purpurowa.

213

- Gdzie mieszka realizator dźwięku? - spytała nagle Caryn.

- W Bermondsey - odpowiedział ktoś ponuro.

- No to może tam pojedę i sprawdzę, czy jest w domu? - powiedziała Caryn, staranie unikając patrzenia na Rowlanda. - No bo przecież w którymś momencie musi wrócić do domu. Nawet jeśli to piątkowy wieczór.

- Co, teraz? - odezwał się Mark, jeden ze scenarzystów, i popatrzył na nią.

- Dlaczego nie? Tu jestem najmniej potrzebną osobą - odpowiedziała Caryn rzeczowym tonem. - Czy tu będę, czy nie, dla was to żadna różnica. Równie dobrze mogę pojechać do niego i poczekać. Jak tylko da mi taśmę, to ją przywiozę.

Przez chwilę panowało milczenie. Wszyscy popatrywali na siebie nerwowo, a potem spojrzeli na tył głowy Rowlanda. Ten podniósł wzrok.

- Tak. W porządku. To naj sensowniej sza propozycja, jaką słyszałem dzisiejszego wieczoru. Weź trochę gotówki z biurka Charlie.

- Wróć tak szybko, jak się da - powiedziała Caryn, wychodząc po płaszcz. W duchu cieszyła się z opuszczenia tego miejsca. Od chwili, gdy Rowland odkrył, że dźwiękowiec, wynajęty do filmu dokumentalnego, jaki mieli dostarczyć w przyszłym tygodniu dla Channel Four, wyszedł z taśmą w torbie - jedyną taśmą audio całego dwugodzinnego filmu, panowała tu napięta atmosfera. Od tamtej pory czekali na jakąkolwiek wiadomość od niego.

Wzięła dwadzieścia funtów, złapała płaszcz i biegła po schodach. Na szczęście wiedziała, gdzie przy Kingsland Road był postój taxi. Pięć minut później siedziała z tyłu taksówki i pędziła w kierunku Bermondsey. Popatrzyła na adres, który dostała. George Row tuż obok Jamaica Road. Oparła się wygodnie i westchnęła. W przeciwieństwie do tego, co początkowo myślała, istniała jednak ogromna różnica między pracą osobistej asystentki w City lub Soho a pracą dla Rowlanda Keane'a. Godziny. Całe ich mnóstwo. Po godzinach, przed formalnym początkiem dnia... ciągle. Ale to było ekscytujące. Uwielbiała przyglądać się układaniu w całość produkcji filmu mimo - a może właśnie dlatego - wielu niewiadomych i stresu. W dwa krótkie miesiące nauczyła się mnóstwa rzeczy o tym procesie, choć nigdy tak naprawdę nie proszono jej o ro-

214

bie nie czegoś poza pisaniem na komputerze, archiwizowaniem, odbieraniem telefonów i parzeniem kawy. Tego wieczoru po raz pierwszy miała zadanie inne niż zwykle - i sama je zaproponowała. Och, cóż. Było to lepsze niż stanie i patrzenie, jak twarz Rowlanda czerwienieje coraz bardziej, a jego złość narasta z minuty na minutę. Bo ta produkcja była szalenie ważna. Słyszała wcześniej, jak ktoś powiedział, że Anita Godwin daje tylko jedną szansę. O jeden powód więcej, żeby przywiozła taśmę do studia, nawet gdyby miała czekać na ulicy przez całą noc.

George Row okazało się ulicą z rzędem ładnych zabytkowych domów. Zadzwoiła do drzwi pod numerem trzydziestym ósmym i czekała. W domu panowała ciemność, najwyraźniej nikogo w nim nie było. Spojrzała na ulicę. Na rogu spostrzegła pub. Zawahała się. Szanse miała niewielkie... bo chyba go tam nie było. Zresztą kto wie? Zacisnęła mocniej pasek na płaszczu, poprosiła taksówkarza, żeby jeszcze na nią czekał, i szybko tam poszła.

Wnętrze było zadymione i strasznie gwarne, ale niezbyt zatłoczone. To bez wątpienia był pub dla okolicznych mieszkańców. Pochyliła się nad barem i zwróciła na siebie uwagę barmana.

- Szukam faceta o nazwisku John Hastings - odezwała się, przekrzykując grającą szafę.

- Mieszka w pobliżu. Czy zna go pan, a może tu jest?

- Kto?

- John. John Hastings.

- Och, John. Jasne, siedzi tam. Przy oknie. Facet w zielonej skórzanej kurtce.

Caryn miała ochotę go ucałować. Pobiegnęła we wskazane miejsce.

Kwadrans później była z powrotem w taksówce i pędziła do firmy z trzema kompletami taśm w torbie. Po drodze mijali sklep z alkoholem. Powodowana impulsem, poprosiła taksówkarza, żeby się zatrzymał, i wysiadła. Wybiegła ze sklepu z dwoma butelkami czerwonego wina i ruszyli dalej do Shoreditch.

- Wróciła! - zawołał Mark, podnosząc wzrok, gdy stanęła w drzwiach. -I ma te pierdolone taśmy!

Grupa otaczająca Rowlanda zaczęła pokrzykiwać z ożywieniem.

215

- I ma wino! - Becky, jedna z dziewczyn zbierających materiały, krzyknęła podekscytowana.
- Jesteś gwiazdą wieczoru! - powiedział ktoś inny, odbierając od niej taśmę z pełnym nabożeństwem. - Był w domu? Od twojego wyjścia dzwonił do niego co pięć minut, ale ciągle nie odbierał.
- No, bo nie było go w domu. Siedział w pubie - odpowiedziała Caryn, uśmiechając się.
- Jakim pubie? - zapytał Rowland, nie podnosząc wzroku.
- Na końcu jego ulicy jest pub. Zajrzałam tam na wszelki wypadek.
- Szybko kombinujesz, Dziewczyno Piątku - wymamrotał Rowland, wsuwając taśmę do konsoli montażowej. - Niech ktoś da jej kieliszek wina. Zasłużyła na nie jak cholera. Caryn poczuła, jak ogarnia ją ciepła fala satysfakcji. Wzięła kieliszek od Marka, który z podziwem trzymał butelkę.
- Dobry wybór, dobry pomysł. Na wskroś dobra kobitka - powiedział, śmiejąc się. Atmosfera zmieniła się radykalnie. Skończyli montaż, wypili wino i umówili się, że w następny piątek pójną gdzieś razem, by uczcić koniec produkcji.
- Koło siódmej, pasuje ci, Caryn?! - zawołał ktoś, gdy wkładali płaszcze. - W przyszłym tygodniu?
- Komu? Mnie? - Caryn podniosła wzrok. Czyżby prosili ją, żeby z nimi poszła?
- Tak. Może być siódma? Wybieramy się do Cantaloupe.
- Tak - odpowiedziała szczęśliwa. - Tak, brzmi wspaniale.
- Super. No to do zobaczenia w poniedziałek.
- Tak. Do zobaczenia w poniedziałek. - Obróciła się, żeby wziąć torebkę, nadal uśmiechnięta, gdy spostrzegła Rowlanda stojącego w drzwiach swojego gabinetu z kluczami w ręku.
- Podwiozę cię - powiedział, zarzucając na siebie kurtkę. - Przynajmniej tyle mogę zrobić. Gdzie mieszkasz?

Serce Caryn zamarło. Nie mogła w żaden sposób zdradzić się przed Rowlandem, gdzie mieszkała.

- Och, nie... proszę, nie rób sobie kłopotu - powiedziała szybko. - To niedaleko stąd. Mogę spokojnie wziąć taksówkę.

- Gdzie mieszkasz? - powtórzył, ignorując jej protest.

216

i

- To Milton Gardens - odpowiedziała z wahaniem, mając nadzieję, że nie będzie wiedział, gdzie to jest. Nie wiedział. - W pobliżu Kings-land Road. - Zawsze mogła poprosić, by wysadził ją na rogu. Prędzej by umarła, niż pozwoliła, żeby zobaczył jej osiedle.

- No to idziemy, zabierz swoje rzeczy. Jest druga nad ranem. Aż mi się wierzyć nie chce, że byliśmy tu cały dzień.

Wzięła płaszcz, torebkę i poszła za nim do drzwi. Po schodach zeszli w milczeniu. Samochód Rowlanda, wypasione srebrne audi, stał zaparkowany przed budynkiem.

- Posłuchaj, na pewno chcesz mnie podwieźć do domu? Mogę wziąć taksówkę.
- Wsiadaj po prostu do samochodu, Caryn, dobrze?
- Która to? - zapytał, skręcając w Nuttall Street.

Na szczęście w chwili, gdy wsiedli do wozu, włączył muzykę z płyty, dzięki czemu nie musiała silić się na rozmowę. Była to przepiękna, porywająca melodia i kiedy dojechali do pierwszych bloków, Caryn znalazła się już w zupełnie innym świecie. Przez pracę do późna, szaleńczą jazdę przez pół miasta taksówką, wino i podwózkę do domu czuła się kompletnie zdezorientowana.

Wskazała niezbyt precyzyjnie w kierunku bloków.

- Tutaj - powiedziała, biorąc torebkę.
 - Tak, ale który blok? Nie mam zamiaru wypuszczać cię na rogu ulicy. Nie o tej porze.
 - O, tam. - Wskazała na toporne bryły Milton Gardens. Nie powiedział słowa komentariusza, gdy podjechali łukiem pod jej dom.
 - Stąd już mam blisko - powiedziała, świadoma, że się zaczerwieniła. - Dzięki za podwiezienie.
 - Dobranoc, Caryn. Zaczekam, aż wejdiesz do środka.
 - Och, nie... nie, nie musisz czekać. Jest późno i...
 - Jezu, kobieto. Pójdiesz wreszcie? Jesteś najbardziej upartym stworzeniem... - Pokręcił głową. - No, idź już.
- Odeszła od samochodu, przeklinając w duchu samą siebie za brak taktu. Pchnęła frontowe drzwi i obejrzała się. Nadal tam czekał. Pomachała mu szybko i weszła na klatkę schodową. Jak zwykle winda była zepsuta.

217

51

Przy drzwiach rozległo się kasznięcie. Tory spojrzała. Ojciec stał na progu, miał dziwny wyraz twarzy, a w rękę trzymał skoroszyt, który mu dała. Przełknęła ślinę. Ojciec odchrząknął i wszedł do pokoju. Przez chwilę wpatrywali się w siebie nawzajem. Serce biło Tory tak mocno, że aż bolało. Położył skoroszyt na biurku obok stosów arkuszy kalkulacyjnych, folderów, artykułów wyrwanych z magazynów i chaotycznie zapisanych kartek A4, nad którymi pracowała przez ostatnie dwa tygodnie.

- Myślę - powiedział niepewnie, nie spuszczać wzroku z jej twarzy - że to jest kapitalne.

Poczuła falę ulgi. Dziękowała Bogu, że akurat siedziała. Spojrzała w dół na arkusz, na którym robiła obliczenia.

- Naprawdę? Nie mówisz tego, żeby zrobić mi przyjemność?
- Nie, kochanie. Nie znam się zupełnie na kwiatkach - wiem jedynie, że ładnie wyglądają i czasem też ładnie pachną - ale mam sporą wiedzę z historii, a ty odkryłaś kilka interesujących faktów. - Usiadł na brzegu łóżka. Tory wpatrywała się w niego. Minęło bardzo dużo czasu od dnia, kiedy słyszała w jego głosie tyle entuzjazmu. - Posłuchaj - mówił dalej, rozkładając arkusze ze skoroszytu. Pokrywało je precyzyjne, drobne pismo ojca. Robił na nich notatki. Poczuła nagły przypływ uczuć. - Przyjrzałem się temu dokładniej - powiedział skromnie, wyciągając następną kartkę, również pokrytą notatkami. - Tulipany. Czy wiesz - zapytał, pukając palcem w papier - że były właściwie pierwszą formą spekulacji kapitałowych? Wątpię, żeby zachęciło to przeciętnego klienta do kupienia ich bukietu, ale poznałem fascynujące szczegóły dotyczące wagi i rozmiarów cebulek, nie mówiąc już o technikach krzyżowania gatunków, opracowanych na początku siedemnastego wieku... - Ton jego głosu świadczył o pewności siebie, był mocny jak u wykładowcy przedstawiającego dobrze mu znany temat. Tory odchyliła się na krześle i łowiła jego słowa. Od śmierci Susie nie słyszała, żeby tak mówił.

*

218

Trzy tygodnie później stała w drzwiach niewielkiego sklepu przy Margaret Street, wąskiej uliczce biegnącej równoległe do Oxford Street w jej północnej części. Mały i bardzo zapuszczony, wymagał ogromnej wyobraźni, żeby zmienić go w miejsce, o jakim marzyła przez ostatnie pół roku, ale lokalizacja była wyśmienita, a cena jeszcze lepsza. Sześć tysięcy funtów rocznie. Tryskający entuzjazmem pośredniczący agent niecierpliwie czekał na dobiecie interesu. Właściciel mieszkał w Australii i nic nie wskazywało, żeby w najbliższej przyszłości wrócił do Anglii - więc jeśli chcieli, sklep był do wzięcia. Tory przeraziła się. Czynnosc za dwa

lata płatny z góry plus koszty remontu - w wieku dwudziestu pięciu lat musiała wziąć dwadzieścia kilka tysięcy funtów kredytu. Ta myśl była jak kubek zimnej wody. Ojciec zaś okazywał zaskakujący spokój. To duża suma, tak, to prawda... ale od czego miała rodziców? Jeśli on i Tory zostaną współnikami w tym przedsięwzięciu, wtedy zgodnie z umową ona wniesie swoją wiedzę o kwiatach i będzie kierowała interesem, on zaś będzie odpowiadał za poszukiwania historyczne - i finanse. Był równie podekscytowany jak ona. Matka, co było w pewnym stopniu do przewidzenia, trochę mniej, ale Tory już na tym nie zależało. Mieli zamiar to zrobić! Naprawdę mieli zamiar to zrobić!

Umowa najmu została podpisana 23 października i wtedy wręczono jej klucze. Żeby to uczcić, następnego wieczoru urządzili w brudnym pomieszczeniu niewielkie przyjęcie, na które ona zaprosiła Nik i Caryn, a ojciec kilku kolegów z uniwersytetu z żonami. Niektórzy nie ukrywali, że ich zdaniem przyjaciel oszalał. Wśród uczonych było jednak też kilku takich, których Tory w mniejszym lub większym stopniu знаła przez całe życie, a teraz podchodzili do niej, ściskali jej rękę z wyrazem twarzy podejrzenia bliskim zawiści i życzyli im powodzenia. Na chwilę zapadło milczenie, gdy John uniósł kieliszek i poprosił wszystkich, by zrobili to samo, żeby uczcić pamięć Susie. Wspaniałej córki - jak powiedział coraz bardziej zachrypniętym głosem - o której nadal myślał każdego dnia. Jedna czy dwie panie wydmuchały nosy, ktoś stłumił spazm płaczu. Ale był to jednocześnie toast za Tory, jego drugą wspaniałą córkę, która postąpiła słusznie i uratowała go z labiryntu średniowiecznej historii oraz pokazała drogę do pożytecznego wykorzystania posiadanej przez niego wiedzy. Uśmiechnął się do wszystkich.

219

- Racja, racja - powiedział ktoś cicho, a chwilę potem zapadło milczenie.

- Za Tory i jej kwiatowe historie! - mówił dalej John, wznosząc kieliszek.

Dziewczyna uśmiechnęła się przez łzy.

Kilka tygodni później pomyślała ze smutkiem, że był to tylko miły początek. Prawdziwa praca dopiero się zaczęła. Oparła na chwilę dłonie na rurze odkurzacza i rozejrzała się wokół. Trzy tygodnie zamiatania, zdzierania, łamania, zrywania... a to miejsce nadal wyglądało jak porzucony plac budowy. Sklep składał się z trzech pomieszczeń: większego na piętrze z wyjściem na ulicę i dwóch mniejszych na dole - biura i magazynu oraz niewielkiej łazienki na końcu wąskiego korytarza. Ze sklepu było też wyjście na małe podwórze, idealne dla roślin latem. To, co najważniejsze, tu było, i tylko to miało znaczenie. Wszystko należało wyrzucić i przebudować niemal od początku. Ściany wymagały skrobienia i położenia nowego tynku, wszędzie trzeba było wymienić instalację elektryczną. Podłogi musiały być wycyklinowane, a podwórze domagało się praktycznie nowego wybrukowania. Wynajęta przez nią ekipa budowlana zrywała wszystko metr po metrze, a potem remontowała metr po metrze.

Pod koniec listopada wszyscy gorączkowo pracowali. Każdy dzień przed otwarciem Kwiatowych Historii oznaczał stratę dochodów. Nawet matka zakasała rękawy. Zbliżało się Boże Narodzenie. Tory rozpaczliwie zależało, żeby otworzyć kwaciarnię na tydzień przed świętami. Gdy ekipa budowlana była zajęta remontem, John Spiller zaszył się w piwnicy uniwersyteckiej biblioteki. Przypominał psa, który podchwycił trop, żaden ślad nie wydawał się zbyt nikły albo za bardzo trywialny. Każdego wieczoru zostawiał notatki dla Tory, które sam starannie wklepywał w komputer. Ona zaś powoli przyzwyczajała się, że schodząc każdego ranka na śniadanie, znajdowała kartkę A4, na której wypisał ostatnie odkrycia. „Różnobarwność tulipanów, tych z kontrastowymi plamami, czerwonymi lub purpurowymi na białym tle albo tych, których układ koloru przypomina cienkie piórko lub płomień, biegnący symetrycznie środ-

220

kiem każdego płatka i wokół jego krawędzi, jest właściwie skutkiem wirusowego ich zainfekowania, które jednocześnie osłabiało rośliny i zmniejszało liczbę rozłóg. Zakażony

kwiat uznawano za »złamany« i nie sposób było ustalić, czy albo kiedy któryś z nich się złamie. Ale to tylko zwiększało jego wartość. W czasie najwyższego nasilenia »tulipanowej gorączki« większość transakcji nie dokonywała się poprzez wymianę towarów, stając się przez to czysto spekulacyjna. Wszystko miało pieniężną wartość. I tak każdy mógł wymienić walutę na cokolwiek, w tym na cebulki. Drugiego lutego 1637 roku, kiedy nie znalazł się jakiś większy głupiec, który kupiłby ostatnią partię tulipanów, rynek się załamał. Holenderski kupiec, który zastawił swój dom, lamentował: »To było szaleństwo!«.

Tory niemal roześmiała się na głos. Jak miała zmieścić to wszystko na niewielkich zielonych i złotych kartonikach, zaprojektowanych wspólnie z grafikiem, które miały być dołączane do bukietów? Trafiły się też inne, bardziej ezoteryczne informacje: „W średniowiecznej Anglii bukiety panny młodej były początkowo robione z ziół i główek czosnku. Różne zioła miały różne znaczenie. Koperek uznawano za symbol pożądania. Jeśli panna młoda niosła go w bukietcie z główek czosnku, oznaczało to, że pożąda jedynie swojego męża”.

Tory niespodziewanie wstrzymała oddech, gdy to czytała. Powoli zrozumiała, że od bardzo dawna nawet nie pomyślała o Thierryem.

*

Gdy Piotr zaczął już wydawać polecenia głosem pełnym groźby, w cudowny sposób nowy sklep nabierał wyglądu. W połowie grudnia, kiedy zostało zaledwie dziesięć dni do świąt, Tory stanęła pośrodku podłogi i rozejrzała się wokół z zadowoleniem. Tylną ścianę postanowili zostawić nieotylną, żeby widać było stare cegły, resztę ścian zaś pokryły gładkie gipsowe płyty w kolorze złamanej bieli. Przemiana okazała się magiczna. Światło odbijało się od białych ścian i rozjaśniało ponure wnętrze. Jedna ze ścian została pomalowana na delikatny pastelowy fiolet z napisem Kwiatowe Historie, wykonanym ozdobnym, eleganckim krojem liter. Front sklepu zerwano i prawie w całości zastąpiono oknem z matową szybą, na której wytrawiono te same słowa. Od zewnątrz efekt był oszałamiający - niewielkie fragmenty kwiatów widoczne przez litery przyciągały oko ku bogactwu kolorów i kształtów

221

w środku. Ogromny dębowy stół stojący za kasą przywieziono razem z półkami i narzędziami. Sekatory, nożyczki, taśmy, drut, wstążki, kleje... wszystko zostało porządnie ułożone w głębokich szufladach za stołem, z dala od wzroku klientów. Przez ostatnie trzy lata Tory pracowała w przytulnej, chaotycznej dzungli u Catherine i postanowiła, że u niej wszystko będzie inaczej, chez Tory. Zdarzały się noce, gdy w sklepie pełno było robotników, którzy hałasowali, walili młotami, ale ona po prostu nie chciała stamtąd wychodzić.

52

Nadal nie mogła się do tego przyzwyczaić. Nawet teraz. Zwłaszcza teraz. Budził ją bowiem przystojny młody mężczyzna w wykroch-malonym białym uniformie, dyskretnie przygotowujący śniadanie na marmurowym tarasie w dalekim końcu hotelowego kompleksu gdzieś na Karaibach... ciągle jeszcze, po upływie pięciu lat, trudno jej było uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. I że przydarzało się właśnie jej. Że sama tego dokonała. Zapach aromatycznej, świeżej kawy unosił się w powietrzu, niesiony bryzą wpadającą przez muślin firanek zasłaniających okna nad łóżkiem. Z trudem się budziła, w głowie miała mętlik, serce biło jej mocno od szampana, który wypili poprzedniej nocy. Popatrzyła na ogromny pokój. Na zewnątrz, na marmurowym tarasie, przystojny kelner skończył przygotowania i wycofał się równie cicho, jak przyszedł. François już wyszedł - pewnie był na kursie golfa. Delikatnie odsunęła szeleszczącą pościel i wstała z łóżka. Przeszła po lśniącej podłodze, nie mając na sobie nic poza klapkami na wysokich obcasach, i pchnęła drzwi do łazienki, która miała rozmiary jej salonu w Londynie. Na krótko zamknęła oczy. Niewiarygodny przepych tego miejsca był przytłaczający. Przebywali w tym kurorcie z François od trzech dni i nadal

nie mogła do tego przywyknąć. Co prawda nie była tym zaskoczona - wszystko, co wiązało się z François, było eleganckie, luksusowe i kosztowne. Właściwie przede wszystkim dlatego go lubiła. Nie był to jedyny powód, ale główny.

222

\ . i

*

w środku. Ogromny dębowy stół stojący za kasą przywieziono razem z półkami i narzędziami. Sekatory, nożyczki, taśmy, drut, wstążki, kleje... wszystko zostało porządnie ułożone w głębokich szufladach za stołem, z dala od wzroku klientów. Przez ostatnie trzy lata Tory pracowała w przytulnej, chaotycznej dżungli u Catherine i postanowiła, że u niej wszystko będzie inaczej, chez Tory. Zdarzały się noce, gdy w sklepie pełno było robotników, którzy hałasowali, walili młotami, ale ona po prostu nie chciała stamtąd wychodzić.

52

Nadal nie mogła się do tego przyzwycząić. Nawet teraz. Zwłaszcza teraz. Budził ją bowiem przystojny młody mężczyzna w wykroch-malonym białym uniformie, dyskretnie przygotowujący śniadanie na marmurowym tarasie w dalekim końcu hotelowego kompleksu gdzieś na Karaibach... ciągle jeszcze, po upływie pięciu lat, trudno jej było uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. I że przydarzało się właśnie jej. Że sama tego dokonała. Zapach aromatycznej, świeżej kawy unosił się w powietrzu, niesiony bryzą wpadającą przez muślin firanek zasłaniających okna nad łóżkiem. Z trudem się budziła, w głowie miała mętlik, serce biło jej mocno od szampana, który wypili poprzedniej nocy. Popatrzyła na ogromny pokój. Na zewnątrz, na marmurowym tarasie, przystojny kelner skończył przygotowania i wycofał się równie cicho, jak przyszedł. François już wyszedł - pewnie był na kursie golfa. Delikatnie odsunęła szeleszczącą pościel i wstała z łóżka. Przeszła po lśniącej podłodze, nie mając na sobie nic poza kłapkami na wysokich obcasach, i pchnęła drzwi do łazienki, która miała rozmiary jej salonu w Londynie. Na krótko zamknęła oczy. Niewiarygodny przepych tego miejsca był przytłaczający. Przebywali w tym kurorcie z François od trzech dni i nadal nie mogła do tego przywyknąć. Co prawda nie była tym zaskoczona - wszystko, co wiązało się z François, było eleganckie, luksusowe i kosztowne. Właściwie przede wszystkim dlatego go lubiła. Nie był to jedyny powód, ale główny.

222

Zatrzymała się w pół drogi i popatrzyła na siebie w lustrze naturalnej wielkości. Miała niewielki siniak na lewym ramieniu, w miejscu, gdzie François ugryzł ją poprzedniej nocy, oszołomiony piorunującą mieszanką kokainy i alkoholu. Nie potrafiła sobie przypomnieć, ile razy to brali - pamiętała tylko, że przestała przed nim. Prawdę mówiąc, wołała ecstazy od kokainy i bardzo rzadko, jeśli w ogóle, paliła skręty. Jeśli chodziło o narkotyki, podobnie jak we wszystkim innym, jej gusta były wyrafinowane. Wspomnienia o potajnym paleniu zakazanych skrętów z Thandie i ukradkowych, pospiesznych działkach branych z dawną sublokatorką - jak jej było na imię? Cathy? Carol? Nie, Caitlin - wyblakły już prawie zupełnie.

Właściwie w tych dniach trudno jej było przypomnieć sobie cokolwiek z poprzedniego życia. Czasami nie potrafiła wrócić pamięcią do czegokolwiek z tamtego okresu. Słodki, cudowny prąd, jaki przenikał ją kiedyś każdego dnia przy pierwszej tabletkce, przestał już na nią działać. Zdarzały się wieczory, kiedy prawie nic nie czuła, a najmniej pożądanie. Zresztą wcale jej to nie dziwiło. Większość klientów nie wywoływała u niej nawet uśmiechu. Miała sześciu „stałych” gości, wybranych, sprawdzonych i zaaprobowanych przez panią Devereaux. Wszyscy bogaci, w średnim wieku i z nadwagą. Przez prawie dwa lata należała do nich na własność i dzięki nim zaczęła życie, o jakim zawsze marzyła już jako nastolatka. Nie umiała sobie przypomnieć, jak i gdzie dowiedziały się z Thandie o Hollywood albo zobaczyły zdjęcia posiadłości, w jakich pojawiała się teraz regularnie. Nie pamiętała, kiedy rozwinął się

w niej wysmakowany gust. Kiedy o tym myślała - tak jak w tej chwili, gdy jadła śniadanie na tarasie luksusowej willi gdzieś na Karaibach, z papierosem w jednym ręku i kieliszkiem szampana w drugim - z trudem przychodziło jej uwierzyć, że jest tą samą osobą, która przyleciała do Londynu lotem Air Zimbabwe sześć lat temu, mając mniej pieniędzy, niż kosztowała jedna noc pobytu w miejscu, gdzie znajdowała się teraz. Czy rzeczywiście minęło tylko sześć lat od czasu, gdy razem z Thandie wymykały się po nocach do barów w śródmieściu Harare, szukając grubych, bogatych facetów z Afryki Południowej, przebywających w mieście na delegacji, mających żalosne, mikroskopijne możliwości finansowe? Jezuu, wtedy robiła to praktycznie za friko!

Teraz... zaciągnęła się papierosem, wciągając dym w płuca niczym

223

plywak ostatni haust powietrza przed zatonięciem... „robiła to” za więcej niż tysiąc dolarów za numerek. Niespodziewanie zachichotała. Tak, tak powinno być. François miał ją przez trzy dni i trzy noce. Nie miała pojęcia, ile kosztował pobyt w kurorcie. Nigdy nawet nie słyszała o wyspach Turks i Caicos aż do chwili, gdy rzucił przed nią bilety na łóżko w swoim apartamencie w hotelu Claridge's.

Popatrzyła ponad olbrzymim basenem ku morzu. Woda miała turkusowy kolor, była gładka i spokojna. Niebo przybrało delikatny odcień czystego błękitu. Pasma pudrowiałego piasku ciągnęło się po horyzont w idealnym, nieskazitelnym łuku. W terakotowych donicach ustawionych w perfekcyjnie wybranych miejscach dziesiątki gatunków orchidei pyszniły się jaskrawymi barwami. Głęboko odetchnęła. Spojrzała w dół na talerz. Pięknie zrównoważona martwa natura z plasterków banana, kiwi i kawałeczków skórki pomarańczowej. Życie po prostu nie mogło być lepsze. Wzięła widelec i wbiła go prosto w serce smakowicie wyglądającej truskawki.

53

To Nik nalegała na urządzenie przyjęcia z okazji otwarcia i uparła się, że za nie zapłaci. Miał to być jej prezent z tej okazji i nie dawała się od tego odwieść. Na omówieniu szczegółów spędziły we trójkę bardzo miłe sobotnie popołudnie w pobliskiej kafejce. Proste kanapki, fantastyczne wina, niewielki bukiet kwiatów dla każdego do zabrania do domu (pomysł Nik), specjalnie wydrukowane kupony rabatowe ważne przy następnych wizytach (pomysł Tory). Spierały się nad listą gości - Tory chciała ograniczyć ich liczbę do czterdziestu lub pięćdziesięciu osób, które miały jakikolwiek związek z jej sklepem, Nik opowiadała się za rozszerzeniem jej do nazwisk wszystkich ludzi, których znały, a Caryn potajemnie marzyła o wręczeniu zaproszenia Row-landowi.

9

- Nik, to ponad trzysta osób! - protestowała Tory, gdy spisywały listę. - To będzie kosztowało majątek!

224

- Och, przestań martwić się o koszty - odpowiedziała przyjaciółka, przewracając oczami. - Pozwól, że wezmę to na siebie. Nawet nie zobaczysz rachunków, obiecuję. Pójdą prosto do księgowego ojca. No, bo posłuchaj, jaki byłby sens tworzenia dla mnie funduszu powierniczego, gdybym nie mogła mieć do niego od czasu do czasu dostępu? A znasz mnie, nigdy nie wydaję jego pieniędzy. W każdym razie bardzo rzadko.

- Tak, ale nie damy rady pomieścić trzystu osób!

- To prawda, ale jest jeszcze podwórze. Mówię ci, catering przywiezie cudowne ogrzewacze do ustawienia na wolnym powietrzu... można wykorzystać podwórze na tyłach, ludzie mogliby tam wychodzić. I tak przecież nie będzie to trwało całą noc.

- Cóż, skoro jesteś pewna - powiedziała Tory, patrząc z powątpiewaniem na powiększającą się listę.

- Jestem pewna - odpowiedziała Nik stanowczym tonem. - Absolutnie pewna.
- Co to takiego? - zapytał Rowland, patrząc na zaproszenie, które Caryn właśnie mu wręczyła.

- Chodzi o moją przyjaciółkę. Właśnie otworzyła kwaciarnię na Margaret Street, na tyłach Oxford Street. Impreza z tej okazji odbędzie się w przyszły piątek i tak sobie pomyślałam... że może ktoś z was będzie miał ochotę wpaść. - Stała podenerwowana w drzwiach jego gabinetu.

Obrócił zaproszenie w dłoni.

„Kwiatowe Historie. »Astry* Istnieje ponad sześćset gatunków astrów. W starożytnych społeczeństwach wierzono, że zapach ich palonych liści odstrasza węże. Choć dziś nie znajduje to zastosowania, niemniej przypisywana im symbolika nadal obowiązuje. Dawanie astrów oznacza »Nie jestem pewny, czy jesteś mi wierna«. Dlatego uważaj, komu je ofiarowujesz! Kwiatowe Historie - bukiety, inne od reszty".

- Ciekawy pomysł - powiedział, bawiąc się obracaniem kartonika w palcach. - Astry, co? - Spojrzał na nią. - W następny piątek?

- Ach, tak. To taki rodzaj koktajlu. Pomyślałam, że zamiast iść do... no wiesz, Cantaloupe...

225

- Jasne, dlaczego nie? Impreza z okazji otwarcenia kwaciarni przed Bożym Narodzeniem. Miłe. Astry, hę? - Ponownie na nią spojrział. - Czy kiedykolwiek byłaś nielojalna, Caryn?

Niewiele brakowało, żeby upuściła papiery, które trzymała w rękach.

- Co? Nie - odpowiedziała, unikając jego wzroku. Twarz jej płonęła.

- Tak tylko się zastanawiałem - powiedział łagodnie. Potem przeszedł obok, ocierając się lekko o nią i zniknął.

Niemal czuła jego zapach na twarzy. Obróciła się i poszła do własnego biurka. Miała ciarki na całym ciele.

Ku jej zaskoczeniu - i radości - wszyscy chcieli przyjść. Nawet cudowna „Mam co wieczór randkę" Charlie.

- Jakie to ekscytujące! - powiedziała do Caryn, kiedy szykowały się tego wieczoru do wyjścia. - Szkoda, że sama nie potrafię założyć własnej firmy - wszystko jest lepsze od tyrania od dziewiętej do piątej.

- Ona będzie tyrała znacznie dłużej - powiedziała Caryn, uśmiechając się. Trzymała otwarte drzwi. - Gdyby wziąć pod uwagę ostatnie dwa tygodnie, to dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Tak, ale to jej. Oddałabym wszystko, żeby zostać własnym szefem.

- Podobnie jak Rowland. To musi być spora satysfakcja, jak myślisz? Patrząc na to wszystko i wiedzieć, że jest twoje. - Wskazała ręką na biuro.

- Cóż, tak naprawdę nie jest jego.

- Nie bardzo rozumiem - powiedziała zdezorientowana Caryn.

Charlie obróciła się i spojrzała na nią.

- Naprawdę właścicielem jest ojciec Katie. Jego teść. To on płaci nam pensje, kochanie, nie Rowland. Ten interes w gruncie rzeczy nie przynosi żadnych zysków. Przynajmniej na razie.

- Żartujesz. Myślałam... Myślałam, że Rowland odniósł prawdziwy sukces. Zdobył nagrodę i w ogóle.

- Żeby odnieść sukces, potrzeba czegoś więcej niż jednego filmu dokumentalnego. To okropna branża. Konkurencja jest ogromna. Dam głowę, że tylko dlatego on z nią wytrzyma. To suka do szpiku kości! Nie poznałaś jej?

- Nie. Rany! Nie miałam o tym pojęcia.

226

- Jestem zaskoczona. Taka łebska dziewczyna jak ty... wydawało mi się, że domyśliłaś się wszystkiego w chwili, gdy przeszłaś przez próg. Chyba że... - Spojrzała podejrzliwie na Caryn. - Czyżbym o czymś nie wiedziała?

- Co masz na myśli?

- Och, daj spokój. Podobasz mu się. Wszyscy to widzą.

Caryn stanęła jak wryta.

- Wszyscy? - zapytała cicho.

Charlie energicznie pokiwała głową.

- O, tak.

- Dobry Boże!

Charlie przyglądała się jej przez chwilę.

- A tobie on się podoba?

- Oczywiście, że nie. - Caryn zaprotestowała żywo. - Jest żonaty.

- I co z tego?

Caryn nic nie odpowiedziała.

- Dobrze wyglądam? - Tory obracała się z niepokojem, usiłując zobaczyć się w lustrze.

- Wyglądasz cudownie - odpowiedziały chórem Caryn i Nik.

- Siłą nafaszeruję cię Valium, jeśli się nie uspokoisz - zagroziła ta pierwsza.

- Och, a masz je? - spytała Nik, której oczy się zaświeciły.

Obie zachichotały.

- To wcale nie jest śmieszne. - Tory nie zgadzała się z nimi, nadal usiłując obejrzeć się z tyłu. Kręciła się w miejscu w obcisłej czarnej sukience i w butach na wysokich obcasach. Prawie nie mogła chodzić.

- Chodź już - powiedziała Nik, zerkając przez zasłonkę. - Taksówka przyjechała.

Idziemy. Tak, tak. Obie świetnie wyglądacie. Aniołki Charliego - dodała, chichocząc, gdy hałaśliwie schodziły po schodach. - Tyle że ten pieprzony Charlie nie istnieje.

- Niedobrze mi - wymamrotała Tory.

- Nieprawda - powiedziała Nik stanowczym tonem, wpychając ją do czekającej taksówki. - A nawet jeśli, to każ taksówkarzowi stanąć, błagam. Rób, co chcesz, tylko nie zwymiotuj na mnie.

227

- Jesteś - wyszeptała Tory niewyraźnie - wcielonym złem. Tobie to właściwie sprawia przyjemność.

- Pewnie, że jestem. Dajcie spokój, dziewczyny, zabawmy się trochę! Kiedy ostatni raz wyszliśmy gdzieś razem?

- A jeśli to wszystko skończy się okropną kłapą? - Tory zwróciła ku nim twarz, wyraźnie zaniepokojona.

- Nie skończy. Jezu, przy takiej ilości szampana i wina pod ręką to nie może skończyć się inaczej jak tylko sukcesem. Odpręż się. Wszystko jest pod kontrolą. Zaufaj nam, dobrze? Tory oparła się plecami o fotel. Nik miała rację. Wszystko zostało zaplanowane do ostatniego szczegółu. Nigdy wcześniej nie знаła przyjaciółki od tej strony. Władza była dla niej żywiołem, zachowywała absolutny spokój... zorganizowała całą imprezę z precyzją i determinacją godną kampanii wojskowej. Nawet matka Tory, która zwykle była najbardziej władczą osobą, jaką znała, w duchu się jej bała.

- Jak... gdzie nauczyłaś się tak mówić? - Tory zapytała Nik w poprzednim tygodniu, gdy właścicielka firmy cateringowej błagała w ostatniej chwili o zgodę na zmianę menu - nie mogła dostać hondura-skich krewetek, które obiecała podać. Nik nie miała zamiaru ustąpić.

„To je znajdzie” - powiedziała i tyle.

- Jak?
- No., no tak. Kazałaś jej zdobyć te krewetki. I założę się, że gdzieś je dostanie.
- Oczywiście, że dostanie. Zawsze próbują kręcić. Przez ostatnie dziesięć lat patrzyłam, jak Molly sobie z nimi radzi - to wszystko banda rekinów. - Uśmiech Nik był rozbijającym lekceważącym.

Cóż, gdziekolwiek się tego nauczyła, to działało. Honduraskie krewetki skropione sosem z chilli i czosnku zostały rzeczywiście podane.

- Widzisz? - powiedziała Nik, gdy na godzinę przed gośćmi zjawiły się na miejscu. - Wskazała na jedną ze srebrnych tac. - Krewetki, i założę się, że honduraskie.

Tory mogła jedynie pokiwać głową. Żołądek miała zaciśnięty ze zdenerwowania. Rozejrzała się po sklepie. Wertowanie przez ojca historycznych szpargałów w poszukiwaniu informacji o tradycyjnych roślinach bożonarodzeniowych opłacało się. Zrezygnowała z typowych

228
czerwonych i złotych akcentów, które wszyscy zwykle łączyli ze świętami, i zamiast nich użyła roślin wiecznie zielonych, srebrnego i białego koloru, wykorzystując też kostropate szyszki orzechowej barwy, papirusowe parasole i wielkie liście amarylisa do dekoracji koszy, zwisających z sufitu. Białe tulipany przywiązane za główki srebrnymi tasiemkami; rdzawe róże w wielkich przezroczystych kulistych wazonach i wyraziste białe lilie przydawały stołom nastrojowej, subtelnej atmosfery. Zapach gorącego, przyprawionego korzeniami wina zmieszany z wonią perfum snuł się po całym pomieszczeniu, gdy drzwi się otwierały i zamykały. Na tylnym podwórzu stały ogrzewacze powietrza i wielkie kościelne gromnice. Zawieszono tam też maleńkie papierowe lampiony na lince przewiązanej ukośnie na całej jego długości, które teraz kołysały się lekko na wietrze. Kelnerzy kończyli dekorowanie tac, otwierali butelki z czerwonym winem ustawione na dębowym stole... wszystko wyglądało doskonale, gotowe na przyjęcie gości. Ból w boku stał się prawie nie do wytrzymania. Żałowała, że wybrała tak obcisłą sukienkę, ledwie mogła w niej oddychać. Coś i tak się nie uda. Zawsze tak było.

Było piętnaście po dziewiątej wieczorem. Impreza trwała już na dobre od godziny. Smutna Caryn stała przy ścianie i trzymała w ręku trzeci kieliszek wina, rozpaczliwie próbując powstrzymać się od zerkania w stronę drzwi. Charlie i kilka innych osób z pracy przyjechali o wpół do dziewiątej, punktualnie co do minuty - ale nie Rowland. Nadal nie było po nim śladu. Wśród tłumu zapelniającego pomieszczenie widziała wystającą głowę Nik. Łaziło za nią niezamordowanie dwóch facetów w czarnych kurtkach, których Caryn nie potrafiła rozróżnić. Tory również nie brakowało wielbicieli. Mimo że ze zdenerwowania wyglądała niemal na chorą, mężczyźni otaczali ją od chwili, gdy otworzyły się drzwi. Natomiast Caryn prawie z nikim nie rozmawiała - nikt jej nie zagadywał. Zastanawiała się, czy nie za bardzo starała się wyglądać stylowo - niebieskozielona sukienka z jakiegoś niezidentyfikowanego materiału podobnego do jedwabiu (za 14,99 funta, prawdopodobnie z poliestru), trochę za bardzo obcisła, i białe buty na zbyt wysokich obcasach oraz kopertówka o wyjątkowo niedorzecznym rozmiarze - za mała, żeby coś do niej włożyć, i za duża, by ją ukryć. Brian, jej doradca w sprawach elegancji, przyjrzał się jej od góry do dołu i wykrzywił

229
w uśmiechu. Jak się domyśliła, chciał jej w ten sposób powiedzieć, że wyglądała w porządku. Ale gdy dotarła do Nik i zobaczyła ją oraz Tory w błyszczącej wyrafinowanej czerni, wpadła w panikę. Oczywiście, było już za późno. Nik zrobiła taktowną uwagę o zielonym kolorze, podkreślającym barwę jej oczu... czym dała przyjaciółce na swój sposób do zrozumienia, że trochę źle się ubrała.

I oto tu była - pomyślała smutno - przesadnie wystrojona i bardzo niepewna siebie, czekając na pojawienie się żonatego mężczyzny (jej szefa) i... Nagle usłyszała tuż nad uchem czyjś głos. Niewiele brakowało, żeby podskoczyła ze strachu.

- Cześć. - To był Rowland, wyglądający cudownie niechlujnie i trzymający w dłoni za szyjki dwie butelki piwa. Uśmiechnął się do niej. - Chcesz jedno?
Serce Caryn zatrzepotało. Potem jeszcze raz.

- Dzięki - powiedziała, zastanawiając się, co zrobić z kieliszkiem wina. - Myślałam, że nie... nie spodziewałam się...

- Że przyjdę? - dokończył za nią zdanie. Oczy mu błyszczały.

W Rowlandzie było coś, co sprawiało, że miała ochotę się uśmiechnąć, nawet gdy go nie widziała. „Jeśli któryś Anglik jest potomkiem bogów, to właśnie on”. Ni stąd, ni zowąd przypomniała jej się ta opinia Nancy Mitford. To była prawda. Rowland należał do klasy Anglików, o których Caryn jedynie czytała. Nik, choć właściwie obrzydliwie bogata, nie do końca była Angielką i dlatego się nie liczyła. Wyjątkowo pewny siebie, ale bez arogancji, dowcipny od niechcienia, czarujący, swobodny w kontaktach z jedną osobą i w tłumie — człowiek, którego wszyscy lubią i chcieliby być tacy jak on. Jego brak skrupowania, naturalność zachowania i bezceremonialność ze wszystkimi, nawet sprzątaczkami, wydawały się zupełnie niewymuszone. Nie dla niego były szkło i stal City, gdzie prawdopodobnie jego ojciec - albo teść - robił pieniądze. Nie, on wołał bardziej luzackie, obskurne i nieskończenie prawdziwsze obrzeża City, bo sam był bardziej prawdziwy. Takie właśnie robił na niej wrażenie, emanujące z niego ciepło przyciągało ją ze stałą siłą.

Wzięła od niego butelkę drżącą ręką

- Dzięki.

- Wspaniała impreza - powiedział, rozglądając się wokół z apro-
230

bata. - Masz miłe przyjaciółki. - Spojrzał w stronę Tory. Wyglądała pięknie, włosy opadały jej na ramiona, a obcisła sukienka uwydatniała smukłość sylwetki. Wydawała się niesłychanie dorosła - pomyślała Caryn, patrząc ukradkiem na swój tani, błyszczący strój i beznadziejne pantofle. Ojciec Tory, przeżywający najwyraźniej swoje pięć minut wielkości, pomykał jak szalony z jednego końca pomieszczenia w drugi, niezdolny zatrzymać się na dłużej niż sekunda lub dwie. Tak, impreza zdecydowanie była udana. Nawet jeśli nie dla niej.

- Tak - powiedziała, odchylając do tyłu głowę i upijając łyk zimnego piwa. Za chwilę niemal wyzywająco ponownie przytknęła butelkę do ust. Zakołysała się. Trzy kieliszki wina i zimne piwo zaczynały działać.

- Proszę, proszę - wyszeptał Rowland, wyciągając rękę, by ją podtrzymać. - Spokojnie. Nie musisz wypić całej butelki naraz.

Zachichotała. Jego dłoń pozostała w tym samym miejscu, to znaczy na wysokości krzyża, bo obejmował ją teraz w pasie.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się, ukrywając rumieniec za szkłem butelki. - Chyba powinnam przystopować.

- Ja też - wymamrotał Rowland. Jego głos brzmiał przyjemnie w jej uszach. - Ładnie pachniesz - dodał. - Kwiatami.

- Och, a wiesz jakimi? - Podniosła na niego wzrok.

Zmarszczył oczy w kącikach i nadal nie cofał ręki ani się nie poruszył.

- Flirtujesz ze mną?

- Może. - Była zaskoczona własną śmiałością. - Dlaczego pytasz? Czy to cię krępuje? Poczula, jak głęboko wciągnął powietrze. Przeniósł dłoń z jej krzyża i chwycił ją mocno za łokieć.

- Tak, ale nie z powodów, o których myślisz.

Przełknęła ślinę, nie bardzo wiedząc, o co mu chodziło.

- Chyba muszę... chyba muszę skorzystać z łazienki - powiedziała, odwracając się. Drżała z pożądania.

Czuła na sobie jego wzrok, gdy szła przez tłum wypełniający kwaciarnię. Mocno trzymając się poręczy, zeszła do piwnicy, obcasy jej pantofli głośno stukwały na metalowych stopniach. Na szczęście nikogo nie było w toalecie. Wśliznęła się do środka, serce biło jej jak oszalałe. Wpatrywała się we własne odbicie w lustrze. Wyglądała tak samo.

231

Może policzki były trochę zarumienione, ale poza tym nie miała żadnych oznak sensacji, jakie działy się w jej żołądku za każdym razem, gdy pojawiał się Rowland Keane. Obmyła lekko twarz, uważając, by nie rozmazać makijażu, i wytarła się. Tak lepiej - pomyślała. Zimna woda niespodziewanie ją otrzeźwiła. Poprawiła włosy, obciągnęła spódnice i otworzyła drzwi.

Potrzebowała sekundy, najwyżej dwóch, by się zorientować, że osoba, na którą wpadła w chwili, gdy wychodziła z łazienki, to Rowland, który miał zamiar pocałować ją w toalecie albo w prowadzącym do niej korytarzu. Oba te miejsca nie wydały się jej jednak odpowiednie z wielu powodów, z których dość ważny był strach, że ktoś ich zobaczy. Oparli się o drzwi biura Tory. Caryn głęboko odetchnęła, wsunęła rękę za plecy i namacała klamkę. Drzwi od razu się otworzyły, w środku było ciemno. Zamknęła je, ciężko oddychając. Usłyszała zachrypnięty szept - swój własny:

- Zamknij je na klucz.

Rowland sięgnął za nią i przekręcił klucz w zamku. Wziął Caryn za rękę i uniósł ramię dziewczyny ponad jej głowę, przyciskając je do drzwi. Zaczął ją całować. Miała wrażenie cudownej bezradności, gdy drażnił ustami jej kark, policzki, wargi... i schodził niżej. W gęstym mroku i zaciszności pokoju, gdzie dochodziły jedynie stłumione odgłosy przyjęcia na gorze i sporadyczne odgłosy kroków, gdy goście szli korytarzem do toalety i wracali na imprezę, rozebrał ją, zdejmując powoli jedną rzecz po drugiej. Dwoma rękami zsunął jej sukienkę po udach i wrócił do poznawania jej ciała ustami. Nie zorientowała się nawet, jak ustawił ją przy biurku. Jak we śnie czuła, że ją na nim sadzał, krawędzie boleśnie wrzynają się jej w uda. Opuścił ją, a potem jego dłonie chwyciły ją za uda i ponownie przyciągnęły do siebie, na niewielką odległość... czterech, pięciu centymetrów. I wtedy wszystko skupiło się w jednym miejscu jej ciała, gdy szybko dokończył tego, co ktoś inny zaczął dawno temu. Jęknęła. Poczowała jego zaskoczenie, ale kilka sekund później jeszcze niecierpliwiej w nią wtargnął, sprawiając, że łzy napłynęły jej do oczu z bólu... tak, i z ulgi. Przywarła do niego, uderzała lekko głową o blat biurka Tory, ręce miała mocno zaciśnięte i czekała, aż ustaną wyczerpujące dreszcze.

232

*

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - zapytał Rowland niskim głosem kilkanaście minut później, gdy oboje odzyskali zdolność mówienia.

Milczała. Sięgnęła po sukienkę i zaczęła ją na siebie wciągać, nagle przerażona własną nagością.

- Ja... no cóż, co miałabym powiedzieć? - odpowiedziała pytaniem, wygładzając sukienkę na udach.

- Jezus, Caryn. To jest... to znaczy bardzo mi to pochwala. Ale nie zrozum mnie źle. Nigdy bym się po prostu nie spodziewał... rozumiesz. Myślałem, że masz całe tabuny chłopaków. - Włożył dzinsy i zapiął je. Sięgnął do kieszeni po papierosa. Zapalił. Płomień raził oczy w ciemności. - Chcesz jednego?

Pokręciła głową.

- Co... co się dzieje potem? - spytała po chwili.

- Co się dzieje? Nic. Ty wyjdiesz pierwsza, a ja zrobię to samo za kilka minut. - Wypuścił z ust kółko dymu w sposób świadczący o usatysfakcjonowaniu, zaspokojeniu. - Było ci dobrze? - zapytał, niespodziewanie czule. Skinęła głową zakłopotana. - Następnym razem będzie lepiej - powiedział, wyciągając rękę i dotykając jej brody. - Pierwszy raz jest zawsze kiepski.

Stała nieruchomo, jakby wrosła w ziemię. Następnym razem? A więc miał być następny raz? Wszystko inne przestało mieć znaczenie, a ją ogarnęła fala ulgi.

- Myślisz, że powinniśmy coś jej powiedzieć? - Nik spojrzała niepewnie na Tory, gdy Caryn wyszła z pokoju.

- Co niby?

Nik zamrużyła. Głos przyjaciółki zabrzmiał wyjątkowo ostro.

- Nie wiem. Że powinna być... ostrożna?

- Sprecyzuj, co rozumiesz przez ostrożność?

233

- Tory, coś nie w porządku? - spytała Nik, zupełnie zbita z tropu.

Tory odłożyła długopis. Siedziała w salonie u Nik. Wcześniej Caryn czytała gazetę na dywanie, odruchowo pocierając stopą o stopę. Potem wyszła zadzwonić. Tory bawiła się szkicowaniem bukietu, który zaprzętał jej myśli, a Nik po raz setny pisała i poprawiała tygodniowe horoskopy. Dla Zoe to był pewnie świetny dowcip.

- Dobrze się bawi - powiedziała Tory wolno. - Odczep się od niej.

- Co cię ugryzło? - spytała Nik, marszcząc czoło. - Mówię jedynie...

- Więc się przymknij. Zostaw ją w spokoju.

Nik wpatrywała się w nią. t

- Co w ciebie wstąpiło? - zapytała poirytowana.

- Nie wszyscy mają tyle szczęścia co ty, wiesz. To jej pierwszy chłopak. Kogo obchodzi, że jest żonaty?

- O czym ty mówisz? - spytała Nik, serce zaczęło jej szybciej bić. -Nie mam szczęścia! I też nie mam chłopaka!

- To sprawa Caryn - odezwała się Tory, nie podnosząc wzroku. -Nie zawsze wszystko musi się kręcić wokół ciebie.

- I kto to, kurwa, mówi! - krzyknęła Nik, rzucając długopis. - Jesteś chyba ostatnią osobą, która ma do tego prawo!

- Co chciałaś przez to powiedzieć?

- Co się dzieje? - zapytała Caryn, stając niespodziewanie w drzwiach. Ani Tory, ani Nik nie słyszały jej kroków.

- Nic - odpowiedziała Nik szorstko, podnosząc długopis.

Tory milczała. Nagle wstała, pozbierała ołówki i kartki, po czym wyszła z salonu, nie odzywając się do żadnej z nich. Kilka sekund później trzasnęły frontowe drzwi.

- O co w tym wszystkim, do cholery, chodzi? - zapytała Caryn, zdezorientowana. Przez lata ich przyjaźni nigdy wcześniej nie wyczuwała takiego napięcia między ich trójką. Oczywiście, nie zgadzały się ze sobą w wielu drobnych sprawach, ale nie było mowy o czymś takim. -Co jej powiedziałaś?

- Nic - stwierdziła Nik, równie zdezorientowana. Wpatrywała się przez kilka chwil w notebook, a potem westchnęła. - No więc pokłóciłyśmy się o ciebie. W każdym razie od tego się zaczęło.

234

- O mnie? A co ja mogę mieć z czymkolwiek wspólnego? - zapytała Caryn, rumieniąc się na policzkach.

- No wiesz. Ty i Rowland. Powiedziałam jedynie, że moim zdaniem powinnaś być ostrożna, to wszystko. A ona się wkurwiła, bo...

- Ależ jestem ostrożna - powiedziała Caryn szybko, wchodząc jej w słowo. Cała twarz jej płonęła.

Nik popatrzyła na nią.

- Tak właśnie myślałam - powiedziała powoli. - Bo tak jest, prawda?

Caryn potwierdziła skinieniem głowy i odwróciła od Nik wzrok. Zapadła krępująca cisza.

- Powinnam już iść - odezwała się w końcu Caryn, biorąc torbę. -Do zobaczenia.

Po wyjściu obu przyjaciółek Nik siedziała przy biurku kompletnie zdumiona obrotem wydarzeń. Co takiego, do diabła, powiedziała? W jednej chwili siedziały we trzy w zupełnej harmonii, a w następnej została sama po usłyszeniu dwóch trzaśnień drzwiami. Co się działo? Interes Tory nie szedł tak dobrze, jak się spodziewała, o tym wszyscy wiedzieli. Nie przewidziała, jak wiele ciężkiej pracy będzie wymagał. Ona i Caryn prawie jej teraz nie widywały. Wstawanie dwa razy w tygodniu o trzeciej nad ranem, żeby pojechać na targ do Covent Garden, nie było zdaniem Nik zabawne, i coś się spieprzyło przy czymś ślubie któregoś tygodnia... Nie, nie było jej łatwo, to Nik widziała gołym okiem -ale Tory sama się na to zdecydowała, prawda? Ona zaś starała się jedynie ją wspierać, podawać pomocną dłoń, gdy była potrzebna. Słuchała cierpliwie opowieści Tory o więdnących kwiatkach, zagubionych zamówieniach i konkurencji, podkradającej jej pomysły, a ona tak jej się za to odpłacała? Nik zaczęła się gotować ze złości. Tory zachowała się nie w porządku. A Nik nie miała ani trochę obsesji na własnym punkcie. Jeśli już, to przez ostatnie kilka miesięcy Tory nie potrafiła dostrzec niczego poza końcem własnego nosa. Usiłowała zapomnieć o jej uwagach i nie mogła. Teraz była zła - ale co więcej, czuła się zraniona.

Już dawno minęła północ, kiedy wreszcie zapadła w niespokojny, płytki sen.

235

Rowland poruszył się tuż przed północą, czym obudził Caryn. Ziewnął, wyciągnął ramiona ponad głowę w leniwy sposób, z typowym dla siebie ukontentowaniem, które niczym urok przyciągało do niego Caryn, i spuścił nogi z łóżka. Ubrał się szybko po cichu. Dziewczyna leżała w pomiętej pościeli, jej blond włosy były rozsypane na poduszce. Sennie patrzyła, jak okrywał silne, delikatne ciało, do którego jeszcze niedawno należała, zmienione kilka minut później w inne, anonimowe, w męskim ubraniu. Pochylił się i pocałował ją w koniec nosa.

- Do jutra - wymamrotał. Łóżko skrzyknęło, gdy się wyprostowywał. - Mam o dziesiątej spotkanie z B.SkyB. Przypilnujesz, żeby materiał był gotowy i leżał u mnie na biurku? - Skinęła głową. - Masz zamiar tu zostać? - zapytał, biorąc torbę. - W końcu pokój jest zapłacony. A może wolisz, żebym odwiózł cię do domu?

Pokręciła przecząco głową.

- Zostanę - skłamała. Miała zamiar wziąć taksówkę, jak tylko Rowland wyjdzie.

- Grzeczna dziewczynka. Nie zapomnij wklepać do komputera moich notatek, dobrze? - powiedział, zamykając drzwi.

Odjechał. Bez niego pokój wydawał się jeszcze cichszy. Wsłuchiwała się we własny oddech i miarowe bicie serca. Zdała sobie sprawę, że czuje się samotna. Poza jednym weekendem, kiedy Katie i dzieci pojechali do Paryża z jej rodzicami, nie spędzali ze sobą więcej czasu niż w sumie cztery godziny. Choć w biurze wszyscy dawali jej do zrozumienia, że dobrze wiedzą, co w trawie piszczy, oni bardzo się starali podtrzymywać pozory - nigdy nie wychodzili razem z pracy, nigdy nie jedli razem lunchu, nie dotykali się poza ukradkowymi pieszczotami, tym cenniejszymi, że nigdy nie wiedziała, czy i kiedy nastąpią. Jakaś jej część miała świadomość, że ich związek jest podporządkowany warunkom dyktowanym wyłącznie

przez Rowlanda, ale inna jej część nic sobie z tego nie robiła, nie umiała mu się oprzeć. A on był przy tym - musiała to przyznać - bardzo troskliwy. Zostawiał dla niej liściki pod klawiaturą, ni stąd, ni zowąd dawał jej perfumy, które mu się podobały, albo płytę, której słuchał, co zawsze doceniała. Na samym początku, kiedy dopiero zaczęli chodzić do niewielkiego, znanego mu hotelu w Soho, położył dla niej bukiet tulipanów na poduszce, które zastała po

236

wyjściu spod prysznica. Drobiazgi, muśnięcia dłonią... była mu za nie bardzo wdzięczna. Nie okazywał niczego zbyt ostentacyjnie i nigdy w miejscach publicznych, ale ona miała tak małe doświadczenie, że była tym wzruszona.

Nik zapytała ją przy jakiejś okazji, czy zastanawiała się nad przyszłością - nad tym, co będzie dalej, czy on kiedykolwiek odejdzie od żony i dzieci. Nie potrafiła jej wyjaśnić, że powodem, dla którego o tym nie myślała, było jedynie to, że nie mogła. Nie umiała zmusić się do myślenia o tym, co będzie za sześć miesięcy czy za rok. Po prostu. Przy Rowlandzie wszystko ograniczało się do teraźniejszości, do wykradanych momentów tu i teraz - a nie do tego, co będzie. Przyszłość, przynajmniej dla niego, nie istniała. Tylko raz odważyła się o to zapytać, ale wtedy odwrócił się od niej, stłumił ziewanie, dając bez słów do zrozumienia, że nie dostanie od niego więcej, niż już dostała. A Caryn bardzo szybko się uczyła. Przestała pytać. Wstała, wzięła szybki prysznic i podniosła torbę. Dziesięć minut później siedziała już w taksówce. Zostanie samej na noc w pokoju hotelowym opłaconym przez żonatego kochanka byłoby przesadą.

Gdy była znów we własnym pokoju ze starą kołdrą naciągniętą na głowę i słyszała dochodzące cicho przez okno dobrze znane odgłosy z osiedla, łatwiej mogła udawać, że łączył go z nią związek, a nie romans. Bo romans z definicji nie mógł trwać.

55

Gdy Nik następnego ranka przyszła do pracy, nadal czuła się fatalnie i była wytrącona z równowagi. Ledwie zdążyła usiąść, gdy zadzwonił telefon. To była Zoe.

- Za pięć minut w moim gabinecie. Mam coś dla ciebie. Odłożyła słuchawkę, serce waliło jej jak młotem. Dokąd zamierzali ją teraz przenieść?

Wpatrywała się w Zoe, nie do końca rozumiejąc, o co chodzi.

- Zainteresowanie człowiekiem? Ja? Nie wiem... - Urwała w pół

237

zdania. Czy wszystkie historie nie były opowieściami o „ludziach”? Z definicji?

Zoe popatrzyła na nią koso i zacisnęła usta.

- Zainteresowanie człowiekiem odnosi się do życiorysów ludzi, którzy przeszli drogę od pacybuta do milionera, do codziennych problemów, śmierci dziecka, przytłaczającego nieszczęścia... daj spokój, Nik. Daję ci cholernie wielką szansę. Bez przerwy narzekasz na zlecenia, które ode mnie dostajesz. Posłuchaj teraz, przejrzyj to - powiedziała z irytacją w głosie, wskazując na stertę starych wydań. - Przeczytaj rubrykę Davinii Irvine, właśnie na czymś takim mi zależy. Napisz dla mnie przyzwoitą historię do jutrzejszego lunchu, dobrze? Nie musi nawet być prawdziwa.

Nik wzięła stos gazet. Policzki jej płonęły. Pospiesznie wyszła. Przeczytała tyle artykułów Davinii, ile była w stanie strawić. Od pacybuta do milionera? Nie знаła nikogo, kto mógłby się czymś takim pochwalić. Śmierć dziecka? Przytłaczające nieszczęście? Tragedia? Zdesperowana, gryzła koniec długopisu. Nic takiego nie przydarzyło się nigdy jej samej ani nikomu, kogo znała. I wtedy ją olśniło. Przestała gryźć długopis, który niemal wypadł jej z ust. Tory. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Historia Tory! Ależ materiał na artykuł. Było tam wszystko. Tragedia, rozpacz, żaloba, nadzieja... temat. Odsunęła się gwałtownie na krześle, złapała notebook, długopis i zbiegła po schodach dwa piętra niżej do archiwum, gdzie

tyrali młodzi stażem pracownicy, zajmujący się wyszukiwaniem materiałów. Ublagała jednego z nich, żeby odszukał dla niej wszystko, co dotyczyło Susie Spiller.

Trzy godziny później dostała teczkę, w której archiwista umieścił ponad tuzin artykułów prasowych o brutalnym morderstwie na siedemnastoletniej uczennicy, spacerującej przy Regent's Canal w Camden. Podziękowała mu, westchnęła głośno i otworzyła teczkę. Minęła północ, kiedy wreszcie napisała ostatnie słowo i teatralnym gestem wyciągnęła kartki z drukarki. Moc kwiatów. Uzdrawiająca moc kwiatów. Oczywiście, nie była na pogrzebie Susie, ale dziennikarz z „Sunday Times” najwyraźniej się tam znalazł. Udało się jej rozpoznać białe lilie, położone na grobie Susie. Dzięki Kwiatowym Historiom i drukowanym tam kartkom wiedziała, że lilie były kiedyś symbolem

238

10

czystości i płodności, ale w starożytnej Grecji kładziono je też na grobach dzieci. „Jedna z wielu fascynujących rzeczy, których się dowiadujesz, kupując bukiet kwiatów w tej najbardziej niezwykłej kwiaciarni, stworzonej przez historię triumfu i rozpaczony Tory Spiller”. Kiedy pisała to zdanie, łzy napłynęły jej do oczu. Czy Tory na pewno zorientuje się, jak wiele dla niej znaczyła?

Uporządkowała notatki, wydrukowała ostateczną wersję i włożyła dwie kartki A4 do tekturowej teczki. Zoe znajdzie ją na biurku przed dziewiątą, a nie przed lunchem. Umyła zęby i przygotowała się do snania.

Zoe skończyła czytać i popatrzyła na Nik z niedowierzaniem.

- Doskonale - powiedziała stanowczo. - Naprawdę. Dokładnie to, czego chciałam. Puścimy to w poniedziałek.

Nik zamurowało. Po raz pierwszy zabrakło jej słów. Przez pół życia czekała, żeby ktoś wypowiedział takie słowa o czymś, co zrobiła. Doskonale. Świetne. Ciepła fala satysfakcji, która narodziła się poprzedniej nocy, teraz ogarnęła ją całą. Spojrzała na własne buty.

- Pisanie tego sprawiało mi frajdę - wymamrotała, świadoma, że policzki jej płoną.

- Wyślij jeszcze dziś fotografa na sesję. Kilka fotek z zewnątrz. To jej zdjęcie jest bezbłędne - odezwała się Zoe, stukając w fotografię Tory, którą Nik dołączyła. - Skąd ją wzięłaś? Kto ma do niej prawa?

Nik się zawahała. Wewnętrzny głos podpowiadał jej, że chwalenie się przyjaźnią z Tory nie jest w tej chwili najlepszym pomysłem. Zatajenie faktu, że były z Tory najlepszymi przyjaciółkami, wywołało u niej lekkie wyrzuty sumienia. Właściwie nie kłamała... po prostu nie mówiła całej prawdy. Domyślała się, że gdyby Zoe dowiedziała się, iż znały się jeszcze do szkoły, to pomniejszyłoby w jakiś sposób jej dokonania - jakby nie napracowała się ciężko nad tą historią. Przełknęła ślinę.

- Natknęłam się na to w... w jednej z gazet.

- OK. Daj to Paulowi albo komuś innemu do zredagowania, zanim to wykorzystamy.

Dobra robota, Nik. A teraz chcę, żebyś zastanowiła się nad czymś innym. - Położyła na biurku teczkę. - Jak najszybciej zrób wywiad z tą kobietą. Wygrała na loterii w poniedziałek wieczorem. Jest fryzjerką czy kimś takim, ale nie chce porzucić pracy. Ja nazywam

239

jr

to szaleństwem. Ale to świetny materiał na artykuł. Mieszka w Liver-poolu. Jedź tam jak najprędzej.

Nik pomodliła się w duchu w podzięcie i wybiegła z redakcji. Nareszcie. W końcu. Dostała swoją szansę. Po kurewsko długim czasie.

Tory wspomniała o tym Caryn, kiedy rozmawiały tego wieczoru przez telefon, ale ponieważ żadna z nich nie kontaktowała się z Nik, nie znalazły odpowiedzi na pytanie, dlaczego jakiś mężczyzna zrobił po południu kilka zdjęć frontu kwaciarni. Tory była zajęta kilkoma klientami naraz - co nieczęsto się zdarzało - i nie miała czasu, żeby wyjść i zapytać, co się dzieje. Kiedy sobie o tym przypomniała i spojrzała na ulicę, już go nie było.

- Nie wyglądał na turystę, prawda? - zapytała Caryn odruchowo. Myślni była gdzie indziej. Był wtorkowy wieczór, a Rowland, przechodząc obok, wspominał od niechcienia, że po obiedzie z rodziną pewnie wpadnie jeszcze do biura. Dochodziło już wpół do dziewiątej, a ona zastanawiała się, czy iść do domu, czy dalej uzupełniać pliki w komputerze, którymi wcześniej się zajęła. Czekać? Oczywiście.

- Miał kilka aparatów zawieszonych na szyi - powiedziała Tory. - Nie wyglądał na turystę. No cóż. Kto wie? Ciągłe w pracy?

- A, tak. Właściwie już kończę. - Caryn mocno się zaczerwieniła. - Która godzina?

- Prawie dziewiąta - odpowiedziała Tory sucho. - Jesteś pewna, że on przyjdzie?

- Kto? Och, masz na myśli Rowlanda? Nie, nie... Mam po prostu trochę roboty. Za minutę będę się zbierała. - Nastąpiła sekunda wahania. Caryn bez przerwy przypominała sobie, że Tory była dokładnie w takiej samej sytuacji jak ona. Co prawda przyjaciółka nigdy o tym nie opowiadała. Zostawanie w biurze do dziewiątej prawie każdego wieczoru w złudnej nadziei, że Rowland może w każdej chwili zadzwonić i przyjść; nieplanowanie niczego na weekendy na wszelki wypadek - tak, Tory wiedziała, dlaczego tak się działo. Spojrzała w okno na coraz ciemniejsze niebo. Była dziewiąta i bary przy Charlotte Road, które wyrosły tu jak grzyby po deszczu przez ostatnie kilka miesięcy, zaczęły się zapępniać. W otwartej części biura dwie lub trzy dziewczyny zajmujące się wyszukiwaniem materiałów nadal pracowały.

Mark, scenarzysta,

240

rozmawiał przez telefon. Czasami zastanawiała się, czy Rowland nie upewniał się w ten sposób, że ona liczy się z jego czasem - umawiając się z nią bez przerwy niezobowiązująco i mało precyzyjnie, sprawiając, że siedziała jak na szpilkach, czekając na niego. Ale szybko odsuwała od siebie takie myśli - nie, to nie jego wina. Był żonaty, miał obowiązki, często nieprzewidywalne, z których niełatwo mógł się wyłgać. Powinna być zadowolona, a nie zła, że chciał spędzać z nią każdą wolną chwilę. Wzięła torebkę i pożegnała się ze wszystkimi, którzy jeszcze zostawali.

Kiedy schodziła na dół, powoli zaczęło do niej docierać, że jest jej coraz trudniej, a nie łatwiej. Wmawianie sobie, że nie powinna być na niego zła, to jedno, a odczuwanie tego - to drugie. Bo była zła. Spędziła kolejny wieczór, czekając przy telefonie, podczas gdy on pewnie nawet nie miał zamiaru wracać do biura. I czyja to wina, głupia krowo? Niemal słyszała głosy Nik i Tory, mówiące to do niej chórem.

Telefon zadzwonił głośno w pustej kwaciarni. Tory zsunęła się ze stołka, czując ulgę, że może coś się zająć, i poszła go odebrać. Przez cały dzień nie miała nawet jednego klienta. Dzwoniła matka.

- Przypuszczam - powiedziała spiętym głosem - że twoim zdaniem to świetny żart.

- O co chodzi? - zapytała Tory, przewracając oczami.

- Jak mogłaś?

- Jak mogłam co?

- Nigdy nie lubiłam tej dziewczuchy - powiedziała matka z przekonaniem. - Niezależnie od tego, jak się nazywa: Hartę, Parker... nigdy jej nie lubiłam. Uważam, że...

- O czym ty, do cholery, mówisz? - Tory weszła jej w słowo, naprawdę zdezorientowana. - Co takiego Nik zrobiła?

- Jakbyś nie wiedziała! Musiałaś ją do tego namówić. Nie mogę uwierzyć, że ty i ojciec posunęliście się do czegoś takiego...
- O czym, do diabła, mówisz?! - Tory była na granicy krzyku. - Co się stało?!
- Jest w dzisiejszym magazynie. Wyobrażasz sobie, dowiedziałam się o tym od Belindy Taylor! „Gossip!”, czy jak się nazywa ta gazeta. Tania, wstrętna...

241

Tory rzuciła słuchawkę, chwyciła portmonetkę i wybiegła z kwaciarni. Na rogu był kiosk. Przepatrzyła szybko półki, wzięła egzemplarz i rzuciła pieniądze na ladę. Otworzyła magazyn. Serce waliło jej jak młotem. Nigdy wcześniej nie miała tego tytułu w ręku - po lekceważących uwagach Nik, jakie przyjaciółka zawsze robiła, wiedziała, że w sumie to zbiór szmatławych historii o szmatławych gwiazdach - im bardziej skandalizujących, tym lepiej. Dlaczego Nik trzymała się „Gossip!”, skoro tak bardzo nią gardziła, pozostawało dla Tory nieodgad-nioną tajemnicą i już jakiś czas temu przestały z Caryn o to ją pytać. Tak, były tam artykuły... jedna lub druga ze Spice Girls została przyłapana bez majtek, prezenterka telewizyjna spotykała się z cudzym mężem... typowa pożywka dla gawiedzi. I wtedy magazyn otworzył się jej na środku i zobaczyła to. Susie wpatrywała się w nią ze zdję'cia, tego samego, które drukowano w gazetach i pokazywano w telewizji - poczuła się tak, jakby ktoś walnął ją w brzuch. „Moc kwiatów. Napisała Nik Parker”.

Jeszcze nigdy tak się nie bała. Nawet wtedy, gdy Simba stanął dęba na widok pełzającej czarnej mamby, a ona wypadła z siodła. Nawet gdy stała przed ojcem - nigdy. Żaden z wcześniejszych strachów nie był choćby zbliżony do przejmującego zimnem, przyprawiającego o dreszcz uczucia, które narastało w niej i opadało, gdy słuchała głosu Caryn.

- Ale ja... nie chciałam... nie pomyślałam... - duknęła z boleśnie zaciśniętym gardłem.
- Nigdy nie myślisz, Nik. Po prostu rzucasz się głową w dół. Jak mogłaś, nie uprzedzając jej?
- N-nie wiem. - Nik z trudem wymawiała słowa. Łzy napływały jej do oczu. - Nie przyszło mi do głowy, że to mogłoby... Zoe naciskała, żebym coś napisała, i pomyślałam...
- No dobrze, pogadamy o tym później - przerwała jej Caryn. - Jestem w pracy. Zadzwoń jeszcze do ciebie.
- A-ale co powinnam teraz zrobić? - zapytała Nik, jej oddech stał się urywany.
- Nie mam pojęcia. Zostaw ją w spokoju przez jakiś czas. Ona... ona puści to w niepamięć.

242

- Nie. - Nik zaczęła płakać. - Wiesz, jaka jest. Nigdy mi nie zapomni...
- Muszę kończyć. Zadzwoń wieczorem.

Caryn odłożyła słuchawkę i usiłowała skupić się na pracy. Nigdy nie widziała Tory tak wścieklej - to zupełnie do niej nie pasowało. To ona zwykle była tą cichą. Za to Nik miała wybuchową naturę i dawała temu wyraz z siłą sierpniowej burzy. Ale złość Tory była uzasadniona. Najwyraźniej Nik nie rozumiała, że posunęła się za daleko, choć właściwie to niczego nie zmieniało. Tory nie chciała z nią rozmawiać. Fakt, że artykuł przyciągnął całe tabuny klientów, pogarszał tylko sprawę. Tory nie mogła znieść myśli, że zarabia pieniądze na taniej, sentymentalnej opowiadance o zamordowaniu siostry i o tym, jak kwiaty pomogły jej jakoś się pozbierać.

- Kto dał jej prawo? - rzuciła do słuchawki, rozmawiając z Caryn. -Co ona może wiedzieć o żalobie? - Okropne było to, że miała rację.

- Caryn?!

Obróciła się w fotelu. Rowland stał w drzwiach swojego gabinetu i marszczył czoło. Jego głos zdradzał zniecierpliwienie, jakby nie po raz pierwszy starał się zwrócić na siebie jej uwagę.

- Przepraszam... zamyśliłam się na chwilę - powiedziała, zastanawiając się, jaki miał problem.

- Nie płacę ci za zamyślanie się, Caryn - odezwał się uszczypliwie. Ktoś z tyłu zachichotał. - Chcę, żeby je wysłano jeszcze dzisiaj po południu, nie jutro ani pojutrze. Muszą wyjść dzisiaj.

Zerwała się z miejsca i wzięła od niego dokumenty w dużej kopercie.

- Od razu się tym zajmę - wymamrotała, przechodząc do recepcji. Była zdezorientowana, ale też urażona i zła. Wystarczyło przecież poprosić Charlie, żeby zadzwoniła po kuriera. Nie miała pojęcia, kto chichotał. Nagle uświadomiła sobie, że minęły całe wieki od ostatniego razu, kiedy poszła gdzieś z resztą zespołu. Rowland rzadko przychodził na drinka po pracy w piątki, a ona była tak zajęta czekaniem na jego telefon lub wizytę, że zaczęła wymawiać się od wychodzenia z nimi. Minęły prawie dwa miesiące od ostatniego jej udziału w takim spotkaniu. Zawstydziała się na myśl o tym, gdy chciała podać Charlie plik pa-

243

- Nie. - Nik zaczęła płakać. - Wiesz, jaka jest. Nigdy mi nie zapomni...

- Muszę kończyć. Zadzwoń wieczorem.

Caryn odłożyła słuchawkę i usiłowała skupić się na pracy. Nigdy nie widziała Tory tak wścieklej - to zupełnie do niej nie pasowało. To ona zwykle była tą cichą. Za to Nik miała wybuchową naturę i dawała temu wyraz z siłą sierpniowej burzy. Ale złość Tory była uzasadniona. Najwyraźniej Nik nie rozumiała, że posunęła się za daleko, choć właściwie to niczego nie zmieniało. Tory nie chciała z nią rozmawiać. Fakt, że artykuł przyciągnął całe tabuny klientów, pogarszał tylko sprawę. Tory nie mogła znieść myśli, że zarabia pieniądze na taniej, sentymentalnej opowieści o zamordowaniu siostry i o tym, jak kwiaty pomogły jej jakoś się pozbierać.

- Kto dał jej prawo? - rzuciła do słuchawki, rozmawiając z Caryn. - Co ona może wiedzieć o żałobie? - Okropne było to, że miała rację.

- Caryn?!

Obróciła się w fotelu. Rowland stał w drzwiach swojego gabinetu i marszczył czoło. Jego głos zdradzał zniecierpliwienie, jakby nie po raz pierwszy starał się zwrócić na siebie jej uwagę.

- Przepraszam... zamyśliłam się na chwilę - powiedziała, zastanawiając się, jaki miał problem.

- Nie płacę ci za zamyślanie się, Caryn - odezwał się uszczypliwie. Ktoś z tyłu zachichotał. - Chcę, żeby je wysłano jeszcze dzisiaj po południu, nie jutro ani pojutrze. Muszą wyjść dzisiaj.

Zerwała się z miejsca i wzięła od niego dokumenty w dużej kopercie.

- Od razu się tym zajmę - wymamrotała, przechodząc do recepcji. Była zdezorientowana, ale też urażona i zła. Wystarczyło przecież poprosić Charlie, żeby zadzwoniła po kuriera. Nie miała pojęcia, kto chichotał. Nagle uświadomiła sobie, że minęły całe wieki od ostatniego razu, kiedy poszła gdzieś z resztą zespołu. Rowland rzadko przychodził na drinka po pracy w piątki, a ona była tak zajęta czekaniem na jego telefon lub wizytę, że zaczęła wymawiać się od wychodzenia z nimi. Minęły prawie dwa miesiące od ostatniego jej udziału w takim spotkaniu. Zawstydziała się na myśl o tym, gdy chciała podać Charlie plik pa-

pierów. Dość szybko zmieniała się w jedną z tych kobiet, które stopniowo wycofują się ze wszystkich znajomości, aż w końcu to - romans - staje się najważniejszą rzeczą w ich życiu. Jedyną rzeczą w ich życiu. Przełknęła ślinę, nagle zdenerwowana. Ona przecież taka nie była, prawda? A może właśnie zmieniała się w taką kobietę?

- Hm, Rowland pyta, czy mogłabyś zawołać kuriera - wymamrotała, kładąc paczkę na blacie.

- Tak, słyszałam. Dlaczego sam nie przyszedł i nie poprosił mnie o to? - zapytała Charlie, wpatrując się w nią. Caryn pokręciła głową. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. - Dobrze się czujesz? - zapytała Charlie, jeszcze uważniej się jej przyglądając.

- Dobrze. Dlaczego pytasz?

- Bez powodu. W porządku. Zajmę się tym - powiedziała, biorąc kopertę. - Możesz powiedzieć jego królewskiej wysokości, że ktoś po to przyjdzie jeszcze przed lunchem. Caryn pomyślała, że Charlie chciała w ten sposób coś jej przekazać, ale nie potrafiła się domyślić, o co chodziło. Odwróciła się, żeby wrócić do biurka. To wszystko zdawało się ją przerastać - Rowland, Tory, Nik... a teraz Charlie. Milcząca przygana od kogoś, czyja opinia tak naprawdę niewiele znaczyła. Prawda jednak była taka, że liczba osób, których opinia miała znaczenie, stale malała.

Nik płakała. Tory nie chciała jej słuchać. Caryn błagała. Nik płakała jeszcze bardziej, a Tory nadal była nieprześlądana.

- Nie chcę jej widzieć - powiedziała cicho, wprawnie owijając bukiet w arkusz celofanu.

- Jej naprawdę jest przykro, Tory.... naprawdę. Zamartwia się na śmierć całą tą sytuacją.

- Tak, pewnie, ale powinna najpierw trochę pomyśleć, zanim postanowiła grzebać w mojej przeszłości, żeby popchnąć własną pieprzoną karierę.

- To nie było tak - powiedziała Caryn, wzruszając bezradnie ramionami. - Wiem, że jest odrobinę impulsywna i często robi coś bez zastanowienia... ale przysięgam, że skrzywdzenie cię to ostatnia rzecz, jaką chciałaby zrobić. Znam ją. Ty też ją znasz.

- Caryn. - Tory odłożyła pęczek krwistoczerwonych frezji. - Może-

my o tym nie rozmawiać? Proszę. Mam po dziurki w nosie rozmawiania o Nik. Może już pora, żeby wzięła na siebie odpowiedzialność za to, co robi, zamiast ciągle powtarzać żalostnie: „Nie chciałam”, robiąc sobie z tego alibi. Jestem zła - no pewnie, że jestem zła. Ty też byś się wściekła, gdyby tobie zrobiła coś takiego. A teraz czy możecie obie dać mi spokój?

Caryn spojrzała na zacięte usta Tory i doszła do wniosku, że przyjaciółka ma rację. Była urażona i zła, i to nie miało się zmienić z dnia na dzień. Wolno pokiwała głową.

- W porządku. Wiem, że masz rację. Chodzi tylko o to, że ona jest z tego powodu w takim stanie, że...

- Tak, ja też to wiem. Ale ja nie pstryknęłam palcami i nie czekałam, aż ktoś za mnie wszystko załatwi.

- Och, ona o nic mnie nie prosiła... - Caryn urwała. Tory jej nie słuchała. Miała słuszną rację. Nik powinna sama się zastanowić, jak posprzątać bałagan, którego narobiła. Wykrzywiła się. Nie miała pojęcia, dlaczego Nik pomyślała, że ona może jej pomóc - przecież nie potrafiła nawet uporządkować własnego życia.

Co się stało z nimi wszystkimi? - pytała się w myślach, idąc z powrotem Oxford Street, nieświadoma wiosennego słońca ani podążającego w obie strony tłumu. Wróciła myślami do lata przed zakończeniem nauki w St Augustine. Miała wrażenie, że było to milion lat temu. Nik udało się przekonać ojca, żeby pozwolił jej iść na uniwersytet. Tory wyjeżdżała na rok do Paryża... a ona? Szykowała się do Cambridge. Przyszłość wydawała się pełna różnych

możliwości, napawała optymizmem. Więc co, do diabła, się stało? Gdzie przepadły radość i nadzieja? Przeszła całą New Oxford Street w kierunku Holborn i nadal nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na te pytania.

56

Tory potrzebowała całych tygodni, żeby dać się udobruchać. Nik próbowała wszystkiego. Godzinami wystawała przed kwiaciarnią, zbierając się na odwagę, żeby wejść do środka, i nigdy się na to nie zdobyła.

245

W końcu, zdesperowana, kupiła gigantyczny bukiet alstromerii i zaniósła do domu Tory, zostawiając je na progu z listem: „Nazwane imieniem szwedzkiego botanika barona Klasa von Alstroemera, peruwiańskie lilie albo alstromerie symbolizują przyjaźń i oddanie. Bardzo, bardzo przepraszam. Błagam, przebac mi, Nik". Przebiegła potem całą drogę do metra, serce waliło jej w piersi. Nie mogła znieść myśli, że tak bardzo skrzywdziła najlepszą przyjaciółkę, iż ona nigdy się już do niej nie odezwie. W końcu, kiedy wydawało się, że nie zniesie milczenia ani dnia dłużej, Tory zadzwoniła.

- Cześć, to ja. - Nik poczuła przykry ucisk w piersi. Ścisnęła słuchawkę, zastanawiając się, co Tory powie dalej. - Spotkasz się ze mną na drinku dziś wieczorem?

Nik poczuła, że lzy ciekną jej po twarzy.

- Tak - wyszeptała do słuchawki. - Tak, oczywiście.

- Posłuchaj - Tory odezwała się w chwili, gdy wróciły do stolika z drinkami. - Muszę to powiedzieć, Nik. Nie pamiętam, żeby ktoś kiedykolwiek tak mnie skrzywdził. Nie, daj mi skończyć - mówiła, kręcąc głową. Nik miała zamiar zaprotestować. - Chyba zawsze... zawsze... nie wiem, zazdrościłam ci na swój śmieszny sposób.

- Czego? - Głos Nik był ledwie słyszalny. Wiedziała, z jakiego powodu.

Tory wzruszyła ramionami.

- Wiesz, Nik, miałam wrażenie, że wszystko jest dla ciebie takie cholernie proste. Bo kiedy spojrzeć na biedną Caryn, wypruwającą sobie flaki w kretyńskiej pracy, wykorzystywaną przez tego gnoja Rowlanda...

- Ale dlaczego ona nie uwolni się od niego? - Nik nie potrafiła się powstrzymać i musiała wtrącić swoje trzy grosze.

- To nie takie proste. I dlatego właśnie byłam taka wściekła. Dla ciebie nic nie jest trudne, widzisz wszystko jako czarne albo białe. Caryn nigdy wcześniej nie miała chłopaka. Właściwie nikogo nie miała. -Przerwała i spojrzała w okno. - Otworzyłam własny interes częściowo dlatego, żeby wyrwać się od rodziców. Nie zrozum mnie źle, z ojcem wspaniale mi się pracuje, i to pomaga nam obojgu. Ale niełatwo mi, rozumiesz? Nie... nie wiem, czy nie porwałam się z motyką na słońce. Pa-

246

trzę na twarz ojca i widzę, że on się zamartwia. Nie dostajemy tylu zamówień, ile powinniśmy dostawać. Jest ciężko. I w dodatku ty się pojawiaasz i można by pomyśleć, że to wykorzystujesz bardzo egoistycznie. Żeby dostać lepsze miejsce na stronie czy jakkolwiek to nazywacie. Niedobrze mi się od tego zrobiło. Wykorzystałaś smutek ludzi, żeby samej lepiej się poczuć.

Nik powoli wypuściła ustami powietrze. Z którejkolwiek strony na to spojrzeć, cios był mocny. Milczała przez minutę. Nigdy wcześniej nie zapuszczała się na podobny grunt z przyjaciółką - z nikim.

- Wiem, jak to musiało wyglądać - zaczęła niepewnie. - Dla wszystkich. Że mam idealnie łatwe życie, w którym nie dzieje się nic złego, bo mój ojciec jest bogaty i...

- Nie mówię, że jest doskonałe, Nik. Nikt nie ma idealnego życia. Twierdę jedynie, że patrzysz na wszystko wyłącznie z własnej perspektywy - w sposób, w jaki ty postrzegasz świat. Nigdy nie próbowałaś postawić się na czyimś miejscu.

- Przecież wszyscy tak robią, prawda? - zapytała, bardzo zdziwiona.

- Tak, ale czasami, zanim otworzysz usta, powinnaś pomyśleć, jak ktoś inny to odbierze.

Nik spojrzała w dół na własne dłonie.

- Przepraszam - powtórzyła. - Nie powinnam w ogóle napisać tego artykułu.

- Nie, nie rozumiesz najważniejszego. Posłuchaj, to było dobre dla interesów, obroty wzrosły mi w ostatnich tygodniach trzykrotnie. Z tego punktu widzenia artykuł był dla nas dobrodziejstwem. Chodzi o to, że powinnaś ze mną porozmawiać, zanim go napisałaś, a nie po fakcie. To wszystko.

Nik skinęła głową. Nagłym ruchem sięgnęła do torebki po papierosa. Poczęstowała jednym Tory. Zapaliły. Obu trzęsły się ręce.

- Czy... czy my... - Nik zawahała się przez moment. - Muszę wiedzieć... czy mi wybaczasz? - dokończyła, obracając papierosa między palcem wskazującym a kciukiem, jak zawsze robiła w Zimbabwie. To była rzecz, jakiej nigdy nie nauczyła się robić w sposób naturalny - palić równie elegancko jak europejskie dziewczyny, trzymające papierosa pomiędzy palcami środkowym i wskazującym. Zwróciła cudownie niebieskie, zasnutę łzami oczy na Tory.

247

Ta westchnęła.

- Tak. No bo co mogę zrobić? Wy dwie jesteście praktycznie jedynymi przyjaciółkami, jakie mam.

- Tak samo jest ze mną.

- To smutne, prawda? - Tory wysączyła do końca wino z kieliszka. - Jeszcze jeden? - zapytała. Blask wracał powoli do jej zielonych oczu.

Nik skinęła głową, a ulga wypełniała jej żyły podobnie jak wino. Uniosła do góry kieliszek.

- I to duży, poproszę. - Czuła się tak, jakby uchylono wydany na nią wcześniej wyrok śmierci.

Pomiędzy tym, co działo się w jej związku z Rowlandem, a przebiegiem typowego dnia pracy zaczęła się rodzić niepokojąca symbioza. Jeśli sprawy dobrze się układały - kilka godzin w tygodniu niewymyślnego, wolnego od stresu seksu, który gdyby Caryn musiała przyznać uczciwie, coraz częściej ograniczał się do szybkiego i pozbawionego emocji stosunku - była od czasu do czasu nagradzana w biurze. Dostawała jedno lub dwa zadania przekraczające jej administracyjne obowiązki, które zwykle wykonywała.

- Posłuchaj tego - mówił na przykład, wchodząc do biura i rzucając jej taśmę na biurko. - To ścieżka dźwiękowa do filmu o siłach pokojowych w Bośni. Co o tym sądzisz? Nie jest zbyt dramatyczna?

Przez następną godzinę słuchała uważnie muzyki.

- Caryn! Przyjdź tu na chwilę. Co myślisz o tym dialogu? Nie jest zbyt wymuszony?

Potem w jego gabinecie wywiązywała się rozmowa ze scenarzystą i bardzo często obaj uważnie jej słuchali.

Jeśli natomiast sprawy nie układały się dobrze - co często nie miało z nią żadnego związku - wtedy ją ignorował. Raz chciał ją zmusić, żeby mu obciągnęła, ale uciekła zawstydzona.

Potem przez tydzień ni stąd, ni

57

Albo:

248

-

zowąd zlecał jej pisanie listów, które zwykle sam pisał, i traktował ją jak powietrze. W kolejny wtorkowy wieczór w pokoju hotelowym w Soho zrobiła bez słowa, o co prosił. Dwa dni później zabrał ją na zebranie produkcyjne w City, a potem na obiad. Wiedziała, co się dzieje, ale nie umiała nad tym zapanować. Usiłowała wyjaśnić Tory i Nik, co takiego w nim widziała i dlaczego nie potrafiła z nim zerwać. Wysłuchały jej, ale tylko pokręciły głowami. Nik oświadczyła, że jej zdaniem był pa-dalcem, który wykorzystywał chwilową słabość ich przyjaciółki. Caryn z tym się nie zgadzała. Żadna z nich nie zdawała sobie sprawy, że choć na Rowlandzie nie można było polegać i nią manipulował, to mimo wszystko było jej teraz lepiej, niż zanim go poznała.

- Jak to? A co miałaś wcześniej? - zapytała Tory, marszcząc czoło. Była zupełnie skonsternowana. O ile wiedziała, Caryn nigdy przedtem nie miała żadnego chłopaka. Ta spojrzała na nią i rozłożyła ręce.

- Nic - powiedziała, pokazując wewnętrzne strony dłoni w geście bezradności. - A cokolwiek jest lepsze od niczego.

Czy rzeczywiście tak było? Kilka tygodni później Charlie oznajmiła, że odchodzi. Znalazła inną pracę - wytwórnię filmową, której studia znajdowały się trochę dalej, na Hoxton Square. I przestawała być recepcjonistką, bo tam miała być asystentką kierownika planu. Sporo wyżej zawodowo - powiedziała do Caryn w czasie lunchu. Ta wyobraziła ją sobie, jak w odjazdowych, supermodnych ciuchach maszeruje po planie ze słuchawkami na uszach, rozmawia z reżyserem i w trakcie rozmowy rzuca innym polecenia. Charlie zachichotała.

- Och, to,, niezupełnie tak będzie wyglądało. Będę jedynie asystentką faceta, który to robi, ale skończy się odbieranie telefonów i robienie Rowlandowi pieprzonej kawy - przepraszam. Ale wszystko jest lepsze od tego!

Caryn milczała. To była absolutna prawda.

- Nie trzeba mieć... cóż, kwalifikacji albo doświadczenia, żeby wykonywać taką pracę? - zapytała, gdy przyniesiono im kawę.

Charlie pochyliła się ku niej konspiratorsko.

- Powiedziałam im, że skończyłam studia - wyjawiała, chichocząc. - Nigdy tego nie sprawdzą!

249

- Ale jakie? - Caryn była naprawdę zaszokowana.

- Iberystykę. Moja mama jest Hiszpanką, choć nigdy byś tego nie zgadła, prawda? - mówiła, dotykając swoich jasnobrązowych włosów. - Naprawdę mam na imię Carla, ale wszyscy zawsze nazywali mnie Charlie. W każdym razie chodzi o to, że odchodzę z administracji i zaczynam prawdziwą karierę, a jeśli trzeba było przy okazji trochę skłamać... no to skłamałam. Mam po dziurki w nosie klepania w klawiaturę i odbierania telefonów, a ty nie?

Caryn pokiwała ponuro głową. Nie tylko tego miała dość - również skakania wokół Rowlanda, liczenia się z jego nastrojami, czekania na kolejne rozczarowanie i podporządkowywania mu własnego życia.

- Będę za tobą tęskniła - powiedziała niespodziewanie, mieszając kawę i patrząc na blat stolika.

- Ja za tobą też. Ale będę niedaleko - odpowiedziała Charlie wesoło. - Zawsze możemy się umówić na lunch i tak dalej.

Caryn skinęła głową, ale w głębi serca wiedziała, że nic takiego prawdopodobnie nigdy nie nastąpi. Charlie szła do przodu w każdym znaczeniu tego słowa. Ona zaś stała w miejscu. Za kilka miesięcy nie zostanie nic, co by je łączyło.

- Posłuchaj, Caryn. - W głosie Charlie, zwykle radosnym, brzmiało wahanie. - Nie powinnam tego mówić, ale... - Zagryzła śliczne usta.

- Czego nie powinnaś mówić? - Caryn poczuła, jak zaciska się jej żołądek.
- Widzisz, Rowland zatrudnił już dziewczynę, która zajmie moje miejsce. Była wczoraj na rozmowie kwalifikacyjnej. Ona jest... jest bardzo ładna i usłyszałam, jak rozmawiał o niej dziś rano z Markiem. Wiem, że to zupełnie nie moja sprawa, ale... - Urwała i zrobiła minę.
- Co? - Caryn podniosła na nią wzrok.

Wyraz twarzy Charlie świadczył o prawdziwej udrecie.

- Chodzi o to... że stanął zakład. Między nimi. Caryn, poczekaj... -Wyciągnęła rękę, żeby ją zatrzymać.

Było jednak za późno. Caryn rzuciła dychę, chwyciła torebkę i wyszła. Ucisk w piersiach ledwie pozwalał jej oddychać.

Napisanie wypowiedzenia zajęło jej dziesięć minut, a kolejnych dziesięciu potrzebowała na zebranie się na odwagę, żeby położyć je Rowlandowi na biurku. Kiedy ten przyszedł później, otoczony aurą własnej

250

ważności i zadowolenia po dogadaniu się z BBC, nie spojrzała na niego. Wszedł do swojego gabinetu i opuścił go kilka minut później, trzymając jej pismo w ręku. Popatrzył na nią bez słowa, ale znała Rowlanda wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że wyraz jego oczu nie oznaczał złości ani bólu, ani nawet rozczarowania. Zobaczyła ulgę. To ciągnęło się między nimi od prawie sześciu miesięcy. Nie było w tym już spontaniczności i ulotniła się wszelka przyjemność. Nadszedł czas, żeby iść dalej. I dzięki Charlie dowiedziała się, jak to zrobić.

58

Nowy Jork, grudzień 2002

W przerwie między zamówieniem a podaniem butelki dobrego wina -Montepulciano rocznik 1992 z Abruzji, rodzinnego regionu Richarda DiAngela - starszy mężczyzna sięgnął do teczki i położył na stole trzy żółtobrązowe koperty. Na zewnątrz śnieg zaczął o szyby z niezmiennym nasileniem. Niebo było zachmurzone i sine. Szaleństwo bożonarodzeniowych zakupów osiągnęło apogeum. Mat spojrzał na koperty.

- Co to? - spytał zaintrygowany.

DiAngelo wzruszył ramionami.

- Przeczytaj, to się dowiesz. Porozmawiamy o tym w poniedziałek rano. Och, i zachowaj to dla siebie - dodał, jakby sobie o tym przypomniawszy. - Przynajmniej na razie. Mat uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Wsunął koperty do własnej teczki. Skończyli obiad, rozmawiając o innych sprawach. O raporcie albo powodzie, dla którego spotkał się na obiedzie z DiAngelem poza biurem, nie wspomnieli już słowem.

Nazajutrz rano po śniadaniu usiadł wygodnie na wysłużonej skórzanej kanapie i z kubkiem kawy w ręku zaczął czytać sprawozdania. Pierwsza koperta zawierała plik papierów opisanych jako „Podstawowe dane”. Proste. Zarys bieżącej globalnej sytuacji ekonomicznej - rzeczy, o których Mat i tak wiedział. Rynki na całym świecie stawały się coraz bardziej wyczerpane na spadki cen i zawirowania w gospodarce światowej; azjatyckie były wyjątkowo niestabilne. Inwestorzy coraz częściej

255

nie chcieli koncentrować uwagi tylko na jednym regionie i tam lokować pieniądze. W Ameryce Południowej zaczynały być widoczne oznaki recesji - ludzie rozglądali się za innymi rynkami, innymi możliwościami. Przekartkował sprawozdanie, zapisał kilka uwag i otworzył drugą kopertę. Była cieńsza. Znalazł w niej własne raporty dotyczące rozwijających się rynków w Afryce. Zmarszczył czoło. Dlaczego DiAngelo dał mu jego własne papiery do czytania? Praktycznie Mat Ndava wiedział wszystko o sprawach związanych z potencjałem gospodarczym Afryki. Nie po to spędził ostatnie pięć lat na czytaniu, myśleniu i analizowaniu niemal wszystkiego, co kiedykolwiek napisano na ten temat, żeby teraz nie mieć pojęcia, co

się tam działo. Oparł się o kanapę. Wziął trzecią kopertę, otworzył ją i zajrzał do środka. „Baseline International: zakres działalności”. Ponownie zmarszczył czoło. Nigdy nie słyszał o takiej firmie. Czytał dalej. Kiedy doszedł do końca pierwszej strony, poczuł, że serce zabiło mu szybciej.

Godzinę później, gdy przejrzał całość po raz drugi, odłożył papiery. Do pierwszej strony była przyklejona niewielka, zapisana ręcznie karteczka. Odlepił ją i przeczytał. Przez kilka minut nie ruszał się z miejsca

1 zatopiony w myślach, przygryzał dolną wargę.

Dwadzieścia minut później wstał, udał się do sypialni i wyszedł z niej, niosąc sportową torbę. Narzucił na siebie kurtkę, zbiegł osiem pięter po schodach i zatrzymał taksówkę. Nadal padał śnieg, ale ulice były oczyszczone. Siłownia przy Riverside Drive znajdowała się niedaleko.

Wysiadł, zapłacił taksówkarzowi i wbiegł lekko po schodach.

Na basenie w piwnicy prawie nikogo nie było. W słabym świetle niebieskawa tafla łagodnie połyskiwała. Stał na brzegu, oddychając spokojnie, wyprostował ciało i szykował się do skoku. Przebił powierzchnię wody, rozkoszując się wrażeniem ciepła i gładkości, gdy zanurzył się prawie bez rozbryzgu. Ogarnął go spokój, kiedy woda przyjęła jego ciężar i zatrzymała, ale zaraz potem poczuł przypływ energii, przeciwstawił się jej sile i popłynął do przodu. Nic nie mogło się z tym równać - już po minucie ustabilizował rytm silnych ramion, napięcie rozmywało się w śladzie, który za sobą zostawiał.

Godzinę później wyszedł z siłowni. Kąśliwy wiatr zmusił go do postawienia kołnierza.

Odzyskał jasność widzenia. Niewielki ból głowy,

256

wywołany sprawozdaniem, minął. Śnieg przestał padać, dlatego ruszył piechotą, ciesząc się niewymuszoną koordynacją i równowagą ciała, które pływanie mu przywróciło. Wrócił myślami do krótkiej notki DiAngela. Włożył rękę do kieszeni kurtki i wyjął kartkę papieru. Rozłożył ją i musiał mocno trzymać, bo wiatr próbował wyrwać mu ją z ręki. „Przez następne dwa miesiące dowiedz się wszystkiego, czego zdołasz, o człowieku, który nazywa się Jim Hartę. Potem przekażesz to mnie i tylko mnie. Pozdrawiam, DiAngelo”. Słowo „wszystkiego” było dwa razy podkreślone. Schował kartkę do kieszeni i ruszył dalej.

59

Kropelka perfum spływała wolno między piersiami Estelle, która szybko nałożyła je też na nadgarstki. Wstała, lekko się kołysząc, i poprawiła zbyt obcisłą górę wieczorowej sukni. W głowie jej szumiało - skutek picia poprzedniej nocy - i miała problem ze skupieniem wzroku. Kiedy wzięła temazepam? Wczorajszego wieczoru? Wcześniej rano? Nie pamiętała. Coraz trudniej przychodziło jej zapamiętanie czegokolwiek. Może to przez pigułki. Zaczęła mieć problemy z zasypianiem, zwłaszcza po nocy pracy. Czasami leżała w łóżku i rzucała się w pościeli, podczas gdy w głowie miała mętlik. Rzeczy, o których w ogóle nie myślała w ciągu dnia, gdy nad sobą panowała - mały, schludny domek w Arcadii, metaliczny zapach tłuszczu, który roznosił się, gdy Gloria smażyła rano jajka, politurowany stół w salonie z jedwabnym, różowym obrusem i zielone poduszki z frędzlami, wytartymi całe wieki wcześniej. Im bardziej próbowała się powstrzymać, tym więcej sobie przypominała. To Sue-Anne, cudna rudowłosa dziewczyna z Chicago, mieszkająca nad nią, dała jej tabletki, które miały pomagać w zaśnięciu. Nie potrafiła tego wyjaśnić - nie tylko snu potrzebowała. Chciała zapomnieć. O wszystkim. Sue-Anne była beztrąsko pewna siebie. Nie umiała żyć bez temazepamu, z czego zwierzyła się Estelle, chichocząc. „Najprostsza rzecz na świecie - weź jedną na kwadrans przed pójściem do łóżka... nie obudzisz się do rana”. Sue-Anne miała rację. Coraz trudniej jej było przypomnieć sobie cokolwiek. Ale czy o to jej właśnie chodziło?

257

Wzięła torebkę kopertówkę ze złotej lamy, jeszcze raz poprawiła górę sukienki i zgasiła światło. Miała się spotkać z nowym klientem, kimś wartym zatrzymania, o czym powiedziała jej dobitnie pani Devereaux przez telefon.

- Chcę, żebyś wyglądała tak dobrze, jak to możliwe, Estelle. Skierował go do nas bardzo bliski przyjaciel i obiecałam mu kogoś wyjątkowego. Chce was dwie, kochanie. Estelle wzruszyła ramionami. Robiła to już wcześniej.

- Czegokolwiek sobie życzy, prawda?

- Grzeczna dziewczynka. Myślę, że poślę z tobą Jody - razem wyglądacie tak wspaniale. To prywatne przyjęcie, ale oczywiście nie musisz zabawiać nikogo innego. Daj mi znać, gdyby ktoś miał jakieś specjalne życzenia.

- W porządku.

- Do widzenia, kochanie.

Spojrzała na zegarek. Za pięć ósma. Wzięła etolę i torebkę. Podeszła do drzwi. Petko, szofer, który przejął obowiązki po Rolfie, zawsze był wcześniej, nigdy się nie spóźniał. No pewnie. Tylne światła mercedesa jaśniały w ciemności. Zamknęła drzwi i trochę niepewnym krokiem przeszła po kocich łbach na drugą stronę.

- Dobry wieczór, Estelle - wymamrotał Petko, gdy wślizgiwała się na tylne siedzenie.

- Cześć, Petko - odpowiedziała, zmuszając się do lekkiego uśmiechu. Lubiła go.

Czasami zastanawiała się, co - jeśli w ogóle - myślał

o jej zajęciu. O zajęciu ich wszystkich. Jego praca polegała na wożeniu dwunastu dziewczyn, które pani Devereaux miała na swojej liście, od jednego klienta do drugiego.

Nigdy, ani razu, nie zrobił żadnej uwagi. Był przystojnym młodym człowiekiem, powściągliwym, małomównym

1 zawsze uprzejmym. Powiedział jej kiedyś, że pochodzi z Serbii. Z Belgradu. Miała jedynie mętne pojęcie, gdzie to było.

- Najpierw zabierzemy Jody - powiedział, skręcając w Park Lane. -A potem prosto do St John's Wood. Jest trochę tłoczno... ale dowiozę was na dziewiątą.

- W porządku. - Oparła się i spojrzała w okno.

258

- Wydajesz się trochę smutna - odezwał się niespodziewanie, wprawnie skręcając przy Marble Arch.

Estelle zamrugnęła. Bardzo rzadko coś komentował, a tym bardziej jej nastroje. Westchnęła.

- Tak... odrobinę. Sama nie wiem. Pewnie dlatego, że jestem zmęczona.

- Ach!

Spojrzała przez okno na ludzi zapełniających Oxford Street, którzy robili zakupy w czwartkowy wieczór.

- Już prawie Boże Narodzenie - powiedziała nagle. - Znowu.

- Masz rodzinę, Estelle? - spytał, ponownie ją zaskakując.

Wahała się przez moment.

- Nie.

- To fatalnie. Boże Narodzenie to rodzinne święta.

- A ty? - zapytała, otwierając torebkę i wyjmując papierosa. Musiała czymś zająć ręce.

Z powodu jego pytania - i dziwnie smutnego nastroju, w jakim była - czuła się wytrącona z równowagi.

- Nie, też nie.

- No to powinniśmy spędzić je razem. Jesteśmy sierotami.

- Sierotami? - Choć jego angielski był dobry, czasami czegoś nie rozumiał.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Dziećmi bez rodziców, rozumiesz?

- Aha. Ale nie jesteśmy dziećmi. - Ich spojrzenia spotkały się w tylnym lusterku. Leciutko się uśmiechał.

Odwróciła wzrok. Nie potrafiła dobyć głosu.

- Cześć, ślicznotko. - Jody otworzyła drzwiczki i usadowiła się obok niej. - Bosko pachniesz. - Uśmiechnęła się do Estelle. - Prawda? -zapytała Petkę filuternie.

- Oczywiście.

- Proszę. - Otworzyła torebkę i wyjęła skręta. - Zapal sobie. Wyglądasz, jakby ci tego było trzeba - powiedziała, dając Estelle papierosa. - Głowa do góry. Będzie fajny ubaw! Pani Devereaux powiedziała, że jest bajecznie nadziany.

Estelle wzięła od niej skręta, ale się nie odezwała. Nagle „ubaw”

259

wydał się jej straszliwie odległy. Można było pomyśleć, że minęły całe wieki od dnia, kiedy ostami raz się bawiła.

Nowy klient okazał się tęgim mężczyzną w średnim wieku, o siwiejących włosach. Otaczała go aura trochę staroświeckiej pom-patyczności. Po akcencie trudno było się zorientować, skąd pochodził. Pocałował obie dziewczyny w ręce, gdy z podziwem im się przyglądał.

- Urocze - wyszeptał, zanim kazał pokojówce zabrać ich wierzchnie okrycia. - Bardzo, bardzo urocze.

Zaprowadził je do przestronnego salonu, pełnego złoconych i obitych pluszem mebli, pięknych żyrandoli i utrzymującego się nikłego zapachu dymu z cygar. W jednym z końców pokoju siedziało dwóch mężczyzn, którzy wstali na widok dziewczyn. Podano drinki, zapalono papierosy, wymieniano uśmiechy. Estelle i Jody bez wysiłku odgrywały rutynowe role: prowadziły czarujące, nic nieznaczące pogawędki, pokazywały nogi w odpowiedniej pozycji, pochylały się niżej, niż należało, gdy podawano im ogień... po pięciu minutach seks wisiał w powietrzu. Estelle podchwyciła spojrzenie koleżanki - bez słów ustaliły, że Jody wykona pierwszy ruch. Jody miała na sobie jedwabną sukienkę w kolorze burgunda z sięgającymi wysoko na udach rozcięciami. W każdej chwili mogła teraz wstać, wdzięcznym ruchem rozpiąć kołnierzyk i pozwolić, żeby cała suknia opadła na podłogę. Od klienta zależało, co nastąpi potem. Estelle uśmiechnęła się do siebie, ukryta za dymem z papierosa. Mężczyźni pożerali je wzrokiem.

Niespodziewanie rozległo się pukanie do drzwi.

- Ach, nasz ostami gość. - Klient, który je wprowadził, zerwał się na równe nogi. - Wspaniale, wspaniale... będziemy mogli zaczynać. Zdejmij to - poinstruował Estelle, spiesząc, na ile to było możliwe na krótkich, grubych nogach, do drzwi. Zanim te się za nim zamknęły, Estelle spostrzegła wysokiego, siwowłosego mężczyznę w garniturze, odwracającego się od nich.

Jim poczuł ogarniającą go falę irytacji, gdy zobaczył dziewczyny. Dlaczego Arabowie uważają, że podobne dodatki są konieczne? Afrykanin nigdy by się do tego nie posunął. Na całym kontynencie ubijał ty-

260

siące interesów. Afrykanom chodziło jedynie o pieniądze. To jasne jak słońce i proste. Bez żadnych kobiet, a już na pewno bez kurew. Sięgnął za Khoury'ego i zatrzaskał drzwi.

Przyszedł do jego mieszkania w St John's Wood oblać zawartą umowę, a nie po to, żeby obsługiwała go para nastoletnich dziwek. Cóż, może nie nastoletnich, ale zbyt młodych, niezależnie od tego, po ile miały lat. Zanim drzwi się zamknęły, zdążył zauważyć jedną z nich. Oczywiście, piękna, jednak mimo wszystko wcale mu się to nie podobało.

Estelle wyczuła, że za drzwiami dzieje się coś niedobrego. Miała pewność, że nowo przybyły jest niezadowolony, choć ledwie go widziała. Była mistrzynią w czytaniu w ludzkich twarzach: zawsze umiała to robić. Dlatego właśnie tak świetnie szło jej w pracy. Potrafiła domyślić się, jeszcze zanim klienci ją o to poprosili, czego chcieli, jak tego chcieli i... kim, w

sumie, chcieli, żeby dla nich była. Niespodziewanie się podniosła i przeszła przez pokój do okna, świadoma czterech par wyglodzonych oczu śledzących jej kroki. Spojrzała w dół na ogród. Drzewa stały nagie, ich drobne, ostro zakończone gałązki odcinały się na tle żółtawej poświaty ulicznych latarni. Słyszała głosy dochodzące z korytarza.

- Nie rozumiesz - doszedł ją głos nowo przybyłego, zdradzający kontrolowaną złość, a to ją podnieciło. - Nie jestem zainteresowany.

- Ale... ale one są takie piękne... - jęczał jej klient. - Wejdz... to prezent gwiazdkowy - namawiał. Drzwi otworzyły się ponownie, gdy próbował skuteczniej przekonać mężczyznę do wejścia.

- Khoury- rzucił mężczyzna gniewnie. - Musisz coś zrozumieć.

- Tak, oczywiście, wszystko. Cokolwiek powiesz.

- Jeśli chcę seksu, kurwa jest ostatnią osobą, na którą bym się zdecydował. - Nastąpiło kilka sekund milczenia, a potem usłyszała, jak otworzyły się i zamknęły inne drzwi.

Minutę lub dwie później czerwony na twarzy Khoury wszedł do pokoju. Pstryknął na nią palcami.

- Zdejmij to - rozkazał. - Chodź tu.

Estelle rozpięła sukienkę, idąc przez pokój. Khoury powiedział coś do jednego z przyjaciół w języku, którego nie rozumiała. Uklękła przed nim, jak chciał, świadoma nieprzyjemnych i niezwykłych dla niej

261

łez napływających jej do oczu. W uszach dzwoniło jej pełne pogardy zdanie: „Jeśli chcę seksu, kurwa jest ostatnią osobą, na którą bym się zdecydował”. Chwycił ją za włosy i przycisnął jej twarz do ud. Był wściekły, został upokorzony na oczach przyjaciół i ktoś miał za to zapłacić. Nie trzeba było geniusza, żeby domyślić się kto.

60

Potrzebował kilku sekund, żeby przypomnieć sobie, gdzie był. Mocno się pocił. Znad głowy dochodził do niego dziwny, wyjący dźwięk i mniej więcej co minuta owiewało go powietrze. Wiatrak nad jego głową. Był w niewielkim hotelu we Freetown. Nagle go olśniło. Wrócił do ojczyzny. Do Afryki. Odrzucił zmiętą pościel i wstał z łóżka. Nagi przeszedł przez pokój do okna i rozchylił okiennice. Nad morzem zbierały się burzowe chmury. Wisiały ciemne i ponure nad ostro zarysowaną linią horyzontu. Wiatr marszczył falującą powierzchnię oceanu, przemykał krętymi uliczkami wokół hotelu. Poluzowane kawałki pokrywającej dachy blachy falistej zaczęły uderzać o siebie nawzajem. Poniżej, na ulicy, spostrzegł kury biegnące w obłąkańczym pośpiechu. Po drugiej stronie jezdni sprzedawcy pieczonych rajskich bananów zbierali garnki, zrzedząc posepnie nad niesprzedanym towarem, i wkładali wszystko do wielkich toreb w biało-niebieskie paski. Ich głosy dochodziły do niego niesione wiatrem. Po kilku minutach ulice opustoszały. Zostały jedynie nadymające się plastikowe płachty, przybite do boków straganów. Rozległ się pojedynczy grzmot, światem wstrząsnął grom i wtedy niebo eksplodowało. Drzewa rosnące tuż przed jego oknem jęknęły i zatrzeszczały, gdy nasiliły się poddmuchy wichury i spadły pierwsze krople deszczu. Po kilku minutach ziemia wydała z siebie wilgotny zapach wzmocniony upałem. Nastąpiła pora deszczowa. Spóźniona tego roku.

Zamknął okno. Sufit w rogu pokoju zaczął przeciekać. A miało to być pięciogwiazdkowe przytulisko. Wrócił do łóżka, wziął ręcznik

z torby i poszedł pod prysznic. Nadszedł czas, by się ruszyć.

*

262

Dziesięć minut później, gdy jego ciemnoblonde włosy nadal były mokre na karku i skroniach po prysznicu, wszedł po schodach do hotelowego lobby. Ubrany w luźny garnitur w kolorze

przyżółconego bladego khaki, białą koszulę rozpiętą pod szyją i z drogą teczką w ręku, wyglądał na eleganckiego, dzianego turystę, jacy zapewniali kiedyś, dawno temu, nabrzeża Freetown. Recepcjonistka zauważyła, kiedy do niej podchodził, że był wysoki, mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt, a choć marynarka i spodnie ukrywały jego ciało, robił wrażenie silnego i wysportowanego. Poruszał się szybko, energicznie i precyzyjnie. Mówił z zauważalnym brytyjskim akcentem z jakąś naleciałością, którą trudno było zlokalizować. Zresztą i tak by jej nie rozpoznała - dla niej był kolejnym bogatym białym mężczyzną o przyzwoitym wyglądzie, jakich rzadko spotykało się teraz we Freetown. Jednak gdy płacił gotówką za pokój, spostrzegła, że miał szerokie, mocne dłonie i czyste paznokcie. Wyglądał na miłego człowieka.

- Nie wraca pan wieczorem? - zapytała, gdy odliczał pieniądze.
- Nie.
- Podobało się panu u nas?
- Tak, dziękuję.
- Czy mogę jeszcze czymś służyć? Czymkolwiek? - Uśmiechnęła się kokieteryjnie.
- Nie, dziękuję. - Przesunął klucz po kontuarze. - Może innym razem - powiedział i wyszedł.

Na zewnątrz czekał wyglądający na luksusowy samochód z napędem na cztery koła. Na jego widok wyskoczył ze środka młody mężczyzna i otworzył mu drzwiczki. Recepcjonistka zastanawiała się przez chwilę, kim mógł być ten człowiek. Freetown pełne było w tych dniach białych mężczyzn w ciemnych okularach i garniturach. Ale niewielu z nich miało czyste paznokcie. Wykrzywiła usta w uśmiechu i obróciła się do następnego gościa.

- Podobało się panu u nas? - zapytała automatycznie. Zorientowała się, że Fouad, dyrektor hotelu, przyglądał się jej uważnie z miejsca w rogu lobby. To kolejne zjawisko wszechobecne teraz we Freetown, miście wolności, jak wskazywała jego nazwa - wszyscy bez przerwy obserwowali innych. Może powinni zmienić tę nazwę - zastanawiała się przez chwilę. Bo nie było tu śladu wolności. Już nie.

W klimatyzowanym samochodzie Simon otworzył z kliknięciem teczkę i wyjął plik papierów. Przejrzał je szybko, przygotowując się do czekającego go spotkania. Z Freetown do miasta Kono podróż trwała co najmniej cztery godziny przez najbardziej niegościnne ostępy i busz, jakie znał. Kiedy zostawili za sobą miasto i wspięli się na wzgórza otaczające stolicę, land cruiser zaczął się trząść i kołysać na pozostałościach szosy. Kiedy tu był ostatnio i przejeżdżali przez okoliczne wioski, grupki dzieci biegły za każdym samochodem, śmiejąc się i machając rękami. Ale teraz to się zmieniło. W tych czasach nikt się nie śmiał w Sierra Leone, a najmniej dzieci. Spojrzał przez okno na gęsto porośniętą roślinnością mijany krajobraz. Gigantyczne kępy grubych bambusów i monotonicznie zielony parawan lasu ciągnęły się wzdłuż wyboistej drogi, gdy mknęli na północ. Przysłani po niego kierowca i ochroniarz, którzy siedzieli na przednich siedzeniach, wymieniali co jakiś czas po kilka słów w narzeczu criou, którego nie rozumiał. Afrykański język, jakim mówił, bardzo się różnił od szczekliwego narzecza, którym posługiwano się w tych okolicach. Na plecach czuł chłód stali pistoletu. Spróbował się odprężyć. W trzymane na kolanach teście miał plany, nie był bezbronna i dostał instrukcje od Jima Harte'a - wszystko, czego potrzebował, żeby załatwić tę sprawę i podpisać kontrakty.

Po jakimś czasie, gdy przekroczyli most, pilnowany po obu stronach przez ponurych młodych mężczyzn z karabinami nonszalancko zawieszonymi na ramionach niczym torby, i przebili się przez ostami odcinek lasu, roztoczył się przed nimi trawiasty krajobraz sawanny. Kilkaset metrów dalej stał stary wojskowy budynek. Kierowca wyłączył silnik. Po czterech godzinach tłuczenia się po wiejskiej szosie nagle ogarnęła ich dzwoniąca w uszach cisza.

- Czekamy - powiedział ochroniarz, odpowiadając na niezadane pytanie.

Simon wzruszył ramionami. Jeśli uda mu się wrócić na czas do Freetown i złapać jeszcze tego wieczoru samolot do Londynu, nie ma sprawy. Za żadne skarby nie chciałby spędzić nawet godziny dłużej, niż to konieczne, w tym wilgotnym, przygnębiającym miejscu, gdzie nie moż-

264
na już odróżnić przyjaciela od wroga. Mały ptaszek wskoczył na maskę i zaczął gorączkowo dziobać srebrny znak toyoty, zanim zerwał się i pofrunął najpierw w lewo, potem w prawo i zniknął na zamglonym, białym niebie. W tej samej chwili z budynku wyłonił się mężczyzna z ramionami ułożonymi na karabinie niesionym przy piersi. Kierowca opuścił szybę i coś do niego krzyknął. Sekundę później rozległa się odpowiedź.

- Chodźcie!

- Idziemy!

Otworzyli drzwiczki i wysiedli. Panował niewiarygodny upał. Przypominał podmuch z pieca hutniczego, wysysający każdą kroplę wilgoci ze skóry. Simon czuł, jak pod marynarką nagrzewa się zimny metal pistoletu. Ruszyli przez pokryty kurzem plac. Panowała cisza. Na ławce na werandzie ktoś spał, owinięty mimo gorąca płachtą jakiejś tkaniny. Widać było jedynie jego zakurzone żółtoróżowe podeszwy. Weszli po schodach. W cieniu przy wejściu czekało na nich dwóch młodych ludzi. Wprowadzono ich do środka. Ogarnął ich nagły i nieprzenikniony mrok zalegający wewnątrz. Można było pomyśleć, że weszli w atrament. Potrzebowali chwili, żeby ich oczy się przyzwyczaiły. Pośrodku pomieszczenia dostrzegł stary stół i cztery krzesła. Na jednym z nich, odwróconym tyłem do przodu, siedział okragiem mężczyzna z papierosem w ustach. Żeby się z nim spotkać, Simon przeleciał osiem tysięcy kilometrów. Mężczyzna powoli otaksował go spojrzeniem.

- Miło, że przejechał pan taki szmat drogi, panie Carter - powiedział, odsłaniając w uśmiechu rząd białych, równych zębów.

Simon skinął mu głową.

- Piekielna jazda.

- Miejmy nadzieję, że było warto.

Simon nie odpowiedział. Postawił teczkę na stole. „Mogę?” - zapytał gestem. Mężczyzna kiwnął głową. Za nim, w mroku pomieszczenia, Simon wyczuwał obecność innych ludzi. Z szarej koperty wyjął pierwszy zestaw papierów i je przekazał. Mężczyzna pstryknął palcami i nagle zabłysło światło fluorescencyjnej lampy na baterie. Obaj znaleźli się w upiornej, białawej poświacie, jaką rzuciła. Mężczyzna czytał w milczeniu, od czasu do czasu śliniąc palec wskazujący przed przewróceniem strony. Mimo mroku w budynku było równie gorąco jak na ze-

265

wnątrz. Simon czuł, jak pot ścieka mu po plecach. Pomyślał tęsknie

0 wilgotnych, zamglonych polach wokół wiejskiej posiadłości Hartę'a w

Gloucestershire, skąd wyjechał poprzedniego tygodnia. Tu czuł się jak na innej planecie.

- Wszystko w porządku? - zapytał kilka minut później.

- Tak. OK. Obaj podpisujemy?

- Oczywiście. - Sięgnął do kieszeni marynarki po długopis. Spokojnie i wolno wyjął go i wyciągnął przed siebie.

Ktoś się roześmiał. Przekazał długopis, robiąc uprzejmość partnerowi, by podpisał się jako pierwszy.

Dziesięć minut później było po wszystkim. Podpisane dokumenty znalazły się w posiadaniu obu stron. Nastąpiła wymiana uścisków dłoni

1 Simon wyszedł. Skierował się do samochodu. Kwadrans po przekroczeniu rzeki, wezbranej teraz od deszczu, szykowali się do ponownego wjechania pod baldachim lasu.

Gdyby dopisało mu szczęście, za kilka godzin powinien znaleźć się w poczekalni na lotnisku

w Lunghi i odlecieć. Jakby nigdy go tu nie było. Dotknął lekko teczki, na dobrą wróżbę, i zamknął oczy.

61

Caryn spojrzała na zegarek i szeroko ziewnęła. Miała łzy w oczach. Druga nad ranem, sylwestrowa noc - a ona była zupełnie sama. Nik błagała ją, żeby przyszła na imprezę do Chelsea, ale ona odmówiła. Chciała spędzić swojego pierwszego sylwestra we własnym mieszkaniu sama, słuchając własnej muzyki i snując własne plany. Z zewnątrz dochodziły ją od czasu do czasu stłumione huki i gwizdy fajerwerków albo pokrzykiwania pijanych imprezowiczów, idących ulicą. Caryn była w zupełnie nowym, praktycznie pustym mieszkaniu. Raz po raz rozglądała się dookoła i patrzyła na świeżo pomalowane białe ściany, pola-kierowaną klepkę podłogi, proporcjonalną kuchnię znajdującą się przy jednej ze ścian salonu, kilka mebli, które należały do niej: sfatygowaną kanapę, którą dał jej kumpel Briana, biurko, będące prezentem od Nik, dwa krzesła, biblioteczkę, kilka rupieci z mieszkania w Baberton House,

266

które było jej domem przez ostatnie dwadzieścia kilka lat. Być może to niewiele, ale należało do niej.

Przeciągnęła się, unosząc ramiona nad głowę, i ponownie ziewnęła. Nadal nie mogła w to uwierzyć. Jej własne mieszkanie. Kupione, choć nie do końca spłacone. Nik i Tory uznały, że zwariowała - kredyt hipoteczny? W wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat? Ale Caryn była nieugięta. Nigdy nie posiadała niczego wartościowego, a już na pewno niczego, co byłoby warte pięćdziesiąt sześć tysięcy funtów. Ale - jak wyjaśnił jej uprzejmy młody facet z kasy oszczędnościowo-budowlanej - rata spłaty owych pięćdziesięciu sześciu tysięcy, rozłożonej na ponad trzydzieści lat, nie stanowiła jakiegóż przerażającej kwoty, by powstrzymać ją od stania się właścicielką niewielkiego, dwupokojowego mieszkania tuż przy St Charles Square. Pewna comiesięcznej pensji, wiedziała, że nikt jej tego nie odbierze. Nie potrafiła wyjaśnić im obu, że samo mieszkanie było więcej warte od żądanej ceny. Brian miał już piętnaście lat - był wystarczająco duży, żeby zadbać o siebie. I zresztą sam to zaproponował, czym jej zupełnie nie zaskoczył. Nie tyle chodziło mu o kupowanie mieszkania, ile o to, że powinna się wyprowadzić. Zacząć żyć własnym życiem. Powiedział jej łagodnie, że sam mocno stoi na ziemi. Miał piętnaście lat, Owen wrócił do domu. Stan Alice się nie zmienił - nie było ani lepiej, ani gorzej.

- Razem z Owenem będziemy się nią opiekowali - powiedział Brian, uśmiechając się do niej.

- Jezu, wystarczająco długo to robisz.

Spojrzeła na niego, nagle onieśmielona. Zaraz potem się uśmiechnęła. Oczywiście, wiedziała, że chłopak sobie poradzi. Od lat oboje dbali o Alice.

Uspokój się - upomniała samą siebie, machając ręką przed oczami, jakby chciała odpędzić łzy. Przestań. Takie samotne siedzenie w sylwestra z połową butelki wina w lodówce było otwartym zaproszeniem dla płaczu, a ona dość już się napłakała.

Wstała i podeszła do okna. Za kilka godzin nad miastem nastanie świt i zacznie się rok 2003. Początki zawsze mają w sobie coś z magii - pomyślała, patrząc na tereny wiktoriańskiego szpitala po drugiej stronie ulicy. Kolejny start, zamknięcie starych spraw i rozpoczęcie czegoś nowego. Na czysto. Z nadzieją. Gdzie się znajdzie za rok? Rok, który właśnie dobiegł końca, przyniósł kilka dobrych, niewyobrażalnych

?

267

zmian - nowe mieszkanie, nową pracę, nowe obowiązki. W sześć miesięcy po zatrudnieniu w Lighthouse Productions awansowała, pół roku później wspięła się o następny szczebel wyżej. Teraz, po półtorarocznej pracy, została asystentką reżysera, odpowiadała niemal za wszystko,

co jej powierzali, począwszy od codziennego harmonogramu scen, jeśli kręcili w studiu, po znalezienie z dnia na dzień czterystu statystów. Uwielbiała tę robotę - a wszyscy w Lighthouse wydawali się ją lubić. Firmę prowadziło dwóch facetów, Martin Gilman i Rupesh Patel, którzy znali się jeszcze z czasów szkolnych. Było tam w porównaniu z Crystal Vision jak dzień do nocy. Żadnych modnych biur na East Endzie, żadnego blichtru, białych komputerów i lakierowanych drewnianych parkietów, żadnych winiarni po drugiej stronie ulicy i zdecydowanie żadnych długonogich recepcjonistek w ciuchach od Prądy. W Lighthouse panowały dyscyplina, bezkompromisowość i przyziemne konkrety. Sami mówili, że „to firma producencka, robiąca filmy bez bajerów, wysokiej jakości, do dystrybucji w kinach i telewizji”.

Cóż, na pewno nie było tam bajerów, Caryn mogła za to ręczyć. Razem z nią sześć innych osób wypruwało sobie żyły w brudnym, niewielkim dawnym magazynie przy St Anne's Road, wcisniętym pomiędzy Holland Park i Ladbroke Grove. Poza Martinem i Rupeshem była tam Gita, kierowniczka planu w plenerze, Dave, odpowiadający za dźwięk, i Jeff, kierownik produkcji. Gita pochodziła z Niemiec, była twarda, nie dawała sobie wciskać ciemnoty i doskonale sprawdzała się w roli kierowniczki, której Caryn w głębi duszy prawie się bała. Jeff był nowojorczykiem - szybki jak błyskawica, niecierpliwy i kompletnie pochłonięty pracą Dave robił wrażenie uroczego głupka - kiedy zaczęła pracę, dał jej aż nadto do zrozumienia, że bardzo ją lubi, ale wspomnienie

0 związku - jeśli można to tak nazwać - z kimś z pracy wystarczyło, żeby na dobre ją zniechęcić do takich przygód. Odrzuciła jego zaloty w najłagodniejszy z możliwych sposobów. I oczywiście, Katie, pracująca na część etatu kierowniczka biura, która zajmowała się wszystkim, czego nie robiła Caryn. Nie istniało tam subtelne rozróżnienie „my

1 oni”, tworzące atmosferę, w której Rowland się pławił. Caryn przypuszczała, że wynikało to z niezwykłego życiorysu Martina - Oksford, potem wojsko, później bank handlowy, co prawdopodobnie było powieleniem ścieżki, jaką przeszedł jego ojciec.

Niemniej mając dobrze po

268

trzydziestce, nagle uświadomił sobie, co chciałby robić przez resztę życia. Zaryzykował wszystko i zaczął od początku. Nadal otaczała go aura człowieka nieznoszącego nonsensów, wyznającego dewizę „zabierzmy się do tego razem”, co nieodmiennie kojarzyło się jej z żołnierzem -twardym, zwalistym mężczyzną, który wyglądał tak, jakby wyszedł z łona z piłką do rugby w rękach.

On i Rupesh nie mogliby się bardziej różnić. Uroczy, zabawny Rupesh miał rozmarzone, ciemne oczy za okularami i gęste rzęsy, powiększone jeszcze przez soczewki. Studiował kiedyś grafikę użytkową, a potem -jak sam to określał - „odkrył dźwięk”. Skończył wszelkie możliwe studia i kursy dla dźwiękowców, a za jego marzycielską, artystyczną naturą kryła się niesamowita wiedza techniczna, która z kilku inżynierów dźwięku, znanych Caryn, czyniła w jej oczach kiepskich amatorów. Rupesh kochał dźwięk. Wszelkie rodzaje dźwięków. Muzykę, śpiew, nucenie, gwar, hałas tła, biały szum, szepty, echo... wszystko. Miał w komputerze ponad pięćdziesiąt tysięcy próbek i bez przerwy tworzył krótkie nagrania odgłosów, które go bawiły, wykorzystywane później, co Caryn czasami widziała, przy montażu. Jej praca w Lighthouse nie była dosłownie kreatywna jak Martina, ale jeśli nie wypełniła dobrze swoich obowiązków, on nie mógł robić tego, co do niego należało. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że po upływie półtora roku od zerwania z Rowlandem znajdzie się tutaj i będzie pokrzykiwała na operatorów kamer, przymilała się znudzonym śmiertelnie statystom, biegała zleceńodawców o więcej czasu, załatwiała sprawy z władzami, sprawdzała, czy wszystko idzie zgodnie z harmonogramem i założeniami budżetu. Kiedy kręcili film - niezależnie od tego, czy w studiu, czy w plenerze - biegała po planie z papierami w ręku,

upewniała się, że wszyscy są tam, gdzie być powinni, że dostarczono egzemplarze scenariusza, sufler był pod ręką, załatwiono catering. Czasami uświadomienie sobie tego porażało ją jak gromem. To ja. To teraz moje życie.

Odwróciła się od okna. Dość przemyśleń jak na jedną noc, nawet jeśli to był sylwester.

Istniała jedna mała, maluteńka rzecz, która nękała ją od czasu do czasu, ale starała się o niej nie myśleć. Chciała zacząć nowy rok, patrząc przed siebie, a nie wstecz. A najlepiej w ogóle o tym nie myśleć.

269

62

Simon przyjechał tuż po jedenastej wieczorem. Impreza była już w pełni rozkręcona, muzyka i śmiech mieszały się ze strzelaniem korków szampana. Przecisnął się przez zatłoczony korytarz, omijając płaszcze i torby znajdujące się po jednej stronie i grupy ściśniętych ludzi po drugiej. Powiesił kurtkę i szalik, przepchał się przez ostatnie skupisko gości przy drzwiach i dotarł do kuchni. Po sześciu tygodniach odganiania się co chwila od wielkich robaków i przedzierania się w otoczeniu nerwowych ochroniarzy przez listowie, które oddychało w gęstym deszczowym lesie, szerokie, gwarne ulice Londynu i wilgotny, rześki chłód odbierał jak rozkoszny szok.

- Coś do picia? - zapytał ktoś, unosząc do góry butelkę czerwonego wina.

Simon spojrzął ponad stołem. Kobieta z krótkimi, czarnymi włosami, w obcisłej czerwonej sukience spojrzała na niego zalotnie. Palcami o czerwonych paznokciach otaczała kieliszek, trzymany przy twarzy.

- Jesteś przyjacielem Maddiego? - zapytała, uśmiechając się prowokacyjnie i urzekająco.

- Dzięki. - Wziął kieliszek, który mu podała. - Nie, nie jestem.

- W takim razie kogo tutaj znasz? - Upiła łyk wina i popatrzyła na niego. Spojrzenie miała śmiałe i agresywne.

Westchnął. Po tygodniu we Freetown miał szczerze dość agresywności.

- Alison Graeme - odrzekł krótko.

- Och, jesteś jednym z chłopców Ally - odezwała się i podeszła bliżej.

- Nie, nie. Tylko przyjacielem.

- Och, wyborne. Tylko przyjaciel...

Stłumił w sobie chęć odepchnięcia jej. Tego właśnie najbardziej nie lubił na przyjęciach - bezczelnych, pijanych kobiet. Alkohol również ją oszpecał.

- Simon! Si-mon! - zawołał ktoś z drugiego końca pomieszczenia.

Obrócił się z wyraźną ulgą. To była Alison. Przecisnął się obok pijanej kobiety, nie zadając sobie trudu, by ją przeprosić, i dołączył do Alison w dalekim końcu kuchni.

270

wm

- Simon! - Wykrzywiła się w uśmiechu, najwyraźniej zadowolona z jego widoku. - Przyszedłeś! Myślałam, że nie dasz rady.

- Tak. Przepraszam za lekkie spóźnienie. Zasnęłam. Dopiero co wróciłam. - Pocałował ją w oba policzki.

- Dotarłeś przed północą, w sam czas, kochanie. Chodź, chcę ci przedstawić kilka osób. Jak długo będziesz w mieście? I gdzie jest ten twój śliczniutki brat?

- W Nowym Jorku - odpowiedział, pochylając się przy przechodzeniu przez drzwi. - Zobaczę się z nim w przyszłym tygodniu. Wpadłem tu tylko na kilka dni.

- Wielka szkoda. Cóż, przekaz mu, że wszyscy za nim tęsknimy - powiedziała Alison, przeciskając się przez tłum gości. - Minęły całe wieki. Och, witam! - Zatrzymała się przy niewielkiej grupce ludzi, usiłujących rozmawiać mimo panującego hałasu. - Simon. To Jamie.

Jamie, Simon to jeden z moich najstarszych przyjaciół - mówiła, zadowolona, że ma ich obu razem. - Z uniwersytetu. Długo się znamy. A to jest Nik... ona też....

- Ally! - ktoś jej przerwał, chwytając ją w pasie.

Simon patrzył z rozbawieniem na odciąganą Alison, prawdopodobnie po to, by kogoś jej przedstawić. Zwróciła do niego twarz z miną udawanej bezradności i pozwoliła się poprowadzić. Pokręcił głową, uśmiechnął się i obrócił do osoby, której nie zdążyła mu do końca przedstawić.

Kobieta odezwała się pierwsza.

- Cześć, jestem Nik. Przepraszam, ale nie dosłyszałam twojego imienia.

Wpatrywał się w nią. Wysoka, niższa od niego jedynie mniej więcej o pół głowy, smukła, o ciemnych, połyskliwych włosach opadających na ramiona, pięknie ukształtowanych brwiach nad lekko skośnymi piwnymi oczami i kościach policzkowych, o które można by otwierać piwo. Była ubrana na czarno. Włosy ześliznęły się jej z powrotem na ramiona, gdy odsunęła je na plecy. Niemal czuł ich dotyk w rękach. Ucisnęła mu rękę mocno i krótko.

- Simon - powiedział, szybko odzyskując panowanie nad sobą.

- Pewnie przyjaciel Ally - odpowiedziała z lekkim uśmiechem, kiedy oboje patrzyli na Allison ciągniętą teraz na parkiet do tańca.

271

- Tak. - Zawahał się. - A ty?

- Tak samo. Zabawne, nie widziałam cię na żadnej z jej imprez.

- Pra... pracuję za oceanem - powiedział, usiłując nie wpatrywać się w nią.

Niespodziewanie zrobiło mu się sucho w ustach. - Chyba... chyba czegoś bym się napił. Przynieść ci coś?

- Kieliszek czerwonego, dzięki. - Wyciągnęła przed siebie rękę z prawie pustym kieliszkiem.

- Wracam za sekundę. - Odwrócił się i ruszył do kuchni. Spozrzegł kobietę spotkaną wcześniej, która teraz z kimś się całowała. Był bezpieczny. Uśmiechnął się i wziął dwa kieliszki z czerwonym winem.

- Na zdrowie - powiedział, podając jeden z nich Nik.

Wypił odrobinę. Po sześciu tygodniach, w czasie których był skazany jedynie na ciepławe piwo Star, smak wina rozkosznie rozszedł mu się po podniebieniu.

- Na zdrowie - odpowiedziała, stukając się z nim kieliszkiem. W chwilę potem spojrzęła na zegarek.

- Zostało dziesięć minut. Przyszedłeś w samą porę.

- Tak. Zaspałem. Niedawno wróciłem.

- Z...?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zjawiała się Alison, ponownie im przerywając.

- Wy, dwoje, chodźcie tutaj! Będziemy z dachu oglądać sztuczne ognie. No, dalej!

- Lepiej będzie posłuchać szefowej. - Nik uśmiechnęła się do niego.

Zabrakło mu tchu. Perłowobiałe zęby, szeroki, szczerzy uśmiech, który rozpromieniał całą jej twarz. Była cudowna. Zachwiał się na nogach. To wino. I zmęczenie po podróży.

Z resztą gości przeszli na taras wychodzący na Tamizę. Ze wszystkich stron widać było fajerwerki. Niebo eksplodowało raz po raz wspaniałą orgią kolorów i światła. Wszyscy zaczęli głośno odliczać. Dziesięć. Dziewięć. Osiem. Popatrzył w dół na Nik. Uśmiechała się, trzymając kieliszek przy ustach. Siedem. Sześć. Pięć. Podniosła na niego wzrok. Uśmiech miała słoneczny, spontaniczny, jej spojrzenie nawet w przyciemnionym świetle wydawało się czyste i bezpośrednie. Poczul, że coś się w nim poruszyło. Było to nagłe, bardzo przyjemne uczucie. Pochylił głowę ze śmiałością, która go zaskoczyła, i pocałował ją.

272

- Szczęśliwego Nowego Roku - wyszeptał, odrywając się od niej kilka chwil później.

Usta miała ciepłe i wilgotne. Musiał stłumić w sobie chęć ponownego schylenia się do nich. Wyraz twarzy Nik niczego nie zdradzał. Wstrzymał na sekundę oddech, gdy się jej przyglądał.

- Szczęśliwego Nowego Roku - odpowiedziała łagodnie.

Wpatrywali się w siebie nawzajem.

- Chciałabyś może... co powiesz na szampana? - zapytał, nie mogąc znieść napięcia, które go ogarnęło. Miał ochotę na znacznie więcej niż tylko całowanie jej.

Skinęła głową.

- Z przyjemnością. - Głos miała niski i trochę zachrypnięty. Było w nim coś, czego nie potrafił odgadnąć. Wątpił ślad czegoś... nie na tyle silnego, by uznać to za akcent, ale jednocześnie dobrze znanego i tajemniczego. Dotknął jej ramienia tuż nad łokciem i obrócił się, żeby wrócić do mieszkania. Chciał dowiedzieć się więcej - bardzo niezwykle jak na niego.

Dotarcie do kuchni przez tłum zabrało mu trochę czasu. Mieszkanie wyglądało jak w czasie oblężenia. Sięgał już lodówki, kiedy ktoś złapał go w pasie. To była Alison. Uśmiechnęła się do niego.

- Aha! Przyłapałam cię! - zawołała, przekrzykując gwar.

- Na czym? - Odpowiedział jej uśmiechem.

- Na obcałowywaniu Nik Hartę. - Roześmiała się. - Powinnam się domyślić, że wpadniecie sobie w oko. Uważaj, jest tak ładna, że trudno się oprzeć. Córka Jima Harte'a, ni mniej, ni więcej!

Simon poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Wpatrywał się w nią.

- Jima Hartę'a? Jesteś pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna! Znam ją od wieków. Zabawne, pomyślałabym, że wy dwoje... co się stało?

- Al. - Simon usiłował zapanować nad łamiącym się głosem. - Wyświadczysz mi przysługę? - Chwycił ją pod ramię i wyprowadził na korytarz.

Podniosła na niego wzrok, uśmiech zniknął jej z twarzy.

- Jasne. O co chodzi?

- Muszę iść. Gdyby Nik... gdyby pytała o mnie, czy mogłabyś po-

273

wiedzieć, że nie masz pojęcia, gdzie jestem? - Zawahał się. - Posłuchaj, wiem, że proszę o wiele, ale czy powiesz, że nic o mnie nie wiesz? Nie mów jej, skąd jestem. Proszę. To nie ma z nią nic wspólnego. Nie mogę ci więcej powiedzieć. To skomplikowane.

Alison wpatrywała się w niego bez mrugnięcia powieką.

- Dobrze. Nie powiem. Ale dobrze się czujesz? Nie wyglądasz...

- Nic mi nie jest. Naprawdę. Lepiej będzie, jeśli pójdę. Zadzwoń do ciebie, jak znowu będę w mieście. - Uścisnął ją szybko i odwrócił się, mając nadzieję, że nie wpadnie na Nik Hartę, zanim dotrze do frontowych drzwi. Wziął kurtkę i szalik, po czym wyszedł po cichu. Już na zewnątrz oparł się na kilka sekund o ścianę i ciężko oddychał. Serce waliło mu jak młotem. Właśnie pocałował córkę Jima Harte'a. Jezu Chryste! To nie był powód do śmiechu, prawda?

63

Kwiatowe Historie wypełniły jej całe życie. Minęło półtora roku od początku działalności kwiaciarni, a ona miała wrażenie, że dopiero zaczyna się uczyć, bo po każdym udanym ślubie czy święcie jakiejś firmy na nieszczęście nie trzeba było czekać. Nadal nie mogła myśleć o banku Midland bez przypominania sobie o prywatnym lunchu zorganizowanym w tej instytucji tej jesieni. Totalna i beznadziejna katastrofa. Planowała tę imprezę przez całe tygodnie - soczyste, jesienne kolory, brązy, rdzawa czerwień, złoto... zamówiła dwieście orchidei cambra plush, przetransportowanych samolotem z Tajlandii za spore pieniądze. Noc

przed lunchem układała je z artystycznym wyczuciem w całym pokoju w pięknych, kremowych wazonach z porcelany. Orchidee okazały się prześliczne, pełne wyrazu, krwistoczerwone. Zwisały łukami znad brzegów wazonów, a ich ciemnozielone, woskowe liście nadawały kształt całej kompozycji. Kiedy zgasła światła tuż po północy, wszystko wyglądało cudownie. Pan Threlfall, bankier ojca, i człowiek odpowiedzialny za zlecenie Kwiatowym Historiom udekorowania sali na lunch, obejrzeni jej dokonania wczesnym wieczorem.

- Robi wrażenie - powiedział bankier, unosząc kciuk.

274

Zwykle ascetycznie wyglądająca sala recepcyjna na parterze eleganckiego budynku przy Fenchurch Street zmieniła się nie do poznania.

To właśnie pan Threlfall zadzwonił do niej o wpół do dziesiątej następnego ranka. W jego głosie usłyszała panikę. W nocy wyłączono ogrzewanie i wszystkie pączki zwiędły. Z dwustu pyszniących się kolorami kwiatów zostały jedynie zwarzone zielone liście, zwiędłe płatki i gołe łodygi. Spotkanie miało się rozpocząć o dziesiątej. Straciła tego klienta.

Tydzień później zjawił się u niej facet z kontroli skarbowej.

Ktoś dyskretnie zakaszał. Tory podniosła wzrok, ściągnięta brutalnie z powrotem do terażniejszości. Stał przed nią młody mężczyzna, trzymający wielki bukiet niebieskich ostróżek. W pierwszej chwili pomyślała, że miał najpocziwszą twarz, jaką w życiu widziała. Nie wiedziała, dlaczego akurat taka myśl przyszła jej do głowy - nie uśmiechał się ani nic takiego - niemniej takie wrażenie robiły jego ciemnobrązowe oczy, brwi i sposób, w jaki schodziły się lekko pośrodku, nadając mu ujmujący, jakby stale zaciekawiony wyraz twarzy. Miał krótkie brązowe włosy, ostrzyżone w modny sposób, udający potarganie - tak jak czesali się trzydziestokilkuletni bankierzy i typy z City. Był w pięknie skrojonym garniturze, z nikłym śladem po wakacyjnej opaleniznie na twarzy... Powstrzymała się, ze wstydem uświadamiając sobie, że nigdy jeszcze tyle nie myślała o żadnym biednym kliencie, który wpadł jedynie po to, żeby kupić kwiaty dla żony. Albo dla dziewczyny.

- Cześć - powiedziała pogodnie, obwiązując kawałkiem rafii bukiet z dali i układając usta w najbardziej profesjonalnym uśmiechu. - Czym mogę służyć?

Głos miał przeuroczo niski, barytonowy.

- Oui... tak. Szukam kwiatów - powiedział. - To jest kwaciarnia, non! - Uśmiechnął się do niej. Był Francuzem. Dźwięk tego języka w jednej chwili przywołał wspomnienia, które sprawiły, że jej nogi stały się jak z waty. Ucieszyła się, że siedzi na stołku.

- Tak, to kwaciarnia. - Policzki jej płonęły.

- A więc... tak. Chciałbym kupić kwiaty. Myślę, że te. - Wyciągnął przed siebie bukiet. - Wyjąłem je z wiadra przed sklepem, czy to dobrze?

Zmusiła się do tak pogodnej odpowiedzi, na jaką było ją stać.

275

- To dla kogoś wyjątkowego?

- Ach. Pourquoi?

Tory szybko się uśmiechnęła.

- Och, nic takiego... chodzi o to, że mamy też historyjki związane z każdym kwiatem.

Na kartonikach. - Sięgnęła i wyjęła przykładową historię. - Takie jak ta.

Wziął od niej kartonik. „Werbena. W czasach wiktoriańskich owijano splecionymi w łańcuch werbenami gardło chorego dziecka z nadzieją na jego wyzdrowienie”. Oddał jej kartonik.

- Och, to barrrdzo ładne. A co mówią te kwiaty? - Wskazał na ostróżki.

Tory szybko przeszukała zestaw kartoników i wyciągnęła odpowiedni.

- „Ostróżka, znana też jako delfinium, co po grecku oznacza małego delfina” - przeczytała. - To z powodu kształtu kwiatków. - Zapadła krótka, krępująca cisza.

- Hm. Mały delfin... non... ona nie jest delfinem. - Uśmiechnął się krzywo. Tory zdała sobie sprawę z jego rozczarowania. A więc kwiaty były dla żony albo dziewczyny. - To zbyt... - szukał odpowiedniego słowa.

- Banalne?

- Oui, c'est ça. Wolałbym coś plus simple.

Ogromnie się jej podobało, jak mieszał francuski z angielskim. Puls jej wtedy przyspieszał. Zsunęła się ze stołka i podeszła do lady wystawowej.

- Te są urocze - powiedziała, biorąc nadal ociekający wodą bukiet róż z gatunku ecstasy. - Wspaniale pachną i stoją dobrze ponad tydzień.

- Ach, oui, to jest to. Parfait.

Szybko zawinęła je w firmowy brązowy papier, przewiązała rafią i wybrała odpowiedni kartonik. „Kwitnij, ukochana, kwitnij, stań się różą różą krnąbrną i bezcelową, różą tylko dla różowości, bez ukrytych powodów dla mnie to więcej, niż trzeba, gdy kwiat się rozchyła”*. Zmarszczyła czoło. Gdzie, do licha, ojciec to wynalazł?

* Przekład Krzysztofa Ołtaka.

276

- No więc ten kartonik jest przypisany do róż ecstasy - powiedziała, podając mu go. - To wiersz. Najprawdopodobniej D. H. Lawrence'a.

- Ach. Gdybym był księżyce, wiedziałbym, gdzie zająć. - Tory spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc. - To także napisał D. H. Lawrence. To powieść.

Musiała się roześmiać. Powiedział to tak prostolinijnie. Prawie natychmiast została nagrodzona uśmiechem tak szczerym i ciepłym, że niewiele brakowało, by się cofnęła.

- Ja... muszę wsadzić te kwiaty do wody - wyjąkała. - Za... za... zaraz wracam.

Pięć minut później już go nie było. Tory stała przy stole i patrzyła za nim. Och, cóż... otrząsnęła się z myślenia o tym facecie. Przyszedł, żeby kupić kwiaty dla dziewczyny. I tyle. Myślenie o nim nie miało najmniejszego sensu. Tymczasem powinna zająć się innymi, ważniejszymi sprawami. Jak choćby tym, czy w ogóle kiedyś wyjdą na swoje, nie mówiąc o zysku. Kwiatowe Historie na razie jedynie utrzymywały się na rynku. Było trudniej i ciężiej, niż kiedykolwiek przypuszczała. Mogła wszystko stracić i musiała bardzo dużo się uczyć. Mimo to za każdym razem, gdy myślała o poddaniu się i powiedzeniu, że to już koniec, przypominała sobie, co widziała w twarzy ojca w dniu podpisania umowy najmu - dumę, niepokój, troskę o przyszłość... jego odczucia były odbiciem jej własnych. I gdzieś wśród emocji, które ich opadały, dostrzegła coś innego, coś, co umarło w jej rodzinie w dniu, kiedy Susie nie wróciła do domu. Nadzieję. To właśnie ona bardziej niż cokolwiek skłaniała ją do działania. Nadzieja, że pewnego dnia, kiedyś, ból zmaleje, a życie będzie mogło i powinno toczyć się dalej. To dlatego nie mogła zrezygnować. Również tego dnia po raz pierwszy w życiu poczuła sympatię do kogoś, kto nie miał nic wspólnego z Susie ani przeszłością lub jej wysiłkami, by od niej uciec. Jaka szkoda, że już był związany z kimś innym.

Po jego trzeciej wizycie w kwaciarni w takim samym odstępie czasu sprawa wreszcie się wydała. Młody Francuz nie kupował kwiatów dla żony ani dziewczyny - przychodził do Kwiatowych Historii, żeby zobaczyć Tory. Ona zaś nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

277

- Powiedz: tak - zaproponował po prostu. - Obiad, to wszystko. Naprawdę. Nie proszę o nic więcej. Rien.

- Nie o to chodzi. - Tory musiała się roześmiać.

- Tak? To o co?

Zawahala się.

- Nie znam cię - odpowiedziała w końcu.

- Et alors? Jak masz mnie poznać, skoro nie chcesz się ze mną umówić?

Ze mną. W głowie miała mętlik. Jego logika była bezbłędna. Głęboko odetchnęła.

- OK - powiedziała ostatecznie. - OK, tak, j'accepte. Pójdę z tobą na obiad.

Był bardzo zadowolony.

- Mówisz w moim języku! Cudownie. Impeccable.

- Raczej niewiele. - Tory się śmiała. - Znam kilka słów, to wszystko.

- Wystarczy. Na początek. Nauczę cię wszystkiego - zadeklarował w typowy dla Galów teatralny sposób, który znała aż nazbyt dobrze. -A przy okazji, mam na imię Luc. Właściwie Loïc. Ale możesz nazywać mnie Luc.

- Tory. Właściwie Victoria. Ale możesz nazywać mnie Tory.

- Widzisz? Już teraz mamy coś wspólnego.

Tego wieczoru przy obiedzie okazało się, że rzeczywiście był bankierem, pracował w Credit Suisse i odbywał już drugi staż w City. Pochodził z małej wsi niedaleko Bordeaux, jego rodzice mieli gospodarstwo rolne. Kwiaty były dla matki - powiedział jej z uśmiechem.

- Na wypadek gdybyś się nad tym zastanawiała. Miała urodziny. Pierwszy raz w Londynie.

- Ja? Och, nie... - Tory skłamała. A potem zaczerwieniła się aż po czubek głowy.

Był na tyle uprzejmy, że w ogóle tego nie skomentował.

- Myślę, że wolałaby... jak też je nazywacie? Małe delfiny?

- Delfinium.

- Oui. Róże były odrobinę... de trop. Zawsze martwi się, że takie rzeczy są za drogie.

278

- Powinieneś mi powiedzieć, że chodzi o mamę. - Tory ukryła usta za kieliszkiem wina. Czar, jaki Luc roztaczał, był prawie namacalny.

- Ale wtedy w ogóle nie zwróciłabyś na mnie uwagi.

- Nie zwróciłam.

- Ach, oui.

Na drugiej randce w następny weekend dowiedziała się czegoś więcej. Miał trzydzieści jeden lat. Mieszkał sam w niewielkiej kawalerce w Battersea. Uwielbiał piłkę nożną i miał za sobą dwa poważne związki.

- Nie chcesz, żebym ci o nich opowiedział? - zapytał, gdy stało się jasne, że Tory nie ma zamiaru go wypytywać.

- Nie. Nieszczególnie. Po co?

- Ależ wszystkie kobiety chcą wiedzieć takie rzeczy. O ostatniej i tak dalej.

- Ja nie.

- Vraiment? Za to ja chcę wiedzieć dużo o tobie.

- Przecież sporo o mnie wiesz - powiedziała ostrożnie.

- Tak, ale nie znam szczegółów.

- Szczegóły nie mają znaczenia - odrzekła, godząc się na delikatne głaskanie przez niego po policzku.

- Oczywiście, że są ważne. Jak inaczej miałbym cię poznać? To znaczy, tak... wiem, że prowadzisz wspaniały interes, że jesteś mądra, utalentowana i très belle, to jasne... oui, wiem to wszystko. Ale co ze szczegółami?

Milczała. Na to nie była przygotowana. Domyślała się, że częściowo pociągała ją w nim niefrasobliwość, której jej brakowało. Nie spodziewała się jednak aż takiej otwartości, wspaniałomyślnego, nieskomplikowanego sposobu, w jaki oddawał się już na drugiej randce zupełnie w jej ręce. Ona tak nie potrafiła. Nie była pewna, czy Luc poradzi sobie z tym, co nazywała poważniejszym wymiarem życia. Jak ona.

- Cóż - zaczęła powoli - nie mam wiele do opowiadania. To znaczy wychowałam się w Londynie, w Fulham... to niedaleko miejsca, gdzie mieszkasz. Nadal mieszkam z rodzicami.

Wiem, że powinnam się wyprowadzić. Ale to nie takie proste. - Milczała przez chwilę, a potem głęboko odetchnęła. - Miałam siostrę. Została zamordowana, kiedy nie
279

skończyłam jeszcze szesnastu lat. Nie dogaduję się z matką. Czasem mam wrażenie, że wolałaby, by to moja siostra żyła, a nie ja. To kilka szczegółów, jeśli chcesz je tak nazywać. - Uniosła głowę i wpatrywała się w niego niemal prowokacyjnie. Luc patrzył na nią z takim przejęciem, że jego zwykle otwarta, rozpromieniona twarz wydawała się prawie komiczna. - No więc - wymamrotała, opuszczając ponownie głowę nad talerzem - sam chciałeś wiedzieć. Wielu mężczyzn to już by odstraszyło. Ale najwyraźniej nie Luca.

W milczeniu wyszli razem z restauracji. Robił wrażenie, jakby rozumiał instynktownie, bez pytania, że następny ruch należy do niej.

- Dokąd chciałybyś pojechać? - zapytał, uruchamiając samochód.

Tory po raz kolejny odetchnęła głęboko.

- Do Battersea? - zapytała, prawie nieśmiało. Ręka, która dotykała jej kolana, była ciepła. Pocałował ją i odebrała to jako obietnicę tego, co miało nadejść.

Był skupiony, kiedy się z nią kochał, jakby nic na świecie nie mogło odwrócić od tej chwili jego uwagi. I był też delikatny. Tory przez cały czas miała otwarte oczy, jakby chciała przypominać sobie, kim był. Oczywiście, gdy szeptał po francusku czułe słówka, natychmiast skojarzył się jej z Thierryem - był pierwszy od tamtej pory. Ale Luc w niczym go nie przypominał. Thierry był sprawnym, doświadczonym kochankiem, bez krzty spontaniczności czy szczerości. Mężczyzna leżący teraz obok niej bardzo się od niego różnił. W chwilę potem, gdy doszedł i bezsilny opadł w jej ramiona, ogarnęło ją silne, przyjemne uczucie, najbliższe orgazmu, jakiego doznawała, choć wcale jej na tym nie zależało. Zamiast tego pławiła się w ciepłe, dotyku jego ramion, pieszczotach i miłości. Luc miał w sobie tyle ciepła - ogromnie dużo - i dzielił się nim. Leżała pod nim, piersi unosiły się jej i opadały w równym rytmie z jego oddechem. W jego gardle rozległ się jakiś cichy dźwięk, poruszył lekko ręką, jakby nie do końca było mu wygodnie, a ona zakryła jego rękę własną dłonią. Czowała, że się uśmiechnęła. Pomyślała krótko o Caryn i Nik. Zastanawiała się, co powiedzą.

280

64

Caryn przyniosła kubek z herbatą i usiadła na sofie. Dochodziła dziewiąta. Był ciemny, deszczowy wieczór, dzięki czemu do pewnego stopnia łatwiej przyszło jej pogodzić z faktem, że nadal pracowała. Zamiast... cóż, zamiast czego? Uśmiechnęła się smutno do siebie. Nik ciągle marudziła o tajemniczym zniknięciu jakiegoś faceta, którego spotkała na imprezie sylwestrowej, a Tory w nietypowy dla siebie sposób była zaabsorbowana mężczyzną, którego poznała w kwaciarni - z drugiej strony ona nie poznała nikogo - i dlatego ona sama siedziała w domu w piątkowy wieczór, zajęta pracą

Westchnęła i wzięła notatki, które Martin przewidująco położył na jej biurku. Chciał zrobić adaptację sztuki granej w teatrze Soho, pod pewnymi względami mocnego kawałka. Budżet był mikroskopijny. Caryn pomyślała, że nie będą w stanie zbudować dekoracji. Zapisała na marginesie: „Bez dekoracji”. Ktoś - prawdopodobnie ona - będzie musiał zacząć rozglądać się i stworzyć listę możliwych lokalizacji. Na krótką chwilę ogarnęło ją podniecenie. Choć technicznie nie odpowiadała za takie rzeczy jak lokalizacje czy castingi, to ona rozpoczynała cały proces ich prowadzenia, co uwielbiała robić. Przewertowała roboczy scenopis i zaczęła wyobrażać sobie możliwy scenariusz. Sztuka opowiadała o randkach w Londynie, o czterech różnych parach z czterema różnymi problemami. Natychmiast się wciągnęła. Wiele z tego mogłoby powstać z myślą o niej - poza tym, oczywiście, że z nikim się nie spotykała. Przystąpiła od rozdzielania zadań i spisywania ich listy dla każdego z nich. Castingi,

lokalizacje, scenarzyści, technicy, próby... w nadchodzących tygodniach ona i Martin będą ściśle współpracowali, podejmując "najważniejsze decyzje, by zdjęcia mogły rozpocząć się jak najszybciej i żeby sprawnie to szło. Martin zaczął na niej polegać -przynajmniej tak powiedział. Caryn umiała przewidywać problemy na długo, zanim ktokolwiek o nich pomyślał. To oszczędzało czas - i oczywiście pieniądze. A oszczędzanie pieniędzy bardzo, bardzo cieszyło Martina.

281

65

Mat rozłożył przed sobą arkusze, uważając, by trzymać się zasad systemu, jaki wynalazł do zapewniania różnych aspektów życiorysu, nad którym pracował przez ostatnich kilka miesięcy. Zaczęło się od prostego śledztwa, zaplanowanego na dwa miesiące, które przeciągnęło się do trzech, czterech, potem pięciu miesięcy. Prawdę mówiąc, zdziwił się, dostając wolny czas, ale w miarę rozwijania się dochodzenia rosła też jego ciekawość i w rezultacie nie potrafiłby tego zostawić, nawet gdyby chciał. DiAngelo był cierpliwy. „Dowiedz się o nim wszystkiego, czego zdołasz - powtarzał. - Nie obchodzi mnie, jak długo to potrwa”. Cóż, w sumie sześć miesięcy. Przez cały ten czas pracował sam nad jedną, bardzo absorbującą historią, której wyników nawet on nie potrafił przewidzieć. Co DiAngelo zamierzał zrobić z tymi informacjami? - zastanawiał się. Odmawiał spotkań z Matem w trakcie zbierania materiałów - podpisywał jak należało rachunki za podróże i zwroty kosztów bez mrugnienia powieką. A Bóg mu świadkiem, przez ostatnie pół roku Mat był niemal wszędzie. W Nowym Jorku, Londynie, Harare, Johannesburgu, Kinszasie, Lomé, Freetown... przemierzał Atlantyk z częstotliwością, z jaką niektórzy ludzie poruszają się między pięcioma dzielnicami w Nowym Jorku. Nie było łatwo. Przy jednej pamiętnej okazji, gdy usiłował dostać się z Dakaru do Praii, odległych od siebie o sześćset czy siedemset kilometrów, musiał przelecieć sześć tysięcy kilometrów z powrotem do Paryża, później lecieć do Lizbony, odczekać sześć godzin, żeby potem odbyć czterogodzinny rejs samolotem na Wyspy Zielonego Przylądka. Przebycie sześciuset czy siedmiuset kilometrów zabrało mu dwa dni. Ale warto było. To, czego się dowiedział tylko podczas tej jednej podróży, stanowiło trzon jego raportu.

Otworzyły się drzwi sali konferencyjnej i DiAngelo wkroczył energicznie w towarzystwie dwóch mężczyzn. Mat jednego z nich rozpoznał.

- Dobrze cię widzieć, Mat - odezwał się DiAngelo serdecznie. Wymienili uścisk dłoni. - Poprosiłem tych panów, żeby do nas dołączyli -mówił dalej. - Don McCormack, którego chyba nie znasz, i Winston Freedland. Powinienem powiedzieć: sir Winston. Ach wy, Brytyjczycy, i te wasze przekłete tytuły. - Uśmiechnął się. Mat starał się ukryć zasko-

282

czenie. Sir Winston Freedland? Co on tu robił? Był właścicielem wielu brytyjskich gazet, w tym „Financial Timesa”, najgroźniejszego konkurenta „World Economic Digest”. Co się tu działo? - Wyjaśnię ci wszystko później - powiedział DiAngelo, czytając z wyrazu twarzy Mata. - Tymczasem możemy rozmawiać zupełnie otwarcie. Niczego nie przemilczaj.

- Nie ma problemu.

- Ach... Leonie... - DiAngelo przeniósł wzrok na Leonie, która właśnie weszła z tacą z kawą i bajglami. - Chyba czytasz w myślach. Mam przeczucie, że trochę tu posiedzimy. Mat odruchowo poprawił krawat. Niewiele sytuacji mogło przyprawić Matariego Ndavę o nerwowość - to spotkanie było jedną z nich. Nadal nie do końca wiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

- W porządku, panowie. Zaczynamy - powiedział DiAngelo, gdy wyniesiono ostatnią filiżankę po kawie. Odchylił się w fotelu, skrzyżował ręce za głową i spojrzał z oczekiwaniem na Mata. - Głos należy do ciebie.

Mat wstał, odchrząknął i odwrócił się do rzutnika. Wsunął pierwszą folię i ponownie obrócił się do trzech mężczyzn.

- Podzieliłem raport na trzy oddzielne tematy. Pierwszy to historia RhoMine, którą jak przypuszczam, dobrze znacie, panowie. Potem zapoznam was krótko z ogólną sytuacją geopolityczną Afryki Południowej i w końcu przedstawię szczegółowo życiorys Jima Harte'a. Wszyscy, panowie, dostaniecie egzemplarze raportu, zanim to spotkanie się skończy. Sir Winston wychylił się do przodu. Jego korpulentne ciało było wcisnięte w jeden z wygodniejszych foteli, mimo to nie wyglądał na zadowolonego. Pulchnymi palcami bawił się bezmyślnie długopisem, ale niebieskie oczy miał czujne. Choć miał opinię rozpustnika i człowieka powierzchownego, bardzo niewiele uchodziło jego uwagi.

- Streszczaj się, synu - powiedział odrobinę protekcyjnym tonem. - Muszę zdążyć na samolot.

Mat go zignorował. Jak wielu potentatów sir Winston wykorzystywał każdą nadarzącą się okazję, żeby przypomnieć ludziom o swojej pozycji. Usłyszał, jak DiAngelo stłumił westchnienie irytacji.

- Część sukcesu Hartę'a wynikała oczywiście ze zmiany stosunko-
283

wo mało znaczącej kopalni w globalny konglomerat, którym RhoMine jest obecnie - kontynuował gładko. - Większość materiału zawartego w raporcie została opisana drobiazgowo przez innych ludzi, zwłaszcza po złożeniu przez Hartę'a oferty kupna londyńskiego „Telegraphu”. Jak zapewne, panowie, wiecie, przez ostatnich kilka lat wypierał się zarzucanego mu procederu prania brudnych pieniędzy i uchylania się od płacenia podatków, na ustalenie czego rząd angielski wydał całkiem pokaźną sumę. - Mat przerwał. - To wyjątkowo skomplikowany człowiek. Na szczęście tylko początkowo założyłem - zapewne jak wszyscy - że na jego życiorys składają się w mniejszym lub większym stopniu ogólnie znane fakty. - Popatrzył po kolei na trzech mężczyzn siedzących naprzeciwko niego. W powietrzu wyczuwało się napięcie. - Tyle że wtedy życiorys Jima Harte'a nie mógłby być dalszy od prawdy. Jego interesy -jeśli popatrzy się przez palce na szwindle podatkowe - są właściwie prowadzone stosunkowo uczciwie, ale taka ocena jest możliwa tylko wtedy, gdy - i to interesująca sprawa - zrozumie się człowieka ukrytego za korporacją.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał McCormack, marszcząc czoło. -Ropa, mangan, boksyt, diamenty... dorzucmy do tego dystrybucję samochodów i kilka banków... to za duży rozrzut. Po co mu tyle niezwiązanych ze sobą przedsięwzięć?

- Cóż, sprawa wygląda następująco. Z pozoru Hartę sprawia wrażenie zwykłego faceta. Tak, ma więcej pieniędzy niż inni, ale to solista, jak powiedzieliby Włosi. Należy do wszystkich odpowiednich klubów. Ma domy w Anglii i Zimbabwie, willę w Alpach, dom letniskowy na Bahamach... Wszystko się zgadza, mam rację?

- Dokąd zmierzasz, Mat? - zapytał DiAngelo, trochę zniecierpliwiony. Mat uniósł dłonie.

- Pozwólcie dokończyć, panowie. Hartę podszywa się pod ogólny wizerunek, jeśli można tak powiedzieć, określonego rodzaju człowieka. Ale - i tu zaczyna się interesująca sprawa - Jim Hartę nie jest takim człowiekiem. Oto co nam się wydaje, że o nim wiemy. Brytyjczyk, urodzony na początku lat trzydziestych, w wieku dziewiętnastu lat wyjechał do Rodezji. Pracował w kilku lokalnych firmach należących do Brytyjczyków do chwili, gdy w wieku dwudziestu trzech lat kupił

284

pierwszą kopalnię, Kenyembę. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ożenił się w Londynie z Angielką Jane Gough-Miller, córką lorda Gougha-Millera. Ma z nią dwóch synów, którzy teraz zarządzają różnymi gałęziami jego interesów. Starszy, Patrick, ożenił się kilka lat temu z córką sir Jamesa Barclaya, Annette. Jane Gough-Miller zmarła po kilku latach. Plotka głosi, że popełniła samobójstwo, ale niczego nigdy nie udowodniono. Krótko po jej śmierci ożenił się z Sarah Parker, przyjaciółką Jane jeszcze ze szkoły w Anglii. Mieli córkę, Nikolę, która

teraz, jak mi się wydaje, ma dwadzieścia parę lat. Sarah Parker zginęła w wypadku podczas polowania w ich posiadłości w Chinhoyi w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku. - Spozstrzegł, że trzech mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia. - Ponownie zaczęła krążyć plotka o nieczystych zagraniach, że on miał romans, że ona miała romans... ale znowu niczego nie udowodniono.

- Dwie młode kobiety o dobrych koneksjach. I obie umarły? - McCormack uniósł brwi.

- Jak powiedziałem, krążyły plotki, ale nic nie udowodniono. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym ożenił się z trzecią, obecną żoną, Molly Crenshaw. Mają z Molly córkę, która teraz uczy się w Anglii. Jak już wspominałem wcześniej, to wszystko wiemy. - Spojrzał na mężczyzn, którzy słuchali go z uwagą. - Dotarcie do drugiego dna zabrało mi więcej czasu, niż się spodziewałem, ale udało się poskładać nam całkiem dokładny obraz tego, czego nie wiemy.

- Mówisz: „my”. - McCormack wszedł mu w słowo. - Wydawało mi się, że sam nad tym pracowałeś.

- Jeśli chodzi o udział WED w tej sprawie, to tak, pracowałem sam - odpowiedział Mat.
- Ale tego typu informacji nie zdobędzie się samemu.

- I nie ma ryzyka, że to... hm... dochodzenie może być z nami jakoś powiązane? - zapytał DiAngelo, bardziej, by uspokoić McCormacka niż powodowany własnym niepokojem, co Mat zauważył. Zastanawiał się dlaczego. Trzech siedzących przed nim mężczyzn bardzo różniło się pochodzeniem od człowieka, o którym przez ostatnie pół roku zbierał materiały. Żaden z nich, nawet DiAngelo, nie miał dość ikry, żeby o cokolwiek walczyć. Lata dobrych pensji i jeszcze lepszych premii z biegiem czasu zmiękczyły ich, zmieniły w wygodnickich, dobrze odżywionych

285

facetów. Oni nie byli głodni walki. Najwyraźniej jednak Jim Hartę należał do innego rodzaju ludzi. I Mat wiedział dlaczego. On zaczynał głodny. W dosłownym znaczeniu.

Włączył rzutnik i przyciemnił światło. Trochę zdezorientowane twarze wpatrywały się w ekran. Była tam mapa Afryki Zachodniej. Wskazał na maleńką grupę wysp znajdującą się u wybrzeży Senegalu.

- Wyspy Zielonego Przylądka. Odkryte przez Alwisa Cadamosta dla Portugalczyków w piętnastym wieku. Mają interesującą lokalizację, zarówno z geograficznego, jak i kulturowego punktu widzenia. To najważniejszy przystanek na europejskich i amerykańskich trasach handlowych, począwszy od handlu niewolnikami w osiemnastym i dziewiętnastym wieku, po samoloty Południowoafrykańskich Linii Lotniczych, które robią tam międzylądowanie w drodze do Europy. Jak wiecie, tym liniom wydano zakaz latania w przestrzeni powietrznej nad Afryką.

- Dokąd to wszystko zmierza, Mat? - DiAngelo przerwał mu poirytowany już po raz drugi. - Jestem pewny, że to bardzo interesujące, ale miałeś poznać życiorys Jima Harte'a, a nie historię Afryki Zachodniej.

- Zapoznaję was z tłem - odpowiedział Mat uprzejmie.

- Tłem czego?

- Z miejscem, gdzie urodził się Jim Hartę. To stamtąd, panowie, a nie z jakiegoś hrabstwa w pobliżu Londynu lub ze środkowej Anglii on pochodzi. Jeśli wytrzymacie jeszcze chwilę, postaram się wykazać, że to klucz do większości decyzji, jakie kiedykolwiek podjął. W pomieszczeniu zapanowała cisza.

- Wyspy Zielonego Przylądka? - wymamrotał McCormack. - To śmieszne. On jest Anglikiem. A jeśli nie, to w ostateczności Rodezyjczykiem.

- Prawdę mówiąc, nie jest ani jednym, ani drugim. Prawdziwe nazwisko Jima Harte'a brzmi James Habib. - Troje ust otworzyło się jeszcze szerzej. Mat dobrze się bawił. - Urodził się z matki o angielsko-niemieckim pochodzeniu i ojca Libańczyka w obozie dla

internowanych na wyspie Sao Antao należącej do łańcucha Wysp Zawietrznych. Habi-bowie znajdowali się w drodze ze Swakopmundu w niemieckiej kolonii w południowo-zachodniej Afryce do Dusseldorfu, gdy wybuchła druga wojna światowa. - Przerwał. Słuchali go z ogromną uwagą. Napił się

286

wody i mówił dalej: - W jakiś sposób trafili na pokład statku „Mandel-stam”, który zaczął mieć problemy u wybrzeży Senegalu. Załoga spuściła szalupy i wysadziła pasażerów w Bandzulu, który był, rzecz jasna, brytyjski. Nastąpiło najwyraźniej jakieś zamieszanie, bo nie wiadomo, co z nimi zrobić, aż ktoś zaproponował, żeby wysłać ich na Ile St Louis, na północ od Dakaru. Francuzi zbudowali na tej wyspie obóz dla internowanych w czasie pierwszej wojny światowej. Kiedy rząd z Vichy doszedł do władzy, internowanych przeniesiono na Wyspy Zielonego Przylądka. James Habib urodził się na statku, który wioził ich do Sao Antao. Pierwsze osiem lat życia spędził w Mindelo, drugim co do wielkości mieście tego państwa. Oboje rodzice umarli na tej wyspie. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, trzy lata po zakończeniu wojny, wysłano go do wuja ze strony matki w Portsmouth. Chłopaka w mniejszym lub większym stopniu wychowała załoga obozu.

- To niesłychanie zdumiewające - powiedział sir Winston, odchylając się w fotelu. - Dlaczego nigdy wcześniej nie wyszło to na jaw?

- Cóż, moim zdaniem - jeśli pozwolą mi panowie na domysły - ma to więcej wspólnego z tym, jakiego chcemy go wszyscy widzieć, niż z czymkolwiek innym. To znaczy tę informację można znaleźć, wystarczy tylko poszukać.

- Proszę to bliżej wyjaśnić.

- Ujmijmy to tak. Pamiętacie szum wokół braci Al-Rahmanich? - Obecni pokiwali głowami. - Kiedy po raz pierwszy pojawili się w Londynie, wszyscy przyjęli, że pochodzą z bogatej rodziny. Jakaś stara egipska dynastia armatorów, drogie domy na całym świecie... i tym podobne. To czyniło z nich „nie byle kogo”, jak można by powiedzieć - członków klubu. Kiedy wyszła na jaw prawda o ich pochodzeniu, wszyscy byli w szoku. Jeśli dobrze pamiętam, ich ojciec pasł kozy. Kiedy jednak wrzawa ucichła, okazało się, że żaden z braci nigdy o tym nie mówił. Nie istniało ani jedno publiczne oświadczenie lub zapis, dokumentujące, że któryś z nich opowiadał o nauce w Eton lub o tym, że ich rodzina ma wory pieniędzy. Wszystko to było kombinacją plotek, insynuacji i tego, w co ludzie chcieli wierzyć. Myślę, że Jim Hartę to kolejny przykład tego samego zjawiska. Wygląda jak prawdziwy angielski dżentelmen, mówi jak dżentelmen i ma pieniądze... sami dopowiedzieliśmy sobie resztę. Wszyscy.

287

- Chcesz przez to powiedzieć - sir Winston odzyskał nagle zdolność mówienia - że Jim Hartę jest nikim więcej, tylko nadętym arabskim uchodźcą? Że to wszystko oszustwo? Mat uśmiechnął się w duchu.

- Nie, przeciwnie. Mówię jedynie, że chodzi o człowieka, który nie miał wiele do stracenia. To samotnik, zawsze taki był. Praktycznie sam się stworzył. I jest kameleonem. Mówi sześcioma językami najwyraźniej jednakowo płynnie, choć tego nie można być pewnym. Ma brytyjski paszport dzięki dziadkowi ze strony matki, ale spędził całe życie poza wszelkimi społecznościami, do których trafiał. O ile riiogę się domyślać, rozmawiał z matką po niemiecku, z ojcem po arabsku, z władzami po francusku, z ludźmi, którzy go otaczali, po portugalsku. Przypuszczam, że w latach czterdziestych w Wielkiej Brytanii panowały nastroje zdecydowanie antyniemieckie. Więc kiedy tam przyjechał...

- Słusznie tak myślisz, młody człowieku... - powiedział sir Winston, przerywając mu. Spojrzał na DiAngela i uniósł brew w podziwie.

- Dlatego zakładam, że szybko nauczył się ukrywać, kim byli jego rodzice, ze względu na to, że ojczystym językiem matki był niemiecki i tak dalej. W efekcie stał się tym, kim ludzie chcieli go widzieć. Młodym Anglikiem. Moim zdaniem przez całe życie był tym, za kogo ludzie go uważali. Może robił to podświadomie.

- Czy twoim zdaniem właśnie dlatego odniósł taki spektakularny sukces na południu Afryki?

- Cóż, z tego, co się dowiedziałem, podejmuje niezwykle trafne decyzje. Nie jest obciążony jakąkolwiek ideologią. Był jednym z pierwszych białych, którzy przyłączyli się do ZANU. Zdecydował się na to jeszcze w latach siedemdziesiątych, kiedy nikomu nawet do głowy nie przyszło, że ma ono jakiegokolwiek szanse w tamtym piekle. Był blisko z nimi wszystkimi - z Mugabe, Nkomo, Muzorewą... i wielu innymi. Ma nieomylnego nosa do zwycięzców, co jak przypuszczam, jest umiejętnością, jakiej nabywa się po latach przebywania w obozie dla internowanych. Jest człowiekiem, który postrzega świat w bardzo wyraźnych kategoriach - zysku lub straty. To wszystko. Reszta - religia, narodowość, rasa - moim zdaniem w ogóle się nie liczą dla człowieka, który tak naprawdę do niczego ani nigdzie nie przynależał.

288

- A jego rodzina? Wspomniałeś, że synowie zarządzają częścią jego imperium. Co wiemy o nich?

- W tej chwili nie ma tego wiele. Najwyraźniej Hartę trzyma rodzinę ściśle pod kloszem. Najstarszy, Patrick, jest przedstawicielem handlowym i zaopatruje w samochody cały tamten region. Nie jest na sto procent pewne, w jaki sposób Hartę zdobył prawa dystrybucji bez jakichkolwiek problemów, ale jeśli chcecie, żebym się tego dowiedział, dajcie mi kolejne dwa miesiące. Drugi syn, Shaun, organizuje safari - zajęcia lukratywne, ale pozbawione strategicznego znaczenia.

- Mówiłeś, że ma dorosłą córkę?

- Tak, Nikolę. Znalazłem kilka zdjęć jego synów, ale na fotografii córki nie natrafiłem. Moim zdaniem można prawie na pewno uznać, że ona nie ma żadnego bezpośredniego wpływu na RhoMine albo w ogóle nie interesuje się firmą.

- W to nie wierzę - odezwał się sir Winston. — Niesamowite.

- Wszystko, co dzisiaj powiedziałem, znajdziecie, panowie, w raporcie - oznajmił Mat, zdając sobie sprawę, że zajął im ponad godzinę. - Jest jeszcze jedna rzecz, której, przynajmniej, nie udało mi się rozgryźć, a która trochę mnie niepokoi.

- O co chodzi? - zapytał ostro DiAngelo.

- To ma związek z diamentami. Wszystko, co przeczytacie w raporcie, wskazuje na to, że historycznie rzecz biorąc, diamenty były głównym źródłem zysków RhoMine, jeśli nie całkowitym. Dziś RhoMine posiada trzy największe kopalnie w Zimbabwie i kilka innych w Zambii, ale istnieje też firma, która - jak mi się wydaje - jest z nią powiązana, a która zaczęła robić interesy w Sierra Leone. W normalnych okolicznościach nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że kopalnia, którą eksploatują - Kono - znajduje się w samym sercu terytorium Zjednoczonego Frontu Rewolucyjnego. Nie będę teraz wyjaśniał sytuacji w Sierra Leone - to można zrobić później - ale to ziemie kontrolowane przez rebeliantów, co praktycznie oznacza, że Zachód nie powinien kupować stamtąd diamentów. Kopalnia jest chroniona przez firmę o nazwie Baseline International, zarejestrowaną na Kajmanach jako filia Global Strategies. Ona z kolei zarządza ropociągami w Beirze, a ropociąg należy do...

- RhoMine - dokończył sir Winston, kiwając w zamyśleniu głową.

289

»

Mat przytaknął.

- Nie wiem, czy to cokolwiek oznacza, poza tym, że konflikt w Sierra Leone się nasila, a nie stabilizuje, i że ktoś dokonuje zabójstw, żeby wywieźć stamtąd diamenty. Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o to, że im więcej kamieni znajduje się na rynku, tym ich wartość spada, a nie rośnie... co jest złą wiadomością dla DeBeers i wszystkich innych, w tym RhoMine. Z drugiej strony Sierra Leone to bogaty kraj i diamenty nie są jego jedynym cennym dobrem naturalnym. Jeśli Hartę ma z tym coś wspólnego - i ciągle to wielki znak zapytania - oznaczałoby to, że pomaga rebeliantom. Z tego, co widziałem przez ostatnie pół roku, Hartę nie robi interesów z przegranymi. Warto się nad tym zastanowić, panowie. Życzę miłego dnia.

66

- Estelle? W ogóle mnie nie słuchasz! - Pani Devereaux zmarszczyła czoło, poirytowana.

Dziewczyna otrząsnęła się ze snu na jawie.

- Przepraszam... właśnie myślałam... - wymamrotała.

- Nie płacę ci za myślenie, Estelle. Mówiąc niezbyt oględnie, kochanie, bierzesz pieniądze za dawanie dupy i ostatnio nie robisz tego wystarczająco często. Nie mogę ciągle odmawiać klientom, złociutka. Fa-bien dzwonił już dwa razy w tym tygodniu. Musiałam podesłać mu Tamsin, bo tak się uskarżał. - Przyjrzała się Estelle dokładniej. - Co, do licha, się z tobą dzieje?

Ku własnemu przerażeniu Estelle poczuła, jak gorąca łza zaczęła spływać jej po policzku. Gwałtownie ją wytarła. Chodziło o słowo „złociutka”. Tak nazywała ją Gloria. Od lat nie słyszała głosu matki. Popłynęła kolejna łza. I następna.

- Ja... po prostu... - Zerwała się z miejsca, nie mogąc stłumić płaczu, i pobiegła po beżowym dywanie do łazienki na drugim końcu apartamentu. Zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się o nie, ciężko dysząc. Łzy znaczyły jej policzki. Nie rozumiała, co się z nią działo. Od tamtego wieczoru, gdy usłyszała, jak kolega pana Khoury'ego nazwał ją kurwą

290

z tonem wyjątkowej pogardy w głosie, zaczęła się zastanawiać nad wieloma rzeczami. Nad własnym życiem i czym się stało. Nad wyborami, których dokonała. Mężczyznami, z którymi się pieprzyła. Nagle motywacja i determinacja, które dodawały jej skrzydeł przy ucieczce z Afryki i rzuciły do wspaniałego, szybko żyjącego Londynu, przestały wystarczać. Rozwieranie nóg - i ust - dla mężczyzn, których było na nią stać, wydało się jej żalonym, a nie ambitnym zajęciem. Wstrętnym, głupim. Nie potrafiła tego zrozumieć. Miała wszystko: piękne mieszkanie, szofera, stroje, biżuterię, buty. Towarzyszyła mężczyznom na wakacjach w miejscach, o jakich wcześniej mogła jedynie czytać w kolorowych magazynach, które jakimś cudem docierały czasami do Harare. Latała prywatnymi odrzutowcami, mieszkała w prywatnych willach przy prywatnych plażach. Dlaczego to jej nie wystarczało? Osiągnęła to. Oczywiście, że osiągnęła. Skąd więc ta ohydna, bolesna pustka? Wciągnęła głęboko powietrze i usiłowała odzyskać panowanie nad sobą. Pani Devereaux się martwiła. Wkrótce jej zmartwienie przejdzie w złość. Estelle nie mogła dalej funkcjonować, unikając pracy. Pani Devereaux siedziała w tym interesie za długo i zbyt ciężko pracowała, żeby pozyskać stałych klientów, o czym wiedziały wszystkie dziewczyny, które zatrudniała, by jej odpuścić. No i pół tuzina innych dziewczyn czekało niecierpliwie, żeby zająć jej miejsce. Estelle była jedną z najpopularniejszych dziewczyn w jej stadku, ale to nic nie znaczyło. Musiała zacząć się pilnować, jeśli chciała, by sprawy toczyły się po staremu. Bo wszystko można było o niej powiedzieć, tylko nie to, że jest głupia. Wydmuchała nos, wytarła policzki i kilka razy głęboko odetchnęła. Musiała jakoś się pozbierać. Nie miała innego wyjścia, do cholery.

Gdy Estelle wróciła z łazienki, Sally Devereaux przyjrzała się jej dokładnie. Cp się stało? Zakochała się? Czy o to chodziło? Zdarzało się to od czasu do czasu mimo sporych wysiłków, na jakie się zdobywała, żeby temu zapobiegać. Trafiła się jej nawet jedna dziewczyna - jeszcze na początku, zanim Sally nauczyła się radzić sobie w podobnych okolicznościach - która wyszła za mąż. Karen Jones-Smythe. Wtedy, oczywiście, była jeszcze zwykłą Karen Hammond z Warrington. Tyle że ład-niutką. Teraz bryluje jako prawdziwa bywalczyni, mająca domy na czterech kontynentach i męża, który nadal co jakiś czas dzwoni do Sally

291

k
Devereaux. Jednak mimo nimbu kobiety światowej nie potrafiła zapanować nad rumieńcem, kiedy przy jakiejś okazji wpadły na siebie. Sally nie lubiła podobnych sytuacji. Takie dziewczyny burzyły granice, które z takim trudem stawiała: pomiędzy klientami i dziewczynami; usługami i opłatą; uprzejmościami i kosztami. Na tym się naprawdę znała. Pozostałe rzeczy - miłość, małżeństwo, dzieci - nic jej nie obchodziły. Nie były dla niej. Albo dla jej dziewcząt. Dlatego właśnie dobrze jej szło w interesach. Mężczyźni nie dzwonili do niej po to, by znaleźć przyszłą żonę. Chryste, zgłaszali się do niej, żeby uciec od żon. Więc kiedy dziewczyna, równie piękna i cenna jak Estelle Mackenzie, przestawała spotykać się z klientami, skarżąc się na ból głowy, żołądka, skurcze miesiączkowe, migreny, nudności, na cokolwiek... istniały tylko dwie możliwe przyczyny takiego stanu rzeczy. Pierwsza, że zaszła w ciążę, i druga, że się zakochała. Obie, zdaniem Sally, były równie obrzydliwe. Choć w przypadku tej pierwszej mogła przynajmniej coś na to poradzić.

- Jesteś w ciąży? - zapytała w chwili, gdy Estelle usiadła naprzeciwko niej. Na twarzy dziewczyny odmalowało się szczere zdziwienie. A więc nie o to chodziło.

- Nie, oczywiście, że nie.

- No to co się dzieje? - Nie widziała powodu, żeby obchodzić się z nią jak z jajkiem. Estelle się zawahała. Spojrzała na Sally zachwycająco niebiesko-zie-lonymi oczami i westchnęła.

- Myślę... że chyba... tęsknię... tęsknię za domem - powiedziała w końcu, splatając nerwowo palce.

Zaskoczyła tym Sally, która nie słyszała, żeby Estelle choć raz wspomniała kiedyś o domu, gdziekolwiek był.

- A gdzie masz dom? - zapytała, nie do końca bez współczucia. Mimo wszystko dziewczyna miała dopiero dwadzieścia kilka lat. Niespodziewanie pomyślała o własnej córce i z niepokojem uświadomiła sobie, że coś ściska ją w gardle. Nie było jednak powodu myśleć o niej teraz.

- W Zimbabwe - odezwała się Estelle po chwili.

Sally szczęka opadła. Dziewczyna równie dobrze mogłaby powiedzieć, że jest z Księżycy.

- Twoi rodzice mieszkają w Zimbabwe?

292

- Tylko mama - odpowiedziała Estelle, wydmuchując nos.

- A co z ojcem? - zapytała Sally, mrużąc oczy.

Estelle wzruszyła ramionami na tyle nonszalancko, na ile potrafiła.

- On... odszedł, zanim się urodziłam. Myślę, że też tam żyje.

- Rozumiem. - Nagle dziwne zachowanie dziewczyny zaczynało mieć sens. - Nigdy go nie poznałaś?

- Nie. Myślałam o nim czasem, kiedy byłam trochę młodsza. Chodziło mi po głowie, że mogłabym spróbować go odszukać. - Nerwowo obracała pierścionek na palcu.

- A dlaczego nie spróbowałaś?

Estelle spojrzała na nią zaskoczona.

- Jak?

- Och Estelle! Do tego nie potrzeba doktoratu z fizyki. - Sally wstała i podeszła do toaletki. Otworzyła torebkę Diora i wyjęła paczkę papierosów. Zapaliła i wydmuchała dym. - Każdego można znaleźć. To nie problem. Jeśli to rzeczywiście aż tak cię gryzie, mogę pomóc. Jesteś jedną z moich najlepszych dziewczyn, Estelle... nie, głuptasku. Rany boskie, nie zaczynaj na nowo płakać. Nie znoszę widoku zasmarkanych dziewczyn. - Zmierzyła Estelle chłodnym wzrokiem. - Odszukanie twojego ojca nie jest trudną sprawą.

- A co jest?

- To, co się stanie potem. Kiedy już go znajdziesz. Co wtedy?

- Wtedy... cóż, nic - oznajmiła Estelle, wykręcając sobie palce.

- Wątpię - powiedziała Sally sucho. - Przez dwadzieścia kilka lat fantazjowałam o mężczyźnie, którego nigdy nie widziałam, a który najprawdopodobniej w ogóle o tobie nie myślał... to może być bolesne, Estelle. A jeśli się okaże, że on jest...

- Ale przynajmniej bym go poznała. - Estelle weszła jej w słowo, trochę za ostro. - Przynajmniej przestałabym się zastanawiać...

- Świetnie - przerwała jej obcesowo. Podeszła do komody przy oknie i otworzyła szufladę. Wyjęła niewielką srebrną szkatułkę i uniosła wieczko. - Proszę - powiedziała, przekładając kilka wizytówek. - Zadzwoń do Phila Johnsona. To jego numer. Powiedz, że jesteś ode mnie. Odliczę jego honorarium od twoich poborów. Oznacza to, kochana Estelle, że powinnaś wziąć się w garść, znowu mieć klasę i zacząć zarabiać. Rób, za co ci płacę... i w czym jesteś taka cholernie dobra. -

293

Uśmiechnęła się do niej. - W tej chwili kosztujesz mnie, maleńka. A wiesz, jak nienawidzą wydawać tego, co nie zostało jeszcze zarobione.

Tydzień później, pracując niemal każdej nocy od rozmowy z panią Devereaux, Estelle siedziała naprzeciwko mężczyzny, który bardziej wyglądał na dentystę lub lekarza domowego niż na prywatnego detektywa. Zajmował miejsce po drugiej stronie stołu z blatem z zielonej skóry, dłoń trzymał uniesione do góry przed twarzą, ze złączonymi końcami palców w kształcie odwróconej litery V, i słuchając jej niezbornej historii, pukał się nimi od czasu do czasu w usta. Kiedy się odzywał, mówił bardzo niewiele, czasami marszczył czoło, jakby fakt, o którym wspominała, nie pasował do reszty.

- A więc... - powiedział, przeciągając sylaby. - Ten... Basil Mac-kenzie, jak pani mówi, pracował w ówczesnej Rodezji w latach sześćdziesiątych. Wie pani u kogo?

Pokręciła głową.

- Wiem jedynie, że był inżynierem górnikiem.

- Rozumiem. - Wyciągnął szufladę i wyjął z niej notes. - Był Szkotem?

Estelle wzruszyła ramionami.

- O ile wiem, tak.

- Nie bardzo jest się o co zaczepić. - Spojrzał na jej akt urodzenia, który mu dała.

„Matka: Gloria Cecilia Turner. Ojciec: Basil James Mac-kenzie. Data i miejsce urodzenia: 13 lutego 1978, Salisbury, Rodezja”. -W porządku. Niech mi pani da jakiś miesiąc. Będę musiał poszukać tego i owego, pewnie też posiedzę trochę w archiwach. Mówi pani, że nie wie, gdzie pracował. - Estelle ponownie pokręciła głową. - Cóż, ustalenie tego nie jest niemożliwe. Właściwie jest łatwiejsze, niż się pani wydaje. W latach sześćdziesiątych nie było znowu tak wiele kopalni w Rodezji. Proszę zostawić to mnie.

Estelle wstała. Patrzyła, jak omiatał wzrokiem jej smukłe ciało. Włożyła skórkowe rękawiczki i wzięła torebkę od Gucciego.

- Dziękuję, panie Johnson - powiedziała. Jej głos powoli stawał się serdeczny. Napięcie zaciskające jej żołądek stopniowo ustępowało. Ufała mu z jakiegoś powodu. Jeśli ktoś potrafiłby odnaleźć człowieka o nazwisku Basil Mackenzie, to tym kimś był z pewnością Phil Johnson.

294

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Mackenzie. Mam nadzieję, że znajdzie pani to, czego pani szuka.

- Ja też.

Tamtej nocy, siedząc okrakiem na wyjątkowo zadowolonym Fabie-nie, była tak wdzięczna pani Devereaux i tak pełna nadziei na znalezienie odpowiedzi na pytanie, gnębiące ją od kilku tygodni, że uprawiała miłość z tym biednym facetem jak nigdy przedtem, doprowadzając go do szczytowania nie raz, ale trzy razy. Zobaczyła na jego twarzy oprócz wyczerpania i zaskoczenia wyraz tak czystego pożądanego, że musiała zamknąć oczy. Ona również tego doznawała. Co prawda nie miało to z nim nic wspólnego. Zsunęła się z niego po trzech kwadransach najintensywniejszej rozkoszy seksualnej, jakiej oboje kiedykolwiek doświadczyli, po czym położyła obok, ciężko oddychając i drząc po wstrząsie, jakim był jej pierwszy w życiu orgazm. Trzęsła się cała. Fabien ledwie mógł mówić. Była - powiedział, lekko ją całując i odsuwając mokre włosy z jej karku - „najlepszą pierdoloną rzeczą na świecie”. Na szczęście nie był świadomy kalamburu, jaki krył się w tych słowach.

67

- Co to? - Tory podniosła kopertę i spojrzała pytająco na Luca.

- Otwórz i zobacz - odpowiedział, wsuwając do ust krążek papryki, którą właśnie ostrożnie kroił.

Wsunęła palec w szczelinę, rozdarła kopertę. Ze środka wypadł bilet. Air France. Paryż-Mahe. Pierwsza klasa.

- Mahe? Gdzie, do licha, jest Mahe?

- Na Seszelach.

- Żarty sobie robisz.

- Jamais.

Pierścionek krył się bezpiecznie w pudełku w kieszeni jego kurtki. Przez chwilę czuł się trochę niewyraźnie, gdy przechodzili na lotnisku

295

przez bramkę wykrywacza metalu i poproszono go, by opróżnił kieszenie, ale Tory przeszła już przed nim i kierowała się do sklepów wolnocłowych. Facet z kontroli bezpieczeństwa, który poprosił go, żeby otworzył pudełko, okazał się dyskretny i miły.

- Życzę szczęścia, stary. - Puścił oko do Luca, który wsunął z powrotem pudełeczko do kieszeni.

- J'espère. - Też puścił do niego oko i odszedł.

„Nadzieja” to raczej niezbyt odpowiednie słowo na opisanie uczuć, które go przepelniały na myśl o tym, co miał zamiar zrobić. Przez ostatnie dwa tygodnie szukał odpowiedniego pierścionka - z każdego sklepu wychodził oszołomiony po obowiązkowym półgodzinnym rytuale prezentacji. Solitery, szlif szmaragdowy, bagiet, bagiet trapezowy, szlif princess, radiant, idealny... wcześniej zauważał w brylantach jedynie ich wielkość. Teraz zrozumiał, że była ona najmniej ważna. Ostatecznie zdecydował się na szlif barion, piękny, ośmiokątny kamień o sześćdziesięciu dwóch fasetkach, dający taki sam efekt lśnienia jak brylant tradycyjny - jak powiedziała sprzedawczyni - ale z nowoczesnym sznytem. Uśmiechnęła się do niego z niekłamanym uznaniem. Trochę podobny do Tory - chciał jej powiedzieć, ale nie miałyby pojęcia, o czym mówi. Był świadom, że jego decyzja wszystkim wydawała się zbyt pochopna, zwłaszcza jego matce: Jak długo ją znał? Dwa miesiące? Prawie trzy?

Wystarczająco długo. On jednak od chwili, gdy po raz pierwszy wszedł do kwaciarni,

wiedział, że się jej oświadczy, niezależnie od tego, jak śmiesznie to wyglądało. Był tego pewny od momentu, gdy ją zobaczył.

Kilka godzin później wyrzwał przez okno w gęstą, czarną pustkę. Tory opierała głowę na jego ramieniu, spała jak suseł. Znajdowali się gdzieś nad Zatoką Perską. W kabinie było prawie cicho. Stewardesy w pierwszej klasie zdawały się sunąć, nie chodzić, między rzędami - dyskretne spojrzenie tu, chwilowe przystąpienie... wszystko, żeby kilkoro wybrańców, którzy mogli sobie na to pozwolić, było zadowolonych. Ostrożnie rozprostował długie nogi, nie chcąc jej obudzić. Rozejrzał się wokół. Do kabiny pierwszej klasy samolotu Air France, lot AF391, zmierzającego, jak napisano w folderze, do „ostatniego rajna na ziemi”, przeszedł długą drogę z farmy niedaleko Périgord, gdzie dorastał. Jedy-

296

ny syn hodowców drobiu, uzyskał stypendium do pobliskiej prestiżowej katolickiej szkoły dla chłopców i nigdy już potem nie oglądał się za siebie. Zostawił za sobą wszystko: farmę, niewielkie jezioro w dolinie, przy którym bił się na wakacjach z chodzącymi do miejscowego liceum synami innych farmerów. Po skończeniu liceum wyjechał do Paryża do École Polytechnique, a stamtąd do FNAC, gdzie uczył się w ramach europejskiego programu MBA. Teraz, w wieku trzydziestu jeden lat, zarabiał w rok więcej, niż udało się to jego rodzicom w czasie ostatnich dwudziestu lat, a kobieta, która teraz spała obok niego, na tyle różniła się od tych, wśród których wyrastał, na ile to było możliwe. Tak, przeszedł bardzo daleką drogę od domu.

Myślami wrócił do pudełka, które miał teraz w lewej kieszeni spodni. Wcześniej nigdy nie spotkał kogoś takiego jak Tory. Była w niej nieustępliwość, jakiej nie widział u żadnej kobiety, nawet u własnej matki. Czasami miał wrażenie, że niczego się nie bała. Otrząsnęła się jakoś po tym, co przydarzyło się jej siostrze... dech mu zapierało z podziwu. A jednocześnie była w niej przyprawiająca go o ból serca kruchość. I była też zabawna na typowo chłodny angielski sposób, który nauczył się doceniać. Czasami mu się wydawało, że czekał na nią przez całe życie. Po prawie dziesięciu latach pracy w niestabilnym, pełnym szaleńczego tempa świecie finansów nauczył się jednego. Kiedy natykasz się na atutowego asa, chwytasz go obiema rękami. Ponownie sięgnął do kieszeni z pudełeczkiem. Tory była jego atutowym asem. Każdy mógł to dostrzec, a on to wiedział na pewno.

Wylądowali tuż przed dwunastą w południe, wśród szumu fal, obmywających brzeg, i wrzasku mew, krążących po niebie. Wsiadając z samolotu, Tory poczuła, jak ciężar ostatnich osiemnastu miesięcy zsuwa się jej z barków i rozplywa w jednej chwili w turkusowej wodzie otaczającej ich ze wszystkich stron. W głowie się jej zakręciło od samego patrzenia. Znajdowali się o tysiące kilometrów od najbliższego kontynentu, o czym kapitan powiedział im tuż przed lądowaniem. Uroda tego miejsca była trudna do ogarnięcia. Niebo było olśniewające w opalizującym odcieniu błękitu, balansującym między kobaltem a turkusem, bez jednej chmurki w zasięgu wzroku. Na horyzoncie majaczyła sąsiednia wyspa La Digue, dokąd zmierzali. Widoczna była jako wzniesienie

297

z gęsto porośniętymi zielenią wzgórzami i piaskiem w zatokach. Podekscytowana, chwyciła Luca za ramię. Choć słyszała, że Seszele są piękne, nadal nie potrafiła ocenić, jak bardzo prawdziwe było to określenie. Widok przechodził wszelkie pojęcie, był piękniejszy od wszystkiego, cokolwiek widziała. Nawet kiedy ostemplowano im paszporty pieczętką z gigantycznym coco-de-mer, najbardziej egzotyczną rośliną wysp, nadal nie mogła uwierzyć, że tam są.

Musieli spędzić jeszcze godzinę w poczekalni niewielkiego lotniska, skąd roztaczał się urzekający widok na plażę, a potem wsiedli do małego samolotu, którym polecili na La Digue, gdzie Luc wynajął willę przy plaży. Maszyna wykonała jedno okrążenie nad wyspą,

zanim usiadła na asfaltowym pasie. Tory szczęka opadła, gdy dotarli do półkolistej plaży o nazwie Anse Source d'Argent z jej śnieżnobiałym piaskiem i gigantycznymi, lekko wygładzonymi skałami, wystającymi z przejrzystej, niebieskiej wody.

Przedstawiciel hotelu czekał już w miniaturowym bungalowie lotniska. Dziesięć minut później siedzieli na niebieskim drewnianym wozie ciągniętym przez wołu i jechali krętą drogą w kierunku plaży. Wól? Patrzyła na zgarbiony grzbiet łagodnego zwierzęcia, które ciągnęło powoli wóz ku ich miejscu przeznaczenia. Prawie nie umiała przypomnieć sobie Londynu. Niespełna dwadzieścia cztery godziny wcześniej stała w wagonie Circle Line, trzymając się obiema dłońmi rączki nad głową, i starała się nie oddychać, gdy kolejką rzucało na boki, a jej twarz była wciskana w czyjaś pachę. Minęli kilka jaskrawo pomalowanych willi na starych plantacjach - na bananowożółto, jasnoniebiesko, ciemnofiole-towo - wszystkie kolory stawały się intensywniejsze w tropikalnym świetle, cała wyspa zdawała się migotać. Niektóre kwiaty rosnące dziko na poboczu drogi były tak wyjątkowe, że powstrzymywała się przed wyciągnięciem ręki, żeby je zerwać. Luc, uśmiechając się, pokręcił głową.

- Après. Możesz to zrobić później - wyszeptał leniwie do jej ucha. -Dojedźmy najpierw do willi i... odpocznijmy - dodał, patrząc na nią znacząco.

Rozbawiona Tory trzepnęła go w rękę. Wóz przed nimi, na którym jechały bagaże i przedstawiciel hotelu, młody, wesoły mężczyzna o imieniu Pras, skręcił w lewo, po czym zapuścił się w piaszczystą drogę, ob-

298

sadzoną palmami kokosowymi... i nagle byli na miejscu. Willa, piękny budynek przy plaży, kojarzący się trochę ze stylem indonezyjskim, miała gontowe dachy lekko zakrzywione do góry na rogach oraz bladozielone i ochrowe kolumny wspierające werandę, która wisiała nad stromym klifem, schodzącym prosto w morze.

- Witamy w ośrodku Desroches - powiedział Pras, uśmiechając się.

Ich bagaż zręcznie zdjęła z wozu grupa również uśmiechniętych młodych mężczyzn, a Pras poprowadził ich do willi. Wnętrze robiło nie mniejsze wrażenie: ciemne boazerie, biała, wykrochmalona pościel i jaskrawe dodatki w podstawowych kolorach, takie jak jedwabne poszewki poduszek na kozetkach i obrazy na ścianach.

- Jeśli będziecie państwo czegokolwiek potrzebowali - mówił Pras - wystarczy nacisnąć dzwonek. Państwa kucharz zjawi się za moment, żeby omówić tygodniowe menu. Na werandzie są ręczniki oraz dodatkowe akcesoria, a basen jest wyłącznie do państwa dyspozycji. -Uśmiechnął się, uklonił głęboko, obrócił na pięcie i wyszedł.

Tory cały czas stała z otwartymi ustami. Wyszła na zewnątrz - tak jak zapowiedział, tuż pod werandą znajdował się wspaniały, przeogromny, błękitny basen, z którego był widok na morze.

- To... - Obróciła się do Luca i zmarszczyła brwi. - ...to jest dla nas? Tylko dla ciebie i dla mnie? Tylko dla nas dwojga?

- Oui. - Luc uśmiechnął się do niej. - Mam nadzieję, że ci się tu podoba.

- Czy mi się podoba? - Odwróciła się, by spojrzeć - głęboki błękit basenu przypominał lustro odbijające niebo, a dalej, aż po bezchmurny horyzont, ciągnęło się morze. Przed sobą mieli doskonały półksiężyc plaży z pudrowobiałym piaskiem i kołyszącymi się palmami. I żywej duszy wokoło. Raj poniżej należał wyłącznie do nich. Tory wyciągnęła ramiona nad głowę, rozkoszując się obmywającymi je promieniami słońca. W dali, na pomarszczonej, przepastnej tafli morza, widniała pojedyncza wysepka, a przed nią rysował się zakrzywiony ostry dziób łodzi tnącej wodę. - Och, tak - wyszeptwała na pół do siebie. - Podoba mi się tutaj. Bardzo mi się podoba. - Obróciła się do Luca, który przyglądał się jej z rozbawieniem na twarzy. - Popływasz? - zapytała, uśmiechając się. - Czy wolałbyś może... odpocząć?

- I jedno, i drugie - odpowiedział, rozpinając koszulę i idąc do sy-

299

pialni. - Możemy zrobić to jednocześnie. Jak powiedział ten człowiek -to miejsce jest nasze. Nie ma tu nikogo innego. Możemy robić, co nam się podoba. - Mówiąc to, mrugnął do niej i ściągnął dżinsy.

Chmury, nieobecne na niebie w ciągu dnia, nagle pojawiały się tuż przed zachodem słońca, zbite w gromadę nad horyzontem, stając się nieprzeniknioną zasłoną, za którą co wieczór niknęła czerwona kula. Z werandy nad basenem mieli niczym niezasłonięty widok aż na kraniec świata - jak powiedział Luc. Mniej więcej w połowie drogi między plażą a krawędzią świata wystawało z wody niewielkie skaliste wypiętrzenie, nazwane wyspą Silhouette (Sylwetką). Już po pierwszym zachodzie słońca Tory domyśliła się dlaczego. Co wieczór za piętnaście szosta kolor skał zmieniał się z ciemnozielonego na ciemnoszary, później zaś czarny. Gdy nastawała noc, usytuowana na tle zachodzącego słońca wysepka stawała się doskonałym przerywnikiem na migotliwej srebrno-czarnej powierzchni morza.

Po trzech cudownych dniach nurkowania, pływania i spania przy basenie Tory czuła się tak, jakby była tam od zawsze. Z trudem przypominała sobie Londyn i zapach wilgotnych liści na podwórzu za kwaciarnią.

Wzięła kieliszek z winem i obróciła się do Luca.

- Wiesz, myślę, że mogłabym tu zostać do końca życia i byłabym szczęśliwa - wyszeptła, obracając delikatną nóżkę kieliszka w palcach. Poniżej, po prostej linii wzdłuż horyzontu, mknęło kanoe. Dwie siedzące w nim sylwetki, poczerniałe na tle słońca, unosiły i opuszczały na zmianę wiosła. Przez mniej więcej minutę przyglądała się, jak płynęły, a potem wróciła wzrokiem do Luca. Miał jakiś dziwny wyraz twarzy i obracał coś w dłoni. - Co się stało?

Zbliżył się i powoli wyjął jej z ręki kieliszek.

- Powiedziałaś właśnie takie słowa... o życiu - odezwał się z niezwykle nerwowym napięciem w głosie. - Chciałbym cię o coś zapytać. Maintenant. - Urwał dość raptownie. Zmarszczyła czoło.

- O co? - spytała. Tego rodzaju tajemniczość nie była w jego stylu.

- Chodzi o to - zaczął, po czym niespodziewanie wstał z krzesła i ukląkł przed nią. Tory patrzyła na niego zdumiona. - Ja... voilà... - po-

300

y

wiedział, rozkładając dłoń, na której leżało małe pudełeczko z czarnego aksamitu. Tory wpatrywała się w nie. Serce zaczęło jej bić żywiej. -I... - mówił dalej, wyciągając z kieszeni trochę pomiętą kartkę. Strzepnięciem rozłożył ją wolną ręką i zaczął czytać odrobinę oficjalnym głosem: „W starożytnym Egipcie wierzono, że żyła miłości biegnie od serdecznego palca prosto do serca. Umieszczenie na tym palcu brylantu, kamienia znanego jako niezniszczalny, uznawano za ostateczny sposób połączenia miłości z wiecznością”. - Podniósł na nią wzrok. Wahał się przez sekundę, a potem niespodziewanie słowa popłynęły mu z ust: -Wyjdiesz za mnie?

Tory patrzyła na niego bez mrugnięcia powieką. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć - cokolwiek - ale nic się z nich nie wydobyło. Spojrzała na pierścionek - piękny, prostokątny kamień osadzony na prostej platynowej obrączce - a potem na twarz Luca, który ze zdenerwowania miał złączone brwi. Przelknęła ślinę. W głowie miała gonitwę myśli. Znali się dopiero niewiele dłużej niż trzy miesiące - to był absurd! Ludzie nie pobierają się po trzech miesiącach znajomości, prawda? Brylant wydawał się do niej mrugać. Sięgnęła ostrożnie, by go dotknąć, jakby się bała, że ją ugryzie. Luc cały czas klęczał. Kątem oka widziała zielononiebieską poświatę lustra basenu, w którego powierzchni odbijały się wysokie, żarzące

się cyrtonelowe odstraszacze owadów, pstrzące ogród i plażę. Niemal z roztargnieniem pomyślała o wysiłku, jaki w to włożył. Załatwił bilety, zapłacił za wakacje, kupił jej pierścionek... wszystko to zrobił, a ona nie miała pojęcia, co planował. Kiedy o tym pomyślał? Wpatrywała się w niego. Właśnie poprosił, żeby za niego wyszła. Trzymała pierścionek w ręku. Luc nadal klęczał... musiała coś powiedzieć. I to szybko. Słowo „nie” było nie do wypowiedzenia. Luc był cudowny, uroczy, uprzejmy i zabawny... czego więcej chciała? Ta myśl przeleciała jej przez głowę, gdy widziała samą siebie, jak wyjmuje pierścionek w pudełku, wsuwa go na palec, podziwia w nim refleksy światła. W tym samym stanie gonitwy myśli i niedowierzania patrzyła na siebie, jak przygląda się Lucowi, bierze jego udreżoną twarz w dłonie i całuje. Usłyszała słowo wydobywające się z jej ust, jakby mówił je ktoś inny:

- Tak.

*

301

Znacznie później, kiedy willa pogrążyła się w mroku, a Tory zasnęła w końcu na jego piersi, Luc wsłuchiwał się w symfoniczny koncert świerszczy, dochodzący z zewnątrz, i odległy, choć nieustanny szum fal uderzających o brzeg. Ten wieczór przypominał jazdę kolejką górską. Przez kilka okropnych minut, kiedy przed nią klęczał, nabrał pewności, że mu odmówi. Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że mogłaby zareagować inaczej, jak tylko radością - może byłaby trochę zaskoczona, trochę wzruszona, no jasne... ale nie spodziewał się zmieszania, które odmalowało się w jej oczach, kiedy rozłożył dłoń. Doznał szoku. Jej zwykle obojętny, świadomie przybierany wyraz twarzy zmienił się w obraz sprzecznych uczuć: strachu, zaskoczenia, niepewności... Miała to wypisane w sposób tak wyraźny, jakiego nigdy by po niej nie oczekiwał. Kiedy powiedziała: „tak”, oczywiście jej twarz znowu stała się taka jak zawsze - piękna, spokojna, z odrobiną czujności, jaką obserwował od miesiący. W tamtym momencie powoli wróciła do siebie. Niemniej widok czegoś innego wytrącił go z równowagi. To nie było pytanie z rodzaju takich, jakie się ciągle zadaje - kiedy już poprosi się dziewczynę o rękę i ona się zgodzi, nie można przecież pytać jej raz po raz: „Jesteś pewna?”. Pod pewnym względem takie postępowanie wydawało się niewłaściwe. I, oczywiście, potem, kiedy spostrzegła wyraz jego twarzy, bardzo się starała wszystko naprawić. Była po prostu zaskoczona, to wszystko. Bo też zupełnie ją zaskoczył. No pewnie, że chciała wyjść za niego - kto by nie chciał? W powstałej sytuacji pomogła sobie poczuciem humoru. Poszli do łóżka i kochali się z niesłychaną namiętnością, która wywołała łzy w jego oczach, lecz nie jej.

Przesunął się, tak że teraz leżała obok niego, a nie na nim, i otoczył ją ramionami. Poruszyła się lekko, ale zaraz ponownie zapadła w głęboki sen. W świetle księżyca widział jedynie połyskiwanie brylantu na jej palcu. Zaczął głaskać gładką skórę jej ramienia i czuł, jak ogarnia go coraz większe podniecenie na myśl o tym, co właśnie zrobił, o co ją właśnie poprosił. Ostrożnie wsunął rękę w miejsce pomiędzy jej ramieniem a seksowną krągłością biodra i niżej, zanurzył palce w jedwabistą miękkość pomiędzy jej nogami. Tory już nie spała, obróciła się do niego przodem.

- Tory - wymamrotał ledwie zrozumiale, gdy objęła go i wciągnęła na siebie, w siebie. -Jet 'aime.

Nie odpowiedziała, bo pochylił głowę i zakrył jej usta wargami.

302

68

Caryn wpatrywała się w leżącą przed nią stertę życiorysów. Po trzech dniach ślęczenia nad nimi do późnej nocy, odrzucania tych, które jej zdaniem nie pasowały lub były po prostu okropne, udało się jej zmniejszyć ich liczbę do pięćdziesięciu. Pod koniec dnia powinno zostać najwyżej dwadzieścia. Wzięła ołówek i ponownie zaczęła je przeglądać. Potrzebowali

ośmiu aktorów. Cztery pary. Przesłuchania zaplanowano na sobotni rano. Był wtorek. Do środy rano musiała wybrać dwadzieścioro najlepszych. Wszystko zależało od niej. Denerwowała się - coś takiego robiła po raz pierwszy - ale Martin zlecił jej to zadanie, nie mrugnawszy nawet powieką. Według niego najwyraźniej mogła sobie z tym poradzić, nawet jeśli sama myślała inaczej. Ponownie zabrała się do skreślania nazwisk.

W sobotę, dokładnie jak zaplanowali, ona, Rupesh i Martin siedzieli w wilgotnej, pachnącej stęchlizną auli i patrzyli na dwudziestkę młodych, pełnych nadziei ludzi, którzy przechodzili przed nimi po kolei. Martin miał dokładnie sprecyzowane oczekiwania wobec czterech par - twarze, głosy, zachowanie i tak dalej - i za każdym razem, gdy uznawał, że ktoś się nadaje, robił notkę. Jeżeli zaś zobaczył kogoś, kto nie spełniał początkowych warunków, ale prezentował się na tyle przekonująco, że mógł zmusić go do przemyślenia i zmiany postaci - również to odnotowywał i odkładał jego papiery na bok. Pod koniec dnia miał listę złożoną z czternastu nazwisk. Sześć musiało odpaść.

Tego wieczoru o dziewiątej, po burzliwej dyskusji, dokonał wyboru. Caryn przypadł obowiązek zakomunikowania o tym ósemce szczęściarzy.

- Postaram się być przy tym bardzo uprzejma - powiedziała trochę żartobliwie, biorąc torebkę. Ziewnęła, zupełnie wykończona. Dochodziło wpół do dziesiątej. Siedzieli w auli od ósmej rano, mając jedynie kilka krótkich przerw.

Martin podniósł wzrok. On i Rupesh nadal klócili się o ostatnią wybraną dziewczynę.

- Bo co? To aktorzy. Są przyzwyczajeni do odrzucenia - powiedział, wykrzywiając się w uśmiechu.

303

- Mimo wszystko... to musi być przykre. Możesz sobie wyobrazić, że ktoś odprawia cię z kwitkiem tydzień po tygodniu?

- Oczywiście, że mogę. - Rupesh roześmiał się. - Odrzucony to twoje drugie imię.

Widziałas go kiedy z dziewczyną? - zapytał Caryn.

Zawahala się.

- Ja...

- I tu cię mamy - powiedział Rupesh, obracając się do Martina. - On jest do tego przyzwyczajony. I dlatego uwielbia dokopywać innym.

Caryn posłała Martinowi uśmiech zabarwiony bezradnością.

- Do jutra - powiedziała, szykując się do wyjścia. Zastanawianie się nad miłosnym życiem Martina albo słuchanie o tym było ostatnią rzeczą na jaką miałyby ochotę. Na to nadal była zbyt nieufna.

Martin spojrział na nią i uśmiechnął się.

- Dobranoc, Caryn. I dzięki za dzisiaj. Byłaś wspaniała.,

- Och. - Nieoczekiwana pochwała sprawiła, że policzki lekko się jej zarumieniły.

Wybiegła, zanim Rupesh zdążył to skomentować.

Zdjęcia zaczęły się tydzień później. Martin przypisał sceny do listy obejmującej dziewięć dni kręcenia z jednym dodatkowym dniem w plenerze poza Londynem. Budżet jak zwykle był kłopotliwy i nie mogli sobie pozwolić na żadne marnotrawstwo. Caryn tyle razy odwiedziła poszczególne lokalizacje w tygodniu poprzedzającym zdjęcia, że zaczynała czuć się tam jak w domu. Dla pary numer jeden, Matta i Naomi, przewidziano bajeranckie poddasze przy Hoxton Square; zagracone, brudne, dwupokojowe mieszkanie przy Finchley Road było dla pary numer dwa, Bertrama i Denise; przestronne ogrody obserwatorium astronomicznego w Greenwich i maleńka kawiarenka w Greenwich to lokalizacja dla trzeciej pary, Joe i Sue; i wreszcie najbardziej ekscytujące ze wszystkich mieszkanie na dwudziestym drugim piętrze w Barbican czwartego duetu, yuppies Dave'a i Jane. Lista żądań Martina była niezwykle długa. W filmie bardzo często następowała zmiana lokalizacji, dlatego chciał, żeby absolutnie wszystko zostało dobrze przygotowane. Zdecydowali się na używanie różnych obiektywów

do różnych scen. Caryn spędziła cały ranek w wypożyczalni przy stacji Euston, pilnując, żeby pobrano odpowiedni sprzęt. Asystenci przemieszczali się na ugiętych nogach, obciążeni aparaturą sony i canon. Obiektywy arii, statywy... Caryn

304

snęła się między nimi każdego dnia i chłonęła terminologię. Szybko się uczyła. To było bardzo emocjonujące. Nawet Katie została w to wciągnięta i biegała od sklepów ze starzyzną do domów towarowych, żeby zdobyć rekwizyty lub elementy wyposażenia, które zdaniem Martina mogły być potrzebne w poszczególnych scenach. Był fanatykiem, jeśli chodziło o detale - gdy na stole miały stać cięte kwiaty w wazonie, musiały to być kwiaty odpowiedniego rodzaju. Kwiaty, jakie wybrałaby Jane, ambitna prawniczka, właścicielka mieszkania w Barbican. Caryn ucieszyła się, że mogła zadzwonić do Tory po radę. Martin, którego na ogół nie można było zadziwić, nie krył, że jest pod wrażeniem.

- Na rany Boga, Meredith... wy się kłóćcie! - Usłyszała, jak krzyczał na jedną z aktorek. - Nie musisz niczym w niego rzucać, ale potrzebuję tu więcej emocji! No dalej... jesteś na niego zła, pamiętasz? Myśl

0 tym, co on właśnie zrobił!

Caryn uśmiechnęła się i wróciła do swoich zajęć. Pieniądzy mieli niewiele, a czas to pieniądz - bardzo ważne było, żeby wszystko poszło dobrze przy najmniejszej liczbie powtórek, a najlepiej za pierwszym razem. Uprzedzałam - pomyślała, zerkając na aktorkę, na którą Martin właśnie nakrzyczał - że nawet jeśli dostałaś w tym rolę, to nie zawsze będzie miło. Nie była pewna, czy sama przejęłaby się, gdyby zaczął na nią tak krzyczeć. Straciła już rachubę, ile razy powtarzano scenę z Meredith

1 aktorem, którego imienia nie potrafiła zapamiętać - przyzwyczała się do nazywania go imieniem postaci, którą grał. Jeszcze dwa dni zdjęciowe, a potem zacznie się montaż. Rupesh był zajęty ścieżką dźwiękową, musiała załatwić prawo do wykorzystania kilku utworów klasycznych, a później - odpukać w niemalowane drewno - będą mieli ostateczne nagranie. W następnym tygodniu w jednym z barów Soho odbędzie się impreza na zakończenie pracy, z całą obsadą i zespołem... i trzeba się będzie brać do następnego filmu. Z nadzieją że po nim będzie kolejny.

- Powiedz, że przyjdiesz, proszę. - Głos Nik brzmiał niezwykle kusząco.

- Ale nie będę miała się w co ubrać - protestowała Caryn, trzymając słuchawkę telefonu między brodą a ramieniem, bo próbowała pisać na komputerze w trakcie rozmowy. - Nigdy przedtem nie byłam na takim przyjęciu i...

- Kolejny powód, żebyś przyszła. Możesz się ubrać, w cokolwiek zechcesz. Masz taką mc. Wiem, że masz. Widziałam cię w niej.

- Co mam?

- Małą czarną. Och, powiedz, że przyjdiesz... no, powiedz. Tory nie będzie. Od kiedy się zaręczyła...

- Nik, nie mogę. Jesteśmy w środku produkcji. - Caryn przerwała jej, dając znak Katie, żeby odebrała drugi telefon. - Jestem zarobiona. Muszę sprawdzić dwie nowe lokalizacje, aktorzy czekają na przesłuchanie, w tej chwili mam za duże urwanie głowy. Innym razem, słowo.

- Proszę. Zrób to dla mnie. To tylko jeden wieczór. '

- Och, no dobrze. - Caryn westchnęła. Kiedy Nik się na coś uparła, nie sposób było jej odmówić.

- Dzięki Bogu! Strasznie się bałam, że będę musiała iść sama. Zresztą masz czas do przyszłej soboty, czyli całe wieki, żeby się przygotować.

- Wydawało mi się, że Zoe miała iść z tobą.
- To i tak, jakbym poszła sama. Nie zniży się do rozmowy ze mną, wiesz. Nie wtedy, gdy otaczają ją milionerzy i modelki.
- Och Nik, tam pewnie będzie okropnie elegancko - powiedziała Caryn z podejrziwością w głosie.
- Nie będzie. Podjadę po ciebie... około siódmej wieczorem, OK?
- Tak, myślę, że tak.
- Będzie świetna zabawa, obiecuję.

Nik z ulgą odłożyła słuchawkę. W rzeczywistości dostała dwa zaproszenia na otwarcie nowego sklepu DeBeers przy Bond Street - jedno zaadresowane dla Nikoli Hartę i drugie dla Nikoli Parker, pierwsze dzięki uprzejmości RhoMine, drugie dzięki pracy w „Gossip!”. Ustawiła je oba oparte o lodówkę i czasami nerwowo na nie zerkała. Nie znosiła chodzenia na imprezy w pojedynkę. Zoe, oczywiście, też się tam wybierała. „Dla ciebie będzie to wieczór w pracy - powiedziała. - Będiesz podpatrywała, kto z kim, kto już nie, słuchała plotek, zbierzesz najświeższe nowiny - mówiła jakby od niechcienia i odruchowo przerzucała wizytówki z adresami fizyjerów, konsultantów do spraw ubiorów i osobistych wykonawców zakupów. Nie ulegało wątpliwości, że ona nie miała zamiaru pracować tego wieczoru.

306

Nik zrobiła sobie kawę, nagle zbита z tropu. Praca Caryn była najwyraźniej fantastyczna, o czym pomyślała z ukłuciem zazdrości. Przypomniała sobie, jak Caryn bardzo się denerwowała, gdy złożyła tam podanie - i najbardziej przerażała ją brak dyplomu wyższej uczelni. Caryn była jednak nieustępliwa. Bez tej cechy skończyłaby na robieniu kawy do końca życia. Dlaczego nie miałyby skłamać? Nik pamiętała też, jak bardzo zaskoczyło to ją i Tory. Caryn Middleton jawiła im się jako naj-uczciwsza znana im osoba. Caryn Middleton planowała kłamstwo? Teraz Nik wiedziała już, że tak właśnie powinna postąpić. Poza tym Caryn i tak była mądrzejsza od wszystkich, których Nik знаła. Jeśli to miało jej pomóc przekroczyć próg... Bo przecież i tak dałaby sobie radę w każdej pracy, którą by dostała - trzeba było jedynie trochę jej pomóc ją dostać. Połączyły wysiłki i wymyśliły odpowiednio mało znaczące studia na Uniwersytecie Londyńskim. Socjologia wydała im się idealna jako bardzo nieprecyzyjny kierunek, o którym nikt właściwie nic nie wie, i dlatego prawdopodobieństwo, że ktoś będzie ją o to wypytywał, było niewielkie. Caryn poradziła sobie fenomenalnie - awansowano ją już kilkakrotnie. A więc czasami warto było nagiąć trochę prawdę, żeby móc iść dalej. Chryste, przecież ona sama powinna wszystko o tym wiedzieć. Nie bez powodu nosiła nazwisko Hartę. Fortuna Jima Hartę została zbudowana na naginaniu prawdy - a także prawie wszystko poza tym.

69

Po intensywnej pracy przy sporządzeniu raportu zapanował denerwujący spokój. DiAngelo kazał mu nic nie robić i z nikim nie rozmawiać. Wszystko okryło milczenie. Po raz pierwszy w życiu Mat nie wiedział, co ze sobą zrobić. DiAngelo nie miał zamiaru zlecać mu niczego nowego, a ostatnie pół roku spędził praktycznie poza redakcją. Siedział teraz przy biurku i patrzył na innych, zajmujących się gorącymi wiadomościami. To było frustrujące. Oficjalnie nadal miał przydzielone „zadanie specjalne”, choć wszystko wskazywało na to, że zostało ono definitywnie wstrzymane. Nie lubił sytuacji, gdy nie miał nic do roboty.

307

Prawdę mówiąc, czuł się wtedy okropnie. Nawet Leonie zaczynała żałować, że nie zostawał w domu.

- Weź urlop - powiedział mu DiAngelo po drugim tygodniu. Ton głosu wskazywał, że nie była to rada.

Mat spojrzał na niego nieufnie.

- Na jak długo?
- Och, dwa, trzy tygodnie. Należy ci się. Powinieneś odpocząć. Kiedy powrócimy do planu A, będziesz miał mnóstwo zajęć.
- Plan A?
- No. Pracujemy nad nim. I nie będzie żadnego planu B.
- OK, szefie.

I to było wszystko. Miał dla siebie trzy tygodnie i mógł jechać, gdziekolwiek zechciał. Ale dokąd? - nurtowało go to pytanie. Pracując niemal dzień i noc przez ostatnią dekadę, nie zbliżył się do zbyt wielu osób, z którymi mógłby spędzić kilka dni, nie mówiąc już o trzech tygodniach. Pilotem położonym na udzie zmieniał kanały w telewizorze. Cóż, istniała tylko jedna możliwość. Choć nie lubił nawet myśleć o powrocie do miasta, z którym łączyło się dla niego zbyt wiele bolesnych wspomnień, żadne inne miejsce nie przychodziło mu do głowy. Mimo wszystko nie było pewności, że osoba, przez którą musiał stamtąd wyjechać, żeby od niej uciec, nadal tam mieszkała. Na pewno gdzieś się przeprowadziła. Zawsze tak robiła. Poza tym znał jeszcze innych ludzi w Londynie. Powinien odwiedzić rodziców i siostry, spędzić trochę czasu z Simonem, jeśli akurat tam był. Nie miał pojęcia, gdzie Simon podziewał się w tej chwili - ostami raz rozmawiał z nim telefonicznie przed kilkoma tygodniami... dzwonił gdzieś z Konga. Co prawda dostawał od niego wiadomości całkiem regularnie, no i Mat nadal miał klucze do jego mieszkania w Battersea. Podniósł słuchawkę telefonu, wybrał numer Simona i nagrał się na sekretarkę.

Około czwartej nad ranem Simon oddzwonił. Przejmujący, ostry dzwonek telefonu wyrwał Mata z głębokiego snu. Po omacku znalazł aparat.

- Simon? Jest czwarta rano! - wychrypiał.
- Przepraszam, brachu. Właśnie odsłuchałem twoją wiadomość. Zo-

308
stanę tu przynajmniej na parę tygodni. Przyjeżdżaj. Aż nie mogę uwierzyć, że wzięłeś urlop. Co się stało? Wylali cię?

- Chciałbyś pewnie, prawda? Nie, nie wylali. Mam urlop, i to wszystko. Rano kupię bilet. Będę na miejscu w sobotę. - W ustach miał sucho, pewnie przez whisky, którą wypił przed pójściem do łóżka.
- Świetnie, brachu.
- Mam klucze - nadal tam mieszkasz, prawda?
- Od czasu do czasu. - Słyszał, jak Simon zachichotał, odkładając słuchawkę.

Przewrócił się na drugi bok. W ciemności panował dziwny spokój. Słyszał odgłosy zaczynającego się ulicznego ruchu osiem pięter niżej - śmieciarki pojękiwały miarowo, nadjeżdżając i odjeżdżając, taksówkarze używali klaksonów, ktoś od czasu do czasu krzyczał. Tak, kilka tygodni w Londynie dobrze mu zrobi. Kurtyna ponownie nasunęła mu się na oczy i po kilku minutach głęboko zasnął.

Spakowanie się następnego ranka nie zajęło mu nawet pół godziny. Zatrzymał się w redakcji, żeby zabrać kilka rzeczy, i późnym popołudniem siedział już w żółtej taksówce pędzącej na lotnisko Kennedy'ego. Poszedł do poczekalni dla pasażerów biznes class. Długie loty w tę i z powrotem przez ostatnich kilka miesięcy nabiły mu sporo premiowych kilometrów - nadszedł czas, żeby mieć coś z pracy, którą wykonał. Zamówił kawę i wziął gazetę. Pijąc i czytając, poczuł, że napięcie towarzyszące mu od kilku tygodni zaczęło powoli ustępować. Mimo niechęci do wyjazdu do Londynu był zadowolony, że zobaczy rodzinę, Simona - tak, urlop to dobry pomysł. Dwadzieścia dni bez ani jednego spotkania, wywiadu, nieprzekraczalnego terminu... niewiarygodne. Gdyby tylko skupił się na fakcie, że odpoczynek dobrze mu robi... cóż, właściwie mógłby się nim po prostu cieszyć. Był przyzwyczajony do rozgardiaszu panującego w redakcji - dzwoniących telefonów, gadających ludzi, pokrzykiwań, śmiechów,

szalonego tempa i gorączkowej pracy przed zamknięciem numeru. Trudno mu było sobie wyobrazić, że przez następne trzy tygodnie nie będzie częścią tej maszyny. Zamiast tego stosunkowy spokój i cisza mieszkania Simona w Battersea oraz parę dni w domu Ndavów w Hampstead.

- Proszę pana? - Uniósł wzrok. Ładna brunetka w mundurku personelu naziemnego British Airways uśmiechała się do niego.

- Czas iść do samolotu.

- Dziękuję. - Wziął swój bagaż i poszedł do bramki.

*

Londyn nie różnił się od obrazu, jaki zapamiętał. O siódmej rano w mgiełce wczesnego lata ulice były spokojne i czyste. Kiedy taksówka włączyła się do ruchu i jechała do miasta, rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu i jednym uchem słuchał wiadomości radiowych - wyważony, powściągliwy styl Radia Four sprawiał mu przyjemność. To była ulga na powitanie. Nowy Jork wydawał mu się najbardziej teatralnym miastem, w jakim mieszkał - począwszy od przesadnie wysokich drapaczy chmur, skończywszy na kierowcach za często używających klaksonów i za ostro skręcających, wszystko tam było większe, szybsze, głośniejsze. Ulice przypominały pola bitew dla samochodów, motocyklistów, pieszych - nawet para wydostająca się z kanałów z sykiem na powierzchnię musiała wywalczyć sobie drogę ujścia. Londyn przeciwnie - był spokojny, zachowywał umiar. Samo patrzenie na miasto go uspokajało. Mieszkanie Simona znajdowało się przy Petworth Street, pomiędzy Chelsea a Battersea Bridges. Po latach tułania się po pokojach hotelowych i wynajętych kawalerkach Simon zaskoczył wszystkich, kupując niespodziewanie własne lokum, żeby potem szybko je zostawić na wpół puste.

Taksówka zajechała na miejsce i zniknęła potem w dalszej części ulicy. Nie było jeszcze ósmej. Mat wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi. W powietrzu nadal unosił się zapach świeżej farby. Wbiegł po schodach i stanął przed drzwiami mieszkania Simona. Zapukał, zanim zdecydował się na wejście do środka. Nikt nie odpowiedział. W mieszkaniu było niemal zupełnie tak samo, jak zapamiętał. Na drzwiach do salonu wisiał płaszcz przeciwdeszczowy, w przedpokoju leżały zabłocone adidas. Z kuchni dochodził zapach kawy i tostów. Simon musiał niedawno wyjść. Rzucił torbę na zapasowe łóżko i wszedł do salonu. Sterty magazynów i gazet leżały na podłodze przy sofie, która kiedyś była zapewne miękka i wygodna, ale teraz pozapadała się i praktycznie nie miała żadnego rozpoznawalnego kształtu. W kuchni w rogu talerze zalegały w zlewie, a na talerzyku na stole w jadalni zobaczył połowę niedojedzonej grzanki. Nagle poczuł się głodny. Usiadł na rozwalającej

310
suficie i wziął do ręki książkę, która na niej leżała. Jeden z kryminałów, jakie Simon lubił czytać. Odłożył ją. Od co najmniej dziesięciu lat nie czytał nic z literatury pięknej. Zamknął oczy. Mimo że przespał prawie całą drogę z Nowego Jorku, czuł się zmęczony.

Gwałtownie się przebudził. Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi. Przez chwilę leżał jakby w stanie odretwienia między snem a jawą i wtedy drzwi gwałtownie się otworzyły.

- Jesteś! - Simon odstawił na stół torbę z zakupami i podszedł do niego. Uderzył Mata lekko w ramię, co było jego typowym powitaniem. - Wyszedłem po mleko i gazety.

- A ja właśnie wszedłem - powiedział Mat, wolno wstając z sofy. -Poczułem zapach grzanki, więc pomyślałem, że nie poszedłeś daleko.

- Chodźmy na śniadanie. Za rogiem jest kawiarnia.

- Brzmi dobrze.

Dziesięć minut później siedzieli nad brzegiem rzeki i czekali na zamówione jedzenie.

- A więc co słyhać? - Mat zapytał jako pierwszy. Mimo opalenizny Simon wyglądał na zmęczonego. Może nawet na bardziej wyczerpanego, niż kiedy widzieli się ostatni raz w Nowym Jorku.

Simon wzruszył ramionami, zapalając papierosa. Powoli wypuścił dym.

- Niewiele.
- Gdzie cię teraz wysyłają?
- Tu i tam - odpowiedział niejasno. Odwrócił wzrok.

Mat znał go za dobrze, żeby dopytywać się o szczegóły. Nigdy do końca nie wiedział, co rzeczywiście Simon robił. Zaczynał jako analityk, badał obecność określonych minerałów w próbkach gleby, które mogły wskazywać na występowanie ropy naftowej. Do tego momentu Mat wszystko rozumiał. Praca była dobrze płatna, nieskomplikowana. Najwyraźniej Simon dobrze sobie radził i szybko awansował. Ale potem przerwano mu z ropy na kopalnictwo i wtedy zaczęły się jego zagraniczne podróże. Miało się wrażenie, że co miesiąc jechał do innego kraju, choć zasadniczo robił to samo - badał próbki ziemi, żeby sprawdzić, czy można na niej zarobić. W początkowej fazie kariery zawodowej ich

311

obu żartowali z tego. Simon miał brudne ręce, podczas gdy dłonie Mata pozostawały czyste - oczywiście w przenośni.

- A co u ciebie? - zapytał Simon, zmieniając temat rozmowy.
- Cóż, początek roku miałem trochę dziwny - powiedział Mat, mieszając kawę. - Przez większość czasu robiłem coś zupełnie nowego. Nie wolno mi zbyt wiele o tym mówić, ale prowadziłem coś w rodzaju śledztwa, dalekiego od dziennikarstwa.
- Czego dotyczyło?

Mat zawahał się.

- To zostaje między nami, dobrze?
- Jasne.
- Przyglądałem się szefowi RhoMine, Jimowi Harte'owi. To interesujące - on jest interesujący. Nie znam go osobiście, ale chętnie bym go poznał. Nigdy bym nie pomyślał, że powiem coś takiego o tym facecie. - Spojrzał na Simona. Ten wyglądał na lekko oszołomionego. - O co chodzi?
- Co? Och, nic takiego. Przez chwilę myślałem o... o czymś innym.

Mat zawahał się.

- Simon, dzieje się coś złego?

Ten popatrzył w drugą stronę. Pokręcił głową.

- Nie, wszystko gra.
- Jesteś pewny? Wyglądasz, jakby coś cię gnębiło - powiedział Mat łagodnie.

Teraz to Simon się zawahał.

- Nic takiego. Po prostu... wiesz, jak to jest. Przeklęte kobiety.
- Ktoś wyjątkowy? - Mat nie krył zaskoczenia. Simon nigdy nie był przygnębiony przez kobietę. To była specjalność Mata, nie jego.
- Taa. Jest... z kimś innym. Ale spoko. Tam, skąd pochodzi, jest ich znacznie więcej - powiedział stanowczym głosem. Twarz miał pozbawioną wyrazu.
- Oczywiście - wyszeptał Mat. Poczł przyływ ciepłych uczuć do tego wysokiego, smukłego mężczyzny o opalanej skórze i zielono-brązowych oczach, którego twarz - jak uważał - znał lepiej niż własną. Od kiedy pamiętał, Simon nigdy nie zafascynował się kimkolwiek, tak jak przydarzało się to Matowi. Tanja. Nawet teraz wspomnienie jej

312

imienia bardzo go bolało. Powstrzymał się. Simon jakoś się otrząsnie. Bo jemu to się przecież udało.

70

Caryn zapięła pasek na spódnicy kopertowej i pobieżnie, nerwowo obejrzała się w lustrze. Tydzień wcześniej obcięła włosy i nadal nie była pewna, czy dobrze zrobiła. Zdecydowała się na to po raz pierwszy od czasu, gdy miała dziesięć lat i nosiła grzywkę. Ucięła ją prosto w połowie czoła, reszta włosów podwijala się pod brodę.

- Bardzo do pani pasuje - zapewniała ją raz po raz fryzjerka. - Naprawdę.

Caryn nie była przekonana. Jej niewielka twarz o kształcie serca wpatrywała się w nią z lustrem niepewnie. Obróciła się powoli. Nie włożyła małej czarnej. W ostatniej chwili wyszła i kupiła coś nowego. Sukienka była obcisła, bładoniebieska, z tkaniny przypominającej dżersej z niewielką plisowaną wstawką na rękawach i wokół szyi. Założyła kolczyki i odsunęła się od lustra. Wyglądała dorośle. I elegancko, mimo grzywki. Wzięła torebkę. Nik mogła się zjawić w każdej chwili. Po co -pytała się po raz setny tego wieczoru - dała się jej namówić na to wyjście? Impreza z okazji otwarcia nowego sklepu z brylantową biżuterią była zupełnie nie z jej świata.

Nik ubrała się, oczywiście, na czarno. W każdym calu wyglądała jak olśniewająca dziewczynka, choć pewnie walnęłaby Caryn w ramię, gdyby to powiedziała. Długie ciemne włosy dzielił przedziałek pośrodku głowy, w uszach miała ogromne srebrne koła, a na szyi cienki srebrny łańcuszek znikający w dekolcie.

- Świetnie wyglądasz - powiedziała Caryn, wślizgując się na tylne siedzenie obok niej. Na tak wyjątkową okazję Nik postanowiła skorzystać z usług szofera ojca. Caryn nadal nie mogła się do tego przyzwyczaić - tym razem był to srebrny mercedes, pachnący w środku nowością. Zarówno ona, jak

313

i Tory nie mogły kompletnie zrozumieć, dlaczego Nik nie miała chłopaka. Była przecież bajecznie bogata, bajecznie ładna i miła... prawie niemożliwa kombinacja. Chodziła na niezliczone randki, które nieodmiennie prowadziły do tego, że zapytana o nie wzruszała po prostu ramionami i mamrotała coś w rodzaju „niezupełnie w porządku”. Na czym polegał problem? - zastanawiała się Caryn. Szybko jednak upomniała się w myślach, że nie jej o tym sądzić. Od czasów Rowland-a umówiła się raz czy dwa z miłymi, zupełnie nieszkodliwymi młodymi facetami, których poznała w trakcie pracy, i raz z aktorem odrzuconym przez Martina na jednym z przesłuchań, ale nic z tego nie wyszło. W głębi serca jej uczucia wobec mężczyzn nadal były ambiwalentne. Z jednej strony czuła niepokonowaną odrazę wywołwaną myślą o Humphreysie, z drugiej zaś niepokonowane pożądanie, które rozbudził w niej Rowland. Dwie skrajności, obie nie do okiełznania - pomyślała drwiąco. Nic, do cholery, dziwnego, że nie miała chłopaka.

- Czemu taka ponura? - zapytała Nik, gdy mijali amerykańską ambasadę przy Grosvenor Square. - Prawie się nie odzywasz.

Caryn westchnęła. Przyjaciółka potrafiła być czasami okropnie spostrzegawcza.

- Och, nic takiego - odpowiedziała odrobinę zaczepnie. - Trochę się zamyśliłam.

- To nie myśl. Zabawmy się i tyle. Wyglądasz doskonale. - Nik roześmiała się. - A tak przy okazji, podoba mi się twoja grzywka.

- Naprawdę? - Caryn dotknęła jej dłonią. - Nadal nie jestem pewna.

- W porządku, dziś wieczorem policzymy głowy, wtedy będziesz wiedziała.

- Policzymy głowy?

- Ile głów się obróci, kiedy będziesz je mijała. - Pochyliła się, żeby porozmawiać z kierowcą. - Dzięki, Carl, tu będzie dobrze. Wątpię, żebyś mógł podjechać bliżej. - Spojrzała na buty przyjaciółki. - Możesz w nich iść?

Caryn zachichotała.

- Nie mam pojęcia. Dopiero co je kupiłam.

- No to chodź - powiedziała Nik, otwierając drzwiczki. - A wydawało mi się, że wyciągam cię siłą. A tu, proszę, nowa sukienka, nowa
314

fryzura, nowe buty... niecierpliwie czekałaś na to cały tydzień. Przyznaj się!
Caryn wygramoliła się za nią, niezdolna do protestu.

- To gdzie jest ta impreza? - zapytał Mat Simona, biorąc marynarkę.
- Na New Bond Street. No chodź, brachu. Będzie fajnie. Mnóstwo supermodelek.
- I jak przypuszczam, dlatego właśnie chciałbym tam pójść?
- Kiedy ostami raz umówiłeś się z supermodelką? - zapytał Simon, wykładając kołnierzyk koszuli na kołnierz marynarki.
- Jeszcze nie miałem tej przyjemności - odpowiedział Mat sucho.
- Cóż, tym lepiej. Przeżyjesz coś nowego. No dalej, idziemy.

Mat zaśmiał się krótko, na wpół ze złością, i zszedł za nim po schodach. Tego popołudnia musiał iść na zakupy, żeby kupić nowy garnitur. Nie przyszło mu do głowy, żeby wziąć ze sobą ubranie, jakie normalnie nosił przy takich okazjach. Armani. Czarny, noszony z bardzo cienkim wełnianym swetrem pod spodem. Spojrzał na Simona. W ciem-nobeżowym lnianym garniturze wyglądał w każdym calu jak facet z reklam marlboro. Uśmiechnął się niechętnie. Wbrew sobie miał do pewnego stopnia ochotę na tę imprezę. Minęło sporo czasu od dnia, kiedy wyszedł gdzieś wieczorem. Z wielu powodów, w tym Tanji, to było coś, co należało do przeszłości. Skrzywił się. Czy to kiedykolwiek przestanie boleć?

Simon zatrzymał taksówkę na rogu Petworth Street i obaj wskoczyli do środka.

- Poproszę na New Bond Street.
- Jasne, proszę pana.

Taksówkarz zatrzymał samochód na rogu Brook Street.

- Nie dam rady podwieźć panów bliżej - powiedział, kiwając głową. Inne samochody, przesuujące się w ślimaczym tempie w kierunku

New Bond Street, zmierzały najwyraźniej w to samo miejsce. Mat nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział tyle luksusowych wozów w jednym miejscu. Merce, bmw, jaguary, bentleye, dziwaczne ferrari i nawet białe lamborghini. Uniósł brwi.

- Doskonale miejsce - wymamrotał. Simon prychnął.

315

- W porządku. Pójdziemy stąd pieszo.

Obaj wysiedli. Był przyjemny letni wieczór, kilku zapóźnionych przechodniów, najwyraźniej zaciekawionych tym, co się działo w połowie ulicy, opuszczało sklepy. Kiedy się zbliżyli, Mat spostrzegł gruby aksamitny sznur zagrządzający wejście. Dwóch ogromnych ochroniarzy stało czujnie i patrzyło, jak goście pokazują zaproszenia niezmiernie stworzeniu ubranemu w połyskującą czerń, które je sprawdzało i gestem wpuszczało nielicznych wybrańców. Simon wyjął dwa zaproszenia z kieszeni marynarki. Dziewczyna rozchyliła błyszczące czerwone usta, wyszeptwała słowa powitania, a oni minęli drzwi.

Potrzebował trochę czasu, żeby oczy dostosowały się do panującego w środku półmroku. Pośrodku pomieszczenia stała fontanna. Kojący odgłos szmerzącej wody mieszał się uroczo z łagodnym jazzem i przyciszonymi rozmowami. Z sufitu zwisały gigantyczne, biało-czarne zdjęcia Iman obwieszonych brylantami. Dostrzegł Hugh Granta ze zmysłową dziewczyną - Liz czy jakoś tak - w jednym z rogów Kirsten Scott-Tho-mas, wyglądającą niewymuszenie wspaniale jak zawsze, w drugim -Samuela J. Jacksona, Toma Cruise'a, Nicole Kidman. Simon miał rację. Gala celebrytów i supermodelek. Uniósł brew, gdy kolejne cudowne stworzenie, tym razem w roziskrzanej bieli, podeszło do nich z tacą z drinkami.

- Jakim, do licha, cudem udało ci się zdobyć zaproszenia? - zapytał szeptem Simona, biorąc kieliszek.

- Tak naprawdę to mam się tu dzisiaj z kimś spotkać - odpowiedział Simon trochę zażenowany. - To nie będzie długo trwało.

Mat zerknął na niego. Jakie też spotkanie mógł mieć Simon w takim miejscu? I dlaczego nie wspomniał o tym wcześniej? Czuł wyraźnie, że coś tu nie grało. Jakby na dany sygnał zjawiał się przy nim niski, raczej krępy mężczyzna w garniturze w towarzystwie dwóch facetów, w których Mat natychmiast rozpoznał ochroniarzy.

- Pan Carter?

Simon odwrócił się.

- Khoury.

Skinął mu głową, a potem ponownie obrócił się do Mata. Dotknął lekko jego ramienia.

316

- Zaraz wracam. Baw się dobrze - powiedział, unikając jego wzroku.

Odeszli obaj, a Mat stał z ochroniarzami, lekko poirytowany faktem, że Simon wyciągnął go na imprezę, a potem zostawił samego.

- Mat! Mat Ndava! - zawołał ktoś z tyłu.

Mat odwrócił się. Brodaty mężczyzna w źle leżącym garniturze uśmiechał się do niego szeroko.

- Rick. Rick Burnett. Pracowaliśmy razem w „Financial Timesie” kilka lat temu... Tylko mi nie mów, że mnie zapomniałeś?

Mat patrzył na niego tępo. Zapomniał.

- Cześć, przepraszam, że cię nie poznałem - skłamał.

- Tak, to pewnie przez brodę. Nikt mnie nie poznaje. Co teraz porabiasz? Czytałem któregoś dnia twój artykuł o Bokassie. Cholernie dobry. Osiedłeś w Nowym Jorku?

Mat skinął głową, pozwalając mu prowadzić rozmowę. Myślni był jednak przy Simonie, ogarnięty dziwnym niepokojem.

- Czy to Hugh Grant? - zapiszczała Caryn, nie umiając stłumić podekscytowania w głosie.

- Aha. A tam jest Liz. - Nik wskazała ją. - A tam Juliette Binoche. Och! Tam jest Iman... Boże, czy ona nie wygląda niewiarygodnie?

Caryn gapiła się na nią. Iman miała na szyi wartość produktu krajowego brutto niewielkiego państwa. Szefostwo DeBeers i ochroniarze kręcili się nerwowo wokół niej niczym motyle.

- Jest taka szczupła! - wypowiedziała szeptem. - Jak gałązka.

- Wszystkie takie są. Ciekawe, gdzie jest Zoe... Lepiej będzie, jak ją znajdę. Zarzuci mi potem przegapienie mnóstwa rzeczy, jeśli nie dam jej znać, że już tu jestem.

- Szampan dla pań? - Cudowny kelner w białej wykrochmalonej koszuli i rękawiczkach trzymał przed nimi tacę. - Życzę udanego wieczoru - wymamrotał, zatrzymując przed odejściem na sekundę wzrok na Caryn.

- Widziałaś? - powiedziała Nik triumfalnie. - Mówiłam, że ci pasuje! - Caryn schowała twarz za wysokim kieliszkiem szampana. - Och, dobrze, tam jest Zoe. Podejdę i przywitam się. Zaczekasz tu chwilę?

- Tylko szybko. Nie zostawiaj mnie samej!

Nik obróciła się i wpadła na jednego z gości, którego kieliszek

317

z szampanem w jednej chwili rozbił się na podłodze. Przekłęła i zaczerwieniła się po czubki włosów. Podbiegł kelner, który szybko pozamiatał szkło, znikąd pojawiła się mokra bawełniana serwetka, wszystkim zajęto się błyskawicznie. Przepraszając głośno, i nadal czerwona z zażenowania, Nik ruszyła w kierunku Zoe, która na nieszczęście stała z ultraszykowną redaktorką naczelną „Glamour” Marianną French.

- Czy to ty wywołałaś to zamieszanie, kochana? - spytała Zoe głosem słodkim jak miód, gdy Nik podeszła.

Nik wpatrywała się w nią. Od kiedy to stała się dla niej „kochaną”?

- A, tak - odpowiedziała krótko.

- Założę się, że to przez te buty - powiedziała Zoe, patrząc na jej stopy. - Nieważne, kochana. Potrzeba ci po prostu trochę wyrobienia.

Nik miała właśnie coś odpowiedzieć, kiedy w zasięgu jej wzroku znalazł się mężczyzna idący przez salę. Oczy się jej powiększyły. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała tak nieprawdopodobnie przystojnego faceta. Szedł przez główną salę w kierunku wyjścia, jego ciało kołysało się z gracją i seksapilem.

Zoe i Mariannę najwyraźniej były takiego samego zdania.

- Mmm - zamruczała Zoe, podążając wzrokiem za spojrzeniem Nik. - Kto to?

Nik szybko zamknęła usta i obróciła się do nich.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała zdawkowo. Nie miała zamiaru konkurować z Zoe, zwracając na siebie uwagę.

- Boski - wydyszała Mariannę.

Obie kobiety mrugnęły do siebie. Wyraz ich twarzy był niemal komiczny.

- Chcia... chciałam się tylko przywitać - powiedziała Nik i wskazała gestem Caryn. - Przyszłam tu z koleżanką...

- Och, nie z chłopakiem? Zresztą nieważne. - Zoe uśmiechnęła się do niej. - Zbieraj pracowicie plotki. Dziewczyny Mariannę już się uwijają na parkiecie. A nie chcemy, żeby przyłapano nas na drzemce, prawda?

Nik wymamrotała coś niezrozumiałego i salwowała się ucieczką.

Mat, który również uciekł Rickowi Burnettowi, szedł do toalety, kiedy zauważył wysoką, olśniewającą, ciemnowłosą dziewczynę stojącą obok kobiety ubranej w naprawdę paskudny odcień purpury, czego nie

318

potrafiło ukryć nawet przyćmione światło. Ona także go zauważyła - czuł na sobie jej spojrzenie, gdy szedł przez salę. Kiedy wrócił kilka minut później, z rozczarowaniem stwierdził, że już jej nie było. Zaczął jej szukać i spostrzegł ją, rozmawiającą z drobną blondynką. Stały w rogu przy jednej z gablot wystawienniczych. Zastanawiał się, co powinien zrobić, gdy nagle blondynka odeszła, najwyraźniej zmierzając do łazienki. Uśmiechnął się. Zwykle tak nie postępował, ale... a co tam? Był na wakacjach. Simona nigdzie nie było widać. Wziął kieliszek szampana i podszedł.

- Modelka czy partnerka? - zapytał, zakłopotany wrażeniem, że serce zaczęło mu bić żywiej. Była nadzwyczajna. Wysoka prawie tak samo jak on. Spojrzał w dół - wysokie obcasy. Sexy obcasy.

- Przepraszam? - Spojrzała wprost na niego.

W jej oczach nie dawało się niczego odczytać. Czy tylko to sobie wyobrażał, czy rzeczywiście nikły uśmiech igrał jej w kącikach ust?

- Zastanawiałem się, czy jesteś modelką - powiedział, śmiejąc się w duchu z beznadziejności tej uwagi. Nie miała na sobie żadnej biżuterii. - Czy może z kimś tu przysłaś. Przepraszam... Zwykle tego nie robię.

- A co robisz? - Zgięła ramię i trzymała je na wysokości talii, w dłoni miała kieliszek szampana.

Na jej ustach rzeczywiście igrał uśmiech. Była jednocześnie pewna siebie i zalotna. To mu się podobało.

- Usiłuję cię zagadnąć. - Mógł równie dobrze pozwolić sobie na szczerość. Wyglądała na taką, która potrafi to docenić. - Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie - dodał powoli, patrząc wprost na nią.

- Tak się składa, że ani jedno, ani drugie - odrzekła, odchylając do tyłu głowę i opróżniając kieliszek.

Patrzył na nią, gdy piła.

- Jeszcze jeden? - zapytał, zdumiony.
- Dlaczego nie?
- Wracam za sekundę. Nie zniknij.
- To się pośpiesz.

Nik patrzyła, jak szedł przez salę i znalazł kelnera. Nie mogła oderwać od niego oczu. Jego skóra była koloru ciemnej, gorzkiej kawy. Miał czarne, grube brwi, oczy w kształcie migdałów, wydatne kości po-

319

liczkowe i pięknie wykrojone usta, które wydawały się stale układać do uśmiechu. Zmusiła się do odwrócenia wzroku od jego twarzy i ku własnemu zdumieniu przekonała się, że teraz patrzy na jego nogi. Spokojnie, Nik - upomniała się w myślach. Mówił uroczo niskim głosem... wolno, z klasycznie angielskim akcentem z leciutką naleciałością amerykańskiego. Modliła się w myślach, żeby Caryn została w toalecie jeszcze przez jakiś czas.

- Proszę bardzo - powiedział, wracając z pełnym kieliszkiem w ręku. - Przy okazji, nazywam się Mat.
- Nik.
- Co więc tu robisz? - zapytał, upijając łyk szampana. - Powiedziałaś, że nie jesteś modelką.
- W najmniejszym stopniu. - Roześmiała się. - Pracuję dla jednego magazynu. Dziś wieczorem w zasadzie jestem w pracy. Tam stoi moja szefowa. - Wskazała ręką z kieliszkiem w kierunku Zoe. Ze sporym zadowoleniem zauważyła, że Zoe też ich widziała.
- Ach - wymamrotał. - Nie... niezwykła suknia, nie uważasz?
- To Miyake.
- I tak właśnie ma wyglądać?
- Cóż...
- Nie, nie odpowiadaj. Nie chcę być odpowiedzialny za niegrzeczne komentarze o twojej szefowej.
- A ty?
- Co ja?
- Jesteś modelem? Albo czymś chłopakiem?

Roześmiał się.

- Ani jedno, ani drugie. Choć podejrzewam, że pytasz tylko z uprzejmości. - Miał zamiar dodać coś jeszcze, ale niespodziewanie pojawiła się Caryn.

Nik poczuła, że się rumieni. Caryn spojrzała na nich oboje, oczy trochę się jej powiększyły.

- Och, jesteś - powiedziała Nik szybko, żeby zamaskować zmieszanie. - To jest... Mat, prawda? - Cholernie dobrze wiedziała, jak miał na imię.

- A ty jesteś... Nik? - Oczy mu się śmiały. Nic nie uchodziło jego uwagi.

320

- Tak, a to jest Caryn.
- Cześć, Caryn. - Wymienili uścisk dłoni. Na chwilę zapadła krępująca cisza. - No to nie będę przeszkadzał - powiedział, patrząc wprost na nią. - Miło było was poznać.
- Och, tak... ee, mnie też. - Chciała mu powiedzieć, żeby został, ale nie wiedziała jak. Obrócił się do odejścia, zawahał się jednak i ponownie stanął przodem do niej.
- Posłuchaj - odezwał się niskim głosem, najwyraźniej zwracając się tylko do niej. - Jak powiedziałem, zwykle tego nie robię, ale będę w Londynie jeszcze przez kilka dni... Jakbyś miała ochotę na kawę albo drinka, zadzwoń do mnie. - Wyjął z kieszeni wizytówkę i nabazgrał na niej numer. Podał Nik.

Poczuła, jak krew napływa jej do policzków. Wzięła kartonik, obracała go w dłoniach, ale nawet na niego nie spojrzała. Próbowwała stłumić uśmiech.

- Mogę? - Wskazała na długopis.

Wyglądał na trochę zaskoczonego, ale zaraz go jej dał. Napisała z drugiej strony swój numer i oddała mu wizytówkę.

- Teraz to ty będziesz musiał do mnie zadzwonić - powiedziała. - Piłeczka jest po twojej stronie, Mat. - Puściła do niego oko i odeszła. Caryn szybko podążyła za nią. Uśmiechał się. Czuli to.

Uśmiech zamarł na ustach Simona. Gdy wrócił, zauważył Mata rozmawiającego z dwiema kobietami. Miał zamiar przejść przez salę i do nich dołączyć, ale gdy obróciła głowę profilem do niego, natychmiast ją rozpoznał. Odwrócił się błyskawicznie, czując ogarniającą go falę ogromnej irytacji. Do cholery! Powinien się domyślić, że ona tu będzie. I dlaczego, do kurwy nędzy, Mat z nią gada? Roześmiał się krótko z irytacją. To było widać gołym okiem.

Wyglądała cudownie. Z tego samego powodu sam ją zagadnął - nawet pocałował. Stał przy wejściu i patrzył na nich. Mat podał jej biały kartonik - wizytówkę. Nik Hartę wzięła ją, napisała coś i oddała mu. Numer telefonu - na pewno. Mat wsunął ją do marynarki. Simon prawie nie mógł na to patrzeć. W chwilę później dziewczyny odeszły. Kiedy było pewne, że nie wrócą, podszedł do Mata i dotknął jego ramienia.

321

Mat obrócił się i uśmiechnął do niego.

- Hej, wróciłeś. Jak poszło spotkanie?

- W porządku. Posłuchaj, nie czuję się najlepiej - skłamał. Potarł czoło. - Głowa mnie rozboleła. Nie wiem z jakiego powodu, ale aż pulsuje. Zostań, jeśli chcesz, bo ja chyba pojedę do domu. Przepraszam, że psuję ci zabawę.

- Niczego nie psujesz. Spadajmy stąd. I tak nic się tu nie dzieje - powiedział Mat, marszcząc brwi. Twarz miał zatroskaną.

Simon musiał odwrócić wzrok. Przepisnęli się przez salę i tłum kłębiący się przy wejściu.

Rozbłysło kilka fleszy, ale żaden obiektyw nie był skierowany w ich stronę. Mat wyrwał się do przodu, złapał taksówkę na Oxford Street i wrócił na Brook Street, żeby zabrać Simona.

Kiedy odjeżdżali, głowa Simona rzeczywiście zaczęła pulsować. Ponowny widok Nik Hartę sprawił, że krew napłynęła mu do skroni. Widok rozmawiającego z nią Mata wywołał coś innego. Coś, do czego - jak mu się wydawało - nigdy nie byłby zdolny.

71

Usłyszał odgłos spuszczonej wody, a potem szum prysznic. Marynarka Mata wisiała na oparciu jednego z krzeseł przy stole. Nie zastanawiając się, podszedł do niej i wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni. Dotknął palcami wizytówki. Wyciągnął ją, wpatrywał się w kartonik przez chwilę i schował do własnego portfela. Zerknął na zegarek. Dochodziła północ. Nalał sobie szklankę wody i połknął dwie aspiryny. Zgasił światło i wszedł do sypialni, usiłując nie myśleć. Słyszał, jak Mat szykuje się do spania w pokoju obok. Podłoga zaskrzypiała, potem słychać było otwieranie i zamykanie szafy, ciche piknięcie telefonu, gdy najprawdopodobniej odsłuchiwał nagrania z sekretarki w Nowym Jorku. Serce zaczęło bić mu żywiej, gdy usłyszał, jak Mat otworzył drzwi i wszedł do salonu. Nastawił ucha - czy podszedł do marynarki? Przez kilka następnych minut nic się nie działo, a później drzwi cicho się zamknęły... zapanowała cisza. Simon rozebrał się, za bardzo zmęczony, by brać prysznic, w głowie miał zbyt duży zamęt, by trzeźwo myśleć.

322

Położył się i czekał niecierpliwie, kiedy aspiryna zacznie działać. Serce biło mu miarowo.

Mat również nie spał, zastanawiając się, co, do licha, mógł zrobić z wizytówką, którą Nik mu oddała. Dobrze pamiętał, że włożył ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Czyżby gdzieś mu wypadła? Nie mógł o północy przeszukiwać całego mieszkania, tym bardziej że Simon nie czuł się dobrze i leżał w pokoju obok. Niemniej bardzo go to gnębiło. Gubienie rzeczy nie

było w jego stylu, a zwłaszcza czegoś takiego. Był pewny, że włożył wizytówkę do prawej wewnętrznej kieszeni marynarki. W taksówce, w drodze do domu, wsuwał do niej kilka razy rękę i dotykał jej, bo przypominała mu o niespodziewanie miłym wieczorze. Najpierw spodobał mu się wygląd, ale potem ją polubił. Była zaskakująco spokojna. „Pileczka jest po twojej stronie”. A odchodząc, nawet się nie obejrzała. Jak wiele kobiet potrafiłoby się na to zdobyć? A teraz już go tam nie było, a cholerna wizytówka zniknęła. Skrzywił się. Pierwsza kobieta od lat, która wzbudziła jego zainteresowanie, a on zgubił jej numer? Nie wiedział nawet, jak się nazywała. Nie znał nikogo z gości na tej imprezie, więc jak, jeśli rzeczywiście zgubił tę wizytówkę, miał ją odnaleźć? Nie, musi być gdzieś w mieszkaniu. Miał ją, kiedy wysiadał z taksówki - tego był pewny. Wyciągnął portfel, odsuwając rękę Simona, kiedy podjechali pod dom... czy wtedy mogła mu wypaść? Niewiele brakowało, żeby wyszedł i od razu zaczął jej tam szukać, ale było już dobrze po północy, nie miał latarki i obudziłyby Simona... nie, wizytówka musiała być gdzieś w mieszkaniu. Nagle przypomniały mu się ciemne oczy Nik, jej twarz, na wpół ukryta za krzywizną kieliszka z szampanem. Poczł, że puls mu przyspiesza. Chciał wiedzieć więcej. Musiał znaleźć tę przekłętą wizytówkę.

- Lepiej się czujesz? - zapytał Simona nazajutrz rano, gdy ten wyłonił się z sypialni.

- Tak, nie mam pojęcia, skąd się to wzięło. Ale przeszło. Dobrze spałeś? - zapytał Simon, rzucając szybkie spojrzenie w okolice stołu. Marynarka Mata zniknęła.

- Niezupełnie. Najdziwniejsze jest to... chodzi o to, że rozmawiałem z kimś na tej imprezie. Dała mi numer telefonu, napisany na odwrocie

323

mojej wizytówki. Cholera mnie bierze, bo nie mogę jej znaleźć. - Roześmiał się ze zniecierpliwieniem. - Poszedłem nawet dziś rano przed dom, żeby sprawdzić, czy nie upuściłem jej na chodnik, ale niczego nie znalazłem. Musiała mi wypaść w taksówce albo gdzieś indziej.

- Przykre - powiedział Simon, uważając, by jego głos brzmiał naturalnie. - Jestem pewny, że mimo wszystko tam, skąd pochodzi, jest ich znacznie więcej. Jak sam zawsze powtarzasz - dodał pospiesznie, widząc, że Mat marszczy czoło.

Ten skinał głową, najwyraźniej myślami był daleko. Nalał sobie kawy i wziął bliżej okna plik gazet, które kupił. Zapowiadał się cichy poranek - uznał Simon. Zawsze, kiedy Mat czymś się martwił, wycofywał się w siebie. Westchnął. Nie powinien tego robić, i to z bardzo wielu powodów. Podobnie jak wtedy, gdy byli dziećmi, nie lubił, kiedy Mat się martwił. A zwłaszcza sytuacji, gdy sam był tego przyczyną. W odróżnieniu od Simona Mat rzadko tracił panowanie nad sobą. Niechętnie się złościł, szybko zapominał - taki był. Dokładne przeciwieństwo Simona. Przy kilku okazjach załatwili spory w staroświecki sposób, najnormalniej w świecie okładając się pięściami w bóje bez żadnych zahamowań. Patience traciła dla chłopców cierpliwość i rugała za każdym razem, gdy przyłapała ich na szamotaniu się w piachu. Ale wtedy był to najszybszy i najskuteczniejszy sposób wyjaśniania nieporozumień. Kiedy walka się kończyła, obaj nieodmiennie czuli się zawstydzeni i już po kilku minutach - przynajmniej jeśli chodziło o Mata - osiągnęli porozumienie. W przypadku Simona trwało to dłużej, ale zawsze działało. Tyle że od ostatniej takiej bójki minęły całe lata. Całe lata od czasu, kiedy kłócili się o coś innego niż polityka, ale o politykę wszyscy się kłócą. Obaj zgadzali się w ocenie Mugabe, co było w porządku. Mat lubił futbol, Simon wolał rugby... to także było w porządku i miało nawet historyczne uzasadnienie: rugby na południu Afryki było sportem dla białych, piłka nożna grą afrykańskich mas. Na szczęście dla nich nigdy nie zainteresowali się tą samą dziewczyną. Simon od początku miał słabość do ślicznotek, które znalazły się w jego otoczeniu. W liceum przez cały czas trzy albo cztery dziewczyny twierdziły, że chodzą z Simonem Carterem - niemal zawsze jednocześnie. Z nich dwóch to Mat ostrożniej podchodził do spraw sercowych.

A potem, oczywiście, złamała mu je Tanja Pietrowicz, córka rosyj-
324

skiego ambasadora, którą poznał, gdy był w Anglii w szkole z internatem. Chodzili ze sobą przez siedem lat i później na studiach. I przez cały ten czas ona nawet słówkiem nie wspomniała o nim rodzicom. Kiedy została przyciśnięta do muru i nie miała innego wyjścia - rzuciła Mata. W jednej chwili znalazł się poza ramką. Zajął się kimś innym, Anglikiem, pracującym w tym samym banku, z rodzaju tych, których jej rodzice akceptowali i rozumieli. I to wszystko. Za jakiś czas Mat przeniósł się do Nowego Jorku i sprawa przeszła do historii. Przynajmniej on tak twierdził. Poprzedniego wieczoru po raz pierwszy od lat Simon widział go choć trochę zainteresowanego inną kobietą.

Odwrócił się do okna i wziął kurtkę.

- Skoczę po fajki - powiedział, unikając wzroku Mata. Czuł się jak kutas. Bo był kutasem. Jak mógł nawet pomyśleć o zrobieniu czegoś takiego własnemu bratu?

72

Estelle siedziała ze złączonymi kolanami i dłońmi splecionymi na udach. Czuła, jak brylantowy pierścionek, prezent od jednego z zadurzonych w niej, podstarzałych i spasionych klientów wrzyna się jej w lewą dłoń. Czekała, aż Phil Johnson wezwie ją do gabinetu. Powiedział jej, że sprawa zajmie mu miesiąc, a mijał właśnie kwartał. Miała wrażenie, że zbliża się do punktu, gdy nie wytrzyma dłużej tak długiego oczekiwania. Sekretarka podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niej współczująco.

- To nie potrwa długo - powiedziała, wskazując gestem jego gabinet. - Ktoś właśnie jest u niego.

Estelle zignorowała ją. Nie mogłaby dobyć głosu, nawet gdyby chciała. W gardle zupełnie jej zaschło. Bez powodzenia próbowała zapanować nad nerwowym skurczem żołądka. W końcu, gdy wydawało się, że już dłużej nie wytrzyma, drzwi się otworzyły i stanęła w nich wysoka kobieta w kwiecistej garsonce, a tuż za nią Phil Johnson.

- Ach, panna Mackenzie. Będę za sekundę - powiedział, odprowadzając do drzwi kobietę. - Niech pani wejdzie. Napije się pani herbaty?

325

Pokręciła głową ze zniecierpliwieniem. Wstała i niemal wbiegła do gabinetu.

- Proszę usiąść - odezwał się Phil, wchodząc zaraz za nią i zdecydowanym ruchem zamykając drzwi. Usiadł naprzeciwko dziewczyny i przyglądał się jej w zamyśleniu.

Serce waliło Estelle jak młotem. Z wyrazu jego twarzy nie dawało się odgadnąć, czy miał dla niej dobre, czy złe wieści. Choć z drugiej strony każda informacja byłaby dobra - pomyślała w duchu. Cokolwiek.

- Czy pan...

Uciszył ją uniesieniem ręki.

- Wszystko po kolei - powiedział, skubiąc koniec wąsa. Otworzył szufladę i wyjął dużą szarą kopertę. - Muszę zadać pani kilka pytań...

- Niech mi pan po prostu powie. Znalazł go pan? - Estelle weszła mu w słowo. Słyszała własny oddech, płytki i chrapliwy.

Westchnął.

- Znalazłem. Ale, że tak powiem, to trochę... skomplikowane.

- Kim on jest? Nadal żyje?

- Jak najbardziej. - Oparł brodę na dłoniach. - Odszukałem Basila Mackenziego.

Mieszka w Oksfordzie...

- Czy mogę się z nim zobaczyć? - Estelle ponownie mu przerwała, podekscytowana.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie doradzałbym tego. Raczej nie, Estelle. - Zagryzł dolną wargę. - Basil Mackenzie na pewno żyje, ale on nie jest twoim ojcem.

Estelle wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- To nie on?

- Nie. Nie prosiłem go o badania DNA, ale moim zdaniem mówi prawdę. Nie, obawiam się, że Basil Mackenzie nie jest pani ojcem.

Usta zaczęły jej niebezpiecznie drgać.

- To kto nim jest?

Johnson zawahał się. A potem wymienił nazwisko.

Estelle niemal przestała oddychać. Nie odrywała od niego wzroku.

- To nie... niemożliwe. On nie jest moim ojcem!

- Na pani akcie urodzenia jako ojciec figuruje Basil Mackenzie. Ale to odpis. Kiedy zażądałem oryginału - i przez to właśnie sprawa tak się przeciągnęła - wyszło na jaw coś innego. Urodziła się pani, moja dro-

326

ga, w Zimbabwie przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym rokiem, co oznacza, że wszystkie narodziny, śluby i zgony zostały zarejestrowane w Biurze Kolonialnym i są przechowywane tu, w Londynie, w Somerset House. A więc... - Otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę papieru.

- To odpis z oryginału znajdującego się w Somerset House. Zgodzi się pani ze mną, że ten dokument nie pokrywa się z posiadanym przez panią odpisem. Na nim zostało zmienione nazwisko ojca. A to, moja droga - powiedział, wskazując na dokument leżący na stole między nimi - to jest twój ojciec.

Estelle wpatrywała się w akt urodzenia. Czowała narastającą w środku ogromną falę emocji, nasilające się pieczenie w żołądku, ogarniające powoli całe ciało. Palce zaczęły jej drżeć.

- Jest pan absolutnie pewny? - zapytała głosem, który nabrzmiewał złością.

- Na ile mogę być czegokolwiek pewny, tak.

Milczała. Potem wzięła odpis nowego aktu urodzenia i trzymała papier w ręku.

- Mogę to zatrzymać?

- Oczywiście. Pani Devereaux uregulowała rachunek, więc wszystko należy do pani. - Podał jej odpis, który mu dała na pierwszym spotkaniu.

- Niech pan to spali - powiedziała stanowczo i wstała. Złożyła nowy odpis równo na dwoje i wsunęła do torebki. Spojrzała na detektywa. -Dziękuję za pomoc - dodała łagodniej. Johnson robił wrażenie, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tego nie zrobił. Estelle otworzyła drzwi gabinetu i wyszła. Starła się iść na tyle spokojnie, na ile to było możliwe. Zignorowała pełne zdumienia spojrzenie sekretarki, koncentrując się na jednej myśli. Gloria ją okłamała. Dlaczego?

73

Jak szybko wszystko się zmieniło! Niespełna tydzień temu przepełniał ją optymizm. Czysty, promienny, radosny optymizm - taki, przy którym wstaje się rano z łóżka z uśmiechem. Taki, dzięki któremu cze-

327

ga, w Zimbabwie przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym rokiem, co oznacza, że wszystkie narodziny, śluby i zgony zostały zarejestrowane w Biurze Kolonialnym i są przechowywane tu, w Londynie, w Somerset House. A więc... - Otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę papieru.

- To odpis z oryginału znajdującego się w Somerset House. Zgodzi się pani ze mną że ten dokument nie pokrywa się z posiadanym przez panią odpisem. Na nim zostało zmienione nazwisko ojca. A to, moja droga - powiedział, wskazując na dokument leżący na stole między nimi - to jest twój ojciec.

Estelle wpatrywała się w akt urodzenia. Czowała narastającą w środku ogromną falę emocji, nasilające się pieczenie w żołądku, ogarniające powoli całe ciało. Palce zaczęły jej drżeć.

- Jest pan absolutnie pewny? - zapytała głosem, który nabrzmiewał złością.

- Na ile mogę być czegokolwiek pewny, tak.

Milczała. Potem wzięła odpis nowego aktu urodzenia i trzymała papier w ręku.

- Mogę to zatrzymać?

- Oczywiście. Pani Devereaux uregulowała rachunek, więc wszystko należy do pani. -
Podał jej odpis, który mu dała na pierwszym spotkaniu.

- Niech pan to spali - powiedziała stanowczo i wstała. Złożyła nowy odpis równo na dwoje i wsunęła do torebki. Spojrzała na detektywa. -Dziękuję za pomoc - dodała łagodniej. Johnson robił wrażenie, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tego nie zrobił. Estelle otworzyła drzwi gabinetu i wyszła. Starła się iść na tyle spokojnie, na ile to było możliwe. Zignorowała pełne zdumienia spojrzenie sekretarki, koncentrując się na jednej myśli. Gloria ją okłamała. Dlaczego?

73

Jak szybko wszystko się zmieniło! Niespełna tydzień temu przepełniał ją optymizm. Czysty, promienny, radosny optymizm - taki, przy którym wstaje się rano z łóżka z uśmiechem. Taki, dzięki któremu cze-

ga, w Zimbabwe przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym rokiem, co oznacza, że wszystkie narodziny, śluby i zgony zostały zarejestrowane w Biurze Kolonialnym i są przechowywane tu, w Londynie, w Somerset House. A więc... - Otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę papieru. - To odpis z oryginału znajdującego się w Somerset House. Zgodzi się pani ze mną, że ten dokument nie pokrywa się z posiadanym przez panią odpisem. Na nim zostało zmienione nazwisko ojca. A to, moja droga - powiedział, wskazując na dokument leżący na stole między nimi - to jest twój ojciec.

Estelle wpatrywała się w akt urodzenia. Czowała narastającą w środku ogromną falę emocji, nasilającą się pieczenie w żołądku, ogarniające powoli całe ciało. Palce zaczęły jej drżeć.

- Jest pan absolutnie pewny? - zapytała głosem, który nabrzmiewał złością.

- Na ile mogę być czegokolwiek pewny, tak.

Milczała. Potem wzięła odpis nowego aktu urodzenia i trzymała papier w ręku.

- Mogę to zatrzymać?

- Oczywiście. Pani Devereaux uregulowała rachunek, więc wszystko należy do pani. -
Podał jej odpis, który mu dała na pierwszym spotkaniu.

- Niech pan to spali - powiedziała stanowczo i wstała. Złożyła nowy odpis równo na dwoje i wsunęła do torebki. Spojrzała na detektywa. -Dziękuję za pomoc - dodała łagodniej. Johnson robił wrażenie, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tego nie zrobił. Estelle otworzyła drzwi gabinetu i wyszła. Starła się iść na tyle spokojnie, na ile to było możliwe. Zignorowała pełne zdumienia spojrzenie sekretarki, koncentrując się na jednej myśli. Gloria ją okłamała. Dlaczego?

73

Jak szybko wszystko się zmieniło! Niespełna tydzień temu przepełniał ją optymizm. Czysty, promienny, radosny optymizm - taki, przy którym wstaje się rano z łóżka z uśmiechem. Taki, dzięki któremu cze-

327

kający nas dzień wydaje się jaśnieć - niebo jest bardziej niebieskie, czystsze, słońce złote i ciepłe. Nagle wszystko wydaje się możliwe. Kiedy po imprezie i odwiezieniu Caryn wróciła do domu, tajemniczy uśmiech igrał na jej ustach. Nic się nie stało - nie zrobił nic więcej poza poproszeniem o numer jej telefonu. A mimo to... wszystko było inaczej. I pomyśleć, że spędziła w jego towarzystwie nie więcej niż pięć minut. Nie potrafiła wytłumaczyć tego Caryn, a nawet sobie. Mat. Nie знаła nawet jego nazwiska. Ale wkrótce je pozna. On zadzwoni, umówią się na spotkanie, a wtedy sama się przekona, co tak bardzo ją w nim poruszyło.

Ale Mat nie dzwonił. Ten sam optymizm, który wyniósł ją na oszałamiającą wysokość, zrzucił ją z powrotem z niesłychaną prędkością i okrucieństwem na ziemię. Rankiem czwartego dnia od przyjęcia stało się jasne, że Mat nie zadzwoni. Nik leżała na podłodze, wściekła na siebie. W sumie widziała się z tym facetem przez pięć minut? Przystojny czy nie, charyzmatyczny czy nie, prawie go nie znała. Właściwie nic o nim nie wiedziała. Jeden kieliszek szampana, pięć minut głupawej po-gaduszki i zalotne spojrzenia, po których napisała numer telefonu... po co, och, po co udawała taką powściągliwą? Piłeczka jest po twojej stronie? On olał tę pierdoloną piłeczkę. Dlaczego, och, przede wszystkim dlaczego uległa jego czarowi?

Usiadła w domu przy biurku i próbowała skupić się na pracy, którą Zoe jej zleciła. Miała już dzień opóźnienia. Rubryka Zoe Pocałuj i powiedz w „Tatlerze”, siostrzanym magazynie „Gossip!”, była chętnie czytana co tydzień przez osoby z towarzystwa i te, które rozpaczliwie chciały się do niego dostać - niewiele osób ze środowiska wydawców wiedziało, że naprawdę pisały to podwładne Zoe. Nik nienawidziła tego obowiązku, a złościło ją zwłaszcza to, że musiała pisać na sposób Zoe: z ciętym, nachalnym poczuciem humoru, napastliwie i jadownicie. Prawdę mówiąc, prawie nikogo innego nie zauważyła na tej imprezie. Usiłowała przypomnieć sobie, co Liz Hurley miała na sobie - najprawdopodobniej niewiele tego było. Westchnęła. Jej życie przypominało serię „dlaczego”: Dlaczego dała się sterroryzować i zgodziła napisać coś do Pocałuj i powiedz? Dlaczego nie odeszła po prostu z „Gossip!” i nie zaczęła robić czegoś wartościowego z własnym życiem? Dlaczego ma we wszystkich sprawach taką słabą wolę? I dlaczego zwróciła mu wizytów-

328

kę, nie patrząc nawet na nazwisko? Bo usiłowała - zbyt ambitnie - być chłodna. Nagle zadzwonił telefon, przerywając nieprzyjemną ciszę. Odetchnęła głęboko kilka razy, zanim podniosła słuchawkę. Niech to będzie on. Błagam, niech to będzie on.

- Halo?
- Cześć, to tylko ja. - To była Caryn. - Dobrze się czujesz?
- Tak. - Ogarnęła ją fala rozczarowania. Nastąpiła krótka cisza. A potem: - Nie.
- Co się stało?
- Nie zadzwonił - jęknęła Nik, nie umiając nad sobą zapanować.
- Och Nik. Posłuchaj, może dasz się zaprosić na obiad w knajpie? Tylko ty i ja...
- A jeśli on wtedy zadzwoni?
- Nik. Masz automatyczną sekretarkę. Jeśli mu zależy, zostawi wiadomość. A jeśli nie, zapomnij o nim. No dalej, umów się ze mną.
- OK. - Nik westchnęła. Takie wyjście na obiad odwróci przynajmniej jej uwagę od czegoś, co uznała za największe rozczarowanie w życiu. - To gdzie się spotkamy?
- W Mezzo - powiedziała Caryn stanowczym tonem. - I włoż coś ładnego. Musisz się trochę rozerwać.

Nik odłożyła słuchawkę, serce nadal mocno jej biło. Caryn miała rację. Powinna o nim zapomnieć. Co z nią było nie tak? Obaj mężczyźni, których poznała w ostatnim roku i którzy się jej podobali, okazali się niewypałami? To było niesprawiedliwe. Po raz nie wiadomo który spojrzała na telefon. Nie, nie miał zamiaru dzwonić. I prawdopodobnie nigdy więcej już go nie zobaczy.

f

Część szósta

74

Londyn 2004

Tory odsunęła od siebie stertę rachunków i faktur, po czym wstała. Był piękny sobotni poranek, ale jak zwykle musiała być tutaj, zamknięta w czterech ścianach i ślęcząca nad finansami. Miała dla siebie cały weekend - Luc wyjechał w delegację służbową. Czy nie mogłaby znaleźć sobie czegoś ciekawszego do roboty? Nie umiała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miała ranek dla siebie. Kwaciarnia zabierała jej każdą wolną chwilę, a tę odrobinę czasu, jaka jej zostawała, poświęcała Lucowi. Jej matka już dawno zdecydowała, że Johna obowiązuje jedna zasada - w tygodniu tak, w weekendy nie. Dlatego rzadko pojawiał się w sklepie w soboty. Podeszła do okna wychodzącego na Canonbury Square. Czerwcowy ranek pysznił się w całej krasie. Błękitna rozległa kopuła nieba z zawieszonym pod nią słońcem. Skrzywiła się. Kiedy ostami raz była na zakupach? Tylko dla siebie? Tylko dla rozrywki? Dziesięć minut później zbiegła po schodach, zatrzasnęła za sobą niewielką furtkę i ruszyła w kierunku Upper Street. Uwielbiała swoje nowe mieszkanie. Zajmowała je dopiero od pół roku, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby żyć gdzieś indziej. Było na piątym piętrze - bez windy! - i podłogi okazały się trochę krzywe, ale i tak jej się podobało. Luc pomógł jej przy papierkowej robocie, a bez jego dyskretnej zachęty pewnie nadal mieszkałaby z rodzicami przy Hortensia Road. Zastanawiała się, jak to będzie wyglądało po ich ślubie. Od oświadczyń minął już prawie rok - od pierwszego i, prawdę mówiąc, jedyne go razu, kiedy byli razem na wakacjach. Datę ślubu przekładali już kilkakrotnie. Nie-

333

ft

spodziewanie umarła matka Luca, potem dostał awans, Kwiatowe Historie zaczęły lepiej prosperować wcześniej tego roku... oboje pracowali w tak beznadziejnych godzinach, że nie mogli znaleźć chwili, by wspólnie usiąść i coś zaplanować. Ale wkrótce to zrobią, powinni niedługo tym się zająć, ale nie w tej chwili. Tory niemal słyszała głos matki, wyjaśniającej sąsiadom i przyjaciółkom, dlaczego jeszcze nie było wesela. „Och, wiecie, jacy dzisiaj są młodzi. Tylko ta praca i praca, i praca”.

Kupiła sobie kawę w małej włoskiej kafejce na rogu Canonbury Lane i ruszyła przed siebie zalaną słońcem ulicą, przystając to tu, to tam, żeby obejrzeć wystawę. Minęły wieki od czasu, kiedy kupiła sobie jakiś ciuch. Teraz ubierała się w uniform do pracy, to znaczy wkładała parę dżinsów i podkoszulkę albo sweter, czym niemal wszystkich irytowała. Nie dalej jak kilka dni temu Nik ostrzegła ją, że grozi jej przemiana w jedną z wiedźm z cyganerii, cokolwiek to znaczyło. Skrzywiła się w uśmiechu i weszła do Jigsaw.

Dwadzieścia minut później wyszła z pięknym, kremowym płaszczem z lnianego płótna, jedwabną apaszką w granatowo-żółte plamy i parą cudownie niepraktycznych sandałków na wysokich obcasach. Czuła się trochę speszona. Jakim cudem, do licha, dała się namówić na ich kupienie? I gdzie niby miała w nich chodzić? Wybiegła ze sklepu, przyciskając do siebie torby w podnieceniu przyprawiającym o zawrót głowy. Gdyby została tam jeszcze kilka sekund, wy szłaby pewnie ze ślubną suknią. Szła w kierunku Canonbury Square bocznymi uliczkami, podziwiała eleganckie domy i ładne przydomowe ogródki, ciesząc się doznawanym na nowo wrażeniem słońca na twarzy. Gdy przechodziła przez Alwyne Villas, ktoś zszedł po frontowych schodach i otworzył furtkę. Ona nadal uśmiechała się do siebie i gdy ich oczy się spotkały, uświadomiła sobie, że ten mężczyzna odebrał prawdopodobnie jej uśmiech jako skierowany do niego. Szybko odwróciła wzrok i szła dalej, ale nagle odniosła wrażenie, że za nią coś się dzieje, jakby coś głupiego przyczepiło się do tyłu jej głowy. Przystanąła. Zimny dreszcz przeszedł jej po kręgosłupie i postawił włosy na karku. Obróciła się na pięcie. Niemal natychmiast go rozpoznała.

- Rob? - Serce zamarło jej w piersi.

- Tory? - Rob wyglądał, jakby wrósł w chodnik. Twarz miał zupełnie błądą.

334

- Co... co ty tu robisz? - spytała, zimny dreszcz zmienił się nagle w falę gorąca, która rozprzestrzeniała się jej na twarzy.

Przetarł czoło ręką.

- Mieszkam tu. O tam. - Wskazał ruchem głowy dom, z którego właśnie wyszedł. - Dopiero co wróciłem. Właściwie parę tygodni temu. A co ty tutaj robisz?

- Ja... ja też tu mieszkam. Kawalek dalej.

- Żartujesz? Chryste, Tory. Jak... jak ci się wiedzie?

Popatrzyła na niego. Wyglądał prawie tak samo, tylko trochę starszej. Zaokrąglił się, stracił patykowaty, trochę niezgrabny wygląd, jaki miał, gdy spotkała go ostatni raz. Ciemne włosy, teraz krótko obcięte, siewiały mu trochę na skroniach, oczy zostały tak samo szaroniebieskie, policzki i brodę pokrywał mu parodniowy zarost. Jego twarz wydała się jej bardziej męska i kanciasta, niż zapamiętała. Bo rzeczywiście taka była. Minęło przecież ponad dziesięć lat, kiedy ostami raz go widziała. Zniknął niedługo po pogrzebie. Przeniósł się do innej szkoły, podobnie jak ona, żeby uciec od statusu, jaki im narzucono. Przez jakiś czas jego matka utrzymywała kontakt z rodzicami Tory. Rob przez jakiś czas podróżował. Tajlandia, Wietnam, Laos... chciał po prostu zniknąć, jak powiedziała jego matka. Zgodnie z ostatnimi wieściami, jakie o nim miała, osiadł w Peru czy podobnie odległym miejscu. I od tamtej pory

- nic.

A teraz wrócił.

- Świetnie. Świetnie. Miło znowu cię widzieć - powiedziała z pewnym wahaniem, nie bardzo wiedząc, czy go ucałować, czy objąć - a może powstrzymać się i od jednego, i od drugiego.

- Tak, ciebie też - odpowiedział, wyglądając na oszołomionego.

Tory zagryzła usta.

- Zajdziesz do mnie na kawę czy coś w tym rodzaju? Jeśli masz czas.

Przelknął głośno.

- Jasne. Dlaczego nie? Przepraszam. Nadal to do mnie nie dociera. Wyglądasz... zupełnie inaczej. Taka dorosła.

- Cóż, minęło trochę czasu - odpowiedziała, lekko się uśmiechając. - Ale ty wyglądasz tak samo.

- Tak, tak myślę.

Wpatrywali się w siebie nawzajem z jakimś skrępowaniem.

335

- To chodź. Nastawię czajnik - odezwała się Tory, przekładając paczki do drugiej ręki. W milczeniu przeszli razem na drugą stronę ulicy, oboje oszołomieni tak nieprawdopodobnym, przypadkowym spotkaniem.

- Ładne miejsce - powiedział, rozglądając się po otoczonym murem ogrodzie, gdy wchodzili przez furtkę. - Miłe.

Skinęła głową.

- Tak, mnie też się podoba. Jest... zacisznie. - Otworzyła frontowe drzwi i poprowadziła go pięć pięter na górę. - Przepraszam, to trochę jak wspinaczka. - Dotarli w końcu do jej mieszkania. - Uważaj na głowę - powiedziała, otwierając drzwi. Rob mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt.

- Tory, tu jest naprawdę ładnie - powiedział, rozglądając się po mieszkaniu.

- Salon jest tutaj - wskazała ręką, starając się, żeby w jej głosie nie było słyhać zbyt dużego zadowolenia. Mieszkanie nie należało do największych, ale ozdobiła je dokładnie tak, jak tego chciała. Po wyprowadzeniu się wreszcie od rodziców aż się paliła do nadania temu miejscu własnego piętna. - Usiądź. Wrócę za sekundę.

- Ależ są piękne! - odezwał się Rob, pokazując na ciemnobrązowe, chropowate kwiaty, które postawiła na stole. - Co to za gatunek?

- Właściwie to słoneczniki - odpowiedziała zawstydzona. - Oderwałam im płatki, kiedy zaczęły więdnąć. Zawsze uważałam, że ich środki są równie ładne. - Widać było, że Rob jest pod wrażeniem. Poczła przyjemną ulgę, jakby coś miłego rozlało się jej w środku i wypełniało teraz całe ciało. - Nadal nie mogę uwierzyć - powiedziała wolno. - Nie mogę uwierzyć, że tu stoisz. W moim salonie.

- Wiem. - Lekko się uśmiechnął. - Dziwne uczucie. Prawie tak, jakby naprawdę mnie tu nie było, choć brzmi to bez sensu, prawda?
Skinęła głową.

- Tak, wystarczająco dziwne, ale tak jest. - Odwróciła się i poszła korytarzem do kuchni. - Jaką herbatę lubisz?! - zawołała, ale zaraz sobie przypomniała. Z mlekiem, jedna łyżeczka cukru. Nagle opadły ją wspomnienia. Ich trójka siedząca w kuchni przy Hortensia Road. Susie odsuwała od siebie puszkę z herbatnikami. Zawsze się odchudzała. Tory niemal zgięła się wpół z bólu.

336

- To chodź. Nastawię czajnik - odezwała się Tory, przekładając paczki do drugiej ręki. W milczeniu przeszli razem na drugą stronę ulicy, oboje oszołomieni tak nieprawdopodobnym, przypadkowym spotkaniem.

- Ładne miejsce - powiedział, rozglądając się po otoczonym murem ogrodzie, gdy wchodzili przez furtkę. - Miłe.

Skinęła głową.

- Tak, mnie też się podoba. Jest... zacisznie. - Otworzyła frontowe drzwi i poprowadziła go pięć pięter na górę. - Przepraszam, to trochę jak wspinaczka. - Dotarli w końcu do jej mieszkania. - Uważaj na głowę - powiedziała, otwierając drzwi. Rob mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt.

- Tory, tu jest naprawdę ładnie - powiedział, rozglądając się po mieszkaniu.

- Salon jest tutaj - wskazała ręką, starając się, żeby w jej głosie nie było słyhać zbyt dużego zadowolenia. Mieszkanie nie należało do największych, ale ozdobiła je dokładnie tak, jak tego chciała. Po wyprowadzeniu się wreszcie od rodziców aż się paliła do nadania temu miejscu własnego piętna. - Usiądź. Wrócę za sekundę.

- Ależ są piękne! - odezwał się Rob, pokazując na ciemnobrązowe, chropowate kwiaty, które postawiła na stole. - Co to za gatunek?

- Właściwie to słoneczniki - odpowiedziała zawstydzona. - Oderwałam im płatki, kiedy zaczęły więdnąć. Zawsze uważałam, że ich środki są równie ładne. - Widać było, że Rob jest pod wrażeniem. Poczła przyjemną ulgę, jakby coś miłego rozlało się jej w środku i wypełniało teraz całe ciało. - Nadal nie mogę uwierzyć - powiedziała wolno. - Nie mogę uwierzyć, że tu stoisz. W moim salonie.

- Wiem. - Lekko się uśmiechnął. - Dziwne uczucie. Prawie tak, jakby naprawdę mnie tu nie było, choć brzmi to bez sensu, prawda?

Skinęła głową.

- Tak, wystarczająco dziwne, ale tak jest. - Odwróciła się i poszła korytarzem do kuchni. - Jaką herbatę lubisz?! - zawołała, ale zaraz sobie przypomniała. Z mlekiem, jedna łyżeczka cukru. Nagle opadły ją wspomnienia. Ich trójka siedząca w kuchni przy Hortensia Road. Susie odsuwała od siebie puszkę z herbatnikami. Zawsze się odchudzała. Tory niemal zgięła się wpół z bólu.

336

- Dobrze się czujesz? - nagle odezwał się Rob, stając w drzwiach. Głos miał zachrypnięty.

Pokiwała głową.

- Za minutę mi przejdzie - wysapała. - To tylko... uderzyło mnie...

Nic nie powiedział. A potem poczuła jego rękę na karku. Dotyk miał

zimny, choć palce trochę mu drżały, masowały lekko miejsce nad kością, od której zaczynał się kręgosłup. Ten dotyk działał przedziwnie kojąco. Stali tak przez kilka minut, nie odzywając się słowem, aż fala bólu minęła i Tory zaczęła normalnie oddychać. Po chwili mogła już się zająć parzeniem herbaty. Zdobyła się nawet na wyłożenie kilku ciastek na talerz. Wróciła z Robem do salonu. Ból nękał ją tylko w ułamkach sekundy jeszcze przez parę minut. Ułamki sekundy, nie dłużej.

Rozmawiali przez jakiś czas, wypełniając białe plamy, które powstały od czasu, gdy widzieli się ostatni raz. Powiedział jej, że został fotografikiem. Zaraził się tym w czasie podróży. Wydał książkę o Wietnamie, jedną z pierwszych jego książek podróżniczych o tym kraju, która sprzedawała się nadszpedziewanie dobrze. Potem dostał zlecenie na książkę o Chile, później o Peru. Teraz pracował nad książką o Buenos Aires. Postanowił wynająć mieszkanie w Londynie, gdzie mógłby się zatrzymywać między wyjazdami. Jego matka miała się dobrze, lubił wracać co jakiś czas w to samo miejsce. Przez całe wieki nie chciał przyjeżdżać do Londynu; odsuwając od siebie nawet myśli o tym mieście.

- Po prostu... nie chciałem - powiedział wolno, wpatrując się we własne dłonie. - Ale teraz tu jestem i nie jest tak źle. A co u ciebie? - Podniósł na nią wzrok.

- Och, u mnie? Cóż... - Urwała, świadoma, że się zarumieniła. Nie miała pojęcia, jak mu opowiedzieć o kwiaciarni, żeby nie wyglądało to na przechwalanie się. - Otworzyłam własną firmę. To kwiaciarnia. Prowadzimy ją razem z ojcem - powiedziała w końcu.

Milczał przez chwilę.

- Zawsze wiedziałem, że zrobisz coś wyjątkowego, Tory - odezwał się. - Zawsze miałaś zacięcie artystyczne...

- Ja? Nie, nie miałam - odpowiedziała odruchowo.

- Miałaś, miałaś. Tylko nie zdawałaś sobie z tego sprawy. - Wpatry-

337

wał się w nią przez moment. A potem wstał. - Dzięki za herbatę - powiedział, biorąc kurtkę. - Miło było znowu cię zobaczyć.

- Mnie też.

Patrzyli na siebie przez kilka sekund, a później Rob pochylił się i pocałował ją delikatnie w policzek.

- Dbaj o siebie - dodał, narzucając kurtkę na ramiona. Skinęła głową, nie mówiąc ani słowa. I już go nie było.

75

Estelle patrzyła na dwa stroje, które ekspedientka przed nią położyła. Wahala się. Czarno-białe żakiet w jodełkę i krótka spódnica... klasyczna Chanel... dyskretne złote guziki, białe szwy widoczne na brzegach... pokręciła głową. Zbyt nudne. Obok leżała druga garsonka -* od Diora -biały len, spódnica długa do kolan, z granatową lamówką wokół kołnierzyka i dekoltu.

- Ta - powiedziała szybko, wskazując ją ręką.

Elegancka, z klasą. Dokładnie tak, jak chciała wyglądać.

- Jak pani sobie życzy. - Sprzedawczyni rozpoczęła długi proces składania i pakowania. Estelle obrzuciła się szybkim spojrzeniem w lustro. Dzięki regularnym wizytom w solarium w Kensington jej skóra nabrała ciemniejszego odcienia miodu. Chciała wyglądać najlepiej, jak to możliwe. Żołądek kurczył się jej ze zdenerwowania. Aż trudno było uwierzyć, że prawie rok zabrało jej zorganizowanie spotkania, które miało się odbyć nazajutrz. Bez pomocy pani Devereaux nigdy by się jej to nie udało. Mężczyźni tacy jak Jim Hartę nie widują się po prostu z nieznanymi sobie ludźmi, nie mówiąc już o dwudziestotrzyletniej kobiecie, która w dodatku nie chce powiedzieć, o co jej chodzi. Termin ustalano już dwukrotnie. Zgoda na inną datę zabrała w obu przypadkach całe miesiące. Znowu zacisnął się jej żołądek. Doszło do tego, że od miesiący nie myślała o niczym innym, powtarzając cały

czas, co powie, co on odpowie - widziała łzy, uśmiechy, uściski... wszystko. W końcu go odnalazła. Głęboko w sercu zawsze wiedziała, że pisane jest jej coś innego niż żalodne 338

życie w nędzy, jakie oferowała jej Gloria. Teraz wiedziała dlaczego. Była z Harte'ow - żeby wreszcie powiedzieć to głośno. Mackenzie? Pozbądź się tego paskudnego balastu najszybciej, jak to będzie możliwe. Dlaczego Gloria ją okłamała?

Ekspedientka podeszła do niej, przynosząc garsonkę w błyszczącym białym pudle. Estelle udało się stłumić niewielkie podniecenie, które ją ogarnęło. Niedługo wszystkie jej ubrania będą pochodziły z miejsc podobnych do tego. Widziała, że dziewczyna taksuje ją wzrokiem, ocenia nieskończenie długie nogi, wąską talię i długie, lśniące włosy, zastanawiając się, kim była. Cóż, pojutrze wszyscy będą to wiedzieli. Może nawet napiszą o tym w gazetach? Żołądek ponownie się jej zacisnął.

- Proszę to dostarczyć - powiedziała władcym głosem, biorąc torebkę. - To na rachunek pani Devereaux. - Ubranie od kreatora warte sześćset funtów. Wkrótce będzie nosiła rzeczy trzy razy droższe. Każdego, kurwa, dnia.

- Oczywiście, proszę pani. - Nawet jeśli ekspedientka wiedziała, co się łączy z rachunkiem pani Devereaux, nie dała tego po sobie poznać.

Estelle wyszła ze sklepu otoczona chmurą perfum. Ruszyła New Bond Street w kierunku zakładu Christiana Billingtona, jej fryzjera. Każe sobie odświeżyć pasemka, zrobić manikiur i pedikiur, a potem masaż odpężający. Później miała zamiar wrócić do domu, wziąć długą, pachnącą kąpiel i przygotować się na jutrzejsze spotkanie. Najważniejsze spotkanie w jej życiu. Prawie nie mogła się zmusić do myślenia o czymś innym. Za niespełna dwadzieścia cztery godziny jej życie się zmieni. Przystanie być córką kolorowej robotnicy z Bulawayo i nieznanego, nieobecnego białego ojca - jutro po południu świat pozna ją jako córkę miliardera. Uśmiechnęła się do siebie. Nic dziwnego, że zawsze podobały się jej lepsze rzeczy. Jak się okazało, cały czas należała do lepszego świata.

- Och Jim! - Pani Callaghan zatrzymała go, gdy szedł w stronę drzwi. - Nie zapomnij o spotkaniu o trzeciej.

- Z kim? - Popatrzył na nią z irytacją.

Zerknęła do jego kalendarza.

- To panna Mackenzie. Nie mam jej imienia. Umówiła ją jakaś pani Sally Devereaux. Zgodziłeś się na nie, pamiętasz?

339

Jim westchnął. Nie pamiętał. Kim, do cholery, była Sally Devereaux? Spojrzył na zegarek.

- Będę za godzinę - odpowiedział, biorąc płaszcz i kapelusz. - Gdybym nie wrócił na czas, powiedz, żeby zaczekała. O co jej chodzi?

Pani Callaghan wzruszyła ramionami.

- Pani Devereaux tego nie sprecyzowała. Ale starała się o to spotkanie od miesięcy. Dwa razy już je odwoływałaś.

- W porządku. Wrócę później. - Otworzył drzwi i ruszył korytarzem do windy, wyrzucając z myśli tę informację i zajmując głowę czymś zupełnie innym. Był niezwykle pobudzony. Nikt jeszcze o tym nie wiedział - a już na pewno nie jego partnerzy i udziałowcy - ale czekały go kłopoty. Jak zawsze w takich przypadkach zaczęło się cholernie niewinnie. Przez kilka lat RhoMine zarządzała bardzo zyskowym szlakiem przerzutu diamentów przez nieudziałającą kopalnię we wschodniej Gwinei, blisko granicy z Sierra Leone. Władze były przekupione, szlaki ustalone, plany lotów opracowane - wszystko działało. Przez prawie trzy lata bez problemów osiągnęli ogromne zyski pochodzące z nieznanego zakątka kontynentu - tak jak Jim lubił. Kamienie przewożono samolotami, które zwykle pod osłoną nocy startowały ze Sierra Leone. Godzinę później lądowały w Côte d'Ivoire, gdzie diamenty pakowano do skrzyń. Ponownie oznakowywane i wysyłane dalej, docierały potem do

Brukseli i New Delhi, gubiąc po drodze prawdziwe miejsce pochodzenia. Poprzez labirynt praw własności RhoMine kontrolowała ponad sześćdziesiąt procent udziałów Consolidated Mines, oficjalnego właściciela Kanyati, kopalni w Gwinei. Taka sytuacja wszystkim odpowiadała - począwszy od ministrów, aż po idiotów, którzy przepłacali za pierścionki z brylantami. Jim nigdy nie miał okazji - a i chęci, mówiąc szczerze - do odwiedzenia kopalni w Kono ani nigdzie indziej na tej zapomnianej przez Boga trasie. Dopóki ten proceder przynosił zysk, a ceny udziałów RhoMine szły w górę, wszyscy zarabiali i wszyscy byli zadowoleni.

Ale - oczywiście, zawsze jest jakieś pierdzielone „ale” - po ostatnim przewrocie w Sierra Leone zwiększył się na nich nacisk, żeby płacić więcej urzędnikom z kopalni i ministrom. Typowa sytuacja - chciwość kilku dupków na wysokich stołkach. Chcieli mieć większy udział przy podziale łupu. Jim tracił fortunę na łapówki, nie mówiąc już o paliwie

340

lotniczym, żeby wysłać walizki z pieniędzmi do miejsc, których nazw nigdy nie słyszał - Kambii, Kabali, Makeni - a ich samych, rzecz jasna, nigdy nie chciał oglądać. I wtedy przekłeta Organizacja Narodów Zjednoczonych nałożyła sankcje na ten kraj, sprawiając, że wszystko stało się jeszcze trudniejsze. Jakby, kurwa, tego było dla niego mało. Nawet uzgodnienie trasy lotu stało się bardziej skomplikowane - zmieniło się w prawdziwy koszmar. Manning miał tego dość, Ogilvy i Ma-thers mieli tego dość... a teraz i on miał tego powyżej uszu. Wymagało to za dużo pieprzonego zachodu. Ale z kopalni wydobywano diamenty należące do najwspanialszych w Afryce, a Jim był pragmatykiem. Wcześniej czy później wojna w Sierra Leone dobiegnie końca. Nie wspierał Zjednoczonego Frontu Rewolucyjnego z pobudek altruistycz-nych. Przewrót w marcu zaowocował niestabilnym podziałem władzy między ZFR i nowo utworzoną Rewolucyjną Radą Sił Zbrojnych. Jim pokręcił głową. Kiedy w końcu czegoś się nauczą? Rewolucje szkodziły interesom. Na pewno zaś były niekorzystne dla niego. W brytyjskiej prasie zaczęły pojawiać się plotki - jak zawsze, gdy RhoMine miała ogłosić przeprowadzenie jakiejś większej transakcji. Oczywiście, w rezultacie spadały ceny udziałów i zaufanie inwestorów, a taki klimat nie był najlepszy dla jego najnowszego przedsięwzięcia - miedzi. Garstka biznesmenów kusila go kilkoma kopalniami, ale ciągle chcieli więcej. A kto przewodził tej bandzie? Klaassens. Intuicja podpowiadała mu, że to znowu on rzuca mu kłody pod nogi. Przypomniiał sobie bladoniebieskie oczy i szyderczy uśmiezek Klaassensa. „Tak właśnie pan to widzi, panie Hartę?” - zapytał go prawie przed dwudziestu laty. Kutasina. Tak, tak właśnie to widział, do kurwy nędzy.

Pchnął drzwi prowadzące do niewielkiej włoskiej restauracji przy Gutter Lane. Wchodząc, uśmiechnął się do siebie. Gutter* Lane? Jakże adekwatnie. To tam właśnie doprowadzi Klaassensa, jeśli jego podejrzenia okażą się uzasadnione. Miał się tu spotkać z kimś, kto mógł to potwierdzić.

- Cieszę się, że przyszedłeś, Gordonie - powiedział, wyciągając rękę.

* Gutter oznacza po angielsku ściek albo rynsztok (przyp. tłum.).

341

76

Po raz drugi w ciągu dwunastu miesięcy Estelle siedziała przed biurem człowieka, który miał wystarczającą władzę, żeby wyrzucić świat do góry nogami, i ponownie zmuszono ją do czekania. Sekretarka, hetera, która wpuściła ją za pomocą domofonu, nie przedstawiała na nią zerkać, jakby nie wierzyła własnym oczom. Niech sobie patrzy. Bo też i było na co popatrzeć. Czy ta stara krowa w ogóle miała pojęcie, ile kosztowała jej garsonka?

- On wie, że miałam przyjść, prawda? - zapytała w końcu Estelle, gdy z piętnastu minut czekania zrobiło się dwadzieścia.

- Och, tak. Powinien zaraz wrócić - odrzekła kobieta, nawet nie kryjąc zaciekawienia w głosie. - Prosił, żeby pani zaczekała.

Estelle nic nie powiedziała. Znowu miała skurcze żołądka, serce waliło jej jak młotem, dłonie się pociły.

Dziesięć lub piętnaście minut później - straciła poczucie czasu -gdzieś na korytarzu usłyszała kroki i męski głos. Żołądek zacisnął się jej gwałtownie.

- Ach - odezwała się hetera, unosząc głowę. - Myślę, że to on.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich wysoki, opalony mężczyzna.

Wpatrywał się w nią, marszcząc brwi. Wyraz niedowierzania pojawił się na jego twarzy.

Estelle pomyślała nawet, że wyglądał na chorego. Sekretarka przenosiła spojrzenie z niej na niego, co sprawiało niemal komiczne wrażenie. Estelle nie odrywała wzroku od twarzy, której przyglądała się uważnie na zdjęciach przez ostatni rok, szukając podobieństw niezatartych przez czas, płęć czy rasę. Była aż za bardzo świadoma odgłosu własnego oddechu, unoszącego jej piersi. Jak mogła to przeoczyć? Jak mogła go nie rozpoznać? „Jeśli chcę seksu, kurwa jest ostatnią osobą, na którą bym się zdecydował”. Ogarnęła ją fala wstydu i przerażenia, będąca drwiną z garsonki od Diora, chmury drogich perfum, starannie pomalowanych paznokci, makijażu i torebki z krokodylowej skóry. Otworzyła usta, ale po raz pierwszy w życiu nie mogła wydobyć głosu.

Jim pierwszy doszedł do siebie. Przeszedł energicznie przez sekre-

342

i

tariat i otworzył drzwi gabinetu, ignorując znaczące spojrzenie pani Callaghan.

- Panna Mackenzie? - Zniecierpliwionym gestem zaprosił ją do środka.

Wstała na trochę niepewnych nogach i weszła. Hartę zamknął drzwi przed panią Callaghan i jej niewypowiedzianym pytaniem, a potem stanął przodem do Estelle. Nie mogło być mowy o pomyłce. To ona była dziwką, którą Khoury sprowadził tamtego wieczoru, mniej więcej rok temu. Co, do cholery, robiła w jego gabinecie? Podszedł do biurka i usiadł. Nie mógł odmówić jej urody - to najpiękniejsza dziewczyna, jaką widział od bardzo dawna - ale pytanie o to, co robiła naprzeciwko niego, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności ich ostatniego spotkania, pozostawało bez odpowiedzi.

- Czym mogę służyć, panno Mackenzie? - zapytał gładko.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem wskazała gestem na fotel.

- Czy mogę?

- Proszę. - Chciał, żeby jak najszybciej przeszła do rzeczy.

Usiadła z wdziękiem i otworzyła torebkę. Wyjęła paczkę papierosów i szarą kopertę. Przesunęła ją po blacie biurka wyłożonym zieloną skórą, odchyliła się do tyłu i nie powiedziała słowa. Palcami o czerwonych paznokciach wyjęła papierosa z paczki i zapaliła. Patrzyła na kopertę leżącą między nimi. Jim nie poruszył się, żeby ją wziąć.

- Nie otworzysz? - zapytała.

Zmarszczył czoło. W jej głosie było coś... jakiś rodzaj akcentu? Pokręcił przecząco głową.

- Nie, dopóki mi nie powiesz, o co tu chodzi.

Przed czymś się powstrzymywała, to było widać gołym okiem. Papieros, bezpośrednio, lecz jednocześnie spłoszone spojrzenie, sposób, w jaki trzymała skrzyżowane smukłe nogi... grała na czas, zbierając się na odwagę. Nie przestawali wpatrywać się w siebie. W końcu, gdy pomyślał, że nie zniesie ani sekundy dłużej widoku jej niebiesko-zielonych oczu, odsunęła od siebie rękę z papierosem i otworzyła usta. Wyszły z nich trzy słowa.

Przeszedł go dreszcz. Pokręcił głową, jakby chciał oczyścić myśli.

343

Chyba się przesłyszał. Oderwał wzrok od jej oczu i przyjrzał się jej szyi, kosztownej garsonce, białej lnianej tkaninie na miodowozłotej skórze, biżuterii... i ponownie spojrzął jej w oczy.

- Co powiedziałaś, do kurwy nędzy?!

Wydawała się trochę zaskoczona. Ale zachowała zimną krew, to musiał jej przyznać.

- Jestem twoją córką. - Uśmiech miała nieszczerzy.

Poczuł, jak coś w nim pękło. Ogarnęła go czysta, paląca złość.

- O czym ty, kurwa, mówisz?!

- Wszystko jest tam - powiedziała, wskazując kopertę zapalonym papierosem. - To mój akt urodzenia. Mam oryginał. Wszystko tam jest. Moja matka to Gloria Turner. Pracowała dla ciebie w...

- Wyjdź! - Jim miał wrażenie, że słowa rozrywają mu gardło. - Czy to ma być jakiś żart?! Wyjdź! I to już!

- Nie żartuję - odpowiedziała, gasząc papierosa. Głó& jej drżał. -Daję słowo.

Wynajęłam prywatnego detektywa. To mój akt urodzenia. To jest oryginał. Ja...

Jim wziął kopertę. Rozdarł ją i wyjął dokument, nawet na niego nie patrząc. Nie spuszczał wzroku z Estelle, gdy obchodził biurko i podszedł do niszczarki. Sekundę później metalowe zęby przystąpiły z warkotem do pracy. Dziewczyna pobladła pod opalenizną. Traciła pewność siebie. Kiedy kartka została dokładnie pocięta, wyłączył maszynę. Wrócił do biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

- Posłuchaj, kurewko - odezwał się głosem twardym jak stal. - Jeśli zaraz nie wyjdiesz, zadzwonię na policję i każę cię aresztować. Czy w ogóle masz pojęcie, kim jestem?

Patrzyła na niego, po jej hardości nie było śladu.

- Jesteś moim ojcem - powiedziała łamiącym się głosem.

- Nie słuchasz mnie. Mam dwie córki i możesz mi wierzyć, że nie jesteś żadną z nich.

Nie mam pojęcia, kim ty, kurwa, jesteś. Nigdy nie słyszałem o żadnej Glorii, jakiegokolwiek ma pierdolone nazwisko, i ostrzegam cię, że jeśli nie wyjdiesz z mojego gabinetu, zanim skończę wybierać numer, spędzisz kilka nocy w miejscu, którego wolałabyś nie oglądać. A teraz zabieraj stąd tę szmatławą kopertę i swoje papierosy i wypierdalaj z mojego gabinetu! Won!

Zrobiła krok do tyłu, porażona złością w jego głosie. Trzęsła cię cała.

344

- Ja..

- Won!

Otworzyła drzwi i wybiegła.

- Jezu, a kto to był? - zapytała pani Callaghan w chwili, gdy Jim otworzył drzwi.

Odczekał pełne pięć minut, żeby odzyskać miarowy oddech.

- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy - rzucił krótko, biorąc płaszcz i kapelusz.

Trzasnął za sobą drzwiami biura. Był roztrzęsiony. Darował sobie windę i zbiegł czternaście pięter po schodach do piwnicy. Jego bentley stał zaparkowany w rogu, szofer z parą innych kierowców palił przy schodach papierosa. Zobaczył zbliżającego się Jima i podbiegł.

- Tak, proszę pana?

- Studgrove - warknął Jim. - Już!

Estelle biegła przez całą Cheapside, nie zwracając uwagi na przechodniów zdziwionych widokiem kobiety w białej garsonce i w butach na wysokich obcasach, która mijala ich z rozwianymi włosami. Pędziła przed siebie, aż zabrakło jej tchu. Upadłaby, gdyby jakiś dżentelmen w meloniku nie przystanął i nie podtrzymał jej.

- Hej! - zawołał, chwytając ją za ramię. - Ostrożnie. Jeszcze się pani przewróci...

Płakała, łykała powietrze wielkimi haustami.

- Pro-proszę mnie zostawić - wydyszała, wyszarpując ramię. - Proszę mnie zostawić.

- Niech się pani uspokoi - powiedział, najwyraźniej zaniepokojony jej widocznym strapieniem. - Niewiele brakowało, żeby wpadła pani pod autobus! - Estelle zachwiała się, oparła o niego i upuściła w błotnistą kałużę torebkę z krokodylowej skóry. Mężczyzna pochylił się, żeby ją podnieść. Uniósł, ociekającą wodą, i wytarł chustką do nosa. -Boże drogi. Pani torebka. Jest cała mokra!

- To... to bez znaczenia. - Estelle z trudem dobywała głosu. -Pro-proszę mnie zostawić w spo-spokoju...

Wokół nich zebrała się spora grupka.

- Zastąpiła? - ktoś zapytał.

345

Estelle poczuła, jak opada ją ogromne zmęczenie.

- Nic jej nie jest - odpowiedział dżentelmen, wyczuwając, że jest zbyt wyczerpana, by mówić. - Wygląda na to, że jest w okropnym szoku. Myślę, że powinna dostać się do domu.

- Spójrzcie na torebkę - wyszeptał ktoś inny. - Czy to Chanel?

Estelle oparła się o ścianę, czując, jak ból wywołany poczuciem

krzywdy wypełnia jej żyły niczym palący ogień. W głowie się jej kręciło, jakby świat się zakółsał. Pozwoliła zaprowadzić się do taksówki, usłyszała własny głos instruujący taksówkarza i zdobyła się nawet na podziękowanie mężczyźnie w meloniku, który nadal stał przy krawężniku, machając jej energicznie, gdy odjeżdżała, jakby się przyjaźnili. Zamknęła oczy. Tego ranka, gdy ubierała się na spotkanie z Jimem Har-te'em, nadzieja krzepiła ją niczym promienie słońca. Życie wydawało się pełne możliwości. Teraz wszystko się zmieniło.

77

W czasie jazdy do Studgrove Jim czuł, jak nasila się wrażenie zaciskania w piersiach.

Oczywiście, że od razu się domyślił - w chwili, gdy otworzyła usta, zwrócił uwagę na splecione samogłoski, typowe dla jego przybranej ojczyzny, i wtedy coś ścisnęło go za serce. Kiedy ostatni raz ją widział, nie miała nawet roku. Jak mógł jej nie poznać wtedy u Khoury'ego? Czuł, jak żółć podchodzi mu do gardła. Jedwabna sukienka - nie umiał sobie przypomnieć - była czerwona? Purpurowa? -czekała tylko, żeby zsunąć się z jej niesamowitego ciała. Niemal zwymiotował. Opuścił szybę, potrzebował świeżego powietrza. Nie mógł oddychać wystarczająco szybko albo wystarczająco głęboko. Estelle Mackenzie była jego córką. Powróciło wspomnienie chwili, gdy ostami raz widział Głorię, i nie mógł go odpędzić.

Miał wtedy trzydzieści osiem lat. Gloria, śliczna, ciemnoskóra służąca, która u nich wtedy pracowała, nie miała jeszcze dwudziestu. Nie potrafiłby powiedzieć, kiedy pierwszy raz zwrócił na nią uwagę. Poruszała się po domu bezgłośnie, jakby szybowała, sprzątając, odkurzając, myjąc - robiąc wszystko, co Sarah jej kazała. Sarah była fatalną panią

346

domu, nie radziła sobie z pilnowaniem służby, która kłamała, kradła, oszukiwała, wykorzystywała jej bezradność, wynikającą z konserwatywnego angielskiego wychowania. Nie potrafiła stawić czoła komuś takiemu jak Learnmore, Williams i jeszcze jedna... jakże, do cholery, się nazywała? Mary? Maria? Miały nad nią przewagę. Ale Gloria była inna. Bogobojna, przyzwoita, pochodziła z jednej ze starych kolorowych rodzin, które podupadły w ciężkich czasach, znała Biblię i swoje miejsce, i nie było z nią żadnych kłopotów. Aż do tamtej nocy, kiedy wrócił do domu pijany i w kiepskim nastroju po wizycie u rodziców Jane, którzy ciągle uważali, że miał coś wspólnego z jej śmiercią. Nic nie mogło ich przekonać do zmiany tej opinii. A przecież to ona sama zdecydowała odebrać sobie życie - on na pewno nie

podjął za nią takiej decyzji. Była słaba - i w tym tkwił problem. Słaba - tak samo jak jej ojciec.

Zły jak osa, zatrzymał się po drodze w knajpie Dirka Teunissena. Po trzech whisky niechętnie powlókł się do domu do Avonlea. Sarah już dawno spała. Gloria krzątała się w kuchni, przygotowując dla niego kanapkę. Nalała mu szklaneczkę whisky. To nie była wina tej biednej dziewczyny.

Weszła bezgłośnie do pokoju, przynosząc mu w rękę szklanekę z whisky. Ogień płonął na kominku. Był czerwiec i ziemię na zewnątrz ścinał mróz. Przypominało mu to trochę Anglię. Wyciągnął rękę. Dotknął jej palcami. Nastąpił nagły, elektryzujący szok - rozpoznał ją i uświadomił sobie, że może z nią zrobić wszystko, cokolwiek zechce. Praktycznie był jej właścicielem, co w końcu musiał przyznać.

Wypił wszystko jednym haustem.

- Przynies mi następną - wychrypiał, nadal wytrącony z równowagi niedawnym spotkaniem. Przyniosła mu kolejną whisky i jeszcze jedną. Ich palce się dotykały.

- Zdejmij bluzkę - powiedział, owładnięty agresją i pożądaniem.

Spełniła jego polecenie w ciszy. Wszystko robiła w ciszy.

Kiedy z nią skończył, wstała po cichu, zapięła bluzkę i wysliznęła się z pokoju. Było to trochę dziwne, ale jemu odpowiadało. Potem odwiedzał ją raz, czasami dwa razy w miesiącu.

Zawsze jednak w kwaterach dla służby. Prawie ze sobą nie rozmawiali. Dziewczyna miała w sobie coś kojącego, ze swoją skórą koloru kawy, wielkimi ciemnymi sutkami

347

niczym miedziane pensówki i cichym, godnym zachowaniem, które nigdy się nie zmieniło, ani razu, nawet wtedy, gdy kazał jej robić rzeczy, przy jakich Sarah pobladałaby z obrzydzenia. Trwało to dwa, trzy miesiące...? I wtedy powiedziała mu, że spodziewa się dziecka. Nie chodziło o to, że czegoś od niego chciała - dodała. Ale... cóż, nie będzie mogła... przynajmniej przez jakiś czas. Dopiero kiedy urodzi. Och, nie potrzebował się martwić. Jego żona nigdy się nie dowie. Odeśle dziecko na południe, do rodziców do Bulawayo.

Ale kiedy nadszedł czas, nie potrafiła rozstać się z córką. Dziecko zostało w kwaterach dla służby, najczęściej ukryte przez wzrokiem ciekawskich. W tamtym czasie przychodziło i odchodziło tak wielu służących, a poza tym Sarah nigdy, pod żadnym pozorem się tam nie zapuszczała. Mówiła, że panował tam brud. Służący żyli jak zwierzęta. Ale to przecież oni sprzątają twój dom - Jim miał ochotę rzucić jej w twarz. Masz do nich wystarczające zaufanie, żeby powierzać im własną córkę na całe dni... tam, gdzie podobno panuje brud. Ale nie powiedział tego. Milczał, bo się bał.

A potem nadeszła straszna noc, kiedy Gloria była w kuchni z dzieckiem, a Sarah wróciła wcześniej do domu. Nik miała wtedy około dwóch lat. Rysy twarzy dziecka, podkreślone odpowiednim światłem, nie pozostawiały wątpliwości, kto jest ojcem. Sarah od razu się domyśliła. Przyszedł do domu i usłyszał krzyki - Sarah rzucała przedmiotami w Glorię... wszystkim, co wpadło jej w rękę... garnkiem, patelnią, pojemnikiem na sól, miedzianymi rondlami. Tymczasem Gloria stała cierpliwie, obrzucana najgorszymi wyzwiskami. Sarah spostrzegła, że przyszedł, i zaczęła biec jak szalona po schodach na górę do gabinetu, wiedząc, że tam właśnie trzymał broń. Rzucił się za nią. Usiłował złapać ją za nogę, ale mu się nie udało. Nik leżała w kołysce u podnóża schodów, drąc się wniebogłosy. Na szczęście chłopcy pojechali na weekend do domu przyjaciela. Sarah biegła dalej, on zaś podniósł się i ruszył za nią. Tym razem chwycił żonę za kostkę, czym ją zupełnie zaskoczył. Ostłupiała i trzymając się poręczy, wykręcała całe ciało, chcąc się wyrwać. Nik cały czas płakała. Gloria patrzyła na nich w milczeniu. Wyciągnął rękę, złapał ją za drugą nogę i wtedy to się stało. Rozległ się straszliwy trzask pękającego drewna i Sarah spadła, przelatując przez złamaną poręcz i uderzając głową w kamienną posadzkę. Nigdy, przenigdy, dopóki bę-

348

m ;

dzie żył, nie zapomni odgłosu, jaki wydała jej głowa w zetknięciu z podłogą. Dźwięk pękającej czaszki. Wtedy Gloria się odwróciła, przyciskając dziecko do ramienia, i wyszła. Został tam z kałużą krwi rozlewającą się na podłodze, wsiąkającą w pęknięcia. W kuchni zapanowała kompletna cisza. Spojrzał w kierunku kołyski z Nik - niewiarygodne, ale ona również ucichła. W jej oczach pojawiło się coś... to śmieszne, rzecz jasna, ale nigdy się z tego nie otrząsnął. Wiedziała. Wiedziała, co zrobił. Od tamtej pory nie potrafił znieść jej spojrzenia.

A Gloria? Potem jej pomógł. Basil Mackenzie, jeden z kierowników z kopalni, zgodził się zarejestrować jako ojciec dziecka. Drogo go to kosztowało. I wszystko wskazuje na to, że nadal będzie musiał płacić. Nie miał pojęcia, co wiedziała ta dziewczyna, która się teraz pojawiła.

78

Luc do niej mówił. Jego usta się poruszały i czuła na sobie jego wzrok, ale myślami była gdzie indziej. Udawała, że słucha, ale cały czas zastanawiała się nad czymś innym. Kimś innym. Minęły dwa tygodnie od chwili, gdy wpadła na Roba, i od tamtej pory nie potrafiła uwolnić się od myślenia o nim. W dowolnej chwili mogła przywołać w pamięci w najdrobniejszych szczegółach wrażenie, że serce jej stanęło na dźwięk jego głosu, który obudził dawno pochowane wspomnienia. Stała przed nim z ramionami zwisającymi bezwładnie po bokach, niezdolna do wypowiedzenia słowa. Pamiętała dokładnie uczucie spadania, po którym nastąpiła równie silna potrzeba przytrzymania się czegoś.

- Tory? - zapytał Luc z lekkim rozdrażnieniem.

Zmusiła się do słuchania.

- Przepraszam... co?

- Który? - spytał, przesadnie manifestując cierpliwość. Zaszleścił gazetą.

Miała w głowie kompletną pustkę.

- Tak, przepraszam. Nie słuchałam. Co, który?

- Film. Który chciałabyś zobaczyć?

- Och, nie wiem... ten, który ty chcesz obejrzeć. - Miała przecucie,

34

dzie żył, nie zapomni odgłosu, jaki wydała jej głowa w zetknięciu z podłogą. Dźwięk pękającej czaszki. Wtedy Gloria się odwróciła, przyciskając dziecko do ramienia, i wyszła. Został tam z kałużą krwi rozlewającą się na podłodze, wsiąkającą w pęknięcia. W kuchni zapanowała kompletna cisza. Spojrzał w kierunku kołyski z Nik - niewiarygodne, ale ona również ucichła. W jej oczach pojawiło się coś... to śmieszne, rzecz jasna, ale nigdy się z tego nie otrząsnął. Wiedziała. Wiedziała, co zrobił. Od tamtej pory nie potrafił znieść jej spojrzenia.

A Gloria? Potem jej pomógł. Basil Mackenzie, jeden z kierowników z kopalni, zgodził się zarejestrować jako ojciec dziecka. Drogo go to kosztowało. I wszystko wskazuje na to, że nadal będzie musiał płacić. Nie miał pojęcia, co wiedziała ta dziewczyna, która się teraz pojawiła.

78

Luc do niej mówił. Jego usta się poruszały i czuła na sobie jego wzrok, ale myślami była gdzie indziej. Udawała, że słucha, ale cały czas zastanawiała się nad czymś innym. Kimś innym. Minęły dwa tygodnie od chwili, gdy wpadła na Roba, i od tamtej pory nie potrafiła uwolnić się od myślenia o nim. W dowolnej chwili mogła przywołać w pamięci w najdrobniejszych szczegółach wrażenie, że serce jej stanęło na dźwięk jego głosu, który obudził dawno pochowane wspomnienia. Stała przed nim z ramionami zwisającymi bezwładnie po bokach, niezdolna do wypowiedzenia słowa. Pamiętała dokładnie uczucie spadania, po którym nastąpiła równie silna potrzeba przytrzymania się czegoś.

- Tory? - zapytał Luc z lekkim rozdrażnieniem.
- Zmusiła się do słuchania.
- Przepraszam... co?
- Który? - spytał, przesadnie manifestując cierpliwość. Zaszeleścił gazetą.
- Miała w głowie kompletną pustkę.
- Tak, przepraszam. Nie słuchałam. Co, który?
- Film. Który chciałabyś zobaczyć?
- Och, nie wiem... ten, który ty chcesz obejrzeć. - Miała przecucie,

349

że i tak nie oglądałaby żadnego z tych filmów wystarczająco uważnie. Zbyt wiele myśli kłębiło się jej w głowie. O Susie i Robie, o niej i Robie - nie mogła nad nimi zapanować. Wszystko to było straszliwie poplątane. W jej mózgu powstał kalejdoskop obrazów - Rob, kiedy go pierwszy raz spotkała: tyczkowaty, przyszczaty nastolatek, którego Susie przyprowadziła któregoś dnia ze szkoły do domu. „To jest Rob”. I tyle, nie było żadnego więcej przedstawiania. Susie miała trzynaście lat, była stanowczo za młoda na chodzenie z chłopakiem - przynajmniej tak stwierdzili rodzice. Ale Rob po prostu kręcił się w pobliżu, aż cała rodzina zwyczajnie się do niego przyzwyczaiła i czasem można było odnieść wrażenie, że zawsze z nimi przebywał. Chłopak Susie. Kiedy skończyła piętnaście lat, wszyscy myśleli z ulgą, że dobrze zrobiła, wybierając Roba. Do tego czasu oczywiście zniknęły mu przyszcze i niezgrabność подростка. Wyglądali tak, jakby byli dla siebie stworzeni. Rob, wysoki, ciemnowłosy, przystojny - i drobna, śliczna Susie. Kiedy naprawdę zaczęli ze sobą sypiać, Tory była pierwszą osobą, której siostra o tym powiedziała. Wszystko jej mówiła. Tory знаła Roba niemal tak samo dobrze jak Susie. Był starszym bratem, którego nigdy nie miała. Pomagał jej przy odrabianiu lekcji, dał jej zapalniczkę, kiedy zaczęła palić po kryjomu, udzielał jej rad w sprawie chłopaków, którzy zaczęli się wokół niej kręcić. Kazał jej unikać Jamesa Taylora, ale jego zdaniem Matt Cramer był w porządku. Ufała mu na tyle, że opowiadała o rzeczach, z jakich nie zwierzała się nikomu, nawet Susie. Ale kiedy to się stało, zniknął z jej życia, nawet się za siebie nie obejrzawszy. A teraz wrócił. Tory wstała i przeszła szybko przez pokój. Wspomnienia zaczynały ją przytłaczać, a nie chciała, żeby Luc to zauważył. Spojrzał na nią, gdy go mijała, ale był tak zaabsorbowany wyborem filmu, że właściwie jej nie spostrzegł. Istniało jednak coś jeszcze, o czym należało pamiętać -ale nie zniosłaby nawet myśli o tym. Nie potrafiła się zmusić, żeby to odgrzebywać.

79

Patrzyła w górę budynku. Od tygodnia przechodziła co rano obok tego domu w drodze do pracy i sterczała na przystanku autobusowym

350

przy końcu ulicy w nadziei, że go zobaczy. Ale nic z tego. Nie była nawet pewna, czy tam jest. Mógł gdzieś wyjechać. Do Peru albo innego egzotycznego miejsca. Wiedziała, które mieszkanie zajmował - C. Jego nazwisko było wyraźnie napisane przy przycisku domofonu. „Robin Holden”. Nie mogła jednak tak po prostu do niego wpaść, prawda? Ponownie spojrzała w górę na dom, ale za zasłonami nic się nie poruszało. Dochodziło piętnaście po dziewiątej. Stała tam prawie od kwadransa. Ojciec będzie się złościł. Mieli dwa śluby do zaplanowania na nadchodzący weekend, a bez Tory nie mogło być mowy o doborze dekoracji kwiatowej. Wyczuwała, że irytowało go jej zachowanie. W minionym tygodniu trzy razy przyłapał ją na zapatrzeniu się w okno wystawowe, gdy była nieobecna myślami. Od razu się zorientowała, że bardzo go to zaniepokoiło. W taki stan odrętwienia wpadła w roku po śmierci Susie, kiedy - podobnie jak reszta rodziny - zamknęła się na świat i otrząsała z niego sporadycznie, żeby robić rzeczy, których nie rozumieli - jak romans z Thierrym de Courcym i paryska eskapada. Jak się okazało, nawet bukieciarstwo było dla nich trudne do